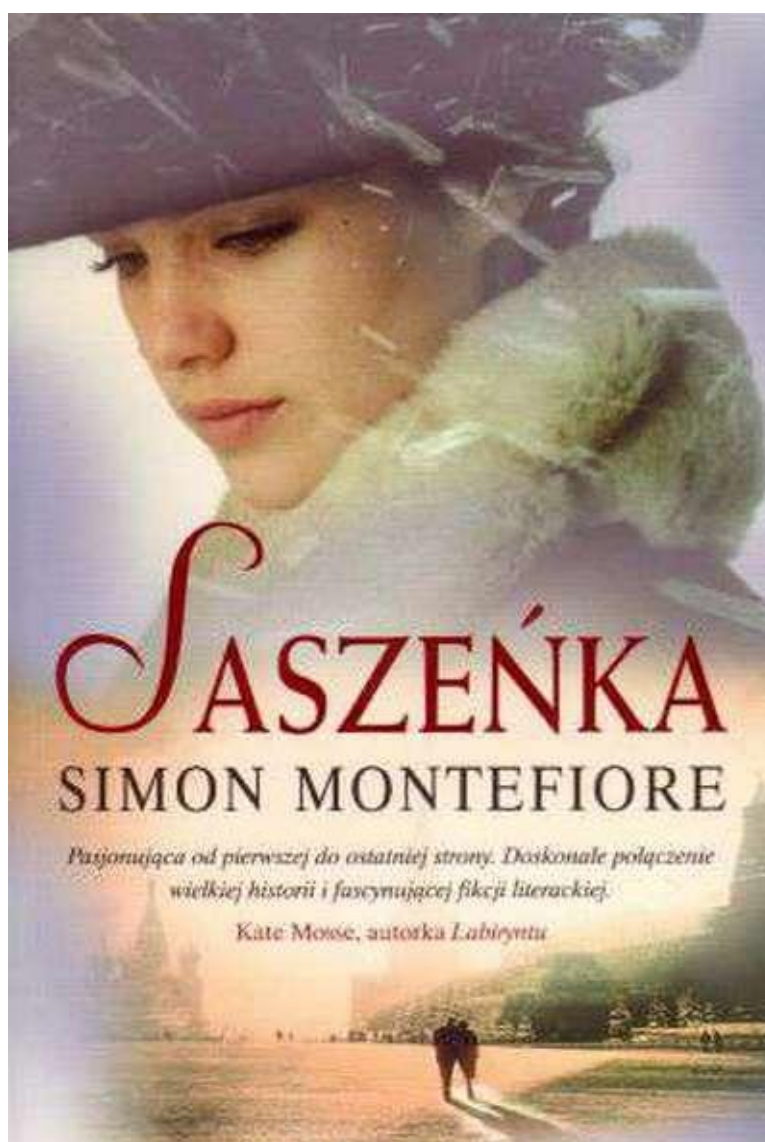




SIMON MONTEFIORE

Szaszeńka



Dla Santy

Tam gdzie morze wiecznie bryzga Na opustoszałe skały... Czarodziejka mnie z miłości Obdarzyła talizmanem. Czule pieścąc mnie mówiła: „Strzeż mojego talizmanu -W nim jest tajemnicza siła, Bo z miłości tobie dany!”

Aleksander Puszkina, *Talizman* (przeł. Mieczysław Jastrun)

Niekiedy w okolicach naszych rodzą się takie charaktery, że - acz wiele lat upłynie od zetknięcia się z nimi -niektórych z nich niepodobna wspomnieć bez drżenia duszy.

Nikołaj Leskova, *Powiatowa lady Macbeth* (przeł. Jerzy Wyszomirski)

Jestem sam i sierota, i nikt o mnie nic nie wie. Wkrótce umrę, nikt za mnie nie zmówi modlitwy na grobie, Tylko słowik czasami zaśpiewa w pobliżu na drzewie.

Piosenka piotrogrodzkich uliczników, 1917 (przeł. Ixszek Engelking)

UNIWERSYTET MOSKIEWSKI GAZETA WYDZIAŁU NAUK HUMANISTYCZNYCH
12 MARCA 1994 OGŁOSZENIA PRYWATNE

P R A C A !

*

**POSZUKUJEMY MŁODEGO HISTORYKA, Z DOŚWIADCZENIEM W PROWADZENIU
POSZUKIWAŃ W ROSYJSKICH ARCHIWACH PAŃSTWOWYCH. PROJEKT - HISTORIA RODZINNA,
POSZUKIWANIE OSÓB ZAGINIONYCH ETC. SZEŚĆ MIESIĘCY. WYMAGANA
CAŁKOWITA DYSKRECJA.**

**WYNAGRODZENIE: US \$ PLUS WYDATKI. WAŻNY PASZPORT LUB DOKUMENTY
UPRAWNIAJĄCE DO PODRÓŻOWANIA. ZGŁASZAĆ MOGĄ SIĘ TYLKO ABSOLWENCI Z
NAJLEPSZYMI OCENAMI. WYBRANY KANDYDAT PODEJMIE PRACĘ OD RAZU. KONTAKT:
AKADEMIK BORYS BIELAKÓW, DYREKTOR INSTYTUTU HISTORII NOWOŻYTNEJ I NAJ-
NOWSZEJ, WYDZIAŁ NAUK HUMANISTYCZNYCH.**

CZĘŚĆ PIERWSZA

Pietrogród, 1916

TLR

Była dopiero pora podwieczorku, ale słońce już zachodziło, kiedy trzech carscy żandarmi zajęli pozycje przed bramą Instytutu dla Dobrze Urodzonych Panien w Smolnym. Mogłoby się wydawać, że najlepsza w Piotrogradzie szkoła dla dziewcząt podczas zakończenia trymestru to nie miejsce dla policjantów, a jednak tam byli, łatwo rozpoznawalni w dobrze skrojonych błękitnych mundurach z białym szamerunkiem, z połyskującymi szablami, w skórzanych kaskach z kitą z końskiego włosia. Jeden strzelał niecierpliwie palcami, drugi otwierał i zamykał skórzaną kaburę mauzera, a trzeci stał nieruchomo, na rozstawionych nogach, wetknąwszy kciuki za pas. Za nimi czekał sznur zaprzęzonych w konie sań zdobionych złotem i szkarłatem rodowych herbów i kilka lśniących limuzyn. Rzadki, padający z ukosa śnieg był widoczny tylko w migocącym świetle lamp ulicznych i bursztynowych latarni przejeżdżających powozów.

Ta trzecia zima Wielkiej Wojny wydawała się najbardziej mroczna i najdłuższa. Za czarnymi bramami, w głębi brukowanej alei, biały gmach otoczonego kolumnadą Instytutu wyrastał z mroku jak transatlantyk dryfujący we mgle. Nawet ta szkoła z internatem, której patronowała sama imperatorowa i do której uczęszczały córki arystokratów i bogaczy dorabiających się fortuny na dostawach wojennych, nie mogła już wykarmić swoich dziewcząt ani ogrzać swoich pomieszczeń. Trymestr kończył się przed terminem. Braki w zaopatrzeniu dotknęły nawet najbogatszych. Mało kto mógł sobie pozwolić na benzynę do samochodu i konne zaprzęgi znowu stały się modne.

Zimowe ciemności w wojennym Piotrogradzie tchnęły arktycznym smutkiem. Puszysty śnieg tłumił stukot końskich podków i warkot silników, lecz trzaskający mróz wyostrzał zapachy benzyny, końskiego łajna, alkoholu w oddechach drzemających pocztylionów, wody kolońskiej i papierosów palonych przez kierowców w uniformach z żółtymi i czerwonymi wyłogami oraz kwiatowej woni perfum czekających kobiet.

W obitym ciemnoczerwoną skórą wnętrzu kabrioletu Delaunay-Belleville oświetlonym lampą naftową siedziała zamyślona młoda kobieta o trójkątnej twarzy z angielską powieścią na kolanach. Audrey Lewis - Mrs Lewis dla swoich chlebowców i Lala dla swojej ukochanej podopiecznej - marzła. Na kolana naciągnęła baranicę; była w rękawiczkach, w czapce z wilczego futra i grubym płaszczu. Mimo to drżała z zimna. Zignorowała kierowcę, Pantalejmona, kiedy wrócił na swoje siedzenie, wyrzucając papierosa w śnieg. Nie odrywała piwnych oczu od drzwi szkoły.

- Pospiesz się, Saszeńko! - szepnęła do siebie Lala po angielsku. Spojrzała na mosiężny zegar wstawiony w szklaną przegrodę, która oddzielała ją od kierowcy. - Już niedługo!

Macierzyńskie uczucia wezbrały w jej piersi: wyobraziła sobie, jak długonoga Saszeńka biegnie ku niej po śniegu. Niewiele matek odbierało swoje dzieci z Instytutu Smolnego, a ojcowie nie robili tego prawie nigdy. Lala, guwernantka, zawsze przyjeżdżała po Saszeńkę.

Jeszcze kilka minut, moje dziecko, pomyślała; moje cudowne, bystre, poważne dziecko.

Latarnie przeświecające przez delikatny ornament szronu na ciemnych szybach samochodu przypomniały jej rodzinny dom w Pegsdon, wiosce w Hert-fordshire. Od sześciu lat nie widziała Anglii i zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy swoją rodzinę. Ale gdyby tam została, nigdy by nie poznała ukochanej Saszeńki. Sześć lat temu przyjęła posadę w domu barona i baronowej Zeitlin i rozpoczęła nowe życie w rosyjskiej stolicy, wówczas Sankt Petersburgu. Sześć lat temu miała dziewczynka w marynarskim ubranku przywitała ją chłodno, przyjrzała się jej badawczo, a później podała Angielce rękę, jakby wręczała bukiet kwiatów. Nowa guwernantka prawie nie mówiła po rosyjsku, ale przyklękła na jedno kolano i zamknęła małą ciepłą rączkę w swoich dłoniach. Dziewczynka, początkowo z wahaniem, potem z rosnącą ufnością, przytuliła się do niej i wreszcie oparła głowę na ramieniu Lali.

- *Mienia zowut missis Lewis* - powiedziała Angielka kulawą ruszczyzną.

- Witam oczekiwanego gościa, Lala! Mnie nazywają Saszeńka - odparło dziecko okropną angielszczyzną. I tak się zaczęło: Mrs Lewis stała się odtąd Lalą. Pokochały się nawzajem od pierwszego wejrzenia.

- Za dwie piąta - powiedział kierowca przez tubę głosową.

Guwernantka pochyliła się, zdjęła z zaczepu własną tubę głosową i powiedziała do mosiężnej tulei doskonałą ruszczyzną (choć z angielskim akcentem):

- Dziękuję, Pantalejmonie.

- Co tu robią faraonowie? - spytał kierowca. Wszyscy posługiwali się tą zwyczajową nazwą na określenie żandarmerii. Zachichotał. - Może dziewczęta ukrywają pod spódniczkami niemieckie szyfry?

Lala nie zamierzała dyskutować z kierowcą o takich rzeczach.

- Pantalejmonie, chciałabym cię prosić, żebyś wysiadł i wziął od niej kuferek - powiedziała surowo. Ale co tu robią żandarmi? - zastanawiała się.

Dziewczęta zawsze wychodziły punktualnie. *Madame* Buxhoeven, dyrektorka nazywana przez dziewczęta *Grand-maman*, kierowała instytutem jak pruskimi kosza-

rami - ale po francusku. Lala wiedziała, że *Grand-maman* jest ulubienicą cesarzowej wdowy, Marii Fiodorowny, i obecnej cesarzowej Aleksandry.

Oficer kawalerii oraz gromada uczniów i studentów w czapkach i mundurach ze złotymi guzikami przeszli przez bramę, by przywitać się ze swymi ukochanymi. W Rosji wszyscy uczniowie nosili mundury. Kiedy zobaczyli trzech żandarmów, zatrzymali się, po czym ruszyli dalej, oglądając się przez ramię: co robi policja polityczna w szkole z internatem dla dobrze urodzonych panien?

Czekając, by odwieźć córki swoich panów do domu, stangreci w podbitych owczą wełną płaszczach do kostek, czerwonych szarfach i melonikach przytupywali nogami i doglądali koni. Oni też przyglądali się żandarmom.

Piąta. Podwójne drzwi Smolnego otworzyły się, rzucając na schody i dziedziniec przed bramą smugę żółtego światła.

- Ach, już są! - Lala odłożyła książkę.

Na szczycie schodów ukazała się *madame* Buxhoeven w czarnej pelerynie i przetykanej jedwabiem sukni z wysokim białym kołnierzykiem - jak mechaniczna figurka w szwajcarskim zegarze, pomyślała Lala. Wzorzysty gors *madame*, szeroki jak fortecna skarpa, był widoczny nawet z tej odległości - a jej dźwięczny sopran mógłby skruszyć lód na sto kroków. Mimo przejmującego zimna Lala opuściła szybę i wyjrzała, czując narastające podniecenie. Pomyślała o ulubionej herbacie Saszeńki, czekającej na nią w salonie, i o herbatnikach, które kupiła specjalnie w Angielskim Sklepie na Nabrzeżu. Puszka herbatników Huntley & Palmers leżała obok niej na ciemnoczerwonym skórzanym siedzeniu.

Stangreci wspięli się na swoje skrzypiące pojazdy i usiedli na kozłach z batami w dłoni. Pantalejmon włożył czapkę z otokiem i kurtkę ze szkarłatnymi i złotymi wyłogami, przyglądził wypomadowane wąsy i mrugnął do Lali. Dlaczego mężczyźni oczekują, iż zakochamy się w nich tylko dlatego, że potrafią uruchomić samochód? - zastanawiała się Lala, podczas gdy silnik zasapał, prychnął i zaskoczył.

Pantalejmon uśmiechnął się, odsłaniając spróchniałe zęby. Z tuby doleciał jego chrapliwy głos.

- Jest już nasz mały lisek! Za chwilę będę miał w aucie
dwie ślicznotki.

Lala potrząsnęła głową.

- Pospiesz się, Pantalejmonie. Kuferek i walizka, jedno i drugie od Aspreya w Londynie. *Bystro!* Szybko!

To była ostatnia lekcja: szycie dla Cara i Ojczyzny. Saszeńka udawała, że zszywa oliwkowe bryczesy, ale nie mogła się skupić i co chwila kłuła się w kciuk. Zaraz miał zabrzmieć dzwonek, uwalniając ją i inne dziewczęta z tego osiemnastowiecznego więzienia z zimnymi sypialniami, dudniącymi echem refektarzami i alabastrowymi salami balowymi.

Saszeńka postanowiła, że pierwsza dygnie przed nauczycielką - i pierwsza opuści klasę. Zawsze chciała być inna: albo pierwsza, albo ostatnia, ale nigdy pośrodku. Usiadła więc z przodu, najbliższej drzwi.

Czuła, że wyrosła już ze Smolnego. Zaprzętały ją poważniejsze rzeczy niż głupstwa i błahostki, którymi żyły pozostałe uczennice w tym, jak go nazywała, Instytucie dla Dobrze Urodzonych Imbecylek. Rozmawiały wyłącznie o krokach jakichś dziwacznych tańców - *pas d'espagne, pas de patineur, triguonne, chiconne...* o swoich ostatnich listach miłosnych do Miszy lub Nikołaszy z korpusu gwardii, o nowoczesnym kroju sukni balowej i, przede wszystkim, o tym, jak zaprezentować swój dekolt. Dziewczęta dyskutowały bez końca z Saszeńką po zgaszeniu świateł, ponieważ miała najpełniejsze piersi w klasie. Mówiły, że bardzo jej zazdroszczą! Płytkość ich zainteresowań nie tylko ją przerażała, lecz wprawiała również w zakłopotanie, ponieważ, w przeciwieństwie do innych, nie chciała się popisywać swoim biustem.

Saszeńka miała szesnaście lat i powtarzała sobie, że nie jest już małą dziewczynką. Nienawidziła swojego szkolnego mundurka: w prostej białej sukience z bawełny i muślinu z idiotycznym fartuszkiem i nakrochmalonym, wykładanym kołnierzykiem wyglądała młodo i niewinnie. Teraz była kobietą, kobietą z misją do wypełnienia. Ale na przekór swoim tajemnicom, nic nie mogła na to poradzić, że wyobrażała sobie, jak ukochana Lala czeka na nią w kabriolecie ojca z angielskimi herbatnikami na tylnym siedzeniu.

Z tych snów na jawie zbudziło Saszeńkę donośne klaskanie *maman* Sokołowej (do wszystkich nauczycielek musiały się zwracać *maman*). Niska i ociężała, z kędzierzawymi włosami i głębokim głosem, *maman* grzmiała:

- Panienci, czas kończyć szycie! Mam nadzieję, że dobrze się starałyście dla naszych dzielnych żołnierzy, którzy poświęcają życie dla Ojczyzny i Jego Cesarskiej Mości!

Tego dnia szycie dla Cara i Ojczyzny sprowadzało się do wszywania zamków błyskawicznych - nowomodnej fanaberii - do spodni dla powoływanych do wojska

rosyjskich chłopów, którzy ginęli tysiącami pod komendą Mikołaja II. To zadanie wywoływało wśród dziewcząt wiele zduszonych chichotów.

- Bardzo uważajcie - ostrzegła *maman* Sokołowa - przy tej delikatnej pracy. Źle wszyty suwak może być dodatkowym zagrożeniem dla już i tak wystawionego na niebezpieczeństwo rosyjskiego żołnierza.

- Czy tam właśnie trzyma swój karabin? - szepnęła Saszeńka do siedzącej obok koleżanki. Inne dziewczęta usłyszały to i roześmiały się. Żadna nie szyla szczególnie starannie.

Dzień zdawał się nie mieć końca: ołowiane godziny ciągnęły się od śniadania w głównej sali - i obowiązkowego dygnięcia przed ogromnym portretem matki imperatora, cesarzowej wdowy Marii Fiodorowny o świdrujących oczach i nadąsanych ustach.

Kiedy wszystkie spodnie ze źle wszytymi suwakami zostały zebrane, *maman* Sokołowa znowu klasnęła w dłonie.

- Minuta do dzwonka. Zanim wyjdziecie, *mes enfants*, chcę zobaczyć najlepsze dygnięcie w całym trymestrze! A dobre dygnięcie to...

- NISKIE dygnięcie! - zawołały dziewczęta ze śmiechem.

- O, tak, moje panny. Co się tyczy dygnięcia, *mes enfants*, NISKIE jest dla DOBRZE URODZONYCH PANIEN. Przekonacie się, że im wyższe miejsce zajmuje dama w tabeli rang nadanej nam przez pierwszego imperatora, Piotra Wielkiego, tym NIŻEJ dyga, kiedy jest przedstawiana Ich Cesarskim Mościom. Dotyka podłogi! - Kiedy *maman* Sokołowa mówiła „niskie”, jej głos nabierał jeszcze większej głębi. - Ekspedientki wykonują małe dygnięcie *comme ca* - i ugięła lekko nogi, na co Saszeńka spojrzała na koleżanki i spróbowała ukryć uśmiech - ale DAMY DYGAJĄ NISKO! Dotykają ziemi kolanami, dziewczęta, *comme ca* - i *maman* Sokołowa dygnęła ze zdumiewającą energią, tak nisko, że jej skrzyżowane kolana niemal dotknęły drewnianego parkietu. - Która pierwsza?

- Ja! - Saszeńka już stała, trzymając swój tornister z cielęcej skóry i płócienny worek na książki. Tak bardzo chciała wyjść, że wykonała najniższe i najbardziej arystokratyczne dygnięcie, jakie jej się kiedykolwiek udało, niższe nawet niż przed cesarżową wdową w dniu świętej Katarzyny.

- *Merci, maman!* - powiedziała. Za sobą usłyszała zdumione szepty dziewcząt, ponieważ zwykle była klasowym buntownikiem. Ale już o to nie dbała. Od lata. Lato zmieniło wszystko.

Rozległ się dzwonek, a Saszeńka już była na korytarzu. Popatrzyła na jego wysoki sufit, lśniący parkiet i żyrandole błyszczące elektrycznym światłem. Była zupełnie sama.

Tornister - z wygrawerowanym w złocie jej pełnym nazwiskiem, baronówna Aleksandra Zeitlin - założyła na plecy, ale swój najcenniejszy skarb, brzydki płócienny worek z książkami, przyciskała do piersi. Były tam cenne tomy realistycznych powieści Zoli, smutna poezja Niekrasowa i buntownicze wiersze Majakowskiego.

Zacząła biec korytarzem w stronę *Grand-maman*, której sylwetka rysowała się w świetle reflektorów limuzyn na tle zastępu guwernantek i stangretów, czekających, by zabrać ze Smolnego Dobrze Urodzone Panny. Ale było już za późno. Drzwi sal otworzyły się i na korytarz wybiegły roześmiane dziewczęta w białych sukienkach z koronkowymi fartuszkami, białych pończochach i białych pantofelkach. Jak lawina puszystego śniegu sunęły korytarzem w stronę szatni. Spieszący z naprzeciwka stangreci, z długimi brodami białymi od szronu, szli ciężkim krokiem, by zabrać kuferki dziewcząt. Wyróżniał się spośród nich Pantalejmon w nowym, połyskującym czerwieniu i złotym mundurze i w czapce z daszkiem, wpatrujący się w Saszeńkę jak w transie.

- Pantalejmon!

- Och, *mademoiselle* Zeitlin! - Otrząsnął się i poczerwieniał.

Co mogło tak speszyć pogromcę serc niewieścich z pomieszczeń dla służby? - pomyślała, uśmiechając się do niego.

- Tak, to ja. Mój kuferek i walizka są w Sypialni 12, przy oknie. Poczekaj chwilę - czy to nowy mundur?

- Tak, *mademoiselle*.

- Kto go projektował?

- Twoja matka, baronowa Zeitlin - zawołał do niej ze schodów prowadzących do sypialni.

Na co patrzył, zadawała sobie pytanie Saszeńka: na jej straszny biust czy zbyt szerokie usta? Ruszyła niepewnie w stronę szatni. Ostatecznie, co znaczy wygląd zewnętrzny? Pusty świat dorastających dziewcząt! Wygląd jest niczym w porównaniu z historią, sztuką, postępem i przeznaczeniem. Uśmiechnęła się do siebie, myśląc, iż krzykliwy mundur Pantalejmona świadczy ponad wszelką wątpliwość, że Zeitlinowie są nuworyszami.

Saszeńka pierwsza znalazła się w szatni. W pomieszczeniu wypełnionym jedwabistymi futrami, brązowymi, złotymi i białymi, płaszczami, czapkami i etolami z lisów i norek unosił się zapach syberyjskich lasów. Włożyła futrzany płaszcz, owinęła szyję etolą z białego lisa, a głowę białą orenburską chustką i właśnie zmierzała do drzwi, gdy do szatni wpadły pozostałe dziewczęta, rozpromienione i uśmiechnięte. Zrzuciły

miękkie pantofle, włożyły botki i kalosze, rozpięły skórzane tornistry i okutały się futrzanymi płaszczami, trajkocząc przez cały czas.

- Kapitan von Pahlen wrócił z frontu. Składa wizytę mamie i tacie, ale wiem, że przychodzi zobaczyć się ze mną - mówiła mała hrabianka Jelena; jej koleżanki słuchały z szeroko otwartymi oczami. - Napisał do mnie list.

Saszeńka już wychodziła, kiedy usłyszała, jak woła ją kilka dziewcząt. Dokąd idzie, gdzie jej tak spieszo, nie mogłaby na nie poczekać, co będzie robić później? Jeśli będziesz czytać, czy możemy poczytać z tobą wiersze? Zgódź się, Saszeńka!

Tłum dziewcząt napierał, przepychał się przez drzwi. Jedna z nich besztła spoczonego starego stangreta, który, niosąc kufer, nadepnął jej na nogę. Mimo mrozu na zewnątrz w zatłoczonym korytarzu było bardzo gorąco. Ale nawet tutaj Saszeńka czuła się całkowicie odseparowana, otoczona niewidzialną barierą, której nikt nie mógł przekroczyć, gdy zarzucała na ramię płócienny worek, szorstki w porównaniu z przytulną miękkością futrzanego płaszcza. Wydawało się jej, że czuje w środku inne książki - antologie Błoka i Balmonta, Anatole'a France'a i Victora Hugo.

- *Mademoiselle Zeitlin!* Miłych ferii! - powiedziała uprzejmie *Grand-maman* stojąca w przejściu. Saszeńka zdołała podziękować i dygnąć (choć nie tak nisko, by zaimponować *maman* Sokołowej). Wreszcie znalazła się na zewnątrz.

Mroźne powietrze orzeźwiło ją, czuła je w płucach, a padający z ukosa śnieg szczypał ją w policzki. Lampy samochodów i powozów tworzyły teatr światła wznoszący się na kilka metrów. Wyżej rozpościerało się czarne, bezkresne niebo Piotrogradu, upstrzone punkcikami bieli.

- Kabriolet jest tam! - pokazał Pantalejmon, niosąc kufer podróżny na ramieniu, a walizę z krokodylej skóry w rękę. Saszeńka przeciskała się przez tłum w stronę samochodu. Wiedziała, że cokolwiek się zdarzy - wojna, rewolucja czy apokalipsa - jej Lala będzie na nią czekała z herbatnikami Huntley & Palmers, a może nawet z angielskim ciastem imbirowym. I niebawem zobaczy również tatę.

Kiedy lokaj upuścił bagaże, przeskoczyła przez nie. A gdy drogę zablokował ogromny rolls-royce z wielkksiążęcym herbem na drzwiach, Saszeńka po prostu otworzyła drzwi, wskoczyła do środka i wysiadła z drugiej strony.

Silniki parskały i postękiwały, klaksony trąbiły, konie rżały i stukały podkawkami, służący uginali się pod piramidami kufrów i walizek, a miotający przekleństwa stangreci i kierowcy próbowali utorować sobie drogę wśród pojazdów, pieszych i zasp brudnego śniegu. Wyglądało to tak, jakby armia rozbijała obóz, lecz była to armia dowodzona przez generałów w białych fartuszkach, szynszylowych etolach i futrach z norek.

- Saszeńka! Tutaj! - Lala stała na stopniu samochodu, machając zawzięcie.

- Lala! Wracam do domu! Jestem wolna! - Saszeńka zapomniała na chwilę, że jest poważną kobietą z życiową misją do spełnienia i nie ma czasu na błahostki i sentymentalizm. Rzuciła się w ramiona Lali, a potem do samochodu, wdychając kojący aromat wyprawionej skóry i kwiatowych perfum Angielki.

- Gdzie są herbatniki?

- Na siedzeniu, kochanie! Udało ci się przetrwać trymestr! - powiedziała Lala, przytulając ją mocno. - Ależ wyrosłaś! Nie mogę się doczekać, żeby zabrać cię do domu. W małym salonie wszystko jest przygotowane: racuszki, ciasto imbirowe i herbata. A na razie możesz się poczęstować herbatnikami.

Ale kiedy uwolniła Saszeńkę z uścisku, na jej twarz padł cień.

- Aleksandra Samojłowna Zeitlin? - Przy drzwiach samochodu stali żandarmi.

- Tak - odparła Saszeńka. Nagle poczuła, że kręci jej się w głowie.

- Proszę z nami - powiedział jeden z żandarmów. Stał tak blisko, że widziała pory na jego pobrużdżonej skórze i każdy włos jego rudych wąsów.

- Natychmiast!

3

- Aresztujecie mnie? - spytała Saszeńka spokojnie, spoglądając na boki.

- To my zadajemy pytania, panienko - warknął drugi żandarm, który miał kwaśny oddech i bródkę *à la* Poincaré.

- Poczekajcie! - poprosiła Lala. - To jeszcze dziecko. Czego od niej chcecie? To z pewnością jakaś pomyłka!

Ale oni już prowadzili Saszeńkę do otwartych sań, stojących po drugiej stronie ulicy.

- Proszę zapytać ją, jeśli chce pani wiedzieć - zawołał przez ramię żandarm, trzymając mocno Saszeńkę. - No dalej, powiedz jej, ty mała głupia dziwko. Przecież wiesz, dlaczego.

- Nie wiem, Lalu! Tak mi przykro! Powiedz tacie! - krzyknęła Saszeńka, zanim wepchnęli ją na tył sań.

Woźnica, również w mundurze, strzelił z bicza. Żandarmi wsiedli za nią do sań.

Kiedy znikli guwernantce z oczu, Saszeńka zwróciła się do żandarma z bródką.
- Co tak późno? - spytała. - Spodziewałam się was już od dawna.

Przygotowywała tę kwestię na nieuchronny moment aresztowania, ale ku jej irytacji policjanci chyba nie usłyszeli.

Serce biło jej mocno, kiedy sanie sunęły bezgłośnie po śniegu tuż obok Pałacu Taurydzkiego, w stronę centrum miasta. Zimowe ulice były ciche, przysypane śniegiem. Wciśnięta pomiędzy wywatowane ramiona dwóch żandarmów, siedziała nieruchomo. Prospekt Newski, którym teraz jechali, był zatłoczony saniami i końmi, nieliczne samochody i tramwaje wlokły się środkiem jezdni. Gazowe latarnie uliczne, zimą zapalone w dzień i w nocy, jarzyły się jak różowe aureole w padającym śniegu. Popatrzyła na boki: chciała, żeby zobaczył ją ktoś znajomy! Z pewnością jakieś przyjaciółki jej matki zauważą ją, wychodząc ze sklepów w arkadach Gostinego Dworu, pasażu kupieckiego z jego ujmującym rosyjskim rozgardiaszem - z ikonami, wypchanymi niedźwiedziami i samowarami.

Patrzyła na przesuwane się obok mrugające latarnie i światła w szerokich fasadach ministerstw, brunatno-żółtych pałaców i połyskujących sklepów miasta cara Piotra. Oto pasaż z ulubionymi sklepami jej matki: Sklep Angielski z mydełkami Pearsa i tweedowymi zakietami, magazyn Druce'a z angielskimi meblami, Brocarda z francuskimi perfumami. Płatki śniegu wirowały na lekkim wietrze, a Saszeńka spróbowała wziąć się w garść. Powiedziała sobie, że jest zdenerwowana, ale nie boi się. Przyszła na świat, żeby przeżyć tę przygodę: to było jej powołanie.

Dokąd mnie zabierają? - zastanawiała się. Do Departamentu Policji na Fontance? Ale sanie skręciły w Sadową, mijając posępny Zamek Inżynieryjny, gdzie spiskowcy zamordowali szalonego cara Pawła. Teraz już wiedziała, dokąd jedzie: z mroku wylaniała się Twierdza Pietropawłowska. Czy zostanie pogrzebana za życia w Bastionie Trubieckim? Sanie skręciły w prawo, potem w lewo i wjechali na most Litiejny.

Rzeka spowita była w ciemności rozpraszaną tylko światłem lamp zawieszonych na moście i latarni na nabrzeżu. Kiedy przejeżdżali przez most, Saszeńka pochyliła się do przodu, aby popatrzeć na swój ukochany Piotrogród wybudowany przez Piotra Wielkiego: Pałac Zimowy, Admiralicję, pałac księcia Mienszykowa i stojącego gdzieś w mroku Miedzianego Jeźdźca.

Kocham cię, Pitrze, pomyślała (rodowici mieszkańcy zawsze nazywali miasto Pitrem), i może już nigdy więcej cię nie zobaczę! Żegnaj, rodzinne miasto, żegnaj, tato, żegnaj, Lалу!

Zacytowała jednego z bohaterów Ibsena: wszystko albo nic! To było jej motto - i zawsze będzie.

I oto byli na miejscu: w ciemnościach zamajaczyły posepne ceglane mury więzienia Kriesty. Przez chwilę ogromne mury górowały nad maleńkimi saniami, po czym brama otworzyła się, a później zatrzasnęła.

Nie tyle budynek, ile grobowiec.

4

Delaunay-belleville z Pantalejmonem za kierownicą przemknął Prospektem Suworowskim i Newskim i zatrzymał się przed gotycką fasadą z fińskiego granitu i ochry przy ulicy Bolszaja Morskaja. Zapłakana Lala otworzyła frontowe drzwi do sieni z posadzką ułożoną w szachownicę, niemal wpadając na trzy kobiety, które z sukniami przywiązanymi do rąk i kolan na czworakach polerowały kamień.

- Hej, buty! - zagrzmiała pokojówka Luda.

Buty Lali pozostawiały brudne ślady na lśniącej posadzce, ale Angielka nie dbała o to.

- Baron w domu? - spytała. Jedna z dziewcząt skinęła ponuro głową. - A baronowa?

Dziewczyna spojrzała na schody i przewróciła oczami - a Lala, starając się nie pośliznąć na mokrym kamieniu, podbiegła do drzwi gabinetu. Były otwarte.

Ze środka dobiegał mechaniczny odgłos, przypominający stukot lokomotywy.

Delfina, stara i zgryźliwa francuska kucharka, ustalała jadłospis. Normalnie takimi sprawami zajmowała się pani domu - ale nie w tej niespokojnej rodzinie, jak zdążyła się o tym przekonać Lala. Delfina, o cerze koloru woskowej świecy, chuda jak kij od szczotki w swoim brązowym fartuchu, miała długi nos, na końcu którego wiecznie zbierała się kapka, zwisając złowieszczo nad talerzami. Lala pamiętała, że Saszeńka była nią zafascynowana. Co będzie, jeśli wpadnie do barszczu? - pytała, a w jej szarych oczach zapalały się iskierki.

- Oni panu nie pomogą, *mon baron* - mówiła kucharka. - Porozmawiam z nimi, jeśli pan chce, wybadam ich.

- Dziękuję ci, Delfino - odparł baron Zeitlin. - Proszę wejść, *missis* Lewis! Kucharka wyprostowała się jak brzoza i przeszła dumnie obok niani, nawet na nią nie spojrzawszy.

W gabinecie barona Lala nawet przez łyżę czuła zapach skóry i cygar. Ciemny, wykładany orzechem pokój był zagracony i oświetlony elektrycznymi lampami w zie-

lonych abażurach. Portrety zwisające na łańcuchach z sufitu spoglądały na rzeźbione popiersia, małe figurki we frakach i cylindrach oraz fotografie imperatora i wielkich książąt z ich autografami. Na rypсовym stoliku do kart kościane wachlarze, wielbłądy i słonie mieszały się z owalnymi kameami.

Baron Samuel Zeitlin, z lekko zaczerwienionymi policzkami i cygarem sterczącym między zębami, siedział w dziwnym urządzeniu, które drżało rytmicznie jak cwałujący koń, kiedy manipulował jego stalowymi ramionami, opierając dłonie na drewnianych uchwytach. To Specjalne Krzesło miało ułatwiać baronowi wypróżnienie po posiłkach.

- O co chodzi, *missis* Lewis? Co się stało?

Starając się powstrzymać łzy, powiedziała mu o wszystkim. Baron zeskoczył z krzesła. Lala zauważyła, że ręce lekko mu drżały, kiedy ponownie zapalał cygaro, nie wyjmując go z ust. Wypytywał ją o wszystkie szczegóły. Zeitlin sam decydował, kiedy ich rozmowy mają być ciepłe, a kiedy chłodne. Nie po raz pierwszy Lala współczuła dzieciom ludzi z wyższych sfer, którzy nie potrafią kochać tak jak wszyscy.

Potem, biorąc głęboki oddech, popatrzyła na swojego pracodawcę, na przenikliwe oczy tego szczupłego, przystojnego mężczyzny z wąsami i brodą w stylu Edwarda VII, i uświadomiła sobie, że jeśli ktoś może sprowadzić Saszeńkę do domu, to z pewnością baron.

- Proszę przestać płakać, *missis* Lewis - powiedział baron Zeitlin, właściciel Angielsko-Rosyjskiego Banku Naftowego w Baku i Piotrogradzie, wręczając jej jedwabną chusteczkę. Spokój w momentach kryzysu był nie tylko życiową koniecznością i oznaką cywilizacji, lecz sztuką, niemal religią. - Płacz nie pomoże. Proszę usiąść. Proszę się opanować.

Lala odetchnęła głęboko, poprawiła włosy i wygładziła suknię. Usiadła, trzymając ręce razem i najwyraźniej próbując się uspokoić.

- Czy wspominała pani o tym komuś z domowników?

- Nie - odparła Lala, której trójkątna twarz wydawała się Zeitlinowi nieodparcie pociągająca, kiedy zdobiły ją krystaliczne łzy. Tylko jej wysoki głos nie pasował do obrazu. - Ale Pantalejmon wie.

Zeitlin okrążył biurko i pociągnął za aksamitny sznur dzwonka. Zjawiła się pokojówka, szybko konoga chłopska dziewczyna z zadartym nosem, który zdradzał, że pochodziła z majątku Zeitlinów na Ukrainie.

- Luda, poproś Pantalejmona, żeby oczyścił silnik pierce-arrowa w garażu

- powiedział Zeitlin.

- Słucham, jaśnie panie - odparła pokojówka, zginając się lekko w pasie: chłopci z prawdziwej wsi nadal kłaniają się swoim panom, pomyślał Zeitlin, ale ci z miast robią sobie z tego żarty.

Kiedy Luda zamknęła drzwi gabinetu, Zeitlin usiadł na swoim fotelu z wysokim oparciem, sięgnął po zielone pudełko ze złotym monogramem i z roztargnieniem wyjął cygaro. Głaszcząc zwinięte liście, zdjął banderolkę i powąchał je, przesuając pod nosem tak, by dotykało jego ust. Potem wziął srebrny obcinacz i odciął koniuszek. Powoli i zmysłowo ujął cygaro palcem i kciukiem, obracając je w dłoni jak kapelmistrz batutę. W końcu włożył je do ust i podniósł srebrną zapalniczkę w kształcie karabinu (prezent od ministra wojny, dla którego produkował drewniane kolby do karabinów dla rosyjskich piechurów). Rozszedł się zapach nafty.

- *Calme-toi, missis Lewis* - powiedział Lali. - Wszystko będzie dobrze. Wystarczy kilka telefonów i wróci do domu.

Ale pod tą maską pewności siebie Zeitlinowi łomotało serce: jego jedyne dziecko, jego Saszeńka, znalazła się w więziennej celi. Myśl, że jakiś policjant lub, co gorsza, przestępca, morderca, mógłby jej dotknąć, wywołała w jego piersi palący ból zmieszany ze wstydem i poczuciem winy - ale szybko się z tego otrząsnął. Aresztowanie było albo pomyłką, albo owocem intrygi jakiegoś zawistnego kontrahenta - zdrowy rozsądek, niezrównane koneksje i pieniądze powinny to naprawić. Radził już sobie z większymi wyzwaniem niż zwolnienie z więzienia niewinnej uczennicy: jego awans z prowincji do obecnej pozycji w Pio-trogradzie, jego miejsce w tabeli rang, jego rosnąca fortuna, nawet obecność Saszeńki w Instytucie Smolnym - wszystko to było świadectwem jego zimnej kalkulacji i starannych przygotowań, szczęścia i umiejętności korzystania z okazji.

- *Missis Lewis*, czy wie pani coś jeszcze o aresztowaniu? - spytał nieco bojaźliwie. Pod tyłoma względami potężny, we własnym domu czuł się bezbronny. - Czy wie pani coś, co mogłoby pomóc Saszeńce...

Lala spojrzała mu w oczy przez szary dym.

- Może powinien pan zapytać jej wuja?

- Mendla? Ale on jest na zesłaniu, prawda?

- Całkiem możliwe.

Wychwycił ostrzejszy ton w jej głosie zawsze brzmiącym tak, jakby śpiewała kołysankę dziecku, jego dziecku, i rozpoznał spojrzenie, które powiedziało mu, że nie wie prawie nic o własnej córce.

- Przed swoim aresztowaniem - ciągnęła Lala - powiedział mi, że ten dom nie jest już dla niego bezpieczny.

- Nie jest już bezpieczny... - wymamrotał Zeitlin. Chodziło jej o to, że jego dom obserwowana tajna policja. - A więc Mendel uciekł z Syberii? I Saszeńka była z nim w kontakcie? Ten drań Mendel! Dlaczego nikt mi o niczym nie mówił?

Mendel, brat jego żony, wuj Saszeńki, został niedawno aresztowany i skazany na pięć lat zesłania za działalność wywrotową. Ale teraz uciekł i w jakiś sposób porozumiał się z Saszeńką.

Lala wstała, potrząsając głową.

- Panie baronie, wiem, że to nie moja sprawa... - Wyglądziła swoją kwiecistą suknię, co podkreśliło jedynie jej krągłości. Zeitlin patrzył na nią, bawiąc się sznurem jadeitowych paciorków stanowiących jedyny nierosyjski akcent w całym zdecydowanie rosyjskim gabinecie.

Nagle z sieni dobiegły ich jakieś odgłosy.

- *Szalom alejchem!* - zagrzemiał barczysty, brodaty mężczyzna w sobolowym futrze, karakułowej czapce i wysokich kawaleryjskich butach. - Nie pytajcie mnie o zeszłą noc! Straciłem ostatnią kopiejkę - ale kto by liczył?

Drzwi do sanktuarium barona otworzyły się i gabinet wypełnił otaczający Gideona Zeitlina zapach wody kolońskiej, wódki i zwierzęcego potu. Baron skrzywił się, wiedząc, że jego brat pojawia się w domu tylko wtedy, gdy musi uzupełnić swoje fundusze.

- Dziewczyna, z którą spędziłem ostatnią noc, kosztowała mnie majątek - powiedział Gideon. - Najpierw karty. Potem kolacja u Donana. Koniak w Europie. Cyganie w Niedźwiedziu. Ale warto było! To raj na ziemi, co? Najmocniej przepraszam, *missis* Lewis! - Skłonił się teatralnie, jego wielkie czarne oczy błyszczały spod czarnych krzaczastych brwi. - Ale co jeszcze jest w życiu poza świeżymi ustami i gładką skórą? Do diabła z jutrem! Czuję się wspaniale!

Gideon Zeitlin dotknął szyi Mrs Lewis, która aż podskoczyła, kiedy wciągał nosem zapach jej starannie upiętych włosów.

- Cudowne! - mruknął, okrążając biurko, żeby ucałować starszego brata, dwa razy w policzki i raz w usta. ,

Rzucił mokre futro w kąt, gdzie osiadło jak żywe zwierzę, i rozsiadł się na otomanie.

- Gideonie, Saszeńka ma kłopoty... - zaczął niepewnie Zeitlin.

- Słyszałem, Samojo. Ci idiooci! - zaryczał Gideon, który składał wszystkie błędy ludzkości na spiszek kretynów, obejmujący praktycznie wszystkich oprócz niego.

- Byłem w redakcji i dostałem wiadomość ze źródła. Nie odespałem jeszcze ostatniej

nocy. Ale cieszę się, że mamasa tego nie dożyła. Dobrze się czujesz, Samojło? Jak twoje serce? Jak twoja niestrawność? Płuca? Pokażesz mi swój język?

- Jakoś się trzymam - odparł Zeitlin. - Pokaż mi swój.

Chociaż bracia bardzo się różnili wyglądem i charakterem, młodszy - dziennikarz bez grosza przy duszy - i starszy - bogaty przedsiębiorca dzielili bardzo żydowskie przekonanie, że przez cały czas znajdują się o krok od śmierci z powodu dusznicy bolesnej, słabych płuc ze skłonnością do suchot, niestrawności i wrzodów żołądka, zastrzanych przez newralgię, zatwardzenia i hemoroidy. Najlepsi lekarze piotrogrodzcy rywalizowali ze specjalistami z Berlina, Londynu i kurortów w Biarritz, Bad Ems i Karlsbadzie o prawo do leczenia takich hipochondryków, których ciała były żywymi kopalniami złota dla świata medycznego.

- Mogę umrzeć w każdej chwili, prawdopodobnie kochając się znowu z córką generała, ale co tam! Nie dbam o piekło, Księgę Życia i wszystkie te żydowskie banialuki! Jest tylko tu i teraz! Nie ma nic później! Wódz naczelny i sztab generalny (Gideon miał na myśli swoją wyrozumiałą żonę Wierę i dwie córki) przeklinają mnie. Właśnie mnie! No cóż, ja po prostu nie mogę się oprzeć. Długo o nic nie poproszę, nawet przez lata! Moje długie karciane... - Szepnął coś bratu do ucha. - Daj mi teraz mój prezent na bar micwę, Samojło: daj mi *mazumę* i ruszam na swoją tułaczkę!

- Dokąd? - Kluczem zawieszonym na łańcuszku od złotego zegarka Zeitlin otworzył drewniane pudełko na biurku i wyjął dwieście rubli, całkiem sporą sumę.

Baron Zeitlin mówił po rosyjsku jak nadworny szambelan, bez żydowskiego akcentu, i podejrzewał, że Gideon wtrąca do swoich wypowiedzi zwroty hebrajskie i w jidysz, żeby droczyć się, przypominać mu, skąd się wywodzą. Miał wrażenie, że za Gideonem nadal ciągnie się zapach ojcowskiego podwórza w strefie osiedlenia, gdzie musieli mieszkać Żydzi w imperium carskim.

Gideon wziął pieniądze i rozłożył je w wachlarz.

- To dla mnie. A teraz potrzebuję drugie tyle, żeby dać w łapę kilku idiootom. Zeitlin, który rzadko odmawiał Gideonowi, ponieważ czuł się winny z powodu jego życiowego niedołęstwa, znowu otworzył małe pudełko.

- Kupię jakieś ciasto owocowe w Angielskim Sklepie, dowiem się, gdzie jest Sazeńka, dam trochę twojej nędznej *mazumy* policjantom i gryzipiórkom i wydostanę ją, jeśli zdołam. Zadzwoń do gazety, gdybyś mnie potrzebował. *Missis Lewis!* - Gideon złożył jeszcze jeden zuchwały ukłon i wyszedł, zatraskując za sobą drzwi.

Kilka sekund później znowu się otworzyły.

- Wiesz, że Mendel się tu kręci? Uciekł z zesłania! Jeśli spotkam tego szmonda-ka, palnę go tak, że wyląduje na kolanach Lenina. Ci bolszewicy to idiooci!

Drzwi zatrzasnęły się po raz drugi.

Zeitlin na kilka sekund ukrył twarz w dłoniach, zapominając o obecności Lali. Potem z głębokim westchnieniem sięgnął do nowo zainstalowanego telefonu, skórzanego pudełka z zawieszoną z boku słuchawką. Postukał w nie trzy razy i powiedział do mikrofonu:

- Halo, centrala? Proszę mnie połączyć z ministrem spraw wewnętrznych Protopopowem! Piotrogród 234. Tak, teraz!

Czekając na połączenie, ponownie zapalił cygaro.

- Czy baronowa jest w domu? - spytał. Lala skinęła głową. - A staruszkowie, wędrowny cyrk? - Nazywał tak swoich teściów, którzy mieszkali nad garażem. Lala ponownie skinęła głową. - Proszę zostawić baronową mnie. Dziękuję, *missis* Lewis.

Kiedy Lala zamykała drzwi, powiedział, jakby do siebie:

- Co, na wszystkie świętości, zrobiła Saszeńka? - Potem głos mu się zmienił. - Halo, panie ministrze, tu Zeitlin. Doszedł pan do siebie po przegranej w pokera? Dzwonię w delikatnej sprawie rodzinnej. Pamięta pan moją córkę? Tak, właśnie ją. No cóż...

5

W tymczasowym domu zatrzymań w obrębie ceglanych murów więzienia Kriesty Saszeńka czekała, wciąż mając na sobie sobolowe futro i etolę z białych polarnych lisów. Jej sukienka i fartuszek były już poznaczone tłustymi śladami palców i czarnym pyłem. Pozostawiono ją w pomieszczeniu z cementową podłogą i poszczerbionymi drewnianymi ścianami.

Od drzwi do ławek, a stamtąd do kontuaru z płytkimi wgłębieniami w miejscach, gdzie więźniowie opierali łokcie, kiedy ich rejestrowano, wiodła wydeptana ścieżka. Wszystko dookoła nosiło ślady tysięcy ludzi, którzy tędy przeszli. prostytutki, włamywacze, mordercy, rewolucjoniści czekali razem z Saszeńką. Fascynowały ją kobiety: najbliższa, gruba jak mors, w wojskowym płaszczu przykrywającym coś, co wyglądało jak spódniczka baletnicy, cuchnęła spirytusem.

- Czego chcesz, ścierwo? - warknęła. - Na co się gapisz?

Saszeńka, porażona, przestraszyła się nagle, że to monstrum ją uderzy. Ale kobieta pochyliła się tylko, zbliżając swą odrażającą, ogorzałą twarz.

- Jestem wykształconą kobietą, nie jakąś ulicznicą, chociaż na taką wyglądam. To ten drań mi to zrobił, bił mnie i... - Wywołano jej nazwisko, ale ona wciąż mówiła,

dopóki żandarm nie wyszedł z kontuaru i nie wyprowadził jej z pomieszczenia. Kiedy metalowe drzwi zatrzaszkiwały się za nią, nadal krzyczała. - Wy ścierwa, jestem wykształconą kobietą, to ten drań mnie tak urządził...

W korytarzach aresztu panował ożywiony ruch: mężczyzn i kobiety odprawiano do cel, zabierano na przesłuchania, wyprawiano w długą drogę na syberyjskie zesłanie. Jedni płakali, inni spali; był to cały obraz ludzkiej egzystencji. Żandarm za kontuarem przyglądał się jej jakby była pawiem w chlewie.

Saszeńka wyjęła z worka na książki swoje tomiki poezji. Udając, że czyta, przerzucała stronicę. Kiedy znalazła kawałek papierosowej bibułki pokryty drobnym piśmem, rozejrzała się, uśmiechnęła do policjanta, który na nią patrzył, a potem, zgodnie z tym, czego uczył ją wuj Mendel, włożyła bibułkę do ust. Papier nie smakował najgorzej i był łatwy do przełknięcia. Zanim nadeszła jej kolej, żeby zarejestrować się przy kontuarze, zjadła wszystkie obciążające zapiski. Poprosiła o szklanekę wody.

- Chyba żartujesz - odparł policjant, który zanotował jej nazwisko, wiek i narodowość, ale nie chciał wyjawiać, jakie są przeciwko niej zarzuty. - To nie hotel Europa, panienko.

Podniosła na niego szare oczy.

- Proszę - wyszeptła.

Policjant, śmiejąc się ochryple, postawił z hukiem na kontuarze wyszczerbiony kubek wody.

Kiedy piła, jeden z żandarmów wywołał jej nazwisko. Inny, z pękiem kluczy, otworzył wzmocnione stalowe drzwi i Saszeńka weszła do następnego kręgu Kriestów. Wprowadzono ją do małego pokoju i kazano się rozebrać, po czym zrewidowała ją rosła strażniczka w brudnym białym fartuchu. Jeszcze nikt z wyjątkiem ukochanej Lali nie widział jej nagiej (guwernantka kąpała ją co wieczór), ale Saszeńka powiedziała sobie, że to bez znaczenia. Nic nie miało znaczenia oprócz jej sprawy, jej świętego Graala, i tego, że wreszcie znalazła się w miejscu, w którym powinien się znaleźć każdy przyzwoity człowiek.

Strażniczka zabrała jej futro, etolę i worek z książkami. Saszeńka musiała coś podpisać i dostała w zamian kwit.

Potem ją sfotografowano. Czekala w długiej kolejce kobiet, które nieustannie się drapały. W powietrzu unosił się odór potu, uryny i krwi menstruacyjnej. Fotograf, starszy mężczyzna w brązowym garniturze i krawacie, bez zębów i z oczami jak otwory w pustej dyni, ustawił ją przed statywem podtrzymującym ogromny aparat, który przypominał akordeon. Zniknął pod płachtą, po czym rozległ się jego stłumiony głos:

- Dobrze, twarzą do mnie. Stanać prosto. Spojrzeć w lewo, spojrzeć w prawo. Dziewczyna ze Smolnego, co, córka bogatego tatusia? Nie będziesz tu długo. Byłem

jednym z pierwszych fotografów w Pitrze. Robię także portrety rodzinne, jeśli chcesz wspomnieć o mnie swojemu tatusiowi... Gotowe!

Saszeńka uświadomiła sobie, że teraz jej aresztowanie zostanie odnotowane na zawsze - i uśmiechnęła się szeroko, co ośmieliło fotografa i wywołało nowy potok słów.

- Uśmiech! Co za miła odmiana! Większość zwierząt, które tu trafiają, nie dba o to, jak wyglądają - ale ty będziesz wyglądać cudownie. Obiecuję.

Strażnik o żółtawej skórze, niewiele starszy od Saszeńki, poprowadził ją w stronę zbiorczej celi. Już miała wejść, kiedy wyłonił się znikąd urzędnik w szarym mundurze.

- W porządku, chłopcze. Ja się tym zajmę.

Wyglądało na to, że ten goguś z kilkoma paskami na pagonach tutaj rządzi. Saszeńka doznała zawodu: chciała być traktowana zwyczajnie, jak wszyscy tutaj. A mimo to poczuła ulgę, kiedy ujął ją delikatnie za rękę. Zimne, kamienne wnętrze więzienia rozbrzmiewało zwielokrotnionym echem krzyków, jęków, szczęku kluczy, trzaskania drzwiami i przekręcania zamków.

Ktoś krzyczał:

- Pieprzę was, pieprzę cara, wszyscy jesteście niemieckimi szpiegami! Ale dowódca straży więziennej, w bluzie i butach z cholewami, nie zwracał na to uwagi. Wciąż trzymał Saszeńkę za rękę i bez przerwy gadał.

- Mielśmy tu kilku studentów i uczniów - ale ty jesteś pierwsza ze Smolnego. No cóż, lubię „politycznych”. Kryminalistów nie, to hołota. Ale „polityczni”, ludzie wykształceni, uprzyjemniają mi pracę. Pewnie cię zaskoczę: nie jestem typowym strażnikiem. Czytam książki i czytałem nawet trochę waszego Marksa i Plechanowa. Naprawdę. I jeszcze dwie rzeczy: mam słabość do szwajcarskiej czekolady i wody kolońskiej Brocarda. Moje powonienie jest bardzo wyrafinowane: widzisz mój nos? - Saszeńka spojrzała posłusznie na jego wąskie nozdrza. - To gruczoły czuciowe estety, a utknąłem tutaj, w tej dziurze. Masz coś wspólnego z baronem Zeitlinem? No właśnie! Powiedz mu, że nazywam się Wołków, sierżant Wołków.

- Dobrze, panie sierżancie - odparła Saszeńka, starając się nie zakrztusić duszącym aromatem lawendowej wody kolońskiej.

- Nie jestem typowym strażnikiem, prawda? Zaskoczyłem cię?

- O, tak, panie sierżancie, zaskoczył mnie pan.

- Wszyscy tak mówią. No dobrze, *mademoiselle* Zeitlin, tu jest twoja prycza. Pamiętaj, sierżant Wołków jest twoim przyjacielem. Nie jest typowym strażnikiem.

- Zupełnie nietypowym.

- Za chwilę zateśkniesz za moją wodą kolońską - ostrzegł.

Otworzył drzwi celi i wepchnął ją do środka. Odwróciła się do niego, nawet wyciągnęła rękę, ale już go nie było. Uderzył ją odór panujący w ciasnym pomieszczeniu pełnym kobiet. Oto prawdziwa Rosja! - pomyślała, czując, jak jej ubranie przesiąka stęchlizną.

Drzwi celi zatrzęsły się za nią, usłyszała zgrzyt zamka. Stała z głową wciągniętą w ramiona, świadoma, że w ciemnym zatłoczonym pomieszczeniu za jej plecami istnieje nieznanne życie. Prykanie, chrząkanie, chrapanie, śpiew i kaszel mieszały się z szeptami i odgłosem rozdawanych kart.

Saszeńka odwróciła się powoli, czując na twarzy nieświeży oddech dwudziestu czy trzydziestu kobiet. W półmroku paliła się jedna lampa naftowa. Więźniarki siedziały pod ścianami i leżały na materacach na zimnej brudnej podłodze, śpiąc, grając w karty, czasem nawet tuląc się do siebie. Dwie półnagie staruchy iskały sobie nawzajem wszy z włosów łonowych, zupełnie jak małpy. Niskie przepierzenie wyznaczało latrynę, skąd dobiegały postękiwania i odgłosy defekacji.

- Pospiesz się! - krzyknęła następna w kolejce.

Pulchna kobieta ze skośnymi orientalnymi oczami leżała, czytając *Spowiedź* Tołstoja; inna, przeraźliwie chuda, w wojskowym płaszczu narzuconym na chłopską koszulę, czytała na głos fragmenty pornograficznego pamfletu o cesarzowej, Rasputinie i ich wspólnej przyjaciółce, *madame* Wyrubowej.

- „Trójca jest lepsza niż jedność”, powiedział mnich. „Aniu Wyrubowa, twoje cycyki są soczyste jak u syberyjskiej fokii, ale nic nie może się równać z twoją swawolną cesarską cipką, cesarzowo!”.

Rozległ się wybuch śmiechu. Czytająca urwała.

- Kto to jest? *Madame* Wyrubowa uprzykrzyła sobie dworskie życie? - Kobieta w wojskowym płaszczu poderwała się na nogi. Nadeptując na śpiącą postać, która krzyknęła z bólu, podbiegła do Saszeńki i chwyciła ją za włosy. - Ty bogata mała dziwko, nie patrz tak na mnie!

Po raz pierwszy od aresztowania Saszeńka bała się, naprawdę się bała. Zanim zdążyła pomyśleć, dostała pięścią w twarz i upadła, a kobieta rzuciła się na nią, przyniatając swoim ciężarem. Pewna, że zaraz umrze, pomyślała o Lali, o *Grand-maman*, o swoim kucyku na wsi... Ale nagle czyjeś ramiona oderwały od niej napastniczkę i odciągnęły ją na bok.

- Uważaj, dziwko. Nie dotykaj jej! To jedna z naszych. - Stała nad nią pulchna kobieta, trzymająca w ręku otwarty tom Tołstoja. - Saszeńka? Starsi celi witają cię.

Rano poznasz komitet. Teraz trochę się prześpij. Możesz spać ze mną. Jestem towarzyszką Natasza. Nie znasz mnie, ale ja wiem, kim jesteś.

6

Kapitan Sagan z Korpusu Żandarmów rozsiadł się w swoim ulubionym fotelu w Cesarskim Jachtklubie przy ulicy Bolszaja Morskaja i właśnie wcierał w dziąsła porcję kokainy, kiedy w drzwiach stanął adiutant.

- Wasza wielmożność, mogę zameldować?

Krostowaty adiutant rozejrzał się szybko po ogromnym, pustym pokoju ze skórzanymi fotelami i gazetami w języku angielskim, francuskim i rosyjskim. Na ścianie za wielkim stołem bilardowym wisiały portrety obwieszonych medalami prezesów klubu, a z drugiego końca pokoju, znad kominka, w którym płonęło drewno o jabłkowym zapachu, spoglądały wodniste niebieskie oczy imperatora Mikołaja II.

- Mów, Iwanow.

- Wasza wielmożność, aresztowaliśmy groźnych terrorystów. Znaleźliśmy dynamit, ładunki, mauzery, ulotki. Jest między nimi uczennica. Generał chce, żeby zabrał się pan do niej natychmiast, zanim bogaty tatuś wydobędzie ją z więzienia. Powóz czeka.

Kapitan Sagan wstał i westchnął.

- Chcesz coś do picia, Iwanow, albo szczyptę tego? - Wyciągnął srebrne pudełko.

- Nowa mikstura doktora Gempa na zmęczenie i ból głowy.

- Generał kazał się spieszyć.

- Jestem zmęczony - powiedział Sagan, chociaż waliło mu serce. Była to już trzecia zima wojny i czuł się wyczerpany. Był nie tylko żandarmem, lecz także oficerem Ochrony, carskiej tajnej policji. - Niemieccy szpiedzy, bolszewicy, eserowcy, zdrajcy wszelkiego autoramentu. Nie wieszamy ich dostatecznie szybko. I jeszcze ten Rasputin. Przynajmniej usiądź na chwilę.

- Dobrze. Koniak - powiedział Iwanow, ze zbytnim ociąganiem jak na gust Sagana. .

- Koniak? Zaczynasz nabierać kosztownych upodobań, Iwanow. - Sagan brzeknął srebrnym dzwonkiem. Kelner, długi i chudy jak flet, wszedł chwiejnym krokiem do pokoju, przesuając nogi jak na nartach. - Dwa koniaki i to migiem - zamówił Sagan, napawając się aromatem cygar, wody kolońskiej i wypastowanych butów, charakterystycznym dla kasyn oficerskich i eleganckich klubów w całym imperium. Kiedy zjawiły się kieliszki, obaj wstali, wzniesli toast za cara, wypili i pospieszyli do szatni.

Włożyli mundurowe płaszcze, czapki i wyszli na siarczasty mróz. Bezkształtne płatki śniegu tańczyły wokół nich. Była już północ, księżyc w pełni rzucał na świeży śnieg niebieską poświatę. Kokaina, uznał Sagan, to idealny środek pobudzający dla policjanta, wzmacnia spostrzegawczość, wyostrza spojrzenie. Stał tam ich powóz, odkryty, z jednym koniem parskającym gejzerami pary, woźnica chrapał, owinięty w kozuch. Iwanow potrząsnął nim i łysa głowa woźnicy wyłoniła się spod kozucha.

Sagan, któremu wciąż łomotało serce, omiótł wzrokiem ulicę. Z lewej złocona kopuła soboru Świętego Izaaka pochylała się złowieszczą nad domami, jakby miała je zmiażdżyć. Z prawej widać było drzwi rezydencji Zeitlina. Sagan sprawdził, czyjego wywiadowcy są na posterunkach. Tak, wąsata postać w zielonym płaszczu i meloniku czaiła się za rogiem: Batko, były podoficer kozaków, palił papierosa w przeciwległej bramie. (Kozacy i dawni podoficerowie byli najlepszymi filerami, „agentami zewnętrznymi” zajmującymi się inwigilacją.) Nieco dalej spał na koźle dorożkarz: Sagan miał nadzieję, że nie śpi naprawdę.

Obok przemknął rolls-royce z łańcuchami na kołach i herbem Romanowów na drzwiach. Sagan wiedział, iż należy on do wielkiego księcia Siergieja, jadącego do domu z kochanką, słynną primabaleriną, którą dzielił się ze swoim kuzynem, wielkim księciem Andriejem.

Od strony mostu Niebieskiego nad Mojką dobiegło echo krzyków, łoskot uderzeń, skrzypienie butów na ubitym śniegu. Marynarze z bazy w Kronsztadzie bili się z żołnierzami - granatowe mundury przeciwko oliwkowym.

Nagle, gdy Sagan postawił już jedną nogę na stopniu powozu, tuż obok zatrzymała się limuzyna Daimler-Benz. Umundurowany kierowca wyskoczył i otworzył obite skórą drzwi. Z samochodu wysiadła chuda postać w futrzanym płaszczu. Manasiewicz-Manujłow, Żyd, który przeszedł na prawosławie, szpieg, dziennikarz, spekulant, przyjaciel Rasputina i sekretarz premiera, minął Sagana i pospieszył do Cesarzowskiego Jachtklubu. W samochodzie Sagan dostrzegł wymięty szkarłatny atlas i norki na bladej szyi. Z wnętrza zionęło zapachem potu i dymu z cygar. Wsiadł do powozu.

- Oto, na co nam przyszło - powiedział Iwanowowi. - Żydowscy szpiegowie i kombinatory. Codziennie nowy skandal!

- Aaaaa! - ziewnął woźnica, strzelając z bicia trochę za blisko nosa Sagana. Powóz ruszył.

Sagan oparł się, odchylił głowę i patrzył na przepływające obok niego światła miasta Piotra Wielkiego. Wódka paliła mu żołądek jak kula stopionego złota. Tu było jego życie, w stolicy największego na świecie imperium, rządzonego przez najgłupszych ludzi w samym środku najstraszniejszej wojny w dziejach. Sagan pomyślał, iż cesarz ma szczęście, że on i jego koledzy nadal wierzą w niego i w jego prawo do rządzenia; że zachowują czujność; że nie cofną się przed niczym, by ocalić głupiego cara i jego histeryczną żonę, bez względu na to, kim są jej przyjaciele...

- Chce pan wiedzieć, co myślę, *barin!* - spytał woźnica. Usiadł bokiem do pasażerów, a jego wielki nos błyszczał w świetle rozkołysanej latarni powozu. - Owies znowu drożeje. Jeszcze jedna podwyżka i nie będziemy mieli czym nakarmić koni. Był czas, pamiętam, kiedy owies kosztował zaledwie...

Owies, owies, owies, Sagan nie słyszał nic innego od woźniców powozów i sań. Oddychał głęboko, a nasycona kokainą krew szumiała mu w skroniach jak górski strumień.

7

- Dokąd wychodzisz dzisiaj wieczorem? - spytał Zeitlin żonę.

- Nie wiem - westchnęła z rozmarzeniem Ariadna Zeitlin. Siedziała na otomanie w swoim buduarze, ubrana tylko w pończochy i halkę. Zamknęła oczy, a pokojówka kręciła jej loki żelazkiem do włosów. Głos miała niski i ochryply, jakby była już trochę wstawiona. - Chcesz się wybrać na przejażdżkę?

- To ważne, moja droga. - Przysunął krzesło bliżej otomany.

- No cóż, może do baronowej Rozen na koktajl, potem kolacja u Donana, trochę potańczę w Akwarium - uwielbiam to miejsce, widziałeś te piękne ryby wokół ścian? A potem, nie jestem pewna... Ach, Naino, zobaczmy, dzisiaj wieczorem włożę coś z brokatu.

Z garderoby wyszły dwie pokojówki, Naina niosła pudełko z biżuterią, a druga dziewczyna naręcze sukien.

- Przestań, Ariadno. Chcę wiedzieć, dokąd idziesz - warknął Zeitlin. Ariadna wyprostowała się raptownie.

- O co chodzi? Wyglądasz na zdenerwowanego. Był krach na giełdzie czy... - i obdarzyła go czułym uśmiechem, błyskając białymi zębami - ...czy nauczyłeś się być zazdrosny? Nigdy nie jest za późno, wiesz. Dziewczyna lubi być uwielbiana.

Zeitlin zaciągnął się cygarem. Z ich małżeństwa pozostały już tylko te krótkie rozmówki; każde z nich rzuciło się, oddzielnie, w nocne życie Piotrogradu, chociaż na balach i oficjalnych przyjęciach wciąż bywali razem. Spojrzał na niezaścielone łóżko, gdzie jego żona spędzała większość czasu, śpiąc w ciągu dnia. Popatrzył na batystowe, szyfonowe i jedwabne suknie, na flakony mikstur i perfum, na wypalone do połowy papierosy, na uzdrawiające kryształy, na wszystkie te dziwactwa i przedmioty zbytku, ale najdłużej patrzył na Ariadnę z jej śnieżnobiałą skórą, szerokimi ramionami i fiołkowymi oczami. Wciąż była piękna, choć oczy miała przekrwione, a na skroniach wystąpiły jej żyły.

Wyciągnęła do niego ramiona, był jednak zbyt zdenerwowany na te codzienne gierki.

- Żandarmi aresztowali Saszeńkę - powiedział. - Przed szkolną bramą. Spędzi noc na Kriestach. Wyobrażasz sobie tamtejsze cele?

Ariadna zamrugała. Na jej bladej twarzy pojawił się lekki grymas.

- To musi być nieporozumienie. Jest taka oczytana, trudno sobie wyobrazić, żeby zrobiła coś głupiego. - Spojrzała na męża. - Z pewnością potrafisz ją stamtąd wy dostać, Samuelu? Zadzwoń do swojego przyjaciela, ministra spraw wewnętrznych. Chyba jest ci winien pieniądze?

- Już dzwoniłem do Protopopowa, a on powiedział, że to poważna sprawa.

- Naino? - Ariadna skinęła na pokojówkę. - Chyba zdecyduję się na fiołkowy brokat ze złotym liściem i falbankami od *madame* Chanceau, a do tego perłowy kołnierzyk i broszka z szafirem...

Zeitlin tracił cierpliwość.

- Dosyć tego, Ariadno. - Przeszedł na jidysz, żeby służące nie mogły go zrozumieć. - Przestań się mizdrzyć jak chórzystka, do diabła! Rozmawiamy o Saszeńce. - Znowu przeszedł na rosyjski, obrzucając mrocznym spojrzeniem nieporządek w pokoju. - Dziewczęta, zostawcie nas samych!

Jego wybuchy gniewu budziły tym większy strach, że zdarzały się rzadko, trzy dziewczyny porzuciły więc suknie, klejnoty i żelazko do włosów i pospiesznie wybiegły.

- Czy to naprawdę było konieczne? - spytała Ariadna drżącym głosem, w jej uczernionych proszkiem antymonowym oczach pojawiły się łzy.

Ale Zeitlin był bardzo rzeczowy.

- Zobaczysz się z Rasputinem?

- Tak, odwiedzę świątobliwego starca Grigorija dziś wieczorem. Po północy. Nie mów o nim takim szyderczym tonem, Samuelu. Kiedy mongolski lama doktora Bada-jewa zahipnotyzował mnie w Domu Duchów, powiedział mi, że potrzebuję specjalnego nauczyciela. Miał rację. Świątobliwy starzec Grigorij pomaga mi, wzbogaca mnie duchowo. Mówi, że jestem łagodnym jagniątkiem w okrutnym świecie i że ty mnie miażdżysz. Myślisz, że jestem szczęśliwa w tym domu?

- Mieliśmy rozmawiać o Saszeńce - przypomniał żonie Zeitlin, lecz Ariadna podniosła głos.

- Pamiętasz, Samuelu, kiedy szłam na balet i wszystkie lornetki były skierowane na mnie, nie na scenę? „Co włożyła baronowa Zeitlin? Spójrzcie na jej oczy, jej klejnoty, jej cudowne ramiona...”. Gdy oficerowie patrzyli na mnie, myśleli, oto piękna klacz wyścigowa, czystej krwi, może warto dla niej zgrzeszyć! Czy wtedy nie byłeś ze mnie dumny, Samuelu? A teraz - tylko na mnie spójrz!

Zeitlin wstał gniewnie.

- Tu nie chodzi o ciebie, Ariadno. Spróbuj nie zapominać, że rozmawiamy o naszym dziecku!

- Przepraszam. Słucham...

- Mendel wrócił z zesłania. - Zobaczył jej uśmiech. - Och, więc wiesz o tym? On prawdopodobnie odegrał jakąś rolę w uwięzieniu naszej córki.

Ukląkł przed otomaną i ujął jej dłonie.

- Posłuchaj, Protopopow nic nie może zrobić. Nawet premier Stiirmer nie ma żadnych wpływów - wkrótce zostanie odwołany. Wszystko jest w rękach cesarzowej i Rasputina. Dlatego tym razem chcę, żebyś poszła do Rasputina

- chcę, żebyś tam poszła! Nie dbam o to, ile czasu spędzisz w objęciach tego świętoszkowatego prostaka. Powiedz mu, że dzisiaj sprzyja mu szczęście. Tylko ty możesz to zrobić, Ariadno. Po prostu tam pójdziesz i błagaj ich wszystkich

- Rasputina, przyjaciół cesarzowej, wszystkich, żeby uwolniono Saszeńkę!

- Wysyłasz mnie z misją? - Ariadna otrząsnęła się jak kot na deszczu. - Tak.

- Mnie z polityczną misją? To mi się podoba. - Zamilkła i Zeitlin niemal słyszał, jak obracają się tryby, kiedy podejmowała decyzję. - Pokażę ci, jaką jestem dobrą matką. - Wstała z otomany i pociągnęła za pleciony sznur.

- Dziewczęta - chodźcie tu! Mamy do wypełnienia misję. - Pokojówki wróciły, spoglądając bojaźliwie na Zeitlina. - A co ty będziesz robił, Samuelu?

- Będę trzymał fason i pójdę do księcia Andronnikowa. Będą tam wszyscy. Ariadna ujęła twarz Zeitlina w dłonie. Od jej aromatycznego oddechu zwilgotniały mu oczy.

- Ty i ja wyruszamy z misją, Samuelu!

Mimo szorstkiej cery - z powodu alkoholu i opium - jej twarz wciąż była piękna; spękane wargi, zwłaszcza wystająca górna warga, samolubnie zachłanne; ramiona i nogi doskonale mimo sterczącego brzucha. Niezależnie od swoich skaz, Ariadna zachowała wygląd kobiety, której niewybredne przyjemności przychodzą aż nazbyt łatwo, tak łatwo jak stłuczenia na dojrzałej brzoskwini. Teraz, z rozmazanym przez łyż makijażem, wyglądała jak odurzona narkotykami Kleopatry.

- Samuelu, czy mogę wziąć russo-bańt?

- Tak - odparł Zeitlin, ciesząc się, że skorzysta z limuzyny. Wstał i pocałował ją.

Ariadna poczuła przyjemny dreszcz, otworzyła wieczko złotego, wysadzanego brylantami zegara, wyjęła z ukrytej przegródki egipskiego papierosa i popatrzyła na niego oczami, w których kryło się echo pustych pokojów.

Zastanawiając się, jak do tego doszło, że stała się zagubionym dzieckiem, i obwiniając o to siebie, Zeitlin przypalił jej papierosa, a potem zgaszone cygaro, które wciąż trzymał w ręku.

- No to idę - powiedział, patrząc, jak Ariadna się zaciąga i otwiera usta, żeby wypuścić błękitny dym.

- Powodzenia, Samuelu - zawołała.

Nie chciał się spóźnić do księcia Andronnikowa - od niego zależał los Saszeńki - a mimo to zatrzymał się i obejrzał, zanim zamknął drzwi.

- Jak to wygląda? A to? Spójrz, porusza się, kiedy idę! Widzisz, Gala? - Ariadna śmiała się, a wokół niej uwijały się pokojówki. - Zgodzisz się, Naino, sukienki od Wortha przyćmiewają wszystkie inne! Nie mogę się już doczekać, żeby to zobaczyli w Akwariu...

Z zamierającym sercem Zeitlin uświadomił sobie, że w chwili, gdy jego żona opuści dom, zapomni o nim i o Saszeńce.



Przez całą noc Saszeńka tuliła się do opasłej Nataszy.

Starsza kobieta chrapała, przewracając się z boku na bok i spychając ją z materaca. Saszeńka, która bała się poruszyć, leżała, dotykając bokiem lodowatej kamiennej podłogi, wdzięczna, że jest obok Nataszy, bezpieczna. Usta miała spuchnięte, a ręce jej drżały. Bała się, że potwór znowu ją uderzy - albo dźgnie nożem w ciemnościach.

Pewnie wszystkie miały tu noże. Wpatrywała się w półmroku w kłębowisko kobiecych ciał, jedno półnagie z pomarszczonymi piersiami. Modliła się, żeby ktoś przyszedł i zabrał ją stąd.

W korytarzu migotały lampy, kiedy strażnik ryglował drzwi cel. Sprzątaczką szorowała podłogę. Zapach nafty i środka dezynfekcyjnego tłumiał chwilami odór uryny i ekskrementów, ale nie na długo. Przy każdym dźwięku, skrzypnięciu i trząśnięciu drzwiami Saszeńka miała nadzieję, że to jej wybawienie, ale nikt nie nadchodził. Zimna, przerażająca, wroga noc ciągnęła się w nieskończoność.

- Dostaliśmy wiadomość więziennym telegrafem, że cię aresztowali - szepnęła Natasza do Saszeńki. - Ty i ja jesteśmy prawie rodziną. Jestem żoną twojego wuja Mendla. Poznaliśmy się na zesłaniu. Pewnie nie wiedziałaś, że ożenił się z Jakutką? Tak, z prawdziwą Syberyjką. Och, rozumiem - nie wiedziałaś, że w ogóle się ożenił. No cóż, to cały Mendel, urodzony konspirator. Ja aż do dzisiaj nie wiedziałam, że ma taką ładną siostrzenicę. Tak czy inaczej, on ci ufa. Nie trać otuchy: zawsze są jakieś możliwości...

Teraz Natasza sapała i wierciła się przez sen, mówiąc coś w swoim ojczystym języku. Saszeńka przypomniała sobie, że Jakuci wierzą w szamanów i duchy. Jakaś kobieta krzyknęła: „Poderżnę ci gardło!”. Inna łkała: „Przepadło... przepadło... przepadło”. W sąsiedniej męskiej celi wybuchła bójka, ktoś został ranny, strażnicy wywlekli go, jęczącego, i przynieśli szczotkę do umycia podłogi. Drzwi otworzyły się i zatrzasnęły. Saszeńka słuchała suchotniczego kaszlu, kroków strażników i bulgotania w żołądku Nataszy. Wciąż nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Choć była dumna, że się tu znalazła, strach, smród i niekończąca się noc doprowadzały ją do rozpacz. Ale czy wuj Mendel nie powiedział jej, że pobyt w więzieniu to rytuał inicjacji? A co szepnęła jej przed zaśnięciem Jakutka Natasza? „Mendel ci ufa!”.

Znalazła się tu z powodu Mendla, z powodu ich spotkania zeszłego lata. Rodzina spędzała letnie miesiące w Zembliszynie, majątku na południe od miasta, w pobliżu Dworca Warszawskiego. Żydom nie wolno było mieszkać w stolicy ani nabywać majątków ziemskich - jednak jakimś cudem ojciec Saszeńki miał nie tylko rezydencję w mieście, ale również wiejski dworek z białymi kolumnami, las i park. Tylko najbogatsi żydowscy kupcy mogli mieszkać w mieście. Saszeńka wiedziała, że jej ojciec nie jest jedynym żydowskim przedsiębiorcą w Piotrogradzie. Inny Żyd, baron Polaków, magnat kolejowy, był właścicielem starego pałacu z czerwonej cegły, należącego niegdyś do księcia Mienszykowa, pierwszego domu w nowym mieście Piotra Wielkiego, na nowym nabrzeżu, niemal naprzeciwko Pałacu Zimowego.

Każdego lata Saszeńka i Lala mogły na wsi robić, co chciały, chociaż czasem Zeitlin namawiał je do gry w tenisa lub jazdy na rowerze. Jej matka, zwykle w szale kry-

zysu nerwowego, jakichś mistycznych fanaberii lub cierpiąc z powodu złamanego serca, rzadko opuszczała swój pokój - i szybko wracała do miasta. Lala całymi dniami zbierała grzyby i jagody albo jeździła na kucyku Ałmazie. Saszeńka czytała, szczęśliwa, że pozostawiono ją samej sobie.

Tego lata zjawił się na wsi wuj Mendel. Ten drobny przygarbiony mężczyzna w grubych binoklach na wielkim, garbatym nosie, ze szpotawa stopą, pracował całymi nocami w bibliotece, paląc skręcane własnoręcznie papierosy z machorką i parząc kawę po turecku, która napełniała dom orzechowym aromatem. Spał nad stajniami, wyługując się przez całe ranki, i wstawał dopiero po obiedzie. Najwyraźniej nie zwracał uwagi, że jest lato, gdyż nosił bez przerwy ten sam brudny ciemny garnitur i wymiętą koszulę z przethuszczonym kołnierzykiem. W butach wiecznie miał dziury. Przy jej wytwornym ojcu i eleganckiej matce naprawdę wydawał się istotą z innej planety. Jeśli zauważył, że Saszeńka na niego patrzy, chmurzył się i odwracał wzrok. Ze swoją bladą, krostowatą cerą i astmatycznym oddechem sprawiał wrażenie ciężko chorego, co Saszeńka uznawała za rezultat lat spędzonych w więzieniu i na syberyjskim zesłaniu.

Rodzina pogardzała Mendlem. Nawet matka Saszeńki, rodzona siostra Mendla, nie lubiła go - ale pozwoliła mu zostać.

- Jest zdany tylko na siebie, biedaczysko - mówiła z lekceważeniem. Pewnej nocy Saszeńka nie mogła zasnąć. Zegar wybił trzecią. Lato było

upalne i gorące powietrze zbierało się w jej pokoju na poddaszu. Zachciało się jej soku cytrynowego, zeszła więc po schodach, mijając portret księcia Orłowa-Czesmińskiego, dawnego właściciela majątku, piętnaście kryształowych pawli na półce i stary angielski zegar, do cudownie chłodnego przedpokoju z podłogą z czarnych i białych kamiennych płyt. Zobaczyła, że światło w bibliotece ciągle się pali, poczuła zapach kawy i dym mieszające się z ciepłem letniej nocy.

Odskoczyła na bok, kiedy Mendel otworzył drzwi biblioteki i wyszedł z błyskiem w przekrwionych oczach, ściskając w dłoniach swoje cenne papiery.

Saszeńka poczekała, aż odejdzie, a potem wśliznęła się do biblioteki, aby spojrzeć na książki, które tak go pasjonowały, że był gotów pójść dla nich do więzienia. Stół był pusty.

- Szukasz czegoś, Saszeńko? - W drzwiach stał Mendel, głos miał dziwnie głęboki i dźwięczny.

Podskoczyła.

- Po prostu byłam zaciekawiona - odparła.

- Moimi książkami?

- Tak.

- Schowałem je, kiedy skończyłem, nie chcę, żeby ludzie wiedzieli, co robię, a nawet co myślę. - Zawahał się. - Ale ty jesteś poważną osobą. Jedyna intelektualistka w rodzinie.

- Skąd możesz to wiedzieć, wujku, skoro nigdy ze mną nie rozmawiasz?

- Saszeńka była zachwycona i zaskoczona.

- Inni to po prostu kapitalistyczni dekadenci, a nasz rodzinny rabin należy do wieków średnich. Sądzę z tego, co czytasz. Majakowski. Niekrasow. Błok. Jack London.

- Więc mnie śledziłeś?

Binokle Mendla były tak zatłuszczone, że soczewki prawie nie przepuszczały światła. Pokuśtykał do półki z powieściami angielskimi, pełnym wydaniem Dickensa, oprawionym w skórę ze złotym herbem Zeitlinów, wyciągnął jeden tom, sięgnął za niego i wręczył jej starą książkę z pozaginanymi rogami: *Co robić?* Czernyszewskiego.

- Przeczytaj to. Kiedy skończysz, następną książkę znajdziesz tutaj, za *Davidem Copperfieldem*. Rozumiesz? Weźmiesz ją stąd.

- Co wezmę? Skąd?

Ale Mendla już nie było i została sama w bibliotece.

I tak się zaczęło. Następnej nocy nie mogła się doczekać, aż wszyscy zasną, po czym zakradła się do biblioteki, napawając się zapachem kawy i gryzącej machorki.

- Gotowa na następną? Twoja analiza książki? - spytał Mendel, nie podnosząc wzroku.

- Rachmietow to najbardziej niezwykły bohater, jakiego dotąd poznałam

- odparła, zwracając książkę. - Jest bezinteresowny, oddany. Nic nie może mu przeszkodzić w osiągnięciu celu. To „szczególny człowiek” naznaczony przez historię. Chcę być taka jak on.

- Wszyscy chcemy - powiedział. - Znam wielu Rachmietowów. To była pierwsza książka, którą przeczytałem. I nie tylko ja, lecz również Lenin.

- Opowiedz mi o Leninie. I kto to jest bolszewik? Jesteś bolszewikiem, mienszewikiem, eserowcem, anarchistą?

Mendel obserwował ją, jakby była zoologicznym okazem, mrużąc oczy, zaciągając się machorką, która drażniła mu gardło. Głośno kaszłał.

- Co to dla ciebie znaczy? Co myślisz o dzisiejszej Rosji, o robotnikach, chłopach, o wojnie?

- Nie wiem. Wydaje się, jakby... - Urwała, świadoma jego przenikliwego spojrzenia.

- Mów śmiało.

- To wszystko jest złe. niesprawiedliwe. Robotnicy żyją jak niewolnicy. Przegrywamy wojnę. Wszystko gnije. Czy jestem rewolucjonistką? Bolszewikiem?

Mendel skręcił następnego papierosa, bez pośpiechu i zdumiewająco delikatnie, poślinił bibułkę i zakleił ją. Pomarańczowy płomień rozjarzył się i zgasł.

- Jeszcze za mało wiesz, żeby być czymkolwiek - powiedział. - Musimy solidnie popracować. Jesteś jedyną studentką na moim letnim kursie. Oto następna książka. - Wręczył jej powieść Victora Hugo o rewolucji francuskiej, *Rok 93*.

Następnej nocy była jeszcze bardziej podekscytowana.

- Gotowa na więcej? Twoja analiza?

- „Nigdy nie widziano, by Cimourdain płakał - zacytowała Hugo, charakteryzującego swojego bohatera. - Miał niezłomne i surowe poczucie uczciwości. Sprawiedliwy, ale straszny człowiek. Dla kapłana rewolucji, który musi być nikczemny i wzniosły, nie istnieją żadne półśrodki. Cimourdain był wzniosły, szorstki, odpychający, pośepny, ale nade wszystko czysty”.

- Dobrze. Gdyby Cimourdain żył dzisiaj, byłby bolszewikiem. Masz właściwy instynkt, ale potrzebujesz nauki. Marksizm to nauka. Teraz przeczytaj to. - Wręczył jej powieść zatytułowaną *Pani Cynthia de Fortescue i miłość okrutnego pułkownika*. Na okładce widniała dama o ustach zabarwionych cynobrem i szerokich kościach policzkowych, a za nią czaił się zabójczo przystojny oficer z wypomadowanymi wąsami i zmrużonymi oczami.

- Co to jest? - spytała.

- Po prostu czytaj to, co ci daję. - Mendel znowu siedział przy swoim biurku, skrobiąc piórem.

Kiedy w sypialni Saszeńka otworzyła książkę, znalazła ukryty w środku *Manifest komunistyczny* Marksa. Później przyszła kolej na Plechanowa, Engelsa, Lassalle'a, i znów Marksa, a potem Lenina.

Nikt nigdy nie rozmawiał z Saszeńką tak jak Mendel. Jej matka chciała, żeby była głupim dzieckiem przygotowanym do życia sprowadzającego się do nudnych bałów, nieszczęśliwych małżeństw i upadającego cudzołóstwa. Uwielbiała ojca, ale on ledwo zauważał swojego „małego liska”, traktując ją jak pluszową maskotkę. A ukochana Lala już dawno pogodziła się ze swoim miejscem w życiu, czytając tylko powieści takie jak *Pani Cynthia de Fortescue*

/ miłość okrutnego pułkownika. Co się zaś tyczy stryja Gideona, był zdegenerowanym rozpustnikiem, który próbował z nią flirtować, a raz nawet poklepał ją po pośladkach.

Przy posiłkach i na przyjęciach prawie się nie odzywała, tak była urzeczona swoim krótkim kursem marksizmu, tak się niecierpliwiła, by zadać Mendlowi następne pytania. Myśłami była z nim w jego zadymionej bibliotece, z dala od matki i ojca. Lala, która czasem znajdowała ją śpiącą przy zapalanej lampie i z jakąś brukową powieścią leżącą obok, niepokoiła się, że za długo czyta. To Mendel otworzył Saszeńce oczy na rażącą niesprawiedliwość w społeczeństwie kapitalistycznym, ucisk robotników i chłopów, i pokazał jej, że Zeitlin - jej rodzony ojciec - jest wyzyskiwaczem ludzi pracy.

Ale, jak się dowiedziała, istniało rozwiązanie: walka klasowa, która doprowadzi przez kolejne etapy do robotniczego rajów równości i przyzwoitości. Teoria marksistowska była uniwersalna i utopijna, a cała ludzka egzystencja wpasowywała się doskonale w jej piękną symetrię historii i sprawiedliwości. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego robotnicy, zwłaszcza w Piotrogradzie i w Moskwie, chłopcy w wioskach Rosji i Ukrainy, lokaje i pokojówki w domach jej ojca, do tej pory nie zbuntowali się i nie zabili swoich panów. Zakochała się w ideach materializmu dialektycznego i dyktatury proletariatu.

Mendel traktował Saszeńkę jak osobę dorosłą; więcej niż kobietę, jak dorosłego mężczyznę, współpiskowca w najszlachetniejszym, najbardziej elitarnym tajnym ruchu na świecie. Niebawem zaczęli się spotykać niemal jak kochankowie, za dnia, o zmierzchu, o świcie i w środku nocy, w stajni, w brzozowych zagajnikach i w krzakach jeżyn, podczas wypraw na grzyby, a wieczorami szeptali w jadalni, zamknięci w jej obitych żółtym jedwabiem ścianach pachnących goździkami i bzem.

Tak, pomyślała Saszeńka, jej droga do cuchnącego więzienia w środku czarnej piotrogrodzkiej zimy zaczęła się w bajkowym majątku ojca w tamte letnie noce, kiedy śpiewały słowiki, a zmierzch miał kolor zamglonego rózu. Ale czy naprawdę była takim zagrożeniem dla cesarskiego tronu, że musieli ją aresztować przed bramą Smolnego i wtrącić do tego piekła?

Kobieta leżąca za plecami Saszeńki wstała i ruszyła chwiejnie w stronę wiadra z nieczystościami. Potknęła się o Saszeńkę i upadła, przeklinając ją najgorszymi słowami. Tym razem Saszeńka schwyciła ją za gardło, gotowa do bójki, ale kobieta przeprosiła i Saszeńka poczuła nagle, że jest jej wszystko jedno. Teraz zasmakowała całej niedoli Rosji. Teraz mogła im powiedzieć, że zna nie tylko wielkie domy i limuzyny. Teraz była kobietą, dorosłą i odpowiedzialną, niezależną od rodziny. Próbowała zasnąć, ale nie mogła.

W rynsztoku imperium po raz pierwszy miała poczucie, że żyje.

Przed wyjściem na ciemną piotrogrodzką ulicę Zeitlin włożył nowy sztywny kołnierzyk i frak, do którego przypiął gwiazdę Orderu Św. Włodzimierza drugiej klasy, odznaczenie przyznane bardzo niewielu żydowskim przemysłowcom.

U podnóża schodów, zatrzymując się na chwilę z ręką opartą na delikatnych kafelkach holenderskiego pieca w przedpokoju, uznał, że lepiej powiedzieć teściom o Saszeńce. Wiedział, że żona tego nie zrobiła. Przeszedł przez pusty salon i jadalnię ze ścianami obitymi kanarkowym i różowym jedwabiem, a następnie otworzył obciążone rypsem drzwi, które prowadziły do tak zwanej Czarnej Drogi, mrocznego podbrzusza domu. Pachniało tu inaczej, powietrze było przesycone masłem, tłuszczem, gotowaną kapustą i potem. Zeitlin pomyślał, że jest to zapach innej, dawnej Rosji.

Na dole mieszkała kucharka i kierowca, ale nie tam zmierzał. Zaczął się wspinać Czarną Drogą. W połowie schodów oparł się o poręcz, wyczerpany, zakręciło mu się w głowie. Czy to serce, niestrawność, lekki atak neurastenii? Może za chwilę umrę? - spytał sam siebie. Gideon miał rację, trzeba znowu wezwać doktora Gempa.

Nagle czyjaś ręka dotknęła jego ramienia. Była to jego stara niania, Szyfra, widmo w pomarańczowej podomce i miękkich pantoflach, która opiekowała się Saszeńką przed przybyciem Lali.

- Czy zatwierdziłeś dzisiejszy jadłospis? - zaskrzeczała. Służba zachowywała pozory, że stara Szyfra wciąż wszystkim kieruje, chociaż obecnie Delfina zarządzała kuchnią. Szyfrę odesłano taktownie na emeryturę, nie mówiąc jej o tym. - Radziłam się potęg, drogi chłopcze - dodała miękko. - Zajrzałam do Księgi Życia. Wszystko będzie dobrze. Napijesz się gorącego kakao, Samojuło?

Zeitlin skinął głową na jadłospis, który pokazała mu już Delfina, ale podziękował za kakao. Staruszka odpłynęła jak pajęczyna na wietrze, tak samo cicho jak się pojawiła.

Gdy został sam, odkrył ku swemu zdumieniu, że ma łzy w oczach: to był ten nieodparty zew dzieciństwa. Własny dom wydał mu się nagle wrogi, zbyt wielki, pełen obcych. Gdzie jest jego ukochana Saszeńka? W przypływie paniki uświadomił sobie, że dziecko jest dlań wszystkim, nic więcej się nie liczy.

Ale potem omotało go tysiące innych myśli. Czy to możliwe, żeby on, Zeitlin, nie zdołał czegoś załatwić? Nikt nie ośmielił się potraktować dziewczyny grubiańsko: z pewnością wiedzieli o jego powiązaniach z Ich Cesarskimi Mościami. Jego adwokat Flek był już w drodze; minister spraw wewnętrznych dzwonił do dyrektora policji, który zatelefonował do naczelnika Korpusu Żandarmów, a ten z kolei zwrócił się do szefa Ochrony. Nie pozwoli, żeby Sa-szeńka spędziła noc na posterunku policji, nie

mówiąc już o więziennej celi. Ale co ona zrobiła? Zawsze wydawała się taka cicha, taka grzeczna, zbyt poważna jak na swój wiek.

Pokojówki i lokaje mieszkali wyżej, ale Zeitlin zatrzymał się na pierwszym piętrze i otworzył obite metalem drzwi, które prowadziły do mieszkania nad garażem. Tutaj zapachy były bardziej cudzoziemskie, lecz znane Samuelowi: kura, ryba w galarecie, smażone ziemniaki i wiśniak. Zauważywszy przybitą do framugi *mezuzę*, Zeitlin otworzył drzwi do „wędrownego cyrku”, jak go nazywał.

W wielkim pokoju, wypełnionym stosami cennych książek, kandelabrami, płóciennymi pokrowcami i otwartymi pudłami, starszy wysoki mężczyzna z białą brodą i pejsami, ubrany w czarny chałat i jarmułkę, stał wyprostowany twarzą w stronę Jerozolimy, recytując osiemnaście błogosławieństw. Srebrny wskaźnik z wyprostowanym palcem pokazywał odpowiednie miejsce w Talmudzie. Księga była owinięta jedwabiem, bo słowo objawione nie mogło pozostawać bez przykrycia. Chociaż Abram i Miriam nie byli jego rodzicami, stanowili ostatnie ogniwo łączące go ze światem dzieciństwa: stamtąd pochodzę, pomyślał Zeitlin z zadumą.

Rabin Abram Barmakid, niegdyś słynny cadyk z Turbinu mający własny dwór i uczniów, żył teraz w otoczeniu smutnych resztek srebrnych przedmiotów, które zdobiły wcześniej jego dom modlitwy i sale lekcyjne. Stała tam Arka ze świętymi zwojami w atlasowych pokrowcach obwiązanych srebrnymi łańcuchami; złote lwy z oczami z czerwonych paciorków i grzywami z błękitnego kamienia pełniły straż. Mówiono, że rabin potrafi czynić cuda. Jego usta poruszały się szybko, na twarzy malowała się radość i odbijało się na niej piękno świętych słów. Właśnie obchodził Jom Kippur i dni pokuty zagościły w tym bezbożnym domu, gdzie jedynym szczęśliwym człowiekiem był ten, który stracił wszystko.



W roku 1915 wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, wódz naczelny carskiej armii, ogłosił, że wszyscy Żydzi są potencjalnymi niemieckimi szpiegami, i wygnał ich z rodzinnych wiosek. Dano im zaledwie parę godzin na załadowanie na wozy dobytku kilku pokoleń. Zeitlin ocalił teściów, umieszczając ich nielegalnie w Piotrogradzie, ponieważ nie mieli pozwolenia na pobyt. Ale chociaż potępiali swoją bezbożną córkę Ariadnę, wciąż byli dumni, że poślubiła Zeitlina, człowieka z polami naftowymi w Baku, statkami w Odessie, lasami na Ukrainie...

- Czy to ty, Samuelu? - dobiegł go gruby głos. W maleńkiej kuchni zobaczył żonę rabina, Miriam, w peruce i jedwabnym szlafroku, gotującą na starym piecyku gazowym z dwiema płytami.

- Aresztowali Saszeńkę - powiedział Samuel.

- Biada mi! - krzyknęła Miriam. - Jeszcze głębsze ciemności, nim nastanie światłość! To jest nasza kara, nasza Gehenna na ziemi, za dzieci, które odwróciły się od Boga, wszystkie stały się odstępcami. My już dawno umarliśmy i dzięki Bogu, umrzeć można tylko raz. Mój syn Mendel to bezbożny anarchista; Ariadna jest stracona dla Boga: córka, która, niech Bóg się nad nią zlituje, wychodzi co noc na wpół nago! Mój najmłodszy chłopiec, Awigdor, którego imię jest dla mnie martwe, porzucił nas zupełnie, dawno temu - gdzie on jest, ciągle w Londynie? A teraz nasz ukochany *Silberkind* też ma kłopoty. - W dzieciństwie Saszeńka miała jasne włosy, a dziadkowie wciąż nazywali ją *Silberkind*

- srebrnym dzieckiem. - No cóż, nie traćmy czasu. - Stara kobieta zaczęła lać miód na pusty talerz.

- Co robisz?

- Pierniczki i rosół z kury dla Saszeńki. Do więzienia.

Już się dowiedzieli, dzięki poczcie pantoflowej. Zeitlin omal się nie rozpląkał

- podczas gdy on wydzwaniał do ministrów, żona starego rabina piekła pierniczki dla wnuczki. Aż trudno mu było uwierzyć, że to są rodzice Ariadny. Jak wyhodowali ten cieplarniany kwiat na swoim żydowskim podwórku?

Patrzył na Miriam, tak jak kiedyś przyglądał się swojej matce w rodzinnej kuchni w strefie osiedlenia.

- Nie wiem nawet, za co ją aresztowali - szepnął.

Zeitlin był dumny z tego, że nie przeszedł na prawosławie. Nie musiał tego robić. Jako kupiec pierwszej gildii miał prawo pozostać w Piotrogradzie, chociaż był Żydem - a tuż przed wojną został wyniesiony do godności tajnego radcy, odpowiednika generała lejtnanta w tabeli rang. Ale wciąż był Żydem, Żydem nie afiszującym się ze swoją żydowskością, ale jednak Żydem. Wciąż pamiętał melodię modlitwy Kol Nidre - i podniecenie, z jakim zadawał cztery pytania podczas Paschy.

- Jesteś biały jak prześcieradło, Samuelu! - powiedziała mu Miriam. - Siadaj! Masz, wypij to!

Podawała mu kieliszek wiśniaku, a on opróżnił go jednym haustem. Potrząsając lekko głową, oddał pusty kieliszek teściowej i zbiegł po schodach, żeby odebrać futro z bobrów i czapkę od Pantalejmona przy drzwiach frontowych. Był gotów.

Lód na zamrożonym kanale lśnił w świetle księżyca, kiedy sanie kapitana Sagan na zatrzymały się przed siedzibą Departamentu Policji przy ulicy Fon-tanka 16.

Wjechawszy windą na najwyższe piętro, Sagan minął dwa posterunki, każdy z dwoma żandarmami na służbie, wszedł do centralnego ośrodka dowodzenia wojną, którą prowadziło imperium z terrorystami i zdrajcami: tajnego wydziału cesarskiej służby bezpieczeństwa, Ochrony. Nawet późną nocą pracowała tu śmietanka służby bezpieczeństwa - młodzi urzędnicy w binoklach i błękitnych mundurach sortowali karty indeksowe (niebieskie dla bolszewików, czerwone dla eserowców) i dodawali nowe nazwiska do skomplikowanych diagramów sekcji i komórek rewolucyjnych.

Sagan był jedną ze wschodzących gwiazd tej instytucji. We śnie potrafiłby nakreślić schemat organizacyjny partii bolszewików, z Leninem pośrodku, ze wszystkimi nazwiskami i strzałkami. Zatrzymał się na chwilę przed tym schematem, napawając się swoim sukcesem. Było tu wszystko: Komitet Centralny wybrany w Pradze w 1911 roku - całe towarzystwo z wyjątkiem Lenina i Zinowjewa oraz sześciu deputowanych do Dumy przebywało na syberyjskim zesłaniu, zbyt rozproszone, żeby przygotowywać rewolucję. Podobnie mienszewicy: pozbawieni najprężniejszych działaczy. Organizacja Bojowa eserowców: rozbita. Do rozpracowania pozostało zaledwie kilka bolszewickich komórek.

W biurach w głębi korytarza specjaliści od łamania szyfrów o przetłuszczonych włosach i łuszczącej się skórze ślęczeli nad kolumnami hieroglifów, a staromodni gubernialni urzędnicy w wysokich butach i z bokobrodami pochylali się nad mapą dzielnicy Wyborskiej, planując obławy. Służba bezpieczeństwa potrzebuje wszystkich, powiedział sobie Sagan, napotkawszy kolegę, który do niedawna był rewolucjonistą, ale ostatnio przeszedł na drugą stronę. W swoim notesie miał szczegółowe informacje na temat dawnego włamywacza, który obecnie był w Ochronie specjalistą od otwierania zamków w domach podejrzanych, oraz włoskiego arystokraty, a naprawdę syna żydowskiego mleczarza z Mariupola i homoseksualisty, który specjalizował się w delikatnych przesłuchaniach. .. Co do mnie, pomyślał Sagan, ja też mam swoją specjalność: przekształcanie rewolucjonistów w podwójnych agentów. Potrafiłbym nastawić papieża przeciwko Bogu.

Rozkazał urzędnikowi, żeby przyniósł mu materiały na temat przeprowadzonych tej nocy aresztowań oraz raporty wywiadowców z obserwacji Mendla Barmakida i jego siostrzenicy, Zeitlinówny.

11

Zapach wody różanej i perfumowanych świec w salonie księcia Andronnikowa był tak silny, że Zeitlinowi zakręciło się w głowie i poczuł ból w piersiach. Sięgnął po kieliszek szampana i wypił jednym haustem: potrzebował czegoś dla kurażu. Zaczął obserwować gości, ale wiedział, że nie wolno mu okazywać emocji. Czy wszyscy domyślają się, dlaczego tu jestem? Czy wiadomość o Saszeńce już się rozeszła? - zadawał sobie pytanie. Miał nadzieję, że nie.

Pokój wypełniali mężczyźni we frakach, obwieszeni medalami, ludzie interesu ściąający cygara, ale przeważały kobiety w toaletach z odkrytymi ramionami i młodzieńcy o błyszczących policzkach i uszmińkowanych wargach, ubrani w aksamit, palący papierosy w złotych cygarniczkach.

Korpulentny były minister Chwostow wziął Zeitlina na stronę i powiedział:

- Jest tylko kwestią czasu, kiedy cesarz powoła rząd złożony z przedstawicieli narodu - to nie może tak dalej trwać, prawda, Samuelu?

- Dlaczego nie? To trwało przez trzysta lat. Może nie było doskonale, ale system jest silniejszy, niż nam się zdaje. - Za życia Zeitlina, bez względu na to, ile razy tasowano karty, zawsze układały się one w konfigurację nie całkowicie niekorzystną dla jego interesów. To była jego przyszłość, jego szczęście zapisane w Księdze Życia. Wszystko dobrze się ułoży - dla niego i dla Saszeńki, pocieszał się.

- Słyszałeś coś? - nie ustępował Chwostow, chwytając Zeitlina za ramię. - Kogo on powoła? To nie może tak dalej trwać, prawda, Samuelu? Wiem, że się ze mną zgadzasz.

Zeitlin uwolnił ramię.

- Gdzie jest Andronnikow?

- Tam, w głębi... nie dopchasz się! Za duży tłok. I jeszcze jedna sprawa... Zeitlin uciekł w tłum. Gorąco i zapach perfum były nie do zniesienia. Mokra

od potu dłonie mężczyzn ślizgały się po bladych plecach kobiet. Gęsty dym z cygar tworzył mgłę, na wpół upiorną, na wpół piękną. Był tam generał-gubernator, stary książę Obolenski, prawdziwa szlachta, i dwóch Golicynów: po kolana w gównie, po-

myślał Zeitlin. Ładna dziewczyna, utrzymanka wiceministra spraw wewnętrznych, nowego ministra wojny i wielkiego księcia Siergiusza, na oczach wszystkich całowała się z Simnawiczem, sekretarzem Rasputina. Zeitlinowi nie sprawiało to żadnej satysfakcji: właśnie pomyślał o rabinie i o Miriam. Nie uwierzyliby, że dwór imperium rosyjskiego ma z tym coś wspólnego.

W tłumie gości Zeitlin zobaczył nagle wyłupiaste oko, z rzęsami tak gęstymi, że wydawały się niemal sklezione. Był pewien, że drugie oko i reszta ciała należą do Manasiewiczza-Manujłowa, niebezpiecznego paskarza, który urodził się Żydem, czasami podawał się za luteranina, czasami za prawosławnego, był policyjnym szpiclem, a ostatnio został mianowany sekretarzem samego premiera Sturmera.

Zeitlin torował sobie drogę łokciami, lecz mały Manasiewicz-Manujłow zawsze go wyprzedzał i baron nie zdołał się do niego dopchać. Znalazł się w drzwiach prywatnego sanktuarium księcia Andronnikowa, urządzonego niedawno jak turecki harem - z powiewającymi jedwabiami, fontanną tryskającą ze złotego kurka, którym był penis złoconego męskiego posągu, i, co wydawało się jeszcze bardziej nie na miejscu, wielkim złotym Buddą. Setki woskowych świec palących się na kryształowym żyrandolu potęgowały panujący w pomieszczeniu zaduch.

Prawdopodobnie zapłaciłem za część tego bezguścia, pomyślał Zeitlin, wchodząc do małego pomieszczenia wypełnionego petentami ubiegającymi się o stanowiska. Był tam sam Andronnikow, który palił wodną fajkę i całował w kark chłopca w stroju pazia, a obok niego przycupnął minister spraw wewnętrznych. Zeitlin nigdy się przed nikim nie poniżał: była to jedna z wielu dobrych stron bogactwa. Ale teraz nie było czasu na dumę.

- Ej, rozlałeś mój trunek! Gdzie twoje maniery? - krzyknął jeden z petentów.

- Skąd ten pośpiech, baronie Zeitlin? - zadrwił inny. Lecz Zeitlin, myśląc tylko o córce, parł naprzód.

Przykucnął obok Andronnikowa, i ministra.

- Ach, Zeitlin, serdeńko! - powiedział księżę Andronnikow, który miał na twarzy makijaż i przypominał pulchnego chińskiego eunucha. - Buzi-buzi, mój skarbie!

Zeitlin zamknął oczy i pocałował Andronnikowa w uszmińkowane usta. Wszystko dla Saszeńki, pomyślał.

- Cudowne przyjęcie, księżę.

- Za gorąco, za gorąco - powiedział księżę poważnie i zwracając się do młodzieńca, który zachichotał, dodał: - Za gorąco na ubranie, co?

Na wyłożonych czerwonym jedwabiem ścianach wisiały fotografie ministrów, generałów i wielkich księży z ich autografami: czy był ktoś, kto nie zawdzięczał cze-

goś Andronnikowowi? Andronnikow, szafarz łask, rynsztokowy dziennikarz, przyjaciel możnych i siewca trujących plotek, pomagał ustalać ceny na giełdzie wpływów i właśnie obalił ministra wojny.

- Książę, chodzi o moją córkę... - zaczął Zeitlin, lecz przerwała mu bezceremonialnie chuda, piegowata kobieta o rudych włosach, ze strusim piórem wyrastającym z broszki w kształcie pawia na jedwabnym turbanie. Jej syn potrzebował posady w Ministerstwie Sprawiedliwości, a był już w pociągu zmierzającym na front galicyjski. Protopopow, minister spraw wewnętrznych, widział już oczyma duszy nagrodę za tę przysługę i wstał, ujmując rękę damy. Zeitlin dostrzegł swoją szansę i usiadł na opuszczonym miejscu obok Andronnikowa, który pochylił głowę i wsunął rękę do swojej słynnej teczki, co miało oznaczać: dobijmy targu.

- Drogi książę, moja córka Saszeńka... Andronnikow machnął bladą, upierścienioną dłonią.

- Wiem... twoja córka w Smolnym... aresztowana dzisiaj po południu - i winna, jak wszystko na to wskazuje. No cóż, nie wiem. Co proponujesz?

- Jest teraz w areszcie na Kriestach: czy możemy ją stamtąd wydostać jeszcze dziś?

- Spokojnie, skarbie! Dzisiaj jest już trochę za późno, serdeńko. Ale nie chcielibyśmy, żeby trafiła na trzy lata do Jenisejska za kręgiem polarnym, prawda?

Zeitlin czuł, jak wali mu serce, gdy myślał: jego ukochana Saszeńka nigdy tego nie przeżyje! Andronnikow zatopił się w namiętym pocałunku z siedzącym obok młodzieńcem. Kiedy podniósł głowę, żeby zaczerpnąć powietrza, wargi miał wciąż mokre. Zeitlin wskazał na sufit.

- Mój książę, chciałbym kupić twój... żyrandol - zaproponował. - Zawsze go podziwiałem...

- Jest bardzo bliski mojemu sercu, baronie. To prezent od samej cesarzowej.

- Naprawdę? No cóż, pozwolę sobie złożyć ofertę. Powiedzmy...

12

Towarzyszką Ariadny podczas nocnej wyprawy z salonu baronowej Rozen na kolację u Rasputina była hrabina Missy Loris, wesoła blondynka, która urodziła się w

Ameryce, lecz wyszła za Rosjanina. Missy błagała Ariadnę, żeby przedstawiła ją Rasputinowi, który, jak mówiono, praktycznie rządził Rosją.

Trzymając Missy za rękę, Ariadna wysiadła z limuzyny Russo-Bałt i przeszła przez zacienioną bramę posesji przy ulicy Gorochowej 64, przecięła asfaltowy dziedziniec i stanęła przed drzwiami dwupiętrowej czerwono-brunatnej kamienicy. Drzwi otworzyły się jak za sprawą czarów. Odźwierny - najwyraźniej były wojskowy, a z pewnością agent Ochrony - skłonił się.

- Pierwsze piętro.

Kobiety ruszyły po schodach w stronę otwartych drzwi obitych szkarłatnym sukniem. Rumiany na twarzy mężczyzna w spodniach z niebieskiej serży i szelkach, niewątpliwie policjant, zaprosił je obcesowo do środka.

- Tędy, moje panie!

Przysadzista chłopka w kwiecistej sukience wzięła od nich płaszcze i zaprowadziła je do pokoju, gdzie bulgota! i dymił wysoki srebrny samowar. Obok, bawiąc się jedwabiami, szynszylowymi i sobolowymi futrami, diamentami i czaplami piórami, siedział świątobliwy starzec Grigorij, znany jako Rasputin, w liliowej jedwabnej koszuli przewiązanej karmazynową szarfą, w pasiastych spodniach i wysokich butach z kozłej skóry. Twarz miał zniszczoną, upstrzoną piegami i pomarszczoną, nos poznaczony dziobami po ospie, tłuste włosy z przedziałkiem pośrodku tworzyły nad czołem łuki, a jego broda była rudo-brunatna. Żółte oczy wpatrywały się w Ariadnę, szkliste źrenice poruszały się niespokojnie, jakby nic nie widziały.

- Ach, moja Mała Pszczółka - powiedział. - Proszę! - Podał kobietom rękę. Ariadna przyklękła na jedno kolano i ucałowała jego dłoń, która przesunęła się w stronę Missy. - Wiem, po co przysłaś. Idź do salonu. Są tam wszystkie moje małe gołąbki, droga pszczółko. A ty jesteś nowa. - Ścisnął Missy w tali, aż zapiszczała. - Oprowadź ją, Mała Pszczółko.

- Mała pszczółka - szepnęła Ariadna do Missy - to jego specjalne imię dla mnie. Wszyscy tu mamy przydomki.

- Nie zapomnij powiedzieć o Saszeńce.

- Saszeńka, Saszeńka. Tak, pamiętam.

Przeszły do salonu, gdzie kilkanaście osób, głównie kobiet, siedziało przy stole zastawionym przyniesionymi przez siebie darami - była tam góra czarnego kawioru, połowa jesiotra w galarecie, stopy imbirowych placuszków, jajka na twardo, kawowe ciasteczka i butelka Cahors.

Rasputin był tuż za nimi. Otoczył ramieniem kibić Ariadny i poprowadził ją do stołu. Przedstawił je oddzielnie.

- Dziki Gołąbku, poznaj Małą Pszczółkę, Pięknego Strojnisia, Spokojną...

Wśród kobiet znajdowała się pulchna blondynka z twarzą jak księżyc, w prostej, źle wyprasowanej i źle uszytej beżowej sukni - i z potrójnym sznurem największych pereł, jakie Ariadna w życiu widziała. Była to Anna Wyrubowa, obok której siedziała ładna, ciemnowłosa dama, w modnej, szytej na miarę sukni i czarno-białym kapelusiku - Julia „Liii” von Dehn: te dwie, o czym Ariadna wiedziała, były najlepszymi przyjaciółkami cesarzowej. Uduchowioną atmosferę potęgowała egzaltacja obecnych. Ariadna zdawała sobie sprawę, że podczas gdy cesarz przebywa na froncie, cesarzowa rządzi imperium za pośrednictwem ludzi przebywających w tym pokoju. Wiedziała, że Missy nie jest jeszcze wielbicielką świątobliwego starca - znalazła się tu z powodu przyjęcia. Była znudzona słodką, banalną hrabiną Loris i uwielbiała wszystko, co modne lub odbiegające od normy - a tu miała jedno i drugie. Ale dla Ariadny wyglądało to inaczej. Już trochę pijana i odurzona, w tym pokoju czuła się oczyszczona. Bez względu na to, kim była na zewnątrz, jak nieszczęśliwa i zagubiona czuła się w domu, jak rozpaczliwe były jej miłosne przygody i przypadkowe poszukiwania sensu we wszechświecie, tutaj wszystko nabierało spokojnej prostoty, której nigdy wcześniej nie znalazła.

Rasputin przeszedł wzdłuż stołu, aby każdy z gości mógł ucałować jego dłoń. Kiedy znalazł puste krzesło, usiadł, nabrał garść jesiotra i zaczął jeść, wcierając jedzenie w brodę. Damy przyglądały się w milczeniu, jak bez skrępowania chwyta gołymi rękami ciasto, rybę, kawior, głośno i łapczywie mlaskając. Kiedy skończył, spojrzał na nie wszystkie, a potem położył dłonie na dłoniach Ariadny i ścisnął je.

- Najśłodsza przyjaciółko, dzisiaj potrzebowałam mnie najbardziej i oto jestem.

Pałający żar wezbrał w piersi Ariadny, ogarnął jej szyję, a później całe ciało; poczuła coś pomiędzy dziewczęcym wstydem, religijnym uniesieniem i zmysłowym podnieceniem. Wyłupiaste, przebiegłe oczy Wyrubowej spoglądały na nią zazdrośnie. Co nasz Przyjaciel widzi w tej nisko urodzonej Żydówce, niechlujnej żonie żydowskiego bankiera? - czytała w jej oczach Ariadna, chociaż zarówno sama Wyrubowa, jak i cesarzowa korzystały z hojności Zeitlina.

Ariadna nie dbała o to, choć jej szyję i nagie ramiona pokryły brzydkie czerwone plamy. Tutaj nie była już *jidesze dochte*, urodzoną jako Finkel Barmakid na dworze słynnego rabina z Turbinu, ani udręczoną neurasteniczką, która ledwo panowała nad swoimi żądzami. Tutaj była kobietą godną miłości i uwielbienia - nawet wśród przyjaciół samej pary cesarskiej. Rasputin rozmawiał z cesarzowymi i dziwkami jakby nie było między nimi żadnej różnicy. Na tym polegał geniusz świątobliwego starca - przemieniał swoje wystraszone gołębice w dumne lwice, swoje neurasteniczne ofiary

w piękne zwyciężczynię. Ten świątobliwy prostak ocali Rosję, carów, świat. W salonie panowała cisza, słychać było tylko szept starca i szum samowara w sąsiednim pokoju.

- Mała Pszczółko - powiedział cicho ze swoim chłopskim akcentem, podnosząc ją i prowadząc wokół stołu na sofę, gdzie ją posadził, przysuwając sobie krzesło, ścisnął jej nogi między swoimi. Przeszedł ją dreszcz. - Masz w sobie pustkę. Zawsze balansowałaś pomiędzy rozpaczą a próżnią. Jesteś Izraelitką? Jesteście niespokojnym narodem, ale też bardzo skrzywdzonymi. Uwolnię was wszystkich od niepokoju. Po prostu podążajcie moją świętą drogą miłości. Nie słuchajcie swoich popów ani rabinów - popatrzył w jej błyszczące oczy - oni nie znają całej tajemnicy. Grzech został nam dany, abyśmy mogli okazywać skruchę, a skrucha przynosi radość duszy i siłę ciała, rozumiecie?

- Tak, rozumiemy - powiedziała Wyrubowa donośnym, szorstkim głosem.

- Jak nieszczęsny człowiek o zwierzęcych nawykach ma wy dostać się z otchłani grzechu i wieść życie miłe Bogu? Och, jesteś moją wybranką, moją miodonośną pszczółką. - Nachylił się tak blisko, że Ariadna czuła jesiotra i maderę w jego oddechu. - Grzech trzeba zrozumieć. Bez grzechu nie ma życia, ponieważ nie ma skruchy, a jeśli nie ma skruchy, nie ma też radości. Jak na mnie patrzysz, Mała Pszczółko?

- Ze świętą miłością, ojcze. Grzeszyłam - zaczęła. - Umierałam bez miłości. Potrzebuję miłości w każdym momencie.

- Jesteś spragniona, Pszczółko. - Całował ją powoli w usta. - Teraz, Pszczółko, chodź ze mną. Będziemy się modlić. - Pozostawiając inne kobiety, ujął ją za rękę i poprowadził za zasłonę do sanktuarium.

13

Świt przywitał Saszeńkę oślepiającym światłem i odurzającymi oparami ury-ny, bo wszystkie kobiety z celi opróżniały kolejno pęcherz. Jej szkolny fartuszek był mokry i zakrwawiony, bolało ją każde ścięgnię i każdy mięsień w ciele.

Kroki po kamiennej posadzce, szczykanie kluczy i zgrzyt zamka. Drzwi celi otworzyły się.

W progu stanął mężczyzna.

- Uch! Ależ tu cuchnie - mruknął i wskazał na Saszeńkę. - To ta. Dawajcie ją.

Natasza ścisnęła jej rękę, kiedy dwaj strażnicy przeszli pomiędzy leżącymi ciałami i wyciągnęli ją z celi. Poprowadzili ją szarymi korytarzami i zostawili w pokoju przesłuchań z prostym biurkiem, metalowym krzesłem i łuszczącymi się od wilgoci ścianami. Zza ściany dobiegał krzyk jakiegoś mężczyzny.

Żandarm, porucznik z wygoloną głową i długą, równo przystrzyżoną brodą, otworzył drzwi, podszedł do niej i uderzył pięścią w stół.

- Podaż nam wszystkie nazwiska - powiedział - i już nigdy nie będziesz się bawić w politykę. - Saszeńka wzdrygnęła się, kiedy usiadł na krawędzi stołu i zbliżył do niej swoją siną z wściekłości twarz. - Za dobrze ci się powodzi w życiu - wrzasnął. - Chociaż ściśle rzecz biorąc, nie jesteś prawdziwą Rosjanką. Jesteś Żydówką, nie pochodzisz ze szlachty. Twój żydowski ojciec prawdopodobnie co wieczór salutuje kajzerowi...

- Mój ojciec jest rosyjskim patriotą! Car dał mu medal!

- Nie odpowiadaj mi w ten sposób. Jego tytuł nie jest rosyjski. Żydzi nie mogą mieć u nas tytułów. Wszyscy o tym wiedzą. Kupił go za ukradzione ruble od jakiegoś niemieckiego ksiązątka...

- Król Saksonii zrobił go baronem. - Niezależnie od swoich poglądów na temat pochodzenia klasowego ojca i kapitalistycznej wojny, Saszeńka wciąż była jego córką. - Ciężko pracuje dla swojego kraju.

- Zamknij się, jeśli nie chcesz dostać po buzi. Żyd zawsze pozostaje Żydem. Speculanci, rewolucjoniści, partacze. Wy, Żydzi - Izraelici - wszyscy jesteście tacy sami, prawda? Ale ty jesteś całkiem ładna. Tak, jesteś prawdziwą świeżą truskawką!

- Jak pan śmie! - powiedziała cicho. - Proszę tak do mnie nie mówić! Saszeńka nie jadła ani nie piła od poprzedniego wieczoru. Po chwilach

mężnego oporu opuszczała ją odwaga i energia. Była głodna i tęskniła za gorącą kąpielą. Ale w miarę, jak słuchała wrzeszczącego na nią brutala, on zaczął tracić swoją przewagę. Nie bała się jego małych różowych oczu i błękitnego munduru zdegenerowanego systemu. Bryzgi jego śliny wyglądały groteskowo, lecz łatwo je było zetrzeć.

Na sekundę zamknęła oczy, aby nie widzieć tego policyjnego stupajki. Nie po raz pierwszy wyobraziła sobie skutki, jakie jej aresztowanie wywoła w rodzinnym domu. Mój drogi, daleki ojciec, gdzie teraz jesteś? - zastanawiała się.

Czy jestem dla ciebie po prostu kolejnym problemem do rozwiązania? Co z Fanny Loris i dziewczętami w szkole? Jakże chciałabym posłuchać dzisiaj ich pustej paplaniny. A moja ukochana Lala, uprzejma, troskliwa Mrs Lewis o usypiającym głosie. Nie wie, że dziewczynka, którą kocha, już nie istnieje...

Wrzask znowu się przybliżył. Saszeńka poczuła, że omdlewa z głodu i zmęczenia, kiedy śledczy wypełniał swoje formularze kulfonami pólanalfabety. Nazwisko? Wiek? Narodowość? Wykształcenie? Rodzice? Wzrost? Znaki szczególne? Chciał zdjąć jej odciski palców: podała mu prawą dłoń. Przyciskał każdy palec do poduszeczki z tuszem, a potem odbijał na formularzu.

- Zostałaś oskarżona z paragrafu pierwszego, artykuł 126, o przynależność do nielegalnej Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji i z paragrafu pierwszego, artykuł 102, o przynależność do organizacji zbrojnej. Tak, dziewczyno, twoi przyjaciele są terrorystami, mordercami, fanatykami!

Saszeńka wiedziała, że chodzi o broszury, które rozprowadzała dla wuja Mendla. Kto je pisał? Gdzie jest prasa drukarska? - pytał bez przerwy śledczy.

- Miałaś do czynienia z „kluskami” i „buldogami”?

- Kluski? Nie wiem, o czym pan mówi.

- Nie udawaj niewiniątka! Doskonale wiesz, że kluski to taśmy z amunicją do karabinów maszynowych, a buldogi to pistolety, mauzery.

Kolejny deszcz śliny.

- Czuję się słabo. Chyba muszę coś zjeść... - szepnęła. Wstał.

- Dobrze, księżniczko, mamy tu zabawny zwrot akcji, prawda? Omdlewasz jak ta szlachcianka w *Onieginie*! - Odsunął krzesło i chwycił ją brutalnie za łokieć. - Teraz porozmawia z tobą kapitan Sagan.

14

- Witam, *mademoiselle* baronówno - powiedział oficer urzędujący w głębi korytarza, w małym gabinecie pachnącym trocinami i cygarami. - Jestem kapitan Sagan. Piotr Michajłowicz de Sagan. Przepraszam za okropne maniery

- i oddech - niektórych moich oficerów. Proszę usiąść.

Wstał i popatrzył na swojego nowego więźnia: smukłą dziewczynę z bujnymi brązowymi włosami, stojącą przed nim w wygniecionym i poplamionym mundurku ze Smolnego. Zauważył, że jej wargi, w przeciwieństwie do bladej twarzy, są karmazynowe i lekko opuchnięte. Stała nieporadnie, z rękami skrzyżowanymi na piersi, wpatrując się w podłogę.

Sagan, ubrany w swoją nieskazitelną błękitną bluzę, skłonił się, trzasnął obcasami, jakby znajdowali się na przyjęciu, a następnie wyciągnął rękę. Lubił podawać

więźniom rękę. W ten sposób „mierzył ich temperaturę” i demonstrował coś, co generał nazywał „stałą ukrytą pod maską wdzięku”. Zauważył, że dziewczynie trzęsą się ręce i że przesiąkła niezdrowym zapachem celi. Czy to krew na jej szkolnym fartuszu? Pewnie uderzyła ją jakaś szalona jędza. No cóż, to nie jachtklub. Wytworne uczennice powinny o tym pomyśleć, zanim zaczną spiskować przeciwko cesarzowi.

Przysunął krzesło i pomógł jej usiąść. Uświadomił sobie, że jest niezwykle młoda. Ale Sagan lubił powtarzać, że jest „zawodowym policjantem, nie pielęgniarką”. Z takich niezwykle młodych, rozpieszczonych i zdezorientowanych łatwo było coś wyciągnąć. Choć sama niewiele znaczyła, musiała wiedzieć to i owo. Bądź co bądź, była siostrzenicą Mendla.

Saszeńka osunęła się na krzesło. Sagan z satysfakcją - i wyrachowanym współczuciem - zauważył jej zmęczenie. Naprawdę była jedynie zagubionym dzieckiem.

- Wyglądasz na głodną, *mademoiselle*. Może zamówimy śniadanie? Iwanow? - W drzwiach ukazał się żandarm w mundurze podoficera.

Skinęła głową, unikając jego wzroku.

- Co mam pani podać, *maga-mozelle*? - Iwanow wymachiwał wyimaginowanym piórem i papierem, odgrywając kelnera.

- Zobaczmy! - odpowiedział za nią kapitan Sagan, przypominając sobie raporty z inwigilacji. - Założę się, że na śniadanie dostajesz gorące kakao, biały chleb, lekko przypieczony, masło i kawior? - Saszeńka w milczeniu skinęła głową. - No cóż, skończył nam się kawior, ale mamy kakao, chleb i chyba znajdzie się trochę marmolady Coopera od Jelisiejewa na Newskim Prospekcie. Może być?

- Tak, proszę.

- Jesteś zakrwawiona.

- Tak.

- Ktoś cię uderzył?

- Zeszłej nocy, nic takiego.

- Wiesz, dlaczego tu jesteś?

- Przeczytałam zarzuty. Jestem niewinna.

Uśmiechnął się do niej, ale ona na niego nie patrzyła. Siedziała ze skrzyżowanymi ramionami i drżała.

- Oczywiście, że jesteś winna, pytanie tylko, w jakim stopniu.

Potrząsnęła głową. Sagan uznał, że zanosi się na bardzo nudne przesłuchanie. Iwanow, w fartuchu założonym na błękitny mundur, przyniósł śniadanie i postawił przed Saszeńką chleb, marmoladę i kubek kakao.

- Zgodnie z zamówieniem, *maga-mozelle* - powiedział.

- Bardzo dobrze, Iwanow. Twój francuski jest wyśmienity. - Sagan zwrócił się do więźnia. - Czy Iwanow nie przypomina ci kelnerów u Donana, ulubionej restauracji twojego taty, albo w hotelu Grand Pupp w Karlsbadzie?

- Nigdy tam nie byłam - szepnęła Saszeńka, przeciągając końcami palców po swoich szerokich ustach, co robiła, jak zauważył Sagan, kiedy była zamyślona. - Moja matka się tam zatrzymuje: mnie i moją guwernantkę umieszcza w obskurnym pensjonacie. Ale wie pan o tym, oczywiście. - Znowu umilkła.

Zawsze są takie same. Nieszczęśliwe w domu, a potem wpadają w złe towarzystwo, pomyślał. Musiała umierać z głodu, ale Sagan czekał, aż go zapyta, czy może zacząć jeść.

Tymczasem Saszeńka spojrzała nagle prosto na niego, jakby sam widok jedzenia przywrócił jej siły. Szare oczy, chłodne jak kamień, wpatrywały się w niego badawczo. Jasne tęczy pod zmarszczonymi brwiami i ich szydercza ciekawość zmieszały go.

- Zamierza pan tak siedzieć i patrzeć, jak jem? - spytała, biorąc kawałek chleba.

Pierwszy punkt dla niej, pomyślał Sagan. On, potomek wielu pokoleń bałtyckich baronów i rosyjskich generałów, chciał bić jej brawo. Ale tylko się uśmiechnął.

Sięgnęła po nóż, posmarowała chleb masłem i marmoladą i zjadła wszystkie kromki, szybko i schludnie. Zauważył delikatne piegi po obu stronach jej nosa, a ponieważ jej ramiona nie były już skrzyżowane, zobaczył, że ma bardzo wydatny biust. Im bardziej usiłowała ukryć swoje piersi, tym bardziej rzucały się w oczy. My, śledczy, doszedł do wniosku Sagan, musimy rozumieć takie rzeczy.

Iwanow sprzątnął talerze. Sagan wyciągnął paczkę papierosów z wizerunkiem krokodyla.

- Egipskie krokodyle ze złotym ustnikiem? - spytała.

- Czy to nie twój jedyny luksus? - odparł. - Wiem, że dziewczęta ze Smolnego nie palą, ale w więzieniu, kto patrzy? - Wzięła papierosa, a on podał jej ogień. Potem wyjął jednego dla siebie, podrzucił do góry i złapał ustami.

- Nie tylko oprawca, ale i tresowana małpa - powiedziała miękko, matowym głosem i wypuściła dym w błękitnych kółkach. - Dziękuję za śniadanie. Czy teraz mogę iść do domu?

Ach, uznał Sagan, ma jednak trochę ikry. Światło wydobyło kasztanowy odcień jej ciemnych włosów.

Sięgnął po plik napisanych odręcznie raportów.

- Czyta pan czyjś pamiętnik? - spytała zuchwale. Zmierzył ją miazdzącym spojrzeniem.

- *Mademoiselle*, twoje dotychczasowe życie się skończyło. Prawdopodobnie zostaniesz skazana przez Komisję na pięć lat zesłania w Jenisejsku, blisko kręgu polarnego. Tak, pięć lat. Możesz już nigdy nie wrócić. Ten surowy wyrok zapadnie za twoją zdradę podczas wojny, a ponieważ jesteś Żydówką, następnym razem będzie jeszcze surowszy.

- Pięć lat! - Jej oddech stał się szybki i płytki. - To wasza wojna, kapitanie Sagan, rzeź ludzi pracy na rozkaz cesarzy i królów, nie nasza wojna.

- Dobrze, zagrajmy w małą grę. To są raporty moich agentów. Przeczytam ci, co moje akta mówią o pewnej osobie, którą nazwę *madame X*. Musisz odgadnąć jej nazwisko - Nabrał powietrza, uśmiechnął się do niej i teatralnie zniżył głos. -*Po okresie fascynacji erotyczną religią powieści Arcybaszewa „ Sanin ” i seksualnej rozwiązłości przyjęła „ wschodnie ” nauki tak zwanej uzdrowicielki madame Aspazji del Balzo, która w procesie nazywanym duchową regresją ujawniła, że w poprzednim życiu madame X była służącą Marii Magdaleny, a następnie gorseciarką Joanny d'Arc.*

- To dziecinnie proste! *MadameXio* moja matka - powiedziała Saszeńka. Uśmiechnęła się przelotnie i Sagan zauważył, że jej usta nigdy nie zamykają się do końca. Wrócił do swoich akt.

- *Podczas seansu przy wirującym stoliku madame Aspazja przedstawiła baronową Zeitlin Juliuszowi Cezarowi, który powiedział jej, że nie pozwoli, aby jej córka Saszeńka drwiła z ich seansów metapsychicznych.*

- Zmyśla pan, kapitanie - powiedziała sucho Saszeńka.

- W zakładzie dla obłąkanych, którym jest Piotrogród, nie musimy niczego zmyślać. Pojawiasz się dosyć często w tych aktach, *mademoiselle*, czy raczej powinienem powiedzieć, towarzyszeko Zeitlin. Idźmy dalej. *Baronowa Zeitlin nie ustaje w poszukiwaniach drogi do szczęścia. Nasze dochodzenie wykazało, że madame del Balzo nazywała się wcześniej Beryl Crump i była nieślubną córką Fineasa O'Hary Crumpa, irlandzkiego przedsiębiorcy z Baltimore, miejsce pobytu nieznane. Po przyjęciu nauk francuskiego mistyka monsieur Philippe'a, a następnie tybetańskiego uzdrowiciela doktora Badmajewa, baronowa*

Zeitlin jest obecnie zafascynowana tak zwanym „świątobliwym starcem”, poprosiła go o wypędzenie złych duchów z jej córki Saszeńki, która, jak twierdzi, pogardza nią i niszczy jej duchowe samopoczucie.

- Rozśmiesza mnie pan swoim przesłuchaniem - powiedziała Saszeńka z powagą. - Ale proszę nie myśleć, że ze mną pójdzie tak łatwo.

Sagan odłożył teczkę na biurko, usiadł i uniósł ręce.

- Przyjmij moje przeprosiny. Nie lekceważyłem cię nawet przez sekundę. Bardzo podobał mi się twój artykuł w nielegalnej gazecie „Raboczij Put” - Wyciągnął pod-

niszczony egzemplarz gazety z czerwoną gwiazdą w nagłówku. - Tytuł: *Nauka materializmu dialektycznego, kanibalistyczna imperialistyczna wojna domowa i zdrada awangardy proletariatu przez mienszewików.*

- Nie napisałam tego - zaprotestowała.

- Oczywiście, że nie. Ale to bardzo wnikliwe, a ja dowiedziałem się od jednego z naszych agentów w Zurychu, że wasz Lenin był pod wrażeniem. Nie wyobrażam sobie, żeby jakakolwiek inna dziewczyna ze Smolnego mogła napisać taki artykuł, cytując Plechanowa, Engelsa, Bebla, Jacka Londona i Lenina - a to zaledwie pierwsza strona. Nie chciałem być protekcyjny.

- Powiedziałam, że nie napisałam tego.

- Jest podpisany *Towariszcz Piesiec*. Towarzysz Lis Polarny. Szpicle powiedzieli mi, że zawsze nosisz futro z lisów polarnych, zapewne prezent od kochającego ojca?

- Pretensjonalny pseudonim. Nie mój.

- Daj spokój, Saszeńko - jeśli mogę cię tak nazywać. Żaden mężczyzna nie wybrałby takiego przydomka: mamy towarzysza z kamienia - Kamienie-wa, i towarzysza ze stali - Stalina, obu wysłałem osobiście na Syberię. I towarzysz Mołotow - młot. Znasz ich prawdziwe nazwiska?

-Nie, ja...

- Nasz Wydział Specjalny wie wszystko o waszej partii. Jest naszpikowana naszymi informatorami. Ale wróćmy do towarzysza Lisa Polarnego. Niewiele kobiet w partii zdobyłoby się na coś takiego. Może Aleksandra Kołłontaj, ale znamy jej rewolucyjny pseudonim. Poza tym ona jest na zesłaniu, a ty jesteś tutaj. Przy okazji, czytałaś *Miłośćpszczył-robotnic^e!*

- Oczywiście - odparła Saszeńka, siadając prosto. - Kto nie czytał?

- Ale wyobrażam sobie, że wolna miłość jest bardziej w stylu twojej matki?

- To, co robi moja matka, to jej sprawa, a co się tyczy mojego życia prywatnego, nie mam go i nie chcę mieć. To wszystko mnie mierzi. Pogardzam takimi przyziemnymi rzeczami.

Szare oczy znowu się w niego wpatrzyły. Nikt nie jest takim świętoszkiem jak nastoletnia idealistka (zwłaszcza rozpieszczona córka bogatego bankiera), pomyślał Sagan. Był pod wrażeniem jej gry, choć nie wiedział, co robić dalej: czy powinien ją zwolnić, czy dalej nad nią pracować? Mogła posłużyć jako przynęta do złowienia grubszej ryby.

- Wiesz, że twoi rodzice i stryj Gideon Barmakid próbowali cię uwolnić zeszłej nocy?

- Mama? Jestem zaskoczona, że zadała sobie trud...

- Sierzancie Iwanow! Macie ostatni raport z mieszkania Rasputina? - Iwanow wszedł do pokoju z teczką. Sagan szybko przerzucił papiery. - Jest. „Raport agenta Piotrowskiego”: *Mroczny* - to nasz kryptonim Rasputina, na wypadek, gdybyś się nie domyśliła - *rozmawiał z Ariadną Zeitlin, Żydówką, żoną przemysłowca, i przyznał, że miała szczególny powód do rozmowy. Ale po prywatnym seansie z Mrocznym na temat grzechu i niestosownej scenie po przybyciu madame Lupkiny, Zeitlin w towarzystwie amerykańskiej hrabiny Loris wyszła z mieszkania Mrocznego o 3.33 i pojechała do hotelu Astoria przy placu Maryj-skim, tym samym kabrioletem Russo-Balt. Obie sprawały wrażenie nietrzeźwych. Odwiedziły nocny klub Akwarium, a później garsonierę kapitana gwardii Dwin-skiego, szulera i spekulanta, gdzie... zamówiono szampana... bla, bla, bla... wyszły o 5.30. Pończochy Żydówki Zeitlin były podarte, a jej ubranie w nieładzie. Wróciła do rezydencji Zeitlina przy ulicy Bolszaja Morskaja, a później samochód odwiózł Amerykankę do mieszkania jej męża przy Milionnej...*

- Ale... nie wspomniała o mnie? Sagan potrząsnął głową.

- Nie - chociaż zrobiła to jej amerykańska przyjaciółka. Twój ojciec lepiej się spisał. Ale - podniósł palec, podczas gdy jej twarz rozjarzyła się oczekiwaniem - zostań tutaj. Dla własnego dobra, oczywiście. Straciłabyś wiarygodność w oczach swoich towarzyszy, gdybym zwolnił cię zbyt szybko.

- Niech pan nie będzie śmieszny.

- Gdybym zwolnił cię od razu, mogliby pomyśleć, że zostałam jednym z moich podwójnych agentów. Nie wyobrażaj sobie, że potraktują cię łagodniej, ponieważ jesteś uczennicą. Są zimni jak lód. Albo uznają, że twoi bogaci rodzice popędzili do Rasputina i Andronnikowa i wykupili cię. Pomyślą - moim zdaniem całkiem słusznie - że jesteś po prostu lekkomyślną dyle-tantką. Wyświadczyłbym ci więc przysługę, gdybym się postarał, żebyś dostała te pięć lat za kręgiem polarnym.

Patrzył, jak rumieniec zalewa jej policzki i pali skronie. Jest przerażona, pomyślał, zadowolony z siebie.

- To byłby dla mnie zaszczyt. *Nie znam lęku ni przed ogniem, ni przed nożem*¹ - powiedziała, cytując słowa Zemfiry z *Cyganów* Puszkina. - Poza tym uciekłabym. Wszyscy uciekają.

- Stamtąd byś nie uciekła... Zemfiro. Prędzej byś tam umarła. Obcy ludzie pochowaliby cię w tajdze, w płytkim, bezimiennym grobie. Nie stanęłabyś na czele żadnej rewolucji, nie wyszłabyś za męża, nie miałabyś dzieci - całe twoje życie na ziemi okazałoby się stratą czasu, pieniędzy i troski, którą poświęciła ci rodzina.

¹ * Przeł. Jerzy Ficowski

Zobaczył, jak dreszcz wstrząsa jej ramionami. Pozwolił, aby milczenie się pogłębiło.

- Czego pan ode mnie chce? - spytała drżącym głosem.

- Porozmawiać. To wszystko - powiedział. - Interesują mnie twoje poglądy, towarzyszu Lisie Polarny. To, co ktoś taki jak ty myśli o naszej władzy. Co czytasz. Jak widzisz przyszłość. Świat się zmienia. Ty i ja - niezależnie od naszych poglądów - jesteśmy przyszłością.

- Ale pan i ja różnimy się jak dzień i noc - wykrzyknęła. - Pan wierzy w carów, obszarników i wyzyskiwaczy. Służy pan w tajnej policji tego odrażającego imperium, podczas gdy ja wierzę, że ono jest skazane na zagładę i prędzej czy później runie. Wtedy rządzić będzie lud!

- W rzeczywistości zapewne zgodzilibyśmy się w wielu sprawach, Saszeń-ko. Ja też wiem, że wszystko musi się zmienić.

- Historia zmieni świat, to jasne jak słońce - powiedziała. - Klasy społeczne znikną. Zapanuje sprawiedliwość. Carowie, książęta, moi rodzice i ich zdeprawowany świat, i szlachcice tacy jak pan... - Urwała nagle, jakby powiedziała za dużo.

- Czyż życie nie jest dziwne? Nie powinienem tego mówić, ale prawdopodobnie chcemy tego samego, Saszeńko. Prawdopodobnie czytamy nawet te same książki. Uwielbiam Gorkiego i Leonida Andriejewa. I Majakowskiego.

- Ależ ja kocham Majakowskiego!

- Byłem w piwnicy Pod Bezpańskim Psem tamtego wieczoru, kiedy recytował swoje wiersze - i wiesz, rozplakałem się. Oczywiście nie byłem w mundurze! Ale tak, płakałem nad ich odwagą i pięknem. Oczywiście byłaś w Bezpańskim Psie?

- Nie, nie byłam.

- Och! - Sagan udał zaskoczenie z domieszką rozczarowania. - Nie przypuszczam, żeby Mendel interesował się poezją.

- Nie mam czasu odwiedzać zadymionych kabaretów - powiedziała cierpko.

- Chciałbym cię tam zabrać - odparł. - Ale powiedziałaś, że kochasz Majakowskiego? Oto mój ulubiony wiersz:

Publiczny dom

za publicznym domem

poszły w tan

jak fauny sześciopiętrowe...

- zadeklamował, a ona z entuzjazmem podjęła:

*Rekwizytorze!
Karawan gotowy!
Wdowy w tłum!
Za mało, za mało wdów.
I wzbił się
w niebo
fajerwerk nieprawdopodobnych faktów*

- Sagan znowu podchwycił:

*Nikt nie prosił
żeby ojczyźnie zwycięstwo było pisane.
Na diabła ono bezrękiemu ogryzkowi krwawego obiadu?!*²*
(Przeł. Piotr Mitzner)

Saszeńka stała, porwana pasją słów. Oto uosobienie buntowniczej, zuchwałej młodości - pomyślał Sagan

- No, no, a ja sądziłem, że jesteś po prostu głupią pensjonarką - powiedział powoli.

Rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł Iwanow i wręczył Saganowi kartkę. Sagan poderwał się i rzucił swoje akta na biurko, wzbijając drobiny kurzu.

- No cóż - powiedział - to wszystko. Do widzenia. Saszeńka wydawała się oburzona.

- Odsyła mnie pan? Ale o nic mnie pan nie zapytał.

- Kiedy twój wuj Mendel Barmakid wstąpił do Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji? W maju 1916. Jak uciekł z zesłania? Saniami zaprzężonymi w renifery, parowcem, pociągiem (z biletem drugiej klasy). Nie martw się, towarzyszu Lisie Polarny, wiemy wszystko. Nie zamierzam tracić więcej czasu na przesłuchiwanie cię.

- Sagan udawał lekką irytację, choć w rzeczywistości był bardzo zadowolony. Osiągnął dokładnie to, czego się spodziewał po tym spotkaniu. - Ale nasza rozmowa sprawiła mi ogromną przyjemność. Myślę, że wkrótce znowu powinniśmy porozmawiać o poezji.

² (Przeł. Piotr Mitzner)

Saszeńka owinęła się etolą z lisów polarnych i orenburską chustą, podczas gdy strażnik trzymał jej sobolowe futro. Zanurzając się w jego ciepło, czuła się tak, jakby wchodziła do wanny pełnej gorącego mleka. Nie słuchała szczebiotu sierżanta Wołkowa o „politycznych” i „kryminalistach”, szwajcarskiej czekoladzie i wodzie kolońskiej Brocarda (której nie pożałował sobie na tę okazję).

Wydawało się jej, że trafiła na Kriesty lata temu, a nie poprzedniego wieczoru. Kiedy jednak sierżant powiedział: „Widzisz, nie jestem typowym strażnikiem więziennym”, nagle zapragnęła go objąć. Podał jej worek z książkami.

Opuszczając więzienie, czuła się tak, jakby płynęła w powietrzu. Strażnicy się kłaniali. Drzwi otwierały się po kolei, zbliżając ją do światła. Żandarmi podzwaniiali ogromnymi kluczami zawieszonymi na kółkach, szczękały zamki. Żandarm przy kontuarze naprawdę dotknął otoku czapki. Wszyscy zdawali się życzyć jej wszystkiego najlepszego, jakby była uczennicą wychodzącą ze szkoły po raz ostatni.

Kto ją przywita? - zastanawiała się. Tata? Flek, rodzinny prawnik? Lala? Ale zanim zdążyła sformułować przepowiednię, stryj Gideon już rozkładał szeroko krzepkie ramiona i szedł ku niej tanecznym krokiem, niemal przewracając się na boki, jakby świat się kołysał. Otulił ją swoim futrem, prawie odrywając od ziemi, jego broda draapała Saszeńkę w szyję.

- Och, moje serce! - zagrzmiął, nie zważając na żandarmów. - Jesteś! Chodź! Wszyscy czekają!

W tym momencie kochała unoszący się wokół niego zapach koniaku i cygar i chłonęła go chciwie.

A potem znalazła się na zewnątrz, w mroźnym świetle północnej zimy. Kabriolet Russo-Bałt jej ojca, z łańcuchami na kołach, potoczył się w ich stronę. Pantalejmon, w połyskującym szkarłacie i złotym uniformie, obszedł samochód, żeby otworzyć drzwi, i Saszeńka niemal wpadła do jego wyłożonego skórą wnętrza, pachnącego świeżymi goździkami. Objęły ją ramiona Lali, a stryj Gideon wgramolił się na przednie siedzenie, łyknął koniaku z butelki i podniósł tubę głosową.

- Do domu, Pantalejmonie, młody uwodzicielu! Do diabła z Mendlem! Do diabła z rewolucją i wszystkimi idioootami!

Lala przewróciła oczami i obie parsknęły śmiechem.

Kiedy przejeżdżali przez most, Lala wręczyła Saszeńce puszkę herbatników Huntley & Palmers i ciasteczka babci Miriam. Saszeńka połykała je, myśląc, że jeszcze nigdy tak nie kochała wieży Admiralicji, rokokowego przepychu Pałacu Zimowego - i złotej kopuły Świętego Izaaka. Wracła do domu. Była wolna!

* * *

Stryj Gideon otworzył drzwi, a Saszeńka, pędząc po schodach, przebiegła obok Leonida, starego lokaja, który ze łzami w oczach skłonił się w pas jak wioskowy muzyk przed swoją młodą panią. Gideon rzucił swoje kosmate futro lokajowi, który niemal ugiął się pod jego ciężarem, i zażądał, aby jeden ze służących pomógł mu zdjąć buty.

Saszeńka, czując się jak mała dziewczynka, którą od czasu do czasu pokazywano zapracowanemu ojcu, pobiegła do jego gabinetu. Drzwi były otwarte. Modliła się, żeby tam był. Nie wiedziała, co zrobi, jeśli go nie będzie. Ale był. Zeitlin, w koszuli z szerokim kołnierzem i w kamaszach, słuchał Fleka.

- No cóż, Samuelu, naczelnik więzienia zażądał czterystu - powiedział podobny do ropuchy rodzinny prawnik.

- Drobną sumą w porównaniu z Andronnikowem... -I nagle ją zobaczył.

- Dzięki Bogu, jesteś, moja ukochana Lisiczko-siestriczko - zawołał, nazywając ją jednym z dziecięcych przezwisk. Rozłożył ramiona, a ona przytuliła się do niego, czując na policzku jego starannie utrzymane wąsy, chłonąc znajomy zapach wody kołniskiej, przyciskając usta do jego szorstkiej skóry. - Zdejmij futro, a potem porozmawiamy - powiedział, uwalniając się z jej objęć i prowadząc ją do przedpokoju. Leonid, podążając posłusznie jej śladem, wziął od niej futro, etolę i chustę, a potem Saszeńka zauważyła, że ojciec patrzy na nią z niesmakiem i drgają mu nozdrza. Zupełnie zapomniała, że wciąż ma na sobie brudny fartuszek ze Smolnego.

- Och, Saszeńko, czy to krew? - wykrzyknął ojciec.

- Najdroższa, musimy cię wykapać i przebrać - krzyknęła Lala. - Luda, natychmiast przygotuj kąpiel.

- Saszeńko - wymamrotał Zeitlin. - Dzięki Bogu, wydostaliśmy cię. Marzyła o kąpeli, ale stała nieruchomo, z zadowoleniem patrząc na przerażone twarze ojca i służących.

- Tak - oznajmiła łamiącym się głosem. - Byłam w więzieniu, widziałam, jakimi grobowcami są carskie kazamaty. Nie jestem już tą dziewczynką ze Smolnego, za którą mnie uważacie!

* * *

W ciszy, która zapadła, Lala ujęła dłonie Saszeńki i zaprowadziła ją na drugie piętro, gdzie znajdowało się ich królestwo. Wszystko, każdy skrawek wystrzępionego dywanu, każde pęknięcie na ścianie, wilgotna plama na różowej tapecie w sypialni z zabawnymi obrazkami kucyków i królików, poźółkła emalia angielskiej umywalki, przypominało tu Saszeńce dzieciństwo z Lala, która udekorowała jej pokój, by stworzyć rozkoszne sanktuarium dla jedyne go dziecka.

Już na schodach pachniało solą angielską i sosnowym płynem do kąpieli. Lala zaprowadziła ją prosto do łazienki, zastawionej najbardziej wyszukanymi angielskimi przyborami toaletowymi, błękitnymi, bursztynowymi i zielonymi flakonami balsamów, olejków i płynów do kąpieli. Gruba kostka mydła, czarna, spękana, ukochana, czekała w mydelniczce.

- Co mamy dzisiaj? - spytała Saszeńka.

- To samo, co zawsze - odparła Lala. Saszeńka, choć uważała się już za dorosłą kobietę, nie protestowała, kiedy Lala ją rozbierała i wręczała cuchnące rzeczy Ludzie.

- Spal to wszystko - poleciła Lala.

Saszeńka uwielbiała czuć miękki dywan pod stopami i unoszącą się wokół niej pachnącą mgiełkę. Spojrzała na swoją nagość w zaporowanym lustrze i skrzywiła się na widok ciała, którego wolałaby nie oglądać, kiedy Lala pomagała jej wejść do wanny. Woda była gorąca, wanna (też angielska, sprowadzona z Bond Street) taka głęboka, że Saszeńka natychmiast zamknęła oczy i położyła się.

- Kochana Saszeńko, wiem, że jesteś zmęczona - powiedziała Lala - ale powiedz mi, co się stało? Nic ci nie jest? Tak się martwiłam... -I wybuchnęła płaczem, wielkie łzy spływały po jej szerokich policzkach.

Saszeńka usiadła i scałowała łzy z jej twarzy.

- Nie martw się, Lalu. Wszystko w porządku... - Ale kiedy znowu ułożyła się w wannie, wróciła myślami do ostatniej rozmowy z Mendlem podczas letnich wakacji...

Był cudowny cichy letni zmierzch. Tylko wilga śpiewała w sosnowym lesie.

Saszeńka leżała na hamaku przed ich domem w Zembliszynie, kołysząc się delikatnie i czytając wiersze Majakowskiego, gdy nagle senne kołysanie ustało. Mendel położył rękę na hamaku.

- Jesteś gotowa - powiedział, zaciągając się papierosem. - Kiedy wrócimy do miasta, zaczniesz chodzić na zebrania kółek robotniczych, żebyś mogła nauczyć ich tego, co wiesz. Potem wstąpisz do partii.

- Nie dlatego, że jestem twoją siostrzenicą?

- Rodzina i sentymenty nic dla mnie nie znaczą - odparł. - Czym są takie rzeczy w porównaniu z biegiem historii?

- Co z mamą i tatą?

- Co z nimi? Twój ojciec jest krwio pijcą i wyzyskiwaczem klasy robotniczej, a twoja matka - tak, moja rodzona siostra - zdegenerowaną burżujką. To wrogowie historii. Są nieistotni. Zrozum to, a uwolnisz się od nich na zawsze.

Wręczył jej broszurę pod takim samym tytułem jak pierwsza książka, którą dał jej kilka tygodni wcześniej: *Co robić? Palące zagadnienia naszego ruchu* Lenina. - Przeczytaj to. Przekonasz się, że być bolszewikiem to jak być rycerzem w tajnym wojskowo-religijnym zakonie.

I rzeczywiście, w następnych tygodniach Saszeńka poczuła, jaką radością jest być czystym i bezlitosnym zawodowym rewolucjonistą w tajnej awangardzie Lenina.

Kiedy wróciła do miasta, zaczęła wygłaszać odczyty w kółkach robotniczych. Spotykała się z robotnikami, proletariuszami z ogromnych pietrogradzkich fabryk zbrojeniowych, z mężczyznami, kobietami, a nawet dziećmi. Ludzi tych cechowało poczucie przyzwoitości, z jakim nigdy wcześniej się nie zetknęła. Pracowali jak niewolnicy w fabrykach i mieszkali w dusznych, brudnych domach noclegowych, bez pościeli, bez światła i powietrza, żyjąc jak szczury w podziemnym piekle. I spotykała się z robotnikami wytwarzającymi karabiny i haubice, na których jej ojciec dorobił się majątku. Dzień w dzień pracowała z najbardziej żarliwymi i oddanymi członkami partii, którzy ryzykowali życie dla rewolucji. Potajemny świat komitetów, szyfrów, spisku i towarzyszy odurzył ją - jak mogło być inaczej? To był dramat historii!

Kiedy powinna być na lekcjach tańca lub odwiedzać hrabinę Loris, żeby bawić się ze swoją przyjaciółką Fanny, wykonywała zlecenia Mendla jako kurierka, przynosząc najpierw ulotki i części zapasowe do pras drukarskich, a później „jabłka” - granaty, „kluski” - naboje i „buldogi” - pistolety. Podczas gdy Fanny Loris i jej szkolne koleżanki marzyły o perfumowanych listach od młodych poruczników gwardii, miłośnymi liścikami Saszeńki były kartki z zaszyfrowanymi rozkazami „towarzysza. Pieca”, jak brzmiał jeden z pseudonimów Mendla; jej polkami były przejażdżki miejskimi tramwajami lub saniami ojca z tajnym ładunkiem ukrytym w bieliźnie lub futrzanym kapturze.

- Jesteś doskonałą kurierką - mówił Mendel - bo kto by rewidował uczennicę ze Smolnego w etoli z polarnych lisów, jadącą ozdobionymi herbem saniami krwio pijcy?

- Saszeńka! - Lala potrząsnęła nią łagodnie. - Już pora obiadu. Nie możesz spać całe popołudnie. Czekają na ciebie.

Kiedy Lala szorowała jej plecy, Saszeńka myślała o przesłuchaniu przez Sagana, o szeptach Nataszy, kobiety Mendla, i o własnych ideałach i planach. Uświadomiła sobie, że jest silniejsza i starsza niż wczoraj.

16

Pięć minut później Saszeńka stanęła w drzwiach salonu.

- Wejdz - powiedział ojciec, który odwrócony tyłem do ognia grzał sobie plecy i palił cygaro. Nad jego głową wisiał stary obraz w ogromnej złoczonej ramie przedstawiający założenie Rzymu.

Ku jej zdumieniu, salon był pełen ludzi. Zgodnie z rosyjską tradycją szlachcic prowadził dom otwarty codziennie w porze obiadu, a Zeitlin lubił pozować na szlachcica. Saszeńka jednak oczekiwała, że jej rodzice wyrzekną się tej błazenady w dniu, w którym uwolniono ją z więzienia. Rozglądała się po pokoju i zbierało jej się na płacz - przypomniawszy sobie, że kiedy była małą dziewczynką, rodzice wydali przyjęcie dla ministra wojny, wielkiego księcia i różnych dygnitarzy. Tamtego wieczoru pragnęła, żeby rodzice poświęcili jej więcej uwagi, ale kiedy zeszła na dół, ojciec był w gabinecie - „Prosiłem, żeby mi nie przeszkadzano, czy możecie ją stąd zabrać?” - a matka, w wyszywanej perłami aksamitnej sukni ze złoczymi liśćmi akantu, ustalała, jak posadzić gości - „Szybko! Zabierzcie ją na górę!”. Idąc do siebie, Saszeńka porwała ukradkiem kryształowy kieliszek do wina, a kiedy, stojąc na drugim piętrze, usłyszała rwestes towarzyszący przybyciu cesarskiego kuzyna, zrzuciła go z poręczy i patrzyła, jak rozbija się na kamiennej posadzce w dole. Podczas awantury, jaka się rozpełtała, matka wymierzyła jej policzek, chociaż ojciec nie pozwolił na żadną karę, a Saszeńka przekonała się raz jeszcze, że tylko u Lali może znaleźć pocieszenie.

Gdy Saszeńka weszła do pokoju, zobaczyła wszędobylską Missy Loris (w brokatowej sukni w kolorze kości słoniowej z sobolową lamówką) rozmawiającą z mężem, ocieężałym, lecz dobrodusznym hrabią. Gideon podstawiał kieliszek, żeby nalano mu następny koniak, i emablował prawnika Fleka, któremu blat okrągłego stolika wrzynał się w wystający brzuch.

Był tam również angielski bankier - przyjaciel Ariadny i nieobecnego od dawna brata Mendla, Awigdora, który w 1903 roku wyjechał szukać szczęścia w Londynie, dwaj deputowani do Dumy Państwowej, kilku kolegów Zeitlina od pokera, generał w galowym mundurze z pagonami, francuski pułkownik i pan Putiłow, producent broni.

Saszeńka obdarzyła Putiłowa uśmiechem, ponieważ spędziła wiele godzin, instruując jego robotników, jak działać na szkodę jego brudnych interesów.

- Napijesz się szampana, Saszeńko? - zaproponował ojciec.

- Likieru cytrynowego - odparła. Leonid przyniósł kieliszek.

- Co jest na obiad? - spytała lokaja.

- Ulubione dania barona, *mademoiselle* Saszeńko: grzanki, bliny i kawior, kotlety pożarskie w śmietanie, angielski pudding Yorkshire i kisiel żurawinowy z cukrem. To samo, co zawsze.

Ale wszystko się zmieniło, pomyślała Szaszeńka. Czy oni tego nie widzą?

- Najpierw krótka rozmowa w moim gabinecie - powiedział ojciec. Zostanę osądzona, pomyślała Saszeńka, a potem będę musiała rozmawiać z tą zgrają manekinów.

Przeszli do gabinetu. Saszeńka przypomniała sobie, że kiedy matki nie było, ojciec pozwalał jej siedzieć pod biurkiem. Uwielbiała być blisko niego.

- Mogę posłuchać? - Gideon rzucił się na sofę i wyciągnął, sącząc koniak. Saszeńka bardzo się ucieszyła z jego obecności, bo mógł jej pomóc przeciwstawić się matce, która usiadła naprzeciwko niej, w fotelu ojca.

- Leonidzie, zamknij drzwi. Dziękuję - powiedział Zeitlin, opierając się o swoje Specjalne Krzesło. - Siadaj. - Saszeńka usiadła naprzeciwko matki. - Bardzo się cieszymy, że jesteś w domu, drogie dziecko, ale przeżyliśmy z twojego powodu ciężkie chwile. Nie było łatwo cię wydostać. Powinnaś podziękować Flekowi.

Saszeńka odparła, że tak zrobi.

- Naprawdę mogłaś już być w drodze na Syberię. Niedobrze, że nie będziesz mogła wrócić do Smolnego...

Żadna strata, pomyślała Saszeńka, to instytut dla imbecyli!

- ...ale wynajmiemy korepetytora. No cóż, okazałaś swoją niezależność. Przeczytałaś swojego Marksa i Plechanowa. O włos uniknęłaś nieszczęścia. Ja też byłem kiedyś młody...

- Czyżby? - spytała Ariadna cierpko.

- Nie za mojej pamięci - dodał Gideon.

- Chodziłem na zebrania narodników i socjalistów w Odessie, kiedy byłem bardzo młody. Ale to śmiertelnie poważna sprawa, Saszeńko. Nie możesz dłużej przestawać z tymi niebezpiecznymi nihilistami. - Podeszedł i pocałował ją w czubek głowy. - Tak się cieszę, że jesteś w domu.

- Ja też się cieszę, że tu jestem, tato.

Podala mu rękę, a on ją uściśnął, lecz Saszeńka wiedziała, że ta czuła scena z ojcem sprowokuje matkę. I rzeczywiście, Ariadna odchrząknęła.

- Nie wyglądasz na szczególnie przejętą. Dostatecznie długo zanudzałaś nas swoimi poglądami na temat „robotników” i „wyzyskiwaczy”, a teraz przysporzyłaś nam mnóstwo kłopotów. Musiałam nawet pójść z tym do świątobliwego starca Grigorija.

Gniew wezbrał w Saszeńce. Chciała krzyknąć, jak bardzo jej wstyd, że taka kreatura jak Rasputin rządzi Rosją, wstyd, że jej matka, po upokarzających romansach z szulerami i wariactwach z szarlatanami, zadaje się teraz z Szalonym Mnichem. Ale odpowiedziała jak nastoletnia uczennica, którą wciąż była. Dotknęła swojej sukienki.

- Mamo, nienawidzę marynarskich ubranek i założyłam je po raz ostatni.

- Brawo! - zawołał Gideon. - Z taką figurą jak twoja marnujesz się...

- Dosyć tego, Gideonie. Zostaw nas, proszę - powiedziała Ariadna. Gideon wstał, mrugając do Saszeńki.

- Będziesz nosić to, co ci każę - powiedziała jej matka ubrana w swoją krepdeszynową suknię z koronkowymi falbankami. - Będziesz nosić marynarskie ubranka, dopóki nie przestaniesz się zachowywać jak nieodpowiedzialne dziecko.

- Wystarczy, mówię to do was obu - powiedział Zeitlin cicho. - Twoja matka będzie decydować o tym, conosisz.

- Dziękuję, Samuelu.

- Ale proponuję układ, drogie dziecko. Jeśli obiecasz, że zerwiesz z nihilizmem, anarchizmem i marksizmem i przestaniesz rozmawiać z Mendlem o polityce, twoja matka pójdzie z tobą kupić dla ciebie dorosłą sukienkę u Czerny-szewa, na mój rachunek. Będziesz mogła układać włosy u *monsieur* Troye'a, tak jak ona. Dostaniesz własne bileciki i papeterię od Treumanna, a ty i twoja matka będziecie mogły brać Pantalejmona i składać domowe wizyty. I nigdy więcej nie będziesz musiała nosić marynarskiego ubranka.

Zeitlin rozłożył ręce, pomyślała Saszeńka, jakby przeciął węzeł gordyjski lub rozwikłał zagadkę wyroczni delfickiej. Nie chciała sukienek od Czerny-szewa i z pewnością nie potrzebowała ich tam, dokąd chodziła. Jej kochany, głupi ojciec pragnął, żeby zostawiała swoje bileciki i pisała listy miłosne do hrabiów i gwardzistów o kurzych mózdkach. Ale ona miała już to, czego potrzebowała: prostą bluzkę bez dekoltu, praktyczną spódnicę, wełniane pończochy i wygodne buty.

- Zgoda, Ariadno?

Ariadna skinęła głową i zapaliła papierosa. Potem oboje popatrzyli na Saszeńkę.

- Saszeńko, spójrz mi w oczy i uroczycie mi to obiecaj. Saszeńka spojrzała w błękitne oczy ojca, a potem zerknęła na matkę.

- Dziękuję, tatusiu. Obiecuję, że nigdy więcej nie będę rozmawiać z Mendlem o polityce ani parać się nihilizmem.

Zeitlin pociągnął za brokatowy sznur.

- Tak, panie baronie - odparł Leonid, otwierając drzwi. - Podano do stołu.

17

Niski mężczyzna w binoklach, zbyt dużym kożuchu i skórzanej czapce z daszkiem i nausznikami stał na Newskim Prospekcie, obserwując nadjeżdżającą tramwaj. Było ciemno, a przejmujący wiatr chłostał mu twarz, i tak już czerwoną i zmarzniętą. Po lewej wznosił się ogromny gmach Sztabu Generalnego.

Mendel Barmakid obejrzał się. Szpik - policyjny szpicel - wąsaty mężczyzna o wojskowej postawie w zielonym płaszczu wciąż tam stał, próbując się rozgrzać. Szpicle mieli zwyczaj pracować parami, ale drugiego nie było widać. Mendel zatrzymał się przed oświetloną wystawą Czernyszewa, jednego z tańszych krawców swojej siostry. W witrynie zastawionej manekinami w modnych w tym sezonie aksamitach i tiulach widział siebie: karła ze szpotawa stopą, grubymi wargami i starannie przystrzyżoną bródką. Nie był to atrakcyjny widok, lecz Mendel nie lubił uważać się nad sobą. Newski opustoszał, temperatura spadła tej nocy do minus dwudziestu stopni. Szpicle znowu wpadli na jego ślad, po tym jak komitet piotrogrodzki spotkał się w tajnym mieszkaniu w dzielnicy Wyborskiej. Minęło zaledwie dziesięć dni od jego ucieczki z zesłania, a ci głupcy z policji zastanawiali się, czy ponownie go aresztować, czy pozwolić, żeby zaprowadził ich do swoich towarzyszy.

Tramwaj zatrzymał się z pobrzękiwaniem dzwonek i deszczem iskier z elektrycznych przewodów. Wysiadła jakaś kobieta. Szpicel uderzał dłonią o dłoń, w świetle ulicznej latarni załśnił jego kozacki kolczyk.

Tramwaj ruszył ze zgrzytem. Nagle Mendel pobiegł w jego kierunku, co było nie lada wyczynem, ponieważ mocno kulał. Jego ciało zgięło się w kabłąk, ale jak na kalekę biegł bardzo szybko. Tramwaj już się rozpędzał. Ciężko było biec po śniegu, a chociaż Mendel nie oglądał się za siebie, wiedział, że szpicel już go zauważył i popędził za nim. Mendel zdołał uczepić się poręczy przy drzwiach. Konduktor, z okrzykiem: „Nieźle, staruszkule!”, chwycił go za drugą rękę i wciągnął do wagonu.

Pocąc się w swoim kożuchu, obejrzał się: szpicel biegł za nim, ale nie miał szans dogonić tramwaju. Mendel zasalutował mu, dotykając swojej czapki.

Przejechał dwa przystanki, potem wysiadł przy różowym pałacu Straganowa i jeszcze raz sprawdził, czy ktoś go nie śledzi. Nikogo - chociaż niedługo z pewnością znowu go znajda. Minął kolumnadę soboru Kazańskiego, gdzie czasami spotykał to-

warzyszy, którzy uciekli z zesłania. Padający z ukosa śnieg sprawiał, że Mendel musiał bez przerwy przecierać szkła swoich binokli. Ulica z pomarańczowymi latarniami, oświetlonymi witrynami luksusowych sklepów, żółtobrunatnymi fasadami i powykrzywianymi soplami lodu sterczącymi z rynien i dachów wyglądała jak na pocztówce. Ale Mendel widział tylko sklepy klasy pasożytniczej - pasaż z angielskimi krawcami i francuskimi jubilerami, emporium Jelisiejewa z nieprzyzwoicie wysokimi stertami szynek, jesiotrów, ciastek, ostryg, małży, indyjskich herbat i ciast z owocami firmy Fortnum & Mason; labirynt Gostinego Dworu z brodatymi kupcami w kaftanach, sprzedającymi stare ikony i samowary.

Mendel usłyszał stuk podków - zbliżało się dwóch żandarmów patrolujących ulicę, ale rozmawiali ze sobą głośno i nie zwrócili na niego uwagi. Poczekał przed wystawą Jelisiejewa, aż odjadą. Potem przejechał rolls-royce i podążający w przeciwnym kierunku delaunay: może to Zeitlin?

Dotarł do hotelu Europa ze szwajcarami w szkarłatnych płaszczach i cylindrach. Jego foyer i restauracja były najgęściej obstawionym przez szpicli miejscem w całej Europie - i dlatego czuł się bezpiecznie. Nikt się nie spodziewał, że zbiegły zesłaniec będzie się tu kręcił. Ale miał na sobie nędzny, wystrzępiony kożuch i czapkę, a wokół przechadzali się goście w sobolach, frakach i galowych mundurach. Szwajcar, który był agentem policji, już na niego patrzył.

Mendel usłyszał szelest sań. Pokuśtykał do drzwi, żeby się im przyjrzeć, wypatrując szpików i filerów, agentów zajmujących się inwigilacją. Ale sanie wyglądały na koszerne, siedział w nich tylko zgarbiony woźnica.

Mendel przywołał je i wsiadł.

- Dokąd, *gospodin*?

- Do Pałacu Taurydzkiego.

- Pół rubla.

- Dwadzieścia kopiejek.

- Owies znowu zdrożał. Nie można wykarmić konia za...

Wciąż tylko owies i owies, pomyślał Mendel. Ceny rosły, wojna przybierała katastrofalny obrót. Ale im gorzej, tym lepiej: to była jego dewiza. Woźnica, uznał Mendel, jest prawdziwym drobnym burżujem, który nic odegra żadnej roli w przyszłości. Choć prawdę mówiąc, w Rosji było bardzo niewiele proletariuszy pasujących do modelu marksistowskiego. Na dziesięciu Rosjan dziesięciu było upartymi, zacofanymi, chciwymi, okrutnymi chłopami. Lenin, z którym Mendel przed wojną w Krakowie jadał kiełbasę i pijał piwo, uważał, że jeśli chłopci nie zaakceptują historycznego postępu, trzeba im będzie przetrącić grzbiety.

Mendel był szary z wyczerpania i niedożywienia. Trudno było spać, trudno jeść, ukrywając się przed policją, ale taka egzystencja mu odpowiadała. Nie miał rodziny - a zresztą dzieci go nudziły. Małżeństwo - tak, lecz z Jakutką Nataszą, oddaną towarzyszką, z którą widywał się tylko sporadycznie. Zawsze w ruchu, potrafił spać zarówno na parkowej ławce, jak i na podłodze lub na kanapie. Lenin był w Szwajcarii, a prawie cały Komitet Centralny - Swierdłow, Stalin, Kamieniew - na Syberii i ze starych weteranów 1905 roku na wolności pozostał właściwie tylko on. Ale Lenin rozkazał: „Jesteś potrzebny w Piotro-grodzie: uciekaj!”. Posłał Mendlowi sto rubli, żeby kupił sobie „buty” - fałszywe dokumenty.

Liczyła się tylko partia i sprawa: jestem rycerzem świętego Graala, pomyślał Mendel, gdy sanie zbliżały się do wspaniałej doryckiej kolumnady Pałacu Taurydzkiego, gdzie księżę Potiomkin wydał niegdyś wielki bal dla Katarzyny. Teraz burżuazyjni durnie z rozpaplanego parlamentu - Dumy Państwowej - toczyli tam swoje absurdałne spory. Ale zanim sanie dojechały do pałacu, Mendel pochylił się i klepnął woźnicę w ramię.

- Masz! - wcisnął mu do ręki garść kopiejek i wyskoczył. Przed Dumą stały samochody z włączonymi silnikami, lecz Mendel nie zbliżył się do niej. Pokuśtykał do małej stróżówki przylegającej do koszar pułku gwardii konnej. Obok zatrzymała się i zatrąbiła stara limuzyna Adler z wielkoksiażęcym herbem, wioząca oficera gwardii i lokaja w dworskiej liberii.

Wartownik, jednocześnie kłaniając się, dopinając spodnie i przytrzymując czapkę, wybiegł i próbował otworzyć bramę. Mendel rozejrzał się i zapukał do zakurzonych drzwi stróżówki.

Drzwi otworzyły się. Dozorca o czerwonych policzkach, w chłopskiej koszuli i pożółkłych kalesonach, wprowadził go do obskurnego małego pokoju z piecem i samowarem, przesyconego zapachem śpiących ludzi i gotowanych jarzyn.

- To ty? - spytał Igor Wieriezin. - Myślałem, że jesteś na Kamczatce.

- W guberni jeniisejskiej. Przyszedłem. - Mendel zauważył, że dozorca ma łysą głowę kształtu i koloru rozgrzanej do czerwoności kuli. - Jestem głodny, Wieriezin.

- Kapuśniak, czarny chleb i kielbasa. Samowar kipi, towarzyszu.

- Są dla mnie jakieś wiadomości?

- Tak, ktoś wepchnął dzisiaj gazetę przez drzwi.

- Ktoś przyjdzie dzisiaj wieczorem. Wieriezin wzruszył ramionami.

- Gdzie gazeta? Niech spojrzę. - Mendel zdjął płaszcz, sprawdził tylne i frontowe okno. - Mogę się przespać?

- Rozgość się towarzyszu. Kanapa jest twoja, chociaż sam mógłbym tam poleżeć przez chwilę. - W ciemnym pokoju nie było łóżka i dozorczy spali po kolei na kanapie.
- No, to jak uciekłeś?

Ale Mendel, wciąż w czapce, butach i binoklach, wyciągnął się już na kanapie.

* * *

Rozległo się pukanie do drzwi i Wieriezin zobaczył, że nastoletnia dziewczyna w pięknym futrze, niewątpliwie sobolowym, i etoli z polarnych lisów, wchodzi z wahaniami do pokoju. Była szczupła, miała szerokie usta i nadzwyczajnie jasne szare oczy.

- Mam dzisiaj szczęście! - zażartował Wieriezin. - Przepraszam za moje spodnie! Obrzuciła go miażdżącym spojrzeniem.

- Baramian? - spytała.

- Proszę do środka, wielmożna pani - zażartował Wieriezin, kłaniając się jak dworski lokaj. - W takim płaszczu mogłabyś wejść przez główną bramę razem z feldmarszałkami i książętami.

Mendel wstał powoli.

- Ach, to ty - powiedział, świadom, że głos, głęboki i donośny jak trąba je rychońska, jest jego najbardziej imponującą cechą. Zwrócił się do Wieriezina. - Możesz się przejść po dworze?

- Co? W taką pogodę? Chyba żartujesz... - Ale Mendel nigdy nie żartował - chyba że na temat szubienic. Teraz spojrzał znacząco w stronę pieca gdzie leżał jego „buldog” - pistolet mauzer - owinięty w szmatę, i Wieriezin czym prędzej zmienił zdanie. - Pójdę i kupię trochę solonej ryby. - Włoży płaszcz i wyszedł.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Saszeńka usiadła na wiklinowym stoku przy piecu.

- Nie ufasz mu? - Poczęstowała Mendla perfumowanym papierosem z « złotym ustnikiem.

- To stróż. - Mendel przypalił papierosa. - Większość dozorców to informatorzy Ochrony, ale jeśli z nami sympatyzują, ich stróżówki są najbezpieczniejszymi melinami. Dopóki mnie nie wyda, nikt nie będzie szukał bolszewika w koszarach gwardii konnej. - Wypuścił obłok dymu. - Dom twojego OJCE jest pod obserwacją. Czeka ją na mnie. Jak się wydostałaś?

- Poczekałam, aż wszyscy zasną. Mama i tak wychodzi każdego wieczoru. Potem wymknęłam się Czarną Drogą na dziedziniec i wyszłam przez garaż. Nie spodziewali się, że dziewczyna w sobolach i eleganckich butach ich przechytry. Dobrze mnie wy-

szkoliłeś. Nauczyłam się szyfrów. Robię się coraz zręczniejsza. Jak duch. I jestem szybka jak górską kozica.

Mendel doświadczył dziwnego uczucia i uświadomił sobie, że cieszy go jej widok. Kipiała życiem. Ale nie uściskał jej, chociaż chciał. I tak była już rozpieszczona.

- Nie bądź zbyt pewna siebie - powiedział zrzędlawie. - Towarzyszko Lisie Polarnej, czy dostarczyłaś wiadomość do punktu kontaktowego?

-Tak.

- Odebrałaś broszury z drukarni?

-Tak.

- Gdzie są teraz?

- W mieszkaniu w dzielnicy Piotrogradzkiej. Ulica Szerokaja.

- Jutro muszą dotrzeć do towarzyszy w Zakładach Putiłowskich.

- Zrobię to. Wszystko tak jak zwykle? Mendel skinął głową.

- Dobrze sobie radzisz, towarzyszko.

Wyglądała tak młodo, kiedy się uśmiechała, a w mdłym świetle lampy Mendel zauważył piegi po obu stronach jej nosa. Z jej szybkich odpowiedzi zorientował się, że chce mu coś powiedzieć. Zdecydował, że każe jej poczekać.

Przy niej poczuł się nagle starym człowiekiem, chorym na artretyzm, ze skórą poznaczoną pękniętymi żyłkami, z pasemkami siwizny w przetłuszczonych włosach. Oto co robi z człowieka zesłanie i więzienie.

- Drogi towarzyszu - powiedziała - nie wiem, jak ci dziękować za twoje nauki. Nigdy bym nie przypuszczała, że słowa „towarzysz” i „komitet” będą dla mnie takie ekscytujące, ale są. Naprawdę!

- Nie mów za dużo - upomniał ją surowo. - I uważaj przy towarzyszach. Znają twoje pochodzenie i będą szukać oznak burżuazyjnego filisterstwa. Zostaw sobole. Włóż karakuły.

- Dobrze. Mam poczucie, że jestem tylko pionkiem w tajnym świecie, śrubką w mechanizmie dziejów.

- Wszyscy nimi jesteśmy, ale w tym momencie w Pitrze jesteś ważniejsza, niż sądzisz. Mamy tak niewielu towarzyszy - powiedział Mendel, zaciągając się papierosem. Jego zaczerwienione oczy były na wpół przymknięte. - Czytaj, dziewczyno. Nigdy dosyć czytania. Samodoskonalenie to bolszewicka cnota.

- Coraz bardziej brakuje żywności. Widziałaś kolejki? Wszyscy narzekają - od kapitalistów, którzy przychodzą do taty na obiady, po towarzyszy w fabrykach. Chyba niebawem coś się wydarzy?

Mendel potrząsnął głową.

- Pewnego dnia tak, ale nie teraz. W Rosji wciąż nie ma prawdziwej klasy robotniczej, a bez niej rewolucja nie jest możliwa. Nie jestem pewien, czy to nastąpi za naszego życia. Jak można przeskoczyć całe etapy marksistowskiego rozwoju? To nie może się stać, Saszeńko. To niemożliwe.

- Oczywiście. Ale z pewnością...

- Nawet Lenin nie jest pewien.

- Dostajesz od niego listy? Mendel przytaknął.

- Opowiedzieliśmy mu o dziewczynie ze Smolnego, nazywanej Lisem Polarnym.

Jak rodzina?

Saszeńka wzięła głęboki oddech. Teraz, pomyślała.

- Towarzyszu Mendel - powiedziała - wczoraj zostałam aresztowana i spędziłam noc na Kriestach.

Mendel pokuśtykał do pieca, wziął brudną łyżkę, pochylił się nad kapuśniakiem i spróbował. Papieros wciąż zwisał z kącika jego ust.

- Moje pierwsze aresztowanie, wujku!

Przypomniał sobie swoje pierwsze aresztowanie dwadzieścia lat temu, przeżalenie ojca, wielkiego rabina Turbinu, i własną dumę z tego zaszczytnego wyróżnienia.

- Moje gratulacje - powiedział Saszeńce. - Stałaś się prawdziwą rewolucjonistką. Czy towarzysze z komitetu więziennego zatroszczyli się o ciebie?

- Towarzyszka Natasza zatroszczyła się o mnie. Nie wiedziałam, że wzięliście ślub.

Czasami, pomyślał, przetykając kawałek kiełbasy, który wyłowił z rondla, Saszeńka zachowywała się jak prawdziwa pensjonarka.

- Wzięłam ślub z partią. Towarzysze trafiają do więzienia codziennie i bardzo niewielu wychodzi na wolność następnego dnia.

- Jest coś jeszcze.

- Mów - powiedział, opierając się o piec, tak jak robił to na zesłaniu, aby przetrwać arktyczną zimę.

- Przez kilka godzin przesłuchiwał mnie kapitan żandarmerii Piotr Sagan.

- Sagan, hę? - Mendel wiedział, że Sagan jest oficerem Ochrony, któremu powierzono zadanie wykończenia partii. Podszedł z powrotem do małego stołu, wlokąc za sobą ciężki but. Stół zatrzeszczał pod jego ciężarem. Skoncentrował się, obserwując jej twarz. - Chyba słyszałem to nazwisko. I co?

- Próbował coś ze mnie wyciągnąć, ale wujku - powiedziała, siadając obok niego na stole i chwytając go za ramię, znowu jak dziewczynka ze Smolnego - on się szczyści swoim humanitaryzmem. Jest kimś w rodzaju burżuazyjnego liberała. Wiem, że je-

stem nowicjuską, ale chcę cię poinformować - i Komitet Piotrogradzki - że on chyba chce się ze mną zaprzyjaźnić. Oczywiście nie zachęcałam go w żaden sposób, Ale pod koniec powiedział, że chciałby spotkać się ze mną znowu i kontynuować naszą rozmowę...

- ...o czym?

- O poezji. Dlaczego się uśmiechasz, wujku?

- Dobra robota, towarzyszeko - powiedział Mendel, zastanawiając się głęboko nad nową sytuacją.

Sagan, zubożały szlachcic, był przebiegłym policjantem, który specjalizował się w urabianiu kobiet-rewolucjonistek. Ale równie dobrze mógł sympatyzować z lewicą, ponieważ funkcjonariusze tajnej policji najlepiej wiedzieli, jak przegniły jest reżim. Mógł to być sygnał, sztuczka, uwiedzenie, zdrada - albo po prostu policjant z intelektualnymi pretensjami. Mogło się to rozegrać na sto sposobów, a Saszeńka nie rozumiała żadnego z nich.

- A jeśli się do mnie zwróci? - spytała.

- Jak myślisz? - odparł.

- Jeśli podejdzie do mnie na ulicy, powiem mu, żeby nigdy więcej się do mnie nie odzywał, i zdrowo go zwymyślam. Czy tego właśnie ode mnie oczekujesz?

Ciszę zakłócał jedynie furkot płomienia lampy naftowej. Mendel wpatrywał się w nią intensywnie jak pop podczas egzorcyzmów. Dziecko, które znał od urodzenia, było niedoświadczonym, lecz frapującym stworzeniem, pomyślał, zastanawiając się, czy Sagan chce z niej zrobić podwójnego agenta, żeby dobrać się do samego Mendla. Ale można to było rozegrać na dwa sposoby, a on nie zamierzał zaprzepaścić okazji do zniszczenia Sagana, bez względu na cenę.

- Mylisz się - powiedział powoli.

- Jeśli komitet sobie tego zażyczy - ciągnęła - zabiję go z browninga taty

- trzyma go w biurku - albo z mauzera ukrytego za książkami w domu na Szyrokiej. Pozwól mi to zrobić!

- W końcu postawimy ich wszystkich pod ścianą - powiedział Mendel.

- A teraz mnie posłuchaj. Możesz już nigdy więcej nie usłyszeć o Saganie. Ale jeśli się pojawi, porozmawiaj z nim, wybadaj go. Może się okazać przydatny dla partii i dla mnie.

- A jeśli spróbuje mnie zwerbować?

- Spróbuje. Pozwól mu myśleć, że to możliwe.

- A jeśli towarzysze zobaczą mnie z nim? - spytała niespokojnie.

- Biuro Komitetu będzie poinformowane o tej operacji. Troje z nas - trójka

- tylko ja i jeszcze dwie osoby. Boisz się?

Saszeńka potrząsnęła głową. Jej oczy jarzyły się w ciemnościach. Widział, że jest przestraszona i podekscytowana swoim zadaniem.

- Ale czy towarzysze mogą mnie zabić jako zdrajcę?

- Oboje ciągle ryzykujemy. W chwili, kiedy stałaś się bolszewikiem, skończyło się twoje normalne życie. Bez przerwy stąpasz po płonących węglach. Jakbyś wskoczyła do sań pędzących tak szybko, że nigdy nie zdołasz wysiąść. Prowadzimy potajemną wojnę, najważniejszą grę. Partia przeciwko Ochronie. Robisz to, co mówię, nic więcej, i przekazujesz mi każde słowo. Znasz szyfry i punkty kontaktowe? Bądź czujna. Czujność to cecha bolszewika. Możesz oddać cenne usługi partii szybciej, niż przewidywałem. Rozumiesz?

Mendel ściszył głos i miał nadzieję, że mówi przekonująco. Wyciągnął rękę i wymienili uścisk. Jej dłoń była jak z jedwabiu, delikatna i nerwowa jak ptak, któremu łatwo można zmiażdżyć kości.

- Dobranoc, towarzyszo.

Saszeńka wstała, włożyła futro, etolę, boty, czapkę i owinęła głowę chustką. Przy drzwiach odwróciła się, blada i poważna.

- Nie chciałabym, żebyś mnie chronił, ponieważ należę do rodziny,

- Nigdy tego nie zrobię, towarzyszo.

18

- Widzisz tę małą? - spytał starszy mężczyzna w kożuchu, z policzkami czerwonymi jak surowy befszytk.

- To znowu ona. Pociesza złamane serce?

- Pracuje czy planuje napad na bank?

- Może wynajęła pokój w hotelu?

- Poświęca się dla kochanka, który wie, jak umyć końską dupę? Na przykład dla mnie!

- Hej, dziewczyno, napij się z nami wódki!

Pośrodku placu Świętego Izaaka, niedaleko ulicy Bolszaja Morskaja, gdzieś pomiędzy Pałacem Maryjskim a soborem, stała nędzna drewniana chata, pomalowana na czarno, z brezentowym dachem, tak że wyglądała jak ogromna jednokonna dorożka z

postawioną budą. Tam, w duszącym zapachu przegotowanej kapusty i ludzkiego potu, woźnice jednokonných dorożek - *izwoszcziki* - późną nocą przychodzili pić i jeść.

Saszeńka, w prostym karakułowym płaszczu i skórzanej czapce, usiadła sama i wrzuciła kilka kopiejek do mechanicznej pianoli, która zaczęła grać *Yankee Doodle*, później jakieś walce Straussa i znowu *Yankee Doodle*. Zapalając papierosa, spojrzała przez okno na samochody przed hotelem Astoria, padający śnieg i konie, które stukwały podkowami o lód. Czekwały cierpliwie wśród kłębow buchającej z pysków pary.

Minęły dwa dni od jej spotkania z Mendlem. Tego wieczoru o jedenastej Lala zajrzała do jej sypialni.

- Zgaś już światło, kochanie - powiedziała. - Wyglądasz na zmęczoną. - Lala usiadła na łóżku i pocałowała ją w czoło, jak zawsze. - Zepsujesz sobie oczy od tego czytania. Co czytasz?

- Och, Lalu... kiedyś ci opowiem - odparła Saszeńka, układając się do snu, wystraszona, żeby guwernantka nie odkryła, że pod kołdrą jest ubrana do wyjścia.

Kiedy była pewna, że Lala już śpi, wymknęła się z domu, wsiadła do tramwaju, a później pojechała dorożką do fabryk w dzielnicy Piotrogradzkiej. Spędziła godzinę w kółku robotniczym w Zakładach Putiłowskich i wraz z młodym gimnazjalistą i dwoma tokarzami dostarczyła części zapasowe do prasy drukarskiej do nowej kryjówki w dzielnicy Wyborskiej.

Później miała godzinę czasu do zabicia, przespacerowała się więc Nabrzeżem, potem wzdłuż Mojki do ulubionego Mostu Pocałunków, mijając żółty pałac Jusupowa, który bardziej niż inne budowle pokazywał bogactwo nielicznych. Przyszła tutaj, do knajpy dorożkarzy, ponieważ znajdowała się ona blisko domu - ale to był już inny świat.

Zamówiła pikantną uchę, kozi ser, czarny borodiński chleb i herbatę - i siedziała, słuchając męskich plotek. Kiedy rozmawiali o niej jak o kobiecie, nie bardzo rozumiała, co mają na myśli. Widziała swoje odbicie w małym oknie i jak zawsze czuła się skrepowana. Woląa swój wizerunek na mrozie, w płaszczu z wysokim kołnierzem, etoli i czapce.

Nie bądź próżna, powiedziała sobie Saszeńka. Nie interesował jej własny wygląd. Tak jak wuj Mendel, żyła dla rewolucji. Kiedy na ulicy rozglądała się, widziała tylko tych, którzy odniosą korzyść z pięknych praw dialektyki.

Umoczyła chleb i ser w musztardzie i zakrzuszyła się od jej ostrego smaku. Później ssała bezkształtną grudkę cukru i uświadomiła sobie, że jeszcze nigdy w życiu nie czuła się taka szczęśliwa.

Kiedy była dzieckiem, rodzice zabrali ją do Turbinu, aby odwiedzić rabi-nacki dwór dziadka, Abrama Barmakida, z jego pedelami, uczniami, studentami i pochleb-

cami. Była bardzo młoda, a jej ojciec nie był jeszcze taki bogaty, i mieszkali w Warszawie pełnej chasydzkich Żydów. Ale nic nie przygotowało Saszeńki na średniowieczne królestwo Abrama Barmakida. Prawdziwy fanatyzm, surowa radość, gardłowe dźwięki jidysz, mężczyźni z pejsami, w szalach i gabardynowych płaszczach, kobiety w perukach - wszystko to ją przerażało. Już wtedy bała się ich średniowiecznych czarów i przesądów.

Ale teraz uświadomiła sobie, że świat jej dziadków, świat golemów i złych spojrzeń, nie był gorszy niż świecki kult mamony, którym przesiąkł jej ojciec. Od dziecka była wstrząśnięta niesprawiedliwością, którą widziała w Zembli-szynie i w ogromnych majątkach ojca nad Dnieprem. Luksus i rozwiązłość nieszczęśliwego małżeństwa rodziców wydawały się jej odbiciem zepsucia Rosji i świata kapitalistycznego.

Mendel ocalił ją przed całą tą niegodziwością i odmienił jej życie. „Jeśli kochasz, kochaj z werwą, jeśli grozisz, waż na słowa”, napisał Aleksiej Tołstoj. To było jej „wszystko albo nic”. Napawała się cudownym poczuciem przynależności do tajnego, gigantycznego spisku. Było coś uwodzicielskiego w poświęceniu starej moralności klas średnich na rzecz nowej moralności rewolucji. Przypominało to siedzenie w tej speluncie: właśnie brak romantyzmu czynił je tak romantycznym.

Spojrzała na zegarek. Czwarta czterdzieści pięć. Czas iść. Włożyła płaszcz i czapkę, rzuciła na stół kilka monet. Dorożkarze patrzyli na nią, kiwając głowami. Ulicą jechały wozy wypełnione bańkami z mlekiem, przed piekarnią ładowano na wóz świeżo upieczony chleb. Furmani ciągnęli worki z węglem. Dozorcy zamiatali schody. Piter budził się do życia.

Mroźne powietrze było tak orzeźwiające po piźmowym zapachu knajpy dorożkarzy, że Saszeńka wciągała je, aż zaczęło parzyć jej płuca. Jakże kochała Piotrogród z jego szczególnym klimatem, niemal arktycznym w zimowych ciemnościach, ale w lecie, kiedy nigdy nie zapadał zmrok, jasnym jak Raj przed Upadkiem. Przepyszne fasady o barwie porcelanowego błękitu i ochry olśniewały majestatem. Ale za nimi kryły się fabryki, tramwaje i zatłoczone domy noclegowe dla robotników. Piękno, które ją otaczało, było kłamstwem. Prawda mogła się wydawać szpetna, ale też odznaczała się swoistym pięknem. Do niej należała przyszłość!

Przebiegła plac Świętego Izaaka. Nawet w zimie można było dostrzec zbliżający się świt: złota kopuła zaśniła ciemnym blaskiem, zanim jeszcze na horyzoncie ukazała się poświata. Astoria nadal ucztowała - Saszeńka słyszała orkiestrę, w mroku błyskały brylanty kobiet i pomarańczowe ogniki cygar. Jachtklub wciąż był otwarty, trojki i limuzyny czekały na zewnątrz na dworzan i finansistów.

Szła ulicą Bolszaja Morskaja. Usłyszała warkot samochodu i uskoczyła do bramy, jak duch, którego opisała Mendlowi.

Delaunay zatrzymał się przed jej domem. Pantalejmon, w wysokich lśniących butach, otworzył drzwi samochodu, z którego wysiadła jej matka. Najpierw pojawiła się stopa w buciku z miękkiej skóry. Potem mignęły jedwabne pończochy i satynowa suknia połyskująca cekinami.

Biała upierścieniona dłoń chwyciła krawędź drzwi. Saszeńka była zdegustowana. Wracała do domu, wykonawszy swoje zadanie w służbie klasy robotniczej, i oto, w tym samym czasie, wracała również jej matka, po zaspokojeniu żądź jakiegoś zdeprawowanego mężczyzny, który nie był jej ojcem.

Patrzyła, jak matka wysiada z samochodu i zatacza się, usiłując utrzymać równowagę. Pantalejmon pospieszył, żeby złapać ją za rękę.

Saszeńka miała ochotę podrapać matce twarz i wrzucić ją do rynsztoka, gdzie było jej miejsce, ale kiedy wyszła z cienia, zobaczyła, że Pantalejmon kuca na śniegu, wciągając na chodnik jakiś czarny wijący się toból. To jej matka próbowała podnieść się na nogi.

Saszeńka podbiegła do nich. Ariadna pełzła na czworakach, pończochy miała podarte, nagie kolana zakrwawione. Znowu upadła, jedną ręką szukając oparcia na śniegu, drugą próbując odepchnąć wyciągnięte ramię Pantalejmona.

- Dziękuję, Pantalejmonie - powiedziała Saszeńka. - Sprawdź tylko, czy drzwi są otwarte. I odeślij stróża z powrotem do łóżka.

- Ależ panienko, pani baronowa,...

- Proszę, Pantalejmonie, ja się nią zajmę.

Na twarzy Pantalejmona malowała się udręka typowa dla służących, którzy patrzą na upadek swoich chlebobawców. Ukłonił się, poczłapał do domu, lecz chwilę później pojawił się znowu, wsiadł do delaunaya i odjechał.

Matka i córka zostały same na ulicy pod latarnią.

Saszeńka uklękła obok płaczącej matki. Łzy płynęły czarnymi strużkami po brudnej białej skórze, jak błotniste ślady na starym śniegu.

Saszeńka postawiła matkę na nogi, objęła ją ramieniem i wciągnęła po dwóch stopniach do domu. Wielki przedpokój był prawie ciemny, paliła się tylko elektryczna żarówka na podeście schodów. Wielkie białe kwadraty lśniły jasno, natomiast czarne wyglądały jak dziury sięgające do środka ziemi. Saszeńce udało się jakoś zaprowadzić matkę do jej pokoju. Światło elektryczne byłoby za jasne, zapaliła więc lampę naftową.

Ariadna łkała. Saszeńka podniosła ręce matki do swoich warg i ucałowała je, zapominając o niedawnym gniewie.

- Mamo, mamó, jesteś już w domu. To ja, Saszeńka! Rozbiorę cię i położę do łóżka.

Ariadna trochę się uspokoiła, chociaż nadal bełkotała od rzeczy, kiedy Saszeńka ją rozbierała.

- Zaśpiewaj to jeszcze raz... samotność... twoje wargi są jak gwiazdy, domy. ..wino jest kiepskie, zły rocznik... przytul mnie... czuję się chora... zapłać, ja zapłacę, stać mnie na to... Miłość to Bóg... czy jestem w domu... mówisz jak moja córka... moja występna córka... jeszcze jeden kieliszek, proszę... pocałuj mnie mocno.

Saszeńka ściągnęła matce buciki, odrzuciła na bok sobole i kapelusz ze strusimi piórami, zdjęła satynową suknię wyszywaną cekinami, rozpięła stanik, zrolowała podarte pończochy, odpięła broszki, trzy sznury pereł i brylantowe kolczyki. Kiedy zdejmowała halkę, włożoną na lewą stronę, owiał ją zapach potu i alkoholu, przyprowadzający o mdłości. Przysięgła sobie, że nigdy nie doprowadzi się do takiego stanu. W końcu zagrzała wodę i umyła matce twarz.

Uświadomiła sobie ze zdumieniem, że stała się matką, a matka dzieckiem. Złożyła i powiesiła jej rzeczy, schowała biżuterię do aksamitnego puzderka, wrzuciła bieliznę do kosza z praniem. Potem położyła matkę do łóżka i pocałowała w policzek. Pogłaskała ją po głowie i usiadła obok.

- Ty i ja... - powiedziała Ariadna, zasypiając, przewracając się i rzucając niespokojnie.

- Śpij, mamo. Cicho, cicho. Już po wszystkim.

- Najdroższa Saszeńko, ty i ja...

Kiedy Ariadna wreszcie zasnęła, Saszeńka wybuchnęła płaczem. Nie chcę mieć dzieci, powiedziała sobie. Nigdy!

19

Saszeńka wciąż spała na krześle w buduarze Ariadny, kiedy usłyszała głos matki:

- Saszeńko! Dzisiaj zabiorę cię na zakupy, tak jak chciał ojciec. Będziesz miała sukienki od Czernyszewa. Może nawet suknię od *madame* Brissac, jak małe wielkie księżne!

- Ale dzisiaj muszę się uczyć - powiedziała Saszeńka, przeciągając się i wchodząc do sypialni matki.

- Nie bądź śmieszna, moja droga - odparła matka. - Spójrz, jak ty wyglądasz. Jak nauczycielka!

Jadła śniadanie z tacy na łóżku, a pokój pachniał kawą, grzankami, kawiozem i gotowanymi jajkami.

- Zostałyśmy prawdziwymi przyjaciółkami, prawda, moja słodka? Kiedy Leonid skończył podawać i wyszedł z pokoju, Ariadna mrugnęła do Saszeńki, która nie mogła wyjść ze zdziwienia, że matka tak szybko doszła do siebie po nocnych szaleństwach. Rozwiążność wymaga żelaznego zdrowia, pomyślała.

- Nie wiem, czy mogę pójść.

- Wychodzimy o jedenastej. Lala przygotuje ci kąpiel.

Saszeńka postanowiła nie oponować. Dni i tak nieznośnie się jej dłużyły. Żyła dla godzin nocnych.

Godzinę później kawowej barwy benz, ich trzeci samochód, prowadzony przez Pantalejmona w mundurze z żółtymi i czerwonymi wyłogami, zawiózł je pod słynną witrynę z manekinami w kapeluszach, toczkach i sukniach balowych: pracownię krawiecką Czernyszewa na rogu ulicy Bolszaja Morskaja i Newskiego.

Drzwi magazynu mody otwierali odźwierni w zielonych frakach. Wewnątrz kobiety w białych rękawiczkach, kapeluszach jak kosze z owocami i sukniach z wąską talią przymierzały kolejne kreacje. Powietrze było przesycone zapachem perfum.

Ariadna zarekwirowała całą prawą stronę sklepu i ku wielkiemu zakłopotaniu Saszeńki wokół zapanowała gorączka ugrzecznionej krzątaczki. Początkowo Saszeńka myślała, iż personel zżyma się tak samo jak ona na wielkopańskie zachowanie jej matki, ale potem uświadomiła sobie, że atmosfera odzwierciedla radość, jaką we wszystkich luksusowych sklepach wywołuje pojawienie się bardzo bogatego klienta pozbawionego gustu i hamulców w wydawaniu pieniędzy.

Całej tej szopce przewodziła patykowata kobieta w czerwonej sukni, mówiąca bardzo źle po francusku, która wyszczebiwała polecenia. Ekspedientki były aż nazbyt usługowe: czy trochę sobie nie drwiły? Modelki (zdaniem Saszeńki przesadnie umalowane) przechadzały się tam i z powrotem w sukniach, które jej nie interesowały. Jej matka pokazywała na tę bądź tamtą, z brokatu lub koronki, z falbankami lub cekinami, i nawet kazała jej kilka przymierzyć. Lala, która towarzyszyła matce i córce, pomagała Saszeńce przy sukniach.

Saszeńka zgodziła się na wizytę w sklepie, aby uniknąć awantury z matką. Ale zakładanie i zdejmowanie, przynaglanie i komenderowanie, popychanie i poszturchanie przez kościstą kobietę, która z niewiarygodną szybkością wbijała szpilki w tkaninę, zaczęło ją irytować. Nie podobała się sobie w żadnej z tych sukienek.

- Tak brzydko w niej wyglądam, Lalu. Nie będę jej nosić! Spalę ją! - Jej matka, w aksamitnej sukni i zakiecie z futrzanym kołnierzem, była wspaniałym łabędziem,

natomiast ona wyglądała gorzej niż brzydkie kaczątko. Nie mogła znieść swojego widoku w lustrze.

- Ależ *mademoiselle* Zeitlin ma taką wspaniałą figurę do najnowszych fasonów - powiedziała sprzedawczyni.

- Chcę jechać do domu!

- Biedna Saszeńka jest zmęczona, prawda, kochanie? - Ariadna znowu mrugnęła.

- Nie musisz kupować wszystkiego, ale kilka ci się podobało, prawda, skarbie?

Czując się trochę zażenowana, Saszeńka skinęła głową.

Ekspedientki odetchnęły z ulgą. Przyniesiono tokaj dla baronowej Zeitlin, która odchyliła głowę i śmiała się zbyt głośno, płacąc wielkimi zielonymi banknotami, a później ekspedientki pomogły damom włożyć futra. Pantalej-mon wyszedł za nimi, niosąc zakupy w wypchanych torbach, które schował szybko do bagażnika.

- No proszę! - powiedziała Ariadna, sadowiąc się w samochodzie. - Wreszcie masz kilka dorosłych sukienek.

- Mamo, ja nie prowadzę takiego życia. - odparła Saszeńka, oszołomiona ceną i zaskoczona, że takie sklepy wciąż są otwarte podczas wojny. - Chciałam mieć coś prostego. Nie potrzebuję sukien balowych, wieczorowych ani dziennych.

- Ależ potrzebujesz - powiedziała Lala.

- Ja czasami przebieram się sześć razy dziennie - oznajmiła Ariadna. - Rano noszę suknię dzienną. Potem suknię koktajlową, a dzisiaj wybieram się do Lorisów w swojej nowej szyfonowej sukni z brokatem, wieczorem zaś.

Saszeńka nie mogła znieść myśli o tym, co jej matka będzie robić wieczorem.

- My, kobiety, musimy się starać, żeby znaleźć mężów - wyjaśniła Ariadna.

- Dokąd, baronowo? - spytał Pantalejmon przez tubę głosową.

- Do Sklepu Angielskiego, ulubionego Saszeńki - odparła Ariadna.

W sklepie, za witryną, w której wystawione były olejki do kąpieli Penhali-gona, mydełka Pearsa, słodczyce Fortnuma i dzemy, kupiły ciasto imbirowe i herbatniki, wciąż rozmawiając o sukniach.

- Cześć, Saszeńka! Czy to ty? Tak, to ty! - Kilku młodych studentów w płaszczach i czapkach stało przed sklepem, śmiejąc się i popychając. - Niesforna Saszeńka! Słyszeliśmy o twoich kłopotach z żandarmami! - wołali.

Saszeńka zauważyła, że „esteci” noszą berety, a „eleganci” czapki z daszkiem. Jeden z estetów, syn magnata, pisał dla niej wiersze miłosne. Saszeńka uśmiechnęła się blado i ruszyła przed matką i Lalą.

- *Mademoiselle*, co za przyjemność spotkać cię znowu!

Saszeńka zamarła na chwilę, ale zaraz oprzytomniała - to kapitan Sagan przeszedł żwawym krokiem obok studentów. Był w tweedowym płaszczu, krawacie i meloniku, prawdopodobnie kupionymi w Sklepie Angielskim. Skłonił się z lekkim uśmiechem, uchylił melonika i ucałował jej dłoń.

- Kupowałem spinki - powiedział. - Dlaczego wszyscy tak się uparli na styl angielski? Dlaczego nie szkocki, walijski czy nawet hinduski? Oni też są naszymi sojusznikami.

Saszeńka potrząsnęła głową i spróbowała sobie przypomnieć, co kazał jej zrobić Mendel. Serce jej waliło w rytmie pospiesznego pociągu. Tak jest, towarzyszu Mendel! - powiedziała sobie.

- Pewnie nie chcesz mnie więcej widzieć, ale mieliśmy porozmawiać o Majakowskim i jak pamiętam, nie doszliśmy jeszcze do Achmatowej. Muszę pędzić. Mam nadzieję, że... nie wprowadzę cię w zakłopotanie.

- Nie brak panu tupetu! - wykrzyknęła.

Uchylił melonika, a ona zauważyła, że nosi długie włosy, bardziej jak aktor niż policjant.

Sagan skinął na czekające sanie, które ruszyły z dźwiękiem dzwonek i powiozły go Newskim. Ariadna i Lala dogoniły ją.

- Saszeńko! - powiedziała matka. - Kto to był? Mogłabyś być uprzejmiejsza.

Ale teraz Saszeńka czuła się niezwykczona, bez względu na to, ile idiotycznych sukienek każą jej przymierzać. Uwielbiała potajemne nocne życie bolszewickiej aktywistki. Teraz, pomyślała, oddam naprawdę cenną przysługę partii. Dom był obstawiony. Sagan musiał się domyślić, że odwiedzą Sklep Angielski, gdzie będzie się mniej rzucał w oczy niż u Czernyszewa. Zagadnął ją w momencie, kiedy matka i guwernantka nie słyszały, ponieważ chciał jej dać do zrozumienia, że ma ją na oku. Nie mogła się już doczekać, żeby opowiedzieć o tym Mendlowi.

* * *

W drodze do domu Ariadna uszczypnęła córkę w policzek.

- Saszeńka i ja będziemy dobrymi przyjaciółkami, dobrymi przyjaciółkami, prawda, kochanie? - pytała bez przerwy.

Siedząc na wyprawionej skórze pomiędzy Ariadną a Lalą, Saszeńka przypomniała sobie, że dawniej, ilekroć biegła przytulić się do matki, Ariadna cofała się przed nią, mówiąc: „*Missis Lewis, Missis Lewis, to nowa suknia od madame Brissac, a dziecko ma brudną buzię...*”.

Zeszłej nocy doczekała się wreszcie uścisku, ale już go nie potrzebowała.

Kiedy dotarły do domu, Ariadna wzięła Saszeńkę za rękę i zaprosiła ją na górę, do swojego buduaru.

- Wyjdź ze mną dzisiaj wieczorem w nowej sukni, która podkreśla twoją figurę! - szepnęła ochryple, wciągając zapach tuberozy z nadgarstka. - Po ostatniej nocy, kiedy zobaczyłam, jak wracasz późno do domu, wiem, że masz potajemnego kochanka! Nie powiem ojcu, ale możemy wychodzić razem.

Myślałam, że jesteś taka zasadnicza, Saszeńko, nigdy się nie uśmiechasz - nic dziwnego, że nie masz żadnych wielbicieli - ale myliłam się, prawda? Zakradasz się do domu wczesnym rankiem jak kocica! Kto jest kocurem? Ten tweedowy płaszcz i melonik, który właśnie widziałyśmy? Założymy swoje wspaniałe nowe suknie i ludzie pomyślą, że jesteśmy siostrami. Jesteśmy takie same...

Ale Saszeńka musiała dostarczyć pieczętkę i pokwitowania za partyjne składki. W punkcie kontaktowym spotka się z towarzyszkami i przygotuje żelatynę, wykorzystywaną do drukowania ulotek na powielaczu.

Wcześniej musi skontaktować się z Mendlem i opowiedzieć mu o spotkaniu z Saganem.

Tęskniła za nocnymi emocjami jak za uściskiem kochanka.

20

Saszeńka wyszła z domu o pierwszej. Zauważywszy dwóch szpicli na ulicy, ruszyła Newskim Prospektem do hotelu Europa. Z westybulu zjechała służbową windą do piwnicy, przeszła przez kuchnię, gdzie brodaci tragarze w fartuchach wnosili jajka, kapustę, różowe świńskie i jagnięce tusze, a stamtąd wymknęła się na ulicę, gdzie wezwała trojkę i zostawiła zaszyfrowaną notatkę dla Mendla w gruzińskiej aptece przy Aleksandrowskim Prospekcie.

W knajpie dla dorożkarzy przy Dworcu Finlandzkim ssła grudkę cukru i po raz trzeci słuchała *Yankee Doodle* z pianoli, kiedy naprzeciwko niej usiadł młody człowiek. Był starszy od niej, ale łączyło ich zmęczenie po nieprzespanej nocy i żarliwy zapał rewolucjonistów.

- Z-z-z-zabierz b-b-b-buldogę od towarzysza w gwardii konnej - wyjąkał student z małymi oczkami, który nosił grube okulary w stalowej oprawce i robotniczą czapkę na kwadratowej głowie. Saszeńka wiedziała, że to towarzysz Mołotow, który ma dwadzieścia sześć lat. On, towarzysz Mendel i towarzysz Szlapanikow byli ostatnimi bol-

szewickimi przywódcami na wolności w całym imperium. Kiedy zdjął skórzany płaszcz, zobaczyła, że nosi kusą marynarkę i sztywny kołnierzyk, jak urzędnik. Bez czapki jego czoło wydawało się nienaturalnie wypukłe. - Pytaj o t-t-towarzysza Palicyna. Coś do zameldowania?

Potrząsnęła głową.

- P-p-powodzenia, towarzyszeko. - Towarzysz Mołotow odszedł. Saszeńka poczuła dreszcz przebiegający po plecach.

W koszarach gwardii konnej znowu otworzył jej dozorca Wieriezin.

- Co się stało z sobolami? I z polarnymi lisami? - spytał na powitanie.

- Za bardzo rzucały się w oczy. Czy jest ktoś do mnie?

Towarzysz Iwan Palicyn siedział przy jakichś butelkach na okrągłym stole koło pieca. Wstał na jej widok.

- Jestem towarzysz Wania - powiedział. - Znam cię. Widziałem, jak przemawiasz w kółku robotniczym w Zakładach Putiłowskich. - Podał jej wielką czerwoną dłoń.

- Pamiętam cię - odparła. - Tylko ty zadałeś pytanie. Byłam bardzo zde-nerwowana.

- Nic dziwnego - powiedział. - Dziewczyna i intelektualistka wśród takich jak my. Przemawiałaś z żarem i podobało nam się, że taka dziewczyna jak ty chce nam pomóc.

Saszeńka wiedziała, co miał na myśli, mówiąc „taka dziewczyna jak ty”, i poczuła się dotknięta. Musiał to zauważyć, ponieważ dodał łagodnie:

- Pochodzimy z różnych światów, ale powiedz mi, co wiesz, a ja podzielę się z tobą tym, co sam wiem.

Była mu wdzięczna. Wysoki, ze zmierzwionymi włosami, wystającymi kośćmi policzkowymi i skośnymi oczami swoich tatarskich przodków, Wania Palicyn łączył w sobie krzepę rosyjskiego chłopca ze szczerym zapalem pio-trogradzkiego robotnika. Wiedziała, że w odróżnieniu od Mendla i Mołotowa był prawdziwym robotnikiem, który harował w Zakładach Putiłowskich od ósmego roku życia i mówił proletariackim żargonem. Oto, pomyślała Saszeńka, bohater, którego Marks stworzył w swojej wizji i dla którego ona przystąpiła do ruchu.

- Towarzyszu Lisie Polarny, mam coś dla ciebie. Wiesz, co z tym zrobić?

- Wiem.

- Usiądź. Chcesz się napić koniaku albo wódki? Ja i Wieriezin mamy tu małą uroczystość, prawda, Igorze?

- Wstąpiłem do partii - oświadczył Wieriezin.

- Moje gratulacje, towarzyszu Wieriezin - powiedziała Saszeńka. Tylko członkowie partii zasługiwali na zaszczytny tytuł „towarzysza”. Ale Mendel zakazał jej się spoufalać i paplać. Intelktualiści są większymi paranoikami niż prawdziwi robotnicy, pomyślała.

Wania Palicyn, w chłopskiej koszuli, butach z cholewami i bryczesach, wręczył jej „buldoga” owiniętego w szmatę i małą paczkę.

- Dostarcz to drukarzowi w piwnicy baru przy ulicy Gogoła - to Gruzin, przystojny diabeł. Nie strać głowy! - Wania popatrzył jej w oczy i uśmiechnął się. - „Buldog” jest dla ciebie.

Niedługo po trzeciej minęła Pałac Taurydzki i przy Prospekcie Litiejnym złapała tramwaj. Czowała ciężar w płaszczu. „Buldog” - pistolet mauzer - spoczywał w jej kieszeni, naładowany, z dodatkowym kartonowym pudełkiem naboju. Wsunęła palce pod szmatę; stała była lodowata. Po raz pierwszy była uzbrojona. Jeszcze nigdy nie strzelała na serio z pistoletu. Może to jeden z małych egzaminów Mendla? Czy to ostrzeżenie, czy partia potrzebuje pistoletu, żeby zlikwidować prowokatora? Pomyślała o Saganie. Wiedziała, że wkrótce znowu ją odnajdzie.

Jednokonnymi saniami pojechała do baru Karawanseraj przy ulicy Gogoła, podziemnej pieczary z tureckimi alkowami, odwiedzanej przez ubogich studentów i robotników. Wejście nie rzucało się w oczy, ale w środku odkryła, że korytarz prowadzi pod ulicą. Czulo się tu papierosy, kielbasę, stęchłe wino, a obszarpani studenci przy stoliku umilkli, kiedy przechodziła.

W ciemnej alkoce siedział samotnie mężczyzna w gruzińskim kapturze, białym, obszytym futrem, i w wojskowym płaszczu. Uniósł szklanekę z czerwonym winem.

- Czekałem na ciebie, towarzyszu Lisie Polarny. Jestem Herkules Sati-now - powiedział gruziński towarzysz, który zniszczył swoje prawdziwe nazwisko Satinadze.

Poprowadził ją w głąb baru i otworzył drzwi do piwnicy z winem. Powietrze było tu wilgotne i cuchnące. Przykucnąwszy, uniósł pokrywę. Kręte metalowe schodki wiodły w dół, do drukarni. Słyszała rytmiczny szum prasy drukarskiej, przypominający buczenie trzmiela. Ludzie w chłopskich koszulach wynosili sterty gazet, które wiązali czerwonym sznurkiem. Pomieszczenie pachniało oliwą i spalonym papierem.

Satinow odrzucił swój biały kaptur.

- Właśnie wróciłem do Pitra. Z Baku. - Jego sztywne, grube włosy lśniły niebieskawo, opadając nisko na czoło. Był wysoki, żylasty i muskularny, emanował męską siłą. - Masz dla mnie papier gazetowy?

Wręczyła mu paczkę. << - Miło cię poznać, towarzyszu Lisie Polarny - powiedział bez cienia szyderstwa, ujmując i całując jej dłoń.

- Prawdziwy gruziński rycerz! - odparła lekko obronnym tonem. - Czy tańczysz też lezginkę? Potrafisz zaśpiewać *Sulikol*

- Nikt nie tańczy lepiej ode mnie. Może moglibyśmy dzisiaj trochę pośpiewać i napić się wina?

- Nie, towarzyszu. Nie mam czasu na takie głupstwa. I ty też nie powinienes. Satinow nie wydawał się urażony. Roześmiał się głośno, podnosząc ręce w geście kapitulacji.

- Wybacz mi, towarzyszu, ale my, Gruzini, nie jesteśmy tacy zimni jak Rosjanie! Powodzenia! - Zaprowadził ją do innego wyjścia, którym wyszła na puste podwórze na tyłach ulicy Gogola.

Na końcu wąskiej uliczki sprawdziła, czy nie ma ogona, tak jak uczył ją Mendel. Nikogo. Odczekała chwilę. Ulica była zupełnie pusta. Nagle ogarnęło ją osobliwe uniesienie: chciało jej się śmiać i tańczyć z zachwytem nad posępnym urokiem tych spiskowców - Palicyna w koszarach gwardii konnej, Satinowa w drukarni, młodych ludzi pochodzących z różnych światów, ale zjednoczonych w walce o wspólną sprawę. W głębi serca wiedziała, że ci ludzie są przyszłością, jej przyszłością. Nic dziwnego, że tacy jak Mendel dali się porwać. Normalność? Odpowiedzialność? Rodzina i pieniądze? Pomyślała o radości ojca po uzyskaniu ostatniego kontraktu na dostawę dwustu tysięcy karabinów i o swojej żyjącej iluzjami, nieszczęśliwej matce. To śmierć, powiedziała sobie, ponura śmierć za życia.

Przeszła przez bramę na inne podwórze. To była jedna z reguł Mendla: nie wchodzić do budynku frontowymi drzwiami i zawsze sprawdzać, czy jest drugie wyjście. W Rosji stróże i dozorczy wystawali na ulicy i nie pilnowali podwórek.

Pospieszyła do tylnych drzwi, otworzyła je i wbiegła po zimnych, ciemnych schodach na najwyższe piętro. Była tu już wcześniej, ale towarzysz nie przyszedł na spotkanie. Może zastanie go teraz.

Otworzyła drzwi i zaraz zamknęła je za sobą. W mieszkaniu panowała ciemność, ale tak samo było tu za dnia, wśród azjatyckich kobierców, starych lamp naftowych, puchowych kołder i materacy. Wciągnęła swojski zapach naftaliny, solonej ryby i pożółkłych książek: mieszkał tu inteligent. Weszła do kuchni i dotknęła samowaru, tak jak nauczył ją Mendel: był zimny. W sypialni ściany były zastawione półkami na książki, na podłodze leżały w stertach czasopisma, „Apollo” i inne tytuły.

Ale coś wydawało się nie w porządku. Oddech uwiązł jej w gardle. Z bolszewicką czujnością poruszała się po cichu. Weszła do pokoju. Rozległ się ostry trzask i zapłonęła lampa naftowa.

- Witam! Myślałem, że już nigdy nie przyjdiesz. - Znajomy głos - więc dlaczego przeszył ją takim dreszczem?

- Nie baw się ze mną - powiedziała, przelękając się. Miała pistolet. - Podnieś lampę.

Oświetlił sobie twarz.

- Kupiłaś sobie jakieś śliczne sukienki, Zemfiro?

Kapitan Sagan siedział na krześle w źle dopasowanym czarnym garniturze z wąskim krawatem. Futro leżało na podłodze.

- Co pan tu robi? - Była świadoma, że jej głos brzmi trochę piskliwie.

- Twój towarzysz nie przyjdzie. Zabraliśmy go. Jutro Komisja Specjalna skaże go na dwa lata syberyjskiego zesłania. Nic poważnego. Żebyś więc nie traciła wieczoru, przyszedłem zamiast niego.

Wzruszyła ramionami, starając się zachować spokój.

-I co? Ten bezpieczny dom; nie będzie już bezpieczny. Jeśli mnie pan nie aresztuje, wracam do domu i idę spać. Dobranoc. - Kiedy się odwracała, przypomniała sobie polecenie Mendla. - A może jest już za późno na spanie?

- Tak mi się wydaje - powiedział, odgarniając włosy, przez co nagle odmłodził. - Jesteś nocnym markiem?

- Rankiem czuję się rozleniwiona, ale nocą budzę się do życia. Cała ta konspiracja bardzo mi odpowiada. A pan, kapitanie?

- Żyję na krawędzi przepaści. Tak jak ty i twój wuj Mendel. Sypiam tak niewiele, że kiedy wracam do domu i kładę się do łóżka, trudno mi zasnąć. Wstaję i czytam wiersze. Taki nasz los. Angażujemy się tak bardzo, że to nas zmienia i nie potrafimy robić nic: innego. My, konspiratorzy, Saszeńko, jesteśmy jak upiory. Wampiry. Żywimy się krwią robotników, a wy żywicie się krwią samych krwiopicców, którzy wysysają krew robotników. Czysty darwinizm.

Roześmiała się głośno i usiadła na krawędzi metalowego łóżka.

- My konspiratorzy? Nie zachodzi pomiędzy nami żadne podobieństwo. My mamy naukowy program, a wy po prostu z nami walczyacie. W końcu my wygramy, a wy będziecie skończeni. Kopicie za nas grób dla wyzyskiwaczy.

Kapitan Sagan uśmiechnął się.

- Jak dotąd nic tego nie zapowiada. W tym momencie twoja osławiona partia to zaledwie garstka pomyleńców: inteligent Mendel Barmakid, robotnik Szlapnikow, młodzieniec z klasy średniej nazwiskiem Skriabin (partyjny pseudonim Mołotow), kilka kółek robotniczych, kilku wichrzycieli na froncie. Lenin jest za granicą, reszta na Syberii. Pozostajesz jeszcze ty, Saszeńko. W całej Rosji nie może być więcej niż tyśiąc doświadczonych bolszewików. Ale ty świetnie się bawisz, co?

- Oszukuje się pan, Sagan - powiedziała zapalczywie. - Kolejki są coraz dłuższe, ludzie coraz bardziej źli, coraz bardziej głodni. Chcą pokoju, a wy każecie im umierać

za Mikołaja Ostatniego, Mikołaja Krwawego, niemiecką zdrajczynię Aleksandrę i zdeprawowanego Rasputina...

- O którym wiesz wszystko od swojej matki. Pozwól, że podzielę się z tobą kilkoma przemyśleniami. Twój rodzice są samą kwintesencją zepsucia systemu rosyjskiego.

- Zgoda.

- Aspiracje i prawa robotników i chłopów są całkowicie ignorowane przez obecny system.

- Prawda.

- A wiemy, że chłopci muszą nie tylko jeść, potrzebują też praw, reprezentacji politycznej i ochrony przed kapitalistami. Muszą mieć ziemię i rozpaczliwie pragną pokoju. Marzenie twojego ojca o postępowej grupie, która przejmie władzę, to za mało, za późno. Potrzebujemy prawdziwej zmiany.

- Skoro zgadzamy się we wszystkim, to dlaczego nie jest pan bolszewikiem?

- Bo uważam, że rewolucja wkrótce wybuchnie.

- Ja też.

- Nie, ty nie. Jako marksistka wiesz, że rewolucja socjalistyczna nie jest jeszcze możliwa. Rosyjski proletariatusz jeszcze do niej nie dojrzał. Tutaj się różnimy. Według ciebie rewolucji bolszewickiej nie będzie.

Saszeńka westchnęła.

- Mamy takie podobne poglądy. Szkoda, że w tej sprawie się nie zgadzamy. Milczeli przez chwilę, potem Sagan zmienił temat.

- Słyszałaś nowego Majakowskiego?

- Może pan zadeklamować?

- Spróbuję:

Wam, którzy żyjecie od orgii do orgii...

Saszeńka podjęła:

Wam, smakoszom bab i jedzenia

życie mam oddać dla zabawy?

To już wolę kurwom w barze

*podawać sok ananasowy!**³

- Pięknie, *mademoiselle* Zeitlin. Moje uznanie!

- W naszym kraju poezja jest potężniejsza niż haubice.

³ (Przeł. Piotr Mitzner)

- Masz rację. Powinniśmy częściej posługiwać się poezją, a rzadziej szubienicami.

Przyjrzała mu się uważnie, świadoma, że oboje ryzykują życie w tej najważniejszej grze, jak nazwał ją Mendel.

Jej dłoń spoczywała na lodowatej kolbie mauzera. Kilka tygodni wcześniej pojechała z Mendlem za miasto, do brzozowego lasu, i uczyła się strzelać: niebawem zaczęła trafiać w cel częściej niż pudłować. Jeśli partia rozkaże jej zabić Sagana, zrobi to.

- Co tam masz?

Serce jej waliło, gdy dotykała broni końcami palców. Usłyszała własny głos i nie rozpoznała go. Był dziwny, głębszy, zdumiewająco spokojny.

- Jeśli pan chce, może mnie pan aresztować, a potem kazać mnie zrewidować jakiejś policyjnej meduzie.

- Jest między nami tylko jedna ogromna różnica, Saszeńko. Ja wierzę, że życie ludzkie jest święte. Ty wierzysz w terror. Dlaczego twoi towarzysze muszą zabijać? Zastanawiam się, czy jest coś w ich mentalności, co ich do tego popycha. Są zbrodniarzami czy szaleńcami? Czasami się zastanawiam.

Znowu wstała.

- Ma pan dom, kapitanie? Jest pan żonaty?

- Tak.

- Dzieci?

- Jeszcze nie.

- Jest pan szczęśliwy? - Saszeńka przetarła oczy; nagle poczuła się bardzo zmęczona.

- Czy są szczęśliwe małżeństwa? - odparł.

- Żal mi pana - powiedziała. - Ja nigdy nie wyjdę za mąż. Dobranoc.

- Jeszcze jedna rzecz, Zemfiro: czy myślisz, że wolałbym być gdzieś indziej niż tutaj?

Saszeńka zmarszczyła brwi.

- To nie jest komplement. Podejrzewam, że większość mężczyzn nie chce wracać do domu. Zwłaszcza jeśli są wampirami, takimi jak my.

Kiedy Saszeńka znowu znalazła się na ulicy, padał deszcz ze śniegiem, osiadając na jej twarzy i rękach. Sagan z pewnością jest dziwnym żandarmem, pomyślała. Bawiła się z nim, ciągnęła go za język. Był starszy od niej, dużo starszy, i zwerbował wielu podwójnych agentów, ale nadmierna pewność siebie była jego piętą achillesową

w najważniejszej grze. W jakiś sposób złamie go i dostarczy partii, jak głowę Jana Chrzciciela na tacy.

Gdzieś daleko tramwaj mknął z wizgiem przez noc. Był już prawie świt, niebo zabarwiło się różem, śnieg głęboką purpurą. Usłyszała stłumiony stuk podków i przywołała nadjeżdżające sanie.

„Buldog” był taki zimny, że parzył jej palce.

- Owies znowu zdrożał - powiedział woźnica, gładząc swoją brodę, kiedy jechali w stronę domu Zeitlina.

21

Zeitlin zapukał do drzwi buduaru Ariadny i wszedł, nie czekając na odpowiedź. Był środek dnia, ale ona wciąż leżała w łóżku, w jedwabnej koszuli nocnej z błękitnymi ramiączkami, które odsłaniały posiniaczoną białą skórę jej ramion. W pokoju pachniało jajkami i kawą. Wcześniej Leonid przyniósł jej śniadanie i malowana drewniana taca z brudnymi talerzami i pustymi szklankami stała teraz na stoliku przy łóżku. Pokojówka Luda przygotowywała suknie -jedną do obiadu, jedną na wizyty u przyjaciół, jedną na koktajl i jedną na wieczór. Cztery suknie, zauważył Zeitlin. Czy naprawdę potrzeba aż tyle?

- Czy ta będzie dobra na podwieczorek, pani baronowo? - Luda wyszła z buduaru, niosąc krepdeszynową suknię. - Och, pan baron! Dzień dobry. - Ukłoniła się.

- Zostaw nas samych, Ludo.

- Tak, panie baronie.

- Usiądź, Samuelu - powiedziała Ariadna, przeciągając się. Widział, że odczuwa satysfakcję, pozwalając mu oglądać swoje ciało. - O co chodzi? Czy może doszło do krachu na giełdzie? Tylko tym się przejmujesz, prawda?

-Postoję. Zesztywniała.

- Co się stało? Zawsze siadasz. Gzy mam posłać po kawę? - Sięgnęła do dzwonka.

- Nie, dziękuję,

- Jak chcesz. Tak świetnie się bawiłam zeszłej nocy. Znowu widziałam się ze świątobliwym starcem. Opowiadał mi takie fascynujące rzeczy, Samuelu. Wszyscy mówili o nowym premierze. Samuelu?

- Chcę rozwodu, Ariadno.

Zapadło długie milczenie, a potem Zeitlin zobaczył, że jego słowa do niej dotarły. Potrząsnęła głową i uniosła rękę, jakby chciała coś powiedzieć.

- Ty? Ale dlaczego? Żyliśmy tak od lat. Nie jesteś zazdrosny. Jesteś na to... zbyt pewny siebie. Oczywiście żartujesz, Samuelu. Jesteśmy małżeństwem od osiemnastu lat. Dlaczego teraz?

Zeitlin pyknął z cygara, starając się sprawiać wrażenie spokojnego i rozsądnego.

- To po prostu... zmęczenie.

- Zmęczenie? Rozwodziś się ze mną ze zmęczenia?

- Dostaniesz hojne zabezpieczenie. Nic się nie zmieni. Po prostu będę mieszkał w innym domu. Czy to takie straszne?

- Nie możesz! - Odwrócił się, żeby wyjść, ale Ariadna wyskoczyła z łóżka i rzucała się na podłogę u jego stóp, wytrącając mu cygaro z ręki. Pochylił się, żeby je podnieść, ale chwyciła go tak mocno, że stracił równowagę i upadł obok niej. Płakała, tocząc błędnym wzrokiem, z szeroko otwartymi oczami. Próbował się uwolnić, ale nie chcący rozdarł jej koszulę, odsłaniając piersi. Wciąż trzymała go tak mocno, że brylantowe spinki na sztywnym gorsie jego koszuli spadły na podłogę.

Leżeli obok siebie, dysząc: ciężko. Spojrzał na nią i zobaczył jej ciemnobrązowe sutki sterczące pomiędzy gęstymi lokami. Wyglądała jak cygańska tancerka. Taką musieli ją widzieć kochankowie, pomyślał, zdumiewając się jej niepokonowaną lubieżnością. Jacyż dziwni są ludzie. Światło jest ciemne, noc jasna.

Przez lata, choć w ciągu dnia byli sobie obcy, nocą nadal łączyła ich namiętność. W świetle dnia Ariadna albo napawała go lękiem, albo odrazą, ale potem przychodziła do niego w środku nocy, jej oddech był przesycony szampanem, brandy i wczorajszym zapachem cygar innych mężczyzn, i szeptała mu o swoich wyuzdanych przygodach. Syczała polską gwara chłopską, mruczała gardłowymi dźwiękami jidysz, języka, którym mówili, kiedy spotkali się po raz pierwszy na dworze jej ojca, rabina Turbinu, żydowskiej wioski pod Lublinem.

Jakież rzeczy mu opowiadała, jakież rozkoszne wizje! Żądze i praktyki niemal niewiarygodne dla szanowanej damy! Pewnej nocy kochanek zabrał ją do Ogrodu Letniego, królestwa psów i prostytutek... i nie oszczędziła mu żadnego szczegółu. Ogarnięty gorączką, dokonywał erotycznych wyczynów godnych atlety, on, najbardziej powściągliwy z ludzi, który uważał namiętność za rzecz niebezpieczną. Ale raniem budził się zbrukany i pełen wyrzutów sumienia, jakby przespał się z dziwką w obskurnym pokoju. A to była jego żona! , - Czy wciąż nie jestem piękna? - spytała go, pachnąca tuberozą i migdałami. - Jak możesz mnie zostawić? Wciąż możesz się ze mną kochać. Dalej, weź mnie. Sam wiesz, że mnie pragniesz. Ale jesteś taki zimny. Nic dziwnego, że byłam taka nieszczęśliwa. Żartujesz z tym rozwodem, prawda? Sa-

muelu? - Zaczęła się śmiać, niemal do siebie, a potem odrzuciła do tyłu głowę. Czuł ciepło promieniujące z jej skóry, chłonał jej zapach. Ujęła jego rękę, wsunęła ją pomiędzy swoje uda i wskazała na lustro. - Spójrz na nas, Samojo! Jaka piękna z nas para! Zupełnie jak wtedy, kiedy się poznaliśmy. Pamiętasz? Powiedziałeś, że nigdy nie spotkałeś takiej dziewczyny jak ja. Co mówiłeś? „Jesteś jak dzikie konie”.

Samuel miał na myśli coś innego - nawet wtedy zastanawiał się, czy nie będzie nieobliczalna w małżeństwie.

Wstał, nie bez trudności, poprawiając ubranie.

- Ariadno, staliśmy się śmieszni.

Służba plotkowała: Pantalejmon zwierzył się Leonidowi, który nie wiedział, jak powiedzieć panu o tym, że Saszeńka podnosiła z ulicy pijaną matkę. Lokaj wysłał Szyfrę, starą guwernantkę Zeitlina, żeby przekazała mu tę niesłychaną nowinę. Zeitlin nie zareagował, po prostu podziękował niani, całując jej dłoń z błękitnymi żyłkami i odprowadzając do pokoju. Historycy, pomyślał Zeitlin, próbują znaleźć proste wyjaśnienie dla różnych wydarzeń, ale tak naprawdę rzeczy dzieją się z wielu powodów, nie z jednego. Zapalając cygaro Montecristo, pomyślał o aresztowaniu Saszeńki, o przekonaniu Mrs Lewis, że prawie nie zna on własnej córki - i o pojawieniu się Rasputina w jego życiu (co pod pewnym względem było gorsze niż dotychczasowe romanse Ariadny). Podczas gdy jego brat Gideon, niepoprawny lekkoduch, uganiał się za przyjemnościami, uważając, że „w każdej chwili może umrzeć i pójść prosto do piekła”, Zeitlin wierzył, że spokojna dyscyplina zapewni mu długie życie.

Ale ostatniej nocy nawiedziły go sny o nagłej śmierci, katastrofach pociągów, wystrzałach, rozbitych samochodach, pożarach, przewróconych saniach, rewolucji, krwi na śniegu. Widział, jak umiera na gruźlicę i dusznicę bolesną, a Saszeńka płacze u jego łóżka - i u samych bram nieba uświadomił sobie, że nie ma nic i zmarnował całe życie.

O świcie poszedł do Szyfry - ale stara wiedźma, skulona na krześle jak przezroczysty pająk, znała już jego sny.

- Ty też potrzebujesz miłości w życiu - powiedziała mu. - Nie żyj tylko dla przyszłości. Może nie być żadnej przyszłości. Kto wie, co ci zapisano w Księdze Życia?

Zeitlin nienawidził zmian i bał się ich. Ale coś się zmieniło w jego życiu i nic nie mógł na to poradzić. Wbrew rozsądkowi, w transie, który, jak wierzył, mógł być interwencją Losu, poszedł do pokoju Ariadny.

Teraz patrzył na żonę, wciąż leżącą bezwładnie na podłodze.

- Czy jest ktoś inny? - spytata. - Zakochałeś się w jakiejś kokocie z baletu? W cygańskiej dziwce z Niedźwiedzia? Jeśli tak jest, nie dbam o to. Rozumiesz, ty samolubny, zimny głupcze, po prostu o to nie dbam! Zamierzam być cnotliwa jak zakonni-

ca. Świątobliwy starzec pokazał mi drogę wiodącą do odkupienia. Spotkamy się znowu w przyszłym tygodniu, szesnastego grudnia. Tylko Rasputin i ja. „Nauczę cię, Pszczółko”, powiedział. „Tak bardzo grzeszyłaś, zioniesz szatańską ciemnością. Nauczę cię miłości i odkupienia”. To właśnie powiedział swojej Pszczółce. Jest dla mnie dobry. Słucha mnie całymi godzinami, nawet gdy w jego przedpokoju tłoczą się penitenci, generałowie, hrabiny...

Zeitlin przypiął spinki do koszuli i poprawił fular.

- Po prostu chcę żyć normalnym życiem - powiedział cicho. - Nie jestem już młody i mogę umrzeć w każdej chwili. Czy to takie dziwne? Flek wszystko załatwi. -I, czując smutek i lęk przed przyszłością, wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

22

Na szerokim ekranie kina Piccadilly na Newskim Prospeckie wyświetlano tego popołudnia film *Jej serce jest zabawką w jego rękach*. Saszeńka spóźniła się i straciła początek, ale kiedy spojrzała na ekran i zapaliła papierosa, szybko się zorientowała w akcji filmu. Jego bohater, rzekomo przystojny fircyk (choć naprawdę wyglądał jak wypchana kukła), wystrojony we frak i biały krawat stał na plaży, podczas gdy dama w czerwonej sukni balowej patrzyła na błękitne morze.

Na scenie kwartet studentów konserwatorium grał muzykę imitującą morską bryzę. Najwidoczniej serce damy dostatecznie długo było zabawką w jego rękach, ponieważ weszła do oceanu. Gruby mężczyzna we fraku wbiegł na scenę i zakręcił korwą mosiężnej maszyny. Kwartet przestał grać, a maszyna wydała dźwięk przypominający szum fal.

W wypełnionej do połowy sali kinowej powietrze było naelektryzowane, a srebrzysty dym papierosowy wił się w snopie światła z projektora. Żołnierz siedzący ze swoją ukochaną komentował głośno:

- Jest w wodzie! Weszła do morza.

Para z tyłu całowała się namiętnie, prawdopodobnie on był żonaty, a ona zamężna, i oboje byli zbyt biedni, by pozwolić sobie na hotel. Jakiś pijak chrapał.

Ale większość widzów patrzyła na obrazy z zachwytem. Saszeńka właśnie dostarczyła Satinowowi, gruzińskiemu towarzyszowi w kapturze, wiadomość od Mendla i miała godzinę do spotkania z towarzyszem Wanią w dzielnicy Wy-borskiej. Na czar-

nym tle pojawił się stylizowany napis *Koniec*, a potem tytuł nowego filmu: *Skóra jej szyi była alabastrowa*. Saszeńka westchnęła głośno.

- Uważasz, że to bzdura? - spytał głos za nią. - Gdzie twoje poczucie romantyzmu?

- Romantyzmu? Jest pan szyderczym cynikiem - powiedziała do Sagana. - Czy pan wie, że podbijemy Rosję za pomocą srebrnego ekranu? Zabarwimy świat na czerwono. Myślałam, że śpi pan w ciągu dnia.

Od aresztowania Saszeńki spotykali się co dwa albo trzy dni, czasem w środku nocy. Meldowała potem Mendlowi o każdym szczególe.

- Bądź cierpliwa - powiedział. - Graj. Pewnego dnia on coś zaproponuje.

- Myśli, że może mi schlebiać jak podobnej do niego intelektualistce.

- Pozwól mu. Nawet Ochrańca jest ludzka i popełnia ludzkie błędy. Spraw, żeby cię polubił.

Nigdy nie wiedziała, kiedy zobaczy Sagana. Pomiędzy rozmowami o literaturze i ideologii, zadawał jej pytania dotyczące partii - czy Mendel nadal jest w mieście? Kim jest nowy gruziński towarzysz? Gdzie mieszka Mołotow? A ona odpowiadała, tak jak poinstruował ją Mendel, pytając, jakie obławy i aresztowania planują, czy w komitecie jest podwójny agent.

Zaczął się nowy film. Kwartet grał rzewną melodię na smyczki.

- Nie przyszedłem tutaj dla filmu - powiedział kapitan Sagan, nagle poważniejąc.

- Przed kinem czeka trojka. Musisz pojechać ze mną.

- Dlaczego? Znowu mnie pan aresztuje?

- Nie, twoja matka ma kłopoty. Wyświadczam tobie i twojej rodzinie przysługę. Wyjaśnię ci po drodze.

Wsiedli do trojki, naciągnęli na kolana niedźwiedzią skórę i siedzieli opatuleni futrami, podczas gdy trojka pędziła ze świstem po lodzie. Było już ciemno, paliły się elektryczne latarnie. Ulicami mknęły niskie fińskie sanki, przystrojone wstążkami, pobrzękujące dzwoneczkami, pełne rozwrzeszczanych studentów. Brakowało żywności, ceny rosły, a przed piekarnią Saszeńka spostrzegła kobiety stojące w ogromnej kolejce. Im gorzej, tym lepiej, pomyślała radośnie. Wyły syreny wyborskich fabryk. Śnieg, tak rzadko biały, jarzył się pomarańczowo.

- Zabiera mnie pan do domu? Sagan potrząsnął głową.

- Do mieszkania Rasputina. On zniknął. Myślę, że nie żyje.

- Tak? To dla nas strata: przysporzył nam więcej zwolenników niż *Manifest komunistyczny*.

- W tej sprawie, Zemfiro, też się różnimy. Dla nas to błogosławieństwo niebios. Ciało jest gdzieś pod lodem - znajdziemy je. Cesarzowa szaleje. Nie wrócił do domu z

przyjęcia w pałacu Jusupowa. Młody Feliks, książę Jusupow, tkwi w tym po uszy, ale jest ożeniony z wielką księżną.

-A moja matka?

- Twoja matka czeka na Rasputina w jego mieszkaniu. Myślę, że po tamtej nocy ty możesz jej pomóc...

* * *

Policjanci w szarych mundurach z futrzanymi kołnierzami strzegli drzwi posesji przy Gorochowej 64. Nędznie ubrani młodzi ludzie w studenckich płaszczach, z notatnikami i nieporęcznymi aparatami, daremnie próbowali przedostać się przez kordon, ale Saszeńkę i kapitana Sagana przepuszczono natychmiast.

Na podwórzu żandarmi w zgrabnych ciemnoniebieskich mundurach kryli się przed zimmem. Saszeńka zauważyła, że zasalutowali Saganowi, chociaż był po cywilnemu.

U szczytu schodów nakrochmalone koszule, dobrze skrojone garnitury i eleganckie buty funkcjonariuszy Ochrany odróżniały się od posiwiałych bród, czerwonych nosów i brudnych butów policyjnych detektywów prowadzących dochodzenie w sprawie morderstwa. Porozumiewający się żargonem oficerowie Ochrany przypominali Saszeńce bolszewików. Zapewne wszystkie tajne organizacje są takie same, pomyślała.

- Przyszliśmy zabrać jej matkę - wyjaśnił Sagan swoim kolegom, ujmując Saszeńkę za rękę. Postanowiła jej nie cofać.

- Dobrze, ale pospieszcie się - odparł jego kolega z Ochrany. - Dyrektor już jedzie. Minister składał raport Jej Cesarskiej Mości w Carskim Siole i zaraz tu będzie.

Kiedy zbliżali się do mieszkania, Saszeńka usłyszała zawodzenie. Było rozdzierające, niepohamowane, tak rozpaczali tylko chłopci. Pomyślała o syrenach przeciwlotniczych i o psie, którego kiedyś widziała, z nogami uciętymi przez tramwaj. Weszła do przedpokoju, potem do zadymionej kuchni z samowarem i stołem zawalonym futrami i jedwabiami, i wreszcie do salonu, pośrodku którego stał stół z opróżnionym do połowy kieliszkiem madery świątobliwego starca. Mieszkanie przypominało Saszeńce chłopskie chaty w majątkach Zeitlina na Ukrainie, ale wśród kapuścianych wyziewów wyczuła delikatną woń paryskich perfum. Nic tutaj nie pasuje do siebie, pomyślała: chłopska chata skrzyżowana z urzędniczym biurem i mieszkaniem burżuazyjnej rodziny. Całe to miejsce przypomina kryjówkę szajki włamywaczy.

Nagle za nimi zrobiło się zamieszanie i do salonu wkroczył generał żandarmerii w otoczeniu świty.

Sagan wybiegł, zasalutował, porozmawiał chwilę i wrócił.

- Znaleźli ciało. W Newie. To on. - Przeżegnał się, potem podniósł głos.

- W porządku. Możemy ją zabrać do domu. Była tu od zeszłej nocy.

Zawodzenie stało się głośniejsze i jeszcze bardziej rozdzierające. Sagan otworzył podwójne drzwi do małego ciemnego pokoju ze szkarłatnymi kobiercami, poduszkami i wielką otomaną.

Zawodzenie było teraz tak zwierzęce, kształty w pokoju tak trudne do zidentyfikowania, że Saszeńka, wstrząśnięta, cofnęła się, ale Sagan objął ją w talii i znowu ujął za rękę. Była mu wdzięczna. Krwawe plamy tańczyły jej przed oczami, aż wreszcie wzrok przywykł do ciemności i zdołała coś zobaczyć.

- Ona tam jest. Na dole czeka samochód, ale musimy ją wyprowadzić, zanim zjawi się prasa. Idź. Nie bój się - powiedział łagodnie Sagan.

Weszła do środka.

Z początku trudno było rozróżnić postaci. Kilka kobiet obejmujących się ramionami klęczało na podłodze, kołysząc się w jednym rytmie, łkając histerycznie i lamentując jak Azjatki. Wśród nich Saszeńka dostrzegła swoją matkę - głowa trzęsła się jej konwulsyjnie, usta wyglądały jak szkarłatna szrama.

- Gdzie ja jestem? - szlochała, głos miała wysoki i ochryply od płaczu.

- Kim jesteś?

Powietrze było przesycone odorem potu i zapachem drogich mydeł. Saszeńka uklękła i próbowała objąć matkę, lecz Ariadna wyrwała się.

- Nie! Nie! Gdzie jest Grigorij? On przyjdzie, wiem o tym.

Saszeńka usiłowała przytrzymać matkę, lecz tym razem Ariadna wyśliznęła jej się z rąk, zanosząc się dziwnym szaleńczym śmiechem. Jakaś tłusta kobieta na czworakach zaczęła wyć. Saszeńkę ogarnęła nagła chęć, żeby wstać i uciec, ale to była przecież jej matka, której zdarzały się po prostu chwile szaleństwa. Wysoka, czarnowłosa młoda wieśniaczka, z czarnymi włosami nad górną wargą i zrośniętymi brwiami, rzuciła się na Saszeńkę, wyrzaskując przekleństwa. Kiedy próbowała się wyrwać, napastniczka wbiła zęby w jej ramię. Saszeńka krzyknęła z bólu, odpychając kobietę, która, jak powiedział jej później Sagan, była córką Rasputina. Udało jej się w końcu wyciągnąć matkę z kłębowiska. Inne kobiety usiłowały jej przeszkodzić, lecz Sagan i jeden z policjantów zdołali je odepchnąć.

Istota, która była jej matką, leżała u jej stóp, dygocąc i zanosząc się płaczem, pod zimnym wzrokiem Sagana i policjantów, rozmawiających o sekcji zwłok Rasputina i o tym, kto mógł go zamordować.

Saszeńkę bolało przedramię: widziała ślady zębów napastniczki. Zauważyła, że Ariadna jest ubrana w prostą kwiecistą sukienkę, niepodobną do tych, które nosiła wcześniej, i zrozumiała, iż jej matka zamierzała wystąpić przed świątobliwym starcem Grigorijem jako biedna błagalnica.

Saszeńka osunęła się na kolana. Jej też chciało się płakać.

- Proszę się uspokoić, *mademoiselle* Zeitlin. Musisz ją stąd natychmiast zabrać - powiedział Sagan, wkładając melonik. - Pomogę ci.

Saszeńka i Sagan ujęli Ariadnę pod ramiona i powlekli w stronę drzwi. Na podestę schodów Ariadna znowu zaczęła krzyczeć.

- Grigoriju, Grigoriju, gdzie jesteś? Potrzebujemy cię, żebyś ukoił nasze dusze i odpuścił nam nasze grzechy! Muszę na niego poczekać! On wróci do mnie... - Wyrwała się z ich rąk, drapiąc i kopiąc, i próbowała wbiec z powrotem do mieszkania, lecz Sagan był szybszy i zdołał ją dogonić.

- Panowie, przydałaby nam się pomoc! - zawołał do dwóch policjantów pilnujących drzwi. Jeden z nich zajął miejsce Saszeńki u lewego ramienia Ariadny, Sagan złapał ją z prawej strony. Drugi policjant naciągnął głębiej czapkę i płynnym ruchem chwycił Ariadnę za stopy. We trzech znieśli ją po schodach, sukienka jej się podwinęła, odsłaniając strzępy pończoch i gołe nogi.

Saszeńka odwróciła wzrok i szła przed nimi, przerażona i bezradna, ale wdzięczna za pomoc. Przecięła podwórze, czując na sobie spojrzenia policjantów i mając nadzieję, iż nie wiedzą, że ta żalosna istota to jej matka.

Samochód z sierżantem żandarmerii za kierownicą wjeżdżał tyłem przez bramę na podwórze.

- Wsadźcie ją do środka - powiedział zdyszany Sagan. Inny żandarm otworzył tylne drzwi samochodu i pomógł posadzić Ariadnę. - Zawieź ją do domu, Saszeńko. - Sagan zatrzasnął drzwi. - Powodzenia. - Nachylił się w stronę kierowcy. - Dziękuję, sierżancie. Bolszaja Morskaja, spiesz się! - Sagan zabębnił w dach samochodu.

Saszeńka została sama z matką - i wróciła myślami do czasów po rewolucji 1905 roku, kiedy podróżowały po Europie prywatnym wagonem kolejowym. Pamiętała stukot kozackich podków na oblodzonych ulicach i to, jak Zeitlin wysłał je z Rosji na zachód. Ariadna, już wtedy wiecznie pijana, chodziła w szkarłatnym brokacie i utrzymywała własny dwór w hotelu Grand Pupp w Karlsbadzie, w Carltonie w Nicei, u Claridge'a w Londynie; zawsze towarzyszył jej jakiś nowy „wujek”. Był więc Anglik o różowych policzkach, oficer gwardii w złotym napierśniku i futrzanej czapie; hiszpański dyplomata we fraku i baron Mandro (nazywany przez Saszeńkę „Jaszczurką”), podstarzał} galicyjski Żyd z przepaską na oku, czerwonymi policzkami i owłosionymi rękami, który raz poklepał ją po pośladkach. Kiedy go ugryzła - pamiętała jeszcze

smak jego krwi na języku - Ariadna wymierzyła jej policzek. „Zabierzcie stąd to rozwydrzone dziecko!” - krzyknęła i Saszeńkę wyprowadzono z pokoju, chociaż kopała i wrzeszczała. A teraz, dziesięć lat później, to ona wyprowadzała Ariadnę, kopiając i wrzeszcząc.

Saszeńka wyjrzała przez okno. Pragnęła być na ulicach, w fabrykach i w zakonspirowanych mieszkaniach razem z towarzyszami, z dala od domowego bałaganu. Restauracje i nocne kluby były zatłoczone ludźmi. prostytutki szły przez plac Świętego Izaaka w stronę Astorii, wystrojone w szkarłat, złoto i połyskujące futra, tak że, pomyślała Saszeńka, na śniegu i w ciemnościach przypominały pułk kadetów gwardii. Piotrogród ogarnęła gorączka. Pokerowe pule nigdy nie były takie wysokie, nigdy nie było tylu birbantów, tyle limuzyn przed Astorią... Czy to ostatni taniec?

Kiedy głowa Ariadny opadła na jej ramię, Saszeńka powiedziała sobie, że jest marksistką i bolszewikiem i nie ma już nic wspólnego z rodzicami.

23

- Pański gość już jest, *mon baron*.

Zeitlin umówił się z kobietą u Donana przy Mojce 24. Nocą w restauracji roiło się od ministrów, nababów, kurtyzan, spekulantów i prawdopodobnie szpiegów, w ciągu dnia jednak wypełniali oni foyer i kawiarnię hotelu Europa. Popołudniami u Donana było pusto i dlatego Zeitlin często korzystał z jego prywatnych pokoi, by umawiać się na dyskretne spotkania: znajdowała się tu jego prywatna jadalnia, znana jako gabinet barona, gdzie w sierpniu 1914 roku spotkał się z ministrem wojny, aby omówić kontrakt na dostawę kolb do karabinów dla wojska.

Tego ranka zatelefonował do Jean-Antoine'a, kierownika. Jean-Antoine, urodzony w Marsylii, słynął z dyskrecji, zdolności do zapamiętywania raz widzianej osoby i taktu nawet podczas największych awantur.

-*Mais d'accord, mon baron* - odparł Jean-Antoine. - Pański gabinet przygotowany. Szampan z lodu? Pańska ulubiona langusta? Czy tylko angielska herbata, angielskie herbatniki i szkocka whisky?

- Tylko herbata.

- Natychmiast pošle kogoś do Sklepu Angielskiego.

Zeitlin zwykle brał samochód, ale tego popołudnia włożył czapkę z nausznikami, czarny płaszcz z bobrowym kołnierzem i walonki na szare lakierki (od Lobba w Londynie), wziął laskę ze srebrną głową wilka i wyszedł z domu bez hałasu.

Lubił taki spacer po ciemnych ulicach bez kierowcy i lokaja. Nie padało, ale mróz znów tężał. Zeitlin niemal słyszał, jak w szarej gładzi Newy zasklepiają się wszystkie pęknięcia i szczeliny. Na ulicach paliły się latarnie gazowe, tramwaje turkotały po szynach. Za nim rozległy się dzwonki i śmiech. Sanie pełne studentów przemknęły obok niego i zniknęły. W dzisiejszych czasach młodzi ludzie robią, co im się podoba, pomyślał Zeitlin. Nie mają żadnych zasad, żadnej dyscypliny.

Czy był szczęśliwszy teraz, kiedy był bogaty? Wystarczy spojrzeć na jego szaloną żonę! A jego córka, Saszeńka, była zagadką dla własnego ojca. Kochał ją i pragnął chronić. Ale ona zdawała się już nie interesować własną rodziną. Była prawie obca i czasami przypuszczał, że nim pogardza.

Żałował, że nie może się rozplakać jak dziecko. Jak stary człowiek śpiewający szkolne piosenki złapał się na tym, że nuci *Kol Nidre*, melodię z dzieciństwa, która opowiadała o utraconym świecie. Wtedy nim gardził, ale teraz pomyślał: a jeśli to była słuszna droga?

Wstąpił do Jegorowa, łaźni z gotyckimi mahoniowymi ścianami i oknami ze szkła witrażowego, a posługacz w białej rubaszce i czarnych spodniach zaprowadził go do kabiny. Rozebrany do naga, wszedł do lodowatej kąpieli i prześliznął się pod przerzuconym nad wodą żelaznym mostkiem, udrapowanym bluszczem. Potem usiadł w kłębach pary na granitowej płycie. Kilku nagich mężczyzn o błyszczących łysinach i różowych pośladkach okładało się brzoźowymi różgami. Zeitlin leżał, nie zwracając na nikogo uwagi, i myślał.

Modliłbym się do Boga, gdybym miał pewność, że istnieje, powiedział sobie, ale jeśli istnieje, jesteśmy dla niego tylko robactwem i prochem. Sukces jest moją religią. Sam tworzę swoją historię.

W głębi serca Zeitlin jednak wierzył, że istnieje coś większego niż ludzkość. Ze swoim cygarem, koszulą z brylantowymi spinkami, frakiem, prążkowanymi angielskimi spodniami i szelkami wciąż był Żydem i wbrew sobie wierzył w Boga. Chodził do chederu, ucząc się Szulchan Aruch, reguł postępowania, Pentateuchu, pięciu ksiąg Starego Testamentu, które tworzą Torę, i pedantycznej, mądrej, archaicznej poezji Talmudu i Miszny.

Po mniej więcej godzinie ubrał się, spryskał wodą kolońską i znowu wyszedł na Newski. W ciemnościach błysnęła wysoka szklana witryna sklepu Faberge.

- Dobry wieczór, *barin!* Niech pan wskakuje, podwoję! - zawołał woźnica fińskich sań, strzelając z bata i zatrzymując swoje krótkonogie koniki, pobrzękujące odświętnie dzwonekami uprzęży.

Zeitlin machnął ręką na znak, że nie skorzysta, i poszedł dalej zwawym krokiem. Przez dziesięciolecia żyłem bezpiecznie, ale w więzieniu, pomyślał. Wracam do życia po długim śnie. Odzyskam swoją córkę, pokażę jej, że ją kocham, zainteresuję się jej nauką i dalszymi studiami. Nigdy nie jest za późno, prawda?

U Donana powitał go Jean-Antoine. Zeitlin zdjął płaszcz i zrzucił walonki. Spieszył się do swojego gościa.

* * *

W zaciszu szkarłatnego gabinetu czekała na niego Lala, ubrana w jedwabną koktajlową suknię przystrojoną fiołkami. Wstała na jego widok, a jej łagodna twarz przybrała żartobliwy wyraz.

- Panie baronie! Co to za pilna sprawa?

- Proszę nic nie mówić - powiedział, ujmując jej dłonie. - Usiądźmy.

- Dlaczego tutaj?

- Zaraz pani wyjaśnię.

Rozległo się pukanie do drzwi i kelnerzy przynieśli podwieczorek: ciasto owocowe, bułeczki z dżemem truskawkowym, świeżą śmietankę i dwa kieliszki bursztynowego płynu. Lala wstała, żeby go obsłużyć, ale powstrzymał ją i poczekał, aż kelnerzy naleją herbatę i zamkną drzwi.

- Koniak - powiedział. - Dla nas,

- Co to jest? - spytała. - Niepokoi mnie pan. Wydaje się pan nieswój. I po co koniak?

- To najlepszy, Courvoisier. Proszę spróbować.

Patrzyli na siebie z obawą. Zeitlin wiedział, że wygląda staro, że twarz ma pomarszczoną, a na skroniach nowe pasemka siwizny. Był wyczerpany nieustannymi spotkaniami i własną jowialnością, ślęczeniem nad kolumnami cyfr. Wszyscy tak wiele po nim oczekiwali, jego zobowiązania wydawały się nieskończone. Przytłaczały go nawet zyski z własnych przedsięwzięć.

Lala też wydaje się starsza, pomyślał nagle. Jej policzki są pulchniejsze, skóra zniszczona przez zimy. Strach przed przyszłością i samotnością, rozczarowania sprawiały, że wyglądała na więcej lat, niż miała w rzeczywistości.

Zawstydzony tymi myślami, zawahał się, a płonący w kominku ogień zabarwił ich twarze na pomarańczowo. Lala wypila łyk koniaku. Ogień rozgrzewał ich stopniowo.

Wstała.

- Nie lubię koniaku. Pali mnie w gardle. Chyba powinnam już iść. Nie czuję się dobrze w tym miejscu. To niestosowne...

- To jest Donan!

- Właśnie. Czytałam o nim w gazetach...

Na nic się to nie zdało. Nie mógł dłużej zapanować nad sobą. Rzucił się do jej stóp i wtulił twarz w jej łono.

- Co się stało? Na miłość boską, co się stało?

Ujął jej dłonie. Próbowala go odepchnąć, ale jej wrodzona dobroć wzięła górę nad rozważą. Delikatnie głaskała go po włosach, a on czuł jej dłonie, miękkie i ciepłe jak dłonie młodej dziewczyny.

Wstał i wziął ją w ramiona.

Co ja robię? - pomyślał. Oszalałem? Mój Boże, wargi rządzą się swoimi prawami. Tak jak magnezja płonie w zetknięciu z tlenem, tak usta przy ustach wywołują jakąś reakcję chemiczną. Pocałował ją.

Westchnęła cicho. Wiedział, że Lala chętnie obdarza innych uczuciami - ale czy pragnie jakichś także dla siebie?

Potem stało się coś magicznego. Pocałował ją znowu i nagle odwzajemniła pocałunek, zamykając oczy. Jego dłonie błądziły po jej ciele. Sama prostota jej sukni, taniaś pończoch, zwyczajność różanego zapachu wprawiały go w zachwyt. Kiedy jej dotykał, nie zdawał sobie sprawy z jedwabistości jej skóry. Dym z kominka, aromat indyjskiej herbaty odurzyły ich oboje.

Robię coś krańcowo lekkomyślnego, niewłaściwego i głupiego, mówił sobie Zeitlin. Ja, który sprawuję kontrolę nad wszystkim, co robię. Natychmiast przestań, głupcze. Nie zachowuj się jak twój nedorzeczny brat! Stanę się pośmiewiskiem! Zniszczę swój doskonały świat.

Ale on już był zniszczony, a Zeitlin odkrył, że o to nie dba.

W wieku czternastu lat Audrey Lewis opuściła szkołę w Pegsdon w Hertfordshire, aby podjąć pracę młodszej guwernantki u rodziny lorda Stisteda przy Eaton Square w Londynie.

Jej historia, jak sama później mówiła, była tak samo smutna jak jedna z tanich powieści, które uwielbiała czytać. Niewydarzony syn pracodawców (który romansował z każdą służącą) uwiódł ją i porzucił w poważnym stanie. „Dla zachowania pozorów” zaaranżowano więc jej małżeństwo z panem Lewisem, pięćdziesięcioletnim kierowcą. Zdecydowała się na aborcję, która omal nie zakończyła się śmiercią na skutek krwotoku. Małżeństwo okazało się nieudane i Audrey odeszła z posady za łapówkę w postaci znakomitych referencji. Jej kochający rodzice błagali ją, żeby wróciła do ich domu Żyj i Pozwól Żyć Innym w Pegsdon, którego nazwa odzwierciedlała ich filozofię życiową. Ale ona przeczytała ogłoszenie w czasopiśmie „Lady”. Wystarczyło jedno słowo: Rosja!

W Sankt Petersburgu był środek lata, kiedy powóz Zeitlina czekał na młodą Angielkę, która schodziła z pokładu niemieckiego statku. Samuel miał na sobie biały garnitur, kamasze, słomkowy kapelusz, pierścień z opalem, srebrną spinkę do krawata w kształcie węża i roztaczał wokół siebie aurę wielkodusznego optymizmu, który natychmiast udzielił się Audrey, przyjętej do jego szczęśliwej rodziny. Był szczupłym i młodym mężczyzną z kasztanowatymi włosami i zawadiackimi wąsami. Zeitlinowie nie mieszkali jeszcze w rezydencji przy ulicy Bolszaja Morskaja, lecz w przestronnym mieszkaniu przy Gorochowej. Mimo zamożności wciąż byli prowincjuszami: Ariadna, z fiołkowymi oczami, czarnymi włosami o błękitnym odcieniu i królewskim biustem, wciąż była ozdobą teatralnych łóż w miastach na południu Rosji, gdzie jej mąż robił interesy. Niestrudzenie próbowała dorównać żonom rosyjskich namiestników i gubernatorów oraz ormiańskich i muzułmańskich magnatów naftowych w Baku i Tyflisie.

Zeitlinowie, jak odkryła Lala, byli Żydami. Nigdy wcześniej nie zetknęła się z Żydami. W jej wiosce w Hertfordshire ich nie było, a lord Stisted też nie znał żadnych Żydów, chociaż lady Stisted wyrażała się z pogardą o pozbawionych skrupułów żydowskich milionerach z Afryki Południowej i brudnych żydowskich rzezimieszkach z Rosji, którzy zamienili East End w „siedlisko występku”. Audrey słyszała ostrzeżenia, że Żydzi nie są dobrymi pracodawcami - lecz wiedziała, iż ze swoją przeszłością nie może wymagać zbyt wiele. A Zeitlinowie byli zachwyceni, że znaleźli dziewczynę, która pracowała w arystokratycznym londyńskim domu. Przypadli sobie nawzajem do gustu - zwłaszcza że Zeitlinowie wydawali się bardzo cywilizowanymi Izraelitami.

Zanim jeszcze wniesiono walizki do pokoju Lali, Ariadna, która wyglądała olśniewająco w szkarłatnym brokacie, zaprowadziła ją do pokoju dziecinnego, aby poznała swoją podopieczną.

- *Here she is! Voilà ma filie* - powiedziała Ariadna, w połowie po angielsku, w połowie po francusku, z pretensjonalnym akcentem. - Omal mnie nie zabiła przy porodzie. Nigdy więcej. Zapowiedziałam Samuelowi - od tej pory należy mi się trochę rozrywki! To nieposłuszne dziecko, niewdzięczne i niesforne. Zobaczymy, czy uda się pani ją okiełznać, *missis* Linton...

- Lewis, Audrey Lewis, *madame*.

- Tak, tak... od tej pory ona należy do pani.

To było właśnie to spotkanie, kiedy Mrs Lewis stała się Lalą i zakochała się w Saszeńce. Sama była nastolatką; jej podopieczna nie była dużo młodsza. Lekarz w Londynie powiedział jej po aborcji, że nigdy nie będzie mogła mieć dzieci, więc nagle, żarliwie, zapragnęła otoczyć miłością tę małą dziewczynkę.

Dziecko i guwernantka potrzebowały się nawzajem i w ten sposób Lala stała się matką Saszeńki, prawdziwą matką. Świetnie się bawiły: zimą jeździły na łyżwach i na sankach, latem odbywały przejażdżki powozem, zbierały grzyby i jeżyny w Zembliszynie, zawsze roześmiane, zawsze razem.

Zeitlinowie bez przerwy podróżowali, do Odessy, Baku i Tyflisu, pociągiem, ale w prywatnym przedziale. Lala uczyła się rosyjskiego podczas tych długich podróży.

W Baku mieszkali w pałacu, który ojciec Zeitlina wzniósł na wzór francuskiego zamku: spacerowali nadmorską promenadą w otoczeniu zastępu ochroniarzy w fezach, uzbrojonych w berdanki. W Odessie zatrzymywali się w hotelu Londyńskim przy Nabrzeżnej, tuż nad słynnymi Schodami Richelieu: Lala spędzała wolny czas, przesiadując w kawiarniach, jedząc pieczonego jesiotra na Dieribaskiej. Ale jej angielskie serce pozostało w Tyflisie.

* * *

Wiosna była cudowna w Tyflisie, stolicy Kaukazu, czarodziejskim gruzińskim Tyflisie leżącym w połowie drogi między szybami naftowymi Zeitlina w Baku nad Morzem Kaspijskim a tankowcami Zeitlina w Batumi nad Morzem Czarnym.

Zeitlinowie wynajmowali tam rezydencję od zubożałego gruzińskiego księcia, stojącą przy brukowanej alei u stóp Świętej Góry. Rosyjscy pułkownicy i ormiańscy milionerzy przychodzili z wizytą. Ariadna witała ich, uśmiechając się z porośniętego dzikim winem balkonu, jej białe zęby i fiołkowe oczy błyszczały pożądliwie. Nigdy nie odwiedzała pokoju dziecinnego.

- Lewis i dziecko przyjadą razem z bagażami - mawiała. Zeitlin jednak, chociaż bardzo zajęty, wstępował do pokoju dziecinnego. Najwyraźniej wołał go od salonu pełnego oficerów i urzędników we frakach i cylindrach, szarfach i epoletach. W naj-

wyższych kręgach dzieci miały być podziwiane krótko, a następnie usuwane z zasięgu wzroku, lecz Zeitlin uwielbiał swoją Saszeńkę i ciągle całował ją w czoło.

- Muszę wracać do pracy - mawiał. - Ale jesteś taka słodka, kochana Sa-szeńko. Masz skórę jak atlas! Można by cię zjeść!

Pewnego dnia, podczas jednego z rzadkich wolnych wieczorów, Lala w najlepszej niedzielnej sukience, z parasolką, przechadzała się główną aleją, obok Pałacu Namiestnikowskiego (gdzie, jak słyszała, Ariadna zaszokowała żony oficerów nagimi ramionami i szaleńczym tańcem). Ulice Tyflisu pachniały bzem i konwaliami. W drodze na plac Erewański mijała teatry, opery i rezydencje.

Uprzedzono ją, żeby uważała, i niebawem zrozumiała dlaczego. W hałaśliwych, brudnych bocznych uliczkach roіło się od Turków, Persów i Gruzinów w jaskrawych strojach, ze sztyletami i strzelbami. Wśród tłumów uwijali się ulicznicy. Sprzedawcy wody i tragarze: pchali wózki. Oficerowie spacerowali z damami, ale nie widziało się samotnych kobiet. Ledwo Lala weszła na plac, otoczyli ją ulicznicy i handlarze, krzyżący we własnych językach i zachwalający swoje towary - dywany, arbuzy, pestki dyni i fasolę. Wywiązała się bójka pomiędzy perskim woźniwą a gruzińskim ulicznikiem; jakiś Czeczen sięgnął po nóż. Zapadał wieczór i wciąż było nieznośnie gorąco. Potrącana i nagabywana, z twarzą ociekającą potem, Lala była coraz bardziej przerażona i jeszcze chwila, a wpadłaby w panikę, ale nagle tłum się rozstał i czyjeś ręce wciągnęły ją do powozu.

- *Missis* Lewis - powiedział Samuel Zeitlin, ubrany w angielski blezer i białe spodnie - jest pani odważna, ale nierozsądna, zapuszczając się tutaj sama. Chciałaby pani zobaczyć ormiański bazar? Nie jest bezpieczny dla samotnej kobiety, ale niezwykle ekscytujący: zechce mi pani towarzyszyć?

Zauważyła, że nosi laskę z gałką w kształcie głowy wilka.

- Dziękuję, ale powinnam już wracać do Saszeńki.

- Cieszę się, *missis* Lewis, że jest pani takim skarbem dla mojego jedyne go dziecka, ale Saszeńka świetnie sobie poradzi z Szyfrą przez godzinę. Dobrze się pani czuje? Zatem przejdźmy się. Ze mną będzie pani bezpieczna.

Zeitlin pomógł jej wysiąść z powozu i zanurzyli się w dziki tłum. Ulicznicy, *kin-to*, oferowali gruzińskie przysmaki, Persowie w fezach nalewali wodę z bukłaków; rosyjscy oficerowie w bryczesach i kurtkach ze złotymi guzikami paradowali dumnie obok nich, czerkiescy górale z szablami i patrontaszami zsiadali ze swoich wytrzymałych kucyków. Głosy straganiarzy wołających: „Zimna woda, u mnie!”, zapachy świeżego chleba, gotowanych jarzyn i wonnych korzeni odurzały.

Zeitlin oprowadził Lalę po stromych uliczkach i mrocznych zakamarkach bazaru, gdzie piekarze piekli gruzińskie placki, Ormianie wystawiali kindżały i siodła, Tatarzy

sprzedawali sorbet przygotowany przez kobiety w czarza-fach, a jakiś Żyd grał na katarynce. Kiedy szli, Lala trzymała Zeitlina pod ramię: wydawało się to zupełnie naturalne. W małej kafejce za straganem z przyprawami kupił jej mrożony sorbet i szklanę białego gruzińskiego wina, które było lodowato zimne, owocowe w smaku i lekko musujące.

Zapał zmięch. Rozgrzane ulice parujące zapachami gruzińskiego sernika - *chaczapuri* - i ormiańskiego jagnięcego szaszłyku, rozbrzmiewające śmiechem kobiet na balkonach i stukotem podków na bruku, wciąż były zatłoczone i tajemnicze. Mężczyźni ocierali się o nią w półmroku. Od wina trochę kręciło się jej w głowie.

Otarła czoło chusteczką.

- Chyba powinniśmy już wracać do domu.

- Ale nie pokazałem ci jeszcze starego Tyflisu - powiedział, prowadząc ją w dół maleńkimi krętymi uliczkami, wśród rozsypujących się domów z nachylnymi balkonami oplecionymi dzikim winem. Nikogo więcej nie było na ulicach i wydawało się, jakby ona i Zeitlin znaleźli się poza rzeczywistością.

Otworzył jakąś bramę ogromnym kluczem. Pojawił się dozorca z białą brodą i podał mu latarnię. Znaleźli się w opuszczonym ogrodzie, zarośniętym winoroślą i wiciokrzewem, który wydzieliał odurzający aromat.

- Zamierzam kupić ten dom - powiedział Zeitlin. - Czy nie wygląda jak z gotyckiej powieści?

- Tak, tak - odparła ze śmiechem. - Przywodzi mi na myśl duchy kobiet w białych całunach... Co to była za książka Wilkiego Collinsa?

- Wejść i obejrzyj bibliotekę. Lubisz książki, Audrey?

- Och, tak, panie Zeitlin...

- Mów mi po imieniu.

Weszli na brukowany dziedziniec porośnięty pnączami, które sięgały balkonów. Zeitlin otworzył zaryglowane drewniane drzwi do zimnego, kamiennego holu, ozdobionego brązowymi płaskorzeźbami. Znaleźli się w wysokim pokoju, wyłożonym ciemnym drewnem, z koronkowymi zasłonami. Zeitlin obszedł go dookoła, zapalając mosiężne lampy z zielonymi kloszami, a Lala zobaczyła, że to biblioteka. Wykonane z karelskiej sosny półki na książki były pełne, a jeszcze więcej książek piętrzyło się w stertach, tak wysokich, że pośrodku pokoju tworzyły stół. Ściany były zawieszane najdziwniejszymi osobliwościami

- głowami wilków i niedźwiedzi, starymi mapami świata, portretami królów i generałów, czeczeńskimi szablami, średniowiecznymi rusznicami, pornograficznymi pocztówkami, socjalistycznymi broszurami, prawosławnymi ikonami, tanimi i bezcennymi. Utracony świat. Ale to książki, w wielu językach

- po rosyjsku, angielsku, francusku - interesowały ją najbardziej.

- Bierz wszystkie książki, które chcesz - powiedział jej Zeitlin. - Kiedy tu jesteśmy, możesz czytać, co ci się podoba. Wyszła za nim na zewnątrz.

Ich oczy spotkały się i rozeszły, a potem znowu spotkały w ciemniejącym świetle ogrodu, w powietrzu tak przesyconym zapachem winorośli i jabłko-wo-migdałową wonią kwiatów *tkemali*, że Lala ledwo mogła oddychać. Czowała jego wodę kolońską, cygara i słodkie wino w jego oddechu.

W tym momencie w ogrodzie starego domu w Tyflisie zrobiłaby wszystko, wszystko, o co by ją poprosił - ale kiedy już myślała, że zamierza ją pocałować, cofnął się raptownie i wyszedł z ogrodu. Wezwali powóz i pojechali na Gołowiński Prospekt.

Następnego ranka, kiedy Lala przyprowadziła Saszeńkę, żeby przywitała się z ojcem przy śniadaniu - *madame* oczywiście jeszcze spała - była mu wdzięczna, że jej nie dotknął. Obdarzywszy ją przelotnym uśmiechem i uprzejmym „Dzień dobry, *missis* Lewis”, pocałował córkę i wrócił do studiowania kursów walut w „Gazecie Czarnomorskiej”. Żadne z nich nigdy nie wspomniało o tamtym wieczorze.

* * *

Od tamtej pory Lala spędzała całe dni z Saszeńką i nie miała czasu ani ochoty na znajomości z mężczyznami. Ale ostatnio Saszeńka dorastała o wiele za szybko. Srebrne Dziecko pociemniało i wyszczuplało, stało się milczące i zamyślane.

-Ty i ja nigdy nie wyjdziemy za mąż, prawda, Lalu? - spytała kiedyś Saszeńka.

- Oczywiście, że nie.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Lala nie znała się na polityce, ale ostatnio uświadomiła sobie, że Karol Marks zajął jej miejsce w sercu Saszeńki. Wiedziała, że to coś złego i niebezpiecznego, i napełniało ją to smutkiem. Wszystkiemu winien był ten kaleka o grzmiącym głosie, Mendel.

Często, kiedy gasiła lampę naftową w swoim małym pokoiku na najwyższym piętrze domu przy ulicy Bolszaja Morskaja, nawiedzały ją sny, dziwne sny o tamtej chwili z baronem w gruzińskim ogrodzie. Przewracała się na łóżku, skóra ją paliła, wyobrażała sobie swój oddech na jego piersi, jego usta dotykające jej piersi, jego rękę pomiędzy swoimi udami. Czasami budziła się rozdygotana.

I nagle, ni stąd, ni zowąd, Zeitlin zaprosił ją do Donana.

- Naprawdę chcę odzyskać swoją córkę, a pani znają lepiej niż ktokolwiek - powiedział. - Spotkajmy się poza domem i porozmawiajmy o jej przyszłości. Już za późno, żeby zapisać ją do gimnazjum przy ulicy Gagarina. Myślałem o akademii profesora Rajewa przy Gorochovej...

Jakże inaczej wszystko się potoczyło. W restauracji nawet nie wspomniał o Saszeńce. To było jak jeden z jej niepokojących snów - lecz Lala wiedziała, że to jest złe, i bardzo się zaniepokoiła. Potrzebowała stabilizacji. Jeśli pan stał się lekkomyślny, co się stanie z domem, z nią, z Saszeńką?

Lala bała się zmian. Wybuch wojny przyjęto w Rosji z entuzjazmem: stała wśród setek tysięcy chłopów, robotników, służących i hrabin na placu Pałacowym. Widziała cara, carycę, piękne wielkie księżne i małego następcę tronu na balkonie Pałacu Zimowego, błogosławiących tłum. Lala, teraz już prawie Rosjanka, śpiewała rosyjski hymn i cieszyła się, kiedy poborowi maszerowali Newskim z pieśnią na ustach: *Słowiku, słowiku, mała ptaszyno!*

Teraz czuła, że coś strasznego wydarzy się niebawem w jej przybranej ojczyźnie, ale było już za późno na powrót do domu; stała się zbyt światowa ze swoją płynną znajomością rosyjskiego i po wizytach w Biarritz i w Baku; zbyt przyzwyczaiła się do dotychczasowego trybu życia, żeby zaczynać jeszcze raz w innym domu, i za bardzo kochała Saszeńkę, żeby matkować innemu dziecku. Sporo odłożyła, ale nie tyle, żeby żyć z oszczędności.

Widziała kolejki po chleb na ulicach i łatwe kobiety przed kasynami i nocnymi klubami Piotrogradu. Czytała w gazetach, że wojska się cofają, że Niemcy zajęli Polskę i lasy Zeitlina. Musiała być uprzejma dla rodziców Ariadny którzy koczowali w domu, rozmawiając w jidysz i śpiewając po hebrajsku. Ca przebywał na froncie. Jej bohater, lord Kitchener, który pokonał Mahdiego i Burów, wyruszył z wizytą do Rosji, lecz jego okręt wszedł na minę i zatonął.

Ale ona wciąż wierzyła, że chociaż mogą się pojawić kłopoty, jej Samuel, jej baron, jakoś sobie z nimi poradzi.

Przez wszystkie te lata Lala trzymała się na uboczu, znając swoje obowiązki, żyjąc skromnie, przygotowana już na samotną starość na poddaszu wiel-kopańskiej rezydencji. Jak Szyfra. A mimo to, dobrze ukryta pod uprzejmą sumiennością, jak spieniony strumień rwący w dół zbocza pod pancierzem grubego lodu, krew wciąż w niej kipiała. Tej nocy, układając się do snu, odtwarzała w myślach swoje spotkanie z baronem. Bez najmniejszego zażenowania kochali się nago w gabinecie u Donana.

- Rozwodzę się z Ariadną - powiedział później. - Wyjdiesz za mnie? Od tak dawna jej ciało było nietknięte, ignorowane, że każda najmniejsza pieszczota pozostawiała ślady, jakby maleńkie żądła pokłuły jej skórę.

Teraz, kiedy patrzyła na siebie w małym lustrze w swojej schludnie utrzymanej sypialni, czuła, rozkosznie, gdzie jej dotykał. Jej skóra się iskrzyła. Czekał na powrót Szaszeńki, próbowała czytać nową angielską książkę, ale musiała ją odłożyć.

Cała drżała z szaleńczej radości.

Nagle zadźwięczał dzwonek w jej pokoju. Zdarzało się to bardzo rzadko. Kiedy wyszła na korytarz, usłyszała krzyk kobiety i zbiegła po schodach. Sa-szeńka, blada i wyczerpana, stała w przedpokoju, drzwi frontowe były otwarte, a rozczochrana, mamrocząca Ariadna siedziała na krześle z głową wspartą na rękach.

- Och, Lalu, dzięki Bogu, że jesteś. Pomóż mi zaprowadzić ją do sypialni. Potem - niech pomyślę - wezwij pokojówki i doktora Gempa. - Saszeńka urwała i popatrzyła na Lalę. - Gdzie jest ojciec?

25

Kapitan Sagan stał w oknie konspiracyjnego mieszkania przy ulicy Gogola, paląc cienkie cygaro. Był nowy rok, ale Rosja ponosiła coraz dotkliwsze klęski. Wziął szczyptę kokainy z tabakierki i wtarł ją w dziąsła. Krew natychmiast popłynęła wartkim strumieniem przez jego żyły, a zmęczenie ustąpiło miejsca radosnemu optymizmowi, który pulsował mu w skroniach.

Był styczniowy wieczór, na murach Twierdzy Pietropawłowskiej po drugiej stronie Newy widać było światła latarni. Po prawej stronie, na Nabrzeżu, światła płonęły też w Pałacu Zimowym, chociaż carowie nie mieszkali tu od 1905 roku.

Imperatorowa przebywała za miastem, w Carskim Siole, a imperator w kwaterze głównej blisko linii frontu. Twierdza symbolizowała potęgę samowładztwa: w jej kaplicy był pogrzebany Piotr Wielki, Katarzyna II i ich następcy aż do ojca obecnego cesarza. Ale była też więzieniem: w zimnych celach Bastionu Trubieckiego przetrzymywano anarchistów, nihilistów i socjalistów.

Usłyszał skrzypnięcie drzwi. Kroki za plecami. Może to ona? Albo może jeden z zabójców? Pewnego dnia skrzypnięcie i ten widok mogą być ostatnią rzeczą, jaką zarejestrują jego zmysły, zanim padnie strzał, który roztrzaska mu czaszkę. Być może to nawet jej niemądry paluszek naciśnie na spust. Ale to była najważniejsza gra, ryzyko związane z życiem, które prowadził, ryzyko związane z pracą, którą wykonywał, ze służbą dla Ojczyzny. Wierzył w Boga i wierzył, że pójdzie do nieba: usuńcie Boga i jego syna Jezusa Chrystusa, a nie pozostanie nic, tylko chaos i grzech. Gdyby teraz

umarł, już nigdy nie zobaczyłby żony. Ale to właśnie takie spotkania jak to wśród bezkresnej nocy nadawały jego życiu sens.

Nie odwrócił się. Rozkoszując się widokiem czerwonego pałacu Mienszykowa, twierdzy, zamarzniętej rzeki, czekał. Wiedział, że to ona weszła do pokoju i usiadła na otomanie.

Saszeńka, ubrana skromnie w szarą spódnicę i białą bluzkę, jak pedantyczna prowincjonalna nauczycielka, przeglądała książkę. Sagan zdumiewał się, jak bardzo się zmieniła od swojego aresztowania. Chociaż jej włosy były zaczesane do tyłu w surowy kok, a jej ściągnięta twarz pozbawiona jakiegokolwiek makijażu, przydawało to jedynie intensywności jej szarym oczom, a maleńkie plamki piegów nabierały nieodpartego uroku. Im mniej była kokieteryjna, im bardziej ukrywała swoją figurę, tym częściej patrzył na nią, kiedy spoglądała w inną stronę. Wydawała mu się jeszcze bardziej pociągająca... tak, nawet piękna.

- A zatem, towarzyszu Pietro - tak go teraz nazywała - masz coś dla nas, czy nie? Samowar nastawiony? Mogę dostać herbaty?

Sagan zrobił herbatę. Spotykali się często, a ich spotkania nabrały całkiem nieformalnego charakteru. Nie wiedział, czy ona widuje się z nim dlatego, że zaczęła go lubić, czy dlatego, że tak rozkazała jej partia. My, mężczyźni, jesteśmy śmieszni, pomyślał. Przyjemnie było podobać się jej, nawet jeśli jeszcze nie całkiem stała się kobietą. Ale nie musiał sobie przypominać, że gdyby zaangażował się w jakikolwiek sposób, przywiązał, nie mówiąc już o miłości, naraziłby nie tylko własną karierę, lecz również świętą misję swego życia. Znał reguły: jeśli Mendel pociągał za sznurki, z pewnością chciał, aby Sagan zapałał do niej namiętnością. To nie może się stać. To się nigdy nie stanie. Sagan zawsze panował nad sytuacją.

- Szczęśliwego Nowego Roku, Zemfiro - powiedział, całując ją trzy razy w policzki. - Jak witano tysiąc dziewięćset siedemnaście w twoim domu?

- Wspaniale. W tym roku nasz dom bardziej przypominał sanatorium.

- Jak twoja matka?

- Spytaj swoich szpiegów, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć. - Przyzwyczajona do konspiracji, wydawała się bardziej pewna siebie niż kiedykolwiek. Mimo to był przekonany, że od śmierci Rasputina zaczęła mu ufać, na przekór swojej bolszewickiej czujności. Kiedy spotkali się nocą po śmierci Rasputina, podziękowała mu. Przez chwilę nawet myślał, że obejmie go na swój afektowany sposób, jak towarzysza, lecz nie zrobiła tego. Ale nadal się spotykali.

- Jak baronowa radzi sobie z opium? Próbuje hipnozy? Słyszałem, że to pomaga.

- Nie dbam o to - odparła. - Chyba ma się lepiej. Zamawia następną suknię i oburza się na wysoki stryja Gideona.

- A rozwód?

- Tata powinien się z nią rozwieść, ale myślę, że się nie ośmieli. Ona całkowicie się zatraciła. Nie wierzy w nic poza przyjemnościami. Rzadko bywam teraz w domu. - Urwała. - Partia się rozrasta. Widziałeś kolejki po chleb? Codziennie wybuchają bójki o ostatnie bochenki.

Westchnął, czując nagłą ochotę na następną porcję kokainy i walcząc z pokusą, by opowiedzieć jej więcej o sobie, o tym, co wiedział. Był zaskoczony falą beznadziei, która zdawała się wylewać z ulic miasta i pochłaniać go. Czy car, imperium i prawosławie byli już straceni?

- Znasz prawdę ze swoich raportów - powiedziała, pochylając się - i wiem, że z nami sympatyzujesz. No, Piętro. Odsłoń się trochę, bo mogę się znudzić i nigdy więcej się z tobą nie spotkam. Powiedz mi coś, o czym nie wiem. Powiedz mi, co mówią twoje raporty.

Przenikliwe oczy wpatrywały się w niego bezlitośnie, jak mu się zdawało. Nic nie odpowiedział.

Uniosła brwi i rozłożyła ręce. Potem, podrywając się z miejsca, schwyciła swój karakułowy płaszcz i czapkę i ruszyła w kierunku drzwi. Otworzyła je.

- Zaczekaj - powiedział, głowę miał ściśniętą jak w imadle. Nie chciał, żeby odeszła. - Głowa mnie boli. Pozwól mi zażyć szczyptę mojego leku.

- Nie krępuj się. - Patrzyła, jak otwiera srebrną tabakierkę, rodową pamiątkę ozdobioną herbem i wysadzaną brylantami, ślini palce, nabiera grubą warstwę białego proszku i wciera ją w dziąsła. Tętnice mu się rozszerzyły, krew znowu zalała skronie, a Sagan zastanawiał się, czy Saszeńka zauważyła opuchliznę jego ust.

- Nasze raporty - zaczął - ostrzegają cara przed rewolucją. Właśnie napisałem jeden, w którym ostrzegam: *Jeśli dostawy żywności nie ulegną poprawie, trudno będzie utrzymać porządek na ulicach Piotrogradu. Garnizon pozostaje lojalny, ale...* Dlaczego się przejmujemy? Nowy rząd to kpina. Stiirmer, Trepów, a teraz ten zgrzybiały książe Golicyn, to karły i miernoty. Zamordowanie Rasputina niczego nie rozwiązało. Trzeba zacząć wszystko od nowa. Nie zgadzam się ze wszystkim, w co wierzysz, ale część z tego ma sens...

- Ciekawe. - Stała tuż przed nim, wydawało mu się więc, że czuje jej zapach

- czy to było mydło lawendowe Pearsa? Przesuwała palcem po wargach. Zrozumiał, że dorosła szybciej, niż sądził. - Drepczemy w miejscu, prawda, towarzyszu Piętro? Ale my już tracimy cierpliwość! Jeśli myślisz, że lubię się z tobą spotykać, to pewnie masz rację. Moglibyśmy być niemal przyjaciółmi... ale czy jesteśmy? Niektórzy z moich towarzyszy uważają, że nie powinnam się z tobą więcej widywać. Jeśli naprawdę z nami sympatyzujesz, są rzeczy, które chcemy wiedzieć. „To strata czasu -

mówią moi towarzysze. - Sagan daje nam gruszki na wierzbie". Tak czy inaczej, wiesz, że cała twoja praca na nic. Twój świat się kończy. Musisz dać nam coś, aby nas przekonać, żebyśmy cię oszczędzili.

- Jesteś nadmierną optymistką, Saszeńko, łudzisz się. Nie cenię wysoko waszych gazetek, ale, mówiąc między nami, trafnie przedstawiają sytuację w fabrykach i na froncie. Nie daje mi to spokoju. Ale mógłbym mieć coś dla ciebie.

- Naprawdę? - Uśmiech Saszeńki, kiedy to powiedziała, wynagrodził mu wszystko. Zrzuciła płaszcz i znowu usiadła, nie zdejmując czapki.

Nie po raz pierwszy Sagan zastanawiał się, kto tu kogo oszukuje. Pewność siebie Saszeńki świadczyła, że nadal opowiada Mendlowi o ich spotkaniach. Był rozczarowany, że nie przychodziła po prostu z sympatii - może tracił swoje wyczucie - lecz z pewnością trochę go lubiła. „Niemał przyjaciółmi", powiedziała. Funkcjonariusz tajnej policji poczuł bolesne ukłucie. Mimo wszystko rozmawiali o swoich rodzinach, o poezji, nawet o zdrowiu.

Ile zatem powtarzała Mendlowi? Miał nadzieję, że nie opowiada o ich bliskości, ponieważ mechanizm był taki: zatajanie rzeczy drobnych prowadziło do drobnych kłamstw, a zatajanie większych prowadziło do wielkich kłamstw

- w ten sposób jego rozmówcy stawali się podwójnymi agentami. Chciał zniszczyć Mendla, a Saszeńka była narzędziem do osiągnięcia tego celu. Jego metodą była dwulicowość, a nie szczerość - ale skoro w końcu zdecydował się na szczerość, przestała być tylko narzędziem. Stała się jego radością.

- Posłuchaj uważnie - powiedział. - Na jutrzejszą noc zaplanowali obławę na waszą drukarnię. Musicie ją przenieść. Nie chcę wiedzieć, dokąd.

Próbowała ukryć przed nim swoje podniecenie, ale rozśmieszył go sposób, w jaki zmarszczyła brwi, żeby zrobić dziarską minę.

- Ty kierujesz tą obławą? - spytała.

- Nie, to akcja żandarmerii. Żeby poznać szczegóły, musiałem obiecać, że dostarczę w zamian jakieś informacje.

- To bezczelność, towarzyszu Piętro. Machnął niecierpliwie ręką.

- Cała praca wywiadowcza to targ, Saszeńko. Noc w noc jestem na nogach. Nie mogę spać. Tylko dzięki proskowi doktora Gempa jeszcze żyję. Chcę pomóc waszej partii, ludowi, Rosji, ale wszystko we mnie buntuje się przeciwko dawaniu wam cze-gokolwiek. Wiesz, ile ryzykuję, mówiąc ci o tym?

Saszeńka odwróciła się do wyjścia.

- Jeśli to kłamstwo, wszystko skończone, a oni będą chcieli twojej głowy. Jeśli twoi szpicle pójną teraz za mną, nigdy więcej się nie zobaczymy. Rozumiemy się?

- A jeśli to prawda? - zawołał za nią.

- Wtedy zobaczymy się znowu bardzo szybko.

26

Łagodne światło przeświecało przez chmury, odbijało się od śniegu i wpadało przez zasłony: opium krążyło w żyłach Ariadny. Po zastrzyku zrobionym przez doktora Gempa głowa opadła jej na poduszkę, a ona dryfowała wśród sennych majaków: była w niebie razem z Rasputinem, on całował ją w czoło, imperatorowa czuwała nad nimi, ubrana w swój szary strój pielęgniarki. Rasputin trzymał ją za rękę i po raz pierwszy w życiu czuła się szczęśliwa i bezpieczna.

W sypialni słyszała cichą rozmowę prowadzoną w jidysz. Siedzieli przy niej rodzice.

- Biedne dziecko - wymamrotała jej matka. - Czy opętał ją dybuk?

- Wszystko dzieje się z woli Boga, nawet to - odparł ojciec. - Możemy go tylko prosić o zmiłowanie...

Ariadna usłyszała ciche skrzypienie skórzanego paska, kiedy rabin przywiązał fi-lakterię do swojego ramienia i przeszedł na hebrajski. Recytował Osiemnaście błogosławieństw, a jego dobrze znany śpiewny głos przenosił ją w przeszłość jak czarodziejski dywan...

* * *

Młody i przystojny Samuel Zeitlin stał na błotnistej ulicy przed szkołą talmudyczną, w pobliżu warsztatu szewca Łazarza w małym polsko-żydowskim miasteczku Turbinie pod Lublinem. Prosił ją o rękę. Początkowo wzruszyła ramionami: nie był księciem Dołgorukim ani nawet baronem Rothschildem, nie był dla niej odpowiednią partią - ale kto by był? Jej ojciec krzychał: „Ten Zeitlin to poganin! Nie je i nie ubiera się tak jak my: czy przestrzega prawa? Czy zna Osiemnaście błogosławieństw? Jego ojciec nosi krawaty i spędza wakacje w Bad Ems: to apostaci!”.

Potem siedem razy okrążyli żydowski ślubny baldachim - chupę; Samuel rozgniół kieliszek zdecydowanym tupnięciem buta. Chasydzi nosili na rękach jej męża, a wyraz jego twarzy mówił: Modłę się, abym nigdy więcej nie musiał oglądać tych prymitywnych fanatyków - ale mam ją! Mam ją! Dziś w nocy będę się kochał z naj-

piękniejszą dziewczyną w strefie osiedlenia! Jutro Warszawa! Pojutrze Odessa! A ona wreszcie ucieknie na zawsze z Turbinu.

Potem, dziesięć lat później, ona pieściła kapitana Dwinskiego w apartamencie w paryskim hotelu Bristol i nawet tego konesera ciała kobiecego zadziwiła swoim wyuzdaniem. W podartej halce, na czworakach, przyciskała lędźwie do jego twarzy, wijąc się jak tancerka, zachwycona swoją lubieżnością, sycząc przekleństwa po polsku, sprośności w jidysz. Nawet teraz zalewały ją fale pożądania, pieszczoty nagich mężczyzn, pocałunki kobiet.

Usiadła na łóżku. Wydawało się jej, że widzi świętobliwego starca: tak, to jego broda i jego błyszczące oczy w nogach łóżka.

- Czy to ty, Grigoriju? - spytała na głos. Ale potem uświadomiła sobie, że to połączenie lambrekinowej zasłony i sukni na wieszaku podsunęło jej obraz wysokiego, chudego mężczyzny z brodą. Była sama i nagle wróciła do przytomności.

Rasputin, który pokazał mi drogę do szczęścia, nie żyje, pomyślała. Samuel, którego miłość i bogactwo były filarami mojego rozchwianego pałacu, rozwodzi się ze mną. Saszeńka mnie nienawidzi - i kto by ją za to winił? Moi pobożni rodzice wstydy się mnie, a ja wstydzę się własnego wstydu. Całe moje życie było fiaskiem. Moje szczęście balansowało na linie, by w końcu runąć w przepaść. Nawet moje przyjemności są jak ta chwila, kiedy tancerka na linie traci równowagę...

Szydziłam z ojcowskiego świata świętości i zabobonów. Może moja matka miała rację, że jestem przeklęta od urodzenia? Szydziłam z losu, ponieważ miałam wszystko. Czy padł na mnie zły urok?

Ariadna osunęła się na poduszkę, samotna i unoszona po oceanach jak okręt bez załogi.

Saszeńka zostawiła pilną wiadomość dla Mendla u Lordkipadzego, gruzińskiego aptekarza przy Aleksandrowskim Prospekcie, a potem poszła do domu przy Newskim. Chmury skłębiły się w pierzaste kalafiory wiszące nad miastem. Temperatura spadła do minus dwudziestu stopni. W dzielnicach robotniczych rozbrzmiewały syreny i gwizdki. Coraz więcej fabryk strajkowało.

Na Newskim urzędnicy, robotnicy, a nawet panie domu z burżuazyjnych rodzin tłoczyli się przed piekarniami po chleb. Dwie kobiety tarzały się w ścieku, walcząc o ostatni bochenek: jedna biła drugą po twarzy.

Robotnicy wdarli się do sklepu Jelisiejewa, w którym Zeitlinowie zamawiali jedzenie, i wynosili ciasta i owoce. Subiekt leżał nieprzytomny.

Tej nocy Saszeńka nie mogła nawet udawać, że śpi. W głowie jej huczało. Wycie syren z dzielnicy Wyborskiej niesło się echem po Newie jak nawoływanie wielorybów.

Wstała z łóżka i nad ranem spotkała się z towarzyszem Mołotowem w knajpie dla dorożkarzy przy Dworcu Finlandzkim.

- Towarzysz Mendel jest teraz zajęty. Przysłał mnie. - Mołotow nie miał poczucia humoru, lecz był bardzo sumienny i wysłuchał uważnie ostrzeżenia Saszeńki.

- Czy t-t-twoje źródło jest w-wiarygodne? - wyjąkał, pocierając wypukłe czoło.

- Tak myślę.

- Dziękuję, t-t-towarzyszu. Wracam do pracy.

O świcie towarzysze Wania i Satinow rozmontowali prasę drukarską. Saszeńka i inni towarzysze przenieśli części w beczkach po piwie, bańkach na mleko, workach z węglem. Sama prasa została umieszczona w trumnie i załadowana do ukradzionego karawanu. Zapłakani krewni w czerni przewieźli ją do nowego lokalu w dzielnicy Wyborskiej.

* * *

O zmierzchu Mendel i Saszeńka wspięli się na schody budynku stojącego przy tej samej ulicy, z której wcześniej zabrano prasę drukarską. Dla Mendla każdy krok wymagał wysiłku, ponieważ włókł za sobą swój inwalidzki but.

Weszli na dach i Saszeńka poczęstowała Mendla papierosem, którego złoty ustnik nie pasował do robotniczej czapki i skórzanego płaszcza. Obserwowali, jak trzy dorożki i dwa powozy zatrzymują się przed piwnicą, a policjanci i żandarmi wyłamują drzwi.

- Dobra robota, towarzyszu Lisie Polarny - powiedział Mendel. - Miałaś rację.

Saszeńka pokraśniała z dumy. Naprawdę była cennym nabytkiem dla partii, a nie rozpuszczonym dzieckiem zdegenerowanej klasy.

- Czy mam nadal spotykać się z Saganem?

Oczy Mendla, powiększone przez grube soczewki, skupiły się na niej.

- Przypuszczam, że jest w tobie zakochany. Roześmiała się i potrząsnęła głową jednocześnie.

- We mnie? Chyba żartujesz. Nikt nie patrzy na mnie w ten sposób. Sagan mówi głównie o poezji. Naprawdę się na tym zna. Bardzo mi pomógł z mamą, ale zachowuje się właściwie. A ja jestem bolszewikiem, towarzyszu, nie flirtuję.

- Cholerna poezja! Nie bądź naiwna, dziewczyno. On cię pożąda!

- Nie! Na pewno nie! - Saszeńka zarumieniła się. - Ale sympatyzuje z nami. Dlatego nas ostrzegł.

- Oni zawsze tak mówią. Czasami to nawet prawda. Ale nie ufaj jego *szti-kom*. - Mendel często posługiwał się jidysz, językiem swojego dzieciństwa. Podczas gdy Ariadna całkowicie pozbyła się akcentu, Saszeńka zauważyła, że Mendel nadal mówi po rosyjsku z silną polsko-żydowską intonacją.

- Jeśli Sagan rzeczywiście jest taki niemoralny, towarzyszu, chyba nie powinnam się z nim więcej spotykać. Dziś rano przysłał mi liścik, zaprosił na przejażdżkę saniami na wieś. Oczywiście odmówiłam, a teraz na pewno się z nim nie spotkam.

- Nie bądź taką świętoszką, Saszeńko. Nie wiesz, co może z tego wyniknąć, dziewczyno. Strzeż się burżuazyjnej moralności. My decydujemy, co jest moralne, a co nie. Jeśli partia każe ci unurzać się w gównie, zrobisz to! Jeśli on cię pożąda, tym lepiej.

Saszeńka oburzyła się jeszcze bardziej.

- Chcesz powiedzieć...

- Jedź na przejażdżkę saniami - zagrzmiął zirytowany. - Spotykaj się z tym szubrawcem tak często, jak będzie trzeba.

- Ale on też musi się czymś wykazać.

- Damy mu kilka ochłapów. W zamian chcemy jednak złotych samorodków. Przede wszystkim zdobądź dla mnie nazwisko zdrajcy, który wydał drukarnię. Bez tego nazwiska cała akcja weźmie w łeb. Partia będzie zawiedziona. Bądź czujna. Tak!

- Twarz Mendla była czerwona z zimna. - Zejdźmy na dół, bo zamarzniemy. Jak twoja matka radzi sobie z rozwodem?

- Nie widuję się z nią. Doktor Gemp mówi, że popadła w histerię i melancholię. Bierze chlorał, brom, opium. Ojciec chce spróbować hipnozy.

- Zamierza się ożenić z *missis* Lewis?

- Co? - Saszeńka poczuła, jakby ktoś uderzył ją w brzuch. Jej ojciec i Lala? O czym on mówi? Ale Mendel już schodził z dachu.

W ciemnościach znów rozległy się fabryczne gwizdki, lecz czarne dachy nie pozwalały dojrzeć kipiącej w dole furii. Świat naprawdę oszalał, pomyślała.

28

Następny dzień był cieplejszy. Słońce i księżyc spoglądały na siebie podejrzliwie na dwóch krańcach mlecznego nieba. Nieliczne chmury przypominały dwie owce i barana na ośnieżonym polu. Wszystkie fabryki strajkowały.

Jadąc tramwajem na Dworzec Finlandzki, Saszeńka widziała na mostach tłumy demonstrantów, którzy trzeci dzień z rzędu domagali się chleba. Demonstracje zaczęły się we czwartek, w Międzynarodowy Dzień Kobiet, i od tamtej pory przybierały na sile.

- Powstańcie, których dręczy głód! - śpiewały tłumy, powiewając czerwonymi sztandarami. - Precz z samowładztwem! Żądamy chleba i pokoju!

Kozacy próbowali ich zatrzymać na moście Aleksandra Newskiego, lecz dziesiątki tysięcy pomaszzerowały dalej. Saszeńka widziała, jak kobiety w chłopskich chustkach wybijają szyby u Jelisiejewa i wynoszą jedzenie.

- Nasi mężowie giną na froncie! Dajcie nam chleba! Nasze dzieci głodują! Pojawili się też ulicznicy, dzieci o wzdętych brzuchach i twarzach starych małąp. Jeden z nich siedział na rogu i śpiewał, grając na akordeonie:

Jestem sam i sierota, i nikt o mnie nic nie wie.

Wkrótce umrę, nikt za mnie nie zmówi modlitwy na grobie,

Tylko słowik czasami zaśpiewa w pobliżu na drzewie.

Saszeńka dała chłopcu kilka kopiejek i komunistyczną broszurę.

- Po rewolucji - powiedziała mu - będziecie mieli chleb; wy będziecie panami; przeczytaj Marksa, to zrozumiesz. Zaczynij od *Kapitału*, a potem...

Ale chłopca już nie było.

Saszeńka nie dostała od partii żadnych konkretnych poleceń. O pierwszym brzaśku spotkała się ze Szlapanikowem w punkcie kontaktowym przy Szyrokiej.

- Demonstracje to strata czasu, towarzyszeko - dowodził. - Nie marnuj naszych ulotek. To nie doprowadzi do niczego, jak wszystkie inne rozruchy.

W piątek robotnicy zabili na moście oficera policji, a tłum wdarł się do cukierni Filipowa, gdzie kucharka Delfina kupowała napoleonki dla barona Zeitlina.

Władze w końcu zareagowały. Na ulicach zaroilo się od kozaków i żołnierzy, a miasto przypominało obóz wojskowy. Każdego zaułka, każdego mostu strzegły gniazda karabinów maszynowych i samochody pancerne; szwadrony kawalerii stacjonowały na placach, końskie łajno parowało na śniegu.

Teatry wciąż wystawiały sztuki, a ponieważ Ariadna poczuła się lepiej, wybrała się razem z Zeitlinem do Aleksandryjskiego na awangardową inscenizację *Maskarady* Lermontowa. U Donana i Contanta nadal były tłumy, a orkiestry w Europie i Astorii grały walce i tanga.

Saszeńka miała się spotkać z Saganem. Najpierw pospieszyła do punktu kontaktowego przy Newskim 153, lecz Mendel, który zjawił się tam razem ze Szlapanikowem i Mołotowem, kazał jej się uspokoić.

- Oddadzą kilka strzałów nad głowami tych robotników, rzucają im bochenek chleba i wszystko się skończy.

Inni zgodzili się z nim. Zapewne mają rację, pomyślała Saszeńka.

Na Dworcu Finlandzkim z przyzwyczajenia sprawdziła, czy nie ma ogona. Jeden mężczyzna wyglądał na szpicla, lecz łatwo go zgubiła, a potem wsiadła do pociągu z biletem trzeciej klasy. Na mrozie para zdawała się buchać z każdej najmniejszej szczeliny w pociągu, wijąc się wokół niego jak czarodziejskie zaklęcie.

Umówiła się z Saganem w Bieloostrowie, małym miasteczku w pobliżu fińskiej granicy. Kiedy tam dotarła - tylko ona wysiadła z wagonu - Sagan już czekał w trojce, saniach zaprzężonych w trójkę koni, paląc cygaro, otulony futrem. Wsiadła, a on przykrył jej kolana futrzanym pledem. Woźnica splunął, strzelił z bata i pojechali. Saszeńka pamiętała takie wycieczki z Lalą rodzinnymi saniami wykończonymi kością słoniową, z rodzinnym herbem i sobolowym futrem. Teraz te liche sanie, trzeszczące i klekoczące, mknęły przez pola, a pijany woźnica w baranym kozuchu i futrzanym kapтурze wymachiwał batem nad kościstymi zadami trzech dychawicznych szkap. Co

chwila przemawiał do koni lub do pasażerów, ale trudno go było zrozumieć poprzez skrzyp sań i stukot podków.

-Wio... Owies... drożeje... Owies...

- Czy nie powinnaś być w Pitrze i walczyć z nikczemnymi faraonami? - spytał Sagan.

- Robotnicy są po prostu głodni, to nie buntownicy. Jesteś zaniepokojony? Potrząsnął głową.

- Skończy się na zamieszkach.

- Partia zgadza się z tobą. - Spojrzała na twarz Sagana. Wyglądał na zmęczonego i rozdrażnionego - podwójne życie i nieszczęśliwe małżeństwo, bóle głowy i bezsenność, zaburzenia w mieście, wszystko to zdawało się odciskać na nim swoje piętno. Przypomniały jej się oskarżenia Mendla. Skąd on mógł wiedzieć, co czuje Sagan, skoro nigdy się z nim nie spotkał i z pewnością nigdy nie widział ich razem? Nie, Sagan stał się dla niej kimś w rodzaju przyjaciela - on jeden rozumiał, co to znaczy mieć taką matkę jak Ariadna. Czuła, że on też ją lubi, ale dla niej samej, nie w ten sposób! Na pewno nie! Sagan nie nadawał się nawet do pracy w policji. Z tymi długimi, jasnymi włosami przypominał raczej zagubionego poetę niż groźnego policjanta. Pod wieloma względami byli wrogami, wiedziała o tym, ale dzięki wspólnocie ideałów i gustów rozumieli się i szanowali. Kiedy wypełni swoją misję, mogą się już nigdy więcej nie zobaczyć. Była jednak zadowolona, że Mendel kazał jej spotkać się z Saganem. Bardzo zadowolona. Miała dla niego wieści z domu, a komu innemu mogłaby się zwierzyć?

- Coś się stało w domu - powiedziała. Nie było nic złego w powtarzaniu nieszkodliwych rodzinnych plotek. - *Missis Lewis!* Moja Lala! Mendel ma szpiega u Donana. Tak się dowiedziałam. Kiedy zapytałam o to tatę, zaczerwienił się i zaprzeczył, odwrócił wzrok, a potem wreszcie przyznał, że myśli o poślubieniu jej, żeby zapewnić mi szczęśliwszy dom. Jakby mi na tym zależało! Ale teraz mówi, że nie rozwiedzie się z mamą. Jest za bardzo chora. Spytałam Lale, a ona uściskała mnie i powiedziała, że z miejsca mu odmówiła. To takie dzieci, towarzyszu Piętro. Ich świat niebawem się skończy, zmiążdży ich nieuchronna dialektyka dziejów, a oni ciągle grają jak orkiestra na *Titanicu*.

- Uraziło cię to? - spytał, nachylając się ku niej. Zauważyła, że jego jasne wąsy są tak samo przycięte jak wąsy jej ojca.

- Oczywiście, że nie - powiedziała stanowczo - ale nigdy nie myślałam o Lali w ten sposób.

- Guwernantki lubią romansować. Swoją pierwszą przygodę miłosną przeżyłem z guwernantką siostry.

- Naprawdę? A twoja żona?

Potrząsnął głową.

- W domu jestem nieobecny duchem. Przychodzę i wychodzę jak gość. Złapałem się na tym, że wątpię we wszystko, w co kiedyś wierzyłem.

- Lala była moją powiernicą. Z kim ty rozmawiasz?

- Z nikim. Na pewno nie z żoną. Czasem myślę, że chyba tylko przy tobie mogę być sobą, ponieważ w połowie jesteśmy sobie obcy, a w połowie jesteśmy przyjaciółmi, nie sądzisz?

Saszeńka uśmiechnęła się.

- Niezła z nas para! - Zamknęła oczy i pozwoliła, aby wiatr sypał jej w twarz orzeźwiającymi płatkami śniegu,

- Tam! - zawołał Sagan. Wskazał na gospodę przed nimi.

- Dobrze, wielmożny panie - krzyknął woźnica i popędził konie.

- Jesteśmy prawie na miejscu - powiedział Sagan, dotykając ramienia Sa-szeńki.

Mała drewniana chata, z kolorowymi drewnianymi ozdobami zwisającymi z dachu, stała samotnie pośrodku śnieżnego pustkowiecia i tylko kilka brzoź otaczało ją kręgiem jak wartownicy. Saszeńka pomyślała, że to miejsce jak z bajki o Królewnie Śnieżce.

Sanie zatrzymały się, z rozdętych końskich chrap buchała para. W drewnianych drzwiach ukazał się gruby wieśniak z kruczoczarą brodą, w kozuchu z niedźwiedziej skóry, walonkach, i pomógł jej wysiąść z sań.

„Gospoda” przypominała raczej chłopską chatę. „Restauracja” była pojedynczą izbą z rosyjskim piecem, na którym chrapał głośno starzec ze zwichrzoną białą brodą. W na wpół otwartym piecu Saszeńka zobaczyła skwierzącą na rożnie dziczyznę. Czarnobrody wieśniak zaprowadził ich do prostego drewnianego stołu i nalał im wódki.

- Za dziwną parę! - powiedział Sagan i wypili. Saszeńka jeszcze nigdy nie jadła posiłku z mężczyzną. Wódka paliła ją w żołądku jak rozgrzana do czerwoności kula, a cała ta scena - płonący ogień, śpiący starzec i zapach dziczyzny w piecu - zmała jej myśli; wyobraziła sobie, że są jedynymi ludźmi na całej mroźnej północy. Zaraz jednak otrząsnęła się. Brodaty wieśniak najwyraźniej znał Sagana, bo rozmawiał z nim żartobliwym tonem. Podał im pieczoną gęś doskonale przyrządzoną - tłuszcz i mięso niemal odchodziły od kości - z buraczkami, czosnkiem i ziemniakami. Jedzenie tak im smakowało, że prawie zapomnieli o rewolucji, i po prostu rozmawiali o niczym. Nie było deseru, a starzec na piecu ciągle spał. Po kolejnej wódce wyszli na dwór.

- Twoja informacja okazała się ścisła, Piętro - powiedziała Saszeńka, kiedy sanie pędziły przez ośnieżone pola.

- Nie było mi łatwo przekazać ci ją.

- Ale to nie wystarczy. Chcemy znać nazwisko człowieka, który nas zdradził.

- Mogę je zdobyć dla ciebie. Ale jeśli mamy nadal się spotykać, muszę coś dać swoim przełożonym...

Milczała przez dłuższą chwilę, podekscytowana niebezpieczną grą.

- Dobrze - powiedziała w końcu. - Mam coś. Gurstein uciekł z zesłania.

- Wiemy o tym.

- Jest w Piotrogradzie.

- Domyślaliśmy się.

- Chcecie go znaleźć? Skinął głową.

- Sprawdźcie w pensjonacie Kijów, pokój 12. - Taką odpowiedź uzgodniła z Mendlem, który ostrzegł ją, że będzie musiała udzielić jakiejś informacji. Najwidoczniej Gursteina można było poświęcić.

Sagan nie wydawał się szczególnie uradowany.

- To mienszewik, Saszeńko. Chcę bolszewika.

- Gurstein uciekł razem z Seńką Szaszianem z Baku.

- Tym bandytą, który rabował banki dla Stalina?

- Jest w pokoju 13. Teraz ty jesteś mi coś winien. Gdyby to wyszło na jaw, partia kazałaby mnie zabić. Teraz podaj mi nazwisko zdrajcy, który wydał drukarnię.

Przez chwilę było słychać tylko skrzypienie sań, a Saszeńka niemal czuła, jak Sagan zestawia cenę ludzkiego życia z wartością agenta.

- Wieriezin - powiedział wreszcie.

- Dozorca w koszarach gwardii konnej?

- Jesteś zaskoczona?

- Nic mnie nie zaskoczy - powiedziała Saszeńka z egzaltacją.

Na niebie pojawiły się szkarłatne bmszdy, jakby zaorane krwią. Zające uskoczyły spod końskich kopyt, śmigając dziarskimi susami. Co za radość! Sagan wydawał polecenia woźnicy, który popędzał konie.

Saszeńka odchyliła głowę i zamknęła oczy. Znała nazwisko zdrajcy. Jej misja się powiodła. Partia będzie zadowolona. Dostała to, czego chciał Mendel - nieźle, jak na dziewczynę ze Smolnego! Ona i Sagan wymienili się informacjami. Przeżyli dreszcz emocji, który czują wszyscy agenci po wykonaniu zadania. Oszukała go, a on, niezależnie od powodu, przekazał jej wiadomość na wagę złota.

Przed nimi ukazała się chata, stojąca zapewne na skraju jakiegoś majątku. Temperatura spadała. Kępa sosen w oddali wyglądała jak z zaśniedziałego srebra.

- Spójrz, tam! - powiedział Sagan, biorąc ją za rękę. - Czy to nie piękne? Chciałem ci pokazać to cudowne miejsce, które kocham.

- Dojechaliśmy, *barin* - Woźnica uniósł brwi i splunął.

- Mógłbym tu zamieszkać na zawsze - powiedział Sagan z uniesieniem, zdejmując czapkę, a płowe kędziory opadły mu na oczy. - Mógłbym tu żyć. Mógłbym być tu szczęśliwy, nie sądzisz?

Wstęga dymu unosiła się z odległego blaszanego komina. Sagan ujął jej dłoń i ściągnął z niej rękawiczkę. Ich dłonie, suche i ciepłe, splotły się, ogrzewając się nawzajem. Potem ujął jej lewą dłoń i wsunął ją w swoją rękawiczkę, gdzie jej palce spoczęły na jego palcach, otulone gienzą i mięciutkim króliczym futrem. Wydawało się jej to impertynenckie, i strasznie poufałe, ale również bardzo przyjemne. Westchnęła. Delikatna skóra jej dłoni stała się nieznośnie wrażliwa, piekła i szczypała w zetknięciu z jego szorstką skórą. Saszeńka poczuła, jak rumieniec oblewa jej szyję i pospiesznie wyszarpnęła rękę z jego rękawiczki.

Czuła na sobie jego wzrok, ale patrzyła w inną stronę. Uznała, że Sagan posunął się o krok za daleko.

- *Bystro!* Szybko! - warknął Sagan na woźnicę. Trzy konie ruszyły z kopyta i nagle woźnica przestał nad nimi panować. Sanie kołysały się na boki, woźnica krzyczał, ale droga była nierówna, przechyliło ich w jedną stronę, potem w drugą i w końcu sanie przewróciły się w gęstym tumanie sypkiego śniegu, a Saszeńka uświadomiła sobie, że leci w powietrzu.

Wylądowała twarzą w miękkiej zaspie i na chwilę ogarnęła ją cisza. Sagan leżał obok niej, ale się nie ruszał. Nie żył? Usiadła. Konie wciąż galopowały, ciągnąc przewrócone sanie, woźnica biegł za nimi. Sagan leżał nieruchomo, twarz miał pokrytą śniegiem.

- Pietro! - zawołała, podpełzając do niego. Dotknęła dołka w jego podbródku.

Sagan usiadł, śmiejąc się, ocierając śnieg z twarzy.

- Przestraszyłeś mnie.

- Myślałem, że oboje zginęliśmy - odparł ze śmiechem i ona też się roześmiała.

- Spójrz na nas! Jesteśmy przemoczeni.

- ...i zziębnięci - dodał, patrząc w ślad za saniami. - I obawiam się, że zupełnie sami!

Zobaczyła, że jego ciemne źrenice są rozszerzone z emocji. Włożyła mu czapkę na głowę i wciąż nie mogli przestać się śmiać, jak dzieci. Siedzieli tak wśród śniegu,

w oddali majaczyła samotna chata, sanie zniknęły z pola widzenia Sagan pochylił się, by oprzeć głowę na jej ramieniu, ona zrobiła to samo i zderzyli się głowami, a potem spojrzeli na siebie.

Bez chwili wahania pocałował ją w usta. Jeszcze nigdy nikt jej nie pocałował. Pamiętając o partii, ciesząc się swoim sukcesem i myśląc, że zapewne Mendel miał jednak rację, pozwalała mu na to. Językiem otworzył jej usta, przesuwając nim po jej wargach, zębach, języku. Poczwała dziwne mrowienie, stała się senna i rozmarzona. Na chwilę, tylko na chwilę, zamknęła oczy, oparła głowę na jego głowie, a jej ręka robiła to, co zawsze chciała zrobić: pogłaskała jasne włosy, które przypominały jej watę cukrową. Rozmawiali ze sobą o poezji, o problemach jego małżeństwa i jej rodziny - ale nic nie łączyło ich mocniej niż najważniejsza gra konspiracji. Niebezpieczna wymiana informacji miała w sobie czar zniewalającej, swawolnej polki na kruchym lodzie. Saszeńka była oszołomiona i zdezorientowana, ale przeszywały ją iskry podniecenia.

- Proszę, wielmożny panie! - zawołał woźnica, którego oszroniona broda wyglądała jak pokryta pleśnią. Odwrócił przewrócone sanie i prowadził trójkę koni szerokim łukiem, aby ich zabrać. - Przepraszam za wywrotkę, ale widzę, że kości całe. Okaz zdrowia! - i zarechotał ochryple. Skóra Sagana była ciepła, kłująca, szorstka na jej policzkach i podbródku. Paliła ją - i Saszeńka wyrwała się.

- Prrr! - zawołał woźnica. Sanie zatrzymały się obok nich z miękkim chrzęstem, pryskając im w twarze okruchami zamrożonego śniegu.

Sagan pomógł Saszeńce wstać, otrzepał ją ze śniegu, a potem podsadził do sań. Ręce i kolana jej drżały. Otarła usta rękawem. Była niepewna siebie i niespokojna.

Kilka chwil później dotarli do chaty. Lodowe włócznie o ostrych grotach zwisały z okapów, misterna koronka szronu tworzyła zawile wzory na szybach. Nabijane świekami drewniane drzwi otworzyły się i wyszła uśmiechnięta wiejska dziewczyna w kożuszku z owczej wełny, niosąc tacę z dwiema szklankami kogła-mogła. Połyskujące niebo rozpostarło swój miękki całun nad śniegiem, zabarwiając go głębokim błękitem o purpurowym odcieniu.

Saszeńka i Sagan rozstali się na stacji.

Miała otarty policzek. Dotknęła go końcami palców i, przypomniawszy sobie jego usta na swoich, zadrżała

Kapitan Sagan patrzył, jak pociąg Saszeńki rusza i nabiera prędkości. Skłębiona para tworzyła pióropusz podobny do białej kity na żandarmskim hełmie.

Pokazał swoją przepustkę zawiadowcy, który wręcz nie posiadał się z zachwytu, gdy Sagan zarekwirował jego przytulne biuro. Grzejąc się przy holenderskim piecu i wzmacniając koniakiem, napisał raport dla swojego przełożonego, generała Głobaczowa.

Czuł ucisk w skroniach, co było zapowiedzią migreny. Szybko wtarł w dżiąsła trochę swojego proszku i wciągnął dwie szczypty nosem. Sprawy nie wyglądały dobrze. On i generał byli zaniepokojeni sytuacją w Piotrogradzie bardziej, niż przyznał to przed Saszeńką. Obaj zgadzali się, że konieczne są nadzwyczajne środki i rozwiązanie Dumy: nadszedł czas, aby kozacy przywrócili porządek nahajkami. Pod wpływem kokainy jego niepokój zamienił się w upajające poczucie zadowolenia, które tętniło mu w skroniach.

Od czasu służby w korpusie paziów Sagan zawsze się wyróżniał, zdobywając wszystkie najwyższe nagrody podczas dwuletniego kursu w szkole policyjnej. Zgłębił antropometryczne tablice systemu Bertillona, wygrał zawody strzeleckie na ćwiczeniach praktycznych u kapitana Glasfedta i opanował „Wytyczne dotyczące prowadzenia agentów wewnętrznych”, które skrupulatnie stosował wobec Saszeńki. Zapamiętał rady pułkownika Zubatowa, geniusza Ochrony, który napisał: „Powinniście dbać o swojego informatora jak o ukochaną kobietę, z którą łączy was romans”. Rzeczywiście, nie mogliby zwerbować podwójnych agentów wśród rewolucjonistek, gdyby nie był rycerski, nawet jeśli musiał pozwalać głupim smarkułom, aby wierzyły, że są poważnymi intelektualistkami, które nawet nie pomyślałyby o flircie, nie mówiąc już o łóżku. Sagan stosował zalecenia Zubatowa do jednej ze swoich podwójnych agentek u eserowców i jednej u bolszewików. Żadna z nich nie była piękna, ale w łóżku emocje gry szpiegowskiej rekompensowały z nawiązką braki estetyczne.

Sagan zawsze starannie się przygotowywał do swoich spotkań z Saszeńką, słuchając najnowszego tanga, ucząc się wierszydeł Majakowskiego, którymi zawrócił jej w głowie. Jej oddanie bolszewizmowi sprawiało, że jego zadanie wydawało mu się dziecinnie proste: ludzi pozbawionych poczucia humoru najłatwiej złamać, mówił sobie. Podobnie jak wielu rewolucjonistów, była Żydówką, przedstawicielką rasy zaprzańców, którzy popierali albo bezbożny marksizm, albo niemieckiego kajzera. Uśmiechnął się, że tak łatwo przychodzi mu pozować na liberała, jemu, który żarliwie wierzył w cara, prawosławie i ojczyznę, stary porządek.

Korzystając z pióra i atramentu zawiadowcy stacji, zaczął pisać swój raport dla generała:

Wasza Ekscelencjo, jestem bardzo usatysfakcjonowany sprawą Agent 23X („Lisa Polarnego”), który wreszcie zaczął być użyteczny. Jak Waszej Ekscelencji wiadomo, spotkałem się z tym członkiem frakcji bolszewickiej Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji jedenaście razy, wliczając pierwsze przesłuchanie. Długie godziny pracy opłaciły się i przyniosą wymierne korzyści później. Posługując się zespołami inwigilacyjnymi agentów do śledzenia ruchów Lisa Polarnego, zdołaliśmy aresztować trzech nihilistów średniej rangi i zlokalizować nową drukarnię.

Koszt zwerbowania tego agenta był: 1. filozoficzny - jej przekonanie o mojej sympatii dla jej sprawy i jej osoby (uratowanie jej matki z mieszkania Mrocznego było szczególnie przydatne w zdobyciu zaufania); i 2. taktyczny - przekazanie nazwiska stróża i nowego członka partii o pseudonimie Gwardzista, które nie kosztowało nas nic, ponieważ wcześniej nie udało nam się go zwerbować jako agenta wewnętrznego mimo zaoferowania zwykłej zachęty finansowej (100 rubli miesięcznie) zgodnie z „Wytycznymi dotyczącymi prowadzenia agentów wewnętrznych” P. Stołypina.

Podczas dzisiejszego spotkania Agent podał nazwiska dwóch rewolucjonistów, mienszewickiego wicherzyciela i bolszewickiego terrorysty, których od dawna poszukiwały Wydziały Bezpieczeństwa w Baku, Moskwie i Piotrogródzie. Niezwłocznie zorganizuję nadzór zgodnie z „Wytycznymi dotyczącymi nadzoru zewnętrznego” generała Trusiewicza i aresztowanie. Proszę o Waszą zgodę na dalsze prowadzenie Agent „Lisa Polarnego”, ponieważ uważam, że jej użyteczność zależy od mojej zręczności. Jest możliwe, że bolszewicy mocodawcy rozkazali jej podać te nazwiska, ale uważam, że groźba zdemaskowania przed własnymi towarzyszami skłoni ją do uległości.

Naszym podstawowym zadaniem pozostaje aresztowanie Mendla Barma-kida, jej wuja (pseudonim Szpotawy, alias towarzysz Baramian, towarzysz Piec itd.) i frakcji bolszewickiej Komitetu Piotrogradzkiego, ale mam absolutną pewność, że ta organizacja jest obecnie całkowicie rozbita i niezdolna do jakichkolwiek działań w najbliższym czasie...

Biedna, mała Saszeńka, pomyślał z politowaniem - ale w głębi serca wiedział, że jest ona najjaśniejszą gwiazdą na jego firmamencie.

Nie tęsknił za spotkaniem z żoną ani z generałem Głobaczowem. Gdyby to od niego zależało, co noc spotykałby się z Saszeńką w konspiracyjnym mieszkaniu.

Jej nieśmiałość, młodzieńcze wątpliwości, niezręczna poza, sposób ubierania się, szara spódnica, brzydkie wełniane pończochy, bluzka, gęste włosy upięte w brzydkie bolszewicki kok, brak makijażu czy choćby perfum - wszystko to irytowało go na po-

czątku. Ale w ostatnich tygodniach zaczęła mu się podobać i teraz chłonał świeży zapach jej skóry i przepysznych włosów, kiedy była blisko niego, przesywając go intensywnym spojrzeniem szarych oczu. Lubił patrzeć, jak dotyka palcami górnej wargi, mówiąc o matce, i na jej szczupłe ciało nabierające kobiecych krągłości, które za wszelką cenę starała się ukrywać. I nie było nic bardziej uroczonego niż sposób, w jaki tłumiała swoją wesołość i radość życia, marszcząc brwi, by odgrywać surową rewolucjonistkę. Śmiał się z przewrotności Wszechmogącego, bo chociaż chciała wyglądać statecznie, Bóg obdarzył ją cechami - te wiecznie rozchylone wargi, te roziskrzzone szare oczy, ten obfity biust - które na każdym kroku niweczyły jej starania i czyniły ją tym powabniejszą.

A kiedy posmakował jej ust, naprawdę zaczęły drżeć mu dłonie. Jej niechęć, by odwzajemnić pocałunek, choć w oczywisty sposób sprawiał jej przyjemność, czyniła go tym bardziej upajającym i rozkosznym. A może tylko mi się zdawało? - zadał sobie pytanie. Każdy mężczyzna w jego wieku straciłby trzeźwy osąd, urzeczony tą skórą, tymi wargami, tym ochrypłym głosem, które on tak dobrze poznał. Podniósł ręce i pomyślał, że mógłby przywołać z pamięci zapach jej skóry, jej włosów...

A mimo to została jego agentem. Sprawa, car i ojczyzna, była zawsze na pierwszym miejscu. Toczyła się zażarta walka pomiędzy dobrem a złem, a ona stanęła po niewłaściwej stronie. Gdyby musiał... No cóż, miał nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie. Ochrańca była szczególną instytucją. Wojna w obronie imperium toczyła się w ścisłej konspiracji - jak powiedział mu jego kolega, generał Batuszyn: „Chwała temu, kto okryje hańbą swoje nazwisko i zakończy sprawę, a milczenie będzie jego jedyną nagrodą”. Poślinił palec i zanurzył go w proszku doktora Gempa, wcierając kokainę w dziąsła i wciągając do nosa. Zachichotał sam do siebie.

Drzwi otworzyły się. Ukazał się czerwony pysk i ryże bokobrody, później umundurowany korpus i cała reszta zawiadowcy stacji.

- Mówił pan coś, wasza wielmożność? - spytał. - Mogę czymś służyć? Słówko do moich przełożonych bardzo by pomogło. Byłbym zobowiązany.

- Czemu nie?

- Mamy nadzieję, że zniszczycie naszych wrogów, niemieckich szpiegów i żydowskich nihilistów!

- Z pewnością! Kiedy jest następny pociąg do Dworca Finlandzkiego? Muszę złożyć raport.

- Za pięć minut, wasza wielmożność. Boże chroń cara!

Ozdobiony herbem benz wielkiego księcia stał już przed pałacem Radziwiłłów na Fontance, kiedy delauney Pantalejmona zajechał na dziedziniec, szczękając łańcuchami zabezpieczającymi koła przed poślizgiem. Samuel i Ariadna Zeitlinowie musieli zaczekać na swoją kolej, ponieważ renault z ambasady francuskiej przywiózł właśnie ambasadora Paleologue'a i jego żonę.

Gwardziści Pułku Izmajłowskiego w pięknych zielonych kurtkach, żandarmi w kaskach z białą kitą i kozacy w skórzanych spodniach i futrzanych czapach, wywijający nahajkami, biwakowali na placach i strzegli rogów ulic. W powietrzu unosiła się ostra woń końskiego potu i łajna, ulice rozbrzmiewały stukotem tysięcy podków, turkotem haubic, metalicznym szczękiem karabinów, końskiej uprząży i szabel.

Melodia walca i śmiech spływały po marmurowych stopniach pałacu. Zeitlinowie przywitali się z francuskim ambasadorem i jego żoną na szczycie schodów i cała czwórka zgodziła się właśnie, że w mieście jest wyjątkowo spokojnie, gdy nagle wystrzał z karabinu przetoczył się echem ponad dachami. Rozszczękały się psy, zawyły syreny, a gdzieś od strony dzielnicy Wyborskiej rozległ się pomruk - odgłos samego miasta.

- Jak się pan miewa, drogi baronie? Czuje się pani lepiej, baronowo? - Francuski ambasador skłonił się, mówiąc płynnie po rosyjsku.

- Znacznie lepiej, dziękuję. Słyszał pan? - spytała Ariadna, jej oczy błyszczały. - Fajerwerki!

- Obawiam się, że to strzały, baronowo - odparł ambasador, wyglądający nieskazitelnie w swoim czarnym płaszczu, cylindrze i białej muszce. - Znowu się zaczyna. Robotnicy z zakładów metalowych Piotrogradu, Wyborga i Narwy maszerują setkami tysięcy.

- Zimno mi - zadrżała Ariadna.

- Chodźmy - powiedziała Francuzka, biorąc ją za rękę.

Żona ambasadora i Ariadna, obie w futrach do kostek, pierwsza w grono-stajowym, druga w foczym, weszły do środka, oddając okrycia służbie. Ariadna, jak anioł zstępujący z fontanny, ukazała się roziskrzona i blada w fiołkowej sukni z brokatu ozdobionej brylantami, z wysokim gorsem i głęboko wyciętymi plecami. Uściskała najbogatszą parę na Litwie, księcia i księżnę Radziwiłłów.

- Jak to dobrze, że przyszłaś, Ariadno, i pani, *madame* Paleologue, w taką noc. Zastanawialiśmy się, czy nie odwołać balu, ale drogi wielki książę Bazyli kategorycznie nam tego zabronił. Powiedział, że to nasz obowiązek, tak, nasz obowiązek. Rozmawialiśmy z generałem Kabałowem, który jest jak najlepszej myśli...

Znów rozległy się strzały. Zeitlin i ambasador pozostali na schodach, wpatrując się w ciemność. Limuzyny i poskrzypujące sanie przywoziły kolejnych gości. Brylanty i szmaragdy zwiślały niczym krople rosy z uszu kobiet w lśniących futrach. Zapach perfum rywalizował z przejmującym zimnem o panowanie w powietrzu. Zeitlin zapalił cygaro i poczęstował ambasadora.

Obaj milczeli. Ambasador, wiedząc, że ceny gwałtownie podskoczyły, a tajna policja ostrzegała o grożących niepokojach, był zdumiony, widząc ministrów i wielkich książąt na balu w taką noc.

Zeitlin był zatopiony we własnych myślach. Przeżył już zamieszki, demonstracje, pogromy, dwie wojny i rewolucję 1905 roku, za każdym razem wychodząc z nich bogatszy i potężniejszy. W domu znowu zapanował spokój; tak nietypowy dla niego poryw szaleństwa dobiegł końca.

Zastrzyki doktora Gempa wzmocniły Ariadnę; o rozwodzie nie było już mowy. Saszeńka chodziła na lekcje do profesora Rajewa, a Lala wydawała się spokojna i pogodzona z losem. Niepokoił go tylko Gideon. Co ten nicpoń, ten *momzer*, knuje?

31

Gideon Zeitlin, z dwustoma rublami w kieszeni, wracał do domu limuzyną Russo-Bałt, którą prowadzi]: lokaj Leonid. Kozacy i żandarmi wystawili posterunki wokół kordonu Litiejnego, strzegącego Sztabu Generalnego, Ministerstwa Wojny i Pałacu Zimowego. Ale kiedy Gideon mijał Newski, kilku robotników obrzuciło samochód kamieniami.

- Przeklęty spekulant! - krzyczeli. - Nauczymy cię obdzierać lud!

Kamienie zabębniły o dach, ale Gideon nie przestraszył się.

- Mnie? Właśnie mnie? Chodzi wam o mojego brata, głupcy! - mruknął, klepiąc się po udzie. - Jedź, Leonidzie! To nie nasz samochód rozbijają! Cha! Cha! - Lokaj, który nie czuł się pewnie za kierownicą, był mniej rozbawiony.

Skręcili w Roźdiestwienską, wąską uliczkę pełną wysokich nowych bloków mieszkalnych. Gideon wyskoczył z samochodu, stawiając bobrowy kołnierz.

- Będę już wracał - powiedział Leonid.

- Hmm - mruknął Gideon, który obiecał żonie, dzieciom i bratu Samuelowi, że spędzi trochę czasu w domu. Ale nie mógł się do końca zdecydować. - Wolałbym, żebyś zaczekał.

- Przepraszam, *gospodin* Zeitlin, nie chcę przebywać poza domem zbyt długo - odparł służący. - Pan baron powiedział: „Odwieź go i wracaj”, a ja pracuję dla pana barona. Poza tym samochód mógłby zostać obrzucony kamieniami, a to piękna maszyna, *gospodin* Zeitlin, znacznie piękniejsza niż *delaunay* czy...

- Dobranoc, Leonidzie, szczęśliwej drogi!

Uśmiechając się do odźwiernego (i myśląc: ty parszywy szpiclu!), wszedł do marmurowego holu i wjechał windą, cackiem w stylu art deco z polerowanego brązu i czarnego metalu, na czwarte piętro. Koniak i szampan, który pił z Samuelem, rozgrzewał mu serce i szumiał w głowie. Żona Wiera, matka jego dwóch córek, znowu była w ciąży, a on wydał całą swoją skromną pensję na obiad u Contanta i karty. Och, co za tragedia, zaśmiał się w duchu, urodzić się bogatym i dorastać w biedzie!

Brat znowu go uratował, otwierając swoje piękne tekowe pudełko i wręczając mu *mazurę* w postaci dwóch zielonych cesarskich banknotów. Ale tym razem baron zagroził, że nie otworzy go ponownie przez dłuższy czas.

- Oho, zjawił się! - przywitała go Wiera, która stała przy piecu w wystrzępionym szlafroku i domowych pantoflach.

- Pięknie witasz powracającego utracjusza! - odparł Gideon, całując ją w ziemisty policzek. -1 to mnie? Właśnie mnie! - Mimo swojego postępowania Gideon zawsze był zdumiony, jak ludzie go traktują. Położył swoją wielką, włochatą dłoń na jej brzuchu. - Jak się czujesz, wodzu naczelny?

Jej brzuch wydaje się taki jędrny, twardy, napięty i pełen życia, pomyślał. To moje, owoc mojego nasienia - ale kim ja jestem, żeby wprowadzać jeszcze jedno dziecko do tej pantomimy życia? Świat wymyka się spod kontroli...

Surowy głos Wiery złagodniał. ;

- Dobrze cię widzieć, najdroższy. -1 ciebie, i ciebie!

Potem jej zmęczona twarz znowu stężała.

- Zjesz z nami? Jak długo będziemy zaszczycone twoim towarzystwem, Gideonie?

- Jestem tutaj dla ciebie i dzieci - odparł Gideon tak wesoło, że ten, kto by go nie znał, mógłby pomyśleć, że jest najlepszym mężem w Pitrze. Proszę, nikt mu nie pomógł zdjąć płaszcza i kaloszy. Mieszkanie było nieposprzątane, pachniało w nim smalcem i kapustą niczym w chłopskiej chacie. Jak wielu niechłujnych mężczyzn, którzy nigdy po sobie nie sprzątaję, Gideon nienawidził bałaganu i gniewnie patrzył na

niepozmywane naczynia, nieposłane łóżka z poźółkłymi prześcieradłami, stopy pantofli i butów, ślady stóp na dywanie i okruchy na kuchennym stole. To było ładne mieszkanie, pomalowane na biało, z fińskimi brzołowymi meblami, lecz obrazy do tej pory nie zostały powieszane. - Straszny tu chlew, Wiero!

- Gideonie! Nie mamy ani kopiejki. Musimy zapłacić rzeźnikowi dwadzieścia rubli albo stracimy kredyt. Dozorcy jesteście winni osiem, a...

- Tak, tak, najdroższa. Co na obiad?

- Kasza z serem. Nie udało nam się dostać nic innego. W mieście nie ma nic do jedzenia. Wiktoria! Sofia! Ojciec wrócił!

Rozległ się tupot stóp w ciężkich sznurowanych butach. W drzwiach stanęła dziewczyna, spoglądając na ojca posępnymi, zdziwionymi oczami, jakby był Marsjaninem.

- Cześć, tato! - powiedziała Wiktoria, nazywana Wika.

- Najdroższa Wiko! Jak się masz? Co w szkole? A ten twój wielbiciel? Wciąż piśze dla ciebie wiersze?

Rozłożył ramiona, lecz jego ukochana piętnastoletnia córka nie podeszła ani nie zmieniła wyrazu twarzy.

- Mama jest bardzo zmęczona. Płacze. Długo cię nie było. Potrzebujemy pieniędzy.

Wysoka, śniada, z prostymi, rzadkimi włosami, w rogowych okularach i szlafroku, Wika przypominała Gideonowi surową bibliotekarkę. Nie potrafił się do niej zbliżyć.

- Co robiłeś? - ciągnęła dziewczyna. - Piłeś? Uganiałeś się za kobietami lekkiego prowadzenia?

- O co ty mnie oskarżasz? Mnie! Właśnie mnie! - Gideon odwrócił wzrok. Choć jego wielkie usta, roztańczone czarne oczy, rozwichrzone włosy i broda były stworzone do wielkopańskich póz i gromkiego śmiechu, czuł się pusty i zawstydzony. Skąd ona zna takie zwroty jak „kobiety lekkiego prowadzenia”? Od matki, oczywiście.

- Mam lekcje do odrobienia - powiedziała Wika i poczłapała do siebie. Gideon wzruszył ramionami: Wiera nastawiała dzieci przeciwko niemu.

Potem usłyszał kaskadę lekkich kroków. Sofia, smągła dziewczynka z kędzierzawymi czarnymi włosami i oczami, rzuciła mu się w ramiona. Podniósł się i zakręcił nią w powietrzu.

- Muszka! - zawołał. - Moja kochana Muszka!

Nazywał tak Sofię, ponieważ jako dziecko przypominała psotną muchę. Teraz, kiedy była starsza, promieniowała energią podobnie jak ojciec.

- Gdzie byłeś? Czy rewolucja już wybuchła? Widziałam bójkę w piekarni! Chcę tam być, tato. Zabierz mnie ze sobą! Jak tam twoi rewolucyjni przyjaciele? Widziałeś coś? Ja popieram robotników! A ty, tato? Tęskniłam za tobą. Nie byłeś niegrzeczny, prawda? Chyba nie! - Uczepiła się go jak małpka. - Straszny z siebie *momzerl* Co piszesz?

Uwielbiał, kiedy nazywała go nicponiem w jidysz i mierzwiła mu brodę.

- Napiszemy coś teraz, Muszko! Obiecałem im artykuł.

- Och, tak! - Muszka złapała go za rękę i pociągnęła do gabinetu, gdzie nie dało się przejść, nie potykając się o sterty papierów i gazet. Zwinna Muszka ominęła je, przysunęła zielony skórzany fotel ojca i umiejętnie wkręciła papier do maszyny.

- *Prawilno!* Dobrze! - powiedział.

- Dla kogo dzisiaj piszesz? Dla kadetów? Dla mienszewików?

- Dla mienszewików! - odparł.

- Więc w tym tygodniu jesteś socjaldemokratą? - kpiła z ojca.

- W tym tygodniu! - Roześmiał się.

- Ile słów?

- Pięćset, nie więcej. Mamy coś do picia? Muszka pobiegła przynieść kieliszek wódki. Wychylił go i usiadł w fotelu.

Muszka usadowiła mu się na kolanach, oparła ręce na jego ramionach i krzyknęła:

- Pisz, tato, zaczynaj! Może tak: „Władza reakcyjnych szaleńców dobiega końca”. Albo: „Na ulicy widziałem, jak głodna kobieta z dzieckiem na rękę, wdowa po robotniku, wygrażała bogatemu spekulantowi”. Albo...

- Jesteś taka jak ja - powiedział, całując ją w czoło.

Gideon należał do tych nielicznych dziennikarzy, którzy w kilka minut, bez wysiłku, potrafili machnąć artykuł ozdobiony dźwięcznymi frazami i przenikliwymi spostrzeżeniami. Ponieważ nigdy nie zdecydował się do końca, czy jest konstytucyjnym demokratą - kadetem - czy umiarkowanym socjalistą, mienszewikiem, pisywał do gazet obu partii i kilku innych dzienników, używając różnych pseudonimów. Dużo podróżował i jego artykuły zawierały wzmianki o zagranicznych miastach i zapomnianych wojnach, co robiło wrażenie na czytelniku. Jego sformułowania, które wymyślał od niechcienia, często trafiały w sedno. Ludzie je powtarzali, redaktorzy prosili o więcej. Nigdy nie żałował, że pozwolił Samuelowi przejąć rodzinny interes, chociaż gdyby zachował swój udział, byłby teraz bardzo bogatym człowiekiem. Nie żałował niczego. Poza tym pieniądze nigdy się go nie trzymały.

Tego wieczoru obiecał redaktorowi mienszewickiej gazety porywający artykuł o atmosferze na ulicach. Pracował szybko, bębniąc palcami w klawisze i krzycząc:

„Powrót!” na końcu każdego wiersza. Wtedy Muszka przestawiała maszynę na nowy wiersz, podśpiewując z radości i majtając nogami.

- Gotowe - powiedział wreszcie. - Twój tata właśnie zarobił kilka rubli.

- Których nigdy nie zobaczymy - odezwała się Wiera od progu.

- Tym razem chyba cię zaskoczę! - Miał dosyć pieniędzy, żeby spłacić długi, zadowolnić Wierę, kupić dziewczynkom nowe książki i sukienki i kilka porządnych posiłków. Wyobraził sobie, jak wyjmuje *mazumę*: Wiera uśmiechnie się do niego, Muszka zatańczy, nawet Wika znowu będzie go kochać.

Kiedy Wiera podała kaszę gryczaną posypaną kozim serem, znowu zapytała o pieniądze, nie wspominając, że zanosí się na rewolucję. Fabryczne syreny zaczęły wyc i zawodzić; rozległ się strzał, kilka strzałów, potem kanonada; kradzione samochody pędziły po ulicach, ślizgając się, zgrzytając biegami - to chłopí brali swoje pierwsze lekcje jazdy.

- Czy Saszeńka naprawdę jest bolszewikiem, tato? A ciocia Ariadna? Czy to prawda, że lekarz przepisał jej opium? - Muszka zadawała pytania i nucíła pod nosem, kiedy próbował na nie odpowiadać. Wika patrzyła na ojca złym okiem, ilekroć jej matka zaciskała wargi, wzdychała lub ze zgorzeniem kręciła głową.

Nic nie mogło zepsuć Gideonowi posiłku. Czy była to kasza we własnym ponurym mieszkaniu, czy pieczony pstrąg u Contanta, jadł z apetytem, powtarzając ostatnie nowiny, cmokając, obwąchując jedzenie jak szczęśliwy pies i bez najmniejszego zażenowania brudząc sobie brodę.

- Nie jesz tak, jak nas uczyłeś - powiedziała Wika. - Ma straszne maniery, prawda, mamó?

- Nie róbcie tego, co robię - odparł Gideon. - Róbcie to, co mówię.

- Jak możesz mówić dzieciom takie rzeczy? - spytała Wiera.

- To hipokryzja - powiedziała Wika.

- Wy dwie jesteście prawdziwym związkiem zawodowym zrędlíwych kobiet! Rozchmurzcie się - odparł Gideon, kładąc nogi na krześle, noszącym już ślady jego butów.

- Dosyć żartów, Gideonie - powiedziała Wiera, wysyłając Wikę i Muszkę do odrabiania lekcji.

Kiedy został sam z Wierą, od razu stracił humor. Jej ściągnięte rysy, ziemista twarz męczennicy, irytowały go. Wiecznie wycierała nos w poplamioną szmatę. Jej małostkowość doprowadzała go do szału. Uwielbiał swoje córki - a raczej uwielbiał Muszkę - ale co się stało z Wierą? Wychowana w mieszczańskim rodzinie, córka nauczyciela z Mariupola pracująca w literackim piśmie „Apollo”, była za młodu wy-

kształconą, pełną wigoru i entuzjazmu dziewczyną, z dużym biustem, niebieskimi oczami i złotymi włosami. Teraz piersi jej zwisały, oczy stały się wodniste i blade, a włosy posiwiały. To nie do wiary, że znowu zaszła w ciążę, jak mógł być aż tak głupi! Ale podczas ostatnich urodzin Muszki popadł w swego rodzaju erotyczną nostalgicę za tym, jaka była, zapominając, jaka jest teraz. Czuł się z tego powodu winny, co zrażało go do niej jeszcze bardziej.

Zachwycił się tylko Muszką i postanowił, że kiedy będzie trochę starsza, poprosi ją, aby z nim zamieszkała. Nie mógł wytrzymać w tym domu ani chwili dłużej. Na ulicach rozgrywały się wielkie wydarzenia, w hotelach wydawano przyjęcia; dziennikarz powinien być tam, gdzie tworzy się historia, a on tkwił tutaj z tą świętoszkowatą wiedźmą.

Wiera klepała swoją litanię skarg: rano choroba minęła, ale bolały ją plecy i nie mogła spać. Dozorca robił uwagi na temat trybu życia Gideona. Wika powiedziała koleżankom, że jej ojciec jest rewolucjonistą i pijakiem; Muszka jest nieposłuszna i źle wychowana, nauczyciele skarżą się na nią, a w dodatku wyrosła ze wszystkich butów i sukienek. Ale nie ma pieniędzy, trudno dostać mięso w sklepach i w ogóle nie można kupić chleba. Sąsiedzi słyszeli od kogoś z kamienicy, że Gideona widziano nad ranem pijanego w hotelu Europa; jak mu się zdaje, jak ona może się czuć?

Z pełnym brzuchem Gideon nigdy nie robił się senny, przeciwnie - sytość wzmacniała jego libido. Wrócił pamięcią do obiadu w zeszłym tygodniu w domu swojego brata. Lorisowie uchodzili za szczęśliwe małżeństwo, ale ponieważ nudnego hrabiego nie było na obiedzie, Gideon przedstawił Missy coś, co nazywał Manifestem Gideona: używajmy przyjemności, ponieważ życie jest krótkie i jutro możemy umrzeć. Teraz Gideon przypomniał sobie, że kiedy żegnał się z Missy, spojrzała na niego swoimi zmrużonymi, roziskrzonymi oczami - kiedy się śmiała, robiły się wokół nich zmarszczki - i znacząco ścisnęła mu rękę, mówiąc: „Byłoby cudownie porozmawiać jeszcze o Meyerholdzie i nowym teatrze. Przypuszczam, że nie będzie cię u baronowej Rozen w Astorii...” - i wymieniła datę. Było to dzisiaj wieczorem. Gideon zupełnie o tym zapomniał - ale teraz jego odświeżony i pokrzepiony penis, błyskotliwy interpretator kobiecych intencji, drgnął. Musiał natychmiast iść na to przyjęcie.

Missy nigdy nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Była dostatecznie światowa i pozbawiona uprzedzeń, żeby przyjaźnić się z Ariadną. Ale tak naprawdę nigdy z nikim nie flirtowała, a z pewnością nie z nim. Gideon pomyślał, że wojna, utrata szacunku, wieczne przetasowania ministerialne i niepokoje na ulicach muszą strącić część dojrzałych owoców, które w innych okolicznościach nigdy nie spadłyby na ziemię. Pomyślał o ciele Missy Loris - była chudą blondynką bez biustu - i nagle zatęsknił za czystą, niezmaconą radością posmakowania nowej skóry, ust, satynowej gładko-

ści ud. Uśmiechnął się do siebie: ten olbrzym był zdolny do herkulesowych erotycznych wyczynów, w które nikt - z wyjątkiem samych kobiet - nigdy by nie uwierzył. Proponował naj-smakowitsze perwersje misternymi francuskimi frazami, które uwalniały od wszelkich zahamowań zarówno chórzystki, jak i hrabianki. A mimo to nigdy nie popadał w samozadowolenie z powodu swoich erotycznych sukcesów. Dlaczego te cudowne kobiety, *bubele*, wybierają mnie? - pomyślał. Mnie? Właśnie mnie! Jestem brzydkim osiłkiem - jak żydowski karczmarz! Ale cóż, do diabła, nie skarzę się!

Po prostu nic nie mógł na to poradzić: musiał znaleźć Missy jeszcze tej nocy. Ale gdyby teraz oddał Wierze dwieście rubli, nie miałby za co kupić damom szampana i przekąsek. Co robić? Jęknął. Zrobi to, co zawsze.

Kilka chwil później, kiedy Wiera w ponurym milczeniu zmywała naczynia, Gideon uciekł, zostawiając na stole w przedpokoju pięćdziesiąt rubli, a resztę zatrzymując dla siebie. Muszka pomogła mu włożyć walonki i wręczyła „nasz mienszewicki artykuł”, natomiast Wika potrząsnęła głową, zaciskając usta.

- Już wychodzisz, tato? Wiedziałam. Wiedziałam. Wiedziałam!

- Zmienimy zamki, ty darmozjadzie! - krzyknęła Wiera, ale jego już nie było.

Na ulicy Gideon nie mógł znaleźć sań. Co do Wiery, to jakoś sobie poradzi, pomyślał. Wiera i Wika: co za marudy! Jestem tchórzem, niepoprawnym, bezwstydnym hedonistą - ale jestem taki szczęśliwy! Co złego jest w szczęściu? Sami tworzymy swoje życie! Czy jesteśmy ludźmi? Jesteśmy tylko zwierzętami. Umrę młodo. Nie dożyję sędziwego wieku, więc robię to, co robi mój gatunek. Poza tym muszę iść! Muszę zanieść artykuł do redakcji.

Wciągnął mroźne powietrze. W oddali rozbrzmiewały dziwne dźwięki. Trzaski wystrzałów odbijały się stłumionym echem, śpiewały fabryczne gwizdki, warczały i zgrzytały silniki, ludzie krzyczeli - ale tutaj wszystko wydawało się osobliwie spokojne. Kiedy jednak zmierzał w stronę hotelu Astoria, wyobrażając sobie nagie ramiona Missy, jej miękki brzuch, zapach jej kobiecego potu i perfum, wyszedł na szersze ulice.

To zaczęło się jak pomruk, narastało i przeszło w ryk. Szerokie bulwary wypełniały masy ludzi, nakrycia głowy i ciężkie płaszcze upodabniały ich do wypchanych tobołków, jakby byli automatami maszerującymi w tym samym kierunku.

Gideon torował sobie drogę, czasem pozwalając, aby unosił go ludzki strumień, czasem przystając i patrząc, jak przepływa obok. Ogarnęło go podniecenie. Był świadkiem ważnych wydarzeń. Ale gdzie wojsko, kozacy'?

Wszedł do hotelu i znowu poczuł się jak w domu wśród połyskujących parkietów, lśniącego złota i czerni wind, ciemnego dębu baru.

- To co zwykle, *monsieur* Zeitlin? - spytał barman Rustam. Rzucając płaszcz i czapkę szatniarce i zapominając o zdjęciu butów, Gideon ruszył w stronę prywatnego pokoju, gdzie baronowa Rozen wydawała przyjęcie. Dziewczyna w pomarańczowej sukni bez pleców, w boa z piór i żółtych pantofelkach - należąca do tych, które Wiera nazywała kobietami lekkiego prowadzenia, a które Gideon nazywał czule *bubele* - pozdrowiła go jak starego znajomego, a on uśmiechnął się do niej wesoło. Trzymała kiełiszek i zaproponowała mu łyk. Recepcjoniści śmiali się z niej: też byli pijani? Para, oficer i szacowna dama w podwójnym sznurze pereł, całowała się na sofie w foyer, jakby byli w gabinecie, a nie w miejscu publicznym. Portier o czerwonej twarzy otworzył podwójne drzwi i nie uklonił się, tylko uśmiechnął, jakby czytał w myślach Gideona.

Gideon niemal wpadł do pokoju, przepychając się wśród mundurów i namiamienników, fraków i sukien, słuchając, jak rozmawiają o sytuacji na ulicach - dopóki nie zobaczył jasnych włosów, białych ramion i ręki w długiej rękawiczce, trzymającej papierosa ze złotym ustnikiem.

- Zatem przyszedłeś - powiedziała Missy Loris ze swoim amerykańskim akcentem.

- A nie powinienem?

Uśmiech pogłębił te cudowne dołki na jej policzkach.

- Gideonie, co tam się dzieje? Zbliżył wargi do jej małego uszka.

-Dziś w nocy wszyscy możemy umrzeć, *bubele!* Co będziemy robić w ostatnich chwilach naszego życia? - Była to jedna z jego ulubionych linijek z Manifestu Gideona i w każdej chwili mogła zacząć działać.

32

Kiedy Saszeńka wróciła do Piotrogradu, na Dworcu Finlandzkim brakowało dorozek. W pociągu też nie było prawie nikogo z wyjątkiem dwóch starszych pań, zapewne emerytowanych nauczycielek, które dyskutowały z przejęciem, czy *Trzydzieści występów*, lesbijska powieść sprzed wojny pióra Lidii Zino-wjewej-Annibal, to klasyczny obraz kobiecej zmysłowości czy odrażająca niemoralna szmira.

Dyskusja zaczęła się w dosyć uprzejmym tonie, ale kiedy pociąg zatrzymał się na Dworcu Finlandzkim obie panie krzyczały na siebie, a nawet przeklinały.

- Jesteś filistynką, Olesiu Michajłowno, to zwykła pornografia!

- A ty jesteś zimnym płazem, Marfo Konstantinowno, nigdy nie żyłaś, nigdy nie kochałaś, nic nie czułaś!

- Przynajmniej bałam się Boga!

- Tak mnie zdenerwowałaś, będę miała atak. Muszę wziąć pigułki.

- Nie dam ci ich, dopóki nie przyznasz, że wygadujesz głupstwa. Saszeńka tylko się uśmiechała.

Bez włóczęgów i uliczników dworzec wydawał się niesamowicie pusty. Na zewnątrz zapadał zmierzch, lecz ulice wypełniali biegnący ludzie, niektórzy z karabinami. Znowu padał śnieg, wielkie suche płatki przypominały ziarna jęczmienia. Saszeńka pomyślała, że ludzie wyglądają na dziwnie opuchniętych, ale uświadomiła sobie, iż wielu włożyło dwa płaszcze, by razy kozackich nahajek mniej bolały. Robotnik z zakładów metalowych powiedział jej, że na moście Aleksandra Newskiego doszło do starć, ale zanim zdążyła zapytać o coś więcej, padły strzały i wszyscy zaczęli biec, nie bardzo wiedząc, przed czym uciekają. Robotnica z Zakładów Putiłowskich opowiadała, że na moście Aleksandra Newskiego i na placu 2'namienskim toczyły się walki, że część kozaków, Gwardia Wołyńska, przeszła na stronę demonstrantów i szarżowała na policję. Jakiś pijak krzyczał, że jest socjalistą, ale potem próbował wsunąć ręce pod płaszcz Saszeńki. Ścisnął jej piersi, a ona dała mu w twarz i uciekła. Na moście wydawało się jej, że widzi zabitych policjantów. Tramwaje nie jeździły.

Szła powoli do domu znanymi ulicami, gdzie roilo się teraz od ciemnych postaci. Na ulicach rozpalono ogniska. Ulicznicy tańczyli w blasku płomieni jak demoniczne gnomy. Zdobyto arsenał i robotnicy mieli teraz karabiny. Szła przed siebie, wyczerpana, ale dygocząca ze strachu i podniecenia. Niezależnie od tego, co wuj Mendel mówił o rewolucji, ludzie nie rozeszli się przy pierwszych oznakach oporu. Słychać było coraz więcej strzałów. Dwaj chłopcy, młodzi robotnicy, ucałowali ją w oba policzki i pobiegli dalej.

Na Newskim natknęła się na tłum żołnierzy.

- Bracia, siostry, córki, matki, proponuję, żebyśmy nie strzelali do naszych braci - zawołał jakiś podoficer przy wtórze okrzyków: „Hurra! Precz z samowładztwem!”. Saszeńka próbowała odnaleźć towarzyszy, ale nie było ich w knajpach dla dorożkarzy ani w punktach kontaktowych na Newskim.

Idąc dalej, czuła szaleńczą radość. Czy to już? Rewolucja bez przywódców? Gdzie są gniazda karabinów maszynowych, kozacy i faraonowie? Usłyszała ryk silnika. Ludzie na ulicach zamarli i patrzyli, podnosząc głowy: co to jest? Newskim toczył

się na ośle, jak dinozaur, szary samochód pancerny z zamontowaną haubicą, zgrzytając skrzynią biegów, zwalniając i przyspieszając w raptownych zrywach. Samochód wjechał na chodnik, zmuszając zebranych tam ludzi do szybkiej ucieczki, i przejechał przez ognisko przed sklepem Jeli-siejewa, a potem zatrzymał się przy grupie żołnierzy.

- Czy ktoś umie to prowadzić? - krzyknął kierowca.

- Ja umiem! - poderwał się młody mężczyzna z potarganymi czarnymi włosami i jasnymi oczami. - Nauczyłem się w wojsku.

To był jej towarzysz Wania Palicyn, metalowiec i bolszewik. Saszeńka pobiegła w jego stronę, żeby zapytać o instrukcje, ale on wsiadł już do samochodu pancernego, który zawył, zatrząsł się, a potem ruszył Newskim.

- Jesteś za rewolucją? - spytał nieznajomy chłopak z ukraińskim akcentem, miał siny nos i wojskową kurtkę. Po raz pierwszy ktoś użył tego słowa.

- Jestem bolszewikiem! - powiedziała Saszeńka z dumą. Uściskali się i ucałowali. Niebawem sama zadawała to pytanie. Wokół niej padali sobie w objęcia obcy ludzie: siwy starszy sierżant, polski student, gruba kobieta w fartuchu pod płaszczem, metalowiec w skórzanej kurtce, nawet elegancka kobieta w futrze. Bliżej domu Newskim i ulicą Bolszaja Morskaja pędziły samochody pełne żołnierzy wymachujących sztandarami i karabinami.

Oszołomiona wypadkami tej chaotycznej nocy Saszeńka wciąż myślała o Saganie. Chciała jak najprędzej złożyć raport Mendlowi. Znała nazwisko zdrajcy, zainstalowała Sagana jako bolszewicką wtyczkę w Ochronie i była już doświadczonym konspiratorem. Mogła powierzyć kierowanie podwójnym agentem innemu towarzyszowi. Jej misja dobiegła końca, a będąc z dala od Sagana i wpływu, jaki na nią wywierał, poczuła ulgę. Partia będzie zadowolona.

Poszukała w pamięci innych partyjnych adresów. Spróbowała na Newskim pod 106. Bez skutku. Potem pod 134. Drzwi były otwarte. Wbiegła na schody, drżąc z emocji. Drzwi właśnie się otwierały i usłyszała jerychońską trąbę głosu Mendla.

- Co robimy? - krzyczał.

- Nie wiem - odparł Szlapnikow, wkładając wywatowany płaszcz. - Nie jestem pewien...

- Chodźmy do mieszkania G-g-gorkiego - zaproponował Mołotow, pocierając swoje wypukłe czoło. - On będzie coś wiedział...

Szlapnikow skinął głową i ruszył do drzwi.

- To jest to - powiedziała Saszeńka piskliwym, nieswoim głosem. - Rewolucja.

- Nie pouczaj Komitetu, towarzyszo - odparł Szlapnikow, zbiegając za Mołotowem po schodach. - Jesteś jeszcze smarkulą.

Mendel ociągał się przez chwilę.

- Kto stoi na czele? - spytała Saszeńka. - Gdzie jest towarzysz Lenin? Kto stoi na czele?

- My! - Mendel nagle się uśmiechnął. - Lenin jest w Genewie. My jesteśmy kierownictwem partii.

- Spotkałam się z Saganem - szepnęła. - Wieriezin, stróż w koszarach gwardii konnej, jest zdrajcą. Ale teraz to chyba nie ma znaczenia...

- T-t-towarzyszu! - zawołał Mołotow z dołu, jego głos odbijał się echem na klatce schodowej.

- Muszę iść - powiedział Mendel. - Sprawdź inne mieszkania, poszukaj towarzyszy. W Pałacu Taurydzkim jest zebranie. Powiedz im, żeby tam później przyszli.

Mendel zszedł po schodach, kuśtykając.

Saszeńka wróciła na Newski, zmierzając w stronę domu. Zjadła solankę i kromkę czarnego chleba w knajpie dla dorożkarzy, pełnej robotników i woźniców, którzy pijackimi głosami, nie; słuchając nikogo innego, opowiadali o rozbojach, orgiach, rzezi, cenach i zdradzie. Ceny owsa i węgla wzrosły czterokrotnie. Nawet talerz zupy w tej knajpie podrożał siedem razy. Niemieccy i żydowscy zdrajcy i kanciarze byli wszędzie.

Kiedy Saszeńka wrzuciła kilka monet do mechanicznej pianoli, która zagrała nieostojnie *Boże chroń cara*, wywołując rechot woźniców, ulica pociemniała. Rozległy się dziwne dźwięki, jak pokash/wanie lwów pośród nocy, jęk, który przeszedł w ogłuszający ryk; chata zadrżała. Z początku Saszeńka nie wiedziała, dlaczego - a potem uświadomiła sobie, że kiedy jadła, knajpę dla dorożkarzy otoczyli ludzie w ciemnych płaszczach. Zablokowali ulice. Z oddali dobiegł odgłos wystrzałów i wzbił się dym, różowy na tle bladej ciemności: to płonęło więzienie Kriesty.

Na ulicy Bolszaja Morskaja, zobaczyła żołnierza i dziewczynę, całujących się pod ścianą. Nie widziała ich twarzy, ale mężczyzna zadarł dziewczynie spódnice powyżej pończoch, a ona rozpięła mu rozporek. Jej noga wspinała się po jego biodrze. Saszeńka pomyślała o Saganie i o przejażdżce saniami wśród śnieżnych pól i przyspieszyła kroku.

Przed Astorią kilku żołnierzy kradło rolls-royce'a, okładając pięściami umundurowanego kierowcę. Portier, oficer i żandarm wybiegli z hotelu z krzykiem. Żołnierze z zimną krwią zastrzelili oficera i żandarma i samochód odjechał, trąbiąc klaksonem.

Brodaty mężczyzna przeszedł chwiejnie obok niej, śpiewając *Słowiku, słowiku*. Towarzyszyła mu jasnowłosa kobieta w futrzanym płaszczu. Saszeńka rozpoznała Gideona i hrabinę Loris. Poczwała ulgę, że spotkała przyjaciół, i już miała ich zawołać,

kiedy Gideon chwycił Missy za pośladki i wciągnął ją do jakiejś bramy, gdzie zaczęli się szaleńczo całować.

Salwa karabinowa odwróciła uwagę Saszeńki. Ludzie wspinali się na fasadę Pałacu Maryjskiego i zrywali dwugłowego orła Romanowów.

Na ulicy leżały zwłoki żandarma, tak powykręcane, że jego biały brzuch sterczał ze spodni jak śnięta ryba. Wyczerpana do ostatecznych granic, Saszeńka przestąpiła przez trupa i pospieszyła do domu.



- Co tak wszyscy stoicie? - zawołała Ariadna ze szczytu schodów. Wystrojona była w jedwabną suknię z falbankami, a na głowie miała kunsztowną fryzurę. Twarze lokaja Leonida, dwóch kierowców i pokojówek wpatrywały się w nią, kiedy zaczęła schodzić.

- Nie słyszała pani, pani baronowo? - zapytał Pantalejmon, zawsze najbardziej zuchwały, ze starannie przyczesanymi wąsami, wypomadowanymi włosami i wystającym impertynencko podbródkiem.

- Co miałam słyszeć? Mów!

- W Pałacu Taurydzkim utworzyli Radę Robotniczą - powiedział podkscytowany - słyszeliśmy, że...

- To wczorajsze wiadomości - prychnęła lekceważąco Ariadna. - Wracajcie do pracy, proszę.

- A ludzie mówią... że car abdykował! - powiedział Pantalejmon.

- Bzdura! Przestań powtarzać plotki, Pantalejmonie. Idź umyć samochód

- odparła Ariadna. - Baron będzie wiedział najlepiej - jest w Taurydzkim!

W tym momencie otworzyły się drzwi i wpadł baron Zeitlin, władcza postać w długim czarnym palcie z bobrowym kołnierzem i czapce. Ariadna i służący stali z otwartymi ustami, jakby on jeden mógł rozstrzygnąć epokową kwestię.

Zeitlin radośnie rzucił czapkę na wieszak. Wydawał się o kilka lat młodszy, biła od niego pewność siebie. No i proszę! - pomyślała Ariadna. Car znowu panuje nad wszystkim. Co za brednie opowiada służba! Głupcy! Wieśniacy!

Zeitlin wsparł się na lasce i popatrzył na Ariadnę jak tenor, który ma zaśpiewać włoską arię.

- Mam wieści! - powiedział drżącym z podniecenia głosem. Nareszcie! Kozacy przywrócili porządek na ulicach, Niemcy się wycofują, wszystko znowu się ułoży, tak jak zawsze, uznała Ariadna.

Jak na dany znak, Lala zeszła po schodach, Szyfra wyłoniła się z Czarnej Drogi, a kucharka Delfina z kuchni, z nieodłączną kapką zwisającą z koniuszka nosa.

- Cesarz abdykował - oznajmił Zeitlin. - Najpierw na korzyść carewicza, później na korzyść swojego brata, wielkiego księcia Michała. Książę Lwów utworzył rząd. Wszystkie partie polityczne są teraz legalne! Wkraczamy w nową erę!

- Nie ma cara! - Leonid przeżegnał się, a potem zaczął płakać. - Nasz ojczulek - abdykował!

Pantalejmon uśmiechnął się bezczelnie, podkreślając węża i gwizdząc przez zęby. Dwie pokojówki pobladyły.

- Biada mi! - szepnęła Szyfra. - Trony się chwieją jak w Księdze Objawienia!

- Kto następny? - spytała Lala. - Jerzy V? Co teraz ze mną będzie? Delfina rozplakała się, a kapka opuściła bezpieczną przystań jej nosa

i spadła na parkiet. Domownicy czekali przez dwadzieścia lat na tę historyczną chwilę, a kiedy wreszcie nadeszła, nikt tego nie zauważył.

- No, no, Leonidzie - powiedział Zeitlin, ofiarowując lokajowi swoją jedwabną chusteczkę, czego, zauważyła Ariadna, jeszcze przed tygodniem z pewnością by nie zrobił. - Opanuj się. W moim domu nic się nie zmieni. Weź mój płaszcz. Co na obiad, Delfino? Umieram z głodu.

Ariadna chwyciła się marmurowej poręczy, patrząc, jak służące ściągają Zeitlinowi buty. Cesarz odszedł. Dorastała za rządów Mikołaja II i nagle poczuła się zupełnie zagubiona.

Zeitlin wbiegł na schody, przeskakując po dwa stopnie jak młodzieniec. Idąc za nią do sypialni, pocałował ją w usta tak energicznie, że zakreśliło jej się w głowie, a potem zaczął mówić o nowej erze. Tłumów nadal nie udało się wziąć w ryzy. Siedziba dyrekcji policji płonęła, policjantów i szpiclów zabijano, żołnierze i bandyci jeździli po ulicach samochodami i samochodami pancernymi, strzelając w powietrze. Były cesarz chciał wrócić do Carskiego Sioła, lecz został aresztowany, a niebawem miał dołączyć do żony i dzieci - nie stanie im się krzywda. Wielki książę Michał zrzekł się tronu.

Zeitlin był podekscytowany, jak powiedział żonie, ponieważ wielu jego przyjaciół spośród kadetów i oktiabrystów weszło do rządu księcia Lwowa. Wojna niebawem się skończy, z nowego Ministerstwa Wojny dostał już zamówienie na kolejne

dostawy karabinów i haubic; okazuje się też, że Saszeńka wciąż jest bolszewikiem. Widział ją w Pałacu Taurydzkim wraz z towarzyszącymi - zgrają fanatyków - ale młodość ma swoje prawa.

- Rozumiesz, Ariadno? Mamy republikę. Rosja jest czymś w rodzaju demokracji!

- Co się stanie z carem? - spytała oszołomiona Ariadna. - Co się stanie z nami?

- Co masz na myśli? - odparł Zeitlin beztrąsko. - Będą zmiany, oczywiście. Polacy i Finowie chcą niepodległości, ale my sobie poradzimy. To wszystko stwarza nowe możliwości. O właśnie, kiedy byłem w Taurydzkim, zamieniłem słowo z...

Ariadna ledwo zauważyła, kiedy Zeitlin, wciąż rozprawiając o nowych ministrach i dochodowych kontraktach, spojrzął na swój złoty kieszonkowy zegarek i ruszył po schodach do gabinetu, by przeprowadzić kilka rozmów telefonicznych. Niemal w transie wyszła za nim i patrzyła, jak schodzi. Po chwili usłyszała stukot Specjalnego Krzesła.

Leonid pospieszył do drzwi frontowych. Do przedpokoju wpadła Saszeńka, biała i wyczerpana, ubrana w prostą białą bluzkę i szarą spódnicę, bez żadnego makijażu. Ariadna była rozczarowana córką: dlaczego ubiera się jak prowincjonalna nauczycielka? Wyglądała okropnie! I tak samo pachniała: dymem, garkuchnią i nieokrzesanymi, ordynarnymi ludźmi. Nawet bolszewik potrzebuje pudru i szminki, i dlaczego nie chce nosić swoich nowych sukienek od Czernyszewa? Przyzwoita sukienka całkowicie by ją odmieniła.

Ale z jakiegoś powodu Saszeńka była uszczęśliwiona, a nawet rozpromieniona.

- Cześć, mamó! - zawołała, ale potem, zrzuciwszy szubę i boty, zaczęła odpowiadać na pytania Lali i służących. Powiedziała im, że Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich wciąż obraduje, że wuj Mendel jest w Komitecie Wykonawczym. I że stryj Gideon też tam jest - pisze o tym - a jego przyjaciele, mienszewicy, zajęli większość miejsc w Radzie.

Ariadna nie dbała o całą tę politykę, ale widziała, że Saszeńka potrzebuje odpoczynku. Oczy miała czerwone, ręce jej drżały od nadmiaru kawy i z podniecenia. Ale kiedy patrzyła na ożywioną twarz córki, zobaczyła nową Saszeńkę. Wyglądało na to, że zmężniała i wypiękniała, jak larwa, która żywi się ciałem matki. Kipiała życiem, podczas gdy Ariadna była martwa i pusta.

Starając się nie rozplakać, Ariadna wróciła do swojej sypialni.

* * *

Ariadna, nie tyle spokojna, ile odrętwiała, odmierzyła porcję mikstury doktora Gempa i zażyła ją. Ale tym razem nie pomogło. Ręce i nogi miała ciężkie, jakby poruszały się w gęstym syropie. Czas włókł się niemiłosiernie.

Położyła się na kanapie. Nie mogła się cieszyć nowinami, które sprawiły, że jej mąż odmłodził, a córka wypiękniała, bo ją po prostu postarzyły. Ziemia usuwała jej się spod nóg. Nie było cara, Rasputin nie żył, Zeitlin mówił o rozwodzie, ale z jakiegoś powodu najbardziej niepokoiła ją niezwykła przemiana Saszeńki. Jej córka bawiła się w dorosłą politykę, śmiejąc się z rodziców. Miała cel w życiu - a co miała Ariadna? Dlaczego Saszeńka była taka szczęśliwa? Taka zadowolona z siebie? Zegar tykał coraz wolniej. Czekwała na każde tyknięcie, ale trwało to całe wieki, a kiedy wreszcie tyknął, brzmiało to jak uderzenie odległego dzwonu.

Dorastając w Turbinie, Ariadna wiedziała, że carowie nie są przychylnie nastawieni do Żydów, ale mimo to Żydzi uważali, że bez carów byłoby jeszcze gorzej. Car był daleko i wyrządzał wiele krzywdy Żydom i Rosjanom, nawet jeśli nie miał złych intencji. Ale car chronił Żydów przed kozakami, obszarnikami, antysemitami i pogromami. Kto ich obroni po jego abdykacji? Kto zatroszczy się o nią? Nagle zatęskniła za uściskiem matki, matki, którą dotąd ignorowała. Miriam mieszkała w tym samym domu, podobnie jak ojciec - ale równie dobrze mogliby żyć na innej planecie.

Dolatywały ją przytłumione odgłosy domowej krzątaniny. Nie miała nic do roboty i nicość ciągnęła się bez końca. Świat był skąpany we krwi, tak jak ostrzegał ją Rasputin, na ulicach Piotrogradu panowała anarchia. Na zewnątrz słyszała tupot nóg, trąbienie samochodów, radosne okrzyki i strzały. Te dźwięki nic nie znaczyły, wszystko straciło sens. Wszystko, nawet jej szkarłatne suknie, jej szafiry, wyglądały szaro.

Wstała z westchnieniem i powłokła się do pokoju Saszeńki. Uświadomiła sobie, że nie była w nim od lat.

34

Baron Zeitlin, z cygarem między zębami, szczekał energicznie swoim Specjalnym Krzesłem. Był pewien, że zdoła się przystosować do nowego świata, w istocie niemal sympatyzował z socjalistami. W głowie huczało mu od nowych projektów. Potem usłyszał głos Saszeńki w przedpokoju i przypomniał sobie, że ją zawiódł, nawet nie starając się jej zrozumieć. Teraz musi się bardziej postarać, bo inaczej ją straci.

- Najdroższa Saszeńko! - Saszeńka wpadła bez tchu do gabinetu, ale nie usiadła. - Nie mogę uwierzyć w wydarzenia ostatnich dni. Ale życie musi toczyć się dalej. Kiedy zaczynasz swoje studia?

- Studia? Jesteśmy zbyt zajęci, żeby studiować. Okłamałam cię, jeśli chodzi o moją działalność polityczną, tato, ale musiałam. My, bolszewicy, żyjemy według specjalnych reguł. Zrobiłam to, co słuszne. - Twarz miała zaciętą, niemal agresywną.

- W porządku, Saszeńko, rozumiem - powiedział Zeitlin, lecz nic nie rozumiał. Winił siebie za to, że jego córka stała się bezbożną mścicielką. Okłamała go i wyrzekała się rodziny. Ale to on nauczył ją braku poszanowania dla wiary i oto rezultat. A teraz nie było czasu na kolejną kłótnię. - Twoja matka myśli, że masz wielbiciela.

- Co za bzdura! Prawie mnie nie zna. Pracuję teraz w redakcji „Prawdy” jako łącznik z Komitetem Piotrogradzkim i Radą.

- Ale musisz wrócić do szkoły. Rewolucja prawie się skończyła, Saszeńko. Rząd...

- Tato, rewolucja dopiero się zaczęła. Są tylko wyzyskiwacze i wyzyskiwani. Nie ma nic pośrodku. Ten rząd to tylko burżuazyjny etap pośredni w marszu ku socjalizmowi. Chłopi muszą dostać ziemię, robotnicy swoje prawa. Żołnierze przyjmują teraz rozkazy od Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. - Prawie krzyczała, podniecając się własnymi słowami i opierając dłonie na ramionach ojca. - To będzie ostatni etap kapitalistycznego zepsucia, a potem cała ta zgnilizna, wszyscy krwio pijcy - tak, nawet ty, tato - zostanie zmieciona. Będzie krew na ulicach. Kocham cię, tato, ale my, bolszewicy, nie mamy rodzin, a moja miłość nic nie znaczy w obliczu historii.

Zeitlin przestał się poruszać w swoim urządzeniu. Patrzył na córkę, na jej delikatne piegi i szare oczy, i był wstrząśnięty.

Milczenie. W innej części domu rozległ się przytłumiony trzask.

- Słyszałaś? - spytał Zeitlin, wyjmując cygaro z ust. - Co to było?

- To chyba na górze.

Ojciec i córka wyszli do przedpokoju, a potem, z jakiegoś powodu, zaczęli biec. Leonid stał na szczycie schodów, Lala na podeście. Wszyscy patrzyli na drzwi pokoju Ariadny. Zeitlin wbiegł po schodach.

- Ariadno! - krzyknął, pukając do drzwi.

Ariadna leżała naga na kanapie. Dymiący mauzer spoczywał na jej brzuchu. Karmazynowa krew sączyła się z jej piersi, spływała po białej skórze i rozlewała się w kałużę na podłodze.

Saszeńka stała w oknie mieszkania przy ulicy Gogola, niedaleko Ministerstwa Wojny, pałac papierosa i spoglądając na zamarzną Newę i Twierdzę Pietropawłowską. Było ciemno, ale niebo jarzyło się nienaturalnym pomarańczowym blaskiem, jak podświetlona teatralna kurtyna. Latarnia na czubku iglicy fortecznej cerkwi kołysała się na wietrze.

Robotnicy opanowali twierdzę. Mendel i Trocki byli kiedyś więźniami w Bastionie Trubieckim, ale wczoraj więźniowie zostali uwolnieni. Był wczesny wieczór i ulice jeszcze nie opustoszały, a radosne tłumy zrywały ostatnie orły Romanowów. Siedziba Ochrony stała w ogniu.

Marzenia Saszeńki stawały się rzeczywistością, ona jednak chodziła ulicami, nie widząc i nie słysząc, obojętna na rozgrywające się wokół wydarzenia. Jej matka dokonała rzeczy niemożliwej: zepchnęła w cień rosyjską rewolucję. Ludzie wpadali na Saszeńkę. Ktoś ją objął. Wania Palicyn zawołał do niej z pędzącego samochodu pełnego czerwonogwardzistów, z herbem Romanowów na drzwiach.

W mieszkaniu było za gorąco, pociła się, bo nie zdjęła płaszcza ani czapki. Dlaczego, u licha, jest tu znowu? Przecież obiecała sobie, że nigdy więcej nie przyjdzie do tego mieszkania. Starła się nie myśleć o Saganie; jego czas minął, a on prawdopodobnie był już w Sztokholmie albo na południu. A jednak tu przyszła i czekała na człowieka, któremu zwykła opowiadać o matce.

Nagle usłyszała jakiś dźwięk i odwróciła się powoli. Kapitan Sagan, wciąż w mundurze żandarma, ale wynędzniały i zmęczony, stał, celując do niej z pistoletu Walther. Teraz wyglądał na swój wiek, nawet starzej.

Przez chwilę nic nie mówili. Potem schował pistolet do kabury i bez słowa podszedł do niej. Uściskali się. Była mu wdzięczna, że przyszedł.

- Mam trochę koniaku - powiedział - a samowar już kipi.

- Jak długo tu jesteś?

- Przyszedłem zeszłej nocy. Nie wiedziałem, dokąd pójść. Jacyś robotnicy przyszli do mojego domu, a moja żona zniknęła. Pociągi nie kursują. Nie wiedziałem, dokąd pójść, więc przyszedłem tutaj. Saszeńko, chcę ci powiedzieć coś, co cię zaskoczy. Mój świat - wszystko, co było mi drogie - zawałił się w ciągu jednej nocy.

- Mówiłeś mi, że to się nie stanie.

- Jestem w twoich rękach. Możesz mnie wydać. Wierzyłem w imperium. Ale powiedziałem ci prawdę o sobie.

Wyjął butelkę armeńskiego koniaku i nalał dwie lampki, wręczając jedną Saszeńce. Wychylił swoją. Saszeńka zdjęła płaszcz i czapkę.

- Dlaczego tu przyszedłeś? - spytał. - Myślałem, że będziesz świętować.

- Świętowałam. A potem stało się coś strasznego. Szłam do Pałacu Taurydzkiego, ale kiedy mijałam stróżówkę przy koszarach, zapukałam do drzwi. Były otwarte. Dozorca - pamiętasz dozorcę Wieriezina - leżał martwy na podłodze z kulą w głowie. A potem poszłam do Rady i spotkałam się z towarzyszami.

- Powiedziałaś im, że był zdrajcą? Skinęła głową.

- I byłaś zaskoczona, że nie żyje?

- Nie, nie byłam zaskoczona. Może trochę wstrząśnięta. Ale taka jest rewolucja. Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą.

- Ale powiedziałaś, że stało się coś strasznego.

- Moja matka się zastrzeliła.

Sagan wyglądał na szczerze zmartwionego.

- Tak mi przykro, Saszeńko. Nie żyje?

- Żyje, ale pewnie niedługo umrze. Strzeliła sobie w pierś. Najwyraźniej piękne kobiety mają skłonność do oszczędzania twarzy. Znalazła mauzer, mój partyjny mauzer, pod moim materacem. Skąd wiedziała, że tam jest? Jak go znalazła? Teraz są przy niej lekarze. - Saszeńka urwała, starając się zapanować nad oddechem. - Powinnam pójść do redakcji, a tymczasem przyszedłam tutaj. Ponieważ tutaj... z tobą... tak często o niej rozmawialiśmy. Nienawidziłam jej. Nigdy jej nie powiedziałam, jak bardzo...

Rozplakała się i Sagan przytulił ją. Jego włosy pachniały dymem, szyja niemal smakowała koniakiem, ale Saszeńka odkryła, że rozmowa z Saganem o matce ją uspokoiła. Jego uścisk wzmocnił ją i, jak na ironię, dodał jej sił, żeby się wyrwać.

- Saszeńko - powiedział, trzymając ją za ramiona. - Muszę ci coś wyznać. Wykonywałem swoją pracę i nigdy ci nie powiedziałem, jak bardzo ... cię polubiłem. Nie mam nikogo prócz ciebie. Ja...

Nagle poczuła ogarniający ją chłód.

- Jesteś znacznie młodsza ode mnie, ale chyba cię kocham.

Saszeńka cofnęła się. Wiedziała, że go potrzebuje, ale nie jako mężczyzny, który pocałował ją wśród śnieżnych pól, bardziej jako powiernika. Teraz świadomość, że on jej potrzebuje, jego rozpacz, budziły w niej wstęt, bała się tego widma obalonego reżimu. Zapra gnęła znaleźć się daleko od niego.

- Po tym, co ci powiedziałem, nie możesz mnie po prostu tak zostawić - krzyknął.

- Nigdy o to nie prosiłam, nigdy.

- Nie możesz odejść...

- Muszę iść - powiedziała i wyczuwając w nim zmianę, pobiegła do drzwi. Był tuż za nią.

Złapał ją w talii i pociągnął z powrotem na otomanę, gdzie przesiadzieli tyle nocy, rozmawiając o poezji i rodzicach. Dała mu w twarz.

- Puść mnie. Co robisz?

Ale on chwycił ją za ręce i przewrócił, jego twarz ociekająca potem i śliną była przerażająco blisko. Wsunął drugą rękę pod jej spódnicę, drąc jej pończochy, sięgając pomiędzy uda. Później zaczął tarmosić jej bluzkę, odrywając guziki, rozdzierając halkę i łapiąc ją za piersi.

Szarpnęła się gwałtownie, uwalniając ręce, i uderzyła go w nos. Krew trysnęła jej na twarz, lecz on nadal przygniatał ją swoim ciężarem. Wtedy wyciągnęła walthera z jego kabury i trzasnęła go w twarz. Znow trysnęła krew.

Stoczył się z niej, a ona już była na nogach i pędziła do drzwi. Otwierając je, obejrzała się i zobaczyła go skulonego jak dziecko na kanapie, płaczącego.

Nie zatrzymała się, póki nie wybiegła z budynku na ulicę. Wpadła do baru pełnego pijanych żołnierzy, którzy, wstrząśnięci jej widokiem, chwycili za karabiny z nasadzonymi bagnetami i chcieli zabić tego, kto ośmielił się ją tknąć. W łazience zmyła krew z twarzy i zapięła bluzkę. Czowała metaliczny smak krwi Sagan w ustach, w nosie, wszędzie, i próbowała ją zmyć, ale zapach dławił ją w gardle i zwymiotowała. Kiedy wyszła, jeden z żołnierzy dał jej wódki. Po wypiciu alkoholu poczuła się czystsza i powoli się uspokoiła.

Na zewnątrz wciąż się kotłowało. Słyszała strzały na Newskim. Linczowano kieszonkowców, a bandy pijanych dezertersów i bandytów włóczyły się po ulicach. Przypuszczała, że Sagan będzie chciał wymknąć się z mieszkania, ukryła się więc w bramie i obserwowała wyjście z kamienicy. W głowie jej pulsowało, a smak jego krwi znowu przyprawił ją o mdłości. Drżała na całym ciele. Zrobiła to wszystko dla partii, a teraz koniec. Powiedziała sobie, że powinna triumfować, ponieważ wygrała najważniejszą grę - Sagan i jego mocodawcy byli skończeni. Ale czowała tylko palący wstyd i zimną wściekłość. Wyobrażała sobie, jak wraca ze swoim pistoletem i zabija go jako policyjnego szpicla, ale sięgnęła tylko do kieszeni i zapaliła papierosa.

Mniej więcej pół godziny później Sagan wyszedł na ulicę i w dziwnym, purpurowym świetle nocy zobaczyła jego opuchniętą, zakrwawioną twarz, jego niepewny chód, skurczoną sylwetkę. Był po prostu żalostną, wynędzniałą postacią, zgarbioną pod karakułową czapkę, w oliwkowym płaszczu okrywającym mundur. Szedł ulicą Gogola, bocznymi uliczkami, potem przeciął Newski. Podążała za nim i zobaczyła, że pod latarnią przed soborem Kazańskim otaczają go uzbrojeni robotnicy. Pewnie spuszcza

mu solidne lanie i ukarzą za to, że ją skrzywdził, pomyślała, ale oni go przepuścili. Potem jednak Sagan potknął się o krawężnik i zobaczyli jego mundur.

-Żandarm! Faraon! Aresztujmy go! Drań! Swołocz! Dokąd idziesz? Dajmy mu po mordzie! Zabierzmy go do Rady! Wtrącimy go do bastionu! Masz, kanalio! - Otoczyli go, ale Sagan musiał wyciągnąć pistolet. Strzelił - znów rozległ się ten przytłumiony trzask. Potem kopali bezkształtny tłumok na ulicy, szydząc, wrzeszcząc, wznosząc kolby karabinów i bagnety. Oddychając ciężko, Saszeńka przyglądała się temu, ale wszystko działo się zbyt szybko, by zdołała zrozumieć, co naprawdę zaszło.

Gdzieś wśród kakofonii uderzeń i krzyków usłyszała jego głos, a potem skowyt cierpiącego zwierzęcia. Słyszała łomot karabinowych kolb. Przez kłębowisko robotniczych butów i płaszczy dostrzegła krew błyszczącą na ciemnym mundurze.

Nie widziała, w jaki sposób człowiek w mundurze zamienił się w krwawy ochłap - a kiedy było po wszystkim, zapadła cisza, robotnicy odchrząkiwali, poprawiali ubrania, potem zaczęli odchodzić. Nie czekała ani chwili dłużej. Zobaczyła, jak potężny jest lud - wykonujący wyrok historii.

Nie miała już poczucia, że wygrała. Zalała ją fala smutku i poczucia winy, jakby to jej klątwa ściągnęła na Sagana ten koszmar. Martwe ciało Wieriezina, a teraz to. Ale tego przecież pragnęła i musiała to zaakceptować, bo przecież rewolucja była szlachetną siłą. Wielu zginie w walce, pomyślała - a mimo to zabicie człowieka było straszną rzeczą.

Uświadomiła sobie, że opiera się o posąg przed soborem i łzy spływają jej po twarzy. To był koniec, ale nie taki, jakiego chciała. Żałowała, że poznała Sagana, i żałowała też, że nie odszedł tą ulicą na bezpieczne wygnanie, daleko stąd.

36

Ochryple głos zakłócił grobową ciszę pokoju chorej.

- Co w gazecie? - spytała Ariadna.

Na dźwięk głosu matki Saszeńka aż drgnęła. Ariadna nie odzywała się od kilku dni. Spała, oddychając ciężko, i wydawało się, że nigdy się nie obudzi. Saszeńka czytała „Prawdę”, kiedy matka się poruszyła. Przemówiła tak wyraźnie, że Saszeńka upuściła gazetę, rozsypując strony na dywanie.

- Mamo, przestraszyłaś mnie!

- Nie umarłam, kochanie... a może umarłam? Cuchnie tu. Nie mogę oddychać. Co piszą w gazecie?

Saszeńka pozbierała strony.

- Wuj Mendel jest w Komitecie Centralnym partii. Lenin wraca lada dzień. - Saszeńka podniosła głowę i zobaczyła, że aksamitne oczy matki wpatrują się w nią ze zdumiewającym ciepłem. Zaskoczyło ją to i zmieszało.

- Kiedy wreszcie weszłam do twojego pokoju... - zaczęła Ariadna, a Saszeńka napięła uwagę, żeby zrozumieć, co mówi.

- Mamo, wyglądasz lepiej. - Eiyło to kłamstwo, ale kto mówi prawdę umierającemu? Saszeńka chciała pocieszyć matkę. - Jak się czujesz? - spytała.

- Czuję się... - Ariadna ścisnęła rękę córki. Saszeńka odwzajemniła uścisk.

- Od dawna chciałam ci zadać jedno pytanie, mamó. Dlaczego ty... mamó? W tym momencie doktor Gemp, pulchny, zażywny mężczyzna z lśniącą różową łysiną, o teatralnych manierach, które są częstą cechą u lekarzy domowych, wszedł do pokoju.

- Czy twoja matka się obudziła? Co powiedziała? - spytał. - Ariadno, boli cię?

Saszeńka patrzyła, jak pochyla się nad matką, zwilżając jej czoło i szyję zimnym kompresem. Rozwiązał opatrunek na jej piersi, obejrzał, oczyścił i obmacał ranę, która wyglądała jak zakrzepła grudka krwi.

Ojciec był obok niej i też pochylał się nad łóżkiem. Wyglądał strasznie, kołnierzyk miał brudny, a policzki zarośnięte szarą kłującą szczeciną. Wygląda, pomyślała Saszeńka, jak stary Żyd ze strefy osiedlenia.

- Czy dochodzi do siebie? Ariadno? Odezwij się do mnie! Kocham cię, Ariadno! - mówił Zeitlin. Ariadna otworzyła oczy. - Ariadno! Dlaczego chciałaś się zabić? Dlaczego?

Za plecami Zeitlina stali rodzice Ariadny, Miriam, z drobną, suchą twarzą jak pyszczek polnej myszy, i rabin Turbinu, w gabardynowym płaszczu i jar-mułce, o twarzy okolonej gęstą brodą i cudacznymi pejsami.

- Drogie dziecko - powiedziała Miriam z twardym polsko-żydowskim akcentem, ujmując dłonie Saszeńki i całując ją czule w ramię. Ale Saszeńka domyślała się, jak nieswojo czują się starszycy w pokoju Ariadny. Byli tu już kiedyś, ale teraz jak żebracy spoglądali na perły, suknie, karty tarota i perfumy. Dla nich była to świątynia złotego cielca, ukazująca klęskę ich rodzicielskich marzeń.

Doktor Gemp, który specjalizował się w potajemnych tragediach wielkich książąt i hrabiów - aborcjach, samobójstwach i uzależnieniach - patrzył na starych Żydów jak na trędowatych, ale zdołał skończyć opatrywanie rany Ariadny.

Ariadna wskazała na swoich rodziców.

- Jesteście z Turbinu? - spytała. - Urodziłam się w Turbinie. Samuelu, musisz się ogolić...

Mijały godziny, noce, dni. Siedząc przy łóżku matki, Saszeńka straciła poczucie czasu. Ariadna oddychała chrapliwie i z wysiłkiem. Twarz miała szarą, ziemistą i zapadniętą. Postarzała się, skurczyła i zbrzydła. Jej pierś unosiła się z wysiłkiem, gdyż skrzepy w płucach utrudniały jej oddychanie. Nie pozostało nic z dawnego piękna i wigoru, tylko ta rozdygotana, trzęsąca się istota, która kiedyś była pełną życia kobietą, matką, matką Saszeńki.

Czasami Ariadna nie mogła zaczerpnąć powietrza i wpadała w panikę. Oblewała się potem, który wsiąkał w prześcieradła, i kurczowo chwytala się łóżka. Wtedy Saszeńka wstawiała i brała ją za rękę. Nagle miała jej tyle do powiedzenia: chciała ją kochać i być przez nią kochana. Czy było już za późno?

- Mamo, jestem przy tobie, to ja, Saszeńka! Kocham cię, mamo! - Czy ją kochała? Nie była tego pewna, ale jej głos wypowiadał takie słowa.

Znowu przyszedł doktor Gemp. Odciągnął Zeitlina i Saszeńkę na bok.

- Nie rób sobie nadziei, Samuelu - powiedział.

- Ale ona czasami się budzi! Rozmawia... - zaprotestował Zeitlin.

- Rana jest zainfekowana, a infekcja się rozszerza.

- Może wyzdrowieje, może... - upierała się Saszeńka.

- Może, *mademoiselle* - odparł doktor Gemp uprzejmie, gdy pokojówka podawała mu jego czarną pelerynę i kapelusz. - Może w krainie cudów.

37

- Chcesz, żebym ci coś poczytała? - usłyszała Ariadna głos Saszeńki następnego ranka.

- Nie ma potrzeby - odparła - ponieważ mogę wstać i poczytać sobie sama.

Inna Ariadna oddzieliła się od Ariadny na łóżku i zawisła ponad ramieniem Saszeńki. Spojrzała w dół i ledwo rozpoznała woskową istotę z opatrunkiem na piersi. Włosy miała proste i przetłuszczone, ale nie domagała się, żeby Luda przyniosła żelazko do loków - zatem musiała być umierająca. Ariadna zastanawiała się, czy zawsze była przeklęta lub nawiedzona przez dybuka, czy też sama sprowadzała na siebie te wszystkie kłopoty.

Uciekała od rzeczywistości w cudowne sny. Płynęła z gracją po pokoju. Jakież miała wizje! Ona i Samuel byli razem w ogrodzie z szemrzącymi fontannami i soczy-

stymi brzoskwiniami. Czy to był rajski ogród? Nie, w lasach rosły smukłe srebrzyste brzozy, to były lasy Zeitlina, które niebawem miały stać się kolbami karabinowymi w rękach martwych żołnierzy rosyjskich. Drzewa stały się baletnicami w krótkich spódniczkach, potem zupełnie nagimi.

Otworzyła oczy. Znowu była w pokoju. Saszeńka spała na kanapie. Była noc. Pokój oświetlała lampa, nie światło elektryczne. Samuel i dwoje starych Żydów, mężczyzna i kobieta, rozmawiali po cichu.

- Zagubiłem się, rabbi - powiedział Samuel w jidysz. - Nie wiem już, kim jestem. Nie jestem ani Żydem, ani Rosjaninem. Dawno temu przestałem być dobrym mężem i dobrym ojcem. Co mam robić? Czy powinienem nosić filakterie i modlić się jak pobożni Żydzi, czy zostać socjalistą? Myślałem, że moje życie jest uporządkowane, a teraz...

- Jesteś tylko człowiekiem, Samuelu - odparł brodaty mędrzec. Ariadna znała ten głos: należał do jej ojca. Cóż za piękny głos, taki głęboki

i uprzejmy. Czy przeklnie Samuela i nazwie go poganinem? - zastanawiała się.

- Robiłeś złe rzeczy i dobre rzeczy. Jak my wszyscy - powiedział jej ojciec.

- Co więc mam robić?

- Czyń dobro. Nie czyń zła.

- To wydaje się takie proste.

- To bardzo trudne, ale to wielka rzecz. Nie krzywdź siebie ani innych. Kochaj swoją rodzinę. Proś Boga o zmiłowanie.

- Ale ja nie jestem nawet pewien, czy w niego wierzę.

- Wierzysz. Bo inaczej nie zadawałbyś takich pytań. Wszyscy grzeszymy. Ciało jest podatne na grzech na tym świecie. Gdyby nie było możliwości wyboru, dobro byłoby pozbawione znaczenia. Dusza jest mostem pomiędzy tym światem a tamtym. Ale Bóg jest wszędzie. Nawet dla ciebie, nawet dla biednej, kochanej Finkel, jest miłosierdzie boże. To wszystko, co musisz zrozumieć.

Kim, do licha, jest Finkel? - zastanawiała się Ariadna. Oczywiście, to było jej prawdziwe imię. Ojciec i matka wydawali się jej w jednej chwili śmiesznymi karykaturami, w następnej byli tak samo święci jak kapłani w Świątyni Salomona.

- A co z Ariadną? - spytał Samuel.

- Samobójstwo. - Ojciec potrząsnął głową. Matka się rozplakała.

- Obwiniam siebie - powiedział Samuel.

- Zrobiłeś dla niej więcej niż my, więcej niż ktokolwiek - odparł ojciec. - My zawiedliśmy ją, ona zawiodła nas. Ale kochamy ją. Bóg ją kocha.

Ariadna była poruszona; czuła przywiązanie do rodziców, ale nie miłość. Nie kochała już nikogo. To były postacie z jej życia, znajome twarze i głosy, ale nie kochała ich.

Była lekka jak gęsi puch, przeciąg unosił ją raz tu, raz tam. Jej ciało leżało na łóżku, charcząc i rżąc. Nie uczestniczyła już w jego fizjologicznych funkcjach. Doktor Gemp wszedł do pokoju i zrzucił swoją pelerynę jak hiszpański torreador. Czuła, jak dotyka jej czoła, zmienia opatrunek, wstrzykuje morfinę, zwilża jej usta ciepłą, osłodzoną herbatą. Bolał ją brzuch, wnętrzności jęczały, zaciśnięta pięść w jej piersi pulsowała wokół pocisku, który sama tam umieściła. Ta rzecz na łóżku - ciało, w którym rozpoznawała siebie - nie była ważniejsza niż para dziurawych pończoch, dobrych pończoch, ale bezużytecznych, które można bez wahania wyrzucić.

Jej ojciec modlił się głośno, recytując psalmy, śpiewając głębokim głosem, który nappełnił ją radością. To był głos słowika w ogrodzie. Ale kiedy popatrzyła na jego twarz, był młody, jego broda rudobrazowa, oczy silne i jasne. Jej matka też tam była, pełna życia, jeszcze młodsza. Nie nosiła peruki, miała długie jasne włosy, splecione w warkocze, i dziewczęcą sukienkę. I jej dziadkowie, wszyscy młodszy od niej. Był tam jej mąż, kilkunastoletni chłopiec, i Saszeńka jako mała dziewczynka. Teraz mogliby być jej braćmi i siostrami.

Śpiew rabina przeniósł ją do Turbinu przed trzydziestu laty. Jej ojciec i pedel wychodzili z synagogi, matka gotowała pierogi i kluski przyprawione szafranem, cynamonem i goździkami. Ariadna już wtedy miała kłopoty: nie chciała poślubić syna mohylewskiego rabina, widziano, jak rozmawiała z jednym z li-twaków, który nie nosił pejsów - i w lesie nieopodal koszar spotykała się z rosyjskim oficerem. Uwielbiała ten mundur, złote guziki, buty z cholewami, naramienniki. Nikt nie wiedział, że całowała się nie tylko z litwakiem, lecz również z młodym Rosjaninem, sącąc koniak, który ją rozpałał, pozwalała się dotykać, od ich pieszczot przechodził ją dreszcz. Jak ten Rosjanin musiał się później przechwalać przed kolegami w kasynie oficerskim: „Nigdy byście nie zgadli, co znalazłem dzisiaj w lesie. Młodą Żydóweczkę, świeżą jak rosa...”.

Byłam zbyt piękna jak na dwór rabinacki w Turbinie, powiedziała sobie. Byłam pawiem w stajni. A teraz z radością wracała do Turbinu. Albo przynajmniej tamtędy przechodziła, w drodze dokądś. Co jej zapisano w Księdze Życia?

Ale kiedy Ariadna wleciała z powrotem do znajomej sypialni, wypełnionej rodziną, i wróciła do swojego ciała, uświadomiła sobie, że to już nie jest jej sypialnia, Saszeńka nie jest jej córką, Miriam nie jest jej matką - a ona sama nie jest już Ariadną Finkel Barmakid, baronową Zeitlin. Stała się kimś innym i przepełniała ją radość.

Saszeńka pierwsza to zauważyła.

- Tato - powiedziała - spójrz! Mama się uśmiecha.



- Odeszła - powiedziała Miriam, ujmując dłoń córki.

- Nieszczęsny, kto przeżyje własne dziecko - powiedział rabin cicho i zaczął się modlić za córkę. Saszeńka czuła, że w jakiś sposób zawarła pokój z matką, lecz jej ojciec, który drzemał na kanapie, obudził się i rzucił z płaczem na ciało żony.

Stryj Gideon, który pisał teraz do gazety Gorkiego „Nowaja Żyzn”, flirtował z mienszewikami i bolszewikami, czekał w korytarzu. Wbiegł do pokoju i odciągnął Zeitlina od ciała Ariadny. Był bardzo silny, wyniósł więc barona i posadził na krzesło w korytarzu.

Doktor wyprosił wszystkich. Zamknął Ariadnie usta i oczy i zawołał ich z powrotem.

- Teraz możecie ją zobaczyć - powiedział.

- Jest... znowu piękna - szepnęła Saszeńka. - Ale już nikogo tam nie ma.

I rzeczywiście, Ariadna nie była już trzęsącym się wrakiem człowieka, lecz piękną kobietą, taką jak w młodości. Była spokojna, miała białą skórę, zadarty nos i lekko rozchylone usta, jakby oczekiwała, że pocałuje ją jakiś elegancki młody oficer.

Taką ją zapamiętam, pomyślała Saszeńka. Jaka piękna. A mimo to odczuwała drczący niepokój i niepewność: nigdy jej nie znała. Matka była dla niej obca.

A kim była ona sama w tej sztuce? To już nie był jej dom. Kiedy matka umierała, ona znowu stała się córką. Ojciec, którego nie poruszyły rewolucje, wojny, strajki i abdykacje, aresztowanie córki, wybryki brata i romanse żony, który rzucał wyzwanie pietrogradzkim robotnikom, bakijskim zabójcom i arystokratycznym antysemitom, załamał się pod ciężarem tego samobójstwa. Zaniedbał swoje interesy, pozostawił niepodpisane kontrakty i w ciągu kilku tygodni niemal zupełnie stracił zainteresowanie pieniędzmi. Przedsiębiorstwa w Baku, Odessie i Tyflisie i tak już przepadły, ponieważ azerscy Turcy, Ukraińcy i Gruzini wyzwali się spod panowania imperium rosyjskiego. Ale umysł miał zaprzątnięty drobiazgami i wydawało się, że tego nieogolonego, pogrążonego w bólu człowieka gnębią wątpliwości niemal w każdej sprawie. Saszeńka słyszała, jak mówi do siebie i płacze.

Wydawało się jej, że jednego dnia straciła oboje rodziców.

Już nie płakała - przez ostatnie noce płakała nazbyt często - ale wciąż chciała wiedzieć, dlaczego matka posłużyła się jej pistoletem. Czy była to dodatkowa kara? Czy po prostu była to pierwsza broń, która wpadła jej w ręce?

Saszeńka stała przy łóżku przez dłuższy czas, a ludzie przychodzili, by ostatni raz pożegnać zmarłą. Gideon wtoczył się do pokoju i ucałował czoło Ariadny. Kazał doktorowi dać jej ojcu coś na uspokojenie. Starzy Żydzi modlili się. Patrzyła, jak Turbin upomina się o niegodziwą bezbożnicę z Piotro-grodu.

Twarz Ariadny pozostała uśmiechnięta, ale zaczęła się zmieniać. Policzki się zapadły, a jej delikatny nos, doskonały nos, stał się semicki i zakrzywiony. Dziadek Saszeńki przykrył ciało białym całunem, a u wezglowia łóżka zapalił dwie świece. Miriam zasłoniła lustro płótnem i otworzyła okna. Ponieważ Zeitlin wydawał się niezdolny do jakiegokolwiek decyzji, rabin wziął sprawy w swoje ręce. Wyzwoleni przez rewolucję ortodoksyjni Żydzi, którym wolno było odwiedzać Piotrogród, pojawili się w tym najbardziej świeckim z domów jak za sprawą czarów. Dla kobiet sprowadzono niskie ławy, aby mogły czuwać przy zmarłej.

Wśród rabinów wynikł spór, co zrobić z ciałem. Samobójstwo było sprzeczne z prawem boskim i należało je pogrzebać w niepoświęconej ziemi, co byłoby kolejną tragedią dla ojca Ariadny. W końcu uznano, że zmarła z powodu infekcji, nie od kuli. Dzięki temu praktycznemu i miłościwemu rozwiązaniu rabin Turbinu mógł pochować swoją córkę Finkel, znaną jako Ariadna, na żydowskim cmentarzu.

W końcu do łoża dopuszczono służbę, wstrząśniętą i zmieszaną obecnością tylu Żydów z pejsami, w gabardynowych płaszczach i czarnych kapeluszach.

Saszeńka musiała wracać do pracy w bolszewickiej gazecie. Jak na dany znak, drzwi otworzyły się i Mendel, który zjawił się tylko raz na dziesięć minut kilka dni po strzale, wszedł do pokoju w asyście dwóch młodych towarzyszy, potężnego, dobrze zbudowanego Wani Palicyna, w skórzanym płaszczu i z pistoletem w kaburze, i szczupłego, energicznego Gruzina Satinowa, w marynarskiej kurtce i butach z cholewami. Wnieśli ze sobą miłe widziany powiew nowej epoki.

Mendel miał na sobie długi płaszcz i robotniczą czapkę. Zbliżył się do łóżka, przez chwilę patrzył zimno na twarz siostry, potrząsnął głową, a potem skłonił się płaczącym rodzicom.

- Mamo, tato - powiedział głębokim głosem. - Przykro mi.

- To wszystko, co masz nam do powiedzenia? - spytała Miriam przez łzy.

- Zmarnowałaś tu już dosyć czasu, towarzyszeko Zeitlin - zwrócił się Mendel obcesowo do Saszeńki. - Towarzysz Lenin przyjechał zeszłej nocy na Dworzec Finlandzki. Mam dla ciebie robotę. Zabierz swoje rzeczy i chodźmy.

- Zaczekajcie, towarzyszu Mendel - powiedział cicho Wania Palicyn. - Straciła matkę. Dajmy jej trochę czasu.

Mendel zatrzymał się.

- Mamy robotę do wykonania, a bolszewicy nie mogą i nie powinni mieć rodzin. Ale skoro tak mówisz... - Zawahał się, patrząc na swoich rodziców przy łożu śmierci. - Ja też straciłem siostrę.

- Przyprawdę towarzysza Lisa Polarnego - obiecał Wania Palicyn. - Wy dwaj idźcie.

Satinow trzy razy ucałował Saszeńkę i uściskał ją - w końcu jest Gruzinem, przypomniawszy sobie.

- Zostań jak długo chcesz - powiedział i ruszył w ślad za Mendlem. Wania Palicyn, w skórzanym płaszczu i z kaburą, wydawał się nie na miejscu

w zbyt kłopotliwym buduarze, ale Saszeńka była mu wdzięczna za wstawiennictwo. Widziała, jak rozglądał się po pokoju swoimi brązowymi oczami, i wyobrażała sobie, co ten chłop-robotnik myśli o kapitalistycznej dekadencji: wszystkie te suknie i klejnoty, Zeitlin, zapłakany przemysłowiec, lekarz domowy w czarnej pelerynie, na wpół pijany birbant Gideon, służba we łzach i starzy Żydzi. Wania nie mógł oderwać wzroku od tych zawodzących Żydów z Polski!

- Czytałam o łożach śmierci u Czechowa - powiedziała do niego cicho Saszeńka - ale nie przypuszczałam, że to takie teatralne. Każdy ma jakąś rolę do odegrania.

Wania tylko skinął głową, potem poklepał Saszeńkę po ramieniu.

- Nie spiesz się, towarzyszeko - szepnął. - Zczekamy. Płacz sobie, ile chcesz. Potem idź i zabierz swoje rzeczy, mały lisku. - Jego czułość była wzruszająca przy jego posturze. - Wrócisz na pogrzeb, ale teraz pojedziemy do rezydencji. Zczekam na ciebie na dole.

Saszeńka obrzuciła pokój i rodzinę ostatnim pożegnalnym spojrzeniem. Podeszła do łóżka i pocałowała matkę w czoło. Znowu się rozplakała i w oczach Wani też dostrzegła łzy.

- Wania, zaczekaj. Już idę - powiedziała łamiącym się głosem i wyszła z pokoju.

Następnego dnia w południe, wśród przepychu rezydencji Krzesińskiej, gdzie niegdyś primabalerina zabawiała obu swoich wielkoksiażących kochanków, Saszeńka siedziała przy maszynie do pisania Underwood, stojącej na skromnym drewnianym biurku na parterze. Miała na sobie białą bluzkę, zapiętą pod szyję, długą wełnianą spódnicę i sznurowane buty do kostek. Trzy inne dziewczyny, dwie z nich w okularach, też siedziały przy biurkach, odwracając się bez przerwy, aby spojrzeć na drzwi.

Rezydencję obsadzili uzbrojeni czerwonogwardziści - robotnicy w różnorodnych mundurach - pod dowództwem Palicyna. Poprzedniego wieczoru Wania zabrał ją na szybki posiłek, a później odwiózł do domu. Rankiem odwiedziła, po raz pierwszy i ostatni, synagogę w stylu mauretańskim przy Ler-montowskiej, a potem patrzyła, jak chowają matkę na żydowskim cmentarzu, gdzie ona, jej ojciec i stryj Gideon zdawali się tonąć w morzu Żydów w kapeluszach i płaszczach, odzianych całkowicie na czarno z wyjątkiem białych frędzli przy modlitewnych szalach.

Wania błagał ją, żeby wzięła sobie jeszcze jeden wolny dzień, ale odparła, że matka zabrała już zbyt wiele dni z jej życia, i pospieszyła do swojego nowego biura - aby poznać nowego szefa. Czy można sobie wyobrazić młodą osobę, która chciałaby być gdzieś indziej niż tu, w rezydencji primabaleriny, wielkim piecu rewolucji, centrum historycznych wydarzeń?

Siedząc przy swoim biurku, Saszeńka usłyszała ożywiony gwar na dole. Posiedzenie w sali balowej, z udziałem wszystkich członków Komitetu Centralnego, dobiegło końca. Drzwi otworzyły się, rozległ się śmiech, głosy i kroki na schodach.

Saszeńka i pozostałe dziewczyny usiadły prosto na krzesłach, poprawiły bluzki, przygotowały kałamarze i suszki. Otworzyły się przeszklone drzwi.

- Oto, Iljiczu, twój nowy gabinet. Sekretarki czekają na ciebie, gotowe do pracy. - Mendel wszedł do pokoju wraz z towarzyszem Zinowjewem, niepozornym Żydem w tweedowej marynarce z gęstą czarną czupryną, i Stalinem, niskim, żylastym, wąsatym Gruzinem ubranym w marynarską kurtkę i workowate spodnie, wetknięte w buty z cholewami.

Zatrzymali się przy jej biurku: nerwowe oczy Zinowjewa prześliznęły się po bluzce i spódnicy Saszeńki, natomiast towarzysz Stalin, z lekkim uśmiechem, popatrzył na nią badawczo oczami koloru miodu. Gruzini mają czarujący sposób patrzenia na kobiety, pomyślała.

Wydawało się, że ich wszystkich unosi fala energii i entuzjazmu. Zinow-jew pachniał koniakiem, Stalin dymem tytoniowym. W lewej ręce trzymał zimną fajkę, w kąciku ust zapalonego papierosa. Odwrócili się, gdy do pokoju wpadł niski, krępy

mężczyzna z łysym, wypukłym czołem i rudą brodą, w bardzo burżuazyjnym trzydziściowym garniturze z krawatem i zegarkiem na łańcuszku. W jednej ręce trzymał melonik, w drugiej plik gazet i mówił nieprzerwanie ochrypłym głosem.

- Dobra robota, towarzyszu Mendel - powiedział Lenin, patrząc na Saszeńkę i pozostałe dziewczęta błyszczącymi, skośnymi oczami. - Wszystko wygląda świetnie. Gdzie jest mój gabinet? Ach, tak, tam. - Biurko było przygotowane, papier, kałamarz i telefon. - Mendel, która to twoja siostrzenica, ta, która studiowała w Smolnym?

- To ja, towarzyszu - powiedziała Saszeńka, wstając i prawie dygając.

- Bolszewik ze Smolnego, hę? Naprawdę musiałyście się kłaniać każdego ranka cesarzowej? No cóż, my reprezentujemy światowy proletariat, ale nie mamy nic przeciwko dobremu wychowaniu, prawda, towarzysze?

Lenin roześmiał się wesoło, idąc w stronę podwójnych przeszklonych drzwi swojego gabinetu, potem odwrócił się raptownie i już się nie uśmiechał.

- Dobrze, moje panie, od tej pory pracujecie dla mnie. Nie czekamy, aż władza wpadnie nam w ręce. Zamierzamy wziąć władzę sami i rozbić w proch naszych wrogów. Musicie być gotowe do pracy przez cały czas. Często będziecie spały w gabinecie. Odpowiednio się przygotujcie. W tym gabinecie nie ma palenia!

Wskazał na Saszeńkę.

- W porządku, chodźcie, towarzyszko Zeitlin, zacznę od was. Mam artykuł do podyktowania. Zabierajmy się do pracy!

CZĘŚĆ DRUGA

Moskwa 1939

TLR

Saszeńka patrzyła z werandy, jak jej mąż wyskakuje z samochodu w wypucowanych butach i błękitnej bluzie z karmazynowymi patkami.

- Jestem w domu - zawołał Wania Palicyn, dając znak kierowcy, żeby otworzył bagażnik. - Saszeńko, przyprowadź dzieci. Powiedz im, że tatuś wrócił! Mam coś dla nich. I dla ciebie, kochanie!

Saszeńka leżała na kanapie na drewnianej werandzie ich letniego domu, próbując czytać odbitki swojego magazynu. Tę jednopiętrową willę z białymi kolumnami wybudował w pobliżu Moskwy na przełomie stuleci bakijski magnat naftowy. Fala pierzastego kwiecica przepływała ponad jej głową w podmuchach ciepłego wiatru. Jabłonie i brzoskwinie w sadzie były obsypane kremowymi płatkami i weranda pachniała jaśminem, hiacyntami i wiciokrzewem. Za płotem sąsiedniej daczki tenor Kozłowski śpiewał ze zdartej płyty arię Leńskiego z *Eugeniusza Oniegina* - a męski głos wtórował mu ochoczo.

Leżała tam już od jakiegoś czasu i złapała się na tym, że też nuci arię. Jej trzypółletni syn Karło siedział obok niej i nie można było nic czytać, gdyż wciąż dokazywał i nieustannie domagał się uwagi. Naprawdę nazywał się Karlmarks, ale ponieważ urodził się podczas hiszpańskiej wojny domowej, kiedy Saszeńka codziennie nosiła hiszpański beret, nadano jego imieniu hiszpańskie brzmienie.

- Karło, muszę to przeczytać. Idź poszukać Śnieżynki i pobaw się z nią albo poproś Karolinę, żeby ci coś ugotowała!

- Nie - krzyknął Karło, silny ciemnowłosy chłopiec o szerokiej twarzy z dołeczkami, już przystojny, i pocałował ją w policzki. Był zbudowany jak niedźwiadek, ale upierał się, że jest królikiem. - Chcę być z tobą, mamó.

Saszeńka spojrzała na syna, na jego piękne brązowe oczy i pocałowała go.

- Będziesz łamał serca, Karło, mój mały niedźwiadku! - powiedziała.

- Nie jestem niedźwiadkiem, mamó, jestem królikiem!

- Dobrze, towarzyszu Zajka - odparła. - Jesteś moim najukochańszym towarzyszem Królikiem na...

- ...na całym świecie! - dokończył za nią. - A ty jesteś moim najlepszym przyjacielem!

Nagle usłyszeli samochód wjeżdżający na podjazd.

- Tata wrócił! - powiedziała Saszeńka, siadając.

- Otworzyć bramę! - zawołał kierowca.

- Dobrze, już idę - usłyszała odpowiedź. Rozpoznała ten głos. Należał do jednego ze służących, starego Kozaka opiekującego się końmi.

Brama otworzyła się. Za nią, na końcu wspólnego podjazdu, stała mała wartownia ze strażnikami w niebieskich mundurach. Tak naprawdę nie pilnowali jej domu - Wania był wysokim funkcjonariuszem, ale przy tej samej alejce mieszkało kilka znacznie ważniejszych osobistości, Mołotow i Żdanow, członkowie Politbiura, a także marszałek Budionny i wuj Mendel.

Samochód, zielony zis, wzorowany na amerykańskim lincolnie z długą maską, kanciastą karoserią i chromowanym zderzakiem, wtoczył się przez bramę, skrzypiąc resorami. Wzbijał chmury kurzu, torując sobie drogę wśród kur, kaczek i szczekających psów. Kucyk, na którym jeździły dzieci, przywiązany do bramy, przyglądał się temu beznamiętnie.

- Spójrz, towarzyszu Króliku, to tatuś!

- Chcę całować tylko mamusię! - oznajmił Karlo, ale poderwał się i pobiegł uściskać ojca.

Saszeńka zeszła za nim po drewnianych schodach.

- Wania, co za miła niespodzianka! Musisz się gotować w tych butach! Ale noszenie butów z cholewami w biurze, nawet w środku lata - a tego

maja w Moskwie było gorąco - miało więcej wspólnego z bolszewickim kultem męskości niż z użytecznością czy wygodą. Towarzysz Stalin nosił buty z cholewami przez cały czas.

Karlo rzucił się w ramiona Wani, który podniósł go i zakręcił nim w powietrzu. Chłopiec zapiszczał z uciechy.

- Jak defilada? - spytała Saszeńka, patrząc na syna i ojca, tak do siebie podobnych.

- Brakowało nam ciebie na trybunie honorowej - odparł jej mąż. - Nowe samoloty były piękne. Widziałem Mendla - i swojego nowego szefa z jego Gruzinami. Sati-now powiedział, że wpadnie później...

- W przyszłym roku postaram się zorganizować wszystko lepiej - obiecała. Dała Karolinie wolne przedpołudnie, żeby mogła obejrzeć defiladę, ale niania już wróciła. Początkowo Saszeńka żałowała, że straci pokaz na placu Czerwonym, będący demonstracją radzieckiej potęgi, z kolumnami przodowników pracy, sportowców i żołnierzy we wspaniałych mundurach, samolotami i czołgami. Armia, która tyle osiągnęła od 1917 roku, napełniała ją dumą, a owacje na cześć przywódców stojących obok niej na trybunie wprawiały ją w zachwyt. Ale w tym roku chciała zostać w domu z dziećmi.

- Czy wujek Herkules przyjdzie na przyjęcie? - spytał Karlo. - Chcę się z nim pobawić!

- Tatuś mówi, że przyjdzie, ale prawdopodobnie będziesz już spał, króliczku.

Wania objął wąską kibić Saszeńki, ujął jej twarz w swoje wielkie dłonie i pocałował.

- Ślicznie wyglądasz, kochanie - powiedział. - Jak się masz? Wyswobodziła się z jego uścisku.

- Jestem zmęczona, Waniu, mieliśmy zebranie kobiet, omawialiśmy plany szkoły i sierocińca. Był problem w drukarni, jakiś idiotyczny błąd przy składaniu...

- Nic poważnego? - Saszeńka zobaczyła, jak zwięzają mu się źrenice, i pospieszyła go uspokoić. Terror już się skończył, ale nawet błąd drukarski mógł być niebezpieczny. Wania i Saszeńka pamiętali o losie składacza, który wstawił do tekstu słowo „Solin” zamiast „Stalin”.

- Nie, nie, nic takiego, a potem Karolina upiekła pierożki, a Karlo płakał. .. Co to jest? - spytała, wskazując na pudła w samochodzie.

- Czy to prezent dla mnie? - spytał Karlo.

- Cierpliwości - odparł Wania ze śmiechem. Odpiął skórzany pas z kaburą i rzucił go kierowcy, Razumowi Zdjął dobrze skrojoną niebieską bluzę, ukazując białą koszulę i szelki podtrzymujące niebieskie spodnie z czerwonymi lamпасami, wetknięte w buty z cholewami. Wracając do samochodu, pomógł Razumowi, który nosił taki sam niebieski mundur, wyjąć z bagażnika trzy duże paczki owinięte w błękitny papier.

Razum był starym bokserem ze złamanym nosem i prawdziwym weteranem z blizną na prawym policzku, którą, jak twierdził, otrzymał od samego generała Skuro podczas wojny domowej (choć Wania żartował, iż w rzeczywistości wpadł po pijanemu na szybę podczas przyjęcia).

Umieściwszy dwie mniejsze paczki przy samochodzie, Wania i Razum wolno ponieśli trzecią w stronę domu.

- *Papoczka!* - Ich pięcioletnia córka, Śnieżynka, trzymająca różową poduszkę, wybiegła z domu w samych szortach, żeby uściskać ojca. Wania podniósł ją i pocałował w czoło.

- Spójrz na mnie! Popatrz na to, tatusiu! - powiedziała, wymachując w powietrzu swoją ulubioną „przyjaciółką”.

- Ciągłe na ciebie patrzymy - odparła Saszeńka. - Pokaż tatusiowi swój taniec z poduszką.

Śnieżynka była wysoka jak na swój wiek, szczupła i bardzo blada, skąd wzięło się jej przezwisko, miała niebieskie oczy i różowe wargi. Saszeńka nie do końca mogła uwierzyć, że taka piękna istotka jest córką jej i Wani, chociaż przypominała trochę ojca Saszeńki, „byłego” Samuela Zeitlina, dawnego barona, dawnego krwio pijęcę. Sa-

szeńka poczuła nagły przyływ smutku i wbrew sobie zaczęła się zastanawiać, gdzie on teraz jest. Nikt nie wiedział, czy był jeszcze wśród żywych - a ona nie pytała.

Śnieżynka zadzierała wysoko nogi, wymachując poduszką i skacząc jak żrebak.

- Spójrz, *papoczka*, podoba ci się mój nowy taniec z poduszką? - Wykonywała swój szalony taniec, który zawsze kończył się okrzykiem „Hejże-ha, hej-że-ha, hejże, hejże, hejże-ha!”. Saszeńka zaczęła klaskać. Wania roześmiał się.

- Patrz! - Śnieżynka pokazała szkarłatnego motyla i udawała, że leci za nim, machając rękami jak skrzydłami.

- Jeszcze będziesz występowała w Wielkim! - powiedział Wania. - Prawdziwa ludowa artystka!

Śnieżynka podbiegła do ojca, podskakując z żywiołową energią, a on znowu ją podniósł.

- Co dzisiaj robiłaś, Śnieżynko?

- Nie jestem Śnieżynką. Pokaż nam prezenty, *papoczka*!

- Zaraz, Wolu.

Wola to było jej prawdziwe imię - na cześć Woli Ludu, jednej z pierwszych organizacji rewolucyjnych - następne dobre rewolucyjne imię, pomyślała Saszeńka, przyglądając się im pobłaźliwie.

Wiedziała, iż ma szczęście, że Wania jest takim czułym ojcem w tych stalowych czasach walki, kiedy czułość nie była w modzie wśród przywódców, chociaż Satinow szepnął im na ucho, iż nawet towarzysz Stalin odrabia co wieczór lekcje ze swoją córką Swietlaną. Ona i Wania byli prawdziwym radzieckim małżeństwem, dzielącym wspólny trud, ponieważ oboje ciężko pracowali i oboje byli niezwykle pobłażliwymi rodzicami. Ale w końcu, jak delegacji Komitetu Żon Dowódców powiedział towarzysz Kaganowicz, zaufany współpracownik Stalina, „wychowywanie dzieci radzieckich jest tak samo ważne jak likwidowanie szpiegów i zwalczanie faszystów, a radziecka żona powinna dbać o męża i dzieci!”.

Za dziewczynką wybiegła pulchna kobieta w półbutach, z siwymi włosami upiętymi w kok.

- Musisz założyć buty, Śnieżynko - zrzędziła Karolina, niania, nad-wołżańska Niemka, która również dla nich gotowała - bo inaczej wbijesz sobie drzazgę tak jak Karlo!

Wania postawił Śnieżynkę na ziemi.

- No dobrze, czas rozpakować prezenty - powiedział. - Ale najpierw ten duży dla waszej ukochanej mamy. - On i Razum wnieśli nieporęczną paczkę na werandę. - Proszę! Otwórz ją!

- Mogę ja ją otworzyć? - spytała Śnieżynka, podskakując w miejscu.

- Mogę ja ją otworzyć? - zawołał Karło, wrywając się z ramion matki.

- Zapytajcie mamę! - powiedział Wania, uśmiechając się do Saszeńki.

- To jej prezent na Pierwszego Maja!

- Oczywiście, że możecie - odparła Saszeńka.

- Chodźcie więc, towarzyszeko Poduszko i towarzyszu Króliku! - powiedział ojciec. Zaczęli zrywać papier, aż w oślepiającym słońcu ukazała się ogromna, kremowa lodówka z okuciami z nierdzewnej stali i chromowanym napisem „General Electric”. - Cieszysz się, kochanie?

Saszeńka była zachwycona. Amerykańska lodówka wprowadzi odmianę do ich życia na dachy, zwłaszcza w taki upał. Uściskała Wanię, który próbował pocałować ją w usta, lecz odchyliła lekko głowę i nadstawiła mu policzek.

- Dziękuję ci, Waniu. Ale jak ją zdobyłeś?

- No cóż, to od narkoma - ludowego komisarza - za naszą dobrą pracę, ale powiedział, że sam towarzysz Stalin zatwierdził listę. - Za nimi służba

- kierowca Razum, Gołowaty, stajenny z krzywymi nogami i nawoskowanymi wąsami, niania Karolina i stary ogrodnik Artiom - podziwiała amerykańską lodówkę.

Ale Śnieżynka i Karło rozrywali już następne paczki, odsłaniając metalową ramę, koła, kierownicę...

- Rower! - zawołała Śnieżynka.

- Och, Śnieżynko, to właśnie chciałaś dostać na Pierwszego Maja! - powiedziała Saszeńka, patrząc na Wanię. - Jesteś naprawdę cudownym tatu-siem, dziękujemy ci za wszystko! - Ujęła Śnieżynkę za rękę. - Śnieżynko, podziękuj swojemu cudownemu tatusiowi!

- Nie Śnieżynka. Nazywam się Poduszka! Dziękuję, *papoczka!* - Śnieżynka podbiegła do ojca i rzuciła mu się w ramiona.

- Powinniście podziękować też partii i towarzyszowi Stalinowi - dodała Saszeńka. Ale dzieci próbowały już utrzymać równowagę na rowerach.

- Dziękuję ci, towarzyszu St... - Śnieżynka straciła zainteresowanie i pobiegła za kolejnym motylem, a Karło zaczął pedałować, ale upadł i rozplakał się. Trzeba go było przytulić i dać mu lody na pocieszenie.

Po południu zrobiło się już za gorąco, żeby siedzieć na dworze. Zaczęła śpiewać wilga, srebrzysty sosnowy las wokół nich brzęczał latem, w pobliżu dzwoniły szklanki, rżały konie.

Saszeńka kołysała się w hamaku, patrząc, jak Wania, wciąż w butach i bryczesach, lecz z obnażonym torsem, szerokim karkiem i muskularnymi ramionami, dorabia boczne kółka do roweru Karla, wykorzystując części ze starego dziecięcego wózka. Saszeńka zdumiewała się jego pomysłowością

- ale przecież od dziecka był tokarzem, prawdziwym robotnikiem, i przypomniawsobie, jak spotkała go po raz pierwszy w lokalu konspiracyjnym w Piotrogradzie, kiedy miała siedemnaście lat, a on był trochę starszy. Nie było żadnych romantycznych zalotów ani ckliwych oświadczeń, pomyślała Saszeńka z dumą, żadnego burżuazyjnego filisterstwa ani zgniłego liberalizmu, byli zbyt zaprzątnięci rewolucją. Po prostu ustalili, że się pobiorą, i nawet nie zarejestrowali małżeństwa w urzędzie stanu cywilnego, dopóki rząd nie przeniósł się do Moskwy. Potem zaczęła się wojna domowa. Saszeńka pracowała dla partii i chodziła na kursy wieczorowe w technikum. Ona i Wania wyruszyli razem na wieś, by konfiskować zboże opornym chłopom i kolektywizować ich gospodarstwa. Mieszkali w Domu Rad razem z innymi małżeństwami i nie mieli nic. Trudno uwierzyć, pomyślała, że mam już prawie czterdzieści lat. Smolny, Instytut dla Dobrze Urodzonych Imbecylów, wydawał się tak samo odległy jak średniowiecze.

Za płotem sąsiad zmienił płytę gramofonową i zaczął śpiewać na głos jedną z popularnych piosenek Dunajewskiego z filmu *Świat się śmieje*.

- Dunajewski może wpadnie później na podwieczorek - powiedziała.

- Razem z Utiesowem i kilkoma nowymi pisarzami. Przyprowdzi ich stryj Gideon. Może uda mu się namówić Benie Goldenę, żeby przyszedł.

- Kogo? - spytał Wania, marszcząc czoło, gdy przykręcał śruby mocujące koło do roweru.

- Pisarz, którego opowiadania o hiszpańskiej wojnie domowej czytałam ostatnio - odparła. - . . .

Wania wzruszył ramionami. Saszeńka żałowała, że nie interesował się bardziej śpiewakami, pisarzami i gwiazdami filmowymi. Ona się interesowała - dlaczego? Wania nazwał ich kiedyś „hałaśliwą zgrają niepewnych i często podejrzanych elementów - a twój stryj Gideon jest najgorszy”. Wiedziała, że Wania wolał funkcjonariuszy partyjnych i wojskowych, ale byli tacy sztywni i oschli, a od czasów terroru stali się jeszcze gorsi. Poza tym była redaktorem naczelnym, a jej pismo czytały żony „odpowiedzialnych pracowników”, jak nazywano przywódców. Musiała znać wielkie gwiazdy.

- No cóż, Satinow przyjdzie, a także wuj Mendel, jeśli chcecie rozmawiać o polityce - odparła.

- Ile osób zaprosiłaś? - spytał, sprawdzając, czy rower jest dobrze wyważony.

- Nie wiem - odpowiedziała. - To duży dom...

Dacza była niedawnym nabytkiem - i czasem jej dźwięki i zapachy przypominały Saszeńce Zembliszyno, majątek Zeitlina, gdzie Mendel nawrócił ją na marksizm.

Saszeńka i Wania otrzymali daczę przed rokiem, latem tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego, kiedy przydzielono im również mieszkanie przy ulicy Granowskiego i kierowcę. Oczyszczanie szeregów partii było procesem brutalnym i krwawym. Wielu nie przeszło próby i zostało skazanych na śmierć, najwyższy wymiar kary według oficjalnej terminologii. Niektórzy spośród starych przyjaciół i znajomych Saszeńki okazali się zdrajcami, szpiegami i trockistami. Nigdy wcześniej nie zdawała sobie sprawy, jak wielu z nich nosiło maskę, udając dobrych komunistów, a w rzeczywistości byli faszystami, sabo-tażystami i zdrajcami. Gdy kolejni towarzysze znikali w „maszynce do mięsa”, jak mówiono, Saszeńka podobnie jak wszyscy jej przyjaciele musiała usuwać ich fotografie z rodzinnych albumów, zamazywać ich twarze. Ale nawet ona i Wania niepokoiłi się, choć byli całkowicie oddani sprawie rewolucji. Ich małżeństwo też było małżeństwem komunistycznym. Saszeńka i Wania wierzyli w partię, wiara była dla nich wszystkim. Łączyło ich tak wiele, nawet jeśli, pomyślała nagle, w miarę upływu lat coraz bardziej zaznaczały się różnice ich zainteresowań.

Ale terror dobiegł końca, znowu mogli swobodnie oddychać. Kraj był zjednoczony i gotowy do zbliżającej się wojny z hitlerowskimi faszystami.

Wania wyprostował się i zawołał Śnieżynkę, która wybiegła zza rogu z małym Karlem, próbującym dotrzeć jej kroku.

- Rowery gotowe. - Posadził ją na siodełku. - Teraz powoli, towarzyszko Poduszko, spokojnie, nie za szybko, stopy na pedały, zacznij pedałować...

- Ja też - zapiszczał Karlo.

- Poczekaj, Karlo, och, Karlo... Nie bój się, niedźwiadku, trzymam cię!

- Jestem królikiem, *papoczka* - zawołał malec gniewnie. Rodzice roześmiali się. - Nie śmieć się, głupia mamusiu!

Saszeńka uśmiechnęła się; jej serce przepelniała miłość do syna. Nie miało znaczenia, jeśli czasem był wobec niej niegrzeczny, dopóki nie był niegrzeczny wobec ojca, który miał wybuchowy temperament.

- Ostrożnie, króliczku - zawołała. Ale było już za późno. Rozpaczliwie próbując nie pozostać w tyle za siostrą, Karlo ruszył zbyt szybko, skręcił, aby ominąć kure, i spadł z roweru.

- Chcę do mamy! - zaszlochał.

Saszeńka podniosła go, a on natychmiast przestał płakać i zażądał, aby znowu posadzić go na rower.

- Patrzcie na mnie, patrzcie na mnie, *papoczka* i *mamoczka*! - Znowu się przewrócił.

- A kiedy na ciebie nie patrzymy? - odparła Saszeńka ze śmiechem. Odwróciła się i zobaczyła, że Śnieżynka opanowała już sztukę jazdy na rowerze. Rozpromieniona dziewczynka zeskoczyła z siodełka, rzuciła się w ramiona Wania, a potem znowu zańczyła, wymachując poduszką.

- No dobrze, jest za gorąco, a ja jestem głodny - oznajmił Wania. - Poparzycie się i będzie wam schodzić skóra. Proszę, żebyście natychmiast zeszli ze słońca.

2

Mniej więcej godzinę później, siedząc po turecku na podłodze, Saszeńka bawiła się z dziećmi w przedszkole w pobliżu czerwonego kącika z plakatami Lenina i Stalina i radia w lakierowanej obudowie. Słyszała, jak w kuchni Razum i Wania rozmawiają o meczu piłkarskim pomiędzy Dynamem Moskwa a Spartakiem. Drużyna Dynamo Moskwa grała fatalnie. Zawodnik Spartaka sfaulował napastnika Dynama, którego zniesiono z boiska, ale sędzia nie wyrzucił piłkarza Spartaka z boiska.

- To pewnie sabotażysta - zażartował Razum.

- A może przydałyby mu się nowe okulary!

Pół roku wcześniej nikt nie śmiałyby się z sabotażysty, pomyślała Saszeńka, nawet w sporcie. Ludzi aresztowano i rozstrzeliwano za mniejsze rzeczy. Przypomniła sobie, jak dyrektor moskiewskiego ogrodu zoologicznego trafił do więzienia za otrucie radzieckiej żyrafy i jak w szkole numer 118 w pobliżu ich moskiewskiego mieszkania aresztowano ucznia, który przypadkowo trafił papierową strzałką w portret Stalina. Ilekroć któryś z ich towarzyszy został aresztowany, Wania zamykał kuchenne drzwi (aby dzieci nie słyszały) i szeptem wymieniał jego nazwisko. Jeśli był to ktoś tak sławny jak Bucharin, po prostu wzruszał ramionami: „Wrogowie są wszędzie”. Jeśli był to przyjaciel, z którym na przykład spędzali wakacje w Soczi, Saszeńkę ogarniał znacznie większy niepokój.

- Organa musiały coś wiedzieć, ale...

- Zawsze jest powód - mówił Wania. - To było konieczne.

- Jak też ludzie się maskują! Podłość naszych wrogów przekracza wszelkie wyobrażenia. Śnieżynka miała iść się bawić z ich dziećmi...

- Odwołaj wizytę Śnieżynki - mówił Wania ostro - i nie dzwoń do Jeleny! Bądź ostrożna! - Całował ją w czoło i nie rozmawiali więcej na ten temat.

„Nie można robić rewolucji w jedwabnych rękawiczkach” - powiedział towarzysz Stalin i Saszeńka powtarzała to sobie codziennie. Ale na XVIII Zjeździe towarzysz Stalin ogłosił, że wrogowie ludu zostali zniszczeni. Jeżów, szalony szef aparatu bezpieczeństwa, został zwolniony ze stanowiska i aresztowany za swoje ekscesy, a nowy ludowy komisarz spraw wewnętrznych, Ławrientij Beria, przywrócił sprawiedliwość i umiar.

Mężczyźni głosami coraz bardziej bełkotliwymi od piwa i upału wyśmiewali się z gola, którego strzelił Wania w amatorskim meczu. Saszeńka nie potrafiła sobie wyobrazić, jak można rozmawiać o piłce nożnej. Westchnęła. Ona i Wania byli przeciwnościami - robotnik wywodzący się ze wsi i wychowana w burżuazyjnej rodzinie intelektualistka. Ale wszyscy wiedzieli, że przeciwności doskonale się uzupełniają w małżeństwie, a ona miała dobrego, odnoszącego sukcesy w pracy męża, dwoje pięknych dzieci, kierowców, samochody, tę sielską daczę - a teraz jeszcze amerykańską lodówkę.

Karolina zaczęła nakrywać stół na werandzie do wczesnej pierwszomajowej kolacji. Saszeńka, która Pierwszego Maja zawsze urządzała przyjęcie, myślała o nadchodzącym wieczorze - i o gościach. Stryj Gideon przyprowadzi swoich hałaśliwych przyjaciół i będzie się zalecał do kogoś nieodpowiedniego. Rozległ się pisk. Karlo chwycił ulubioną poduszkę Śnieżynki, ona gonila go po całym domu i oboje się śmiali.

Saszeńka wyszła na werandę, nucąc jedną z piosenek Lubow Orłowej.

Zatrzymała się, porażona niezwykłym uczuciem szczęścia. Znalazła się po właściwej stronie historii; władza radziecka, ze swoimi kolosalnymi hutami stali, tysiącami czołgów i samolotów, była potężna; towarzysza Stalina kochano i podziwiano. Ileż osiągnęła partia! W jakich radosnych czasach przyszło jej żyć! Co powiedziałyby o jej upajającym szczęściu dziadek, rabin z Turbinu, który prawdopodobnie żył jeszcze w Nowym Jorku? „Nie kuś losu”. Takiej udzieliłby jej przestrogi - ale ona wiedziała lepiej niż ktokolwiek, że to tylko średniowieczny przesąd. Było tyle powodów do świętowania.

- Mamy wódkę? - zawołała do Wani.

- Tak, i skrzynkę gruzińskiego wina w bagażniku.

- No więc nalej mi! I nastaw płytę z tangiem Utiesowa.

Dzieci i mąż dołączyli do niej na werandzie. Wania podniósł Śnieżynkę i udawał, że z nią tańczy, jakby była dorosła. Saszeńka chwyciła Karla i tańczyła z nim, śpiewając głośno do muzyki. W tym samym momencie ona i Wania odwrócili dzieci do góry

nogami. Chłopiec i dziewczynka piszczeły z radości. Ilu towarzyszy tańczy ze swoimi dziećmi tak jak my? - pomyślała Saszeńka. Większość z nich jest stanowczo zbyt nudnych.

3

Słońce zachodziło, zabarwiając ogród nostalgicznym liliowym światłem, które zawsze podsuwało moskwiczynom myśli o lecie. O siódmej zaczęło się przyjęcie i tak jak przewidywała Saszeńka, stryj Gideon zjawił się pierwszy, przyprowadzając kilku przyjaciół - słynnych śpiewaków jazzowych, Utiesowa i Ceferma-na, jak również Maszę, nadąsaną młodą aktorkę z Teatru Małego, która była jego najnowszą kochanką.

Gideon, już niemłody, ale wciąż silny i energiczny, zachowywał się tak samo jak dwadzieścia lat wcześniej. Chodził w chłopskiej koszuli i błękitnym berecie z Paryża, podarunku, jak twierdził, od swojego przyjaciela Picassa, a może od Hemingwaya? Utrzymywał, że zna wszystkich - baletnice, pilotów, aktorów i pisarzy. Saszeńka liczyła, że stryj przyprowadzi tych znakomitych artystów do jej domu w pierwszomajowy wieczór.

Wuj Mendel, zlany potem w zimowym garniturze i krawacie, i jego żona Natasha, pulchna Jakutka, którą Saszeńka pamiętała sprzed rewolucji, przyszli dokładnie o wyznaczonej godzinie wraz ze swoją śliczną córką Leną, studentką, która odziedziczyła po matce skośne oczy i bursztynową cerę.

Mendel natychmiast zaczął rozmawiać z Wanią o polityce zagranicznej.

- Japończycy rwą się do walki - powiedział.

- Proszę nie rozmawiać o polityce - zaprotestowała Lena, tupiąc nogą.

- Nie wiem, o czym innym można rozmawiać, skarbie! - odparł jej ojciec dźwięcznym barytonem.

- Właśnie! - zawołała Lena.

Niebawem podjazd zapelnili kierowcy zisów, buicków i lincolnów, starając się zaparkować na skraju trawnika, a Saszeńka poprosiła Razuma, żeby zaprowadził jakiś porządek. Razum, zalany w pestkę, wrzeszczał, gestykulował, bębnił w dachy samochodów, ale w końcu zaczął częstować piwem innych kierowców i urządził przyjęcie przed bramą. Ku rozbawieniu Saszeńki na podjeździe zapanował jeszcze większy bałagan. Pijany Razum był jedną z atrakcji ich przyjęć.

Saszeńka zaprosiła gości do bufetu, gdzie nałożyli sobie na talerze przygotowane wcześniej zakąski: pierożki, bliny, wędzonego śledzia i jesiotra, cielece kotlety. Pili wódkę, koniak i krymskiego szampana. Wydawanie przyjęć było ciężką pracą, lecz lubiła ją, zwłaszcza że mogła poznać nowych przyjaciół Gi-deona.

- A więc to jest twoja bratanica, Gideonie? - spytał Len Utiesow, śpiewak jazzowy z Odessy, który nie wypuszczał jej ręki. - Co za piękność! Jestem oczarowany. Czy uciekniesz od męża i pojedziesz ze mną na tournée po Dalekim Wschodzie? Nie? Mówi, że nie, Gideonie. Co powinienem zrobić?

- Uwielbiamy twoje piosenki - powiedziała Saszeńka, zachwycona, że znalazła się w centrum uwagi, i zadowolona, że włożyła piękną letnią sukienkę. - Waniu, nastaw płytę Lena.

- Po co nastawiać jego płyty - zawołał Gideon - skoro można nastawić jego?

- Zachowuj się przyzwoicie, stryju, albo będziesz zmywał naczynia - zadrwiła Saszeńka, potrząsając ze zgorzeniem głową.

- Z Karoliną? - zagrział. - Dlaczego nie? Kocham wszystkie kształty i rozmiary!

Wania poprosił o ciszę i wznosił toast za Pierwszego Maja - „i naszego ukochanego towarzysza Stalina”.

Kiedy zapadł zmierzch, Utiesow zaczął brzdąkać na fortepianie, potem dołączył do niego Ceferman. Niebawem śpiewali razem odeskie pieśni więzienne. Stryj Gideon wtórował im na akordeonie. Muzyk z Teatru Artystycznego grał na pianinie, a pisarz Isaak Elabel, niski, lecz z roześmianymi oczami spoglądającymi zza okrągłych okularów i z szelmowskim uśmiechem na szerokich ustach, opierał się o blat fortepianu i patrzył. Tam, gdzie jest Babel, mawiał Gideon, tam zawsze jest przyjęcie.

Saszeńka uwielbiała jego *Armię konną*, uwielbiała sposób, w jaki patrzył na rzeczy.

- Babel to nasz Maupassant - powiedziała Wani, kiedy przyszedł popatrzeć, ale on wzruszył ramionami i wrócił do swojego gabinetu. Stała wśród muzyków, trzymając Karla, któremu pozwolono pozostać dłużej, i śpiewała razem z mężczyznami, a Śnieżynka tańczyła wokół pokoju w różowej sukience, wymachując swoją nieodłączną przyjaciółką.

Nad daczą unosiła się złodziejska pieśń znad Morza Czarnego, a goście Saszeńki - pisarze w workowatych kremowych garniturach, wąsaci działacze partyjni w dopasowanych białych bluzach, kaszkietach i szerokich spodniach, pilot w mundurze (jeden z „Orłów Stalina”), uperfumowane aktorki w głęboko wydekoltowanych jedwabnych sukniach a la Schiaparelli - tańczyli i śpiewali, palili i flirtowali. Pierwszy Maja rozpoczął się defiladą na placu Czerwonym, a zakończył radzieckimi bachaniami,

od samego szczytu poczynając. Gdzieś tam nawet towarzysz Stalin i jego towarzysze wznosili toasty za rewolucję. Wania powiedział Saszeńce, że za Mauzoleum na placu Czerwonym jest mary pokój na trunki i zakąski, po czym następuje obiad u marszałka Woroszyłowa, a później wielogodzinna biesiada w jakiejś daczcy na przedmieściach.

Lekko pijana szampanem i w stanie dziwnego uniesienia, Saszeńka wyszła do ogrodu i położyła się w hamaku pomiędzy dwiema sękatymi jabłoniąmi. Słyszała samą siebie, jak śpiewa te wszystkie piosenki, patrzy na dzieci, kołysze się w hamaku, podczas gdy pijany świat delikatnie wirował.

- Saszeńko. - To była Karolina, niania. Karolina wydawała się oschłą, poważna i oficjalna - ale pod tą maską kryła się czułość i miłość do dzieci. Saszeńka starannie ją wybrała. - Czy powinnam położyć dzieci spać? Karlo jest zmęczony. Jest jeszcze bardzo mały.

Karlo w niebieskiej piżamie wyszywanej w radzieckie samoloty siedział zaspany na krześle, patrząc na muzyków. Stryj Gideon grał na akordeonie dla Śnieżynki, krzycząc:

- Brawo, mała Poduszczo! Hurra!

- Moja poduszka, poduszka, poduszka tańczy ze stryjkiem Gideonem - śpiewała dziewczynka. - Hejże-ha, hejże-ha, hejże, hejże-ha!

- Dziękuję ci, Karolino - powiedziała Saszeńka. - Za chwilę położymy Karla do łóżka. Dzieci tak świetnie się bawią.

Już dawno powinny leżeć w łóżkach, ale nie mogłyby się chwalić, kiedy podróżują: „Widziałyśmy Utiesowa i Cefermana, którzy śpiewali razem złodziejskie piosenki! Tak, w 1939, podczas drugiej pięciolatki, w radosnych latach po wielkim przełomie, po kolektywizacji i okresie walki, w naszej daczcy!”.

Pogratulowała sobie udanego przyjęcia. Dlaczego wszyscy przychodzili do jej domu? Dlatego, że była redaktorem naczelnym? Była „radziecką kobietą pracującą na niwie kultury”, znaną z prawomyślności i wierności linii partyjnej. Czy dlatego, że mężczyźni uważali ją za atrakcyjną? Nigdy nie było wokół niej tyle szumu, pomyślała i ucieszyła się, że włożyła białą lnianą sukienkę, która podkreślała jej opaleniznę. Oczywiście przyciągała ich również pozycja jej męża. Wszystkich pisarzy fascynowała władza!

Nagle hamak zakołysał się tak gwałtownie, że omal nie wypadła.

- A więc tu jest towarzyszka redaktor „Radzieckiej Żony i Proletariackiego Gospodarstwa Domowego” - zadrwił śpiewny głos.

- Przestraszyliście mnie, podkradając się w ten sposób - powiedziała ze śmiechem, odwracając się w hamaku, żeby zobaczyć, kto ją zaskoczył. - Powinniście trak-

tować towarzyszkę redaktor z radzieckim szacunkiem! Kim właściwie jesteście? - spytała, siadając;; wciąż trochę kręciło jej się w głowie od szampana.

- Nie zaprosiliście mnie - powiedział mężczyzna - ale i tak przyszedłem. Słyszałem o waszych przyjęciach. Wszyscy przychodzą. Albo prawie wszyscy.

- Chcecie powiedzieć, że zawsze zapominałam was zaprosić.

- Właśnie, a poza tym jestem trudno osiągalny.

- Nie sprawiacie wrażenia nieśmiałego. Ani trudno osiągalnego. - Była zadowolona, że użyła perfum Coty'ego. - A zatem dlaczego przyszliście?

- Możecie zgadywać trzy razy, kim jestem.

- Inżynierem górnictwa z Juzowki? -Nie.

- Pilotem-bohaterem, jednym z Orłów Stalina?

- Nie. Ostatnia szansa.

- Ważnym aparaczykiem z Tomska?

- Dręczycie mnie - szepnął.

- No dobrze - powiedziała Saszeńka. - Jesteście Benią Goldenem, pisarzem. Mój nieznośny stryj Gideon powiedział, że was zaprosił. A ja uwielbiam wasze hiszpańskie opowiadania.

- *Gee, thanks* - powiedział po angielsku z amerykańskim akcentem. - Tak naprawdę to zawsze chciałem pisać do „Radzieckiej Żony i Proletariackiego Gospodarstwa Domowego”. To jedna z moich życiowych ambicji.

- Teraz drwicie ze mnie. - Westchnęła, uświadamiając sobie, jaką przyjemność sprawia jej rozmowa z tym obcym mężczyzną. - Ale rzeczywiście potrzebujemy na jesień artykułu o tym, „Jak przygotowywać ciastka czekoladowe Szczęśliwe Dzieciństwo i cukierki Związek Radziecki - smaczne i pożywne jedzenie dla radzieckiej rodziny”. A jeśli to wam nie odpowiada, to może tysiąc słów o nowych radzieckich perfumach Plac Czerwony, wyprodukowanych przez Trust Kosmetyczny Poliny Mołotowej? Nie śmiejecie się - mówię bardzo poważnie.

- Nie ośmieliłbym się. Dziś nikt się nie śmieje, jeśli się najpierw dwa razy nie zastanowi, a już na pewno nie z perfum towarzyszkę Poliny, które, o czym wie każda radziecka kobieta, są przełomem w przemyśle kosmetycznym.

- Ale wy zajmujecie się wojnami - powiedziała. - Czy dla odmiany nie moglibyście się zająć naprawdę poważnym tematem?

- To przecież porywające tematy, towarzyszkę redaktor - odparł Benia Golden - a ja wiem, że nie dokuczalibyście biednemu pismakowi.

- Biedny pismak, rzeczywiście. Wasze opowiadania bardzo dobrze się sprzedają.

- Muszę tu stać jak na audiencji czy mogę usiąść obok was? - spytał Benia, zmieniając temat.

- Oczywiście. - Zrobiła mu miejsce na hamaku. Benia miał na sobie biały garnitur z bardzo szerokimi marynarskimi spodniami, a jego niebieskie oczy z żółtymi plamkami wpatrywały się w nią przenikliwie spod nisko osadzonych brwi. Łysiał. W przyćmionym różowym świetle widziała jego rzęsy, długie jak u dziewczyny, a chociaż wiedziała, że był Żydem z Galicji, należącej obecnie do Polski, przypomniła sobie, iż jej matka mówiła, że Galicjanie są bardziej zuchwali niż litwacy - a zapewne Ariadna miała osobiste doświadczenia z jednymi i drugimi. Nie jestem pewna, czy go lubię, pomyślała, jest w nim coś aroganckiego.

Była świadoma swoich ruchów, kiedy zmieniała pozycję w hamaku, i zirytowana sposobem, w jaki się do niej przysuwał. Naruszał jej prywatność, a jego bliskość wprawiała ją w drżenie.

- Mam pomysł na nasz artykuł - powiedział Benia. - Co powiecie na „Zdrowy, lecz rozpraszający wpływ perfum Plac Czerwony i pończoch z Moskiewskich Zakładów Dziewiarskich na przodowników pracy i stachanowców w zagłębiach węglowych Donbasu podczas drugiej pięciolatki”?

Roześmiał się, a Saszeńka pomyślała, że musi być pijany, skoro powiedział coś tak niestosownego i niebezpiecznego.

- Nie podoba mi się ten pomysł - odparła zimno. Wstała, aż hamak się zakołysał.

- Teraz zachowujecie się jak dostojna bolszewicka matrona. - Zapalił papierosa.

- We własnym domu mogę być, kim chcę. To był antyradziecki filisterski dowcip. Chyba powinniście już iść.

Ruszyła w stronę daczy, trzęsąc się z oburzenia. Na chwilę odprężyła się, jego sława, jego obecność w jej domu zawróciła jej w głowie, ale odurzenie minęło i znowu stała się prawomyślna. Czy ten wulgarny prostak znalazł się tu przez przypadek, czy przysłano go, żeby sprowokował ją do filisterskiego żartu, który mógł zrujnować ją i jej rodzinę? Dlaczego była tak zirytowana jego pijacką arogancją i niezręczną kokieterią? Czy nie obawiał się pozycji jej męża? Jej lęk o własne kruche szczęście czynił to wszystko jeszcze bardziej niepokojącym.

Nagle, wychodząc z ciemnego ogrodu w krąg światła padającego z okien, zobaczyła Karła śpiącego w wielkim fotelu przy fortepianie. Wyglądał cudownie, jego zadarty nos i zamknięte oczy były takie niewinne. Śnieżynka siedziała na kolanach stryja Gideona, próbując wepchnąć mu do ust róg swojej różowej poduszki, kiedy rozmawiał z Utiesowem o nowym filmie Eisensteina, *Aleksander Newski*. Przyjaciółka Gideona, też prawie dziecko, siedziała obok nich na kanapie, słuchając swojego mężczyzny z szeroko otwartymi oczami.

- Stryju Gideonie? - powiedziała Saszeńka.

- Mam kłopoty? - spytał z udawanym przestraczem.

- Nie bardzo mi się podoba twój przyjaciel Golden. Chcę, żeby sobie poszedł. - Saszeńka podniosła Karla, całując go w czoło, ostrożnie, żeby go nie obudzić.

- Chodź, Śnieżynko. Czas do łóżka. - Karolina pojawiła się w drzwiach jak za sprawą czarów i kiwała na nią.

- Nie chcę iść do łóżka! Nie chcę iść do łóżka! - krzyknęła Śnieżynka.

- Bawię się ze stryjkiem Gideonem!

Gideon klepnął się w udo.

- Nawet ja musiałem chodzić do łóżka, kiedy byłem mały! Saszeńka nagle poczuła się znużona przyjęciem i swoimi gośćmi.

- Nie kapryś, Śnieżynko - powiedziała. - Dostałaś dzisiaj śliczny prezent. Pozwiliśmy ci zostać, a teraz jesteś zmęczona.

- Nie jestem zmęczona, ty głupia, i chcę się pobawić z wujkiem Herkulesem!

- Śnieżynka tupnęła nogą i udawała, że jest bardzo rozgniewana, co rozśmieszyło Saszeńkę.

Salon znajdował się obok gabinetu Wani. Kiedy Saszeńka szła w stronę drzwi, zobaczyła kędzierzawą głowę i potężną pierś męża. Wciąż miał na sobie niebieskie spodnie, chociaż włożył swoją ulubioną haftowaną koszulę.

Wania siedział przy biurku, na którym stały trzy bakelitowe telefony, w tym nowa pomarańczowa *wiertuszka*, gorąca linia na Kreml. Spierał się z wujem Mendlem, jednym z nielicznych starych bolszewików wybranym do Komitetu Centralnego na Zjeździe Zwycięzców w 1934 roku i ponownie na XVIII Zjeździe. Pozostali przepadli w maszynie do mięsa i Saszeńka wiedziała, że większość z nich została rozstrzelana. Ale Mendel ocalał. Dyskutowali o jazzie: radzieckim i amerykańskim. Mendel lubił Utiesowa i Cefermana, natomiast Wania wołał Glenna Millera.

- Waniu - grzmiał Mendel swoim tubalnym głosem - jazz radziecki odzwierciedla walkę rosyjskiego robotnika.

- A jazz amerykański - odparł Wania - jest muzyką Murzynów walczących z białymi kapitalistami...

- Nie chcę iść do łóżka - krzyknęła Śnieżynka, rzucając się na ziemię. Wania poderwał się, bez wysiłku podniósł Śnieżynkę i pocałował ją.

- Do łóżka, bo natrę ci uszu! - Postawił Śnieżynkę i popchnął ją leciutko. -Już!

-

- Tak, towarzyszu tato - powiedziała potulnie Śnieżynka. - Dobranoc, *papoczka*, dobranoc, wujku. - Wybiegła.

- Dziękuję ci, Waniu - powiedziała Saszeńka, idąc za nią z Karlem w ramionach.

Na zewnątrz trzasnęły drzwi samochodu, na werandzie rozległ się odgłos lekkich kroków i zza rogu wyłonił się Herkules Satinow w białej stalinowskiej bluzie, miękkich kremowych butach i białej czapce.

- Gdzie moja Śnieżynka? - zawołał. - Nie mówcie Poduszczyce, że tu jestem!

- Wujek Herkules! - krzyknęła Śnieżynka, wpadając z powrotem do pokoju, rozkładając ramiona i całując go na powitanie.

Saszeńka trzy razy ucałowała przyjaciela, zderzając się przy okazji z córką.

- Witaj, Herkulesie. Śnieżynka bardzo chciała cię zobaczyć. Ale już go zobaczyłaś, Śnieżynko, i teraz idziesz do łóżka! Powiedz dobranoc towarzyszowi Satinowowi!

- Ale *papoczka*, ja i Poduszka chcemy się pobawić z Herkulesem - zawodziła Śnieżynka.

- Do łóżka! Marsz! - krzyknął Wania i Śnieżynka pomknęła korytarzem do swojego pokoju.

Jeżeli już, pomyślała Saszeńka, to Herkules Satinow wygląda coraz lepiej w miarę upływu czasu. Jego czarne włosy wciąż lśniły, ledwo tknięte pasemkami siwizny. Przypomniła sobie, jak przyszedł po nią z Wanią, kiedy umarła jej matka. Jacy obaj byli dla niej uprzejmi. Teraz Satinow uściskał swojego najlepszego przyjaciela, a kiedy zauważył Mendla, oficjalnie podał mu rękę.

- Szczęśliwego Pierwszego Maja, towarzysze! - powiedział z silnym gruzińskim akcentem. - Przepraszam, że się spóźniłem, musiałem przejrzeć trochę papierów na placu Starym. - Satinow, który pomagał zarządzać Kaukazem, pracował w sekretariacie partii w wielkim granitowym budynku przy placu Starym, niedaleko Kremla.

- Co za przyjęcie, Saszeńko! Jazzmani śpiewają razem? Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem, nawet na przyjęciach dla przywódców w Sali Świętego Jerzego. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza, Waniu, ale kilku gruzińskich przyjaciół wprosiło się do was i niedługo tu będą.

4

- Nie wychodzisz? - Stryj Gideon natknął się na werandzie na Benie Gol-dena palącego papierosa. - Ty idiooto!

- Ciszej, Gideonie. Słyszałeś, co powiedział Satinow? Przyjdą jacyś Gruzini! Którzy? Ktoś ważny? - szepnął Benia.

- Skąd mam wiedzieć, szmondaku! Pewnie jacyś gruzińscy śpiewacy, kucharze albo tancerze!

Gideon złapał Benie za rękę i pociągnął go w mrok ogrodu. Benia rozglądał się nerwowo.

- Nikt nas tu nie usłyszy - powiedział Gideon, upewniwszy się, że Razum i kierowcy wciąż śpiewają sprośne piosenki przy bramie.

- Jeśli to tylko kucharze albo śpiewacy, to dlaczego zaciągnąłeś mnie tutaj, Gideonie, i dlaczego mówisz szeptem?

Niebo jarzyło się różowo, pohukiwała sowa, a z ogrodu sączył się zapach wiosennych kwiatów. Gideon bardzo lubił Benie Goldenę i podziwiał go jako pisarza. Obaj uwielbiali kobiety, chociaż, jak ujął to Gideon, „ja jestem zwierzęciem, a Benia romantykem”. Objął przyjaciela ramieniem.

- Jeśli ci Gruzini to ważne figury - powiedział - to im mniej ludzie tacy jak oni wiedzą o ludziach takich jak my, tym lepiej. - Przypomniał sobie swojego brata Samuela, ojca Saszeńki, który prawdopodobnie od dawna nie żył, i nagle poczuł ból w pierśsi i zebrało mu się na płacz. - Ech, czas iść! Powściągnij swoją ciekawość, Beniu! A mówię szeptem, szmondaku, ponieważ obraziłeś moją bratanicę. No?

- Popełniłem gafę wobec towarzyszkii redaktor. Nie jest Duszeńką - powiedział Benia - nie jest trzpiotką. Nie miałem pojęcia, że to taka nadzwyczajna kobieta. Jest szczęśliwa w małżeństwie?

- Ty idioooo! Po pierwsze, jest żoną Wani Palicyna, mój drogi Beniu, a po drugie, nigdy nawet nie spojrzała na innego mężczyznę! Pierwsza miłość i od tamtego czasu są razem. Co zrobiłeś, uszczyptałeś ją w tyłek, czy dałeś do zrozumienia, że marszałek Woroszyłow to półgłówek?

Benia milczał przez chwilę.

- Jedno i drugie - przyznał.

- Ty galicyjski *szlemielu*, ty partaczu!

- Gideonie, jaka jest różnica pomiędzy *szlemielem* a *szlimazelem*!

- *Szlemiel* zawsze wylewa swoją wódkę na *szlimazela*.

- No to kim ja jestem?

- Jednym i drugim! - odparł Gideon i obaj ryknęli śmiechem.

- Ale kłopot w tym, że nie mam pracy - powiedział Benia. - Nie pisałem od wieków. Zauważyli to, oczywiście. Naprawdę potrzebuję zamówienia od jej pisma.

- Co? Jak zorganizować bal maskowy dla robotników świętujących wykonanie zadań produkcyjnych? Czy ty nie masz wstydu?

- Dlaczego z niej żartowałem? - jęknął Golden. - Dlaczego nigdy nie mogę się powstrzymać, żeby czegoś nie palnąć? Zaniepokoiłeś mnie, Gideonie. Nie doniesie na mnie, co?

- Nie mam pojęcia, Beniu. Organa i partia otaczają nas tutaj ze wszystkich stron. W takich domach musisz się zachowywać inaczej. Tutaj uprzejmość jest tylko powierchowna.

- Dlatego właśnie musiałem przyjść. Chcę zrozumieć, co nimi powoduje - ludźmi władzy i przemocy. A ta Wenus ze swoimi tajemniczymi, pogardliwymi oczami jest w centrum wszystkiego.

- Aaaach, rozumiem. Chcesz zgłębić ducha naszych czasów i napisać *Komedie ludzką* albo *Wojnę i pokój* o naszej rewolucji z księżniczką Saszeńką z rezydencji przy ulicy Bolszaja Morskaja w roli głównej? My, pisarze, wszyscy jesteśmy tacy sami. Życie mojej bratanicy to pasjonujący temat, co?

- To niezwykła historia, przyznaję. Poznałem ich wszystkich - marszałków, członków Politbiura, czekistów. Niektórzy mordercy byli wrażliwi jak mimoza; niektórzy zamordowani - szorstcy jak niewyprawiona skóra. W domu Gorkiego poznałem Jagodę, a raz nad morzem grałem na gitarze z tym obłąkanym mordercą Jeżowem. - Benia już się nie uśmiechał. Patrzył z lękiem na Gideona. - Ale maszynka do mięsa już się skończyła, prawda?

- Towarzysz Stalin powiedział, że się skończyła, a kim ja jestem, żeby mu nie wierzyć? - odparł Gideon, który teraz naprawdę szeptał. - Myślisz, że dożyłem dzisiejszego dnia, zadając głupie pytania? Ja? Z moim pochodzeniem? Robię to, co muszę - jestem człowiekiem bezpartyjnym - i szukam pocieszenia w świętej komunii z alkoholem i ciałem. Przez ostatnie trzy lata czekałem na pukanie do drzwi - ale jak dotąd zostawili mnie w spokoju.

- Oni? Z pewnością towarzysz Stalin nie wiedział, co się dzieje, prawda? To Jeżów i czekisci wymknęli się spod kontroli? Teraz nie ma już Jeżowa, ten porządny chłop Beria zatrzymał maszynkę do mięsa i, dzięki Bogu, towarzysz Stalin znowu nad wszystkim panuje.

Gideon poczuł skurecz strachu. Chociaż uważał się za zwykłego dziennikarza, wychwalał Stalina, podobnie jak wszyscy sławni pisarze - sam Benia, Szołochow, Pasternak, Babel, nawet Mandelsztam, zanim zniknął - i głosował za najwyższym wymiarem kary dla wrogów ludu. Na posiedzeniach Związku Pisarzy podnosił rękę i głosował za karą śmierci dla Zinowjewa, Bucharina, marszałka Tuchaczewskiego: „Rozstrzelać ich jak wściekłe psy!” - krzyczał, tak jak wszyscy, tak jak Benia Golden. Nawet teraz zdawał sobie sprawę, że zachowuje się lekkomyślnie, rozmawiając o tak

drażliwych kwestiach z nadpobudliwym Benią. Przyciągnął Benie do siebie, tak blisko, że dotykał brodą jego ucha.

- To nie był tylko Jeżów - wymamrotał. - Rozkazy przychodziły z góry...

- Z góry? O czym ty mówisz...?

- Nie pisz książki o organach i nie żartuj z moją bratanicą o komsomolskich ciastkach i „piecach” hutniczek. I musisz napisać coś, co się spodoba. Jedziemy do Pieriedielkina - Fadiejew urzęduje przyjęcie i daje angaże, więc tym razem lepiej bądź dla niego uprzejmy. I nie kręć się tu więcej, jeśli w ogóle chcesz jeszcze pracować!

- Masz rację. Czy powinienem pożegnać się z Saszeńką?

- Chcesz dostać kopa w jaja? Wezmę samochód, a ty idź, przyprowadź moją dziewczynę i powiedz tej rozbrykanej małej psotnicy, że wyjeżdżamy.

Kiedy odjeżdżali, na podjeździe zawarczały dwa czarne buicki.

- Czy to Gruzini? - syknął Benia z tylnego siedzenia samochodu Gide-ona. Masza siedziała w milczeniu z przodu, paląc papierosa.

- Nie oglądaj się - zagrzmiał Gideon - bo zamienimy się w słupy soli! Nacisnął na gaz i ruszył z piskiem opon.

5

Przyjęcie dobiegło końca. Półksiężyc wlewał mlecze światło w ciepłą ciemność na zewnątrz. Mendel, który palił jednego papierosa za drugim i zanosił się kaszlem, rozmawiał z Satinowem o odbudowie kadr w ośrodkach maszynowych. Saszeńka i Wania zaczęli sprzątać.

Poza incydentem z Benią Goldenem był to udany wieczór, pomyślała Sa-szeńka. W półmroku ukazała się naga alabastrowa figurka.

- *Mamoczka*, nie mogę spać - powiedziała Śnieżynka, wymachując zwycięsko swoją poduszką. Satinow się roześmiał.

Saszeńkę zalała fala czułości. Nic nie mogła na to poradzić, że rozpieszcza córkę, mając zapewne w pamięci oziębłość swojej matki, ale zawsze cieszyła się na jej widok.

- Chodź, to cię szybko przytulę. Potem wracaj do łóżka. Nie rozbudzajcie jej za bardzo - zwłaszcza ty, Herkulesie!

Śnieżynka skoczyła w ramiona Saszeńki.

- Czy ten dzieciak nigdy nie pójdzie spać? - warknął Wania.

- Mamo, muszę ci coś powiedzieć.

- Co, kochanie?

- Poduszka mnie obudziła, żebym powiedziała coś Herkulesowi!

- Szepnij mi to szybko na ucho, a potem wracaj do łóżka, bo tata się rozgniewa.

- Bardzo się rozgniewa! - powiedział Wania, który objął je obie i pocałował Saszeńkę, podczas gdy Saszeńka tuliła się do policzka Śnieżynki.

- *Mamoczka*, co te duchy robią w ogrodzie? - spytała Śnieżynka, wskazując ręką ponad ramieniem matki.

Saszeńka odwróciła się i wyjrzała przez okno.

Duchy, czterej krótko ostrzyżeni młodzi ludzie w białych garniturach, wchodziły na werandę.

- Komunistyczne pozdrowienie, towarzyszu Palicyn - powiedział jeden z nich i w tym momencie w gabinecie Wani zadzwonił telefon, ten połączony z Kremlem, co można było poznać po charakterystycznym, wysokim tonie.

Kilka chwil później Wania wrócił, marszcząc czoło z lekkim zdziwieniem. Zawołał Satinowa.

- Herkulesie, dzwonił twój przyjaciel, towarzysz Egnataszwili. - Saszeńka wiedziała, że Egnataszwili jest wyższym oficerem NKWD, odpowiedzialnym za dache i wyżywienie członków Politbiura. - Powiedział, że przyjeżdża z jakimiś ludźmi. Będziemy chyba potrzebować gruzińskiego jedzenia...

Satinow popatrzył z kanapy.

- Tak, wspomniał, że może przyjedzie. A z kim?

- Powiedział tylko, że z gruzińskimi przyjaciółmi.

- Gruziańskie jedzenie? - spytała Saszeńka, zastanawiając się pospiesznie. - Jest dopiero północ. Razum!

Zjawił się kierowca w wygniecionym mundurze, zataczając się lekko.

- Możesz prowadzić?

Razum osiągnął stadium pijaństwa znane tylko rosyjskim alkoholikom: był tak zalany, że niemal znowu trzeźwy.

- Bezwzględnie, towarzyszeko Saszeńko - odparł i czknął głośno.

- Zadzwonię do restauracji Aragwi - powiedział Satinow, idąc do telefonu w gabinecie. Restauracja znajdowała się przy ulicy Gorkiego.

- Towarzyszu Razum, pędźcie do Moskwy, do Aragwi, i przywieźcie jakieś gruzińskie jedzenie. Migiem!

Razum zeskoczył z werandy, potknął się, omal nie upadł, odzyskał równowagę i pobiegnął do samochodu.

- Zaczekajcie! - krzyknął Satinow. - Egnataszwili coś przywiezie. Ma najlepsze jedzenie w całej Moskwie. - Zapadło milczenie, a Satinow i Wania popatrzyli na młodych ludzi w białych garniturach, pilnujących bramy. Garnitury błyszcząły, jakby księżyc pomalował je srebrem.

- Kto przyjedzie, *mamoczka*? - spytała Śnieżynka.

- Cicho, Wola! Marsz do łóżka! - powiedział Wania, oczy mu błyszcząły. Jej prawdziwym imieniem posługiwał się tylko wówczas, kiedy był śmiertelnie poważny.

- Kto przyjedzie, jak myślisz? - spytała Saszeńka męża z dreszczem niepokoju.

- Może Ławrientij Pawłowicz...

- Chyba już pójdę. To był miły wieczór - powiedział Mendel, którego żona i córka wyszły kilka godzin wcześniej. Saszeńka zauważyła, że był jednym z nielicznych przywódców, który nosił źle dopasowany burżuazyjny garnitur i krawat, a nie stalinowską partyjną bluzę. Mendel wyjął małe pudełeczko i włożył pod język nitroglicerynową tabletkę. - Trzeba wezwać kierowcę - mruknął do siebie. - Nie mogę znieść tych napuszonych Gruzinów i tych wszystkich toastów. Och. Za późno!

Przed bramą zatrzymała się kawalkada samochodów, ich potężne reflektory oświetlały zieleń i czerwień bujnego ogrodu. Duchy w białych garniturach otworzyły bramę, wpuszczając kilka czarnych lincolnów i nowego zisa.

Niebo było rozgwieżdżone. Cicho pobrzękiwał fortepian, z pobliskiej daczy dobiegał śmiech, a Saszeńka zobaczyła, jak z pierwszego samochodu wyskakuje jasnowłosa atletyczna postać w znajomym niebieskim mundurze z czerwonymi lampasami.

Satinow zawołał po gruzińsku:

- *Gagimajos!* I po rosyjsku:

-To Egnataszwili, przywiózł jedzenie!

Egnataszwili niósł skrzynkę wina. Przed bramą, dosłownie znikąd, zmaterializowali się wartownicy w błękitnych mundurach.

- Chodźcie, towarzysze - powiedziała Saszeńka. - Satinow nas uprzedził, że możecie przyjechać.

Oczy towarzysza Egnataszwilego błysnęły w ciemnościach, zmrużone ostrzegawczo, kiedy Saszeńka wyszła na spotkanie nowych gości z wyciągniętą ręką - i zamarła.

Ławrientij Beria, z okrągłą twarzą i śniadą cerą, w workowatych białych spodniach i haftowanej gruzińskiej koszuli, niósł skrzynię pełną talerzy. Saszeńka doskonale wiedziała, że jest on nowym ludowym komisarzem spraw wewnętrznych, szefem NKWD.

- Ławrientiju Pawłowiczu! Witajcie! - Wania zszedł z werandy. - Pozwólcie, że wam pomogę...

- Poradzę sobie, nie ma obawy - powiedział Beria, oglądając się za siebie. Saszeńka zobaczyła, jak Wania pręży się na baczność - i nagle wszystko zamarło, a w sąsiedniej daczycy ucichł śpiew i brzęk kieliszków. W jej ogrodzie stał posąg.

Towarzysz Stalin, ze swoją kocia, niemal orientálną, uśmiechniętą twarzą, wciąż śpiewający gruzińską pieśń, pojawił się u podnóża schodów w białej, letniej bluzie, szerokich spodniach i jasnobrazowych butach, wyszywanych czerwoną nicią. Księżyc zdawał się rzucać na niego snop światła jak teatralny reflektor.

- Dowiedzieliśmy się, że towarzysz Satinow idzie na przyjęcie do towarzysza Palicyna - powiedział Stalin z miękkim, gruzińskim akcentem, chichocząc jak złośliwy satyr. - Potem dowiedzieliśmy się, że zaprosił towarzysza Egnataszwilego. Towarzysz Beria powiedział, że też jest zaproszony. To oznaczało, że tylko towarzysz Stalin został pominięty, a towarzysz Stalin chciał pogawędzić z towarzyszem Satinowem. Zwróciłem się więc do towarzyszy i przyznałem, że nie znam towarzysza Palicyna na tyle dobrze, by wpraszać się na jego przyjęcie. „Poddajmy to pod głosowanie”, powiedziałem. Głosowanie wypadło na moją korzyść i towarzysze postanowili mnie zaprosić. Ale przychodzę na własne ryzyko. Nie będę miał wam za złe, towarzysze gospodarze, jeśli odeślecie mnie z powrotem do domu. Ale przynieśliśmy trochę wina i gruzińskich przysmaków. Towarzysze, gdzie stół? Satinow wystąpił naprzód.

- Towarzyszu Stalin, znacie już towarzysza Palicyna - powiedział - a to jego żona, Saszeńka, którą może pamiętacie...

- Proszę, wejdźcie, towarzyszu Stalin, to dla nas zaszczyt - odezwała się Saszeńka, odzyskując wreszcie mowę. Miała straszną i niebolszewicką chęć dygnąć, tak jak w Smolnym przed portretem cesarzowej wdowy. Nie była pewna, jak udało jej się zejść po stopniach do ogrodu, lecz mimo to podeszła do Stalina - niższego, starszego i znacznie bardziej zmęczonego, niż go zapamiętała, ze sztywnym lewym ramieniem. Miał, jak zauważyła, lekko wystający brzuch, a kieszenie jego bluzy były niedbale zacerowane. Ale przypuszczała, że tytani nie zwracają uwagi na takie rzeczy.

Stalin wydawał się zdumiony wrażeniem, jakie wywarł - a jednocześnie upajał się nim. Ujął dłoń Saszeńki i pocałował starym gruzińskim zwyczajem, parząc na nią oczami koloru miodu i złota.

- Towarzyszu Lisie Polarny, pięknie wyglądacie.

Pamięta mój stary pseudonim z Piotrogradu! Co za pamięć! Jakie to krępujące! Jakie miłe! - pomyślała zmieszana.

- To szczęście, że wy i wasze pismo uczycie radzieckie kobiety sztuki ubierania się. Wasza sukienka jest bardzo piękna - ciągnął, wchodząc po stopniach.

- Dziękuję wam, towarzyszu Stalin. - Przezornie nie wspomniała, że jej sukienka została uszyta za granicą.

- Przynajmniej raz, towarzysze, partia wyznaczyła właściwą osobę do właściwej pracy... - Stalin roześmiał się, a inni mu zawtórowali, nawet Mendel. - Chodźcie i dołączcie do nas, towarzyszu Satinow i towarzyszu Palicyn. I wy, towarzyszu Mendel.

Saszeńka zauważyła, że Stalin nie okazał wielkiego entuzjazmu na widok surowego Mendla.

Przechodząc, Beria żartobliwie szturchnął Palicyna w brzuch.

- Dobrze cię widzieć, Wania. - Mlasnął językiem. - Wszędzie spokój? Wszystko idzie gładko?

- Oczywiście. Witajcie w moim domu, Ławrientiju Pawłowiczu!

- Co myślisz o meczu? Spartak musi dostać nauczkę, a jeśli następnym razem nasi napastnicy nie zagrają dobrze, wypruję im flaki! - Beria znowu się roześmiał. - Przyjdiesz zagrać jutro w koszykówkę w mojej drużynie? Gramy z ochroniarzami Woroszyłowa.

- Przyjdę, Ławrientiju Pawłowiczu.

Saszeńka wiedziała, że jej mąż uwielbia Berię, który pracował jak wół.

- Mogę tu usiąść? - spytał skromnie Stalin, wskazując na stół.

- Oczywiście, towarzyszu Stalin, gdzie tylko chcecie - odparła. Towarzysz Egnataszwili wyłożył jedzenie na stół, a Saszeńka sięgnęła po butelkę wina.

- Pozwólcie mi otworzyć - powiedział Stalin. Napełnił wszystkie kieliszki czerwonym winem. Potem nałożył sobie do miski gruzińskiej fasoli, wrzucił trochę chleba i przykrył miskę talerzem, żeby chleb rozmiękł. Poczęstował się jagnięcym szaszłykiem, pikantnym gruzińskim kurczakiem, *saciwi*, i postawił to wszystko obok siebie. Egnataszwili, jasnowłosy i przystojny w dobrze skrojonym mundurze, z potężnymi barami zapaśnika, nie odstępował Stalina, nakładając sobie te same potrawy. Obaj usiedli i zaczęli jeść, Egnataszwili spróbował swojej fasoli trochę wcześniej niż Stalin. Naprawdę próbuje jedzenie dla Stalina, pomyślała Saszeńka.

- Towarzyszu Satinow - powiedział Stalin cicho, wskazując Satinowowi miejsce obok siebie; Beria zajął krzesło po drugiej stronie stołu. Egnataszwili, Wania i Mendel siedzieli trochę dalej.

- Ławrientiju Pawłowiczu, kto będzie *tamadł* - spytał Stalin Berię.

- Towarzysz Satinow będzie mistrzem ceremonii! - zaproponował Beria. Satinow wstał, wznosząc gruziński puchar z winem w kształcie zakrzywionego rogu, i wygłosił pierwszy toast.

- Za towarzysza Stalina, który poprowadził nas przez te trudne czasy do wspaniałych zwycięstw!

- Na pewno potraficie wymyślić coś ciekawszego - zażartował Stalin, ale wszyscy obecni wstali, by wypić jego zdrowie.

- Za towarzysza Stalina!

- Tylko nie to - zaproponował Stalin. Głos miał zdumiewająco miękki i wysoki. - Pozwólcie, że ja wygłoszę toast: za Lenina!

Nastąpiły kolejne toasty: za Armię Czerwoną, za gospodarzy, za Saszeńkę i radzieckie kobiety. Saszeńka czuwała nad wszystkim, napełniając kieliszki, a potem wracając do stołu. Chciała zapamiętać każdą chwilę z tej sceny. Stalin przekomarzał się z Satinowem po gruzińsku, ale Saszeńka czuła, że Wódz go obserwuje i ocenia. Wiedziała, że Stalin lubi prostych, przyzwoitych młodych ludzi, bezwzględnych i energicznych, ale łatwych w obejściu i wesołych. Satinow był pracowity i kompetentny, zawsze śpiewał dla siebie operowe arie.

Mendel zaczął kaszleć.

- Jak twoje płuca, Mendel? - spytał Stalin, a następnie cierpliwie wysłuchał, jak Mendel odpowiada, nie szczędząc medycznych szczegółów. - Mendel dzielił ze mną celę na Bajłowce w Baku w tysiąc dziewięćset ósmym - poinformował wszystkich obecnych.

- To prawda - powiedział Mendel, gładząc swoją hiszpańską bródkę.

- Dostał paczkę od swojej wyrozumiałej rodziny i podzielił się ze mną.

- To prawda, podzieliłem się ze wszystkimi towarzyszami w celi - potwierdził Mendel na swój sztywny, drobiazgowy sposób, dając do zrozumienia, że nikogo nie faworyzował. Ale tylko jeden towarzysz się liczył, pomyślała Saszeńka.

- To cały Mendel! Nieprzekupny autor *Bolszewickiej moralności*! Nic a nic się nie zmieniłeś, Mendel - powiedział Stalin kpiąco, lecz z poważnym wyrazem twarzy. - Wtedy byłeś stary i teraz jesteś stary! - zachichotał, a inni też się roześmieli. - Ale wszyscy się starzejemy...

- Wcale nie, towarzyszu Stalin - zaprzeczyli jednocześnie Egnataszwili, Wania i Beria. - Wyglądacie wspaniale, towarzyszu Stalin.

- Dosyć tego - powiedział Stalin. - Pewnego razu na zebraniu Mendel zbeształ mnie za to, że za dużo piję, kiedy dzieliliśmy tę starą stajnię na Syberii, i wciąż uprzykrza wszystkim życie!

Saszeńka przypomniała sobie, że Mendel zawsze wspierał Stalina na posiedzeniach Komisji Kontroli po śmierci Lenina, nie zachwiał się podczas głodu w trzydziestym drugim, nie wahał się gromić „drani” na plenach w trzydziestym siódmym.

- Często muszę go powstrzymywać - szydził Stalin z Mendla - bo inaczej dostałby apopleksji!

Wszyscy śmiali się z Mendla, ponieważ jego bezkompromisowy fanatyzm był dobrze znany. Ale właśnie dlatego Mendel pozostał przy życiu. Stalin sączył swoje wino, obserwując obecnych zmrużonymi oczami.

- Może trochę muzyki, towarzyszu Stalin? - zaproponował Satinow. Stalin uśmiechnął się jak kot. Kiedy zaczął śpiewać *Suliko*, zawtórowali mu wszyscy Gruzini. Potem Satinow zawołał:

- Czarna jaskółka!

Stalin wyszczerzył zęby i bez chwili wahania zaczął pięknym, wysokim barytonem, a Egnataszwili, Beria i Satinow dołączyli do niego. Saszeńka słuchała jak urzeczona. . .

Leć, czarna jaskółko...

Leć ponad rzeką Alazani,

Przynieś nam wieści

Od braci daleko na wojnie...

Zaspiewali jeszcze więcej pieśni: cerkiewne hymny i odeskie piosenki żołdziejskie, *Murka* i *Z odeskiego więzienia*. Zanucili ulubioną bandycką melodię Stalina: *Zakopali złoto, złoto, złoto...* Saszeńka zastanawiała się, czy Stalin tak dobiera repertuar, by wszyscy się odprężyli: prawosławne hymny dla Rosjan, ballady dla Gruzinów, odeskie melodie dla Żydów - tak, to głęboki głos Mendla wzbogacił *Z odeskiego więzienia*.

- Potrzebujemy tu kilku gorących kobiet! - powiedział Beria. - Ale za dużo wypilem. Chyba nie mógłbym...

- Towarzyszu Beria, zachowujcie się przyzwoicie! Są tu damy - zganił go Stalin z udawaną surowością i lekkim uśmiechem. - Nastawimy gramofon? Macie płyty? Jakież tańce?

Saszeńka przyniosła całą kolekcję. Dzięki Bogu, Satinow zawsze dawał im gruzińską płytę na Pierwszego Maja i Ósmego Listopada, Stalin znalazł więc to, czego chciał. Stał przy gramofonie i puszczał płyty, czasami podnosił ręce i wykonywał kaukaskie kroki taneczne, przeważnie jednak patrzył, jak inni się bawią.

Gruzini odsunęli kanapę. Saszeńka zwinęła dywan, a kiedy wstała, zobaczyła, że Satinow i Egnataszwili tańczą dla niej lezginę. Wolała tango, fokstrota i rumbę, ale знаła też kaukaskie tańce, wykonała więc kilka zgrabnych kroków i najpierw Satinow, a później Beria i Egnataszwili dołączyli do niej.

- Towarzyszu Herkulesie, naprawdę umiecie tańczyć - powiedział Stalin z uznaniem. - Od dzieciństwa nie widziałem, żeby ktoś tak dobrze tańczył... Skąd pochodzi wasza rodzina?

- Z Borżomi - odparł Satinow.

- To niedaleko mojego rodzinnego miasta - powiedział Stalin, nastawiając płytę jeszcze raz. To były takie gruzińskie uprzejmości, ale Saszeńka zgadzała się ze Stalinem: Satinow świetnie tańczył. Jego ciemne oczy błyszczały, nogi miał zwinne i giętkie, ręce eleganckie i pełne wyrazu. Trzymał ją pewnie, natomiast Beria ją ścisnął i za blisko przysuwał twarz. Wargi miał tak grube, że wydawały się opuchnięte. Poczuli się zmęczeni i stanęła z boku, żeby popatrzeć. Znalazła się obok gramofonu, gdzie Stalin zmieniał płyty.

Nagle Saszeńka poczuła się szczęśliwa i odprężona, chyba nawet za bardzo. Widząc Stalina w swoim ogrodzie, w pierwszej chwili była przerażona. Ale Wódz wprowadził miły nastrój i teraz walczyła z pokusą, by paplać i flirtować. Była nadmiernie pobudzona i prawdopodobnie trochę się upiła ciężkim gruzińskim winem. Kilka razy miała już na końcu języka nieprzemyślane słowa. Bądź ostrożna, Saszeńko, upominała się, to Stalin! Pamiętaj o minionych kilku latach - o maszynie do mięsa. Strzeż się!

Zalewały ją fale oddania dla tego twardego, ale skromnego człowieka, tak prawdziwego, a jednocześnie bezlitosnego dla wrogów. Czuli jednak, że jej przesadne oddanie zirytuje go i wyda mu się krępujące. Chciała poprosić go do tańca. Może chciałby z nią zatańczyć? A jeśli swoją propozycją obrazi go lub wprawi w zakłopotanie? Mimo to chciała z nim zatańczyć i on musiał to wyczytać na jej wargach.

- Nie tańczę, Saszeńko, ponieważ ze swoją ręką nie mogę objąć kobiety w talii. - Lewą rękę miał krótszą od prawej i trzymał ją sztywno. Stali obok fortepianu, a ona była świadoma napięcia, niebezpieczeństwa, które otaczało tego niezwykłego człowieka.

- Uwielbiam tę muzykę, towarzyszu Stalin.

- Muzyka uspokaja bestię w człowieku - powiedział Stalin. Obejrzał się. - Czy wy i towarzysze Palicyn jesteście zadowoleni z tej daczki?

- O, tak, towarzyszu Stalin - odparła. - Bardzo zadowoleni.

- Mam nadzieję. Mogę się rozejrzeć?

Beria i inni przyglądali się, ale nie poszli za nimi. Saszeńka była dumna i poruszona, że Stalin rozmawia tylko z nią.

- Jesteśmy za nią bardzo wdzięczni - a dzisiaj otrzymaliśmy lodówkę. Dziękujemy wam za zaufanie partii!

- Musimy nagradzać odpowiedzialnych pracowników partii - Stalin zajrzał do gabinetu Wani. - Czy w zimie jest tu wystarczająco ciepło? Podoba mi się gabinet, jest przestronny. Ile jest sypialni? Podoba wam się kuchnia?

Tak, Saszeńka uwielbiała tu wszystko. Przewyciężyła zawroty głowy, poczucie radości i wolności, ponieważ nawiedziła ją niewypowiedziana, lecz nieodparta myśl. Pomyślała o swoim ojcu, Samuelu Zeitlinie. Czy mogła zapytać towarzysza Stalina teraz? W tej chwili była z nim tak blisko: chyba nie mógłby jej niczego odmówić. Czowała, że podziwia ją jako nową kobietę radziecką.

- Towarzyszu Stalin... - zaczęła.

Jej ojciec stracił rozum po samobójstwie Ariadny i majątek po rewolucji październikowej. Został w Piotrogradzie, oddał swoją wiedzę ekonomiczną do dyspozycji bolszewików i w latach dwudziestych pracował jako „bezpartyjny specjalista” w ludowych komisariatach Finansów i Handlu Zagranicznego, a potem w Banku Państwowym, zanim w 1930 roku padł ofiarą czystki jako „szkodnik o skłonnościach trockistowskich”. A mimo to pozwolono mu wyjechać do Gruzji. Beria aresztował go tam w 1937 roku - i wszelki ślad po nim zaginął. Oczywiście mieli rację, że „sprawdzali” tego wroga klasowego, pomyślała Saszeńka. Teoretycznie Zeitlin był jednym z najgorszych wyzyskiwaczy.

Ale został „rozbrojony” i służył władzy radzieckiej szczerze, bez maski. Stalin z pewnością zrozumie, że nie stanowi już zagrożenia.

Wódz uśmiechnął się wyrozumiale do Saszeńki. Wygląda, pomyślała, jak uprzejmy stary tygrys, z tymi zmarszczkami w kącikach ust - i zawahała się na sekundę. Miód w jego oczach zamienił się w żółć i cień zakłopotania przemknął przez jego twarz. Nagle uświadomiła sobie, że Stalin odgadł, co się z nią dzieje. On, który potrafił przewidzieć wszystko, domyślił się, że zamierza go zapytać o aresztowanie albo egzekucję krewnego, a takich pytań nienawidził najbardziej.

- Towarzyszu Stalin, czy mogę spytać... - Słowa cisnęły się Saszeńce na usta i nie mogła ich powstrzymać. W 1937 roku wyrzuciła ojca z pamięci, lecz teraz, w tym jakże nieodpowiednim, fatalnym, a mimo to dogodnym momencie, chciała wypowiedzieć jego imię. Co się z nią działo? Bolszewik nie ma rodziny, tylko partię, ale ona kochała swojego ojca! Chciała wiedzieć - czy pracował gdzieś przy wyrębie lasu? Czy jego

kości spoczywały w jakimś płytkim grobie w syberyjskiej tajdze? Czy już dawno temu został skazany na najwyższy wymiar kary? Proszę, towarzyszu Stalin, modliła się, powiedz, że on żyje! Uwolnij go! - Towarzyszu Stalin...

- Poduszki! - Stalin i Saszeńka odwrócili się ku drzwiom, a Wania otworzył szeroko usta. - *Mamoczka*, nie mogę spać! - zawołała Śnieżynka. - Jest za głośno. Obudziście mnie. Chcę się przytulić!

Śnieżynka miała na sobie nocną koszulę z kolorowymi motylami, jej długie złote włosy wiły się wokół rumianych policzków, jej uśmiech odsłaniał równe mleczone zęby i różowe dziąsła. Rzuciła się w ramiona matki.

7

- Wolu! - Wania, który jeszcze przed minutą był radośnie pijany, stał nieruchomo, twarz mu pociemniała. Saszeńka też wyczuwała niebezpieczeństwo. Próbowала nauczyć dzieci, aby nic nie mówiły, niczego nie powtarzały, nic nie słyszały, ale Śnieżynka była zdolna do wszystkiego! A teraz, kiedy Stalin był w ich domu? Jedno nierozważne słowo, jeden głupi figiel mógł w najlepszym razie ośmieszyć ją i Wanię przed Stalinem, a w najgorszym posłać ich wszystkich przed pluton egzekucyjny. Co powie Stalin? Co Śnieżynka powie Stalinowi? - Kto to? - spytał Stalin cicho, widząc panikę na twarzy Wani.

- Towarzyszu Stalin - powiedziała Saszeńka - pozwólcie, że wam przedstawię moją córkę, Wole.

Stalin uśmiechnął się promiennie do jej córki. Czyż wszyscy Gruzini nie kochają dzieci? - pomyślała, kiedy się pochylił i połaskotał ją w nos.

- Witaj, Wolu - powiedział. - To dobre, komunistyczne imię.

- Ten hałas mnie obudził - poskarżyła się Śnieżynka. Stalin uszczypnął ją w policzek.

- Przestań! - krzyknęła. - Uszczypnąłeś mnie!

- Tak, żebyś mnie zapamiętała - powiedział Stalin. - Wyznaję przed wami swoją winę, towarzyszko Wolu. To ja puszczałem muzykę, nie twoja mama, więc bądź zła na mnie.

- Wcale nie jest zła. Przepraszam, towarzyszu Stalin - powiedziała szybko Saszeńka. - A teraz, Śnieżynko, do łóżka!

- Nienawidzę spać!

- Ja też... Śnieżynko - powiedział Stalin żartobliwie.

- To jest moja poduszka! - Śnieżynka wysunęła poduszkę w kierunku twarzy Stalina, lecz Saszeńka w porę ją złapała.

- A co to takiego? - spytał Stalin, rozbawiony.

- To moja najlepsza przyjaciółka, Panna Poduszka - powiedziała Śnieżynka. - Kieruje produkcją poduszek w drugiej pięciolatce i chce wstąpić do poduszkowych pionierów, żeby nosić czerwoną chustę!

- Wystarczy, dziecko - powiedziała Saszeńka. - Towarzysz Stalin nie chce słuchać takich głupstw! Do łóżka! - Zobaczyła, że w drugim końcu pokoju jej mąż podniósł rękę do twarzy.

- Tak, do łóżka! - powtórzył trochę zbyt głośno.

- Spokojnie, towarzyszu Palicyn - powiedział Stalin, czochrając włosy Śnieżynce.

- Czy nie mogłaby zostać jeszcze chwilę? W nagrodę?

-No... oczywiście, towarzyszu Stalin.

Śnieżynka wykonała szybki taniec z poduszką i pobiegła pocałować ojca.

- A więc jesteś poduszkową komunistką? - spytał Stalin poważnie.

- Jestem w poduszkowym Politbiurze - powiedziała Śnieżynka z radosnym uśmiechem. Była zachwycona, że znalazła się w centrum uwagi. - Niech żyje poduszkowy komunizm!

Czekając bezradnie na reakcję Stalina, Saszeńka miała wrażenie, że tonie. Zapadło długie milczenie. Beria uśmiechał się szyderczo. Mendel miał nachmurzoną minę. Stalin zmarszczył brwi, tocząc dookoła swoimi żółtymi oczami.

- Myślę, że skoro ja ją obudziłem - powiedział powoli - powinniśmy pozwolić tej małej piękności zostać i dołączyć do nas, ale jeśli twoi rodzice uważają, że musisz iść do łóżka... - Saszeńka potrząsnęła głową, a Stalin podniósł palec. - Postanawiam: po pierwsze, partia uznaje, że poduszkowy komunizm nie jest odchyleniem. Po drugie, jeśli zostaniesz, usiądziesz u mnie na kolanach i opowiesz mi o poduszkowym komunizmie! Po trzecie: pójdziesz do łóżka, kiedy twoja mama tak zdecyduje. Co ty na to, młoda towarzyszko Snieżyn-ko-Poduszko?

Śnieżynka skinęła głową, a potem obrzuciła Stalina badawczym spojrzeniem niebieskich oczu.

- Znam cię - powiedziała, wyciągając palec. Saszeńka znowu zadrżała. Stalin nic nie mówił, czekał.

- Jesteś plakatem w Czerwonym Kąciuku - powiedziała Śnieżynka. - Plakat przyszedł na kolację.

Wszyscy się roześmieli, Saszeńka i Wania z ulgą.

Stalin znowu usiadł przy stole i rozłożył ramiona. Saszeńka, przerażona, że córka odmówi Stalinowi, posadziła ją na kolanach Wodza, ale Śnieżynka była bardziej zainteresowana machaniem poduszką w rytm muzyki. Zaśpiewali następne kilka pieśni. Przy pieiwszej Stalin postawił Śnieżynkę na podłodze, pocałował ją w czoło, a ona pobięła do matki.

- Powiedz dobranoc i podziękuj towarzyszewi Stalinowi - poleciała Saszeńka, trzymając mocno Śnieżynkę.

- Dobranoc, towarzyszu Poduszko - zawołała Śnieżynka, wymachując swoją różową poduszką.

- Przepraszam, towarzyszu Stalin...

- Nie, nie. To pierwszorzęadne! - roześmiał się Stalin. - Dobranoc, towarzyszu Poduszko.

Saszeńka wyniosła Śnieżynkę z pokoju.

- Towarzyszu Stalin, jesteście tacy dobrzy dla dzieci. Ona zapamięta to na całe życie. Nie wiem, jak wam dziękować za waszą uprzejmość i wyrozumiałość dla Śnieżynki. - Odetchnąwszy z ulgą, położyła Śnieżynkę do łóżka i chwilę później dziecko zasnęło.

Kiedy wróciła do salonu, trzymała coś w ręku.

- Towarzyszu Stalin, czy mogę ofiarować wam w prezencie sweter dla waszej córki Świetlany jako drobne podziękowanie za zaszczyt, który nam wyświadczyliście, przychodząc do nas z wizytą, ale tak naprawdę za waszą cierpliwość dla naszej córki? - Pokazała kaszmirowy sweter, który powinien pasować na trzynastoletnią Świetlanę, i wręczyła go Stalinowi.

- Skąd on jest? - spytał Stalin zimno.

Saszeńka przełknęła ślinę. Był z Paryża. Co powinna powiedzieć?

- Z zagranicy, towarzyszu Stalin. Jestem bardzo dumna z naszych radzieckich produktów, które są lepsze od wszystkich zagranicznych wyrobów luksusowych, ale to tylko zwyczajny sweter.

- Nie przyjąłbym go dla siebie - powiedział Stalin - ale ponieważ to Świetlana naprawdę rządzi krajem, wezmę go dla niej. - Wszyscy się roześmieli, a Stalin wstał. - No dobrze! Kto ma ochotę na film? Chcę jeszcze raz obejrzeć *Wolę, Wolę*.

Wszyscy z wyjątkiem Saszeńki, która musiała zostać z dziećmi, i towarzysza Mendla, który powiedział, że jest bardzo zmęczony, mieli ochotę na film. Wsiedli do samochodów, by pojechać do kina w Wielkim Pałacu Kremłowski. Stalin pocało-

wał Saszeńkę w rękę i jeszcze raz pochwalił jej sukienkę. W ogrodzie obejrzał pąki na krzewach.

- Hodujecie tu róże. I jaśmin. Kocham róże. - Potem, w otoczeniu zawadiackich Gruzinów i młodych ludzi w białych garniturach, ruszył swoim ciężkim krokiem, lekko utykając, w stronę czekających aut. Egnataszwili otworzył mu drzwi.

Wsiadając do jednego z samochodów, Wania pomachał do niej, uradowany, że po raz pierwszy znalazł się w najbliższym otoczeniu Stalina.

- Niedługo wrócę, kochanie! - zawołał.

Beria pocałował ją w usta swoimi grubymi, nabiegłymi krwią wargami.

- Lubi cię - powiedział z twardym megrelskim akcentem. - Dobrze poszło. Ma dobry gust nasz Gospodarz. Jesteś też w moim typie.

Satinow wyszedł ostatni, upewniwszy się, czy wszyscy przywódcy siedzą w samochodach. Trzaskały drzwi, piszczały opony, ponad zalanym księżycową poświatą ogrodem wzbily się kłęby spalin i kurzu, a buicki i zisy zawróciły i wyjechały z podjazdu.

- Uff, Saszeńko! - powiedział Satinow. - Niech żyje poduszkowy komunizm! Ucałuj ode mnie moją chrześniaczkę, małą czarodziejkę!

Saszeńka pocałowała Satinowa na pożegnanie, a on wskoczył do ostatniego samochodu i odjechał.

Młodzi ludzie w białych garniturach zniknęli.

Zostawszy sama na werandzie, Saszeńka popatrzyła na niebo. Zaczęło świtać. Zastanawiając się, czy śniła, weszła do domu i zajrzała do pokojów dzieci.

Karlo przespał całe przyjęcie, ale zrzucił piżamę i teraz leżał nago z głową w nogach łóżka. Na ciele miał wciąż różowe fałdy, jak niemowlę, i tulił do siebie pluszowego królika.

Śnieżynka spała jak anioł, z rozrzuconymi ramionami. Przeklęta poduszka leżała na jej piersi. Saszeńka uśmiechnęła się. Nawet towarzysz Stalin pokochał Poduszkę. Cóż to była za dziwna noc.



Stalin siedział pośrodku, pomiędzy przednimi a tylnymi siedzeniami, w swojej nowej limuzynie marki ZiS, z Berią i Egnataszwilim z tyłu i szefem ochrony, Własiakiem, obok kierowcy. Reszta jechała w innych samochodach.

- Proszę na Kreml, towarzyszu Sałkow - polecił uprzejmie kierowcy. Znał nazwiska i sytuację życiową wszystkich swoich ochroniarzy i kierowców, zawsze traktował ich uprzejmie, a oni byli mu oddani. - Pojedźmy Arbatem.

- Dobrze, towarzyszu Stalin - odparł kierowca. Stalin zapalił fajkę. Jechali wśród brzoź i świerków, kwiaty lśniły w świetle księżyca. Wyjechali na szosę mozajską i skręcili w ulicę Dorogomiłowa.

- To dobra radziecka kobieta, ta Saszeńka - zwrócił się Stalin do Berii

- nie sądzisz, Ławrientiju? A Wania Palicyn to dobry pracownik.

- Zgadza się - odparł Beria.

Kawalkada wjechała na most Borodinowski z jego kamiennymi bykami, kolumnadą i obeliskiem, i okrążyła plac Smoleński.

- Ta Saszeńka umie dobrze tańczyć - zadumał się Egnataszwili, który nie interesował się polityką, lecz żył sportem, jeźdzeniem, końmi i dziewczętami.

-I umie też redagować gazetę - zażartował Stalin - chociaż ten magazyn to nie jest poważne pismo. Ale te bzdury o prowadzeniu domu są ważne. Radzieckie kobiety powinny się znać na takich rzeczach. - Pędzili Arbatem.

- I co za rodzina! Ona wciąż nosi ślady wrogiego burżuazyjnego pochodzenia - wiecie, że była w Smolnym? Ale przynajmniej nie zanudza nas głupimi wykładami, jak żona Mołotowa. Prowadzi dom, piecze ciastka, wychowuje dzieci, pracuje dla partii. „Przekuła” się w przyzwoitą radziecką kobietę.

- Zgadza się, towarzyszu Stalin - odparł Beria.

- Już chyba z dziesięć razy widziałem *Wolgę, Wolgę* - powiedział Stalin.

- Za każdym razem, kiedy oglądam ten film, czuję się jak na wakacjach. Znam go prawie na pamięć!

- Ja też - wtrącił Beria.

Jechali na Kreml szerokimi, pustymi ulicami, samochody ochrony z przodu, po bokach i z tyłu. Zamajaczyły przed nimi krwawoczerwone wieże średniowiecznej fortecy, brama otwierała się powoli, przygotowując się na ich przyjęcie. Zapaliło się zielone światło. Wartownicy zaszalutowali. Koła podskakiwały na bruku.

- Iwan Groźny chodził tędy - szepnął Stalin. Mieszkał tu od ponad dwudziestu lat, dłużej niż w domu matki, dłużej niż w seminarium.

Spojrzał na Bериę, który miał zamknięte oczy,

- Powiedz mi, Ławrientiju - powiedział głośno, trącając go fajką, a Beria natychmiast się obudził. - Gdzie jest ojciec Saszeńki, kapitalista Zeitlin? Pamiętam, że go sprawdzaliśmy. Nadal jest u ciebie, czy został rozstrzelany? Możemy się tego dowiedzieć?

- Podoba mi się artykuł *Jak tańczyć fokstrota* - powiedziała Saszeńka, przeglądając odbitki za swoim biurkiem w kształcie litery T.

Minęły dwa dni, a ona znajdowała się w redakcji „Radzieckiej Żony i Proletariackiego Gospodarstwa Domowego” na Pietrowce. Na ścianach wisały portrety Stalina, Puszkina i Gorkiego; na jej biurku stały fotografie Wani Palicyna w mundurze podczas ostatniej defilady pierwszomajowej, wraz ze Śnieżynką i Karlem, a na stoliku w kącie szary bakelitowy telefon i bardzo mały sejf. Rozmiary sejfu, liczba telefonów i jakość portretów Stalina były oznakami władzy. W tym gabinecie nie zasiadała bardzo potężna osoba.

- Oczywiście musimy zabawiać naszych czytelników, towarzysko redaktorze - odparła Kławdia Klimowa, zastępca redaktora naczelnego, o pociągłej twarzy i małych oczach, ubrana w ohydne wyroby Moskiewskich Zakładów Dziewiarskich. - Ale czy nie powinniśmy też spojrzeć na klasowe implikacje fokstrota?

Saszeńka rozgrywała tę grę po mistrzowsku: sama wierzyła w komunistyczne ideały i traktowała misję magazynu poważnie. Trochę jeszcze kręciło jej się w głowie po emocjach majowego święta, ale znała zasady: nigdy nie rozmawiać o zwierzchni-
kach, a zwłaszcza o Gospodarzu. Mimo to miała nadzieję, że ta historia jakoś się roz-
niesie. Chciała, żeby Kławdia i troje innych redaktorów w jej gabinecie wiedziało, kto
przyszedł z wizytą do Palicynów w pierwszomajową noc! Bądź co bądź, towarzysz
Stalin dobrze się wyrażał o piśmie i o jej pracy, czy nie powinna podzielić się tym z
towarzyszami? Kilka razy już miała to powiedzieć, ale za każdym razem ogarniał ją
lęk i gryzła się w język... Trzeba wracać do fokstrota i jazzowych tańców.

- Zgadzą się z towarzyszką zastępcą redaktora? Głosujemy? - Cała piątka podniosła ręce. - Czy postanawiamy poświęcić następny artykuł tańcom jazzowym w kontekście walki Murzynów z uciskiem ze strony amerykańskich kapitalistów? Kławdiu, napiszesz to sama, czy masz kogoś na myśli? A zdjęcia? Poprosimy zawodowych tancerzy, żeby nam pozwolili, czy pošlemy kogoś do Metropolu?

Redaktorzy byli zgodni, że należy poprosić zawodowych tancerzy: do Metropolu przychodziły czasem wrogie elementy. Wreszcie zebranie dobiegło końca. Saszeńka wyciągnęła papierosa marki Hercegowina Flor i przypaliła go zapalniczką. Poczęsto-
wała kolegów. Oni też zapalili.

- Wiecie, Utiesow i Ceferman śpiewali w naszym domu w święto - pochwaliła się Saszeńka, która nie mogła się powstrzymać, żeby czegoś nie powiedzieć.

Zapadło niezręczne milczenie i natychmiast tego pożałowała.

- Udzielią nam wywiadu? - spytała Kławdia.

- Nie mogłam ich wtedy poprosić - odparła Saszeńka, wydmuchując kłęb dymu. - Ale pomyślę o tym.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. W progu stanęła sekretarka Saszeńki, Gala.

- Jakiś pisarz chce się z wami zobaczyć.

- Był umówiony?

- Nie, ale jest bardzo arogancki. Mówi, że wiecie, kim jest, i że chce przeprosić.

Saszeńka poczuła ściskanie w żołądku, jakby biegła za szybko pod górę.

- To musi być Benia Golden - powiedziała lekceważąco. - Co za tupet! Bardzo grubiański człowiek. Powiedz mu, że nie mam czasu, Galu.

- Benia Golden? - spytał Misza Kalman, jedyny mężczyzna w redakcji. Już wstał, zbierając się do wyjścia, ale teraz znowu położył teczkę. - Będzie dla nas pisał?

- Skąd go znasz? - spytała Kławdia, wytrzeszczając oczy.

- Nie znam go. Ale przyszedł do nas w święto.

- To musiało być niezłe przyjęcie - powiedziała Kławdia. - Utiesow, Ceferman, a teraz jeszcze Golden.

Saszeńka żałowała, że pochwaliła się swoimi gośćmi. Zwróciła się do Gali.

- Nie chcę go widzieć. Powinien się umówić. Poza tym, słyszałam, że się skończył. Od ponad dwóch lat nic nie napisał. Powiedz mu, żeby sobie poszedł, Galu.

- Dobrze, towarzyszeko.

- Nie, zaczekaj - powiedział Misza Kalman.

Gala odwróciła się, żeby wyjść z pokoju.

- Zaczekaj! - zawołał Kalman. - Jestem jego wielbicielem. Tak rzadko mamy w magazynie pisarzy jego formatu. *Carpe diem!*

Kławdia wpatrywała się w Saszeńkę wylupiającymi oczami dużego kraba.

- Pozwolisz, żeby indywidualizm wziął górę nad kolektywem? - spytała.

Saszeńka wyczuwała niebezpieczeństwo płynące z demonstrowania swojej antypatii. Pławiąc się w majestacie samego Stalina, postanowiła być wspaniałomyślna. Poza tym, może zareagowała przesadnie na przyjęciu? Czy Benia rzeczywiście był taki okropny?

- Towarzysze, musimy zdecydować, czy naprawdę chcemy, żeby pisał do „Radzieckiej Żony i Proletariackiego Gospodarstwa Domowego”.

Kławdia podkreśliła, że Golden wchodził w skład delegacji na Kongres Pisarzy w Paryżu w 1936 roku, razem z Erenburgiem, Bąblem i innymi, i że uczestniczył w obchodach setnej rocznicy śmierci Puszkina w 1937 roku.

- Jego opowiadania są niezapomniane - powiedział Kalman, mierzwiąc swoje siwe, kręcone włosy, gdy wychwalał utwory Beni o hiszpańskiej wojnie domowej. Saszeńka przypomniała, że kilku generałów, których znał Benia, zostało zdemaskowanych jako wrogowie ludu i straconych w 1937 i 1938 roku. Jego patron, Gorki, nie żył, a wielu innych pisarzy zostało rozstrzelanych.

- A dlaczego Golden nic ostatnio nie pisze? - spytała. - Czy to protest przeciwko partii, czy „wskazówka” z Wydziału Kultury na placu Starym?

- Zadzwońię do Fadiejewa w Związku - powiedziała Kławdia - i do Żdanowa w Komitecie Centralnym.

- Propozycja przyjęta. Co ma pisać, Kławdiu?

- Mógłby napisać o tym, jak Fabryka Wyrobów Cukierniczych Bolszewik zrobiła największy na świecie tort czekoladowy w kształcie czołgu na urodziny towarzysza Woroszyłowa. Golden mógłby porozmawiać z robotnikami i pokazać, jak posłużyli się bolszewicką pomysłowością, żeby zrobić działo czołgowe z ciasta i...

Fabryka Wyrobów Cukierniczych Bolszewik zajmowała poczesne miejsce na łamach ich pisma, ale Saszeńka zmarszczyła brwi, kiedy wyobraziła sobie reakcję Beni na propozycję pisania o torcie, bez względu na jego wielkość i kształt.

- A może artykuł o tańcach? - zaproponowała Kławdia. - Pod moim ścisłym nadzorem.

- Towarzyszko, miałaś lepszy pomysł - powiedziała Saszeńka. - Przypomnij sobie zebranie naszego komitetu kobiet. Zaproponowałaś artykuł o sierocińcu dla dzieci wrogów ludu.

- To chwytająca za serce historia klasowego odkupienia i wykuwania nowej tożsamości - powiedziała Kławdia.

- Czy to nie jest dobry temat dla poważnego pisarza na naszych łamach? Zrobimy z tego wielki artykuł, pięć tysięcy słów. Słyszałam, że to cudowne miejsce, a wiele dzieci zostało zaadoptowanych przez radzieckich obywateli. A zatem, towarzysze, poproszę go, żeby napisał o Sierocińcu dla Dzieci Zdrajców Ojczyzny imienia Feliksa Dzierżyńskiego.

Saszeńka poczuła się zmęczona. Była już siódma wieczór, a Karlo obudził ją o szóstej rano i wszedł do jej łóżka. Za oknami Moskwa kąpała się w cynobrowym świetle wiosennego wieczoru. Mimo planu pięcioletniego i licznych inwestycji bu-

dowlanych ulice były pustawe, a samochody należały do rzadkości. Pietrowką włókł się z turkotem konny wóz rozwożący warzywa.

- Dziękuję, towarzysze! - powiedziała Saszeńka. - Rezolucja podjęta. - Jej towarzysze opuścili pokój. - Galu?

- Ostateczna decyzja, towarzysze? - spytała Gala, wsuwając głowę przez drzwi.

- Przyślij go tu i możesz iść do domu.

Kilka chwil później Benia Golden stał w jej gabinecie.

- Nie mogę mówić w tej cuchnącej atramentem biurokratycznej kostnicy - wykrzyknął grobowym głosem. - Na dworze jest taki kojący wiatr, że chciałoby się śpiewać. Chodźmy!

Później, znacznie później, kiedy miała aż nazbyt dużo czasu, żeby rozpałmiętywać te chwile, Saszeńka doszła do wniosku, że wtedy właśnie wszystko się zaczęło. Ruszyła za nim w stronę wind, czując, jak krew pulsuje jej w uszach, i nagle się zatrzymała.

- Zapomniałam czegoś na biurku, Beniu. Muszę wrócić. Przepraszam! Zostawiła go w foyer i pobięła z powrotem do swojego gabinetu. Dotknęła

palcami warg, spojrzała na biurko, na fotografie Wani i dzieci, telefon, odbitki szczotkowe, na wszystkich i wszystko, co było dla niej ważne. Przeczynała, że ten zadufany w sobie mężczyzna zwiastuje kłopoty. Był niegrzeczny, arogancki, nieszczerzy i pozbawiony partyjnej mentalności (nie należał nawet do partii) - i nie bał się życia tak jak powinien. Nie powinna z nim wychodzić.

Potem, zdając sobie sprawę z tego, co robi, ale z jakiegoś dziwnego powodu nie mogąc się powstrzymać, odwróciła się i poszła tam, gdzie czekał na nią Benia Golden.

10

- To jest jedna z tych rzadkich chwil, kiedy nikt nie wie, gdzie jesteśmy - powiedział Benia Golden, gdy spacerowali po Ogrodzie Aleksandrowskim w cieniu czerwonych murów Kremla, które dotykały różowego nieba.

- Wiesz, czasem wydajesz mi się zdumiewająco naiwny jak na pisarza

- odparła Saszeńka ostro, przypomniawszy sobie jego głupie komentarze na daczach. - Oboje jesteśmy dobrze znani i spacerujemy po najsłynniejszym parku w mieście.

- To prawda, ale nikt nas nie obserwuje.

- Skąd wiesz?

- Nie powiedziałem nikomu, że idę do twojej redakcji, a ty nie powiedziałaś nikomu, że idziemy na spacer po Moskwie. Byłem w drodze do domu, do żony, a ty byłaś w drodze do męża na Granowskiego. Nie było zatem powodu, żeby nas śledzić. Twoi towarzysze myślą, że rozmawiamy o angażu w twoim gabinecie.

- Tylko że nie jesteśmy w moim gabinecie.

- Właśnie, Saszeńko, jeśli mogę cię tak nazywać. W każdym razie nikt by mnie nie rozpoznał w tej czapce. - Benia zdjął biały kaszkiet i ukłonił się.

- Ale z pewnością rozpoznałiby cię teraz - powiedziała, patrząc na jasne kosmyki jego rzadzących włosów.

- Rozejrzyj się. Cała Moskwa spaceruje dzisiaj wieczorem. Nigdy nie chciałaś uwolnić się od obowiązków? Tylko na godzinę.

Saszeńka westchnęła.

- Tylko na godzinę.

Łagodne, kojące powietrze pieściło jej skórę i przenikało przez białą sukienkę, wypełniając i marszcząc chłodną bawełnę, czuła się więc jak żagiel na wietrze. Golden szedł szybko, tak samo szybko mówił, a ona starała się dotrzymać mu kroku, niemal biegnąc na wysokich obcasach.

Myślała o swoich obowiązkach. Miała męża, zwyczajnego, przedsiębiorczego i docenianego, i dwoje cudownych, radosnych dzieci, zdrowych i szczęśliwych. Mieli dwa domy, nową daczę i ogromne nowe mieszkanie w różowym budynku, znanym jako Piąty Dom Rad w wąskiej uliczce niedaleko Kremla. Mieli służbę: nianię i kucharkę Karolinę, kierowcę Razuma, ogrodników i stajennego. Byli jeszcze rodzice Wani, którzy mieszkali z nimi - oni też wymagali ciągłej uwagi, zwłaszcza matka Wani, która przez cały dzień siedziała na podwórzu, plotkując niebezpiecznie donośnym głosem. Myślała o stresującej, prestiżowej pozycji Wani i o własnych obowiązkach w Komitecie kobiet i organizacji partyjnej. Oboje prowadzili gorączkowe życie; zbliżała się wojna; musieli budować swój socjalistyczny świat; wychodzili z głębokiego smutku i tragedii; wielu ludzi pochłonęły fale rewolucji. Tej nocy, jak niemal każdej nocy, Wania miał pracować do świtu - wszyscy tak robili, dostosowując się do nocnego trybu życia Gospodarza. Wania opowiadał jej, jak siedzą przy swoich biurkach, czekając na wiadomość przez telefon: „Gospodarz właśnie wyjechał z Kącika do bliższej daczki”.

Właśnie działo się coś wielkiego. Po Monachium Stalin zmieniał swoją politykę zagraniczną - i swoich ministrów. Miało to ogromne znaczenie dla przyszłości Europy - ale Wania był bardzo zajęty, pracując nad zmianami w Ludowym Komisariacie Spraw Zagranicznych.

Jak zwykle, kiedy dzielili się sekretami, wyciągnął Saszeńkę do ogrodu. „Litwinow odchodzi, przychodzi Mołotow. Będę zajęty przez kilka dni” - powiedział jej.

Wiedziała, że nie zobaczy go również w nocy i że nie wolno jej wspominać o tym nikomu. Tymczasem rodzice Wani zajmowali się Śnieżynką i Karlem w mieszkaniu przy ulicy Granowskiego.

Saszeńka, która w towarzystwie Beni poczuła się nagle beztrosko, zatrzymała się i obróciła w miejscu jak mała dziewczynka.

- Tylko na godzinę. Mogę się zgubić na godzinę. Cóż za wspaniały pomysł!

Jej słowa zabrzmiały zdumiewająco lekkomyślnie - jakby nie ona je wypowiedziała, i od razu zapragnęła je cofnąć.

- Wstąpiłaś do partii przed rewolucją, prawda, towarzyszu Lisie Polarny?

- spytał Benia. - Musiałaś mieć wprawę w wymykaniu się szpiclom Ochrony.

Czy teraz jesteśmy śledzeni?

Potrząsnęła głową.

- Nie. Nasze organa nigdy nie były tak dobre w inwigilacji jak Ochrana.

- Ostrożnie, towarzyszeko redaktor! Nerozważne słowa! Zorientowała się, że droczy się z nią.

- Ale czuję, że mogę ci ufać.

- Możesz, obiecuję - powiedział Benia. - Czy to nie cudowne móc czasem uciec od obowiązków i na chwilę stać się zupełnie samolubnym?

- My, komuniści, nie możemy tego robić - zaprotestowała. - My, matki, też nie...

- Och, na miłość boską, zapomnij o tym i spróbuj. Życie jest takie krótkie. Saszeńka nic nie powiedziała, ale czuła, że kręci jej się w głowie.

Szli dookoła Kremla. Wielki Pałac połyskiwał jak okręt ze szkła i złota pod wieczornym niebem, emanując potęgą radzieckiego państwa. Minęli przytłaczający ciemny modernistyczny labirynt rządowego Domu nad rzeką Moskwą, gdzie mieszkał Satinow, Mendel i wielu innych przywódców, gdzie tyłu aresztowano w mrocznych czasach, gdzie windy jęczały każdej nocy, kiedy NKWD zabierało ludzi swoimi „czarnymi wronami”. Teraz na ulicach nie było ruchu, tylko kilka koni i wozów - a starsza kobieta sprzedawała w kiosku pierożki.

Moskwa - pomyślała Saszeńka - nazwana kiedyś miastem tysiąca kopuł z powodu licznych cerkwi, to ponure miejsce. Towarzysz Stalin upiększył ją i uczynił z niej godną stolicę światowego proletariatu, ale na razie jest ona po części zbiorowiskiem pałaców, po części wioską - a reszta to po prostu plac budowy. Ogarnęła ją tęsknota za rodzinnym miastem, Piotrogradem - czyli Leningradem, jak się teraz nazywał, kolebką rewolucji.

Kocham cię, miasto Piotra, pomyślała, cytując Puszkina.

- Tęsknisz za Pitrem, prawda? - spytał nieoczekiwanie Benia.

- Skąd wiesz?

- Umiem czytać w twoich myślach, nie dostrzegłaś tego? Dostrzegła i to ją bardzo niepokoiło.

Stali na moście Kamiennym, spoglądając w dół, na pałac i rzekę Moskwę, na całe miasto odbite i zwielokrotnione w najdrobniejszym szczególe jakby spoczywało na lustrze.

- Zatańczysz ze mną? - spytał, biorąc ją za rękę.

- Tutaj? - Gęsia skórka pokryła jej skórę. - Właśnie tutaj.

- Naprawdę jesteś szalony. - Znowu poczuła zawrót głowy, a jej skóra wibrowała, kiedy jej dotknął, wziął ją w ramiona, pewnie, i poprowadził w lewo i w lewo, w tył i w przód w idealnym rytmie fokstrota, przez cały czas śpiewając piosenkę Glenna Millera z amerykańskim akcentem.

Kiedy się rozdzielili, miała wrażenie, że jego ciało pozostawiło palący odcisk na jej brzuchu, w miejscu, gdzie ją do siebie przyciskał. Zobaczyła, że na moście jest inna para. Tamci nie zareagowali, kiedy Saszeńka i Golden zbliżyli się do nich. Byli młodzi, on w mundurze Armii Czerwonej, ona w białym płaszczu narzuconym na sukienkę z rozcięciem z boku. Prawdopodobnie pracowała w jednym ze sklepów spożywczych przy ulicy Gorkiego. Całowali się z otwartymi szeroko ustami, twarze im błyszczały z pożądania, oczy mieli zamknięte, jego ręce zadzierały jej sukienkę, jej palce dotykały jego rozporka.

Saszeńka poczuła się zdegustowana: przypomniała sobie parę ściskającą się na ulicy podczas rewolucji oraz Gideona i hrabinę Loris przed Astorią - a mimo to nie mogła oderwać od nich oczu i nagle rozgorzał w jej ciele płomień, tak natarczywy, że nie poznawała siebie, tak było jej to obce.

Benia prowadził ją Nabrzeżem z beztronską arogancją, nic już nie mówiąc, tylko śpiewając stare romanse i cygańskie pieśni:

Oczy czornyje, oczy diwnyje,

oczy strasnyje i priekrasnyje...

Kak lublu ja was, laik bajus ja was...

Ja uwidiel was, och, w niecharoszyj czas.

Kiedy skończył śpiewać, jej dłoń pozostała w jego dłoni, najpierw ujęta przypadkowo, potem zamknięta w mocnym uścisku, a gdy Saszeńka zdała sobie z tego sprawę, nie próbowała jej cofnąć.

Flirtował z nią w zuchwały i niebezpieczny sposób, pomyślała. Czy nie wiedział, kim jest? Czy nie rozumiał, co robi jej mąż? Jestem komunistką, oddaną sprawie, pomyślała, jestem zameźną kobietą z dwojgiem dzieci. A mimo to, w ten gorący moskiewski wieczór, po dwudziestu latach walki o przetrwanie, po trzech latach terroru i tragedii, kiedy zdemaskowano i zlikwidowano tysiące wrogów, nagle doświadczyła porywu szaleństwa w towarzystwie tego niepozornego, łysiejącego galicyjskiego Żyda, który osaczał ją swoimi frywolnymi tanecznymi krokami, niebieskimi oczami i rozwiązanymi pieśniami.

Benia poprowadził ją kamiennymi schodkami, które wiodły wprost nad rzekę, do ukrytej przystani.

- Nikt nas nie widzi! - powiedział znowu i usiedli na stopniach, z nogami tuż nad wodą. Powinna być błotnista i mętna, ale tego wieczoru rzeka Moskwa połyskiwała diamentami, które rzucały blask na ich twarze, zabarwiając je purpurą i brązem, sprawiając, że oboje czuli się młodsi. Przeszedł ją lekki dreszcz, jak trzepot skrzydeł. Dzielila łóżce z mężem i miała z nim dzieci, ale jeszcze nigdy nie doświadczyła czegoś takiego.

- Robiłaś to jako nastolatka? - spytał. Nadal w jakiś nieodgadniony sposób czytał w jej myślach.

- Nigdy. Byłam poważnym dzieckiem i bardzo poważnym bolszewikiem...

- Nigdy się nie zastanawiałaś, o czym mówią popularne piosenki?

- Uważałam, że są pozbawione sensu.

- A zatem - powiedział - zasługujesz na godzinę w świecie popularnej piosenki.

<

- Co masz na myśli? - spytała, patrząc na jego usta, jego opalony kark, jego błyszczące oczy. Poczęstował ją swoim ostatnim egipskim papierosem, gwiazdą Egiptu ze złotym ustnikiem - a ona przeniosła się myślą dwadzieścia lat wstecz. Przypalił jej papierosa srebrną zapalniczką, potem podał płaską butelkę. Spodziewała się wódki, a tymczasem poczuła słodycz.

-Co to jest?

- To nowy amerykański koktajl - odparł. - Manhattan.

Od razu poszedł jej do głowy - a mimo to była bardziej trzeźwa niż kiedykolwiek.

Niezgrabna, zardzewiała barka, wyładowana węglem lub rudą jak pływająca góra, sunęła wolno obok nich. Na pokładzie siedzieli marynarze, pijąc i paląc. Jeden grał na gitarze, inny na akordeonie. Kiedy zobaczyli Saszeńkę, w białym kapeluszu z szerokim rondem, w sukience opiętej ciasno na biodrach, w błyszczących białych pończochach, zaczęli krzyczeć i pokazywać ją sobie palcami.

- Hej, spójrzcie tam! Co za widok! Saszeńka pomachała im w odpowiedzi.

- Zerznij ją, człowieku! Pocałuj ją dla nas! Zabieraj się do niej, towarzyszu! Ty cholerny szczęściarzu! - zawołał jeden z marynarzy.

Benia poderwał się na nogi, unosząc czapkę jak tancerz.

- Kto? Ja? - odkrzyknął.

- Pocałuj ją, człowieku! Wykonał przeproszający gest.

- Nie mogę zawieść swojej widowni - powiedział i zanim zdążyła zaprotestować, pocałował ją w usta. Opierała się przez sekundę, ale potem, ku swemu zdumieniu, uległa.

- Hurra! Pocałuj ją dla nas! - Marynarze wiwatowali. Roześmiała się w jego usta. Wsunął język pomiędzy jej wargi, tak głęboko, jak zdołał sięgnąć, a ona jęknęła. Zamknęła oczy. Z pewnością nigdy w życiu nikt jej tak nie całował.

Podczas wojny domowej była młoda, ale była z Wanią, a mężczyźni tacy jak Wania nie całowali w ten sposób. I nigdy nie chciała, żeby całował ją w ten sposób: przede wszystkim byli towarzyszami; on zaopiekował się nią po samobójstwie jej matki, podczas rewolucji październikowej pracowali razem, a później jeździli po całej Rosji pociągami Agitpropu, on jako komisarz Armii Czerwonej. Potem znowu spotkali się w Moskwie. W tamtych dniach nie było czasu na romanse: wprowadzili się do mieszkania razem z innymi młodymi małżeństwami, wszyscy pracowali dzień i noc, żywiąc się sucharami i pijąc herbatę z marchwi. Saszeńka wciąż była pruderyjną komunistką i podobało jej się takie podejście. Zawsze wspominała swoją rozwiązłą matkę z przerażeniem i żalem. A ten bezczelny Galicjanin, ten Benia Golden, nie miał takich zahamowań. Lizał jej wargi, dotykał nosem jej czoła, wdychał zapach jej skóry - a ją zdumiewała przyjemność, jaką jej to sprawiało!

Otworzyła oczy, jakby spała przez całe wieki. Marynarzy i barki już nie było, ale Benia nadal ją całował. Sekretne miejsca jej ciała reagowały przejmującym mrowieniem. Zmieniła pozycję, zakłopotana, ale za każdym razem, kiedy się poruszała, czuła w biodrach niemoc i bezwład. Miała prawie czterdzieści lat - i zupełnie się zatraciła.

- Wiesz, ja nie robię takich rzeczy - powiedziała wreszcie, trochę zdyszana.

- Dlaczego nie? Jesteś w tym bardzo dobra.

Musiała być trochę szalona, ponieważ znowu się nachyliła, ujęła jego głowę w swoje dłonie i zaczęła go całować w sposób, w jaki jeszcze nigdy tego nie robiła.

- Chcę, byś wiedział, Beniu, że uwielbiam twoje opowiadania. Kiedy je czytam, płaczę...

- A ja uwielbiam te piegi po obu stronach twojego nosa... I te wargi, mój Boże, nigdy się nie zamykają, jakbyś była wiecznie głodna - powiedział Benia, znowu ją całując.

- Dlaczego przestałeś pisać?

- Mój atrament zamarzł.

- Nie bądź śmieszny. - Odepchnęła jego twarz, trzymając go za podbródek. - Nie wierzę, że nie piszesz. Myślę, że piszesz coś w tajemnicy.

Patrzył na rzekę, gdzie połyskiwały w wodzie światła ambasady brytyjskiej.

- Jestem pisarzem. Każdy pisarz musi pisać, bo inaczej umrze. Gdybym nie pisał, wysechłbym i szczył. Tłumaczę więc artykuły z socjalistycznych gazet i dostaję zamówienia na scenariusze filmowe. Ale coraz rzadziej. Jestem prawie bez grosza, chociaż wciąż mam mieszkanie w domu pisarzy.

- Dlaczego nie zostałeś w Paryżu?

- Jestem Rosjaninem. Bez ojczyzny byłbym niczym.

- No to nad czym pracujesz? - Nad tobą.

- Piszesz o organach i o kierownictwie partii, prawda? Piszesz odręcznie, po nocach, i ukrywasz to pod materacem. Albo może w domu jakiejś dziewczyny na przedmieściach? A ja jestem tylko materiałem do twojej potajemnej pracy? Wykorzystujesz mnie, żeby wejrzeć w nasz świat?

Westchnął i podrapał się w głowę.

- My, pisarze, zawsze mamy jakąś tajemnicę, która utrzymuje nas przy życiu i daje nam nadzieję, chociaż wiemy, że nigdy nie będziemy mogli tego wydać. Isaak Babel pisze o czymś tajemniczym, Misza Bułhakow pisze powieść o diable w Moskwie. Ale nikt tego nigdy nie przeczyta. Nikt nie przeczyta mnie.

- Ja przeczytam. Mogę przeczytać to, nad czym pracujesz? Potrząsnął głową.

- Nie ufasz mi, prawda?

- Chciałbym ci ufać, Saszeńko. Chciałbym ci pokazać swoją powieść, ponieważ nikt o niej nie wie, nawet moja żona, a gdybym pokazał ją tobie, miałbym przynajmniej jednego czytelnika, jednego pięknego czytelnika, i znowu czułbym się artystą, a nie marnym pismakiem w czasach, kiedy wszyscy staliśmy się ludożercami.

Benia odwrócił się od niej, a ona wyczuła, nawet jeśli tego nie widziała, że w oczach ma łzy.

- Zawrzyjmy układ - powiedziała, ujmując jego dłonie. - Możesz mi powierzyć wszystko, nawet powieść. Będę twoim czytelnikiem. A w zamian, jeśli obiecasz, że

nigdy mnie nie skrzywdzisz, nigdy nie zawiedziesz zaufania, będziesz mógł pocałować mnie jeszcze raz po zachodzie słońca nad Moskwą.

Skinał głową i nadal trzymali się za ręce, ich twarze błyszcząły pośród letniej nocy. Za sobą Saszeńka usłyszała wołanie, a potem przeciągły łopot skrzydeł. To dwa łabędzie usiadły z pianistym szumem na pomarszczonej powierzchni wody.

Nie pamiętała, kiedy ostatnio czuła się taka szczęśliwa.

11

Benia poprowadził Saszeńkę po schodach na Nabrzeże, a potem w stronę hotelu Metropol. Ociągała się, kiedy szwajcar w cylindrze i we fraku otworzył drzwi, ale Benia czuł, że ma ochotę tańczyć, tak samo jak on.

Benia uwielbiał atmosferę Metropolu. Nawet podczas terroru grała tam orkiestra jazzowa, a on zapominał o swoich problemach przy dźwiękach trąbek i saksofonów. Przed 1937 rokiem hotel odwiedzali cudzoziemcy z rosyjskimi dziewczętami we francuskich sukniach, ale teraz cudzoziemcy - przedsiębiorcy, dyplomaci, dziennikarze i członkowie delegacji - siedzieli osobno. Zanim zaczęło się zabijanie, Gideon przeprowadzał go tu czasami na kolację ze znanymi zagranicznymi pisarzami. Poznał H.G. Wellsa, Gide'a i Feuchtwangera.

Słyszał, jak jego patron Gorki wygłasza przemówienie dla partyjnych pisarzy i teatralnych biurokratów, takich jak Awerbach i Kirszon. Wszyscy po kolei zniknęli. Wrogie elementy zostały zlikwidowane! Ale on przeżył i Saszeńka też przeżyła jakimś cudem terror; nagle przyszło mu do głowy, iż tego wieczoru powinni uczcić to, że żyją.

Wchodząc razem przez drzwi, na chwilę znaleźli się tak blisko siebie, że mógł dostrzec ciemne drewno i polerowany chrom lady recepcji, odbijające się w jej szarych oczach. Ale gdy tylko znaleźli się w holu, Benia zauważył, że Saszeńka odsunęła się od niego. Najwidoczniej obawiała się, iż ktoś może ją rozpoznać - ale czasami przychodziła tutaj z autorami piszącymi do jej magazynu, a on był jej nowym autorem.

- Odpreż się - szepnął jej do ucha.

Kelnerzy w czarnych frakach zaprowadzili ich do czarnego stolika w stylu art deco. Jakże inna wydawała się sala restauracyjna. Połyskujące lustra, niebieski dym unoszący się pod sufit jak mgła na szczycie góry, światła na estradzie, sylwetki mężczyzn

z krótko przystrzyżonymi włosami i starannie utrzymanymi wąsami, połysk ich butów, bryczesy oficerów Armii Czerwonej, trwale fryzury dziewcząt - tego wieczoru wszystko było nieskończenie wspanialsze.

Przed nimi pojawiła się dziewczyna w białej bluzce z latarką i tacą z papierosami i czekoladkami. Ani na chwilę nie odrywając wzroku od Saszeńki, Benia kupił paczkę papierosów i poczęstował ją. Podał jej ogień, potem sam zapalił. Nic nie mówili, ale kiedy na niego patrzyła, oczy jej błyszczały poprzez szary dym, który wirował wokół w poszarpanych kręgach, jakby też chciał znaleźć się bliżej niej.

Pomyślał, że znowu wydaje się chłodna i spokojna w swojej białej sukience, ale jej wargi, które pozostały rozchylone, drżały lekko, kiedy zaciągała się papierosem. Na chwilę zamknęła oczy, a jej ciemne rzęsy zafalowały nad maleńkimi archipelagami piegów. Światła zabarwiły jej gęste ciemne włosy na kasztanowy odcień, a Benia zobaczył, że pod maską opanowania jest lekko podekscytowana. Sam był podekscytowany. Tego wieczoru świat zdawał się obracać trochę szybciej i trochę bardziej przechylać.

Zaczynał się występ. Światła zawirowały i oświetliły fontannę pośrodku sali. Zawarczały bębny. Tego wieczoru nie grała orkiestra Utiesowa, lecz inny odeski zespół jazzowy z trzema trębaczami, saksofonistą i dwoma basistami w czarnych garniturach i białych kołnierzykach.

Benia zamówił wino, wódkę i zakąski: kawior, śledzia, *pielmieni* - a potem uświadomił sobie, że ma w kieszeni zaledwie kilka kopiejek.

- Ja zamawiam, ty płacisz - powiedział. - Jestem spłukany jak karaluch na Millionnej!

Wypiła trochę gruzińskiego wina, a on patrzył, jak delektuje się jego smakiem, potem przetyka - i nawet ta prosta czynność wydawała mu się niezrównana. Wreszcie poprosił ją do tańca.

- Tylko raz - powiedziała.

Benia wiedział, że jest dobry w fokstrocie i tangu, i zatańczyli więcej niż raz. Ciało miał szczupłe i drobne, ale obracał nią bez wysiłku, wykonując kroki, jakby unosił się w powietrzu. Nagle poczuł, że trzeba się spieszyć. Okoliczności, które pozwoliły na tę swobodę, mogły się już nie powtórzyć, a on postanowił posunąć się tak daleko, jak tylko się da. Przycisnął ją więc do siebie, poznając po jej oddechu, że też jest podniecona.

Szybko się wyrwała i usiadła.

- Muszę już iść - powiedziała, kiedy do niej dołączył.

- Ta noc nie istnieje w naszym życiu - wyszeptał. - To, co dzieje się dzisiaj wieczorem, nigdy się nie wydarzyło. *Może* wynajmiemy pokój?

- Nigdy! Jesteś szalony!

- Ale wyobraź sobie, jak byłoby cudownie.

- A na jakie nazwisko byśmy go wynajęli? - odparła. - Dobranoc, Beniu. Chwyliła torebkę.

- Zaczekaj. - Przytrzymał ją za rękę pod stołem, a potem, pod wpływem szaleńczego impulsu, który mógł albo zrujnować ten wieczór, albo wręcz przeciwnie, położył jej dłoń na swoim rozporku.

- Co ty, do diabła, robisz? - spytała, wrywając się.

- Nie - odparł. - Spójrz, co ty ze mną robisz. Cierpię.

- Muszę natychmiast wyjść. - Ale nie wyszła, a on zobaczył skutki swojej zuchowości w jej szarych oczach. Była pijana, ale nie winem.

- Nie masz tu wynajętego pokoju, Saszeńko? Dla swojego pisma? Zaczerwieniła się.

- Pokój 403 należy do Litfondii, ale owszem, redaktorzy „Radzieckiej Żony” mogą z niego korzystać, żeby przenocować przyjezdnych autorów, to jednak byłoby całkowicie... ,

- Ktoś teraz z niego korzysta?

Zimny gniew błysnął w jej oczach i wstała.

- Musisz mnie uważać za jakąś... *bummekel* - Urwała, a on uświadomił sobie, iż jest zaskoczona, że użyła słowa z jidysz na określenie kobiety złego prowadzenia.

- Nie za *bummeke* - odparł szybko - tylko za najcudowniejszą *bubele* w Moskwie!

Roześmiała się - jeszcze nikt nie nazwał jej laleczką i Benia zrozumiał, że łączą ich osobliwe wspomnienia ze starego żydowskiego świata strefy osiedlenia.

- Pokój 403 - powiedział niemal do siebie.

- *Bonsoir*, Beniu. Przy tobie zaskoczyłam nawet samą siebie, ale dosyć tego. Skończ swój artykuł do następnego poniedziałku. - Wstała i wyszła z sali restauracyjnej, a podwójne szklane drzwi zakłósały się za nią.

Saszeńka roześmiała się ze swojej głupoty. Wyszła przez niewłaściwe drzwi, ale po takim wyjściu nie mogła już wrócić do sali restauracyjnej. Usiadła więc na szkarłatnych schodach prowadzących do wind na tyłach hotelu i zapaliła papierosa Heccegowina Flor. Jej obecność w tej ukrytej przestrzeni w samym środku hotelu wydawała się całkowicie właściwa. Nikt nie wiedział, że tu jest.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, wsiadła do służbowej windy i wjechała na czwarte piętro. Jak somnambuliczka powlokła się zatechłymi, wilgotnymi korytarzami, które nawet w najlepszym moskiewskim hotelu pachniały chlorem, kapustą i spleśniałą wykładziną. Zgubiła się. Musi wracać do domu. Obawiała się, że za biurkiem na czwartym piętrze może siedzieć znajoma starsza kobieta (i informatorka NKWD), ale potem uświadomiła sobie, że ominęła ją, wjeżdżając służbową windą.

Kiedy dotarła do pokoju 403, usłyszała za sobą kroki. To był Benia. Otworzyła drzwi kluczem, który nosiła przy sobie jako redaktor naczelny, i niemal wpadli do małego pokoju, który, gdyby zwróciła na to uwagę (a miała do końca życia nie zapomnieć tych zapachów), pachniał naftaliną i środkami dezynfekcyjnymi. Pokój był ciemny, oświetlony tylko niesamowitym szkarłatem gwiazd na szczycie wszystkich ośmiu wież Kremla za oknem. Runęli na łóżko, które zapadło się w środku, pościel cuchnęła czymś, co zidentyfikowała później jako starą spermę i alkohol w połączeniu stanowiącym specjalność radzieckich hoteli. Chciała się opierać, protestować, skarżyć, ale ujął jej twarz w obie dłonie i pocałował ją tak mocno, że płomień ogarnął całe jej ciało.

Ściągnął sukienkę z jej ramion i zanurzył twarz w jej szyi, potem we włosach, sięgając ręką pomiędzy jej nogi. Ściągnął jej stanik i nakrył dłońmi jej piersi, wzdychając z rozkoszy.

- Te błękitne żyłki są boskie - szepnął. I w tym momencie całe lata zażenowania tą cechą jej ciała ustąpiły miejsca satysfakcji. Całował je, liżąc chciwie jej sutki. Potem zniknął pod jej sukienką.

Odepchnęła go stamtąd, raz, potem drugi. Ale on ciągle wracał. Uderzyła go w usta, dosyć mocno, lecz nie przejął się tym.

- Nie, nie, nie tam, przestań, nie... - Wiła się, zamykając wstydliwie oczy.

- Jesteś piękna - powiedział.

Czy to mogła być prawda? Tak, upierał się, pieszcząc ją językiem. Jeszcze nigdy nikt jej tego nie robił. Drżała, ledwo mogła nad sobą zapanować.

- Cudownie! - powiedział.

Była tak zawstydzona, że ukryła twarz w dłoniach. -Nie!

- Możesz udawać, że to się nie dzieje! - zasugerował, zanurzając w niej twarz. Kiedy wreszcie spojrzała w dół, popatrzył na nią, śmiejąc się. Mam kochanka, pomy-

ślała z niedowierzaniem. Jego nieodparta zmysłowość zniewoliła ją. To było jak pierwszy raz z mężem, jej jedynym kochankiem - ale jednocześnie było zupełnie inaczej. Tak naprawdę, uświadomiła sobie, dopiero teraz tracę dziewictwo z tym piekielnym, uroczym żydowskim kłownem, tak niepodobnym do wszystkich bolszewików w moim życiu.

On zwariował, pomyślała, kiedy znowu zaczął ją pieścić. O mój Boże, przez dwadzieścia lat byłam najrozsądniejszą bolszewiczką w Moskwie, a teraz ten karzeł doprowadza mnie do szaleństwa!

Znowu wynurzył się spod jej sukienki.

- Spójrz! - szepnął, a ona posłuchała. Czy to naprawdę ona? Znowu robił te najbardziej absurdalne, cudowne rzeczy w sekretnych zakamarkach jej ciała. Ale te pocałunki, same pocałunki, były boskie!

Straciła wszelkie poczucie czasu i miejsca. Przy nim zapomniała, że jest komunistką, zapomniała się po raz pierwszy od dwudziestu lat - i wreszcie zaczęła żyć wspaniałą, nieposkromioną teraźniejszością.

13

Było cicho. Leżąc na wymiętej pościeli, otworzyła oczy jak ktoś, kto spał bardzo głębokim snem i obudził się po powodzi albo trzęsieniu ziemi. Czy krem-łowskie gwiazdy wciąż były za oknem, czy zmiotła je ich namiętność? Powoli wracała do rzeczywistości.

- O mój Boże - powiedziała. - Co ja zrobiłam?

- Było wspaniale, prawda? - spytał. Potrząsnęła głową, znowu zamykając oczy.

- Spójrz na mnie - powiedział. - Powiedz, że było cudownie, bo już nigdy cię nie pocałuję.

- Nie mogę tego powiedzieć.

- Po prostu kiwnij głową.

Kiwnęła głową i dotknęła swojej podrapanej twarzy. Ledwo mogła uwierzyć w to, co działo się z jej pulsującym ciałem w tym ciemnym małym pokoju na czwartym piętrze hotelu Metropol w majową noc 1939 roku.

Jej sukienka i bielizna leżały na podłodze, lecz stanik wciąż miała na brzuchu; jedna pończocha była na swoim miejscu, ale druga wisiała na lampie, rzucając na ich

ciała matowe miedziane światło. Usta mieli słone, a smak namiętności i potu sprawił, że zakręciło jej się w głowie z czystej rozkoszy.

Benia znowu całował jej wargi, te pomiędzy nogami - były teraz tak wrażliwe. Pocałował ją w usta, a później, delikatnie, znowu tam. Zadrzała, na jej brzuchu lśniły kropelki potu. Przyciągnęła Benie do siebie i przewróciła go, tak że ona znalazła się na górze, a on znowu był w niej. Dlaczego czuła się tak dobrze w jego ramionach? Dlaczego wydawało się to takie naturalne?

Potworność tego, co się stało, poraziła ją jak grom. Zdradziła troskliwego, serdecznego Wanię, swojego męża i przyjaciela przez te wszystkie lata, ojca jej dzieci. Nadal go kochała, ale ta zmysłowa gorączka była innego rodzaju miłością, całkowicie obcą i sprzeczną z tym ciepłym, zwyczajnym uczuciem, jakim darzyła dom i dzieci. Podobno kobiety nie mogą kochać dwóch mężczyzn jednocześnie, ale teraz wiem, że to nieprawda, pomyślała Saszeńka. Mimo to poczucie winy ścisnęło ją za gardło.

- Nigdy wcześniej tego nie robiłam - szepnęła. - Ale pewnie wszystkie ci to mówią...

- No cóż, to zabawne, że pytasz, ale według „Radzieckiego proletariackiego podręcznika etykiety cudzołóstwa” to typowy kobiecy komentarz po pierwszym zbliżeniu.

- A według tego... „Radzieckiego proletariackiego podręcznika etykiety cudzołóstwa” jak brzmi właściwa odpowiedź mężczyzny?

- Powinienem powiedzieć: „Och, wiem!”, tak jakbym ci wierzył.

- A nie wierzysz.

- Jeśli mam być szczerzy, wierzę ci.

- A kto jest autorem tej słynnej książki mądrości?

- Niejaki B.Z. Golden - odparł Benia Golden.

- A czy napisano tam, co dzieje się później?

Milczał, a ona zobaczyła, że przez jego twarz przemknął cień.

- Boisz się, Saszeńko? Zadrzała.

- Trochę.

- Nie powinniśmy się więcej widywać - powiedział.

- Żartujesz, prawda? - spytała, nagle przerażona, że mówi poważnie. Potrząsnął głową i spojrzał jej prosto w oczy.

- Saszeńko, myślę, że to najwspanialsza rzecz, jaka mi się kiedykolwiek przydarzyła. Miałem wiele dziewczyn, spałem z wieloma kobietami...

- Nie przechwalaj się, sprośny Galicjaninie! - zadrwiła.

- Może to te czasy. Może teraz przeżywamy wszystko intensywniej. Ale zasługujemy na odrobinę egoizmu, prawda? - Ujął jej twarz w swoje dłonie, a ona była zdumiona, że nagle stał się taki poważny. - Czujesz coś do mnie?

Saszeńka odepchnęła go i podeszła do okna. Znajdowali się na podstrzeszu starego budynku. Spojrzała na zalaną światłem księżycą rzekę Moskwę, na mosty i na Kreml, dwadzieścia osiem hektarów złożonych pałaców, połyskujących kopuł i brukowanych dziedzińców, i zobaczyła, gdzie pracuje towarzysz Stalin, w trójkątnym budynku Sownarkomu z zielonym dachem. Widziała nawet światło w jego gabinecie. Czy był tam teraz? Ludzie tak myśleli, ale ona wiedziała, że prawdopodobnie jest w Kuncewie. Był jej przyjacielem, Iosif Wissarionowicz... no cóż, nie całkiem. Towarzysz Stalin był ponad przyjaźnią, ale Ojciec Narodów - tak, jej nowy znajomy, a czasami gość, który awansował jej męża i podziwiał redagowane przez nią pismo - był największym mężem stanu w historii klasy pracującej. Nie wątpiła w to i pozostała bolszewikiem do szpiku kości. To, co stało się w tym pokoju, nie zmieniło tego.

Ale coś się zmieniło. Benia palił papierosa, leżąc na łóżku. Obserwował ją w milczeniu, prawie nie oddychał. Na dole pewnie wciąż grał zespół, ale w pokoju było cicho i spokojnie. Miała w życiu wszystko z wyjątkiem tego. Była komunistką i matką, a Benia był zacofanym pisarzem, który nie nadażał za najśmielszymi ideałami swoich czasów, wyalienowanym z wielkiej dialektyki historii, pozbawionym wiary rozbitkiem, który przypatrywał się towarzyszowi Stalinowi i robotniczemu państwu z naukowym zainteresowaniem. A jednak ten próżny, impertynencki i pretensjonalny Galicjanin ze swoim wystającym podbródkiem, nisko osadzonymi brwiami i roztańczonymi oczami, ze smutną resztką jasnych włosów na łysiejącym czole i, tak, ze swoim pożądanym, dawał jej poczucie dzikiego szczęścia.

Wstał i stanął za nią.

- O co chodzi? - spytał, oplatając ją ramionami.

- Byłam nie tylko niewierna, ale zrobiłam coś znacznie gorszego - coś, czego się po sobie nie spodziewałam. Upodobiłam się do swojej matki.

Ale on nie słuchał.

- Nawet nie wiesz, jaka jesteś zmysłowa - powiedział, przesuwając dłońmi po wewnętrznej stronie jej ud. I znowu zaczęli wszystko od nowa.

Później Saszeńka oparła łokcie na parapecie i znowu patrzyła na Kreml, a on jej dotknął, od tyłu, wodząc palcami z taką radosną czułością, że ledwo rozpoznawała geografie własnego ciała.

- Masz nienasycony apetyt, jak się okazuje! - zadrwił. Zdawał się żyć radością, która zabarwiała jej monochromatyczny świat wszystkimi kolorami tęczy.

A więc, pomyślała, *to* jest to, o to jest ten cały szum.

Ciało Saszeńki wciąż wibrowało i płonęło, kiedy wracała do domu, mijając Kreml, wyższy i jaśniejszy w blasku reflektorów, które posyłały w niebo białe snopy światła, przez Maneż i obok hotelu National. Kiedy obejrzała się na Kreml, zobaczyła osiem czerwonych gwiazd. Były, jak przeczytała w gazecie, wykonane z kryształu, aleksandrytu, ametystu, akwamarynu, topazu - i siedmiu tysięcy rubinów! Tak, siedem tysięcy rubinów, aby uczcić ją i Benie. Co się ze mną dzieje? - zastanawiała się. Mijając stary uniwersytet po prawej, skręciła w ulicę Granowskiego. Jej różowy dom z przełomu stuleci, Piąty Dom Rad, znajdował się po lewej stronie, a przed bramą stał wartownik. Skinął jej głową. Dozorca polewał podwórze gumowym wężem.

Weszła do mieszkania na parterze. Nie zapaliła światła, lśniące lakierem podłogi pachniały pastą i odbijały srebrny blask księżyca; spojrzała w górę na wysokie sufity z pięknym gzymsem, poczuła zapach mebli z karelskiej sosny z rządowego przydziału. Jej teściowie spali za załomem korytarza w kształcie litery L. Usiadła na łóżku, zapaliła lampę, której złożona podstawa podtrzymywała żarówkę przykrytą zielonym abażurem i przez chwilę łapała oddech. Czy zdradzała wszystkich, których kochała? Czy mogła wszystko stracić? Ale nie żałowała tego, co zrobiła.

Otworzyła drzwi do pokoju dzieci i zajrzała do środka. Czy czują od niej zapach grzechu? Ale spały tak anielsko. Nie zdradziła ich, powiedziała sobie. Po prostu odnalazła część siebie.

Saszeńka powstała przez chwilę, patrząc na dzieci, a potem pocałowała Śnieżynkę w czoło i Karła w nos. Karło trzymał w ramionach jednego ze swoich królików. Nagle zapragnęła je obudzić i przytulić. Nadal jestem ich matką, nadal jestem Saszeńką, powiedziała sobie.

W tym momencie Śnieżynka usiadła, trzymając swoją poduszkę.

- Mamo, to ty?

- Tak, kochanie, wróciłam. Babcia położyła cię do łóżka?

- Poszłaś tańczyć?

- Skąd wiesz?

- Ciągłe śpiewasz piosenkę, mamo. Jaką piosenkę śpiewasz? Głupią piosenkę?

Saszeńka zamknęła oczy i zaśpiewała cicho dla siebie i dla Śnieżynki:

Oczy czornyje, oczy diwnyje,

oczi strasnyje i priekrasnyje...
Kak lublu ja was, kak bajus'ja was...
Ja uwidiel was, och, w niecharoszyj czas.

Co za piosenkę śpiewała z Benią Goldenem, pomyślała. Czy on nadal ją śpiewa? Śnieżynka chwyciła rękę matki, owineła ją swoją poduszką, którą podłożyła sobie pod złotą główkę, i znowu poszła spać.

Siedząc na łóżku, z ręką uwięzioną pod alabastrowym policzkiem Śnieżynki, Saszeńka poczuła, jak opuszczają całą niepewność. Nie była Ariadną; nie pamiętała, by Ariadna kiedykolwiek pocałowała ją na dobranoc. Jej matka stała się rozpustnicą, nocnym zwierzęciem. Ale siedząc na łóżku Śnieżynki, przypomniała sobie śmierć matki. Pragnęła z nią porozmawiać. Dlaczego Ariadna zastrzeliła się z jej mauzera? Saszeńka nigdy nie zapomniła, jak siedziała przy rzeźącej matce, czekając, aż umrze.

Wsluchując się w ciche oddechy dzieci, znowu pomyślała o ojcu. Jakaż była dumna, że nie uciekł za granicę, lecz wyrzekł się kapitalizmu i zaakceptował nowy rząd. Ale nie widziała go od 1930 roku, kiedy z „bezpartyjnego specjalisty” stał się „byłym” i „sabotażystą” i trafił na łagodne zesłanie do Tbilisi, gdzie zamieszkał w jednopokojowym mieszkaniu. Podczas terroru Saszeńka mogła być zagrożona jako „córka kapitalisty”, ale była starym bolszewikiem, pochwałała nawet terror i „przekuła się” w jedną z nowych radzieckich kobiet

Stalina. Chroniło ją robotnicze pochodzenie Wani i jego sukcesy w pracy, lecz pogodziła się z tym, iż nie może wstawić się za ojcem, pomóc mu ani nawet posyłać mu paczek.

- Zapomnij o nim - powiedział jej Wania. - Tak będzie najlepiej dla niego i dla nas.

Omali nie zwróciła się do towarzysza Stalina, lecz Śnieżynka w porę ją powstrzymała.

Po raz ostatni słyszała łagodny, kulturalny głos Samuela Zeitlina - ton i maniery ojca przypominały jej dawną rezydencję i życie przed rewolucją - przez telefon tuż przed jego aresztowaniem w 1937 roku. Dzieci nigdy go nie poznały: uważały, że babcia i dziadek umarli dawno temu. Saszeńka nigdy nie krytykowała partii za sposób, w jaki potraktowała jej ojca, nawet w duchu, ale nie przeszkodziło jej to zastanawiać się teraz: żyjesz, tato? Ociosujesz pnie w Workucie, na pustkowiach Kołymy? Czy już dawno skazano cię na najwyższy wymiar kary?

Powoli wróciła do swojego pokoju, wzięła prysznic, a potem położyła się do łóżka, zabierając ze sobą Karla. Karlo obudził się i pocałował ją.

- Znalazłaś w lesie małego króliczka - szepnął i oboje zasnęli, przytuleni.

* * *

Następnego ranka usiadła właśnie przy biurku w kształcie litery T w swoim gabinecie, kiedy zadzwonił telefon.

Niski głos z żydowsko-galicyjskim akcentem, który natychmiast, ku jej zażenowaniu, wywołał mrowienie, powiedział:

- Tu wasz nowy autor, towarzyszeko redaktor. Chciałem się upewnić - zamówiliście ten artykuł czy nie?

15

Dziesięć dni później Benia Golden zjadł jak zwykle obiad w Klubie Pisarzy ze stryjem Gideonem. Następnie odwiedził łaźnie Sandunowskie, a potem Sta-sa, ormiańskiego fryzjera, w jego małym zakładzie tuż obok. Na ścianie wisiał portret Stalina, na magnetycznym pasku zestaw nożyczek i nagich brzytw, a w oknie stała plastikowa roślina. Radio, zawsze włączone w zakładzie Sta-sa, donosiło o starciach z Japończykami w Mongolii. Zbliżała się wojna. Benia usiadł w miękkim skórzanym fotelu, a Stas namydlił mu twarz pianą rozrobioną w ciepłej wodzie.

- Wyglądasz na szczęśliwego - powiedział Stas, stary Ormianin z gęstymi tłustymi włosami, ufarbowanymi na czarno, i małym zawadiackim wąsikiem.

- Dostałeś zamówienie? Zakochałeś się?

- Jedno i drugie, Stas, jedno i drugie, naraz! Wszystko w moim życiu się zmieniło, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni.

Kiedy Benia rozkoszował się ciepłymi ręcznikami, leżącymi na jego twarzy i szyi, serce mu rosło. Nie dbał o zamówienie. Mógł myśleć tylko o Saszeńce.

O jej rozczulająco ochrypłym głosie, o tym, jak w zamyśleniu skubała swoją górną wargę; o tym, jak tańczyli, kochali się, rozmawiali i rozumieli nawzajem, „jakbyśmy urodzili się pod tą samą gwiazdą”, powiedział na głos, kiwając powoli głową.

Nie było dnia, godziny ani minuty, kiedy nie odczuwał gwałtownej potrzeby, żeby ją zobaczyć, porozmawiać z nią, dotknąć. Chciał sycić oczy jej widokiem i zapęłniać magazyny pamięci, tak aby mógł ją poczuć, nawet gdy nie było jej przy nim. Teraz nawet na najbardziej znane miejsca patrzył z czcią, jeśli były z nią związane. Tego dnia szedł ulicą Gorkiego. Gwiazdy i wieże wysławiały nie carów czy Stalina, lecz ją,

Saszeńkę. Kiedy skręcił w Granowskiego, gdzie mieszkała, ulicę oświetlała przejrzysta aureola. Strażnicy z NKWD nie strzegli marszałków ani komisarzy, strzegli jego serca, które tam przebywało.

Ale z miłością zawsze szło w parze cierpienie: miała przecież męża, a on był żonaty. I spotkali się w okrutnych czasach. Niegdyś kochał swoją żonę, ale zmagania codziennego życia przemieniły namiętność w rutynę; stali się bratem i siostrą - albo jeszcze gorzej, lokatorami w tym samym mieszkaniu, które dzielili ze swoją małą córeczką. A Saszeńka była - nie przychodziły mu do głowy żadne górnotłone romantyczne frazy - po prostu najcudowniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał. Miał poczucie, że siedzi na szczycie góry, na zawrotnej wysokości, spoglądając w dół na połyskującą ziemię ukoronowaną gwiazdami. Czy to mogło trwać? Nie wolno nam tracić ani sekundy, pomyślał.

- Która godzina? Spóźnię się. Pospiesz się, Stas! - Nagle ogarnęła go niecierpliwość, jakby musiał zwierzyć się komuś ze swojej miłosnej tajemnicy.

- Jestem zakochany, Stas. Nie, więcej niż zakochany, szaleję za nią!

Na drugim końcu miasta, w Kitajgorodzie, moskiewskiej Chińskiej Dzielnicy, Saszeńka w eleganckim szkarłatnym kostiumie, który zakładała czasami do pracy, wchodziła po schodach do pracowni *monsieur* Abrama Lenera, ostatniego staromodnego krawca w Moskwie. Lerner pracował także w sekcji usług specjalnych NKWD i to właśnie on zaprojektował nowe marszałkowskie mundury, kiedy Stalin przywrócił tradycyjne stopnie wojskowe. Mówiono też, że szył bluzy dla samego Stalina, ale Gospodarz nienawidził nowych ubrań i prawdopodobnie była to tylko plotka.

Lerner zatrudnił Kleopatę Fiszman, by obsługiwała żony przywódców. Saszeńka wiedziała, że Polina Mołotowa i inne panie przychodzą do niej (i że niektóre upierają się, żeby płacić, natomiast inne nie płacą w ogóle). Teraz, pod koniec pracowitego dnia, przyszła odebrać kolejny nowy kostium. Czekala niecierpliwie w przedpokoju, gdzie piętrzyły się sterty magazynów „Bazaar” i „Vogue” prosto z Ameryki. Jeśli klientce spodobał się konkretny wzór, pokazywała go w „Vogue’u”, a Kleo i jej krawcowe szyły go dla niej. Lerner i Kleopatra, którzy nie byli spokrewnieni, ale pracowali razem od kilkadziesiąt lat, żyli na wyspie staroświeckiej kurtuazji: ich pracownia była prawdopodobnie jedyną instytucją w całym Związku Radzieckim, gdzie w ostatniej dekadzie nikt nie został zadenuncjowany ani rozstrzelany.

Kleopatra Fiszman, krępa drobna kobieta z siwymi, kręconymi włosami pachnącymi cykorią, zaprowadziła Saszeńkę do przebieralni, gdzie zaprezentowała niebieski jedwabny kostium z plisowaną spódnicą.

- Chcesz go teraz przymierzyć, czy po prostu zabrać? Saszeńka spojrzała na zegarek.

- Włożę go. - Szybko zrzuciła swoje rzeczy - i uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie zrzuciła ich w ten sposób. Schowała je do torby i włożyła nowy kostium. Zadrżała, kiedy jedwab ułożył się na jej ciele.

- Masz nową fryzurę, Saszeńko.

- Trwałą fale. Podoba ci się?

Stara kobieta obejrzała ją od stóp do głów.

- Promieniejesz, towarzyszeko Saszeńko. Jesteś w ciąży? Chcesz o czymś opowiedzieć starej Kleopatrze?

Piętnaście minut później, o siódmej, w gniazdku na najwyższym piętrze hotelu Metropol, Saszeńka, w nowym kostiumie i uczesaniu, w nowej bluzce i jedwabnych pończochach, pachnąca nowymi perfumami, całowała się z Benią Goldenem, który, choć jego biały garnitur zrobił się jeszcze brudniejszy i bardziej wymięty, również promieniał, ogolony i wykapany.

Kochali się, rozmawiali, żartowali - a potem Saszeńka wyjęła za swojej torby paczkę i rzuciła ją na łóżko.

Skoczył, otworzył ją, i zważył w dłoniach.

- Mały prezent.

- Papier! - Westchnął. Sklep Związku Pisarzy nie sprzedawał mu już papieru, więc zamówiła go dla niego. - Papier to droga do serca pisarza.

Spotykali się w Metropolu codziennie od dziesięciu dni, a ich związek wykraczał poza erotyczną fascynację. Saszeńka opowiedziała mu historię swojej rodziny; on opowiedział jej o swoim dzieciństwie we Lwowie, o swoich przygodach podczas wojny domowej, o licznych absurdalnych romansach, w które się uwikłał. Po dwudziestu latach w jarzmie bolszewickiej biurokracji Saszeńka była oszołomiona bogactwem życia Goldenego: każda katastrofa stawała się zabawną komedią, w której on grał rolę głównego kłowna. Jego zmagania z biurokracją - ponure i przytłaczające w przypadku większości ludzi - przeistaczały się w wesołe skecze pełne groteskowych sytuacji. Jego poglądy na temat socrealistycznych pisarzy i filmowców były oburzająco niesto-

sowne, ale o poezji mówił ze łzami w oczach. Pożyczał jej książki i zabierał ją do kina w środku dnia; cieszyli się Moskwą w kwiatkach - bzach i magnoliach - a on kupował jej naręcza mimozy i bukiety fiołków, które, jak zapewniał ich sprzedawca, pochodziły aż z Krymu.

- Przywróciłaś mnie do życia - powiedział jej Benia.

- Co ja wyprawiam? - odparła. - Czuję się jak na cudownej równi pochyłej. Jeśli kobieta przez dwadzieścia lat prowadzi zdyscyplinowane życie, a potem dyscyplina pęka, może stracić głowę.

- A więc trochę mnie lubisz? - nalegał.

- Wiecznie domagasz się pochwał, mój kochany. - Uśmiechnęła się do niego, obejmując wzrokiem jego niebieskie oczy z żółtymi cętkami, wpatrujące się w nią tak intensywnie, wystający podbródek i usta, które zawsze wyglądały tak, jakby za chwilę miał wybuchnąć śmiechem. Saszeńka uświadomiła sobie, że chociaż często śmiała się z dziećmi, niewiele śmiała się w życiu od tamtych odległych dni z Lalą. Zdarzało jej się śmiać czasem z Mendlem i z Wanią, a teraz odkryła, ilu smutnych ludzi jest na świecie (a zwłaszcza w partii bolszewickiej). Kiedy nie kochała się z Benią, śmiali się, na całe gardło, a oczy im błyszcząły.

- Bez przerwy potrzebujesz pochwał, prawda? Twoja matka na pewno cię kochała, kiedy byłeś chłopcem.

- Tak. Czy to nie oczywiste? Byłem strasznie rozpuszczony.

- Ja nie zamierzam ci mówić, co o tobie myślę, głupi Galicjaninie. I tak już przewróciło ci się w głowie. Poza tym, nie wydaje się sądu o potrawie, nie skosztowałeś jej wcześniej.

- Ta potrawa ciągle chce być próbowana. Saszeńka westchnęła.

- Pragnę cię przez cały czas.

Stała przy oknie, pozwalając, by wiatr chłodził jej spocone ciało, w samych pończochach. On leżał nago na łóżku, w kaszkiecie na głowie, paląc biele-mora. Przyszła do niego, położyła głowę na jego dłoni, wzięła od niego papierosa i zaciągnęła się, a potem dmuchnęła mu w usta błękitnymi kółkami dymu. Ale tym razem nie zaczął się z nią kochać.

- Napisałem twój artykuł - powiedział, nie patrząc na nią.

- Państwowy Sierociniec...

- ...dla Dzieci Zdrajców Ojczyzny imienia Feliksa Dzierżyńskiego?

- To musi być bardzo wzniosła instytucja - zadumała się. - Przełomowa w procesie wychowania nowego radzieckiego dziecka.

- Nie mogę tego tak napisać, Saszeńko. Nawet gdybym stał się najbardziej nieczułą, tchórzliwą, krwiożerczą kanalią, nie mogę tego napisać...

- O co ci chodzi? To historia odkupienia. - Była wstrząśnięta jego nagłym wybuchem.

- Odkupienie? Raczej zatracenie, ostatni krąg dantejskiego piekła! - Teraz już krzyczał, a ona przesuwiała palcem po ustach, zdumiona jego gniewem. - Nie wiem, od czego zacząć. Z daleka wygląda to bardzo słodko - stary szlachecki dworek w lesie, pewnie coś w rodzaju twojego Zembliszyna z dzieciństwa. Dzieci maszerują na poranną zbiórkę w białych mundurkach, żeby dyskutować o *Krótkim kursie historii WKP(b)*. Ale kiedy chciałem wejść do środka, dyrektor, tępy Ukrainiec nazwiskiem Chanczuk, podniósł wrzask, chociaż ustąpił, kiedy poznał nazwisko męża redaktorki. Wewnątrz, z dala od postronnych oczu, okazuje się, że dzieci są głodne, brudne i niedouczzone. Jeden sześciolatek umarł wczoraj - na całym ciele miał rany i oparzenia. Lekarze powiedzieli, że był codziennie bity przez Chanczuka. Nauczyciele są brutalnymi zwyrodnialcami, którzy wykorzystują dzieci seksualnie i traktują je jak niewolników. Młodsze dzieci są terroryzowane przez bandy zdeprawowanych starszych dzieci. To jedno z najstraszliwszych miejsc, jakie w życiu widziałem.

- Ale kieruje nim NKWD... dla partii, a partia troszczy się o reedukację tych dzieci. Towarzysz Stalin powiedział...

- Nie! Nie rozumiesz! - Znowu krzyczał, a ona trochę się przestraszyła. Nigdy dotąd nie widziała go rozgniewanego. Zrzucił ją z siebie, zerwał się, wyciągnął z kieszeni marynarki kartkę papieru i zaczął czytać:

Państwowy Sierociniec dla Dzieci Zdrajców Ojczyzny imienia Feliksa Dzierżyńskiego to jeden z najwspanialszych przykładów odkupienia w naszym radzieckim raju. W urzekającym wiejskim otoczeniu niewinne dzieci, splamione tylko przypadkowym pokrewieństwem ze swoimi niegodziwymi rodzicami, zbrodnictwami terrorystami, podłymi szpiegami, gadami, szczurami i trockistowskimi mordercami, korzystają z dobrodziejstw cudownej, nowej radzieckiej edukacji. Nic dziwnego, że o szóstej, na porannej zbiórce, śpiewają radośnie „Międzynarodówkę”, skandują „Dziękujemy ci, towarzyszu Stalin, za szczęśliwe dzieciństwo!”, a potem zaczynają studiować „Krótki kurs”. Tymczasem w Małym Czerwonym Kąciku banda głodnych, brudnych, zbydłconych nastolatków zaczyna torturować czteroletnią dziewczynkę nożem sprężynowym i zapalniczką, a przekupny i zdeprawowany dyrektor Chan-czuk patrzy na to przez palce. Przed końcem dnia dziewczynka prawdopodobnie znowu zostanie zgwałcona przez te zdziczałe dzieci, odarte z wszelkiej wrażliwości i niewinności dzieciństwa. Nic dziwnego, ponieważ tego ranka dwoje dzieci obchodzących swoje dwunaste urodziny zostało

aresztowanych jako trockiści i japońscy szpiedzy i będzie skazanych na egzekucję lub ciężkie roboty w obozie...

Saszeńka zaniemówiła.

- Nie możemy tego wydrukować! Gdybym dała to Kławdii, mojej zastępczyni, natychmiast powiadomiłaby organizację partyjną, a oni zadencjonowałiby cię organom.

Benia milczał.

- Nie chcesz, żebym to oddała, prawda?

- Nie chcę umrzeć, jeśli to masz na myśli - ale nie chcę też być rosyjską gnidą. Nie spałem ostatniej nocy. Widziałem swoje dziecko w tym dantejskim piekle i obudziłem się z płaczem. Chcę, żebyś wspomniała o tym miejscu swojemu mężowi. - Jej mężowi. Zgodnie z wymyśloną książką Beni, „Radzieckim proletariackim podręcznikiem etykiety cudzołóstwa”, zgodzili się nigdy nie wspominać o Wani ani o żonie Beni, Katii.

- Nie jestem pewna, czy w ogóle powinnam wspominać o tobie swojemu mężowi.

- Nie przypuszczam, żeby był szczególnie zainteresowany, zwłaszcza jeśli nadal pracuje bez opamiętania nad tymi dyplomatami... - W jego głosie zabrzmiał ton, który jej się nie spodobał.

- Bez opamiętania? Pracuje bardzo ciężko.

- No cóż, wszyscy słyszeliśmy o jego ciężkiej pracy.

Saszeńka przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, użądlna boleśnie tymi słowami, które nie do końca rozumiała. Kochali się szaleńczo, a na najwyższym piętrze Metropolu było bardzo gorąco. Przeraził ją artykuł Beni, który przywołał tamtą piosenkę z jej pietrogradzkiej młodości:

Jestem sam i sierota, i nikt o mnie nic nie wie.

Wkrótce umrę, nikt za mnie nie zmówi modlitwy na grobie,

Tylko słowik czasami zaśpiewa w pobliżu na drzewie.

Benia znowu leżał obok niej i głaskał jej białe plecy, jego palce sięgały pomiędzy jej uda, ale strząsnęła jego rękę.

- Pogardzasz mną? - Jej ochryply głos drżał. *** Znowu westchnął.

- „Radziecki proletariacki podręcznik etykiety cudzołóstwa” mówi, że to najczęściej zadawane pytanie cudzołożnicy. Nie, tak naprawdę myślę o tobie jak najlepiej...

Rozpalona pożądaniem, wtoczyła się na niego, marząc o tym, żeby spędzić z nim noc, śpiewać razem z nim przy fortepianie i obudzić się u jego boku.

16

Ławrientij Beria wiedział, że nie wygląda dobrze w mundurze komisarza bezpieczeństwa państwowego pierwszej rangi. Nogi miał za krótkie do spodni z czerwonymi lampasami i wysokich butów, ramiona za szerokie, kark za gruby, ale czasami musiał zakładać ten śmieszny ubiór. Jego czarny buick z przyciemnianymi szybami wjechał przez bramę Spasską na Kreml, skręcił w plac Świętej Trójcy i zatrzymał się z piskiem przed budynkiem Sownarkomu. Procedury bezpieczeństwa w Kąciku, jak nazywano gabinet Stalina, były bardzo ściśle przestrzegane. Wydział ochrony podlegał bezpośrednio Stalinowi, toteż nawet ludowy komisarz spraw wewnętrznych musiał okazywać przepustkę i oddawać broń osobistą.

Beria przebywał w Moskwie zaledwie od dziesięciu miesięcy, na tyle krótko, by nadal cieszyć się swoją pozycją - choć doskonale zdawał sobie sprawę, że musi się bardzo starać, żeby ją utrzymać. Nie wątpił, że udźwignie każdy zakres obowiązków - był niezmordowany, mógł pracować bez snu.

Trzymając swoją skórzaną teczkę, Beria minął pierwszy posterunek i wszedł do gabinetu Aleksandra Poskriebyszowa, osobistego sekretarza Stalina. Tutaj musiał zostawić swój mauzer. Poskriebyszow, łysy karzeł o twarzy pawiana i czerwonej, jakby poparzonej skórze, zapisał jego wejście w księdze spotkań Gospodarza. Przywitał Bериę z szacunkiem, co oznaczało, że gość cieszy się łaskami Stalina.

- Wchodźcie! Gospodarz czeka - i jest w dobrym humorze.

Poskriebyszow świadczył tę uprzejmość ważnym gościom: informował ich o nastroju Stalina.

Pierwsze drzwi otworzyły się i wyszła grupa wojskowych oraz cywilów, trzymających deski kreślarskie. Beria zobaczył na nich czołgi i działa. Wojskowi i konstruktorzy spojrzeli na niego i pobladli: tak, był bezlitosnym mieczem Rewolucji. Powinni się go bać. Gdyby się nie bali, oznaczałoby to, że nie wykonuje dobrze swojej pracy.

Kiedy wyszli, Beria minął ostatni posterunek. Młodzi ludzie w błękitnych mundurach zaszalutowali.

Pokój był pusty. Beria wiedział, że Gospodarz jest teraz zaprzątnięty rozważaniem sytuacji europejskiej. Madryt, stolica Republiki Hiszpańskiej, właśnie padł,

a tym samym zniknęła ostatnia przeszkoda do dialogu z hitlerowskimi Niemcami. Wielka Brytania i Francja uległy Hitlerowi w Monachium i Gospodarz myślał o zasadniczej reorientacji swojej polityki. Dlatego właśnie wszczęto dochodzenie przeciwko byłym dyplomatom w Ludowym Komisariacie Spraw Zagranicznych - był to sygnał dla Berlina, że polityka radziecka się zmienia.

Poskriebyszow zamknął za nim drzwi.

Beria czekał w drzwiach wielkiego, prostokątnego gabinetu o wielu oknach. Pośrodku stał ogromny stół przykryty zielonym suknem. Po jednej stronie wisiały portrety Lenina i Marksa, a po drugiej (dodane ostatnio i zapowiadające rychłą wojnę) Kutuzowa i Suworowa. Lampa z zielonym abażurem oświetlała maskę pośmiertną Lenina, by przypominać gościom, że jest to najświętsza relikwia.

W drugim końcu pomieszczenia, za wielkim pustym biurkiem, otworzyły się małe drzwi, prawie niewidoczne w drewnianej boazerii, i do gabinetu wszedł Stalin, niosąc parującą szklanekę w srebrnym koszyczku. Berii zawsze imponowało połączenie zwierzęcej gracji, chłopskiej buńczuczności i przenikliwego intelektu Gospodarza. Wielki mąż stanu potrzebował wszystkich tych trzech cech.

- Ławrientiju, *gamajoba* - powiedział Stalin. Kiedy byli sami, rozmawiali po gruzińsku. W obecności Rosjan Stalin nie lubił rozmawiać w swoim ojczystym języku, ponieważ był rosyjskim przywódcą, a Gruzja była pomniejszą prowincją imperium rosyjskiego, „prowincjonalną dziurą”, jak ją kiedyś nazwał. Co innego, kiedy byli sami.

Stalin obdarzył Berię tygrysim uśmiechem.

- Ach, nowy mundur. Niezły, całkiem niezły. Siadaj. Jak Nina?

- Bardzo dobrze, dziękuję, towarzyszu Stalin. Przesyła wam pozdrowienia. - Beria wiedział, że Stalin lubi jego jasnowłosą żonę, Ninę.

- A twój syn, mały Sergo?

- Przyzwyczajają się do nowej szkoły. Wciąż pamięta, jak układaliście go do snu, kiedy był bardzo mały.

- Czytałem mu też bajki na dobranoc. Świetlana bardzo się cieszy, że Sergo jest w Moskwie. Czy Ninie podoba się dom, który dla ciebie wybrałem? Czy dostała te gruzińskie konfitury, które jej wysłałem? Jesteś szczególnie zaufanym odpowiedzialnym pracownikiem, potrzebujesz trochę przestrzeni. Potrzebujesz specjalnych warunków.

- Dziękuję wam i Komitetowi Centralnemu za zaufanie, dom i daczę. Nina jest zachwycona!

- Ale za konfitury mogłaby mi podziękować osobiście! - Roześmieli się.

- Wierzcie mi, Iosifie Wissarionowiczu - Beria z szacunkiem użył imienia i patronimikum Stalina - pisze do was list.

- Nie ma potrzeby. Siadaj.

Beria usiadł przy stole wyłożonym zielonym suknem, otworzył teczkę i wyjął plik papierów. Stalin siedział u szczytu stołu, mieszając herbatę. Włożył do niej plasterki cytryny.

- No dobrze, co masz dla mnie?

- Mamy dużo do omówienia, towarzyszu Stalin. Sprawa w ludowym komisariacie postępuje dobrze, a wśród starych dyplomatów są Niemiec, Polacy, Francuzi i Japończycy szpiegi.

- Kto nad tym pracuje?

- Kobałowa i Palicyn.

- Znamy Kobałowa. To słoń w sklepie z porcelaną, ale dobry pracownik. Zdejmuje jedwabne rękawiczki. Palicyn to dobry pracownik?

- Bardzo - odparł Beria, chociaż nie wybrał Palicyna, tylko go odziedziczył. - Tu są zeznania już podpisane przez więźniów. Towarzyszu Stalin, pytaliście o byłego barona Zeitlina, ojca żony Palicyna i brata dziennikarza Gideona Palicyna.

- Saszeńka Zeitlin-Palicyn jest porządną radziecką kobietą - powiedział Stalin.

Beria zauważył, że Gospodarz nie jest w nastroju do żartów o seksie, który to temat nigdy nie zniknął na dłużej ze świadomości szefa NKWD. Dzisiaj, jak się zorientował, Stalin miał umysł zaprzątnięty Europą Środkową. Przyglądał się, jak Gospodarz sączy swoją herbatę i wyjmując z wymiętej żółtej bluzy nową paczkę papierosów Hercegowina Flor. Otworzył ją, zapalił jednego i zaczął się bawić ołówkami na biurku.

- Czy ona i Palicyn próbowali się z nim skontaktować? - spytał Stalin. - Nie.

- Stawiają partię na pierwszym miejscu - powiedział Stalin, mierząc Berię surowym spojrzeniem. - Rozumiesz? To porządna radziecka dziewczyna, która się „przekuła” - mimo swojego pochodzenia i powiązań. Pamiętam, że widziałem ją piszącą na maszynie w gabinecie Lenina. Nie zapominaj, że sam Lenin był szlachcicem, wychowywał się w majątku ziemskim, jadł truskawki i barszki na sianie z wiejskimi dziewczynami.

Beria znał tę sztuczkę Gospodarza: tylko Stalin mógł krytykować Lenina, niczym jeden bóg szydzący z innego. Beria przybrał wstrząśnięty wyraz twarzy i oczy starego tygrysa zabłysły. Stalin był Leninem dnia dzisiejszego.

Beria położył na stole plik kartek.

- Pytaliście o miejsce pobytu Zeitlina. Ustalenie tego zajęło trochę czasu. Dwudziestego piątego marca 1937 roku został aresztowany na mój rozkaz w Tyflisie, gdzie

od swojej dymisji w 1930 roku mieszkał skromnie na zesłaniu z angielską żoną. Został przesłuchany...

- W jedwabnych rękawiczkach czy bez rękawiczek? - Beria zauważył, że Stalin szkicuje głowę wilka zieloną kredką na papierze z nagłówkiem *I.W. Stalin*. Nabazgrał słowo *Zeitlin*, a potem *rękawiczka*.

- Dostyc ostro. Nie prowadziliśmy hotelu! Ale do niczego się nie przyznał.

- Co? Ten słabeusz bez kręgosłupa wytrzymał obróbkę Kobałowa?

- Gdybym nie interweniował, Kobałow wdeptałby go w ziemię. Byk potrafi posunąć się za daleko.

- Dla dobra rewolucji wszyscy musimy czasem pobrudzić sobie ręce.

- Ja i moi chłopcy nie pracujemy w jedwabnych rękawiczkach. Zeitlin został skazany z artykułu pięćdziesiątego ósmego na *wyszkę* - był to eufemizm oznaczający egzekucję, najwyższy wymiar kary - jako trockistowski terrorysta, który spiskował, żeby zamordować towarzyszy Stalina, Woroszyłowa, Moło-towa i mnie.

- Nawet ciebie? Jesteś skromny! - powiedział Stalin z lekkim uśmiechem, ale potem westchnął trochę smutno. - Wszyscy popełniamy czasem błędy. Mamy w naszym kraju zbyt wielu potakiwaczy.

Beria przywykł do takich pytań. Stalin miał nadzwyczajną pamięć, ale nawet on nie mógł pamiętać wszystkich nazwisk na listach skazanych. Bądź co bądź, osobiście podpisał listy z dołączonymi do nich „albumami” - krótkimi biografiami i fotografiami skazanych na śmierć - zawierające 38 000 nazwisk wrogów. Od 1937 roku stracono około miliona ludzi, a jeszcze więcej zmarło w drodze do obozów lub w samych obozach. Beria był ciekaw, dlaczego Gospodarz interesuje się zapomnianym reliktem takim jak Zeitlin - chyba że Stalinowi spodobała się Saszeńka, a tutaj nie mógł mu zarzucić złego gustu. Gospodarz otaczał swoje prywatne życie głęboką tajemnicą, lecz Beria dowiedział się, że w przeszłości miał wiele romansów. Przyszła mu do głowy jeszcze jedna możliwość. Zeitlin prowadził kiedyś interesy w Baku i Tyflisie. Czy Stalin znał Zeitlina osobiście?

Nieważne; czasami Stalin wyrażał żal z powodu takich egzekucji.

- A więc Zeitlin nie żyje? - spytał, cieniując swoją głowę wilka.

- Nie, był na liście zawierającej 743 nazwiska, przygotowanej 15 kwietnia 1937 roku dla was i dla Politbiura przez narkoma NKWD. Zatwierdziliście wszystkie wyroki, ale przy nazwisku Zeitlina postawiliście ptaszka.

- Jeden z moich ptaszków? - mruknął Stalin.

Beria wiedział, że taki drobny sygnał od Gospodarza - znaczek na kartce papieru, ton głosu albo zmarszczenie brwi - mógł odmienić czyjś los.

- Tak. Zeitlin nie został stracony, lecz zesłany do Worku ty, gdzie leży teraz w obozowym szpitalu z zapaleniem płuc, dusznicą bolesną i dyzenterią. Pracował jako księgowy w obozowym sklepie.

- Ci burzuje zawsze potrafią się wykić, jak widzę - powiedział Stalin.

- Był ciągle chory.

- Skrzypiąca brama jest często najmocniejsza.

- Może nie przeżyje.

Stalin wzruszył ramionami i wypuścił dym.

- Ławrientiju Pawłowiczu, czy naprawdę myślicie, że Zeitlin stanowi jeszcze jakieś zagrożenie? Przyjdźcie wieczorem na obiad do Kuncewa. Przyjdzie reżyser Cziaureli i jacyś zepsuci gruzińscy aktorzy. Oczywiście jeśli macie czas - wiem, że jesteście zajęci.

Stalin pchnął teczkę przez biurko, a Beria wiedział, że to znak, iż powinien odejść. Spotkanie dobiegło końca.

17

Kiedy stryj Saszeńki, Gideon Zeitlin, przy swoim stoliku w moskiewskim Klubie Pisarzy skończył swój zwykły obiad - na który składał się barszcz, solony śledź i kotlety cielęce - włożył kapelusz i wyszedł na ulicę. Jadł z kolegami: jednym z ulubionych autorów Stalina, „Czerwonym Hrabia”, służalczym, światowym i tłustym Aleksiejem Tołstojem, specjalizującym się obecnie w powieściach historycznych o bezwzględnych carach; Fadiejewem, zapijaczonym sekretarzem Związku Pisarzy; Ilją Erenburgiem, hałaśliwym powieściopisarzem; i własną urodziwą córką Muszką, obecnie wykładowcą na uniwersytecie. Te literackie lwy cieszyły się teraz swoimi przywilejami, jedzeniem, winem, daczami w Pie-riediełkinie, wakacjami w Soczi - ponieważ przeżyły straszne lata 1937-1938.

Później Gideon, olbrzym z kłującą brodą, potężną szczęką i rozbieganymi czarnymi oczami, wybrał się na spacer z Muszką. Było lato. Po ulicach przechadzały się dziewczęta.

- Muszko, czy zauważyłaś, że do niedawna wszystkie ubierały się jak pruderyjne zakonnice? - spytał Gideon. - Dzięki Bogu, to już skończone! Sukienki są coraz krótsze, rozcięcia coraz głębsze. Uwielbiam lato!

- Ale z ciebie *momzer* - zadrwiła Mniszka, nazywając go nicponiem w jidysz, jak za dawnych czasów. - Przestań patrzeć. Jesteś za stary.

- Masz rację. Jestem za stary, ale mam trochę w czubie i wciąż mogę patrzeć. I wciąż mogę to robić!

- Nie masz wstydu.

-Ale kochasz mnie, prawda, Muszko? - Gideon trzymał Muszkę za rękę. Jego córka miała już trzydzieści kilka lat, męża i dzieci, ale wciąż wyglądała pięknie, z czarnymi oczami, gęstymi czarnymi włosami i mocnymi kośćmi policzkowymi. Gideon był dziadkiem, ale co tam! Tego maja po Moskwie spacerowały tłumy dziewcząt, a stary koneser napawał się odsłoniętymi nogami, nagimi ramionami i nowymi trwałymi ondulacjami - och, wciąż mógł smakować ich skórę. Postanowił zadzwonić do swojej nowej kochanki, Maszy, dziewczyny, którą przyprowadził na przyjęcie Saszeńki. Masza, zadumał się, była jedną z tych łagodnych, łatwych dziewcząt, które byłyby nudne, gdyby nie ich szalony apetyt na seks we wszystkich jego odmianach. Właśnie odgrywał w głowie pikantną scenę, kiedy uświadomił sobie, że Muszka ciągnie go za rękę.

-Tato! Tato!

Tuż obok nich zatrzymała się biała emka. Kierowca pomachał do Gideona, a pasażer, młody człowiek w workowatym brązowym garniturze, okrągłych okularach i z bujną czupryną, wyskoczył z samochodu i otworzył tylne drzwi.

- Gideonie Mojej ewiczu, możemy porozmawiać? To nie potrwa długo. Muszka zbladła jak płótno. Gideon złapał się za serce, a ładne dziewczęta odplynęły z jego pola widzenia.

- Jeśli nie czujecie się dobrze, możemy porozmawiać innym razem - powiedział młody człowiek, przyglądając cienki rudy wąs.

- Tato, wszystko w porządku? - spytała Muszka. Gideon wypiął potężną pierś i skinął głową.

- To prawdopodobnie tylko rozmowa, kochanie. Zobaczymy się później. To rutyna, powiedział sobie. Nie ma się czym martwić. Za kilka godzin znowu będzie z Muszką.

* * *

Patrząc, jak ojciec wsiada do samochodu, Muszka miała straszne przecucie, że już go więcej nie zobaczy. Gdzie był jej stryj Samuel? Zniknął. Połowa przyjaciół jej ojca zniknęła. Najpierw ich prace były wyszydzane w gazetach, potem ich mieszkania zostały przeszukane i opieczętowane. Kiedy spotykała ich później, ledwo mogła ich poznać. Nosili na sobie piętno śmierci. Wreszcie oni też zostali aresztowani i zniknęli. Ale Gideon wciąż żył i Muszka widziała, że jest mistrzem przetrwania. Robił to, co musiał, chociaż jego związki rodzinne były w najwyższym stopniu obciążające. Prze-

żył tylko dlatego, że towarzysz Stalin ceniał podobno jego twórczość i jego znajomości wśród europejskiej inteligencji.

Patrzyła, jak samochód rusza z ostentacyjnym piskiem opon i jedzie pod górę, w stronę Łubianki. Zanim straciła go z oczu, ojciec odwrócił się i przesłał jej całusa przez tylną szybę.

Muszka pobiegła do budki telefonicznej i zadzwoniła do kuzynki.

- Saszeńka? Tata nieoczekiwanie zachorował. - Wiedziała, że więcej nie musi mówić.

- W którym jest szpitalu?

- W tym na szczycie wzgórza.

18

W swoim mieszkaniu przy ulicy Granowskiego Saszeńka bawiła się z dziećmi w bawialni. Niania Karolina zrobiła im grzanki z dżemem brzoskwińowym do herbaty, a teraz smażyła cielecą wątróbkę na kolację. Wania miał być w domu o siódmej, ale się spóźnił, a Satinow i jego ciężarna żona, Tamara, już przyszedli na kolację.

- Co się stało? - spytał Satinow, gdy tylko zobaczył jej wystraszoną twarz.

- Herkulesie, mogę ci pokazać nasz nowy samochód?

Saszeńka wiedziała, że Satinow w lot zrozumiał ten szyfr. Zostawiając Tamarę z dziećmi, zjechali windą na dół i wyszli na podwórze, gdzie pod czujnym okiem dozorczy i strażnika z NKWD stał sznur luksusowych limuzyn. W domu przy Granowskiego mieszkali teraz takie osobistości, że przed bramą postawiono drewnianą wartownię.

Gromada starszych mężczyzn i kobiet siedziała na płóciennych leżakach - mężczyźni w filcowych kapeluszach, białych kamizelkach i szortach, odsłaniający obwisłe brzuchy i zarośnięte torsy, otyłe kobiety w tanich sandałach i letnich sukienkach, szerokie w biodrach, z białą skórą opaloną na czerwono. Mężczyźni czytali gazety albo grali w szachy, kobiety rozmawiały, pokazywały sobie coś palcami, śmiały się i szeptały.

W samym środku siedziała Marfa, matka Wani, radosny mors w słomkowym kapeluszu.

- Hej, to moja synowa - zawołała ochryple Marfa. - Saszeńko, właśnie im opowiadam o pierwszomajowym przyjęciu i o tym, kto przyszedł z wizytą. Nie chcą mi uwierzyć.

Teść Saszeńki, Nikołaj Palicyn, wskazał z dumą na synową.

- Rozmawiała z NIM! - powiedział. - Z NIM! - Wzniósł oczy do nieba. - Ale ON powiedział, że bardzo podziwia Wanię! - dodała matka Wani. Saszeńka spróbowała się uśmiechnąć, ale rodzice Wani stanowili ciągle

źródło zagrożenia. Bywalcy podwórza byli na swój sposób starannie dobrani: przesiadywali tam wszyscy rodzice przywódców, ale powtarzanie plotek było lekko-myślnością i mogło się skończyć fatalnie.

- Czołem, towarzyszu Satinow - zawołali Palicynowie.

Satinow pomachał im. Wyglądał niezwykle elegancko w swojej bluzie i butach z cholewami.

- Pokazuję Herkulesowi nowy samochód - powiedziała Saszeńka. - Czy możesz w to uwierzyć? - szepnęła. - Jak sprawić, żeby się zamknęli?

- Nie martw się, Wania ich uciszy. A teraz powiedz mi, co się stało.

- Dzwoniła Muszka. Aresztowali Gideona. Myślałam, że to już koniec, z wyjątkiem specjalnych przypadków. Myślałam...

- W zasadzie to koniec, ale taki mamy teraz system. To się nigdy nie skończy. W ten sposób zapewniamy bezpieczeństwo Związkowi Radzieckiemu, a żyjemy w bardzo niebezpiecznych czasach. To prawdopodobnie nic takiego,

Saszeńko. Gideon nigdy nie liczył się z nikim i z niczym. Pewnie się upił, opowiedział jakiś głupi dowcip albo uszczypnął nadętą żonę Mołotowa. Pamiętaj: nic nie rób i nic nie mów.

Nadjechał buick i kierowca otworzył drzwi.

- To Wania.

Saszeńka nie była zaskoczona, że jej mąż jest blady, nieogolony i zmęczony - wszystko przez te długie godziny pracy i ciągle napięcie.

- Co się stało? - spytał, zanim jeszcze pocałował Saszeńkę i przywitał się z Satinowem.

- Idę na górę pobawić się z dziećmi - powiedział Satinow.

- Wiesz o aresztowaniu Gideona? - spytała Saszeńka męża, znowu udając przed starcami i wartownikami, że ogląda samochód.

Wania ujął jej drobne dłonie.

- Bądź spokojna, w tym momencie są ze mnie bardzo zadowoleni. Nie znam szczegółów, ale wspomnieli mi o tym. a ja powiedziałem: „Niech nasi towarzysze go sprawdzą”. Rozumiesz? Obiecuję ci, że to nas w żaden sposób nie dotknie.

Saszeńka popatrzyła na szczerą, robotniczą twarz Wani, jego pomarszczone czoło i wygnieciony mundur. Ulżyło jej, że nic im nie grozi. Gideon to szczególny przypadek, powiedziała sobie, europejski pisarz, który zna cudzoziemców, który odwiedzał burdele w Paryżu i udzielał wywiadów do angielskich gazet. Znowu była wdzięczna mężowi, który dawał jej poczucie bezpieczeństwa. Potem przypomniała sobie sarkastyczną uwagę Beni o jego pracy, co z kolei przywołało wspomnienie warg Beni na jej ciele. Dreszcz przebiegł jej po plecach.

Na górze Śnieżynka i Karło gonili Satinowa po całym mieszkaniu. Saszeńka weszła w momencie, kiedy go złapali i zaczęli łaskotać.

- Powiedz mi, wujku Herkulesie - poprosiła Śnieżynka, siadając okrakiem na swoim ojcu chrzestnym - gdzie mieszkają poduszki?

- W Poduszkonii, oczywiście. - Satinow pomagał Śnieżynce budować jej fantastyczny świat. - A czy są leśne poduszki, podniebne poduszki albo morskie poduszki?

- Herkulesie, jesteś nadzwyczajny - powiedziała Saszeńka. - Będziesz cudownym ojcem!

- Kocham te dzieci - odparł Satinow i poddał się im całkowicie, pozwalając, żeby Karło ściągnął mu buty.

Karolina przyszła oznajmić, że kolacja gotowa.

19

Gideon siedział zdrtwiałym ze strachu, kiedy samochód przejeżdżał przez plac Czerwony i plac Rewolucji, a potem wspinał się pod górę w stronę Łubianki. Pociemniało mu w oczach, gdy pięć masywnych kondygnacji z szarego granitu i trzy z żółtej cegły rzuciły cień na samochód, który skręcił w boczną bramę więzienia na Łubiance.

Jego umysł pracował nieprzerwanie. Pomyślał ze skrucą o swoim bracie, którego nie widział od prawie dziesięciu lat i do którego nie telefonował od 1935 roku. Samuel z pewnością rozumiał, że byłoby ryzykowne dla nich obu, gdyby pozostawali w kontakcie. Ale gdzie był teraz?

Gideon przypomniał sobie brata w rezydencji przy ulicy Bolszaja Morskaja, w gabinecie wypełnionym angielskimi bibelotami, postukującego swoim krzesłem. Czy to możliwe, że odszedł w niebyt?

Gideon bezwiednie pochylił głowę i szeptem odmówił kadysz za brata, zdumiony, że w ogóle pamięta tę starą żydowską modlitwę za zmarłych... W obliczu śmierci wraca się do dzieciństwa, do rodziny. Gideon uświadomił sobie, że kocha

swoją córkę Muszkę bardziej niż kogokolwiek na świecie. Czy Muszka mnie zrozumie, czy będzie o mnie pamiętać, kiedy dostanę siedem gramów ołowiu w tył głowy? - zastanawiał się. Ból w piersi był nie do zniesienia. Gideon prawie płakał ze strachu.

- Jesteśmy na miejscu! - Młody człowiek uśmiechnął się do Gideona. Nie traktował go jak więźnia. Wręcz przeciwnie, umundurowany czekista - jak nazywano wszystkich funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa na cześć leninowskich „rycerzy rewolucji” - otworzył drzwi i pomógł mu wysiąść z samochodu. No cóż, jestem literacką znakomitością, pomyślał Gideon, ożywiając się trochę. Nie ma lepszego lekarstwa niż sława.

Zauważył kilka zaparkowanych buicków i zisów. To nie był dziedziniec, gdzie przywożono nowych więźniów.

Młody człowiek wprowadził Gideona przez podwójne drewniane drzwi do marmurowej sieni, a później ruszyli wykładanym boazerią korytarzem z niebieskim chodnikiem pośrodku. Wokół uwijali się funkcjonariusze w mundurach NKWD i sekretarki. Wyglądało tu jak w każdym innym urzędzie państwowym. Gideon poczuł ulgę, że nie zabrano go do więzienia wewnętrznego, ale wciąż głowił się nad powodem tego wezwania. Co ostatnio napisał? Co powiedział? Czy w Europie działo się coś, co mogło go dotyczyć? Był Żydem, a oni właśnie wylali Litwinowa, ludowego komisarza spraw zagranicznych, też Żyda. Czyżby Żydzi wypadli z łask? Czy Związek Radziecki zbliżał się do Hitlera?

Jeśli mam umrzeć, to czy przynajmniej zerznąłem dość kobiet? - pomyślał nagle Gideon. Nigdy dość! Poczul piekący ból w piersi i stracił oddech.

- To mój gabinet - powiedział młody człowiek, jego wypomadowane włosy wznosiły się idealnie wymodelowaną falą nad różowym czołem. - Jestem śledczy Mogilczuk z wydziału spraw ważnych Głównego Zarządu Bezpieczeństwa Państwowego. Dobrze się czujecie? Proszę! - Podsunął Gideonowi pudełeczko. - Nitroglicerynę? Widzicie, spodziewaliśmy się was.

Gideon połknął dwie tabletki i ból w piersi ustąpił.

Piegowata rudowłosa dziewczyna z dużym biustem i rozcięciem z boku spódnicy siedziała w przedpokoju, pisząc na maszynie. Nawet tutaj zawędrował myślą pod jej spódnicę, by po raz pierwszy dotknąć nowej... Na jej biurku stały kwiaty. Wzięła od Gideona kapelusz.

- Wejdźcie, Gideonie Mojsiejewiczu - powiedział śledczy Mogilczuk; był przystojny i młody. Kiedy usiedli, piegowata dziewczyna przyniosła im obu herbatę i zamknęła drzwi.

- Dziękuję, że przyszliście, obywatelu Zeitlin - zaczął Mogilczuk, sięgając po papier i pióro. Gideon czuł kokosową słodycz tej cholernej pomady w rudych włosach

młodzieńca. - Będę robił notatki. Nawiasem mówiąc, widzieliście nowy film Romma, *Lenin w 1918 roku* Jako młody wielbiciel waszego piarstwa zastanawiałem się, co o nim myślicie?

Gideon omal nie zakrztusił się herbatą: czy ci idiooci sprowadzili go tutaj na pogawędkę o filmach? Nie, oczywiście, że nie. Od lat dwudziestych Czeka posługiwała się wyrafinowanymi pseudointelektualistami, aby łamali prawdziwych. Ten piegowaty młodzieniec był po prostu przedstawicielem nowego pokolenia.

- *Lenin w 1918 roku* to wspaniały film, a Stalin został w nim pięknie przedstawiony w zestawieniu ze zbrodniczym terrorystą Bucharinem - odparł.

- Znać Romma, oczywiście. A co z *Aleksandrem Newskim* Eisensteina?

- Eisenstein to wielki artysta i mój przyjaciel. Film pokazuje, że bolszewizm jest całkowicie zgodny z charakterem narodu rosyjskiego i jego walką z naszymi wrogami.

- Interesujące - powiedział śledczy, gładząc swoje rude wąsy. - Muszę się przed wami przyznać, że sam jestem pisarzem. Może czytaliście mój zbiór opowiadań detektywistycznych wydanych pod nazwiskiem M. Służba? Jedno z nich zostało zaadaptowane na scenę i będzie wkrótce wystawione w Teatrze Artystycznym.

- Ach, tak - odparł Gideon, który przypominał sobie jak przez mgłę recenzję z tomu banalnych detektywistycznych historyjek pióra niejakiego Służby w jakimś grubym czasopiśmie. - Uważam, że te opowiadania mają w sobie posmak realizmu.

Mogilczuk uśmiechnął się szeroko.

- Pochlebiacie mi! Dziękuję wam, Gideonie Mojsiejewiczu, w waszych ustach to komplement. Chętnie przyjmę wszelkie opinie. - Przesunął ręką nad leżącymi przed nim papierami, ale nie zmienił tonu. - A teraz pozwólcie, że na początek pokażę wam to. - Pchnął plik papierów w stronę Gideona.

- Co to jest? - Gideona znów opuściła pewność siebie.

- To są zeznania waszych bliskich przyjaciół złożone w ostatnich kilku latach. Gideon przejrzał strony zapisane na maszynie na specjalnym papierze NKWD, wszystkie z podpisem w rogu.

- Jesteście znanym człowiekiem i pojawiać się często w tych zeznaniach - wyjaśnił młodzieniec ochotczo, niemal z podziwem. - Wszyscy o was wspominają. Spójrzcie na te protokoły przesłuchań i sami zobaczcie!

Czy ta wiedźma patrząca na niego błędnym wzrokiem z fotografii naprawdę mogła być tamtą smukłą Łarissą, której gardłowy śmiech i rozkoszne piersi tak dobrze zapamiętał z wakacji w sanatorium Muchałowka na Krymie zaledwie cztery lata temu? Naprawdę zeznała, że planował zabić towarzysza Stalina? Ale potem przypomniał sobie, że sam zadenuncjował Łarissę na zebraniach Związku Pisarzy jako zdraj-

czynię, zmiję i szpiega, którego należy rozstrzelać razem z Zinowjewem, Kamieniem i Bucharinem. I nikt go do tego nie zmuszał torturami.

Gdzie teraz są ci jego dawni przyjaciele? Czy wszyscy nie żyją? Gideon ledwo mógł złapać oddech ze strachu, przed oczami latały mu żółte plamy.

Poza tym wygodnym słonecznym gabinetem z tym obłudnym radzieckim Nowym Człowiekiem z wypomadowanymi włosami znajdowały się dziesiątki korytarzy i gabinetów, gdzie mali tyrani wyrastali na wielkich tyranów, gdzie ambitne miernoty stawały się zawodowymi oprawcami. I gdzieś w tej otchłani cierpienia znajdowało się więzienie wewnętrzne z celami, gdzie zginęli jego przyjaciele, gdzie może zginąć także on. Gideon był zdumiony złem tego świata.

- To wszystko jest wierutnym kłamstwem - powiedział. - Zaprzeczam tym bzduram.

Młodzieniec uśmiechnął się uprzejmie.

- Nie będziemy teraz o tym dyskutować. Chcemy po prostu porozmawiać. O waszym krewnym, Mendlu Barmakidzie.

- Mendel? Co z Mendlem? To ważny człowiek.

- Dobrze go znacie?

- To brat nieżyjącej żony mojego brata. Znam go od czasu, kiedy się pobrali.

-I podziwiacie towarzysza Mendla?

- Nie jesteśmy przyjaciółmi. Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi. Moim zdaniem to idioota! - Gideon odetchnął z ulgą połączoną z poczuciem winy. Nigdy nie lubił Mendla, który odrzucił dwie jego sztuki w Teatrze Małym - ale nie, nie życzył takiego losu żadnemu człowiekowi. Z drugiej strony, Gideon przekroczył już pięćdziesiątkę i nigdy nie pragnął bardziej korzystać z życia. Kto kocha życie tak jak ja, zastanawiał się, kto bardziej ode mnie zasługuje na to, żeby żyć? Podziękował Bogu, że chcieli dostać Mendla, a nie jego! .

- Gdzie ostatnio widzieliście towarzysza Mendla?

- W domu Palicynów w wieczór pierwszomajowy.

- Rozmawialiście z nim?

- Nie.

- Z kim on rozmawiał?

- Nie pamiętam. Nie zwracałem na niego uwagi. On mnie nie aprobuje. Nigdy nie aprobował.

Gideon zauważył, że śledczy wciąż nazywa Mendla „towarzyszem”, co oznaczało, iż po prostu bada grunt. Ci oprawcy zawsze próbowali dołączyć jakieś wielkie nazwiska do swoich wymagowanych spisków. Właśnie dlatego wszyscy starzy

przyjaciele go zadenuncjowali: NKWD dawało mu do zrozumienia, że stąpa po kruchym lodzie. W porządku, pomyślał. Mieli go w garści i dobrze!

- Towarzysz Mendel też pojawia się w wielu zeznaniach, które tu mamy. Czy towarzysz Mendel wspomina o swojej działalności rewolucyjnej w podziemiu? O swojej roli w 1905 roku? Na zesłaniu? W Baku? W Piotrogradzie? W pierwszych dniach 1917 roku? Czy chełpi się swoimi wyczynami?

- Przez cały czas. Do znudzenia. - Gideon, z rękami splecionymi na tłustym brzuchu, roześmiał się tak serdecznie i nieoczekiwanie, że młody śledczy też się roześmiał, wysokim i piskliwym kwikiem. - Znam te wszystkie historie na pamięć. On nie tyle się chełpi, ile nieustannie truje.

- Chcecie jeszcze herbaty, obywatelu Zeitlin? Może trochę ciasta? Owoców? Bardzo sobie cenimy te przyjacielskie pogawędki. Opowiedzcie mi o tym.

Młodzieniec rozłożył ręce. Gideon poczuł się pewniej.

- Chętnie wam opowiem te stare historie, ale jeśli potrzebujecie informatora, nie nadaję się do takiej roboty...

- Doskonale rozumiem - odparł Mogilczuk łagodnie, zbierając swoje teczki. Wypadła z nich fotografia. Serce zamarło Gideonowi w piersi. To była Muszka, jego ukochana córka, spacerująca z Rowińskim, dyrektorem

Teatru Komsomolskiego, który zniknął w 1937 roku. Mogilczuk szybko podniósł fotografię i schował ją do teczki.

- To była Muszka - krzyknął Gideon.

- Ze swoim kochankiem, Rowińskim. Wiecie, gdzie jest teraz Rowiński? Gideon potrząsnął głową. Nie miał pojęcia o romansie Muszki - ale ona była taka jak on. Musiał chronić swoją ukochaną córkę.

Mogilczuk rozłożył ręce, jakby przesypywał się przez nie piasek.

- Chcecie usłyszeć wszystkie historie o Mendlu? - spytał Gideon. - To może potrwać całą noc!

- Nasze państwo może oddać do waszej dyspozycji całą wieczność, jeśli sobie życzycie. Tęsknicie za Maszą, tą swoją małą ptaszyną? Jest dla was o wiele za młoda i taka wymagająca! Przyprawi was o zawał serca. Nie, będzie dla was znacznie zdrowiej, jeśli pomyślicie o swojej córce i opowiecie nam te historie o Mendlu.

Minęły dwa dni. Na Patriarszych Prudach w upalny wieczór pary spacerowały jak różowe cienie wokół chłodnych stawów, trzymając się za ręce pod drzewami. Żwir chrząścił pod stopami, w powietrzu rozbrzmiewał śmiech, a ktoś grał na akordeonie. Dwaj starzy mężczyźni wpatrywali się nieruchomo w szachownicę.

Saszeńka, w białym kapeluszu i opiętej na biodrach białej sukience, kupiła dwie porcje lodów i podała jedną Beni Goldenowi. Szli osobno, ale nietrudno było się domyślić, że są kochankami, ponieważ ich ciała poruszały się zgodnym rytmem, jakby połączone niewidzialnymi nićmi.

- Jesteś zajęty? - spytała.

- Nie, nie mam właściwie nic do roboty i żadnych pieniędzy na dodatek. Ale - zniżył głos do szeptu - piszę przez cały dzień na twoim cudownym papierze! Możesz przynieść więcej? Jestem taki szczęśliwy, że cię widzę. Pragnę cię znowu całować, cieszyć się tobą.

Westchnęła, przymykając oczy.

- Mam mówić dalej?

- Nie wierzę, że chcę cię słuchać - ale chcę.

- Chcę ci powiedzieć coś szalonego. Chciałbym uciec z tobą nad Morze Czarne. Chciałbym spacerować z tobą brzegiem morza w Batumi. Na promenadzie jest pianola, która gra wszystkie nasze ulubione romanse i mógłbym śpiewać do wtóru, a po zachodzie słońca moglibyśmy siedzieć w kawiarni Mustafy i całować się. Nikt by nam nie przeszkadzał, a o północy moi znajomi Tatarzy zabraliby nas łodzią do Turcji...

- A co z moimi dziećmi? Nie mogłabym ich zostawić.

- Wiem, wiem. To jeden z twoich powabów.

- Jesteś bezwstydnie perwersyjny, Beniu. Co ja mam z tobą zrobić?

- Jesteś cudowną matką. Ja przez całe życie zachowywałem się źle - ale ty nie. Jesteś prawdziwą kobietą z krwi i kości, partyjną matroną, redaktorką, matką. Powiedz mi, jak magazyn?

- Mnóstwo pracy. Komitet kobiet planuje galę na sześćdziesiąte urodziny Stalina w grudniu; przygotowujemy wydanie specjalne na święto rewolucji; udało mi się zapisać Śnieżynkę na pierwszy obóz pionierów w Arteku - już marzy o swojej czerwonej chuście. A co najważniejsze, Gideon wrócił do domu.

- Ale wciąż może być zagrożony, wiesz. Mogą się nim bawić jak rybką na haczyku.

- Nie, Wania mówi, że wszystko będzie dobrze. Towarzysz Stalin powiedział na zjeździe...

- Dość tych partyjnych frazesów, Saszeńko - przerwał jej gwałtownie Benia. - Nie mamy czasu na rozmowy o twoich zjazdach. Jest tylko teraz! Tylko my.

Skręcili za róg i nagle zostali sami. Saszeńka wzięła go za rękę.

- Tęsknisz za mną?

- Codziennie. Bez przerwy.

- To dlaczego masz takie psotne i przebiegłe spojrzenie? Dlaczego mnie tu zwa-
biłeś?

Zbliżali się do bramy, która prowadziła na podwórze. Sprawdziwszy, czy nikt ich nie śledzi, Benia pociągnął ją za sobą do bramy, przez podwórze i do ogrodu, gdzie stała rozklekotana szopa ogrodowa, w rodzaju tych, w których emeryci przechowują nasiona geranium. Błysnął kluczem.

- To nasza nowa dacza.

-Szopa?

Roześmiał się.

- Przejawiasz burżuazyjną moralność.

- Jestem komunistką, Beniu, ale kiedy się kocham, nie mogłabym być bardziej arystokratyczna, nawet gdybym chciała!

- Wyobraź sobie, że to sekretny pawilon księcia Jusupowa albo hrabiego Szere-
mietiewa. - Otworzył drewniane drzwi. - Spójrz! Wyobraź sobie!

- Jak mogłeś pomyśleć choćby przez chwilę, że ja... - Saszeńka uświadomiła so-
bie, że dni, kiedy sypiała z Wanią na spartańskiej pryczy w ich maleńkim pokoiku w Szóstym Domu Rad, dawno minęły. Była bolszewikiem - ale zasłużyła też na trochę luksusu. - Tu wszystko jest zbutwiałe i cuchnie nawozem.

- Nie, to nowe perfumy *madame* Chanel.

- To mi wygląda na widły!

- Nie, baronowo Saszeńko, to inkrustowane diamentami widły zrobione dla samej
imperatorowej przez słynnych rzemieślników z Drezna.

- A co to za obrzydliwa stara szmata?

- Ten koc? To podszyte jedwabiem szynszylowe futro dla wygody baronowej.

- Nie wejść tam - oświadczyła Saszeńka stanowczo. Golden posmutniał, ale nie
dał za wygraną.

- A gdybym ci powiedział, bez żadnych wygłupów, że te drzwi zaprowadzą nas
do tajemnego świata, gdzie nikt nas nie zobaczy ani nie dotknie i gdzie będę cię ko-
chał bardziej niż samo życie? To nie pałac, wiem. To być może tylko nędzna ogrodo-
wa szopa, ale jest to szopa, gdzie chciałbym cię wielbić i pieścić, nie tracąc ani sekun-

dy mojego krótkiego życia na tym strasznym świecie. Może to brzmi głupio, ale zjawiała się w lecie mojego życia. Nie jestem stary, ale nie jestem już młody i znam siebie. Jesteś jedyną kobietą w moim życiu, kobietą, którą będę pamiętał w godzinie śmierci. - Wyglądał bardzo poważnie, kiedy wręczył jej książkę, którą wyciągnął z marynarki - tomik Puszkina. - Przygotowałem to, żebyśmy nigdy nie zapomnieli tej chwili.

Otworzyła ją, a strona z jej ulubionym wierszem, *Talizmanem*, była założona za suszoną orchideą.

Zaczął recytować:

*Strzeż mojego talizmanu –
W nim jest tajemnicza siła,
Bo z miłości tobie dany!*

- Nigdy nie przestaniesz mnie zaskakiwać - szepnęła Saszeńka. Była tak wzruszona i tak rozpaczliwie pragnęła go pocałować, że drżały jej ręce. Weszła do szopy i nogą zatrzęsnęła drzwi. Wszystko tam - narzędzia, nasiona i jakieś stare buty - wydawało się tak samo żywe i pełne miłości jak ona.

Benia wziął ją w ramiona i wyczytała z jego oczu, z jego ust, że naprawdę ją kocha i że ta chwila w ich prywatnym świecie jest jednym z tych przeblysków świętości, które zdarzają się raz albo dwa razy w życiu, a czasami nie zdarzają się wcale. Chciała ją pochwycić, przechować na wieczność w pamięci, aby zawsze mogła po nią sięgnąć i przeżywać ją wciąż na nowo, ale była tak zauroczona, że nie mogła nawet zatrzymać tej myśli. Objęła go i pocałowała, całowała go bez końca, aż zrobiło się późno i musieli iść do domu. Ale nawet kiedy się rozstali, powtarzała sobie: *Strzeż mojego talizmanu/W nim jest tajemnicza siła/Bo z miłości tobie dany*. I ledwo mogła uwierzyć w swoją radość i szczęście, że ktoś naprawdę wypowiedział te słowa dla niej.

21

- Co tam? Poskarżę się komitetowi blokowemu. Dostyc tych hałasów! Jest trzecia rano! - krzyknął Mendel Barmakid, członek Komitetu Centralnego, członek Orgbiura, zastępca przewodniczącego Centralnej Komisji Kontroli, deputowany do Rady Naj-

wyższej. Jego córkę Lenę też obudziło walenie do drzwi i jeszcze przez chwilę leżała, śmiejąc się z absurdalnie operowego gniewu ojca, wyobrażając go sobie w starym szlafroku, nadjeżdżonym przez mole i poplamionym. Słyszała, jak otwiera drzwi ich mieszkania w rządowym Domu nad rzeką Moskwą.

- Co się dzieje, Mendel? - zawołała żona Mendla, Natasza.

Teraz matka też się obudziła, pomyślała Lena, matka - pulchna Jakutka o eskimoskich rysach w długim niebieskim kaftanie. Jej rodzice z kimś rozmawiali. Kto to mógł być?

Lena wyskoczyła z łóżka, włożyła szkarłatne kimono i okulary i pospieszyła do drzwi frontowych.

Zobaczyła ojca, który przecierał zaczerwienione oczy i wpatrywał się w olbrzyma w mundurze NKWD. Bogdan Kobułow, w lśniących butach i niebieskim mundurze ze szkarłatnymi wyłogami, trzymający w jednej upierścienionej dłoni szpicrutę, a w drugiej mauzer z kolbą wysadzaną drogimi kamieniami, patrzył z góry na troje Barmakidów. Nie był sam.

- Kto to jest? Czego oni chcą, tato?

Zanim Mendel zdążył odpowiedzieć, Kobułow wkroczył do przedpokoju, niemal oślepiając Lenę swoją wyciskającą łzy z oczu turecką wodą kolońską.

- Dobry wieczór, Mendel. Z polecenia Komitetu Centralnego pójdziesz z nami - powiedział z ledwo wyczuwalnym gruzińskim akcentem. - Musimy przeszukać mieszkanie i opieczetować twój gabinet.

- Nie zabieracie go - zaprotestowała Lena, zagradzając przejście.

- Spokój! Odsuń się - powiedział Kobułow zdumiewająco wysokim głosem. - Jeśli będziecie marnować mój czas i robić trudności, wdepczę was wszystkich w ziemię, łącznie z tą małą szkapą. Będzie lepiej dla was, jeśli załatwimy to grzecznie. Jak pewnie się domyślacie, ja też wolałbym robić coś innego o tej porze nocy. - Naprężył muskuły.

Lena wpatrywała się nachmurzona w klejnoty i kręcone włosy oprawcy, ale ojciec położył rękę na jej ramieniu i łagodnie odsunął ją na bok.

- Dziękuję, Władleno - zadrwił intruz z promiennym uśmiechem. Pełne rewolucyjne imię Leny, Władlena, było skrótem od Władimira Lenina.

- Dobry wieczór, towarzysze - powiedział Mendel z polsko-żydowskim akcentem, którego się nigdy nie wyzbył. - Jako bolszewik od 1900 roku podporządkuję się wszystkim poleceniom Komitetu Centralnego.

- Dobrze! - uśmiechnął się szyderczo Kobułow.

Lena, która miała dwadzieścia lat i studiowała na uniwersytecie, czuła, że ten niewykształcony prostak z jakiejś gruzińskiej wioski nienawidził starych bolszewików, radzieckiej arystokracji, z jej bibliotekami, afektowanymi pozami i intelektualnymi pretensjami.

- Mogę się ubrać, towarzyszu Kobałow? - spytał Mendel.

- Twoje kobiety ci pomogą. Jeden z moich chłopców będzie cię miał na oku. Gdzie jest broń?

Lena wiedziała od ojca, że towarzysz Stalin nienawidzi samobójstw.

- Nagan jest w szafce przy łóżku, walthers w gabinecie - zagrział Mendel, kuśtykając do sypialni.

- Muszę usiąść - wymamrotała Natasza. Osunęła się na kanapę w salonie.

- Mamo! - krzyknęła Lena.

- Dobrze się czujesz, Nataszo? - zawołał Mendel.

- Nic mi nie jest. Leno, pomóż ojcu się ubrać, proszę. - Natasza zwiesiła głowę, oddychając ciężko.

Lena przyniosła matce szklanek wody, a później przyglądała się, jak czekał-cy otwierają szuflady i układają stosy rękopisów w gabinecie Mendla. W latach 1937-1938 w ich domu co noc dokonywano aresztowań - nad ranem słyszała zgrzytające windy, a na ulicy stały zaparkowane „czarne wrony” NKWD. Następnego ranka drzwi mieszkań były opieczętowane. „Czeka broni rewolucji - powiedział jej ojciec. - Nigdy o tym nie mów”. Ale to się skończyło. Aresztowania ustały rok temu. To musi być pomyłka, pomyślała.

- Mendel - zawołał Kobałow. - Jakież listy do albo od Komitetu Centralnego? Stare papiery? - Miał na myśli listy od towarzysza Stalina. - Twoje pamiętniki?

- W sejfie, jest otwarty - odparł Mendel z sypialni. Ku zaskoczeniu Leny było tam kilka pocztówek wysłanych przez Stalina z zesłania, trochę notatek z lat dwudziestych i przepisane na maszynie pamiętniki na pożółkłym papierze kancelaryjnym, upstrzone trudnymi do odczytania dopiskami Mendla. Jej ojciec był bardzo skromny. Opowiadał o swoich przygodach, ale nigdy nie wymieniał nazwisk.

- Leno!

Lena poszła za ojcem do sypialni. Otworzyła jego szafę i wyjęła trzyczęściowy garnitur, czarny kapelusz, buty z podwyższoną podeszwą, krawat i Order Lenina. Potem, starając się nie okazywać żadnych emocji, aby oszczędzić mu dodatkowych zmartwień, pomogła mu się ubrać, tak jak często robiła to matka. Nic nie mówił, dopóki nie był gotów.

- Dziękuję ci, Lenoczko.

- O co chodzi, tato? Wiesz coś? - spytała, lecz natychmiast tego pożałowała.

Potrząsał głową.

- Prawdopodobnie nic takiego.

Mendel wszedł do salonu i pocałował żonę w czoło.

- Kocham cię, Nataszo - powiedział swoim głębokim głosem. - Niech żyje partia!

Potem zwrócił się do córki.

- Odprowadzę cię na dół - szepnęła Lena, zupełnie odrętwiała. W przedpokoju pomogła ojcu przejść ponad stosami rodzinnych fotografii, papierów, listów i odbitek szczotkowych jego słynnej książki *Bolszewicka moralność*. Podłoga wyglądała jak potrzaskany kolaż ich całego życia.

Zjechali na dół ozdobną, skrzypiącą windą. Noc była ciepła. Wielki Pałac Kremłowski jarzył się majestatycznie. Mimo późnej pory na moście Kamiennym całowała się para kochanków, z otwartego okna dolatywały dźwięki tanga. Nie było ruchu, przed domem stał tylko packard i „czarna wrona”, furgonetka z napisem „Jaja, chleb, warzywa”, z silnikami pracującymi na jałowym biegu.

Na parnej ulicy komisarz bezpieczeństwa Kobiłow wyglądał bardziej jak kolorowa statuetka z papier-mâché na pierwszomajowej paradzie niż poważny funkcjonariusz.

- Powóz czeka, Mendel - wskazał kędzierzawą głową w stronę „czarnej wrony”.

Lena patrzyła, jak jej ojciec kuśtyka w swoim staromodnym garniturze, w butach z metalowymi szynami podzwaniającymi na asfalcie ku otwartym drzwiom czarnej furgonetki. Zatrzymał się, a Lena zamarła, serce podeszło jej do gardła, ale on tylko popatrzył na ich nowy blok mieszkalny i nic nie powiedział, chociaż nerwowy tik zatrzepotał na jego policzku. Jej surowy, lakoniczny i bardzo staroświecki ojciec nie był człowiekiem wylewnym, lecz na podstawie miliona drobnych rzeczy Lena wiedziała, że bezgranicznie ją kocha, swoje jedyne dziecko. Teraz zrobiła coś, czego nigdy dotąd nie robiła. Ujęła jego rękę w swoje dłonie i mocno ją uścisnęła. Patrzył w inną stronę i słyszała jego świszczący oddech. Miał sześćdziesiąt lat, ale wyglądał znacznie starzej.

Potem odwrócił się do Leny i ku jej zaskoczeniu i głębokiemu wzruszeniu skłonił się oficjalnie i ucałował ją trzy razy starym rosyjskim zwyczajem.

- Bądź dobrą komunistką. Do widzenia, Leno Mendelowno.

- Do widzenia, tato - odparła.

Chciała wdychać otaczający go zapach kawy, papierosów i mydła, jego obecność, jego miłość; walczyła z pragnieniem, aby ucześcić się jego garnituru, paść na chodnik i objąć go za nogi, żeby nie mogli go zabrać - ale wszystko stało się zbyt szybko.

Mendel już na nią nie spojrział - a ona wiedziała dlaczego. Stopień był za wysoki. Dwaj czekiści chwycili Mendla i podadzili go do furgonetki. W środku były metalowe klatki, więc Mendel nie mógł usiąść. Zamknęli go w jednej z tych klatek, a kiedy zatrzaskiwali drzwi furgonetki, Lena zobaczyła, że oprócz jej ojca są tam również inni.

Kobułow zabębnił w dach swojej limuzyny i usiadł obok kierowcy. Lena patrzyła, jak oba pojazdy pędzą przez most obok Kremla i znikają z oczu.

Dozorca, zwykle bardzo uprzejmy i uczynny, stał na schodach i patrzył, ale nic nie powiedział i odwrócił wzrok. Poszła na górę, żeby pocieszyć Nataszę.

Jej matka szlochała tak rozpaczliwie, że nie mogła mówić. Lena usiadła bezradnie i zastanawiała się, co robić. Przypomniała sobie, że jej matka zaopiekowała się Saszeńką, kiedy dawno temu wtrącono ją do więzienia.

O świcie Lena zadzwoniła do Saszeńki z budki telefonicznej na ulicy. W tle słyszała śpiew Śnieżynki i szczęk naczyń. Saszeńka podawała dzieciom śniadanie.

- Tu Lenoczka - powiedziała.

- Lenoczka, co się stało?

- Tata nieoczekiwanie zachorował i... wyjechał na leczenie. - Lenę ogarnęło złe przeczucie. Łzy popłynęły jej z oczu i odwiesiła słuchawkę.

- Kto to był? - spytała Śnieżynka. - Lenoczka? Ciocia Lenoczka to gruba poduszka. Co się stało, mamo?

- Mój Boże - westchnęła Saszeńka, opadając na krzesło, z ręką na czole. Co to znaczy? Najpierw Gideon, teraz Mendel. Poczuli się słabo.

- Mamusiu - powiedział Karlo swoim piskliwym głosem, wspinając się na jej kolana jak oswojony niedźwiadek. Miał na sobie niebieską piżamę. - Źle się czujesz? Przytulę cię i pocałuję, o tak! Kocham cię, mamusiu, jesteś moim najlepszym przyjacielem!

Karlo pocałował ją w nos tak czule, że Saszeńka zadrzała z miłości.

22

W sobotę Saszeńka czekała, aż Wania wróci do domu. Dacza pogrążona była w ciszy. Dzieci piekły ciasto z Karoliną.

Gołębie gruchały słodko w gołębniku, wrony krakały w brzozowym lesie. Konie w stajniach marszałka Budionnego rżały, a kucyk im odpowiadał. W oddali brzęczały pszczoły, zapach jaśminu odurzał. Ważny sąsiad za płotem śpiewał piosenkę z filmu *Świat się śmieje*. Ale telefon nie dzwonił. Satinow nie przyszedł na tenisa.

Czas płynął w zwolnionym tempie. Saszeńka siedziała na werandzie, udając, że czyta gazety i odbitki swojego pisma. W gazetach nie było żadnej wskazówki, żadnego śladu szpiegomani i szaleństwa procesów pokazowych sprzed roku. Ludzie wychodzili na wolność; wyroki rewidowano. Może popadała w paranoję. Zadzwoiła do Beni i powiedziała mu szyfrem o Mendlu i Gideonie.

- Geranium kwitnie - odparł spokojnie, a ona przypomniała sobie ogrodową szopę i ich talizman.

Myślała o Beni przez cały czas. Mieli się spotkać w przyszłym tygodniu. On ją uspokoi, rozśmieszy ją w ten swój fatalistyczny żydowski sposób. Jak zdołała przeżyć tak długo bez Beni? Chciała do niego zadzwonić, ale nie z dączy. W alejce stała budka telefoniczna. Benia drażnił się z nią, próbując ją zmusić, aby powiedziała, że go kocha. „Czujesz do mnie coś specjalnego?” - pytał. Po dziesięciu dniach? Ona, członek partii, matka, redaktor naczelny,.. stary bolszewik, miałyby się zakochać w bezrobotnym pisarzu? Oszalał? Nie, to ona oszalała. Och, Benia! Co on powie na to wszystko?

Cała sprawa wyglądała niejasno. Gideon nie został aresztowany, a Muszka zadzwoniła z wiadomością, że „oni” po prostu chcieli z nim porozmawiać o filmach, „filmach i historii Greków i Rzymian”. Czy to była wskazówka dla Saszeńki, czy rzucona przypadkowo uwaga? Czy Gideon ostrzegali ich o aresztowaniu Mendla? „Grecy i Rzymianie”. Mendel znał historię starożytną. On sam był historią starożytną. Powodem jego aresztowania musiało być coś z odległej bolszewickiej przeszłości. Stary gruziński przyjaciel Stalina, wuj Awel Jenukidze, napisał książkę o podziemnych bolszewickich drukarniach w Baku - lecz fatalnie pomniejszył w niej rolę Gospodarza. Saszeńka dobrze pamiętała wujaw Awla, jasnowłosego kobieciarza z niebieskimi oczami, rękami, których nie mógł utrzymać przy sobie, i haremem baletnic. Został rozstrzelany w 1937 roku.

Ale wuj Mendel nie był Awlem. Mendel nigdy nie związał się z opozycją i wiernie stał u boku Stalina. Był sumieniem partii, a nie gadułą. Dlaczego Mendel i dlaczego teraz, kiedy terror naprawdę się skończył? Mogli aresztować Mendla w każdym momencie od 1936 roku. To nie miało sensu.

A może Gideon miał na myśli starożytną historię rodzinną? Ale wszyscy wiedzieli o Zeitlinach, o tym, że pisała na maszynie dla Lenina, ona, bolszewicka córka milionera, towarzysz Lis Polarny! Czy organa osaczały ją i jej rodzinę? Jej przodko-

wie mogli być burżujami - lecz ją chroniło małżeństwo z Wanią Palicynem, jego lojalna służba i proletariacki rodowód, a także ich partyjna prawomyślność.

A może problem dotyczył jej męża? Czy w organach toczyła się jakaś rywalizacja, nowi Gruzini Berii przeciwko starym Moskalom? Ale Wania nigdy nie był wasalem poprzedniego szefa, Jeżowa, a Beria już kilka miesięcy temu wyrzucił wszystkich krwiożerczych zbirów Jeżowa. Ci maniacy odeszli. Zamienili się w proch.

Aresztowania w rodzinie niekoniecznie musiały rzucać cień na nią, powiedziała sobie Saszeńka. Zdarzały się przez cały czas. Nawet teściowie Stalina, Swanidze, zostali aresztowani. Nawet bracia drogiego Stalinowi towarzysza Sergo zostali straceni. Jej ojciec zniknął. Stalin powiedział, że synów nie należy winić za grzechy ojców, ale podczas kolacji na Kremlu, z udziałem samego Wani, zagroził też, że zniszczy wrogów ludu „i całe ich klany! Tak, ich klany!”.

Stalin, historia i partia działali w tajemniczy sposób, wiedziała o tym. My, członkowie partii, jesteśmy rycerzami wojskowo-religijnego zakonu w czasie zaostrającej się walki klasowej i zbliżającej się wojny, pomyślała Saszeńka. Im więcej sukcesów odnosi nasza partia, tym zacieklej walczą z nami nasi wrogowie: tak brzmiała formuła towarzysza Stalina. Jesteśmy winni lojalność partii i idei, nie możemy sobie pozwolić na burżuazyjne sentymenty. Mendel jest politykiem, a w naszym postępowym, lecz niedoskonałym systemie TO jest polityka. Wszystko będzie dobrze, powiedziała sobie. Mendel wróci, tak jak Gideon. Nadeszła nowa, mniej okrutna epoka. Złe czasy minęły.

Przyjechał samochód i gołębie w gołębniku wzbiły się w górę jak wachlarz. Saszeńka zbiegła boso po schodach, żeby pomóc kierowcy otworzyć bramę.

Jej mąż wyglądał na zmęczonego, ale Saszeńka poczuła się spokojniejsza na jego widok. Wania był zastępcą szefa Głównego Zarządu Bezpieczeństwa Państwowego i od marcowego zjazdu kandydatem na członka Komitetu Centralnego - i oto przyjechał, zdrowy i cały. Może był trochę blady i miał więcej siwych włosów w swojej gęstej czuprynie - ale zawsze wracał do domu zmęczony.

Była głupia, że tak się zamartwiała. Śnieżynka i Karlo wybiegli z domu. Karlo był nagi, a Śnieżynka w różowej letniej sukience: szybko rosła. Ojciec uściskał dzieci, przywitał się z ich królikami i poduszkami, wysłuchał opowieści o ciastkach i cukierkach - i kazał im wracać do domu. Potem spojrzał na Saszeńkę, spojrzał na nią tak jak nigdy dotąd nie patrzył, jego gniewne oczy stały się kruczoczarne. Już miał coś powiedzieć, lecz w tym momencie Karolina zawołała ich z werandy na obiad.

Odwrócił się do niej plecami i wszedł do domu.

Posiłek na werandzie wydawał się dłuższy niż zwykle. Zapach bżów był upajający, ale nagle Śnieżynka rzuciła w brata kawałkiem chleba. Wania poderwał się, skoczył i odsunął od stołu jej krzesło.

- Przestań! - wrzasnął.

Wstrząśnięta Śnieżynka zaczęła płakać. Karlo wyglądał na przerażonego, potem łzy popłynęły mu po twarzy.

- Ja nic nie zrobiłem! - zawołał. Pobiegł do matki, ale Saszeńka nic nie powiedziała. Całą uwagę skoncentrowała na mężu.

Wania unikał jej wzroku i prawie nic nie jadł. Zamiast czuć się winna, tak jak się spodziewała, wpadła w złość. Tęskniła za Beni i jego żywiołową radością życia, jego rabelaisowską rubaszością i wrażliwością.

- Waniu, powinieneś się przespać - powiedziała wreszcie.

- Tak? I co mi z tego przyjdzie?

Saszeńka wstała.

- Idę z dziećmi popływać w rzece. Była druga trzydzieści.

Wania powlókł się do swojego gabinetu.

Boso, niosąc ręczniki, Saszeńka prowadziła dzieci za rękę piaszczystą ścieżką wśród srebrnych brzóz nad brzeg Moskwy. Wania zawsze wraca w złym humorze po całonocnej pracy, powiedziała sobie. Nawet teraz czuła, jak Beni odmienił jej życie.

Słońce zdawało się lizać jej policzki, ramiona i gołe nogi, jakby były pokryte syropem. Jej uda ocierały się o siebie, trochę lepkie, spocone. Nawet żwir pomiędzy palcami nóg wydawał się zmysłowy. Młoda Saszeńka z okresu wojny domowej i lat dwudziestych nigdy nie zauważała takich rzeczy, partyjna matrona z lat trzydziestych była zbyt poważna, zbyt zaprzątnięta partyjnymi kampaniami i sloganami. Wtedy ubierała się z rozmyślną surowością, w proste brązowe pończochy i bezkształtne sukienki, włosy upinała w kok i przewiązywała wiecznie tą samą chustką. Teraz wszystko oddziaływało na jej zmysły w sposób, który ją bawił. Bawełniana sukienka zdawała się pieścić jej uda i szyję. Pragnęła opowiedzieć Beni o cudownym zapachu żywicy sosnowej, o wszystkim, co robiła i czuła. Chłodny wiatr uniósł jej sukienkę i odsłonił nogi.

Uśmiechnęła się na myśl o Beni i dotyku jego rąk, wyobraziła go sobie, jak tańczy i jak się śmieje, z szeroko otwartymi ustami. Rozmawiali o książkach i filmach,

obrazach i sztukach, ale jak się śmiali. A śmiech znowu prowadził do jej ud, piersi i ust: to wszystko należało do niego.

Dotarli nad złoty brzeg rzeki, porośnięty drzewami wiśni, obsypanych różowym kwieciem. Śnieżynka przyniosła jej gałązkę. Inne dzieci się kąpały, a Saszeńka rozpoznała kilka rodzin członków partii. Machała do dzieci, posyłała im całusy i klaskała, kiedy biegły i wskakiwały do wody.

- Patrzysz na mnie, mamó? - wołał Karlo za każdym razem, a ona za każdym razem odpowiadała:

- A kiedy na was nie patrzymy?

Potem zrobiło im się chłodno, więc wytarła je i ubrała.

Wracali przez las. Pod drzewami czekała na nich armia dzwonek. Śnieżynka i Karlo zaczęli budować obóz dla Leśnych Poduszek, mieszkających w świecie kanap z mchu i pałaców z pni drzew.

Usiadła na ławce przy ścieżce i patrzyła na dzieci. Wiedziała, dlaczego poprowadziła je tą drogą. Co chwila przenosiła wzrok z obozu na pobliską budkę telefoniczną. Powinna czy nie powinna? Nie, nie zadzwoni.

- Słoneczka, musimy iść do domu - powiedziała.

- Nie! - zawołała Śnieżynka. - Chcemy się bawić!

Wiedziała, że musi zadzwonić, zawsze korzystała z tego telefonu. Zamknęła oczy. Benia powiedział, że będzie w swojej rozlatującej się daczy w Pieriedielkinie, osiedlu pisarzy. Miała numer i chciała zaproponować, żeby się spotkali. W jakiejś ogrodowej szopie - wśród narzędzi i geranium! Ale musiała poczekać, aż wyjaśni się sprawa Mendla. Poza tym była z rodziną.

Zadzwoni do niego mimo wszystko. Jeśli odbierze żona Beni, przedstawi się jako jego redaktorka. Naprawdę zamówiła u niego artykuł: „Jak urządzić prawdziwy radziecki bal maskowy! Jak przygotować stroje, maski i przyjęcie!”.

Dzieci tańczyły na ścieżce, kiedy wykreślała numer Beni. Telefon dzwonił i dzwonił. Nikt nie odbierał. Opierała się o aluminiową osłonę budki telefonicznej, rozmyślając sennie o elektrycznym cudzie, który przeniesie jego głos po drutach do jej ucha. Odwiesiła słuchawkę, kiwając głową nad własną głupotą.

Musisz poczekać, Beniu. Znajdę sposób, żeby dać ci znać, powiedziała sobie. Zamierzam ci powiedzieć, że cię kocham.

O czwartej Saszeńka była z powrotem na daczce. Białe kolumny fasady, drewniany stół, kołyszące się hamaki przypomniały jej o wakacjach w Zembliszy-nie przed rewolucją. Dzieci były senne i Karolina zabrała je do ich pokojów.

Wania siedział w ogrodzie w swojej haftowanej chłopskiej koszuli, butach i workowatych spodniach. Zawsze te buty.

- Jak się czujesz, Waniu? - spytała. - Jakież wiadomości o Mendlu? Nie zareagował. Potem wstał powoli, odwrócił się do niej i uderzył ją w twarz, przewracając na ziemię. Cios był tak potężny, że prawie go nie poczuła, chociaż kiedy leżała ogłuszona na trawie, czuła smak krwi na języku.

Wania stał nad nią, zaciskając swoje ogromne dłonie, skurcz wykrzywił jego beznamiętną twarz. Saszeńka podniosła się i rzuciła na męża, otwierając usta, żeby na niego krzyknąć, ale złapał ją za nadgarstek i znowu przewrócił.

- Gdzie byłaś, ty zdiro? - Pochylał się nad nią. Nawet w takiej chwili byli świadomi głosów za płotem, obecności służby w domu, wartowników: wszyscy słuchali i donosili. Chociaż ją uderzył, nadal szeptali, nie krzyczeli.

- Poszliśmy popływać w rzece.

- Zatelefonować.

- No, przechodziłam obok telefonu.

-I zadzwoniłaś, może nie?

- Nie rozmawiaj ze mną, jakbym była jednym z twoich przypadków specjalnych. A jeśli tak? Nie wolno mi zatelefonować?

- Do kogo dzwoniłaś?

Czuła, że Wania już wie, i to ją przeraziło.

- Dzwoniłaś do swojego żydowskiego pisarza, tak? Tak? Myślisz, że ja nie miałem swoich okazji? Byłem ci wierny?

- Nie wiem.

- No to ci powiem. Przez te wszystkie lata nie dotknąłem innej kobiety. Ubóstwiałem cię. Wszystko robiłem dla ciebie. Czy nie troszczyłem się o ciebie? - Potem szepnął: - Spotykasz się z nim w naszym domu, ty dziwko! Zabierasz dzieci na spacer i dzwonisz do tego swojego pisarza!

Co wiedział? Saszeńka gorączkowo tasowała fakty jak talię kart: jeśli wiedział, że do niego telefonowała, czego to dowodziło? Jeśli wiedział, że zamówiła artykuł, cóż, dlaczego nie? Jeśli wiedział o hotelu, była zgubiona!

Wania stanął nad nią i pomyślała, że znowu ją uderzy albo kopnie, tutaj, w ogrodzie ich daczki, kiedy obok spały ich dzieci.

- Pieprzyłaś się z nim?

- Waniu!

- To nieważne, Aleksandro Samojłowno. To już nieważne. Teraz chodzi już o coś więcej. Nie możesz z nim rozmawiać, bo go tam nie ma.

Wciąż dotykała swojej krwawiącej wargi, kiedy dotarło do niej znaczenie tych słów.

- O czym ty mówisz?

Zbliżył twarz do jej twarzy. Pocił się obficie i jego pot wydzieliał kwaśny zapach.

- Nie ma go tam! Zniknął. To jego nagroda!

Saszeńka była wściekła, wargi pobieleły jej z gniewu, który zaskoczył ją samą.

- A więc to jest twoja zemsta? Tak czekał zmuszają swoje żony do wierności? Powinieneś się wstydić! Myślałam, że służysz partii. I co z nim zrobisz? Skatujesz go pałką w jakiejś piwnicy? To właśnie robisz po nocach?

- Nie rozumiesz. - Wania nagle usiadł. Zakrył twarz dłońmi, przeciągnął nimi po włosach, oczy miał zamknięte. Potem wstał i ruszył powoli w stronę domu.

Saszeńka podniosła się, wstrząśnięta. Benia został aresztowany! To nie mogła być prawda. Co się z nim stanie? Nie mogła znieść myśli, że cierpiał. Gdzie był?

25

- Mamusiu! - Karło płakał. Zawsze budził się w złym nastroju.

- Dlaczego ty i tatuś tak rozmawiacie? - spytała Śnieżynka, wbiegając tanecznym krokiem do ogrodu. - Mamo, dlaczego masz krew na wardze?

- Och - powiedziała Saszeńka i po raz pierwszy poczuła się zawstydzona. - Uderzyłam się o drzwi.

- Mogę przykleić plaster na twoje skaleczenie? - spytał Karło, dotykając jej wargi, podczas gdy Śnieżynka, wypoczęta i radosna, biegła po ogrodzie jak żwawy źrebak. Saszeńka spojrzała w stronę gabinetu Wani, przez głowę przelatywały jej różne myśli. Była niemal zadowolona, że Wania ją uderzył i że nie wyładował się na dzieciach. Wolałaby, żeby ją zbił, jeśli to miało oznaczać, że Benia nie będzie cierpiał. A jeżeli Benia nie był tym, kim się wydawał? Może nie został aresztowany wskutek zemsty rogowca, ale dlatego, że był „elementem niepewnym”, trockistowskim szpiegiem

albo kimś w tym rodzaju? A może Wania wymyślił to całe aresztowanie, żeby ją dręczyć? A może Mendel znalazł się w prawdziwych kłopotach i w jakiś sposób obciążył ją i jej przyjaciół? Za każdym razem, gdy kolejna prawdopodobna koncepcja dojrzała w jej wyobraźni, czuła skurcz strachu, dopóki któreś z dzieci nie zawołało:

- Mamo, patrzysz na mnie? - Najpierw Śnieżynka, potem Karlo. Saszeńka snuła się jak w lunatycznym transie, a popołudnie nieznośnie się wlokło, idealny przykład rozkoszy wiosny w srebrnych lasach na moskiewskiej równinie.

Co ja zrobiłam, myślała, co ja zrobiłam?

* * *

Wreszcie nadeszła ósma i pora, żeby położyć dzieci spać.

- Pogłaszczesz mnie do snu? - spytał Karlo, patrząc jej w oczy swoimi brązowymi oczami.

- Jedenaście razy po czole.

- Tak, *mamoczka*, jedenaście razy.

Zwykle Saszeńka była całkowicie pochłonięta Karlem, ale dzisiaj przebywała myślami gdzie indziej. Gdzie była? Z Benią w piwnicach Łubianki? Z Mendlem w lochach piekła? I co się stanie z nią i jej rodziną? Modliła się o uwolnienie od niepewności, a jednocześnie bała się go.

-*Mamoczka*! Mogę ci coś powiedzieć?

- Tak, Karlo.

- Kocham cię z całego serca, mamo.

Było to nowe wyrażenie i poruszyło ją do głębi. Chwyciła go w ramiona i mocno przytuliła.

- Powiedziałeś coś cudownego, skarbie. Mama też cię kocha z całego serca. Położyła rękę na jego atlasowym czole i zaczęli głośno liczyć: pogłaskała

go jedenaście razy, nim wreszcie zamknął oczy. Na szczęście Śnieżynka ledwo trzymała się na nogach i poszła spać bez awantur.

Był rozleniwiający upalny wieczór. Dom patrolowały tłuste trzepoczące ćmy, senne muchy i mszyce. Wentylatory na suficie wirowały. Karolina poszła do swojego pokoju.

Nikt nie zadzwonił.

Wania siedział w bujanym fotelu na werandzie, paląc i pijąc. Żydzi, pomyślała Saszeńka, nie piją w momentach kryzysu, dostają wysypki i palpacji. Przypomniała sobie ojca. Fotel Wani kołysał się w przód i w tył, a ona słyszała postukiwanie Specjalnego Krzesła swego ojca wiele lat temu.

Chwila nadeszła. Saszeńka zbliżyła się nerwowo do męża.

- Waniu? - powiedziała. Musiała się dowiedzieć, kto go poinformował o Beni i co wie. Wcześniej nie przyzna się do niczego.

- Waniu, nic nie zrobiłam - skłamała. - Flirtowałam. Przepraszam... Spodziewała się ostrzejszej reakcji, ale kiedy na nią spojrział, twarz miał

wilgotną i zapuchniętą od łez. Wania nigdy nie płakał, chyba że był pijany, albo podczas smutnych filmów czy na spotkaniach kolegów z pułku, albo kiedy oglądał Śnieżynkę w szkolnym przedstawieniu.

- Przestań - powiedział.

- Nienawidzisz mnie? Potrząsnął głową.

- Proszę, powiedz mi tylko, co wiesz.

Wania próbował odpowiedzieć, ale jego szerokie usta, mocna szczęka i oczy pluszowego niedźwiadka straciły całą wyrazistość, kiedy płakał w milczeniu o ciepłym zmierzchu.

- Wiem, że zrobiłam coś bardzo złego. Waniu, przepraszam!

- Wiem wszystko - powiedział.

- Wszystko? A co tu jest do...

Jęknął z przejmującym, bolesnym zmęczeniem.

- Nie przejmuj się, Saszeńko. To już wykracza poza mężów i żony.

- Przerażasz mnie, Waniu.

Łzy spływały mu po policzkach w blasku zachodzącego słońca, które zalewało krwią letnie niebo.

26

Saszeńka stała obok bujanego fotela, chłonąc zapach jaśminu. Myślała o Mendlu, o Beni i o dzieciach śpiących w swoich pokojach.

Wreszcie Wania wstał z fotela. Był pijany, oczy miał rozpalone i świdrujące - ale pijany w sposób, w jaki najteżsi pijacy reagują na alkohol. Przyciągnął ją do siebie, odrywając od ziemi. Po raz pierwszy od dłuższego czasu przyjęła jego dotyk z wdzięcznością. Widziała króliki w klatce i kucyka skubiącego spokojnie trawę za płotem - ale ona i Wania byli sami jak nigdy dotąd.

- Mogę od ciebie odejść - powiedziała. - Nikt nie musi o tym wiedzieć. Pozwól mi odejść i pozbadź się mnie. Rozwiódź się ze mną! (Zaledwie kilka godzin temu mo-

gło to być rojenie o ucieczce z Benią - ale teraz wydawało się krokiem rozpaczny). Zrobiłam coś strasznego! Przepraszam, przepraszam...

- Nie mów tak - szepnął Wania, ściskając ją mocniej. - Pewnie, że jestem na ciebie zły, głuptasie. Ale nie mamy czasu na urazy.

- Na miłość boską, co masz na myśli? Co wiesz?

- *Oni* wiedzą wszystko - i to moja wina - powiedział.

- Proszę! Powiedz mi, co się stało!

Objął ją nagle, całując jej szyję, oczy, włosy.

- Zostałem odsunięty od sprawy Komisariatu Spraw Zagranicznych. Wysyłają mnie do Stalinabadu w Turkiestanie, żebym sprawdził naszych towarzyszy.

- Dobrze, pojedę z tobą. Wszyscy możemy pojechać i mieszkać w Stalinabadzie.

- Opamiętaj się, Saszeńko. Mogą mnie aresztować na dworcu. Mogą przyjść po mnie dziś w nocy.

- Ale dlaczego? To ja zawiniłam... i błagam o wybaczenie, ale co to ma wspólnego z polityką?

- Gideon, Mendel, a teraz Benia Golden - coś jest na rzeczy, Saszeńko, a ja nie wiem, co to jest. Może mają coś na twojego pisarza? Może to drań powiązany z zagranicznymi szpiegami. Ale mają też coś na ciebie i na mnie. Nie wiem, co to jest, ale wiem, że to może nas zniszczyć całkowicie. - Jego rozgorączkowana twarz była biała w zapadającym zmierzchu. - Być może w ogóle nie mamy już czasu. Co zrobimy?

Groza ich położenia powaliła Saszeńkę.

Dwa tygodnie temu towarzysz Stalin był u niej w domu razem z towarzyszem Berią, narkomem NKWD. Gwiazdy ekranu i sceny śpiewały na jej przyjęciu, Wania dostał awans i cieszył się zaufaniem; towarzysz Stalin po-dziwiał jej magazyn, podziwiał ją i szczypał Śnieżynkę w policzki. Nie, Wania się mylił. To kłamstwo. Serce jej kołatało, czerwone iskry migotały przed oczami.

- Waniu, strasznie się boję.

Usiedli przy stole na werandzie, bardzo blisko, policzek przy policzku, dłoni w dłoni, bliżej niż podczas miodowego miesiąca, kiedy byli młodzi i zakochani, związani ze sobą na więcej sposobów niż jakiegokolwiek małżeństwo.

Wania wziął się w garść.

- Saszeńko, ja też się boję. Musimy natychmiast ułożyć jakiś plan.

- Naprawdę wierzysz, że po nas przyjdą?

- To możliwe.

- Nie możemy się do kogoś zwrócić? Dzwoniłeś do Ławrientija Pawłowicza? On cię lubi, jest z ciebie zadowolony. Grasz nawet w jego drużynie koszykówki. A co z Herkulesem? Zna wszystkich, Stalin go uwielbia. On nam pomoże.

- Dzwoniłem do nich - odparł Wania. - „Towarzysz Beria jest zajęty”, powiedziano mi w jego sekretariacie. Herkules nie oddzwonił.

- Ale to nic nie znaczy. Beria prawdopodobnie ugania się za kobietami. A Herkules zadzwoni.

- Musimy dzisiaj zdecydować, co robić. Mogą aresztować mnie, ciebie albo nas oboje. Kto wie, co do tej pory wydusili z Mendla - albo z twojego cholernego pisarza.

- Ale chyba nie mogą im kazać zmyślać?

- Chryste, zmiłuj się! - wykrzyknął Wania. - Żartujesz sobie ze mnie? W organach mamy takie powiedzenie: „Dajcie mi człowieka, a do rana się przyzna, że jest królem Anglii!”. Wierzyłaś we wszystkie zeznania na procesach? Zinowjewa, Kamieniewa, Bucharina, terrorystów, zabójców, szkodników, szpiegów?

- Były prawdziwe. Powiedziałaś, że są prawdziwe, w duchu, w swojej istocie.

- Och, tak, były prawdziwe. To wszystko byli dranie. W duchu byli wrogami. Stracili wiarę, a wiara jest wszystkim. Ale... - Potrząsnął głową.

- Bijesz ludzi, żeby mówili takie rzeczy, prawda, Waniu?

- Dla partii zrobiłbym wszystko. Robiłem wszystko. Tak, wiem, co to znaczy złamać człowieka. Niektórzy łamią się jak zapalki, inni prędzej umrą niż powiedzą słowo. Ale lepiej rozstrzelać stu niewinnych ludzi, nawet tysiąc, niż pozwolić umknąć jednemu szpiegowi.

- O mój Boże, Waniu. - Przypomniała sobie słowa Beni, wyraz jego twarzy, kiedy je wypowiadał. On wiedział, co Wania robi całymi nocami, podczas gdy ona, ona...

- A myślałaś, że co robię? To było ściśle tajne, ale ty wolałaś nie wiedzieć.

- Ale partia ma słuszość, że niszczy szpiegów. Wiedziałaś, że zdarzały się błędy, ale wszyscy mówiliśmy, że warto je popełniać w imię ostatecznego celu. A jeśli teraz my staniemy się takim błędem? Wierzę w partię i Stalina, to całe moje życie. Waniu, czy ty nadal wierzysz?

- Po tym, co zrobiłem dla partii, muszę wierzyć. Gdybym dzisiaj został rozstrzelany, umarłbym jako komunista. A ty?

- Umrzeć? Ja nie mogę umrzeć. Nie mogę zniknąć! Ja chcę żyć. Kocham życie. Zrobię wszystko, żeby żyć.

- Mów ciszej, towarzyszu Lisie Polarny. - Jego konspiracyjny ton cofnął ją do czasów, kiedy był żarliwym młodym bolszewickim aktywistą w Piotro-grodzie w 1916 roku - to była jedna z rzeczy, które ją w nim pociągały. - Uspokój się! Nie umrzemy, ale musimy planować naprzód. Jeśli nas wezmą, nie przyznawaj się do ni-

czego. To jest klucz. Jeśli się nie przyznajesz, nie możemy cię tknąć. Niezależnie od tego, co z nami zrobią, nie przyznawaj się do niczego!

- Nie jestem pewna, czy zdołam to znieść. Ból - powiedziała Saszeńka drżącym głosem. - Waniu, masz przy sobie pistolet, prawda?

Wania podniósł czapkę, która leżała przed nimi na stole. Pod nią był nagan. Saszeńka położyła dłoń na zimnej siali i przypomniała sobie „buldogi”, które prznosiła dla partii w Piotrogradzie. Z jaką pasją i dumą nosiła te pistolety dla rewolucji. Jakże podziwiała Wanię, twardego robotnika o sękatych dłoniach, śmiałej twarzy i brązowych oczach! Kim się stał? Kim się stali oboje?

- Możemy się zabić dziś w nocy, Waniu. Ja mogę się zabić i uwolnisz się ode mnie. Będiesz czysty. Zrobię to, jeśli tylko poprosisz...

- To nasze pierwsze wyjście. Mamy broń i mamy dzisiejszą noc. Ale przypuścimy, że nic na ciebie nie mają? Będą cię bić i upokarzać. Ale jeśli się nie przyznasz, spytają: „Podpisała coś? Nie? No cóż, może mimo wszystko nie jest kanalią”. W końcu cię wypuszczą. Dla nas, dla życia, dla dzieci.

Dzieci! Prawie zapomnieli o dzieciach. Śmierć, brutalność i ostateczność zniknięcia ze świata i odejścia w niebyt, była tak przerażająca, tak bezpośrednia, że zrodziła najczystsza formę egoizmu. Jak mogli być tak samolubni?

Saszeńka odwróciła się i pobiegła do domu. Wania ruszył za nią i razem wpadli do pokoju Śnieżynki. Trzymając się za ręce, patrzyli na białą skórę i jasne włosy córki, rozrzucone na poduszce, jej rączki wyciągnięte wzdłuż ciała, na głupią różową poduszkę spoczywającą na policzku. A Karło leżał nago na brzuchu, z potarganymi włosami, z głową wtuloną w ulubionego pluszowego królika.

Saszeńka ledwo mogła złapać oddech w ciepłym, ciemnym pokoju, który pachniał świeżością małych dzieci w lecie, sianem i wanilią. Czuli się tak, jakby byli pierwszymi i ostatnimi rodzicami na świecie. Ale tylko oni wiedzieli, z czym muszą się zmierzyć. Saszeńkę ścisnęło w żołądku. W każdej chwili mogli stracić swoje skarby na zawsze.

- Śnieżynka, Karlo, och, maleństwa! - Padli na kolana pomiędzy łóżeczkami i płakali cicho, obejmując się.

- Nie budź ich - powiedział Wania.

- Nie budźmy - zgodziła się Szaszeńka. Ale nie zdołała nad sobą zapanować. Drżącymi rękami podniosła Karla i objęła go, obsypując pocałunkami jego atłasowe czoło, dopóki się nie poruszył. Wania trzymał Śnieżynkę, zanurzając twarz w jej włosach, które kleiły się do jego mokrych policzków. Zaspane dzieci tuliły się do rodziców, cudownie nieświadome nadciągającej burzy, wyrwane z głębokiego snu w tę upalną noc. Wszyscy czworo przycupnęli razem w opiekuńczych ciemnościach, rodzi-

ce przelykali łyzy, dzieci przeciągały się i wzdychały w ich kochających ramionach, tylko na wpół rozbudzone.

W końcu Wania pociągnął Saszeńkę za rękę.

- Połóż je z powrotem do łóżek - powiedział. Otulili dzieci i wyszli po cichu, by usiąść na skraju kanapy przy otwartym oknie. Drzwi samochodu trzasnęły głośno w nocnej ciszy.

- Waniu! Czy to już? Czy to oni? - Rzuciła się w jego objęcia. Uspokajał ją swoimi niezdarnymi rękami, ich szorstkość była teraz tak kojąca, znajoma.

- Nie, to nie oni. Jeszcze nie - szepnął. - Ale musimy pomyśleć spokojnie. Prześtań płakać, dziewczyno! Opanuj się. Dla dzieci...

Nagle on też zaczął drzeć - a ona wydała z siebie mimowolny jęk, dopóki nie położył ręki na jej ustach. W końcu wyszła z pokoju i umyła twarz zimną wodą. Posępny spokój spłynął na nich oboje.

- Waniu, nie możemy się zabić, bo...

- Stalin nazywa samobójstwo „splunięciem w oko partii”. Oszczędzimy cierpień sobie, ale nie dzieciom. Partia zemści się na dzieciach.

- Już wiem. Zabijemy siebie i dzieci. Dzisiaj, Waniu, teraz. Umrzemy razem i będziemy razem. Na zawsze! - Mimo wszystko wierzyła w jakieś życie pozagrobowe. W wieczność. Wierzyli w to jej pobożni dziadkowie, a ona, komunistka, zawsze się przed tym wzdragała. Teraz wróciły do niej stare słowa z Turbinu - Zohar, główna księga Kabały, niebo i piekło, golem i dybuki, które nawiedzały ludzi dotkniętych złym urokiem, świat duchowy tak obcy naukowemu marksizmowi i materializmowi dialektycznemu. A mimo to wyobrażała sobie swoją duszę, i swoją miłość, żyjącą poza powłoką ciała. Tam spotka się z matką i ojcem i znowu będą młodzi. Będą wszyscy razem! Wyjęła nagan spod czapki Wani. Pamiętała jeszcze, jak się nim posłużyć.

- Wierzysz w to? - spytał. - Ja wierzę. Będziemy wszyscy razem w niebie. Może masz rację. Jeśli po nas przyjdą, zabijemy dzieci, a potem siebie.

- Zatem postanowione. - Ale kiedy Saszeńka ruszyła w stronę sypialni, zatrzymał ją, zabrał jej pistolet i schował go z powrotem do kabury.

Objął ją mocno, szepcząc:

- Nie mógłbym. Po prostu bym nie mógł. Ty byś mogła? Potrząsnęła głową. Było już po północy i umysł Saszeńki pracował bardziej systematycznie.

- Nie mamy już czasu, żeby płakać, prawda, kochany Waniu?

- Mają coś na nas. Nie wiem, co.

- Gideon wspomniał o „Grekach i Rzymianach”, a potem Mendel został aresztowany. Benia Golden nic o nas nie wie.

- A jeśli to prowokator? Szpicel?

- Wszystko możliwe... - Tak się bała, że obwiniała swojego jedyne kochanka. Czy o to właśnie chodziło? Czy Benia zniszczył jej rodzinę? Potem przyszła jej do głowy jeszcze inna myśl. - A może to jakiś czekista intryguje na Łubiance? Musi być jakiś powód tego wszystkiego, Waniu, prawda?

Rozłożył szeroko ręce.

- Musi być jakaś przyczyna - powiedział. - Ale niekoniecznie musi być powód.

W tym momencie usłyszeli skrzypienie bramy.

- To oni, Waniu. Kocham cię, Waniu, Śnieżynko, Karlo. Jeśli któreś z nas przeżyje, och, Waniu... Skończymy z tym? Gdzie pistolet?

Przywarli do siebie. Wania miał w ręku broń i oboje ściskali w dłoniach jej zimną stal, jakby to był symbol ich miłości. Nie było innych dźwięków. Noc upływała w zwolnionym tempie.

Gwizd rozdarł ciszę i z cienia sadu wyłoniła się postać w białym kapturze.

Wania podniósł nagan.

- Kto tam? Będę strzelał. Zabiorę was ze sobą, dranie!

27

- Mogę zostać tylko kilka minut - powiedział gość, odrzucając kaukaski kaptur, który za dawnych Piotrogrodzkich czasów zawsze nosił zimą.

- Och, Herkulesie, dzięki Bogu, że przyszedłeś! - Saszeńka pocałowała go kilka razy, nie puszczając jego ramienia. - Wszystko będzie dobrze, prawda? Przyszedłeś nam powiedzieć, jak to wyjaśnić. Z kim powinniśmy porozmawiać? Powiedz nam, proszę!

Pogasili światła na werandzie, a Herkules Satinow usiadł przy stole razem z Wanią i Saszeńką. Nalała im trojgu po kieliszku armeńskiego koniaku.

- Wszystko będzie dobrze, prawda? - spytała znowu. - To tylko nasza wyobraźnia? Och, Herkulesie, co mamy robić?

- Cicho, Saszeńko - powiedział Wania. - Pozwól mu mówić.

Satinow skinął głową, w ciemnościach lśniły wąskie szparki jego zmrużonych oczu.

- Posłuchaj uważnie - zaczął. - Nie wiem wszystkiego, ale wiem, że coś się zmieniło. Pracują nad Mendlem i znaleźli coś na ciebie.

- Na mnie? - krzyknęła Saszeńka. -- Waniu, rozwiedź się ze mną! Zastrzelę się.

- Posłuchaj go, Saszeńko - powiedział Wania.

- Tu chodzi o coś więcej - powiedział Satinow sucho. - Pomyślałem... o dzieciach.

Krew zaczęła pulsować jej w skroniach.

- Czy nie mogłabym zobaczyć się z Berią? Zrobię wszystko. Wszystko! Mogłabym przekonać Ławrientija Pawłowicza...

Satinow potrząsnął głową i Saszeńka wyczuła jego napięcie. Nie miał czasu rozmawiać o nich. Tylko o dzieciach.

- Mogłabym napisać do towarzysza Stalina. Zna mnie, zna mnie od marca 1917 roku, kiedy pracowałam w sekretariacie Lenina... Zna mnie.

Oczy Satinowa błysnęły i Saszeńka zrozumiała, że to przyszło z samej góry.

- Teraz musisz myśleć tylko o dzieciach - powiedział po prostu.

- O mój Boże - szepnęła Saszeńka, czerwone plamy wirowały jej przed oczami. - Wyślą je do jednego z tych sierocińców. Będą torturowane, wykorzystywane, zginą. Dzieci Trockiego nie żyją. Dzieci Kamieniewa. Zinowjewa. Wiem, co się dzieje w tych miejscach...

- Cicho, Saszeńko. Co możemy zrobić, Herkulesie? - spytał Wania.

- Czy mogą zostać u kogoś z twojej rodziny? - spytał Satinow, ale Saszeńka wiedziała, że Gideon i Muszka stoją na skraju przepaści. Jego druga córka, Wiktoria, była partyjną fanatyczką, która nigdy by nie pomogła napiętnowanym dzieciom. Mendel już znalazł się w trybach Łubianki, a rodzice Wani prawdopodobnie zostaną aresztowani niedługo po nich.

- Zatem Śnieżynka i Karlo muszą wyjechać - powiedział Satinow. - Natychmiast. Może nawet jutro. Na południe. Mam tam przyjaciół, którzy dużo mi zawdzięczają. Pamiętaj, przez dłuższy czas byłem w ZaKawKomie. Na prowincji mieszkają zwykli ludzie, apolityczni. Czasami bywałem bezwzględny, kiedy tam pracowałem, przetrącałem grzbiety naszym wrogom - ale jeśli tylko mogłem, pomagałem ludziom.

- Co to za ludzie? Co się stanie ze Śnieżynką i Karlem? - Saszeńkę ogarniała histeria: oddychała szybko, usta miała szeroko otwarte, ale nie mogła złapać tchu.

- Saszeńko, musisz mi zaufać. Jestem ojcem chrzestnym Śnieżynki. Ufasz mi? Saszeńka skinęła głową. Poza Satinowem nie mieli nikogo.

- Dobrze, muszą wyjechać na południe w tajemnicy. Sam wyjeżdżam dziś w nocy na południe, ale nie mogą jechać ze mną. Ktoś absolutnie godny zaufania musi je zabrać na „wakacje” - to nie powinno wzbudzać żadnych podejrzeń. W umówionym miejscu ta osoba przekaze je innej osobie, o której wspomniałem.

- Co z rodzicami Wani?

- Tak, moja matka je kocha... - powiedział Wania skwapliwie.

- Nie - przerwał Satinow. - Są na Granowskiego. Przez cały czas są śledzeni. To byłby błąd; wybacz mi, Waniu, ale gorliwa prawomyślność i prostoduszność jest niebezpieczna.

- Czy znasz kogoś... kto zajmie się dziećmi na południu, kogoś naprawdę troskliwego, odpowiedniego dla takich kochanych... takich aniołków? - spytała Saszeńka.

Satinow ujął dłonie Saszeńki i mocno je uściśnął.

- Nie zdręczaj się. Tak, tak, obiecuję ci, Saszeńko, mam na myśli kogoś, kogo byś zaaprobowała. Ale nawet ta osoba nie może wiedzieć, gdzie ostatecznie zamieszkają.

- Czy zamieszkają razem? Proszę, powiedz, że tak. Bardzo się kochają, potrzebują się nawzajem - a bez nas...

Herkules potrząsnął głową.

- Nie. Gdyby trafiły do sierocińca NKWD dla dzieci zdrajców, zostałyby rozdzielone, zmieniono by im nazwiska. Poza tym mogą zarządzić w całym kraju poszukiwania brata i siostry i znajdą je. Oddzielnie będą bezpieczniejsze.

Teraz są tysiące zaginionych dzieci, nawet miliony, posterunki milicji są ich pełne.

- Ale to znaczy, że stracą nie tylko rodziców, lecz także siebie. Waniu, nie zniosę tego. Nie wytrzymam.

- Owszem - odparł Wania - wytrzymasz.

- Zostaną umieszczone u dwóch różnych rodzin - ciągnął Satinow. - Myślę o konkretnych rodzinach. To bezdzietne małżeństwa, niezaangażowane w żadną politykę, ale przyzwoici, dobrzy ludzie. Jeśli wrócisz, jeśli zostaniesz tylko zesłana, przez dłuższy czas nie będziesz mogła mieszkać w Moskwie, ale będziesz mogła odzyskać dzieci, obiecuję. Przyjadą i dołączą do ciebie, gdziekolwiek będziesz. Ale jeśli nie, jeśli sprawy wyglądają źle...

- Powiedz mi, kim są te rodziny. Co to są za ludzie? - błagała Saszeńka łamiącym się głosem.

- Nikt oprócz mnie nie będzie wiedział, gdzie dzieci zostaną umieszczone. Za pomaganie dzieciom wrogów ludu wszyscy możemy zapłacić głową. Ale mogę to

zrobić, Saszeńko. Papiery się zgubią, a dzieci bezpiecznie znikną. Nie jesteś sama. W trzydziestym siódmym wielu ludzi wysłało swoje dzieci na prowincję. Oto więc moja oferta. Jeśli ją przyjmiecie, przysięgam, że będę strzegł waszych dzieci, dopóki starczy mi tchu w piersiach. To będzie moja życiowa misja. Ale musicie się zdecydować teraz.

Wania i Saszeńka przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- Och, Herkulesie - jęknęła w końcu Saszeńka, ale skinęła głową. Chciała uściskać Herkulesa, ale odsunął się od niej, a ona zrozumiała, co czuje. Kiedy w 1937 roku skazani na zgubę przyjaciele znaleźli się na lodzie, czekając na aresztowanie, unikała ich jakby byli zadzumieni, ponieważ takie znajomości mogły się okazać fatalne w skutkach. Teraz ona była trędowata, a ten drogi przyjaciel jej pomagał.

- Dziękuję ci - powiedziała cicho. - Jesteś przyzwoitym człowiekiem, uczciwym komunistą.

- Wierz mi, nie jestem taki wspaniały - odparł. - Dobrze - powiedział, wstając. - Najpierw muszę wysłać kilka telegramów. Przygotujcie dzieci dziś w nocy. Możecie je wysłać w dowolnym momencie, poczynając od jutra. Albo możecie poczekać, aż zabiorą jedno z was i będziecie wiedzieli więcej. Jutro wyjeżdżasz do Stalınabada, prawda, Waniu? Ale jeśli cię wezmą, możesz nie zdążyć przekazać wiadomości. Wyjeżdżam dziś w nocy specjalnym pociągiem Komitetu Centralnego, więc jutro będę w Tbilisi. Wyruszam z nową misją i spędzę na południu miesiąc. To się dobrze składa, ponieważ będę mógł wam pomóc. Szczegóły podam wam w telegramie. I jeszcze jedna ważna rzecz: jeśli was aresztują, będę potrzebował czasu, żeby umieścić dzieci, zanim organa zaczną ich szukać. Waniu, wiesz, o czym mówię. Nawet nie myślcie o tym, żeby się zabić. Musicie dać mi czas, bez względu na to, ile was to będzie kosztować. A teraz, etap pierwszy. Czy pierwszą część podróży dzieci odbędą z Karoliną?

Saszeńka pomyślała o chudej jak patyk nadwożańskiej Niemce. Wahala się przez chwilę. W przypiływie strachu zastanawiała się, czy niania ich nie zdradzi. Tak naprawdę nie mogli ufać nikomu.

- Tak - powiedziała wreszcie. - Poszłaby na koniec świata dla naszych dzieci.

- Obudź ją - powiedział Wania, ale Saszeńka już stuknęła do drzwi Karoliny. Kiedy zobaczyła jej wystraszoną twarz, zdała sobie sprawę, że niania już wie, iż dzieje się coś niedobrego - prawie nie musiała jej wyjaśniać. Wystarczyło kilka słów.

Saszeńka powstrzymała łzy, a z ponurej determinacji na twarzy Karoliny i jej zacisniętej szczęki wyczytała, że dramat ostatnich kilku godzin nie uszedł jej uwagi.

- Chodź do nas - powiedziała Saszeńka. Różnica pomiędzy panią a służącą zniknęła w jednej chwili.

- Dobrze - powiedział Satinow, kiedy Saszeńka wróciła z nianią. - Rozumiecie, że cokolwiek się stanie, nie było mnie tutaj. Waniu, Saszeńko, po raz ostatni spotkaliśmy się w waszym mieszkaniu na obiedzie z moją żoną. Nie rozmawialiśmy o polityce. Nic nie wiem o waszym losie. Musicie jak najszybciej załatwić bilety i przepustki dla Karoliny. Zadzwońcie na dworzec, sprawdźcie rozkłady jazdy, jeszcze tej nocy, zaraz. - Położył na stole dwa komplety dokumentów. - To są papiery dwojga sierot z Sierocińca Dzierżyńskiego. Karolina musi jechać z własnymi dokumentami, ale bilety dzieci będą na fałszywe nazwiska. Ostatnio na dworcach i w pociągach są nieustanne kontrole. Saszeńko, zniszcz paszporty dzieci - nie zostawiaj ich na daczach!

- Dokąd ma jechać Karolina? - spytała Saszeńka. - Mogłaby je zabrać do domu w swojej wiosce.

- Tam też mogą ją znaleźć - powiedział Satinow. - Było wiele aresztowań wśród nadwołżańskich Niemców z Rostowa. Powinna pojechać pociągiem z Moskwy do Baku i Tbilisi z Dworca Saratowskiego. Kiedy wysiądzie z pociągu w Rostowie, u zawiadowcy stacji będzie na nią czekać wiadomość na jej nazwisko - Gunther, prawda? Karolina Gunther? Albo wiadomość, albo osoba. Później Karolina musi wrócić do swojej wioski. Wszystko jasne?

Saszeńka zauważyła, że Satinow nie patrzył im w oczy, kiedy się rozstawali. Tak jak ponad dwadzieścia lat wcześniej, gdy spotkali się po raz pierwszy, pocałował ją w rękę, a potem uściskał Wanię. <: ;

Naciągnąwszy swój gruziński kaptur, wyszedł przez ogród. Po chwili usłyszeli skrzypienie zamykanej bramy. Saszeńka знаła Satinowa od zimy 1916 roku, kiedy wszyscy byli młodzi. Towarzyszył jej przy łożu śmierci Ariadny i był ich najlepszym przyjacielem. Teraz ich znajomość dobiegała końca - albo może przechodziła metamorfozę. Z przyjaciela mógł się stać jedyną rodziną dla jej dzieci. Wśród narodu lizusów i tchórzy, oportunistów i donosicieli, on jeden miał odwagę pozostać człowiekiem.

- Chodźmy. Mamy dużo do zrobienia - powiedziała Karolina, kładąc ręce na ramionach Saszeńki. - Ale najpierw musimy coś zjeść. Nie można jasno myśleć z pustym żołądkiem.

Przyniosła tacę z kozim serem, pomidorami, czarnym chlebem i wodą mineralną.

Nie zapalili światła na werandzie, ale jedli łapczywie, jakby od wielu dni nie mieli nic w ustach. Czas płynął wolno. Saszeńka poczuła się lepiej: miała konkretne zadanie do wykonania. Musiała zaufać Herkulesowi Satinowowi. Powiedział, że umieści dzieci u „porządnych ludzi”, ale, och, jak krwawiło jej serce! Przypomniała sobie narodziny Śnieżynki i Karła w Kremłowce, kremłowskiej klinice przy Granowskiego. Pierwszy poród, Śnieżynki, był łatwy: wyłoniła się jak różowy kociak z jasną

główką i pierwszą noc przespała na piersi Saszeńki... Teraz trajkotała bez końca o poduszkach i motylach (znała nazwy modraszków brazylijskich i admirałów czerwonych) i nienawidziła jajek. Karlo potrzebował głaskania, zanim zasnął, budził się w środku nocy i trzeba go było przytulać. Nienawidził jogurtu i miał kolekcję pluszowych królików, a kiedy pomiędzy posiłkami spadał mu poziom cukru, potrzebował swoich ulubionych herbatników z wizerunkiem Kremla na puszcze; i zawsze chciał odwiedzać nowe stacje metra z marmurowymi holami i szklanymi kopułami i jeździć pociągami...

Czy powinna napisać o tym wszystkim tamtym „porządnym ludziom”? Czy mogła komuś powiedzieć? Kto wiedziałby o takich rzeczach - z wyjątkiem matki? Czy Śnieżynka będzie szczęśliwa bez matki? Saszeńka znowu zaczęła drzeć.

- Panuj nad sobą! Musimy być praktyczni! - usłyszała głos Wani. Skurczyła się jak przy zetknięciu z bryłą lodu.

Nie wolno jej było nic napisać, a dzieci mogły zabrać ze sobą niewiele - na pewno nic, co łączyłoby je z rodzicami. Nie było czasu na sentymenty, łzy, poczucie winy. Saszeńka była teraz matką, niczym więcej, samicą chroniącą swoje młode. Musiała je ocalić przed sierocińcem, który opisał Benia. Jeśli po zakończeniu przygotowań wystarczy czasu, będzie się mogła cieszyć obecnością swoich małych skarbów, porozmawiać z nimi przez chwilę. Potem może płakać, jak długo zechce.

Saszeńka nie czuła smaku jedzenia. Ogród mógł być zrobiony z tektury; jaśmin, bzy i wiciokrzew mogły pachnieć zgnilizną, kucyk, króliki, wiewiórki, wszystkie inne stworzenia mogły obrócić się w proch, byle tylko ona się uratowała, żeby wychować dzieci, byle tylko pozwolono im do niej wrócić...

Jestem sam i sierota, i nikt o mnie nic nie wie... Nigdy wcześniej ta stara piosenka nie była tak natarczywa i nieznośna.

- Waniu, musimy porozmawiać. To może być nasza ostatnia noc razem. Ale co im powiemy? - spytała, dławiąc się własnymi słowami.

- Im mniej, tym lepiej - odparł Wania. - Muszą zapomnieć o naszym istnieniu. Śnieżynka zapamięta więcej, ale Karlo ma tylko trzy lata. Nie będzie nawet... - Nie zdołał powiedzieć nic więcej. Saszeńka wzięła Karolinę za rękę.

- Karolino, chodźmy spakować walizki. Musimy znaleźć dla nich ciepłe rzeczy, żeby nie marzły...

Poszły do pokoju Śnieżynki i Saszeńka zaczęła podawać ubranka Karolinie. Za każdym razem, gdy podnosiła sukienkę lub sweter, czuła zapach siana i wanilii.

Dałam dzieciom życie, powiedziała sobie Saszeńka, ale nigdy ich nie miałam. A teraz będą musiały żyć beze mnie, jakbym nigdy nie istniała.

Stary kierowca Razum, zionący alkoholem po nocnym pijaństwie, zjawił się o świcie, by zabrać Wanię na moskiewski dworzec. Zatrąbił przed bramą, a Saszeńka wyszła w fiołkowej nocnej koszuli. Był chłodny, jasny, orzeźwiający majowy poranek. Rosa na trawie mieniła się jak diamentowy deszcz, na różanych krzewach pojawiły się pąki. Dzieci już wstały i Karlo skakał na łóżku. - Mamo, mogę ci coś powiedzieć...

Wania pił całą noc. Saszeńka patrzyła, jak wchodzi do pokoju dzieci, by je ucałować. Wiedziała, że chciał im mnóstwo powiedzieć, tak jak wszyscy ojcowie swoim dzieciom przed długą podróżą. Ale dzieci były bardzo podekscytowane i nawet nie usiadły mu na kolanach.

- Nie chcę całować tatusia, a ty, Śnieżynko? - Karlo pokazał na ojca, który stał tam w mundurze NKWD, z trzema patkami na czerwonym kołnierzu, pasem i kaburą, w butach i czapce.

- Chcemy całować tylko mamę i Karolinę. Tatuś to straszny potwór! Tatuś nas zje i wypluje! - krzyczała Śnieżynka, podskakując jak rozbrykane jagnię. Dzieci skakały wokół niego, a Saszeńka patrzyła - ze łzami w oczach - jak Wania łapie każde z nich po kolei i przyciska do nich twarz, ale tylko na chwilę.

- Auuu, *papoczka*, kłujesz! - zawołał Karlo. - Boli mnie!

- Nie chcę całować twojej kłującej twarzy - powiedziała Śnieżynka. - Pocałuj moją śliczną poduszkę. Zabierz ją ze sobą!

- Chcesz mi dać swoją przyjaciółkę? - spytał Wania, z trudem tłumiąc wzruszenie.

- Tak, żebyś o mnie pamiętał, ale obiecaj, że mi ją odeślesz, dobrze, *papoczka*? Usta Wani drżały, kiedy wziął małą różową poduszkę i schował ją do kieszeni, potem chwycił Śnieżynkę i trzymał ją przez chwilę w objęciach.

- Puść mnie, *papoczka*! Dziwnie pachniesz!

I wyrwała się, przeskakując przez małe płócienne walizki, które stały przy drzwiach.

Wania wyszedł, łzy płynęły po jego nieogolonych policzkach. Karlo pobiegł za nim.

-*Papoczka!* Kocham cię - powiedział. - Pogłaszczę cię, bo płaczesz. - Wania zatrzymał się i podniósł syna, a Karlo otarł mu łzy pluszowym królikiem.

- Dlaczego jesteś smutny, tato? - spytała Śnieżynka na werandzie.

- Nie lubię się z wami rozstawać - powiedział Wania, stawiając delikatnie Karla.

- Niedługo wrócę, ale kiedy mnie nie będzie, gdybyście się zastanawiali, gdzie jestem, spójrzcie w niebo, na gwiazdy, tak jak wam pokazywałem. Tam, gdzie będzie Wielka Niedźwiedzica, tam będę ja.

Saszeńka podeszła z nim do drzwi. Wziął ją w ramiona, podniósł i uściśnął tak mocno, że spadły jej pantofle.

- Małżeństwo z tobą... - ledwo artykułował słowa - ...najlepsza decyzja... w moim życiu. Nie martw się, to minie, a jeśli nie, to mamy swój plan. - Zwrócił się w stronę Karoliny i nisko uklonił.

Karolina spuściła wzrok, stanęła z wysuniętą szczęką, potem podała mu rękę, a on ją uściśnął, przeżąc się jak na defiladzie.

- Dziękuję ci, Karolino! - Potem ją też chwycił i objął.

Razum podjechał, Wania wsiadł do samochodu i odjechali. Saszeńka patrzyła za nimi, potem wbiegła do domu i rzuciła się na łóżko. Czyżby to wszystko miało się skończyć? Wciąż nie do końca mogła w to uwierzyć.

Próbowała sobie wyobrazić, gdzie jest Benia Golden i Mendel, ale nie potrafiła. W tej chwili nie było nikogo poza nią, Wanią i dziećmi. Nikogo. Powinna współczuć Beni, który ją kochał, i Mendlowi - ale też nie potrafiła. Niech przepadną, byle tylko ona mogła być razem z dziećmi.

Poczuła ciężar na łóżku.

- Co się stało? *Mamoczka* płacze. Jesteś smutna, bo *papoczka* wyjechał?

- spytała Śnieżynka.

- Mamo, mamo, mogę ci coś powiedzieć? Pocałuję cię i pogłaszczę, mamo

- powiedział Karlo. Jego brązowe oczy zasnuły się mgłą.

- Ptaszyny?

- Tak, mamo.

- Może się zdarzyć, że pojedziecie w podróż, na wielką przygodę.

- Z tobą i z tatą?

- Nie, raczej nie, Śnieżynko. Ale kochacie Karolinę, prawda? Pojedziecie z nią i musicie pamiętać, żeby nigdy nie rozmawiać o rodzicach ani o niczym, co słyszeliście w domu.

- Już to wiemy - powiedziała Śnieżynka bardzo poważnie. - Tata zawsze mówi: „Nie gadajcie!”.

- A ty i tata? - spytał Karlo, w oczach miał niepokój.

- My, Karlo, pewnie przyjedziemy później. Jeśli będziemy mogli... Ale zawsze będziemy przy was, zawsze.

- Oczywiście, że będziecie! - powiedziała Śnieżynka. - Przecież zawsze będziemy razem.

29

W sobotę po południu odwiozła je do miasta. I wtedy się zaczęło.

Strażnicy na Granowskiego byli jak zawsze uprzejmi - ale był jeden nowy. Dlaczego tak dziwnie patrzył? Wiedział, że Wania jest w Stalinabadzie? Czy wiedział dlaczego? Marfa i Nikołaj, rodzice Wani, wraz z innymi emerytami siedzieli na podwórzu na swoich leżakach: dlaczego ojciec Wani nie przestał czytać gazety i nie odezwał się do niej? Skąd to ukradkowe spojrzenie ojca Andriejewa - czy jego syn, członek Politbiura, wspomniął mu o czymś? Czy powiedział mu, żeby uważał z tymi Paliocynami, żeby nie pozwalał dzieciom bawić się z nimi przez jakiś czas? Dozorca pomachał im, ale dlaczego się nie przywitał i nie pomógł przy walizkach? Zawsze pomagał. Czyżby coś wiedział?

Młody człowiek na ulicy, w gabardynowym płaszczu i kapeluszu, patrzył, jak wjeżdżają na podwórze. Czekista? Strażnicy na wartowni coś notowali: obserwowali ją. Coś wiedzieli. W budynku pokojówka marszałka Budionnego zamiatała schody. Donosicielka? To była udręka. Absurd. Koło otuchy i rozpaczy obracało się w niej rytmicznie jak stara skrzypiąca karuzela w wesołym miasteczku.

Była niedziela w nocy i Saszeńka leżała w łóżku. Czowała pustkę. Znowu ogarnęło ją przerażenie, strach przed utratą dzieci, przed śmiercią. Ale nie bała się ostateczności: młodzi ludzie, którzy zostali rewolucjonistami, zawsze znajdowali się w cieniu szubienicy. Kiedy podczas wojny domowej jeździła pociągami Agitpropu, była gotowa na śmierć w każdym momencie, gdyby schwytali ją biali. To właśnie znaczyło być bolszewikiem. Ale odkąd miała Śnieżynkę i Karła, czuła, jak śmierć podkrada się do niej niczym złodziej w nocy, rozbójnik, który ukradnie jej dzieci. Obmacywała sobie piersi, szukając złośliwych guzów; bała się grypy i gruźlicy - co znaczył ten kaszel?

Błagała Los: daj mi czas, aby kochać dzieci i pielęgnować je. Użycz mi tych kilkunastu lat, abym mogła zobaczyć, że są szczęśliwe i mają własne dzieci.

Kiedy zaczął się terror, widziała, jak inni rodzice znikają, a ich dzieci znikają w ślad za nimi; nie bawiły się już na podwórzu przed Domem nad rzeką Moskwą ani tutaj, na Granowskiego. Ale ci rodzice odeszli od linii partyjnej, zachowywali się lekko-myślnie, nieszczerze, dwulicowo. Wydawali się uczciwymi komunistami, a w rzeczywistości nosili maskę. Partia stała na pierwszym miejscu, a oni zblądzili. Zawsze sobie obiecywała, że nigdy tego nie zrobi. A jednak to właśnie zrobiła.

Było ciemno i Saszeńka próbowała zasnąć, ale nawiedzały ją koszmarne wizje tortur, aresztowań, zapłakanych dziecięcych twarzy. Dygotała i puls miała przyspieszony: czy dostanie ataku serca? Wania nie zadzwonił. Chwilami zapadała w płytki sen, ślizgając się po jego powierzchni, nigdy nie zasypiając na dobre, po czym odbijała się od niego jak kamień od powierzchni stawu. Widziała swoją matkę po śmierci, swoją matkę za życia, swoją matkę w młodości, swojego ojca, któremu strzelano w tył głowy na oczach jej dzieci.

- Kto to jest? - zapytała Śnieżynka.

- Nie poznajecie dziadka?

- Co się z nim stanie po śmierci? - dopytywał się Karlo. - Zostanie duchem?

Saszeńka obudziła się spocona i drżąca, poszła do pokoju dzieci i położyła się obok Karla. Nie mogła uwierzyć, że ten cudowny chłopiec może istnieć na takim świecie. Położyła twarz na jego ramieniu. Skórę miał miękką i ciepłą. Pogłaskała jego nagie plecy i znowu zapadła w sen.

Kiedy się obudziła, Karlo ją głaskał, czuła na twarzy jego oddech. Co za radość!

-*Mamoczka*, mogę ci coś powiedzieć? Ktoś puka do drzwi. Usiadła. Wszystko do niej wróciło. Chwyciły ją mdłości i zawroty głowy. Pukanie było głośnie, natarczywe.

Pocałowała dzieci i podeszła do drzwi.

- Proszę otworzyć!

- Kto tam? - zawołała Śnieżynka.

- Razum! Mam telegram.

Saszeńka zawahała się. Wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi.

- Dzień dobry, towarzyszeko - uśmiechnął się Razum. - Piękny ranek! I wiadomość od szefa.

W STALINABADZIE. CZUJĘ SIĘ DOBRZE. POZDROWIENIA DLA DZIECI. WRACAM ŚRODA. WP

Saszeńka poczuła bezbrzeżną ulgę. Była teraz pewna, że nie stanie się nic złego, że wszystko to sobie uroiła. Dlaczego zastępca szefa Głównego Zarządu Bezpieczeństwa Państwowego, taki jak Wania, nie miałby zostać czasowo odwołany do Stalina-badu? Przecież to zdarzało się bez przerwy; nie wszyscy wysyłani z misją do regionów byli aresztowani. Satinow też został odkomenderowany na kilka tygodni do Gruzji i nikt nie twierdził, że ma jakieś kłopoty.

Przygotowała się do pracy w redakcji. Pomyślała chłodno o wrogach i zdrajcach, tak jak robiła to wcześniej, kiedy organa „sprawdzały” jej przyjaciół, którzy nigdy nie wrócili. Czy była niebezpiecznie powiązana z Benią Golde-nem za pośrednictwem magazynu? Kławdia telefonowała do Andrieja Żdanowa i do Fadiejewa w Związku Pisarzy. Obaj go przepuścili, była więc kryta. Spotykała się z nim, żeby rozmawiać o artykule. Nie było między nimi żadnych związków osobistych. Nagle ogarnął ją niesmak. Kochała tylko dzieci, męża, siebie - i nikogo więcej.

Może Satinow się mylił? Może jedyny związek między Mendlem a Benią polegał na tym, że obaj byli znani, i to narażało ich na niebezpieczeństwo?

Przed wyjazdem Wania powiedział jej, że inni pisarze i artyści też zostali niedawno aresztowani: na przykład Babel, dziennikarz Kolców, reżyser teatralny Meyerhold. Może byli ze sobą powiązani? Wania szepnął, że szykuje się czwarty proces pokazowy, z odwołanym „żelaznym komisarzem” Jeżowem w roli głównej, i że rozważany jest pomysł wrzucenia do tego samego kotła kilku dyplomatów i intelektualistów. Może do tego sprowadzał się ten cały koszmar?

Pocałowała dzieci, uściskała Karolinę, włożyła swój ulubiony kremowy kostium z białymi guzikami i wielkim białym kołnierzem, skropiła się za uszami odrobiną perfum Czerwona Moskwa. Przywitała się z dozorcą i strażnikami i poszła do pracy. Granowskiego była elegancką ulicą, blok mieszkalny różowy i ozdobny, wspaniałe miejsce do życia. W głębi ulicy mieściła się Krem-lowka, gdzie najlepsi specjaliści odbierali jej porody. Był cudowny dzień.

Rzeński wiatr tańczył wokół niej i przechodząc obok Kremla, Saszeńka uśmiechnęła się do uroczonego małego okna Pałacu Uciech, tuż przy murze Ogrodu Aleksandrowskiego, gdzie do czasu samobójstwa swojej żony Nadii mieszkał towarzysz Stalin. Przecinając plac Maneżowy i mijając hotel National, zobaczyła wielką fasadę budynku Sownarkomu, w którym Stalin pracował i mieszkał, światło paliło się tam przez całą noc. Dziękuję wam, towarzyszu Stalin, wy zawsze wiecie, co należy zrobić, zatelegrafowała do niego w myślach przez bursztynowe powietrze słonecznego moskiewskiego dnia. Poznaliście Śnieżynkę, zrozumieliście wszystko. Zdrowia i długiego życia, Iosifie Wissarionowiczu!

Idąc zwawym krokiem, skręciła w ulicę Gorkiego. Po prawej stała kamienica, w której mieszkał stryj Gideon, w pobliżu innych znanych pisarzy, takich jak Iłja Erenburg. W głębi ulicy warczały ciężarówki wiozące cement dla nowego hotelu Moskwa, który wyrastał jak imponująca kamienna świątynia; lincoln i zisy jechały w stronę Kremla, przed miejskim ratuszem, dawnym pałacem, stał srokaty koń i wóz. Moskwa dopiero powstawała, wciąż była zbiorowiskiem wiosek, ale Saszeńka czuła, że tu jest jej miejsce. Idąc pod górę, mijała mężczyzn i kobiety pracujące na nowych budowach, milicjantów na służbie wymachujących pałkami, dzieci w drodze do szkoły, pionierów z czerwonymi chustami. Zanim dotarła do Dworca Białoruskiego, zobaczyła piękny pomnik Puszkina - i skręciła w prawo, w Pietrowkę, z jej nędznymi straganami sprzedającymi pierożki.

W gabinecie poprosiła redaktorów, by usiedli przy stole w kształcie litery T.

- Proszę, towarzysze. Siadajcie! Jakie macie pomysły do grudniowego numeru z okazji urodzin towarzysza Stalina?

Dni prześlizgiwały się lekko i wdzięcznie jak nowe łyżwy na szklistym lodzie.

30

- Tata wrócił! - zawołała Śnieżynka.

- Dlaczego wstałaś? - Saszeńka była w nocnej koszuli i szlafroku. - Wracaj do łóżka! Już prawie północ.

- Razum jest przy drzwiach z tatą!

- Tata wrócił? - Karło w niebieskiej piżamie wygramolił się rozczochrany z łóżka i pobiegł korytarzem, tupiąc bosymi nogami po parkiecie.

- Jest przy drzwiach! - Śnieżynka skakała z radości. - Czy możemy zostać? Proszę, mamo!

- Oczywiście! - Saszeńka otworzyła drzwi.

- Witaj, Razum, przywiozłeś go? Spóźnił się, jak zwykle...

- Cofnąć się, bez gadania - powiedział Razum przesadnie donośnym głosem, zionąc wódką i czosnkiem. Stał na szeroko rozstawionych nogach, z pistoletem w ręku, w

swoim wymiętym mundurze NKWD. - Chodźcie, chłopaki, to tutaj! Zobaczcie, jak mieszkają, zobaczcie, co dała mu partia, tłustemu szefowi - i jak się za to odpłacił!

Razum nie był sam: za nim stało czterech czekistów, a z tyłu jeszcze dozorca, spocony i zakłopotany, z wielkim pękiem kluczy. Czekiści minęli ją i weszli do mieszkania.

- O Boże, zaczęło się. - Pod Saszeńką ugięły się nogi i musiała się oprzeć o ścianę.

Wyższy oficer, komisarz o pociągłej twarzy z dwiema patkami na kołnierzu, zbyt chudy na swój obszerny mundur, stanął przed nią.

- Rozkaz przeszukania mieszkania, podpisany przez Ławrientija Berię, nar koma NKWD.

Razum odepchnął oficera łokciem, aż się palił do udziału w operacji.

- Palicyn został aresztowany jeszcze na Dworcu Saratowskim, o pierwszym brasku. Uderzył jednego z chłopaków, nasz Wania Palicyn.

- Dosyć, towarzyszu - powiedział tyczkowaty komisarz.

- Gdzie on jest? - spytała Saszeńka słabym głosem. A zatem pociąg Wani przyjechał na czas. Razum (którego prawdopodobnie nie dopuszczono do tajemnicy, aby nie ostrzegł szefa) czekał na niego na dworcu, gdzie Wanię natychmiast aresztowano. Groteskowa pantomima Razuma była rozpaczliwą próbą dowiedzenia swojej lojalności i ocalenia skóry. Saszeńka wiedziała dosyć, by zdawać sobie sprawę, że Wanię zabrano prosto do więzienia na Łubiance.

- Ani słowa więcej, towarzyszu Razum - powiedział tyczkowaty komisarz. - To nasza sprawa.

- Zawsze miałem swoje podejrzenia wobec tych państwa. - Razum wciąż nie mógł się uspokoić. - Niewiele się tu działo, czego bym nie widział. Zaraz przeszukamy mieszkanie, znajdziemy papiery, które ukrywał ten gad. Tędy, chłopaki!

Chudy komisarz i jego czekisci już byli w gabinecie. Karolina wyglądała zza drzwi swojej sypialni. Czy przyszli mnie aresztować? - zastanawiała się Saszeńka. Znowu opadły ją gorączkowe pragnienia i samolubne myśli: może jest bezpieczna? Może chodzi im tylko o Wanię? Niech sobie będzie aresztowany, byle ona mogła pozostać z dziećmi.

Saszeńka i Karolina patrzyły na siebie w milczeniu. Czy się spóźniły? Czy dzieci trafią do sierocińca? Wania nie przysłał żadnej wiadomości. Czy Karolina powinna wyjechać z dziećmi zaraz? Tej nocy? Czy to tylko sprowadzi na nich dalsze cierpienia?

- Co się dzieje, mamó? - spytała Śnieżynka, obejmując matkę w talii. Karlo wyczuł coś nienormalnego w odgłosie kroków i podniesionych głosach, w niedbałości, z

jaką czekał otwierali szuflady i trzaskali szafkami w gabinecie, rzucając papiery i fotografie w stertę na podłodze. Jego oczy zaszyły łzami i zaczął płakać.

- Zostańcie w swoim pokoju - krzyknęła Saszeńka, zasłaniając dzieci własnym ciałem. - Idźcie do Karoliny.

Karolina wyciągnęła ramiona, ale dzieci przywarły do Saszeńki, czepiając się jej i chroniąc się pod nią jak podróżni w jaskini podczas burzy.

Do pokoju wpadła matka Wani w purpurowej nocnej koszuli, a za nią jej mąż.

- Co się stało? - krzyknęła. - Co się dzieje? - Wbiegła do gabinetu i zaczęła odpychać czekistów od biurka Wani. - Wania to bohater! To musi być jakaś pomyłka! Za co został aresztowany?

- Artykuł 58, jak przypuszczam - odparł tyczkowaty komisarz. - A teraz z drogi. Będą wynosić sejf.

Saszeńka patrzyła, jak czekał zakładają pieczęć na drzwiach gabinetu. We czterech próbowali przenieść sejf Wani do windy. Wreszcie dozorca przyprowadził metalowy wózek i wytoczyli go z mieszkania.

- Dobranoc, - towarzyszeko Zeitlin-Palicyn - powiedział umundurowany chudzielec do Saszeńki. - Nie majstrujcie z pieczęcią na gabinecie. Jutro wrócimy po resztę materiałów.

- Zaczekajcie! Czy Wania nie potrzebuje jakichś ubrań?

- Szpieg miał walizkę, wielkie dzięki - zadrwił Razum, przybierając wyzywającą pozę z rękami na biodrach. - Zaraz do was idę, chłopaki! - zawołał przez ramię do chudzielca i pozostałych, którzy ładowali do windy sterty papierów.

- Dlaczego nas nienawidzisz? - spytała Saszeńka cicho.

- Będzie śpiewał! Przyzna się, hiena! Żyjecie sobie jak szlachta! Myślicie, że jesteście lepsi od takich jak my? Obrastacie tłuszczem i gnuśniejecie. Teraz dostaniecie za swoje.

- Milczec, towarzyszu Razum, albo sami będziecie mieli kłopoty - zapiszczał komisarz, przytrzymując drzwi windy. Stary Razum odwrócił się raptownie i w tym momencie coś mu wypadło z kieszeni. Wykrzykując pijackie obelgi, pospieszył za kolegami. Drzwi windy się zamknęły.

Saszeńka zatrzasnęła drzwi, oparła się o nie i osunęła na podłogę, Karlo i Śnieżynka przypadli do niej, czepiając się jej nóg. Usiłowała myśleć jasno, aby ułożyć plan działania - chociaż ręce jej drżały, przed oczami wirowały czerwone iskry i skręcało ją w brzuchu.

- Poduszka! - Śnieżynka wyciągnęła rękę i podniosła małą różową poduszkę. - Głupi Razum rzucił moją kochaną poduszkę! - i pokazała wymięty różowy przedmiot Saszeńce.

Saszeńka wyrwała ją Śnieżynce, obracając ją na wszystkie strony, oglądając, wachając.

- Nie, Śnieżynko. Zaczekaj - powiedziała ostro do córki, która próbowała odzyskać swoją własność.

- Chcę swoją małą poduszkę! - zawołała Śnieżynka żałośnie.

- Karolino! - Niania już była przy niej. Rodzice Wani znowu wyszli ze swojego pokoju.

- Gdzie Wania? - spytała matka Wani. Pokazała palcem na Saszeńkę. - Zawsze mu mówiłam, że jesteś wrogiem klasowym, z urodzenia i wychowania. To twoja sprawka, co?

- Bądźcie choć raz cicho! - krzyknęła Saszeńka. - Wyjaśnię wszystko później. Jutro powinniście pojechać na daczę albo na wieś - ale teraz idźcie do siebie. Muszę zebrać myśli!

Obruszyli się na jej grubiaństwo, ale posłuchali.

- Ten drań Razum - wycodziła Karolina.

- Od tej pory każdy jest draniem. Właśnie przeszliśmy z jednej kategorii ludzi do drugiej - powiedziała Saszeńka, trzymając różową poduszkę. - Karolino, czy to było na daczce?

-Tak.

- Nie przywieźliśmy jej ze sobą, prawda?

- Nie. Poduszka mieszka z dziećmi.

Saszeńka zwróciła się do córki.

- Skąd to się wzięło, kochanie?

- Razum ją rzucił. Głupi staruch! Śmierdział!

- Ale kto ją zabrał z daczki? Widziałaś, kto ją wziął?

- Tak, tata ją zabrał. Dałam mu ją, żeby się nią zaopiekował, a on ją schował do kieszeni.

- A więc *papoczka* o nas pamięta - wymamrotała Saszeńka. - Kochany Wania. - Poduszka Śnieżynki: czy mógł być bardziej odpowiedni znak? - Pocziwy stary Razum - dodała.

- Czy mogę ją wziąć, mamusiu?

- Tak, kochanie, możesz.

W tym ułamku sekundy Saszeńka próbowała dotknąć, posmakować, zobaczyć i poczuć wszystkie bezcenne wrażenia i najważniejsze chwile z życia dzieci. Ale nie mogła ich zatrzymać i przelatywały jej przez palce, unoszone wiatrem.

Następnego ranka Saszeńka poszła do redakcji. Inni na jej miejscu pewnie zostaliby w domu, udając chorobę, ale mogło to wzbudzić podejrzenia. Aresztowanie męża nie zawsze prowadziło do aresztowania żony. Nie, będzie redagować swoje pismo jak zawsze i przyjmie to, co przyniesie los.

Na pożegnanie ucałowała dzieci, wdychając zapach ich skóry, ich włosów. Popatrzyła im w twarze. Pocałowała brązowe oczy Karła i przycisnęła wargi do jedwabistego czoła Śnieżynki.

- Kocham was. Zawsze będę was kochać. Nigdy o tym nie zapominajcie. Nigdy - powiedziała stanowczo każdemu z nich. Żadnych łez. Dyscyplina.

- Mamo, mammo, mogę ci coś powiedzieć? - spytał Karło. - Jesteś głupią starą kupa! - i roześmiał się hałaśliwie ze swojego paskudnego żartu.

Śnieżynka też się roześmiała, ale wzięła stronę mamy.

- Wcale nie. Mama jest kochaną poduszką. - Była to najwyższa pochwała. Za nimi stała Karolina. Rodzice Wani włożyli płaszcze. Zawahała się, potem skinęła im głową. Oni też jej skinęli. Nie było nic więcej do powiedzenia.

Saszeńka otrząsnęła się. Pragnęła znowu pocałować Karła i Śnieżynkę, tak bardzo, że mogłaby zetrzeć im skórę pocałunkami - ale wstała, włożyła płaszcz i otworzyła drzwi.

- Mamo, kocham cię bardzo - zawołał Karło. Odwrócił się, porwał poduszkę Śnieżynki i uciekł.

- Oddaj mi ją, ty kupo! - Śnieżynka pobiegła za nim, oddalając się od dorosłych.

Saszeńka wykorzystała moment i wyszła, zabierając ze sobą małą płócienną torbę i swoją torebkę. Tak po prostu. Dzieci nawet nie zauważyły. W jednej chwili była matką z dziećmi, w następnej już jej nie było. Przypominało to skok z samolotu: sekunda, która zmieniła wszystko.

Schodząc po eleganckich drewnianych schodach, Saszeńka nic nie widziała, ponieważ oczy miała zalane łzami.

Ale kiedy weszła do sieni, jej zmysły się wyostrzyły. Strażnicy umilkli na jej widok, a dozorca ze zdumiewającą gorliwością zamiatał parking. Kiedy mijała towarzysza Andriejewa, sekretarza partii, i jego żonę, zastępcę ludowego komisarza Dorę

Chazan, idących do swojego zisa, spojrzeli jej w oczy, ale patrzyli przez nią. Prawdopodobnie jechali spotkać się z towarzyszem Stalinem, towarzyszem Mołotowem i towarzyszem Woroszyłowem w korytarzach Kremla, w krainie żyjących, Ich drogi mogły się więcej nie skrzyżować.

Pomachała wesoło do wartowników. Jeden odmachął, ale drugi go zbeształ.

Wyszła na ulicę. Słońce, kwiaty Ogrodu Aleksandrowskiego, wozy i konie, kurz i hałas nowych placów budowy, czerwone chusty rozśpiewanych pionierów nie zarejestrowały się w jej świadomości.

Chodnik nie wydawał się twardy. Płynęła w powietrzu, ponieważ jej buty, stopy, kości straciły swoją spoistą strukturę. Rozsadzała ją adrenalina, razem z mocną kawą, którą piła w nocy.

Nagle poczuła nieodpartą chęć, by wrócić i jeszcze raz ucałować dzieci. Była ona tak silna, że jej mięśnie aż się sprężyły, lecz zdołała ją przewyciężyć. Musi trzymać się planu! Dla ich dobra. Każde głupstwo, każdy sentymentalny odruch mógł go zniweczyć.

Serce jej waliło, wzrok się wyostrzył. Na ulicy zauważyła dozorców, którzy patrzyli na nią, sprzątając swoje podwórza. Milicjanci na rogu Granowskiego szeptali coś do siebie.

Zatrzymała się na rogu i obejrzała. Tak: jej teściowie wyszli na ulicę. W samą porę. Matka Wani niosła swoją płócienną torbę, ale tym razem nikt z plotkujących sąsiadów jej nie pozdrowił. Ojciec Wani spojrział w stronę Sa-szeńki, lecz w żaden sposób nie okazał, że ją poznaje.

Z pomocą męża matka Wani powlokła się na swoich opuchniętych nogach w przeciwną stronę, pałac papierosa.

Saszeńka skręciła za róg, mijając Kreml po prawej, hotel National po lewej, i znalazła się na ulicy Gorkiego. Wiedziała, że mniej więcej w tym momencie Karolina schodzi z dziećmi po schodach, zabierając je na spacer.

Poprowadzi je w tym samym kierunku, w którym poszli babcia i dziadek, w lewo.

Strażnicy na wartowni popatrzą na dzieci obojętnie: kogo one obchodzą? NKWD interesowało się rodzicami. Poza tym nie było rozkazu. Na razie.

Saszeńka zwlekała przed hotelem. *Miała* nadzieję, że Karolina i dzieci dogonią dziadków Palicynów, którzy oddadzą im małą płócienną torbę należącą do Śnieżynki. Chodziło o to, aby wynieść z domu rzeczy dzieci w taki sposób, aby wartownicy tego nie zauważyli.

Dzieci zostały z dziadkami. Karolina skręciła w prawo i weszła w ulicę Gorkiego, gdzie czekała Saszeńka. Przywitały się.

- Czas na kawę, towarzyszeko?

- Oczywiście. - Weszły do hotelu National i zamówiły kawę w kawiarni. Saszeńka próbowała zachowywać zimną krew, ale czuła się taka rozbita, taka zrozpaczona, że zbierało jej się na mdłości, żołądek jej się ścisnął jak tamtego dnia, kiedy Lala po raz pierwszy zostawiła ją w szkole z internatem, a ona chciała za nią pobiec. Pod wpływem szaleńczego impulsu, uciekła nauczycielce i popędziła korytarzami Smolnego, potrącając inne dziewczęta i wybiegając przed bramę, gdzie Lala ją zobaczyła i znowu uściskała. Teraz ogarnęła ją taka sama panika. Ale Karolina, sztywna i beznamiętna, wypila swoją kawę, pocałowała Saszeńkę i pospiesznie wyszła, prawie na nią nie patrząc. Zabrała ze sobą małą torbę Karła, która zawierała zimową odzież, bieliznę, mydło, szczoteczkę do zębów i trzy pluszowe króliki. Saszeńka gorączkowo robiła w myślach spis rzeczy: czy pamiętały o wszystkim? Co z herbatnikami Karła?

W drzwiach kawiarni Karolina odwróciła się jeszcze raz. Wymieniły ostatnie błagalne spojrzenie, w którym zawierały się najbardziej przejmujące uczucia - miłość, wdzięczność, smutek. Potem Karolina zacisnęła usta i wyszła. Plan był w toku. Wania za pośrednictwem Razuma przekazał sygnał, że Saszeńka musi działać natychmiast. Tak jak sugerował Satinow, tak jak umówiły się Saszeńka i Karolina.

Saszeńka patrzyła na chude plecy niani z rozpaczliwą zazdrością. Tak jak pacjent po operacji czuje swoją amputowaną nogę, podobnie ona czuła, że jej widmowe ciało biegnie za nimi, chociaż wciąż siedziała w kawiarni. Nagle jej ciało sprężyło się jak do skoku i poderwała się z miejsca. Rzuciła na stolik kilka monet i zaczęła biec za Karoliną. Biegła, spocona, serce waliło jej w piersi, jakby zaraz miała dostać zawału, łzy płynęły jej z oczu. Wypadła na ulicę. Spojrzała w prawo i w lewo. Karoliny już nie było. Boże, musiała je znowu zobaczyć! Łkanie w jej gardle przeszło w przeraźliwy jęk, dźwięk, jakiego nigdy w życiu nie słyszała. Biegła szaleńczo boczną uliczką.

I nagle ich zobaczyła. W oddali zatrzymał się tramwaj, strzelając snopami iskier. Śnieżynka stała na pierwszym stopniu, machając swoją różową poduszką i śmiejąc się, toteż Saszeńka wyraźnie widziała jej szerokie białe czoło i jasne loki. Karolina, trzymając obie torby w lewej ręce, podsadzała Karła, który się wygłupiał, udając, że marszeruje, śpiewając piosenkę.

Ciągnął ją za rękaw. „Karolino, Karolino, mogę ci coś powiedzieć?”. Saszeńka, wiedziała, że to mówił, ale Karolina była już na drugim stopniu. Za nimi wsiedli dwaj żołnierze, obaj palili.

- Stój! Karolino! Karlo! Śnieżynko! - Saszeńka naprawdę krzyczała.

Karolina zapłaciła w małym okienku. Saszeńka widziała tylko czubki ich głów, brązowe rozczochrane włosy Karła i jasne loki Śnieżynki, które lśniły w słońcu jak złota przędza. Narażała ich wszystkich, biegnąc. Czekał się mogli ją zobaczyć i zorien-

tować się, że wysłała je w podróż; aresztują ją jako szpiega, wtrąca dzieci do Sierocińca Dzierżyńskiego, rozstrzelają. Ale Saszeńka nie panowała nad sobą, biegnąc na oślep, wpadając na jakąś starszą kobietę, której rozdarła się siatka na zakupy, ziemniaki potoczyły się po chodniku, a Saszeńka wciąż biegła i łzy ciekły jej po twarzy. Tramwaj szarpnął i zaczął nabierać prędkości. Saszeńka doganiała go i znowu ich zobaczyła: Karolina pomagała dzieciom usiąść przy oknie. Zamazana impresja niebieskich oczu i mlecznego czoła, brązowych oczu i włosów - i zniknęli.

Jakiś człowiek potrafił Saszeńkę, która zatoczyła się na jakieś drzwi wejściowe i usiadła na progu. Usłyszała swój płacz, zawodziła tak samo jak jej matka, kiedy zabito Rasputina. Ludzie przechodzili obok, lekko zdegustowani. Wreszcie jakoś się pozbierała.

Dziadkowie wrócą do mieszkania i powiedzą strażnikom, że na lato wyjeżdżają na daczę. Strażnicy, którzy wiedzieli o aresztowaniu Wani Palicyna, wzruszą ramionami: kogo to obchodzi?

Saszeńka wstała i poprawiła ubranie. Wszystko wydawało się w porządku. Mając nadzieję, że żaden informator NKWD nie widział jej hysterii, wytarła twarz i ruszyła ulicą Gorkiego, spoglądając na Kreml i w okno stryja Gide-ona. Nie było sensu dzwonić do niego, chociaż bardzo chciała to zrobić. Jej telefony mogły być na podsłuchu, a on i tak wkrótce się dowie. Kochała go: czy o tym wiedział? Potem znowu pomyślała o ojcu: gdzie był? Czy dołączy do niego w jakimś zapomnianym grobie? Nie mogła pogodzić się z myślą, że sama zniknie z powierzchni ziemi.

Wybrała inną drogę na Pietrowkę, nie przez plac Puszkina, lecz przez aleje Stolesznikowa. Próbowała rejestrować wszystko - małe bary, gruzińską restaurację Aragwi, stoisko pucybuta, kiosk z gazetami, zakład fryzjerski Zwiada - ale niczego nie zdołała zachować na dłużej. Jak w nocy. Było tego za dużo.

Gdzie są teraz Śnieżynka i Karlo? Nie próbuj patrzeć na zegarek, powiedziała sobie. Przypuśćmy, że jesteś śledzona: mogą się zainteresować, dlaczego nieustannie sprawdzasz godzinę. Pociąg na południe odchodził o dziesiątej, a teraz była dziewiąta czterdzieści trzy. Dzieci były w drodze.

Portier wyprostował się na widok Saszeńki; jej sekretarka, Gala, oblała się rumieńcem, a Kławdia nawet na nią nie spojrzała. Wszyscy wiedzieli, że Saszeńka należy już do „byłych”; co gorsza, wszyscy wiedzieli, że jest żoną wroga i że Wania prze-

bywa w piwnicach więzienia wewnętrznego na Łubiance - podobnie jak Benia Golden, jej nowy autor, z którym spotkała się w swojej daczce w noc pierwszomajową, z którym wyszła z redakcji, z którym widziano ją na spacerze...

Saszeńka usiadła przy swoim biurku. Nikt nie wszedł. Spędziła u siebie cały dzień z wyjątkiem krótkiej wizyty w stołówce, gdzie w samotności zjadła barszcz. Próbowała czytać odbitki szczotkowe, ale nie mogła się skoncentrować. Znała wielu przyjaciół i towarzyszy, którzy w podobnej sytuacji zachowywali się tak, jakby nic się nie stało - i przetrwali. Choćby stryj Gideon. Panuj nad nerwami, a może ocalisz dzieci, obiecywała sobie.

Wieczorem wróciła do domu.

Wysokie sufity, lśniące parkiety, ozdobne gzymsy na ścianach, połyskujący brąz mebli z karelskiej sosny, zielone lampy z mosiężnymi podstawkami należały do jej życia, kiedy były w nim dzieci. Teraz nienawidziła tego mieszkania. Panowała w nim przytłaczająca cisza. Zapragnęła zajrzeć do pokoiów dzieci. Nie rób sobie tego. To cię załamie, doprowadzi cię do szaleństwa, powiedziała sobie. Ale jedno szybkie spojrzenie?

Rzucając torebkę i płaszcz, pobiegła korytarzem, dopadła do ich łóżek i zaczęła wachać poduszki, najpierw Śnieżynki, potem Karla. Teraz wreszcie mogła się rozplakać. Naśladowała ich głosy i rozmawiała z ich fotografiami.

Potem spaliła wszystkie fotografie, a także ich paszporty. Śnieżynka zostawiła większość swoich poduszek, a Karlo większość królików. Saszeńka zabrała je ze sobą do łóżka, do towarzystwa na bezsenność, która ją czekała.

Potem sama zapakowała do torby szczotkę do zębów, ciepłe rzeczy, bieliznę. Wybierała najlepsze rzeczy. Dlaczego nie?

** *

Następnego dnia znowu poszła do pracy, zabierając torbę z rzeczami. I następnego. I jeszcze następnego. Napięcie przyprawiało ją o mdłości. Miała wyschnięte gardło, zapadniętą twarz i ledwo mogła jeść. Nocami śniła o Wani i dzieciach. Gdzie teraz były? Trzy noce w drodze: czy były już u rodziny? Czy na jakiejś stacji kolejowej, samotne, głodne, zagubione? Przez cały czas rozmawiała z dziećmi na głos, jak wariatka.

W nocy przyszedł do niej Benia Golden. Obudziła się pełna skruchy, poczucia winy, niesmaku - i, o zgrozo, gorączkowego podniecenia. Nagle go znienawidziła. Zabiłaby go gołymi rękami, wyłupiła mu oczy: czy to on, ze swoim filisterskim opo-

rem, swoją odmową pisania, zainteresowaniem działalnością organów, ze swoimi sławnymi przyjaciółmi w Paryżu i Madrycie - czy to za sprawą jego powiązań czekają śmierć i utrata dzieci? Owszem, kochała go, owszem, dawał jej szalone szczęście, ale teraz, w porównaniu z jej miłością do dzieci - to wszystko było prochem!

** *

Trzeciego dnia zobaczyła coś innego w oczach wartowników. Kiedy przywitała się z dozorcą, spojrzał w górę, na jej mieszkanie, i wiedziała, co się stanie za chwilę. Wchodziła po schodach niemal z ulgą, że ten koszmar się skończył.

Kiedy weszła do mieszkania, pieczęć na drzwiach gabinetu była zerwana i wypełniał go zapach goździków. Przechodząc obok Czerwonego Kącika, weszła do salonu i zobaczyła na stole talerz z jedzeniem. Na kanapie leżał ogromny mężczyzna w szytym na zamówienie mundurze NKWD i skórzanych butach. Buty zaskrzypiały, gdy wstał i obdarzył Saszeńkę uśmiechem. Miał śniadą, błyszczącą cerę, kędzierzawe włosy, a na tłustych palcach kolorowe pierścienie. Jego woda kolońska wydzielala tak gryzący, goździkowy zapach, że Saszeńka czuła go na języku. Nie był sam. Dwaj młodzi czekałsi, zapewne trochę pijani, wstali, chwiejąc się i szczerząc zęby.

Saszeńka miała na sobie różową bawełnianą letnią sukienkę, a na twarzy makiaż. Niedawno zrobiła sobie trwałą ondulację i jej włosy, lekko zakręcone z przodu, układały się nad czołem w wygiętą falę. Wyprostowała się dumnie.

- Towarzysze, przykro mi, że was zatrzymałam. Długo czekaliście? Jestem Saszeńka Zeitlin-Palicyn, którą Lenin nazywał towarzyszem Lisem Polarnym.

* * *

- Towarzysko, co za miłe powitanie - powiedział komisarz bezpieczeństwa państwowego drugiej rangi i zastępca szefa Głównego Zarządu Bezpieczeństwa Państwowego, Bogdan „Byk” Kobiłow. - Wiecie, że towarzysz Beria jest waszym wielbicielem?

Saszeńka wzięła głęboki oddech, nozdrza jej zadrgały, szare oczy zwięzły się.

- Oczekiwałam was w każdej chwili. Jestem niemal zadowolona...

- Teraz rozumiem, dlaczego towarzysz Beria tak dobrze się o was wyraża - powiedział.

Jak wielu potężnie zbudowanych mężczyzn, głos miał wysoki. Saszeńka czuła do niego pogardę. Pomyślała o dzieciach - wyjechały trzy dni temu. Wiedziała, że za kilka minut przestąpi kraniec świata, ale pamiętała, co musi zrobić. Spokojnie wyjęła papierosa i trzymała go jak gwiazda filmowa. Kobiłow, błyskając pierścieniami na

śniadych palcach, pochylił się i podał jej ogień. Czują zapach jego tłustego ciała - i te goździki.

- Dziękuję, towarzyszu. - Zaciągnęła się, przymykając oczy, i wypuściła błękitny dym. W sąsiednim mieszkaniu ktoś grał na fortepianie i jakieś dziecko śpiewało, toczyło się normalne życie rodzinne.

- Czego chcecie?

- Kiedy sprawa dotyczy pięknej kobiety - powiedział Kobułow, marszcząc nos - lubię przychodzić po nią osobiście.

33

Półtora tysiąca kilometrów dalej na południe, w mieście Tbilisi, siwowłosa kobieta pakowała torbę. Mieszkała sama w jednym pokoju, blisko centrum, przy ciemnej, zarośniętej uliczce niedaleko siarczanych źródeł, starego miasta i prawosławnej cerkwi z okrągłą gruzińską wieżą.

Jej maleńki pokój, z łóżkiem, lampą, szafą i starymi fotografiami członków bogatej rodziny, pozujących w melonikach, w garniturach od krawca i lśniących limuzynach, mieścił się w eleganckiej rezydencji, należącej niegdyś do gruzińskich książąt. Ostatni z nich był ekscentrycznym antykwariuszem, kolekcjonerem książek i właścicielem siarczanych źródeł (teraz pracował jako taksówkarz w Paryżu). Podczas rewolucji 1905 roku sprzedał swój pałac żydowskiemu magnatowi naftowemu z Sankt Petersburga. Obecnie rezydencja została podzielona na małe mieszkania, a w książęcej bibliotece na parterze urządzono kawiarnię, malowniczy lokal w rodzaju tych, jakie nie istniały już w Moskwie ani nigdzie w Rosji. Ale tutaj, w Gruzji, mimo niedawnych czystek, które zdziesiątkowały inteligencję, przypominająca sklep z osobliwościami kawiarnia, ze starymi zbutwiałymi książkami, świecznikami kapiącymi woskiem i gęstym, splątanym dzikim winem przesłaniającym jej zaporowane okna, nadal prosperowała, serwując kawę po turecku i gruzińskie potrawy.

Siwowłosa kobieta przez cały dzień pracowała w kawiarni jako kelnerka. Była to marnie płatna, ale na obecne czasy przyzwoita posada; papiery kobiety wydawały się w porządku, nie robiła nic wbrew prawu. Trzymała się na uboczu, nigdy nie rozmawiała z klientami ani nawet z innymi kelnerkami, które już dawno przestały plotkować na jej temat. Pochodziła z burżuazji i nie pasowała tutaj, ale w tych czasach powin-

cyjonalne miasta były pełne takich wyrzutek, a w Gruzji mogli oni liczyć na większą tolerancję niż gdziekolwiek indziej. Mówiło się, że komunizm nie wykracza daleko poza granice stolicy. Kiedyś mieszkała z pewnym starszym mężczyzną, który zniknął; nikomu nie zwierzała się ze swojego życia prywatnego.

Rosyjskim władała doskonale, gruzińskim całkiem dobrze, i oboma tymi językami mówiła z akcentem. Do wszystkich odnosiła się uprzejmie, ale zauważono, że prawdziwą troską otacza bibliotekę. Kuchnia i bar mieściły się na końcu sali, pomiędzy dwiema półkami na książki. Para z czajników i kotłów zniszczyła drewno, książki łuszczyły się i wypaczały, stare obrazy spleśniały i pożółkły - ale ona robiła, co mogła, odkurzając książki i czasami susząc je w swoim pokoju na górze.

Poprzedniego dnia kobieta poprosiła o tydzień wolnego, co nigdy wcześniej się nie zdarzało. Ale miała zaległy urlop od wielu lat, zatem Tengiz, kierownik, dał jej dwa tygodnie.

Tego dnia wstała wcześniej i poszła na ormiański bazar przy placu Berii, gdzie kupiła żywność. Po powrocie do swojego pokoju zapakowała do torby nie tylko ubrania, lecz także gruzińskie placki *lawaszi*, solone mięso i słodycze. Zdjęła ze ściany fotografię uczennicy w mundurku carskiej szkoły z internatem, usunęła podklejkę i wyjęła stamtąd kilka banknotów. Ukryła dwieście rubli w pasku, pocałowała fotografię i powiesiła ją na miejsce.

Obejrzała się w lustrze i skrzywiła z dezaprobatą: policzki na trójkątnej twarzy były zapadnięte i szorstkie, pod oczami miała worki, ubranie porządne, ale wystrzępione na brzegach. Wyglądała na pięćdziesiąt lat, ale była młodsza.

Jak, na Boga, zadała sobie pytanie, znalazłaś się tutaj? Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się.

Kilka godzin później złapała tramwaj na dworzec, gdzie kupiła bilet do Baku, a stamtąd do Rostowa nad Donem. Przesiadła się na dworcu w Baku, gdzie roilo się od muzułmanów, Turków i Tatarów w radzieckich mundurach, myckach i powłóczystych szatach, z kurczętami, owcami i dziećmi. Jakaś rodzina poczęstowała ją zimną baraniną, którą przyjęła z wdzięcznością. Czekiła na pociąg. Kiedy nadjechał, rzucił się do niego cały tłum zebrany na dworcu, ale tureccy przyjaciele pomogli jej i wciągnęli ją do wagonu. Usiadła obok nich, znowu wdzięczna za opiekę. W pociągu próbowała spać, ale nie mogła przestać myśleć o dziwnych wydarzeniach poprzedniego tygodnia.

Cztery dni temu spocony urzędnik w partyjnej bluzie przyszedł na inspekcję i sprawdzał pozwolenia na pracę zatrudnionych w kawiarni. Wszystkim kazano przyjść do komitetu miejskiego w starym Pałacu Namiestnikowskim przy placu Berii na kontrolę dokumentów. Tengiz powiedział jej, że ma iść pierwsza. To było dziwne, ale nikt nie zadawał pytań: kontrole i czystki były częścią codziennego życia. Jej mąż zniknął,

prawdopodobnie nie żył, a ona spodziewała się, że przyjdą również po nią. Pewnie zostanie aresztowana i też zniknie. Ale jakie to miało teraz znaczenie?

Poszła do imponującego Pałacu Namiestnikowskiego, skąd pierwszy sekretarz rządził Gruzją. Czekanie bardzo ją zdenerwowało. Było wiele pytań, które chciała zadać. Ale jak wszyscy inni, była bezradna wobec nieudolności i potęgi państwa. Kto zadawał pytania, narażał się na to, że zaczną pytać o niego - lepiej więc było trzymać język za zębami. Czekala jak inni, kaszlący, chrząkający, przygnębieni ludzie, starzy i młodzi, w brudnym przedpokoju z odrapanymi drewnianymi oknami.

Kiedy nadeszła jej kolej, podała swoje papiery przez okienko. Wezwano ją do obskurnego, nieodmalowanego gabinetu. Przygotowała się na wyniosłe grubiaństwo jakiegoś szeregowego gruzińskiego biurokraty. Ale urzędnik, który ją przyjął, wcale nie był w tym typie. Szczupły i przystojny mężczyzna, najwyraźniej partyjny dygnitarz, wstał, kiedy weszła, przysunął jej krzesło, a potem zajął swoje miejsce za biurkiem. Jego partyjna bluza doskonale pasowała do szerokich ramion i wąskiej talii. Promieniował energią stalinowskiego pokolenia i wydawał się stanowczo zbyt światowy jak na ten nędzny gabinet. Musi być moskwianinem, ważną figurą, pomyślała. Oczy miał bystre, pytające.

- Audrey Lewis? -

Skinęła głową.

- Nie denerwuj się. Od dawna wiem, że mieszkasz w Tbilisi. Pamiętasz mnie? - spytał. - Widziałem cię dawno temu w Piotrogradzie. W domu przy ulicy Bolszaja Morskaja, w dniu, kiedy umarła matka Saszeńki. Tamtego dnia przyszli po nią trzej towarzysze. Jednym był jej wuj Mendel, drugim Wania, trzecim byłem ja. A teraz, Lulu, chciałbym cię o coś poprosić.

34

Podczas jazdy przez moskiewskie ulice z szerokiej szyi i ud komisarza Kobułowa bił zapach potu i goździków. Saszeńka siedziała ściśnięta obok niego, a on napawał się tą bliskością, wierząc potężnym zadem i marszcząc nos jak przerośnięty bury kot.

Samochód piął się pod górę w stronę złowieszczonego granitowego gmachu Łubianki, siedziby Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych, a potem skręcił w

boczną uliczkę i wjechał przez otwartą bramę na dziedziniec. Saszeńka czuła na szyi korzenny oddech Kobułowa, ale nie zwracała na to uwagi. Próbowwała się opanować, oszczędzać siły, tak jak wszyscy więźniowie.

Światła na dziedzińcu - niewidoczne z zewnątrz - oświetlały scenerię, która przypominała dworzec kolejowy, gdzie ludzie przyjeżdżają, ale nie odjeżdżają. Saszeńka domyśliła się, że ten ukryty dziewięciopiętrowy budynek to straszne więzienie wewnętrzne. „Czarne wrony” i ciężarówki Stołypina, których otwarte drzwi ukazywały pręty klatek, wyrzucały z siebie zaspanych mężczyzn w nocnych koszulach, z krwawiącymi wargami, wrzeszczące kobiety w koktajlowych sukniach, z rozmazanym cieniem do powiek, stosy niedbale związanych papierów i sfatygowane skórzane walizki. Każdy z nowo przybyłych miał białą twarz prowadzącego wcześniej wygodne życie człowieka, który wpadał w otchłań strachu.

Oficer otworzył drzwi po stronie Kobułowa. Oddychając ciężko, komisarz podniósł swoje skrzypiące buty, pochylił się i wytoczył z samochodu.

Otwarto drzwi po stronie Saszeńki, a czekista chwycił ją za ramię i poprowadził do wielkiej piwnicy z wykruszonymi łukami i poszczerbionymi drewnianymi ścianami, gdzie stało w kolejkach jeszcze więcej zdeorientowanych ludzi. Saszeńkę - przypadek specjalny, jak zauważyła ponuro - zaprowadzono na początek kolejki.

- Jestem radziecką kobietą i członkiem partii - powiedziała znudzonemu czekistcie.

Pomagała budować system radziecki; wierzyła, że ta represyjna machina jest konieczna, aby stworzyć nowy świat zgodnie z nauką marksizmu-leninizmu-stalinizmu i materializmem dialektycznym, chciała, aby czekisci wiedzieli, że nadal w to wierzy, nawet jeśli system miał ją pochłonąć. Ale czekista tylko potrząsnął głową i kazał jej opróżnić kieszenie, torebkę, walizkę. Pomachał żółtą dłonią, żeby się pospieszyła, i zaczął wypełniać formularz. Imię, imię ojca, rok urodzenia. Popatrzył na nią. Kolor włosów? Kolor oczu? Znaki szczególne? Przycisnął jej palce do poduszeczki z tuszem i zdjął odciski. Otrzymała numer więzienny.

- Zegarek? Pierścionki? Pieniądze? - Spisał jej rzeczy, dał jej formularz do podpisania i oddał pokwitowanie. Za nią tłoczyli się inni aresztowani.

- Kobiety tutaj! - wskazał czekista. Saszeńka pamiętała swoje aresztowanie w Piotrogradzie i identyczne pytania, ale teraz bardziej się bała. Imperium carskie było pobłażliwe; ona pomogła stworzyć ludożerczy Związek Radziecki.

Weszła do małego pokoju, gdzie za biurkiem siedziała kobieta w białym fartuchu i paliła papierosa.

- Rozebrać się! - warknęła.

Saszeńka zdjęła kostium i buty. Stała w bieliźnie i pończochach, drżąc lekko na zimnym betonie. Pamiętała, że ma jedwabną bieliznę. Paciorkowate oczy kobiety zauważyły to.

- Zdejmuj wszystko! Nie marnuj mojego czasu i nie ociągaj się! - Kobieta wtknęła papierosa do ust i podwinęła rękawy, ukazując potężne owłosione przedramiona.

Saszeńka zdjęła stanik i skrzyżowała ręce na piersiach. Całkiem niezłe piersi po dwójce dzieci, powiedziała sobie. -Resztę!

Saszeńka zdjęła majtki i wstydliwie zasłoniła ręką łono.

- Nikt się nie interesuje tobą ani twoją piczką. Zabierz rękę! Otwórz usta! Kobieta wsunęła palce do ust Saszeńki. Smakowały spleśniałym serem.

- Ręce na biurko. Nogi szeroko.

Przycisnęła głowę Saszeńki. Palec wtargnął boleśnie do jej waginy, potem zagłębił się w odbycie. Saszeńka jęknęła.

- Spokojnie, księżniczko. To nie są tortury! Ubieraj się. - Wzięła buty Saszeńki. - Wyjmij sznurowadła. Oddaj mi ten pasek. Pióra i ołówki są niedozwolone. - Kobieta zmierzyła jej wzrost i zapisała go. - Siadaj!

Saszeńka opadła na krzesło, czując ulgę, że znowu jest ubrana.

- Wład! - zawołała kobieta.

Do pokoju wszedł chudy stary fotograf z zaczesanymi do tyłu włosami i małą głową, w znoszonym niebieskim garniturze. Najwyraźniej był alkoholikiem, bo trząsał się i ledwo mógł utrzymać swój aparat, z którego jak chromowany słonecznik wystawała okrągła lampa błyskowa.

- Spójrz na mnie - powiedział.

Saszeńka spojrzała w aparat, początkowo ze znużeniem, ale potem spróbowała doprowadzić się do porządku, poprawiła włosy. Może któregoś dnia jej dzieci zobaczą to zdjęcie? Skoncentrowała wzrok na obiektywie, próbując wyrazem twarzy powiedzieć: Śnieżynko i Karlo - kocham was, kocham was! To wasza matka! Pamiętajcie o mnie! Śnijcie o mnie!

- Siedź spokojnie! Gotowe. - Lampa rozbłysła z syczącym pstryknięciem. Saszeńka zobaczyła srebrne gwiazdy roztapiające się na czarnym niebie.

Strażnik poprowadził ją za rękę przez następne drzwi, które zatrzasnęły się za nimi. Buty bez sznurowadeł były za luźne, a spódnica źle się układała. Eskortowało ją trzech strażników: jeden z przodu, jeden ją trzymał, jeden za nią. Minęli metalowe klatki, wspięli się po stalowych schodach, potem zeszli kamiennymi, poczekali w betonowym pomieszczeniu zbiorczym i pomaszerowali wzdłuż szeregu cel o stalowych

drzwiach z wizjerami. Słyszała kaszel i przekleństwa, szcęk zamków, trzaskanie drzwi i szuranie nóg, dzwonienie pęków kluczy.

Zapach więzienia - uryna, pot, ekskrementy, środki dezynfekcyjne, kapuśniak, naoliwiona broń i zamki - przypominał jej Piotrogród w 1916 roku. Tym razem tata mnie nie wydobędzie, pomyślała ze smutkiem. Czuła, że Wania, Benia i wuj Mendel są gdzieś w pobliżu, i to dodawało jej otuchy. Korytarzem zbliżał się inny więzień w asyście strażnika - zobaczyła ładną młodą kobietę, młodszą od niej, z podbitym okiem.

- Więzień 778, odwrócić głowę - warknął strażnik, odzywając się do niej po raz pierwszy. Pchnął Saszeńkę w stronę narożnika, gdzie znajdowało się coś, co wyglądało jak stojąca pionowo metalowa trumna. Otworzył drzwi, wepchnął ją do środka i zamknął. Drzwi trumny napały na jej plecy. Czy to była tortura? Próbowwała złapać oddech w ciasnej przestrzeni. Przeszli inni strażnicy z więźniem. Kiedy się oddalili, drzwi zostały otwarte i ruszyli dalej, aż dotarli do rzędu cel, gdzie strażnik trzymał otwarte drzwi. Były oznaczone numerem 778.

Cela była mała i zimna, z dwiema pryzkami, bez okien, z wiadrzem na nieczystości w kącie, ceglanymi ścianami i wilgotną podłogą. Drzwi się zatrzasnęły, szcęknał zamek. Została sama. Wizjer się otworzył, ktoś na nią patrzył. Potem wizjer się zamknął. Przymknęła oczy i wsłuchiwała się w życie dookoła siebie. Więźniowie śpiewali, soplowali, kasłali, bełkotali i stukali do siebie więziennym szyfrem, który nie zmienił się od czasów carskich. Ogromny budynek pulsował jak podziemne miasto. Rury bulgotały i wibrowały. Wleczono metalowe wiadro, a potem chlasnęła mokra szmata. Zaturkotał wózek. Rozlegał się szmer głosów, echo metalowych kubków i h/żek. Wizjer otworzył się i zamknął. Znowu zgrzytnęły drzwi. -Kolacja!

Dwaj więźniowie, jeden brodaty, stary i wąty, drugi siwy, ale prawdopodobnie w jej wieku, rozlewali zupę z kotła na wózku. Jeden dał jej metalowy kubek, a drugi zaczerpnął chochlą i napełnił go parującą cieczą z kotła. Przyglądali się temu dwaj strażnicy z rękami na pistoletach. Pomiedzy więźniami nie mogło być żadnych kontaktów.

- Dziękuję - powiedziała.

- Nie rozmawiać! - krzyknął strażnik. - Nie patrzeć na innych więźniów. Młodszy więzień dał jej grudkę cukru i mały kawałek czarnego chleba.

Spoglądał na nią przez chwilę, z iskrą uczucia na wrażliwej, dosyć figlarnej twarzy. Przed Benią nie rozpoznałaby tego, ale teraz rozumiała ten szczególny język. Mój Boże, pomyślała, to pożądanie! Saszeńka ucieszyła się: ludzie w więzieniu wciąż odczuwali pożądanie! Może też wiele innych rzeczy. Kiedy drzwi się zatrzasnęły, wypła swoją wodnistą zupę. Skorzystała z wiadra i położyła się.

Waniu, gdziekolwiek jesteś, pomyślała, wiem, co robić. Nie wszystko było jeszcze stracone: dzieci wyjechały i może nie będzie żadnej sprawy przeciwko niej. Wania o tym wiedział. Wciąż mogła wrócić i wróci. Co mogli mieć na nią, lojalną komunistkę? Wypowiedziała głośno jedno słowo:

- Poduszka!

Światła pozostały zapalone.

Saszeńka próbowała spać. Rozmawiała głośno z dziećmi, ale one należały już do innego świata. Dotyk ich skóry, dźwięk ich głosów, wszystko wciąż było dla niej świeże i pełne życia. Zaczęła płakać, spokojnie, z rezygnacją.

Wizjer się otworzył.

- Cisza! Twarz i ręce przez cały czas mają być na widoku!

Spała i znowu była dzieckiem w majątku Zeitlina w Zembliszynie: jej ojciec, w białym garniturze i półbutach, trzymał kucyka za uzdę, a Lala, ukochana Lala, pomagała jej wspiąć się na siodło...

35

Saszeńkę obudziło turkotanie wózków, plaskanie szmat, zgrzytanie zamków. Wizjer otworzył się i zamknął, zgrzytnęły drzwi.

- Mycie! Brać wiadro! - Strażnik zaprowadził ją do łazienki, gdzie chlor szczypał w oczy. Wylała nieczystości i umyła twarz wodą. Potem wróciła do celi.

- Śniadanie! - Ten sam więzień o zmysłowym spojrzeniu niósł teraz drewnianą tacę, jak bileterka sprzedająca papierosy. Drugi więzień, brodaty stary mężczyzna pokryty tatużami, nalał jej herbaty i podał mały kawałek chleba, grudkę cukru, osiem papierosów i pasek fosforu z pudełka od zapalek. Pociągła twarz młodszego więźnia nic nie wyrażała, ale znowu obrzucił ją wymownym spojrzeniem i zanim drzwi się zatrzasnęły, w jego oczach błysnęło najpospolitsze pożądanie. Herbata i chleb smakowały bosko. Wiedziała od Wani, że czasami więźniowie oczekują tygodniami na przesłuchanie, mogły więc minąć wieki, nim zyska sposobność, by bronić swego dobrego imienia komunistki - i dowiedzieć się, dlaczego tu trafiła.

Potem znowu położyła się na pryczy. Gdzie są teraz dzieci? - zastanawiała się. I ponownie wypowiedziała głośno słowo będące jej talizmanem, szyfrem, za pomocą którego przesyłała wyrazy miłości swoim dzieciom przez szerokie stepy i potężne rzeki Rosji.

- Poduszka!

- Więzień 778? - Drzwi się otworzyły.

- Tak.

- Wychodzić.

Trzej strażnicy poprowadzili ją korytarzami, najpierw metalowymi schodami w górę, potem w dół betonową klatką schodową z rozpiętymi metalowymi siatkami, które miały zapobiegać samobójstwom, przez rozchwiane drewniane mostki nad granitowymi kanionami, znowu przez korytarze, aż minęli podwójne strzeżone drzwi i znaleźli się w szerokim korytarzu z gabinetami zamiast cel. Saszeńka nuciła pod nosem - ku swemu zdumieniu zorientowała się, że jest to stary cygański romans, tak uwielbiany przez Benic Goldenę, ich pieśń miłosna:

*Oczy czomyje, oczy diwnyje,
oczi strasnyje i priekrasnyje...
Kak lublu ja was, kak bajus'ja was...
Ja uwidiel was, och, w niecharoszyj czas.*

Nie był to odpowiedni czas na miłość, ale nieoczekiwanie piosenka napełniła ją optymizmem. Teraz była już pewna, że straszny plan Wani okaże się niepotrzebny. Z łatwością odeprze oskarżenia czekistów. Uwolni ją. Odczeka trochę, a potem pośle po dzieci. Och, cóż to będzie za radość!

- Tutaj! - Strażnik wepchnął ją do małego czystego gabinetu z linoleum na podłodze, pustym biurkiem, szarym telefonem i światłem skierowanym w jej stronę. Jasna żarówka oślepiła ją na chwilę. Przed oczami wirowały jej złote plamy i czuła słodycz kokosowej pomady do włosów.

Młody człowiek w mundurze NKWD, z rudymi wąsami i absurdalną fryzurą, otworzył teczkę i śliniąc palec, przewracał strony. Nie spieszył się, a kiedy wreszcie skończył, usiadł, jego buty zaskrzypiały. Gładził, niemal masował, leżący przed nim arkusz papieru.

- Jestem śledczy Mogilczuk. Czy chcesz nam pomóc? - Nie nazwał jej „towarzyszką”, ale wydawał się uprzejmy i rozsądny. Głos miał matowy, jak student, akcent południowy znad Morza Czarnego, zapewne z Mariupola. Saszeńka domyśliła się, że to syn nauczyciela, prowincjonalny inteligent, wezwany do Moskwy, by zastąpić starych czekistów, już nieżyjących.

- Tak, towarzyszu śledczy, ale pragnę wam oszczędzić czasu. Jestem członkiem partii od 1916 roku, pracowałam w sekretariacie Lenina i chciałabym spytać...

- Milczeć! Ja tu zadaję pytania. Jako karzący miecz partii, my, czekaści, zdecydujemy o twojej sprawie. To nasze zadanie. Pomożesz nam?

- Oczywiście. Chcę to wyjaśnić.

Śledczy Mogilczuk wyprostował szyję i uniósł podbródek.

- Co wyjaśnić? - spytał.

- To, o co jestem oskarżona.

- Wiesz, co to jest.

- Nie mam pojęcia.

- Zadam ci pytanie: dlaczego tu jesteś?

- Nie wiem. Jestem niewinna. Naprawdę.

Mogilczuk starannie przygładził swoją fryzurę i zmarszczył brwi.

- To na nic. Zastanawiam się, czy jesteś szczerą w swojej woli służenia partii. Gdybyś była szczerą, powinnaś wiedzieć, dlaczego tu jesteś.

- Jestem uczciwą komunistką, towarzyszu śledczy, ale nie zrobiłam nic złego! Nic! Nie wstąpiłam do żadnej opozycji. Nigdy! Zawsze popierałam linię partii Lenina-Stalina. Nie tolerowałam żadnych antyradzieckich rozmów ani nawet antyradzieckich myśli. Moje życie było oddane partii...

- Zamknij się! - powiedział śledczy i uderzył w stół, co wyglądało tak absurdalnie, że Saszeńka z trudem ukryła pogardę. Miała ochotę się roześmiać.

- Nie marnuj naszego czasu! - warknął. - Myślisz, że sprowadziliśmy cię tutaj dla zabawy? Znam się na takich przypadkach i żądam, żebyś się przyznała. Wiemy, jak postępować z takimi jak ty.

- Takimi jak ja?

- Rozpieszczonymi partyjnymi księżniczkami, które myślą, że należą im się od państwa drogie ciuchy, samochody, dacje. Potrafimy pokazać takim jak ty ich właściwe miejsce. Powtarzam więc: wejrzyj w swoje życie, swoje komunistyczne sumienie, swoją przeszłość! Dlaczego tu jesteś? Szczere zeznanie bardzo ci pomoże.

- Ale ja nie mogę... Jestem niewinna!

- Jak pogodzić fakt twojego aresztowania z twoim zapewnieniem o niewinności? Zaczynaj zeznawać! Nie czekaj, aż cię do tego zmusimy!

Saszeńka była przerażona. Czego on chciał? Czy zadowoli go, przyznając się do jakiejś błahostki? Przypomniała sobie pouczenia Wani, kiedy siedzieli na hamaku w ciemnym ogrodzie tamtej dramatycznej nocy: „Nie przyznawaj się do niczego! Bez zeznania nie mogą cię tknąć! Wierz mi, kochanie, wiem, co mówię. Złamałem mnóstwo ludzi i być może to będzie ich zemsta. Ale nie wymyślaj żadnego drobnego przewinienia. To nie złagodzi nacisku! Jeśli mają coś konkretnego, powiedzą ci to. Jeśli chcą czegoś konkretnego, wyduszą to z ciebie”.

Mogilczuk pochylił się ku niej. Zapach jego kokosowej pomady był nie do zniesienia.

- Pochodzisz z burżuazyjnej rodziny prawdziwych krwiopicców. Czy naprawdę poświęciłaś swoje życie partii, czy pozostałaś członkiem swojej brudnej klasy, wrogiem ludu pracującego?

- Pracowałam dla Lenina.

- Myślisz, że mnie to w tej chwili obchodzi? Jeśli oszukałaś towarzysza Lenina, będziesz podwójnie przeklęta.

- Nazywał mnie towarzyszem Lisem Polarnym. Znał moje pochodzenie i powiedział mi, że sam pochodzi ze szlachty - to nie miało znaczenia, ponieważ byłam prawdziwym bolszewikiem.

- Jak śmiesz szkalować towarzysza Lenina? Nie zdajesz sobie sprawy z tego, gdzie jesteś? Nie zdajesz sobie sprawy, kim teraz jesteś? Prochem! Siedzisz przez trybunałem rewolucyjnym: Czeka. Odpowiadaj na moje pytania. - Zajrzał do teczki, znowu gładząc papier. - Jak długo znasz Mendla Barmakida?

- Całe życie. To mój wuj.

- Wierzysz, że jest dobrym komunistą?

- Zawsze tak uważałam.

- Czyżbyś nabrała wątpliwości?

- Wiem, że został aresztowany.

- A zatem wiesz, że nie aresztujemy ludzi bez powodu?

- Towarzyszu Mogilczuk, wierzę w zbrojne ramię partii. Wierzę, że wy, cześci, jesteście, jak powiedział Dzierżyński, rycerzami rewolucji. Mój mąż...

- Oskarżony Palicyn. Myślisz, że jest takim wzorem prawomyślności? Naprawdę? Poszukaj w pamięci, przypomnij sobie wasze rozmowy: czy naprawdę był uczciwym czekistą?

- Tak, był.

- A Mendel? On nigdy nie był prawdziwym komunistą, był... Towarzyszu Lisie Polarny - dodał z przekąsem - jeśli mogę cię tak nazywać...

- Uczciwym bolszewikiem, który pięć razy został skazany na zesłanie, uwięziony w Bastionie Trubieckim, zrujnował sobie zdrowie na katordze i nigdy nie wstąpił do żadnego odchylenia ani opozycji...

Mogilczuk zdjął okulary. Bez nich wyglądał żałośnie, ze swoimi zażawionymi, krótkowzrocznymi oczami. Potarł twarz i przeciągnął ręką po rudych włosach. Saszeńka czuła, że aż się pali, aby dostarczyć jej zeznanie swoim przełożonym. Może zaimponuje Berii. Może nawet sam towarzysz Stalin usłyszy o tym gorliwym młodym śledczym? Ponownie włożył okulary.

- Zerwij z Mendla maskę, pokaż nam tego szakala i rozbrój go dla nas!

- Nic nie wiem - powiedziała powoli. - Mendel! Muszę się zastanowić...

- Zastanów się i powiedz mi! - Mogilczuk podniósł pióro. - Ty mów, a ja będę pisał. Czy Mendel kiedykolwiek wspomniał o japońskim dyplomacie, którego poznał w Paryżu?

- Nie.

- O angielskim lordzie, który odwiedził ambasadę w Londynie?

-Nie.

- Jakich znał cudzoziemców? Czy kiedykolwiek prosił cię, żebyś się z nimi spotkała? Pomyśl - poszukaj w pamięci!

A więc chcieli dostać wuja Mendla! Saszeńka wiedziała, że nie chodzi o nią. Zaprosili Gideona na Łubiankę, żeby porozmawiać o Mendlu. Potem Wania został w to wciągnięty: pewnie ktoś podsłuchał, jak Mendel i Wania dyskutowali o jazzie. A poprzez Wanię dotarli do niej. Benia najwyraźniej nie był powiązany z Mendlem. Jedynie z nią - ale to była zbyt cienka nić. Nie, Benia był częścią innej sprawy, sprawy przeciwko intelektualistom - a Mogilczuk w ogóle o nim nie wspomniał. Stało się jednak jasne, że chcą, aby zadenuncjowała Mendla.

A zatem to Mendel sprowadził na nią katastrofę: to on zabrał jej dzieci. W tym momencie z radością poświęciłaby Mendla: zrobiłaby wszystko, żeby znowu zobaczyć dzieci. Ale gdyby zaczęła zmyślać i powiedziała, że Mendel jest japońskim szpiegiem, czy to ich przekona, że jest niewinna i lojalnie służy partii?

Przypomniała sobie instrukcje Wani: „Jeśli fabrykują sprawę przeciwko Mendlowi, będą chcieli twojego zeznania, ale pamiętaj: to on nawrócił ciebie i mnie na marksizm, wprowadził nas oboje do partii - i poznał nas ze sobą! To zeznanie zniszczy nas wszystkich! Poczekaj, aż się dowiemy, co mają przeciwko nam”.

Śledczy znowu poprawił sobie fryzurę.

-No?

- Nie, Mendel jest uczciwym towarzyszem.

- A ty sama nie masz mi nic do powiedzenia?

Potrząsnęła głową, poczuła się zmęczona i słaba. Ale jest nadzieja, powiedziała sobie. Jak ktoś przysypany lawiną, pomyślała, że dostrzeżę promyk światła. Wania też nic nie powie, a nawet jeśli jej kochany Wania jest skazany na zgubę, nie będzie sprawy przeciwko niej. Wania, jak każdy ojciec, pójdzie na śmierć z lepszym sercem, jeśli będzie wiedział, że jego żona jest bezpieczna z dziećmi! Bądź silna, nie przyznawaj się do niczego - a zobaczysz znowu Śnieżynkę i Karła, powiedziała sobie. Bądź co bądź, odbyło się to dosyć uprzejmie. Może już po wszystkim...

- No dobrze, chcesz się z nami bawić? - powiedział Mogilczuk dosyć spokojnie. - Musisz wiedzieć, towarzyszu Lisie Polarny, że jestem inteligentem tak samo jak ty, jak twój stryj Gideon. Może widziałas moje opowiadania wydane pod nazwiskiem M.

Służba? No cóż, po prostu lubię rozmawiać z ludźmi. To moja metoda. Dałem ci szansę, ale ty zrobisz nam brzydką niespodziankę, jeśli nie zaczniesz mówić. - Podniósł słuchawkę bakelitowego telefonu i wykręcił numer. - Tu Mogilczuk... Nie, ona... Tak jest! - Odłożył słuchawkę. - Chodź ze mną.

36

W asyście strażnika śledczy Mogilczuk poprowadził Saszeńkę długim korytarzem, którego nigdy wcześniej nie widziała, schodami w górę, przez kryty mostek, schodami w dół, aż znaleźli się w szerokim korytarzu z drewnianym parkietem. Był ozdobiony portretami i popiersiami słynnych czekistów oraz jedwabnymi sztandarami. Środkiem biegł niebieski dywan, przytwierdzony do podłogi solidnymi złotymi ćwiekami. Pod radziecką flagą i sztandarem Czeki stali strażnicy w galowych mundurach NKWD. Korytarz kończył się masywnymi podwójnymi dębowymi drzwiami. Jeden ze strażników otworzył je.

Weszli do przedsionka, gdzie siedzieli z teczkami na kolanach dwaj oficerowie NKWD, prawdopodobnie z prowincji. Mogilczuk skierował się prosto do następnych podwójnych drzwi, które otworzył inny strażnik. W środku Saszeńka ujrzała pochłonięty pracą aparat radzieckiego dygnitarza: sekretarki w białych bluzkach i szarych spódnicach, młodych ludzi w partyjnych bluzach, rzędy bakelitowych telefonów, sterły teczek i zielone palmy. Młody urzędnik poderwał się i zaprowadził ich do następnych zamkniętych drzwi. Zapukał i otworzył je.

- Śledczy Mogilczuk?

Znaleźli się w jasnym gabinecie ogromnych rozmiarów, ze lśniącym parkietem z karelskiej sosny, pachnącym pastą do podłóg i chłodnym lasem. Po lewej, na perskich dywanach, stały kanapy i miękkie fotele. Nad kominkiem wisiał ogromny portret olejny towarzysza Stalina, pędzla Gierasimowa, a w kącie lśnił srebrny sejf wyższy od człowieka. Po obu stronach pokoju stały marmurowe popiersia Lenina i Dzierżyńskiego, a ze ściany, tak blisko, że Saszeńka ledwo go widziała, spoglądał kolejny obraz Gierasimowa, tym razem przedstawiający Dzierżyńskiego, „Żelaznego Feliksa”, założyciela Czeki, z jego obłąkanymi oczami i kozią bródką.

Na środku pokoju wypolerowane dębowe biurko przylegało do stołu konferencyjnego, tworząc literę T, jak w każdym gabinecie w ZSRR. Na biurku ze srebrnymi przyborami do pisania i kałamarzami z turkusowym atramentem

panował wzorowy porządek, który zakłócała tylko jedna lub dwie kartki papieru. Na stole za biurkiem stało osiem telefonów - i *wiertuszka* do bezpośrednich rozmów z Kremlem. W fotelu z wysokim oparciem i aksamitnym bordowym obiciem siedział towarzysz Ławrientij Pawłowicz Beria, ludowy komisarz spraw wewnętrznych.

Beria jadł z talerza coś, co wyglądało jak liście szpinaku lub sałaty. Gestem ręki zaprosił ją do gabinetu, energicznie żując.

Mogilczuk zasalutował i wyszedł.

- Och, Ławrientiju Pawłowiczu - powiedziała Saszeńka. - Tak się cieszę, że was widzę. Teraz możemy wszystko wyjaśnić.

Beria przełknął to, co miał w ustach, potem wstał kurtuazyjnie, okrążył biurko i pocałował ją w rękę.

- Witam, Aleksandro Samojułowno - powiedział oficjalnie z silnym megrełskim akcentem, wciąż trzymając jej dłoń w swoich miękkich palcach. - Zastanawiasz się pewnie, co jem.

- Tak - odparła, chociaż zupełnie jej to nie obchodziło.

- Jak widzisz, nie jadam mięsa. Nienawidzę zabijania. Te biedne cielątka i jagniątka! Nie, nie mogę tego znieść, a poza tym Nina mówi, że nie wolno mi utyć! Jestem wegetarianinem i jem tylko to, nawet u Iosifa Wissarionowicza. „Zielsko Berii! - mówi towarzysz Stalin. - Spójrzcie, Ławrientij Pawłowicz znowu je swoje zielsko!”. Ale niech ci się przyjrzę. - Ujął ją za rękę i obrócił, jakby tańczyli. - Och, jesteś taka blada. Ale wciąż piękna. Wystarczy taka figura, żeby doprowadzić mężczyznę takiego jak ja do szaleństwa! Można zaryzykować wszystko dla jednej pieśczoćty. Jesteś jak ciastko z kremem. Szkoda, że spotykamy się w takich okolicznościach, co?

Jego bezbarwne oczy prześliznęły się po Saszeńce z tak nieposkromioną żądzą, że aż się wzdrygnęła. Krępy i łysiejący ludowy komisarz w binoklach okrążył ją bezgłośnie w swoich zamszowych butach. Nie miał munduru, tylko workowate żółte spodnie i haftowaną koszulę bez kołnierzyka, jak Gruzin nad morzem. Saszeńka nie zapomniała, że jej mąż grał w drużynie koszykarskiej Berii na jego daczce w Sosnowce. Kiedy obserwowała mecze, zauważyła, że Beria jest niewiarygodnie szybki w nogach.

- Tak się cieszę, że was widzę - powtórzyła. Naprawdę tak myślała. Beria był bezwzględny, ale kompetentny. Wania podziwiał jego pracowitość, przedsiębiorczość i szczerłość po krwawych szaleństwach Jeżowa. - Na pewno to wyjaśnicie, Ławrientiju Pawłowiczu! Dziękuję wam!

- Mógłbym patrzeć na twoje biodra i piersi przez cały dzień, moje ciastko z kremem, ale widzę, że jesteś zmęczona. Zjesz coś? - Podniósł słuchawkę telefonu i powiedział: - Przynieście kanapki.

Na zaproszenie Berii usiadła na jednym z foteli ze skórzanym obiciem przy stole konferencyjnym. On też usiadł. Podwójne drzwi otworzyły się i kobieta w białym fartuchu wtoczyła stoliczek na kółkach. Położywszy sobie na ramieniu białą serwetkę (zupełnie jak kelnerka w hotelu Metropol), podała herbatę, kanapki i *zakuski* z ryby, po czym wyszła.

- Proszę! - powiedział Beria, cmokając nabrzmiałymi wargami. - Jedz, a w tym czasie porozmawiamy. Musisz się wzmocnić.

Saszeńka zawahała się, obawiając się, że te przysmaki zobowiążą ją w jakiś sposób do zdrady męża lub Mendla. Skoncentrowała się na dzieciach. To była jej szansa.

- Nie wiem, o co zostałam oskarżona, szanowny towarzyszu Beria, ale jestem niewinna. Wiem, że o tym wiecie. Nie macie pojęcia, jaka to dla mnie radość, że was widzę.

- Och, i dla mnie. Jedz, moje drogie ciastko z kremem. To nie jest zatrute, obiecuję. - Zaczęła jeść kanapki. - Wiesz, jesteś zdecydowanie w moim typie, Saszeńko. Kiedy cię tylko zobaczyłem, wiedziałem, że ta twoja wystająca górna warga sugeruje zdolność do dawania rozkoszy. Nie wyglądałaś jednak na uszczęśliwioną, kiedy flirtowałem z tobą na przyjęciu pierwszomajowym, hmmm? Wiesz, ja myślę o kobietach przez cały dzień. Jestem prawdziwym Gruzinem, co? - Oczy Berii zaszczyły mgłą, powieki opadły. - Wiesz, co chciałbym zrobić, Saszeńko, chciałbym zawieźć cię do siebie. Nina i mój syn są w Sosnowce, na dacy. Urządzilibyśmy sobie gruzińską ucztę, kapalibyśmy się w mojej *bani*, pilibyśmy najlepsze wina, a potem położyłbym cię na kanapie, podniósł ci spódnicę i dotykałbym nosem twoich ud, aż poczułbym twoją truskaweczkę, zapach twojego podniecenia...

Saszeńka wiedziała, że Beria daje jej do zrozumienia, iż mógłby zrobić wszystko, na co mu przyjdzie ochota. Ale nie chciała go zachęcać. Jego ob-sceniczność mogła być sztuczką, pułapką. A może był to znak, że naprawdę jej pożąda, i będzie musiała zapłacić cenę za odzyskanie wolności.

Ale to był Ławrientij Beria, ludowy komisarz, człowiek szanowany i lubiany, bolszewik cieszący się zaufaniem i wybrany przez samego towarzysza Stalina. Jak mógł rozmawiać w ten sposób z towarzyszką, która знаła Lenina i przyjmowała u siebie w domu Stalina? Zastanowiła się szybko i natychmiast zdecydowała, że zrobi wszystko, choćby to było ohydne i upokarzające, żeby znowu zobaczyć dzieci.

- Wprawicie mnie w zakłopotanie, Ławrientiju Pawłowiczu - szepnęła ochryple.
- Nie przywykłam do tego rodzaju...

- Czyżby? Daj spokój, Saszeńko. Sam byłem zaskoczony. Jesteś taka szanowana - taka przyzwoita radziecka kobieta, ucząca nasze gospodynie domowe, jak piec ciasta i cerować mundurki pionierów. Ale my wiemy, że jesteś wyuzdana. Wiemy, co wykrzykiwałaś i czego się domagałaś, kiedy byłaś naprawdę rozpalona. Zupełnie jak twoja matka. Ona też była z tego znana, prawda?

Lodowa skorupa zmroziła jej brzuch. Benia Golden musiał zdradzić ich seksualne tajemnice i właśnie stąd jej mąż też wiedział o wszystkim. Beria uśmiechnął się do niej tłustymi, szerokimi wargami.

- Wiemy wszystko, najdroższe ciastko z kremem - powiedział lubieżnie. - Nie byłaś aniołem, co? A ja, tak, chciałbym cię mieć, mógłbym sprawić, że piszczałabyś w moich ramionach, i może któregoś dnia to zrobię. Ale nie rób sobie zbyt wielkich nadziei. Nie przyznałaś się przed moim chłopcem, Mogił-czukiem. Czytałaś jego opowiadania? To straszne gówno. Pisze detektywistyczne historyjki - chce stworzyć radzieckiego Sherlocka Holmesa. Ale niestety, moje obowiązki kolidują z moimi przyjemnościami. Twój przypadek jest poważny, Saszeńko, a chociaż bardzo chciałbym cię posmakować, góra uważnie śledzi tę sprawę.

- Towarzysz Stalin wie, że jestem niewinna.

- Ostrożnie, ostrożnie. Nie wymawiaj przy mnie tego nazwiska, więźniu Zeitlin-Palicyn. Powinnaś wiedzieć, że twoją jedyną nadzieją jest się przyznać. Rozbrój się, ujawnij swoją podstępą antyradziecką działalność. Ciężko tutaj pracujemy. Chcesz, żebyśmy cię zmusili? - Wstał i okrążył biurko, spowijając ją zapachem swojej wody kolońskiej i potu. Poglaskał ją po włosach, potem dotknął jej piersi. Saszeńka skrzywiła się, omal nie krzyknęła. Dotknął jej warg, potem wsunął jej do ust kłykieć. Miał miedziany posmak.

Przybrał ironiczny ton.

- Nie chcę być brutalny. Nie zmuszaj mnie do tego! Kocham kobiety! Och, jak one smakują! Nie zmuszaj mnie. - Usiadł i znów zaczął mówić rzeczowym głosem. - Dobrze się zastanów. Nie ma nic, czego bym nie wiedział o tobie, twojej przeszłości, rodzinie, pracy, o twojej cipce... No? - Beria zabębnił palcami na biurku. - Pomożesz nam? Wstań! Już! Jeśli nie, zetrzemy cię na proch i zastrzelimy jak kuropatwę! Za minutę wracasz do swojej celi, a ja wracam do pracy. Zaraz. Poczekaj. Nie odwracaj się! Zamknij oczy.

Usłyszała, jak otwiera szufladę swojego biurka. W drugim końcu gabinetu otworzyły się pojedyncze drzwi. Słyszała oddechy mężczyzn i skrzypienie ich butów, kiedy obok niej przechodzili.

- Nie, nie perski, to dobry dywan. Rozwińcie tamten. O właśnie - powiedział Beria.

Rozległ się głuchy odgłos. Oczy jej zwilgotniały - znowu ten ostry zapach goździków - czuła go w ustach.

- Dziękuję, towarzyszu Byku!

To był Kobułow. Co to jest? Jakaś gra? Nagle ogarnął ją strach.

- Dobrze! Teraz. Towarzysz Lis Polarny wraca do celi - i... raz-dwa-trzy... obrót!

Coś uderzyło Saszeńkę w prawy policzek z taką siłą, że zatoczyła się i upadła na podłogę. Świat rozpadł się w mgławicę czerwonych kropek w diamentowym kalejdoskopie. Leżała na podłodze, patrząc w stronę biurka, gdzie stał uśmiechnięty Beria z czarnym bykowcem w rękach.

Trzymając się za pulsującą twarz, spojrzała przez lśniące buty na kłębek szmat, obryzanych zaschniętym błotem. Uświadomiła sobie, że to żyje, porusza się, drga. Jej wzrok przyciągnęły krwawoczerwone, sine i żółte plamy na białej skórze, krwawiące końce palców, nieogolona twarz z oczami tak za-puchniętymi, że ledwo mogły się otworzyć. Zamarła z przerażenia.

- Co wy sobie myślicie, przynosząc to tutaj? - spytał Beria. - Nie wiedzieliście, że jest tu Saszeńka? Nie zapukaliście, towarzyszu Kobułow! Ech, co za maniery!

- Przepraszam, Ławrientiju Pawłowiczu, nie wiedziałem, że jesteście zajęci - powiedział olbrzym Kobułow. - Musieliśmy trochę popracować nad tą kupą gówna, kolejny uparty przypadek. Ale nie chcemy, żeby zobaczyła coś, co mogłoby ją wzburzyć, prawda?

- Absolutnie nie - odparł Beria. - Pomóżcie jej wstać i odprowadźcie ją do celi.

- Brzydki siniec! - powiedział Kobułow, dotykając jej policzka i marszcząc swój błyszczący nos. - Musiałaś na coś wejść. - Pomógł jej stanąć na nogi. Saszeńka nie mogła oderwać oczu od ciała na poplamionym dywanie. - Chodź, musimy ci oszczędzić tego nieprzyjemnego widoku - tak trudno powstrzymać towarzysza Rodosa, kiedy się zagalopuje.

- Rodos? - wymamrotała.

W drugim końcu gabinetu krępy mężczyzna z pieprzykiem na policzku, pociągła twarzą i głową jak pulpet, bawił się czarną pałką.

Śledczy Rodos, w szarej bluzie ściągniętej wojskowym pasem i w brudnych butach, wruszył skromnie ramionami i obdarzywszy Saszeńkę wyzywającym spojrzeniem, zaczął bić po brzuchu człowieka na dywanie, wznosząc pałkę powoli i uważnie, jakby odbijał piłkę. Człowiek na podłodze jęczał za każdym razem, jak rodząca krowa, którą Saszeńka widziała kiedyś w majątku Zeitli-na na Ukrainie.

- To nieładnie się przyglądać, ale to fascynujące, prawda? - powiedział Beria, kiedy wychodziła.

Kobułow chwycił ją za ramię i wyprowadził na korytarz, gdzie czekał uśmiechnięty śledczy Mogilczuk.

- Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy - powiedział Kobułow, wracając do gabinetu Berii w oparach goździków.

Saszeńka się trzęsła. Nie zdoławszy nad sobą zapanować, pochyliła się i zwymiotowała wszystko, co zjadła, w ustach został jej smak sera. Głuche uderzenia pałek pulsowały jej w uszach. Nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła. Kto to był...? Wiedziała - czy jej się przywidziało? Czy tak Beria traktował starych bolszewików? Czy to właśnie robił Wania całymi nocami, zanim wrócił do domu i do dzieci? Czy to stało się z dawnymi właścicielami ich dachy i ich mieszkania?

Powtarzała sobie instrukcje Wani: „Nie przyznawaj się do niczego, cokolwiek się stanie, dopóki się nie dowiesz, że mają coś obciążającego... Ja nigdy stamtąd nie wyjdę, ale ty, Saszeńko, możesz znowu zobaczyć dzieci. Nigdy o nich nie zapominaj! Niczego nie podpisuj, cokolwiek by z tobą robili!“. Wciąż nie wierzyła, że coś na nią mają, i było jasne, że żaden z jej najbliższych, jak dotąd, nie przyznał się. Wciąż mogła stąd wyjść, jeśli nie straci głowy. Musiała się tego trzymać, bez względu na wszystko.

Ale gdzie jest Wania? Gdzie jest Benia? Przypomniała sobie ich wspólne chwile w hotelu, w ogrodowej szopie, pocałunki na ulicy, jakby byli nastolatkami, piosenkę *Oczy czornyje*, którą śpiewali nad rzeką, kwiaty, najbardziej romantyczne dni w swoim życiu. Siedem tysięcy rubinów w kremlowskich gwiazdach wciąż należało do nich! Teraz kochała ich obu, Wanię i Benie. Byli jej jedyną rodziną. Byli wszystkim, co miała w tej bezdennej otchłani cienia.

Znowu poprowadzili ją schodami, w górę i w dół, ze światła karelskiej sosny, palm i goździków, przez ostry odór kapusty, uryny i środków dezynfekcyjnych do więzienia wewnętrznego. Kilka razy musiała oprzeć się o ścianę, żeby nie upaść. Dotknęła policzka; spuchł i krwawił pod okiem.

Śnieżynka, Karlo, Poduszka, Króliczek! Śnieżynka, Karlo, Poduszka, Króliczek! - powtarzała.

Czy są bezpieczni? Obliczyła, że minęło sześć dni od ich wyjazdu; trzy dni i trzy noce od jej aresztowania. Świadomość, że Satinow zaopiekuje się dziećmi, rozgrzewała ją i napawała otuchą.

- No i jesteśmy w domu - powiedział Mogilczuk, wpychając ją do celi.

- Odpocznij. Porozmawiamy rano. - Saszeńka zwała się ciężko na prycze w swojej celi. - Rozpoznałaś może swojego wuja Mendla? Myślę, że to był on

- a przynajmniej to, co z niego zostało.

37

Tej nocy przenieśli ją do innej celi z jaśniejszym światłem - ale nie chcieli go przygasić. Rury w jej celi wibrowały, jęczały i zaczęły grzać, chociaż była pełnia lata. Zrobiło się nieznośnie duszno. Saszeńka załomotała w drzwi.

- Więzień, usiąść na łóżku. - Drzwi się otworzyły. Stanęli w nich dwaj strażnicy.

- Chcę się poskarżyć narkomowi Berii i Komitetowi Centralnemu. Włączono ogrzewanie, a jest lato. I proszę zgasić światło. Jest tak jaskrawe, że nie mogę spać.

Strażnicy spojrzeli po sobie.

- Przekażemy twoje skargi przełożonym.

Drzwi się zatrzasnęły. Upał wzrastał. Saszeńka się pocila. Ledwo mogła odychać i męczyło ją pragnienie. Zdjęła sukienkę i położyła się na pryczy w samej bieleńce. Było jasno, gorąco, nie mogła zasnąć, chociaż mocno zaciskała powieki. Jeśli chowała twarz w materacu, potrząsano nią.

Kiedy wreszcie zasnęła, zgrzytnął otwierany wizjer.

- Więzień, wstawać!

- Śpię, jest noc. Znowu zasnęła.

- Więzień, wstawać. Trzymać ręce tak, żebyśmy je widzieli.

Kiedy krzyki nie wystarczały, żeby ją obudzić, zrzucili ją na podłogę.

Teraz zrozumiała. Oto do czego doszła jej partia. Jedną bezsenną noc można wytrzymać, ale drugiej nocy poczuła, że zaczyna się rozpadać. Przez cały czas ją mdliło, pocila się i nie była pewna, czy jest chora, czy po prostu śmiertelnie zmęczona. Zасыпiała na stojąco; strażnicy znaleźli ją śpiącą na wiadrze z nieczystościami, ale nawet wtedy ją obudzili. A co najgorsze, dręczył ją strach, obrastał jak grzyb: dzieci zgubiły się i płakały albo były martwe.

Godziny i dni wlokły się bez końca. Żadnych spacerów. Żadnego mycia. Karmiono ją trzy razy dziennie, wsuwając tacę przez otwór w drzwiach, ale wiecznie była głodna, wiecznie spragniona. Sama w celi, budzona co kilka minut, słyszała głosy Śnieżynki i Karła. Nie wolno jej się załamać. Dla nich. Ale ich twarze i zapach przytłaczały ją. Już były stracone. Plan Satinowa się nie powiódł: znalazły się w jednym z tych sierocińców, gwałcone, torturowane, bite, wykorzystywane, a kiedy trochę podrosną, zostaną rozstrzelane. Przyzna się do każdego kłamstwa, wszystko, tylko nie to. Żeby po prostu zasnąć w chłodnej celi. Dzieci i tak były już martwe. Martwe dla niej,

martwe naprawdę. Nie były już jej. Straciła je na zawsze. Nie przebywała już w krainie żyjących.

38

Daleko na południe od Moskwy wysoka Niemka znad Wołgi, w kwiecistej chustce i prostej letniej sukience, znowu zapukała do drzwi zawiadowcy stacji w Rostowie nad Donem. Znow przydzwigała swoje trzy torby podróżne i przyprowadziła dwoje dzieci, drobną jasnowłosą dziewczynkę i chłopca o brązowych włosach, którzy czepiali się jej rąk, a ich zapadnięte oczy były smutne i puste.

Biuro zawiadowcy stacji znajdowało się tuż obok kasy biletowej, gdzie codziennie wystawały w kolejce setki ludzi i większość odchodziła rozczarowana. Biuro, ze swoimi fotelami oraz portretami Lenina i Stalina, było oazą spokoju i cywilizacji. Nadwołżańska Niemka zjawiała się każdego ranka od czterech dni i chociaż nie czekał na nią żaden telegram, żadna wiadomość ani przyjaciel, przychodziła nadal, aby pobyć choć kilka chwil w tym czystym, spokojnym oku cyklonu. Zawiadowca stacji i jego pomocnik spoglądali po sobie i przewracali oczami. Niania, z trzema walizkami i dwójką dzieci, była jedną z tych zrozpaczonych, żalonych istot, które przychodziły codziennie w nadziei na jakiś znak z góry, jakiś telegram od nieistniejących krewnych, jakiś zgubiony i nigdy nie odnaleziony bagaż, bilet na pociąg, który nigdy nie odjedzie.

- Towarzyszu Stiepanian - przywitała zawiadowcę stacji czwartego dnia - dzień dobry. Czy są jakieś wiadomości? Może telegram?

Stiepanian zmęczonym ruchem sięgnął do drewnianej przegródki i naśladowując językiem stuk końskich podków, zaczął przerzucać grube żółte papiery urzędowej radzieckiej korespondencji. Poruszał ustami, odczytując każdy telegram.

Pierwszego dnia Stiepanian sprawdził dokumenty nadwołżańskiej Niemki i dwójki dobrze ubranych dzieci, które jechały do sierocińca w okolicach Baku. Powracały każdego ranka, coraz bardziej głodne, brudne i smutne. Niania słała się z wyczerpania.

- Chciałbym pomóc. A jak maleństwa? - Stiepanian uśmiechnął się do dzieci. - Wszystko dobrze? Co tam masz?

- Poduszkę - odparła żalownie mała dziewczynka.

- Śpisz na niej?

- Tu nie można spać. Siedzimy przy bufecie, ale chcemy do domu. Poduszka to moja przyjaciółka.

- Chcę do mamy - powiedział mały chłopczyk, który już miał niespokojne oczy dworcowego dziecka.

Te słowa najwyraźniej zdenerwowały Niemkę. Stiepanian spojrział na nią, a ona potrząsnęła głową i natychmiast zaczęła zbierać bagaże, aby wrócić na peron, gdzie pewna azerska rodzina trzymała dla nich miejsce pod dachem tuż przy bufecie. Próbowwała ukryć swój niepokój, ale zawiadowca stacji potrafił rozpoznać cierpienie i niepewność.

- Dziękuję, towarzyszu - powiedziała kobieta uprzejmie. - Sprawdzę znowu jutro. Stiepanian wstał i przytrzymał im drzwi.

- Przykro mi, że nie mogę pomóc - powiedział. - Przyjdźcie jutro.

- Wariatka? Może nie ma żadnego telegramu? - spytał jego pomocnik, kiedy wyszli.

- Kto to wie? - Stiepanian wzruszył ramionami i wrócił do swojego biurka. Miał ważną pracę do wykonania.

Po wyjściu z biura wynędzniała trójka wróciła powoli na peron. Dworzec w Rostowie nad Donem dudnił łoskotem przetaczanych wagonów, a powietrze śpiewało gwizdem i sapaniem lokomotyw. Nawet gdy skończył się koszmar kolektywizacji i terroru, prowincjonalne dworce wciąż były scenerią ludzkiej niedoli. Całe rodziny koczowały na walizkach, czasem dobrze sytuowane, czasem w łachmanach, czasem w miejskich ubraniach, czasem w chłopskich butach i koszulach. W pociągach brakowało miejsc i nigdy nie odjeżdżały punktualnie; trudno było dostać bilety, milicja nieustannie sprawdzała przepustki i stemple w paszportach, usuwając tych, którzy nie mieli odpowiednich dokumentów lub siły, aby uniknąć kontroli.

Na szczęście było ciepłe lato. Dworzec przypominał obozowisko zatłoczone żołnierzami, robotnikami, chłopami i dziećmi, głodnymi obdartymi dziećmi, dobrze odżywionymi zagubionymi dziećmi, dziećmi siedzącymi na eleganckich skórzanych walizkach, ulicznikami o twarzach starców, dziewczynkami o umalowanych wargach i w krótkich sukienkach, palącymi papierosy i czekającymi na klientów.

Dworcowy bufet oferował przekąski tym, którzy mogli zapłacić. Stary Tatar prowadził kiosk z gazetami i słodyczami, a za peronem moskiewskim był zardzewiały

hydrant, gdzie mieszkańcy dworca przez cały dzień stali w kolejce po wodę. Toalety, mieszczące się pod dworcem, były zalane cuchnącymi nieczystościami, ale tam też bez przerwy ustawiały się kolejki; dzieci płakały i moczyły się, dorośli bili się i przepychali.

Karolinę ogarniał coraz większy niepokój. Nie wiedziała, co się stało z Saszeńką, i przewidywała najgorsze. Była kobietą na wskroś praktyczną, ale stres opieki nad dwojgiem dzieci na dworcu zaczynał ją przytłaczać. Zawsze dbała o czystość, ale tutaj wszyscy troje byli brudni, ubranka dzieci poplamione jedzeniem, smarem i zaskanie. Miała spory zapas pieniędzy na jedzenie, ale Śnieżynka i Karlo przywykli do dobrych rzeczy i nienawidzili wodnistej zupy jarzynowej, czarnego chleba i klusek w rzadkim sosie pomidorowym, a tylko to oferował bufet. Już zaczęli chudnąć. W ciągu dnia bawili się z innymi dziećmi, lecz Karolina nie miała ani chwili wytchnienia, ponieważ część z tych uliczników była zupełnie zdziczała i zdolna do wszystkiego. W nocy spali razem, wtuleni w siebie, na rozłożonym materacu, pod kocem i kilkoma płaszczami. Śnieżynka i Karlo płakali w jej ramionach i pytali o mamusię i tatusia. Kiedy ich znowu zobaczą? Dokąd jadą?

Wyjazd z Moskwy okazał się dość łatwy: rodzice Wani zarezerwowali miejsca dla Karoliny i dzieci. Pociąg odjechał punktualnie, a chociaż podróż trwała dzień dłużej, niż przewidywali, uprzejmy czerwonoarmista i jego młoda żona, jadący do garnizonu nad turecką granicą, uzalili się nad dziećmi i kupowali im lody i kanapki na dworcach, gdzie zatrzymywał się pociąg. Ale dzieci wiedziały, że dzieje się coś bardzo złego. Tęskniły za matką: Karolina pragnęła je pocieszyć, ale nie chciała kłamać ani zachęcać ich do mówienia niebezpiecznych rzeczy, które mogły zwracać uwagę. To była męka. W miarę jak oddalali się od dawnego życia, od rodziców, od Moskwy, Śnieżynka i Karlo coraz bardziej do niej lgnęli.

- Będiesz z nami, Karolino? Zostaniesz z nami, prawda? Tęsknię za mamą!

Po wizycie u towarzysza Stiepaniana poszli coś zjeść w bufecie. Usiedli przy jednym z zatłuszczonych stolików. Karolina, zmęczona i przygnębiona, próbowała opanować ogarniającą ją panikę. Palicynowie zniknęli. Może towarzysz Satinow zapomniał o swoim planie? Może on też został aresztowany? Przeliczyła w myślach pieniądze: miała dwadzieścia pięć rubli w ręku i ogromną sumę czterystu rubli w staniku, na wszelki wypadek. Jeśli telegram nie nadejdzie szybko, będzie musiała podjąć trudną decyzję. Postanowiła już, że w żadnym wypadku nie zostawi Śnieżynki i Karła w sierocińcu, zwłaszcza prowadzonym przez NKWD, ale miała niewielu znajomych wśród radzieckiej biurokracji, a wszyscy oni byli w jakiś sposób powiązani z Palicynami. Będzie musiała zabrać dzieci do siebie, do niemieckiej wioski niedaleko Rostowa. To nappełniało ją radością, ponieważ kochała Śnieżynkę i Karła. Oni też ją ko-

chali i wiedziała, że z czasem uda się jej wyleczyć rany zadane im przez los. Ale była już za stara, żeby stać się ich matką, a jeśli NKWD postanowi aresztować nianię Palcynów, to gdzie będzie szukać, jak nie w jej rodzinnej wiosce?

Tej nocy nie mogła zasnąć. Słuchała sapania lokomotyw i syku pary, nigdy nie cichnącego rejwachu, który panował na dworcu. Spojrzała na blade twarze dzieci, na Śnieżynkę przyciskającą do ust swoją różową poduszkę, i po raz pierwszy od wyjazdu z Moskwy rozplakała się.

39

- Więzień 778, siadać. No i co, dobrze spałeś?

Saszeńka, rozczochrana, blada i tak osłabiona, że ledwo mogła mówić, potrząsnęła głową.

- Masz wygodną celę? A jak z krążeniem powietrza w to upalne lato? Saszeńka nic nie powiedziała.

Śledczy Mogilczuk przeciągnął ręką po włosach i wygładził leżące przed nim papiery. Było tak samo jak wczoraj, przedwczoraj i jeszcze dzień wcześniej. Saszeńka spędziła trzy dni w tak zwanym konwejerze. Brak snu i przegrzana cela łamały już więźniów znacznie silniejszych od niej. Po śniadaniu i opróżnieniu wiadra z nieczystościami prowadzono ją do pokoju przesłuchań.

- Masz niezłego siniaka na policzku. Jest czarno-fioletowy.

Saszeńka dotknęła go ostrożnie. Bardzo ją bolał. Pewnie mam pękniętą kość policzkową, pomyślała.

- Zaczynamy od nowa. Przypomnij sobie wuja Mendla. Nie czekaj, aż cię zmusimy! Zaczynaj zeznawać! Wtedy pozwolimy ci spać i rozwiążemy ten problem z ogrzewaniem w twojej celi. Chciałabyś sobie pospać przez całą noc?

- Nie mam nic do powiedzenia. Jestem niewinna.

- Zatem jak pogodzić fakt twojego aresztowania z tą deklaracją niewinności? Myślisz może, że jestem błaznem, a towarzysz Beria po prostu chciał się przywitać?

- Sama tego nie rozumiem. Myślę, że to pomyłka albo nieporozumienie na skutek zbiegu okoliczności.

- Partia nie uznaje zbiegów okoliczności. Widziałas towarzysza śledczego Rodosa w gabinecie towarzysza Berii? To jest człowiek, legenda organów, niebezpieczna

bestia: przez cały czas musimy go powstrzymywać, żeby nie pozabijał więźniów. W tym tygodniu zrobił już krzywdę paru ludziom. Mówi, że przed oczami robi mu się czerwona mgła i zupełnie się zapomina. Nienawidzi takich jak ty, Saszeńko. Nienawidzi intelektualistów! Wkrótce możesz się z nim spotkać, jeśli się nie rozbroisz. Ale masz szczęście. Zamierzam ci dać jeszcze jedną szansę: zamierzam skonfrontować cię z kimś, kto może odświeżyć ci pamięć.

Podniósł słuchawkę telefonu na biurku.

- Dostarczyć przesyłkę! - powiedział jowialnie.

Uśmiechnął się do Saszeńki, zdjął okulary, włożył je ponownie i poprawił fryzurę. Czekali w milczeniu. Zadzwoił telefon.

- Tak, tak, towarzyszu, czekamy na was. Mogilczuk wyszedł na chwilę z pokoju i zaraz wrócił.

- Chciałem się upewnić, czy wszystko jest jak należy.

- Mogę dostać szklanę wody? - Saszeńka powtórzyła sobie instrukcje Wani, a potem, bezgłośnie, ale poruszając wargami, wyszeptała: - Śnieżynka, Karlo, Poduszka, Króliczek.

Mogilczuk nalewał jej szklanę wody, kiedy drzwi się otworzyły i do pokoju wśliznął się Kobiłow, unosząc swoje ogromne dłonie połyskujące pierścieniami.

- Udawajcie, że mnie tu nie ma, towarzyszu śledczy. Schowam się tam w kącie! - Jak wizytator, który siada z tyłu, żeby obserwować prowadzącego lekcję nauczyciela, pachnący goździkami olbrzym oparł się o ścianę i skrzyżował nogi.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Twoje przedstawienie! - szepnął Kobiłow i zmarszczył nos. Saszeńka odwróciła się. - Zmęczona? - syknął.

- Wejść! - zapiszczał Mogilczuk. - Zaczyna się konfrontacja. - Drzwi otworzyły się i wszedł oprawca z gabinetu Berii. - Witajcie, towarzyszu Rodos - powiedział Mogilczuk.

Motyle strachu zatrzepotały w brzuchu Saszeńki. Rodos poruszał się wolno, jakby był zrobiony z zardzewiałej stali. Skinął głową towarzyszom, a potem popatrzył Saszeńce prosto w oczy. Usiadł na krześle obok Mogilczuka i zaczął się bawić długimi rudymi włosami wyrastającymi z pieprzyka na jego policzku.

To był zespół zajmujący się Saszeńką: Kobiłow nadzorował przesłuchanie, Mogilczuk i Rodos odgrywali role dobrego i złego policjanta. Tylko po to, żeby ją złamać? Nie, musieli pracować nad jakąś większą sprawą, pomyślała; tą, która dotyczyła biednego Mendla. Nadal nie opuszczał jej wrodzony optymizm, powiedziała więc sobie, że to przetrwa. Nikt się jeszcze nie załamał, to było pewne.

Kogo więc przyprowadzą, żeby ją zaskoczyć? Widziała już Mendla - rozdzierający serce, straszny widok.

Jeśli to był Wania, i jeśli ją fałszywie obciążył, zrozumie, że pod wpływem tortur Rodosa przeszedł do innego świata: nadal będzie go kochać. Nie przyzna się: jeszcze może przeżyć.

Jeśli to był Benia, najdroższy Benia od ośmiu gwiazd i siedmiu tysięcy rubinów, nie będzie go winić. Zadzwoiła do niego tamtego dnia, żeby mu powiedzieć: „Kocham cię”. Teraz znowu go kochała, przekonana, że jest tak samo niewinny jak ona. Jeśli nie wydobędzie się z Łubianki, zawsze będzie mu wdzięczna, że poznała taką miłość.

Ale nie przyzna się, bez względu na to, co powiedzieli inni, ponieważ jest niewinna. A jeśli się nie przyzna, pewnego dnia wyjdzie na wolność. I odzyska Śnieżynkę i Karła. Teraz chodziło tylko o nich.

Drzwi się otworzyły.

Saszeńka spojrzała na swoje palce ze strasznym przeczuciem.

Kątem oka zobaczyła jakąś zasuszoną postać, która zawahała się na progu.

- Więzień, siadać - powiedział Rodos, wskazując krzesło przy stole konferencyjnym naprzeciwko Saszeńki. - Tutaj!

Wychudzony starzec w więziennym drelichu znowu się zawahał, wskazując na siebie.

- Tak, ty! Siadać. Szybko!

Zamarła z oczekiwania. Czy to był jej ojciec? Przełknęła ślinę. Żył? Zeznawał przeciwko niej? To nieważne:: jeśli żył, będzie szczęśliwa.

Wezbrała w niej miłość do ojca, matki, dziadków, do wszystkich.

Tatuś! Bez względu na to, co z nim zrobili, bez względu na to, co zrobią z nią, pragnęła go uściskać. Czy pozwolą jej go pocałować?

- Oskarżona Zeitlin-Palicyn! - warknął Rodos. - Spojrzeć na więźnia!

Piszę do Ciebie jako stary towarzysz od ponad dwudziestu pięciu lat, w którym to czasie służyłem partii i Tobie jako jej doskonałemu ucieleśnieniu bez najmniejszego odchylenia od linii partyjnej. Wierzę, że zawdzięczam swoją owocną działalność odpowiedzialnego pracownika naszej robotniczo-chłopskiej partii Twojemu zaufaniu i życzliwości. Wykonam każde polecenie Komitetu Centralnego, tak jak robiłem to zawsze, ale chciałbym zaprotestować przeciwko „metodom” śledztwa stosowanym wobec mnie przez pracowników organów. Uskarżam się na liczne dolegliwości (cień w prawym płucu, dusznicę i wadę serca, jak również jizyczne kalectwo spowodowane paraliżem dziecięcym i artretyzm w wyniku ciężkiej pracy i długotrwałego zesłania na Syberii w czasach carskich) i mam już sześćdziesiąt jeden lat. Jako członek Komitetu Centralnego chciałbym Cię powiadomić jako Sekretarza Generalnego i członka Politbiura, że po przewiezieniu do więzienia wewnętrznego na Łubiance poproszono mnie, abym się przyznał, że służyłem obcym mocarstwom. Kiedy odmówiłem, kazano mi położyć się na dywanie i trzech ludzi biło mnie po stopach i nogach gumowymi pałkami ze straszną siłą. Nie mogę chodzić, a na nogach mam czerwone i sine obrzęki. Codziennie byłem bity w te same miejsca skórzanym pasem i gumowymi pałkami.

Ból był tak dotkliwy, jakby polewano mnie wrzącą wodą lub kwasem. Wiele razy traciłem przytomność, płakałem, krzyczałem, błagałem ich, aby powiadomili Ciebie, towarzyszu Stalin, co muszę znosić. Kiedy wymieniłem Twoje nazwisko, uderzyli mnie w twarz, złamali mi nos i stłukli okulary, bez których prawie nie widzę, i zaczęli mnie bić po kręgosłupie. Moje poczucie godności własnej starego bolszewika nie pozwala mi powiedzieć Ci więcej, szanowny towarzyszu Stalin, a nawet to, co teraz powiem, sprawia mi ból: kiedy leżąc na podłodze, ponownie odmówiłem okłamania partii, śledczy oddali mocz (i czyniąc to, skalali imię naszej świętej partii Lenina i Stalina) na moją twarz i oczy. Nawet na katordze za cara nie doświadczyłem choćby części takiego strachu i bólu. Teraz siedzę w swojej celi, trzęsę się cały i ledwo mogę utrzymać pióro. Odczuwam nieprzewyciężony strach, ja, który jako rewolucjonista przez trzydzieści lat nigdy nie zaznałem strachu, i straszliwą pokusę, aby Cię okłamać, Iosifie Wissarionowiczu, i obciążyć siebie i innych, w tym uczciwych odpowiedzialnych pracowników, choć już to samo w sobie byłoby zbrodnią przeciwko partii.

Rozumiem, że nasze wielkie państwo potrzebuje terroru, aby przetrwać i zatriumfować. Popieram nasze mężne organy w demaskowaniu wrogów ludu i szpiegów. Ja się nie liczę. Liczy się tylko partia i nasza szlachetna sprawa. Ale jestem pewien, że nie wiesz o tych praktykach, i błagam Cię, szanowny stary towarzyszu, Wielki Przywódco Klasy Robotniczej, nasz Leninie dnia dzisiejszego, abys to zbadał i ulżył cierpieniom szczerego i oddanego sługi partii i Twego, towarzyszu Stalin.

Mendel Barmakid, członek partii od 1900 roku

Naprzeciwko niej siedział chudy jak szkielet starzec o żółtej, przezroczystej skórze, z kosmykami jasnych włosów na łuszczącej się, pokrytej strupami czaszce, w niebieskim więziennym drelichu. Przygryzał wargi, zerkał trwożnie na boki, drapał się w niemal szaleńczych odruchach, a potem na długie minuty zastygał jak w śpiączce.

Saszeńka nigdy dotąd nie spotkała zeka, ale wszystko w tym sponiewieranym strzępie człowieka mówiło jej, że jest zekiem, weteranem łagrów. Czuła, że spędził lata w Workucie albo na Kołymie, krusząc skały, karczując tajgę. Nie pachniał już nawet więzieniem ani nie zachował tej chytrej, przebiegłej woli przetrwania, którą ona teraz przejawiała. W tym momencie poznała prawdziwe znaczenie ulubionego powiedzenia Berii, a także jej Wani: „wdeptać w obozowy proch”. Nigdy wcześniej go nie rozumiała.

Wpatrywała się w jego twarz i łyzy cisnęły jej się do oczu: czy to był baron Samuel Zeitlin, aresztowany w 1937 roku? Nie, to nie mógł być jej ojciec. Ten człowiek w ogóle nie przypominał jej ojca.

Kobułow cmoknął z uciechą, a Saszeńka patrzyła, jak śledczy zareagują na jego zniecierpliwienie.

- Rozpoznajecie się? - spytał Mogilczuk pospiesznie.

- Więzień, odpowiedzieć - powiedział Rodos zdumiewająco ciepło. - Poznajesz ją?

Saszeńka szukała w pamięci. Kto to był? Musiał mieć osiemdziesiąt lat albo więcej.

Więzień przelknął głośno i otworzył usta. Nie miał zębów, a jego blade dziąsła pokrywały wrzody. Zauważyła ślad na jego szyi i uświadomiła sobie, że to siniec.

- To ona! To ona! - powiedział uderzająco kulturalnym, równym i delikatnym głosem. - Oczywiście, że ją poznaję.

- Jak brzmi jej nazwisko? - spytał Rodos.

- Wygląda dokładnie tak samo. Nawet lepiej.

- Odpowiadać! Kto to jest? Więzień uśmiechnął się do Rodosa.

- Myślicie, że zapomniałem?

- Chcesz, żebym ci przypomniał? - spytał Rodos.

- Co ze mną potem zrobicie? Uwolnicie mnie od cierpień? Rodos przejechał ręką po swojej guzowatej czaszce.

- Jeśli nie masz już ochoty na francuskie zapasy... - Nagle wstał i wrzasnął z maniakalną furią: - Jak brzmi jej nazwisko?

Więzień zeszywniał. Saszeńka podskoczyła, oblewając się potem.

- Znowu będziecie mnie bić? Nie musicie. To jest baronówna Aleksandra Zeitlin - Saszeńka, którą kiedyś kochałem.

Rodos podszedł do drzwi.

- Mam inne spotkanie - powiedział do Kobułowa.

- Dobrej zabawy - odparł Kobułow. - Kontynuujcie, śledczy Mogilczuk.

- Oskarżona Zeitlin-Palicyń- podjął Mogilczuk - czy poznajesz więźnia? Saszeńka potrząsnęła głową, zafascynowana i przerażona.

- Więzień, twoje nazwisko?

- Piotr Iwanowicz Pawłów. - To był głos innego mężczyzny, z innego miasta w innym utraconym czasie.

- To nie jest twoje prawdziwe nazwisko, co? - powiedział przymilnie Mogilczuk.

- To fałszywe nazwisko, pod którym maskowałeś się przez ponad dziesięć lat jako nauczyciel w Irkucku, choć naprawdę byłeś białogwardyj-skim szpiegiem. A teraz spójrz na oskarżoną i powiedz jej, jak się nazywasz naprawdę.

42

W innym pokoju przesłuchań Benia Golden siedział na krześle przed śledczym Borysem Rodosem.

- Zostałeś aresztowany za podstępną działalność antyradziecką - powiedział Rodos. - Przyznajesz się do winy?

-Nie.

- Jak myślisz, dlaczego zostałeś aresztowany?

- Seria zbiegów okoliczności i moja niezdolność do pisania.

Rodos odchrząknął i spojrzał w papiery z szyderczym uśmiechem, przez co jego nos boksera wydawał się jeszcze bardziej rozplaszczony.

- Więc jesteś pisarzem, co? Nic dziwnego, że Mogilczuk chciał cię przesłuchiwać. A ja uważam, że jesteś po prostu brudnym zdrajcą i kupą gówna. Pisarz, co?

Benia nie zdołał powstrzymać zdziwienia.

- Napisałem książkę pod tytułem *Opowiadania hiszpańskie*, która była głośna dwa lata temu, a potem...

- Co mnie to obchodzi, ty próżny mały kutasie? - warknął Rodos. - Ja widzę tylko bezczelnego Żyda, którego mogę złamać na pół jak patyk. Mogę cię wdeptać w proch.

Benia nie wątpił w to. Rodos, ze swoją łysą głową, zbyt szerokimi barami i krótkimi nogami, przypominał mu hienę. Benia bał się, że straci wszystko, co kochał, swoje dziecko, a przede wszystkim swoją najdroższą Saszeńkę. Tylko to się teraz liczyło.

- Pytam jeszcze raz, za co zostałeś aresztowany?

- Naprawdę nie wiem. Mieszkałem w Paryżu, spotykałem się z francuskimi i amerykańskimi pisarzami. Znałem kilku generałów aresztowanych jako trockiści.

- Więc? Nie zmuszaj mnie, żebym otworzył szufladę, gdzie trzymam swoje pałki, i rozbił na miazgę twój krzywy żydowski nos. Lubię francuskie zapasy - tak to tutaj nazywamy. Przyznaj się do swojej zbrodniczej i niemoralnej działalności, a nie będę musiał się pocić. Opowiedz mi o swoich seksualnych ekscesach w hotelu Metropol, pokój 403.

- O to chodzi? - wykrzyknął Benia. Został aresztowany z powodu swojego romansu z Saszeńką? Gideon ostrzegał go, żeby nie zadawał się z żoną czekisty. Ale chyba nawet w takich purytańskich czasach to nie mogło być nic poważnego. Może ześlą go na prowincję, daleko od Moskwy, ale przynajmniej będzie żył. Musiał ochraniać Saszeńkę.

- Tak, o to - odparł Rodos, wyjmując grubą teczkę. - Znamy wszystkie plugawe szczegóły.

- Rozumiem. Jej mąż za tym stoi. Ale ona jest niewinna, przysięgam. Nie zrobiła nic złego. Jest lojalną komunistką. - Benia wpatrywał się w twarz Rodosa, ale było to zupełnie tak, jakby próbował coś wyczytać z połcia mięsa.

- Kto powiedział, że nie jest?

- Więc nie ma żadnych kłopotów?

- To tajna informacja, oskarżony Golden. Po prostu opowiedz, jak to się zaczęło...

Benia modlił się, aby Saszeńka się o tym nie dowiedziała. Zapewne wyjdzie na wolność i znowu będzie dobrą żoną, jaką była zawsze. Uzna, że Benia został aresztowany jako trockistowski szpieg, nabierze do niego odrazy, zapomni o nim i wróci do swojego prawomyślnego i wygodnego życia.

Kiedy przyszli go aresztować, nie był zaskoczony. Przez te dwa tygodnie z Saszeńką był taki szczęśliwy, że nie mógł uwierzyć, by to mogło trwać długo - chociaż

wiedział, że Saszeńka jest prawdziwą miłością jego życia. Taka miłość zdarza się tylko raz, jeśli w ogóle.

Siedząc w samochodzie w drodze do więzienia, patrzył na ulice miasta, na światła rozplývające się w jego łzach. Był świt, pora, kiedy miasto odnawiało się przed początkiem dnia: ciężarówki wywoziły śmieci, dozorczy myli schody, stare kobiety zamiatały ulice, mężczyzna w kombinezonie niósł bańkę z mlekiem. Ale czerwone gwiazdy, które oświetlały ich pokój w Metropolu, należały do nich obojga. Teraz będzie cierpiał katusze: rozedrą go na kawałki; na myśl o tym zrobiło mu się zimno.

Saszeńka będzie żyła z dala od tego wszystkiego, cudowna kobieta, którą kochał. Nikt się nie dowie, co działo się w jego sercu, choćby nie wiem jak go bili. Będzie żyła poza więzieniem, tak samo jak jego dziecko, a to znaczyło, że on będzie żył równie długo jak ona. Nigdy mu nie powiedziała, że go kocha, ale miał nadzieję, że tak było... Dlaczego nie mogła mu tego powiedzieć, zanim otworzyła się przed nim otchłań cierpienia? Kazała mu czekać i prawdopodobnie będzie musiał zaczekać, żeby usłyszeć to na tamym świecie.

Teraz zadawał sobie pytanie - co powinien powiedzieć? Jak chronić Saszeńkę? A może nie mógł jej ochronić? Z ciekawością pisarza wyobrażał sobie własną śmierć i myślał o ostatnich chwilach przed egzekucją. Co jego „Radziecki proletariacki podręcznik etykiety cudzołóstwa” zalecał w takich sytuacjach? - zastanawiał się, wspominając, jak śmiali się z tego razem z Saszeńką.

- Rozbrój się i złóż zeznanie! - wrzasnął Rodos.

Nagle otworzył szufladę biurka i dwa razy uderzył Benie w twarz czarną gumową pałką.

Benia spadł z krzesła na podłogę, szorując policzkiem o beton. Rodos stanął nad nim, kopniakiem rozbił mu nos, aż trysnęła krew, i zaczął go okładać pałką po twarzy, nerkach, kroczu i znowu po twarzy.

- Saszeńko! - jęknął, z każdym ciosem uświadamiając sobie, że ona nie jest wolna, czując, że jest gdzieś tutaj, blisko niego i cierpi - i to go ostatecznie złamało. - Kocham cię! Gdzie jesteś?

43

- Piotr Sagan, kapitan żandarmerii - powiedział stary zek najbardziej światowym i arystokratycznym tonem. - Proszę, to nią wstrząsnęło.

Saszeńka otworzyła usta ze zdumienia. Czyżby nie zginął na ulicach Piotrogradu? Serce jej waliło.

- Jak ją poznałeś? - spytał Mogilczuk.

- Kochałem ją kiedyś - odparł więzień z akcentem typowym dla wychowanka korpusu paziów.

- Miałeś z nią stosunek seksualny?

-Tak.

- To kłamstwo! - zawołała Saszeńka, wracając pamięcią do romantycznej, lecz niewinnej przejażdżki saniami, a później do tamtej żalostnej nocy, kiedy Sagan próbował ją zgwałcić.

- Cisza albo każe cię usunąć - powiedział Mogilczuk. - Za minutę będziesz miała swoją szansę.

- Była dziewicą?

- Tak. Została moją kochanką, a ja deprawowałem ją nieopisanymi per-wersjami. Dawałem jej też kokainę, którą brałem, rzekomo jako lekarstwo.

- Nigdy! - krzyknęła Saszeńka. - To nie jest Piotr Sagan. Nie poznaję tego człowieka. To oszust!

- Nie zwracaj na nią uwagi. Utrzymywałeś z nią kontakty zawodowe?

- Posługiwałem się nią... Nienawidziłem rewolucjonistów... ale zakochałem się w niej.

- Nie interesują nas wspomnienia osobiste. Twoje kontakty zawodowe?

- Była moim podwójnym agentem.

- Kiedy zwerbowałeś ją do Ochrony?

- Jesienią 1916 roku. Aresztowaliśmy ją jako bolszewika. Zwerbowałem ją w więzieniu Kriesty. Później spotykaliśmy się w punktach kontaktowych i pokojach hotelowych, gdzie zdradzała swoich towarzyszy.

- To nieprawda. Wiecie, że to nieprawda! Kimkolwiek jesteś, kłamiesz! - Saszeńka wstała. Upierścienione dłonie Kobułowa spoczęły ciężko na jej ramionach, sadzając ją z powrotem na krześle. Zrobiło jej się zimno i zaczęła drżeć.

- Czy ona zwerbowała dla ciebie innych agentów, stojących wyżej w bolszewickim kierownictwie?

-Tak.

- Powiedz nam, kogo.

- Najpierw Mendla Barmakida.

Saszeńka potrząsnęła głową. Czowała, że tonie, wody zamykały się nad nią.

- Więzień Sagan, czy Mendel był cennym agentem?

- O, tak. Inni przywódcy przebywali w więzieniu, na Syberii albo za granicą. On był członkiem Komitetu Centralnego utrzymującym kontakt z Leninem.

- Jak długo pozostawał podwójnym agentem?

- Mendel wciąż jest podwójnym agentem.

- Kłamstwo! Ty draniu! - krzyknęła znowu, siły ją opuszczały. - Zgnijesz za to w piekle! Gdybyś wiedział, co robisz! Gdybyś tylko wiedział... - Rozpłakała się.

- Oskarżona, panuj nad sobą - powiedział Mogilczuk - albo Rodos roze-drze cię na kawałki. - Nastąpiła chwila milczenia. - Sagan, co się stało z agentami Ochrony po rewolucji?

- Zeszli do podziemia, tak jak ja.

- Pod czyją kontrolą?

- Początkowo białogwardzistów, ale później zostaliśmy pacholkami... podłego sojuszu gadów i wściekłych psów. - W tym momencie Sagan znowu się uśmiechnął i Saszeńka wyczuła w nim wstyd pomieszany z szyderstwem. Za swoimi rozbieganymi, niespokojnymi, błękitnymi tęczęwkami zdawał się płakać, błagając ją o wybaczenie. Czy odurzili go narkotykami?

- Pod którym zwierzchnictwem, Sagan?

- Pod ogólnym zwierzchnictwem japońskiego i brytyjskiego wywiadu, ale rozkazy otrzymywaliśmy od zjednoczonej opozycji Trockiego i Bucharina.

- I przez te wszystkie lata utrzymywałeś kontakty z oskarżoną?

- Byłem łącznikiem pomiędzy nią a wrogami radzieckiego ludu pracującego.

- Spotykaliście się regularnie?

- Tak.

- To śmiechu warte - krzyknęła Saszeńka. - Nigdy nie słyszałam o tym człowieku. Policjant Sagan został zabity na Newskim Prospekcie w 1917 roku. Ten człowiek to aktor!

- Jakich jeszcze agentów zwerbowała?

- Swojego męża, Wanię Palicyna. A ostatnio pisarza Benie Goldena - używając tych samych zwyrodniałych technik seksualnych, których ją nauczyłem.

- A więc japoński i brytyjski wywiad, wraz z Trockim i Bucharinem, przez całe lata kierował zdrajcą Mendlem w Komitecie Centralnym, zdrajcą Palicynem w NKWD i zdrajcą Goldenem, pisarzem?

-Tak.

- Ty draniu! - Saszeńka rzuciła się przez stół, ale kiedy jej ręce chwyciły oskarżyciela, miała wrażenie, że chwyta kartonową wycinankę. Nie było czego trzymać. Starzec okazał się tak słaby, że spadł z krzesła, uderzając głową o krawędź stołu, i leżał na podłodze jak kłoda.

Kobułow podniósł ją od tyłu jak szmacianą lalkę i rzucił z powrotem na krzesło.

- Ostrożnie, dziewczyno, musimy o niego dbać, prawda, chłopcy? - powiedział Mogilczuk, pomagając Saganowi wstać. Sagan wciąż był bezwładny i ledwo mógł siedzieć.

Saszeńkę ogarnęła rozpacz skazańca. Ten strach na wróble złożył do grobu całe jej życie. Pomyślała o dzieciach. Stała się rzecz nie do pomyślenia. Wszystko było nie tak, jak sobie wyobrażała.

Uświadomiła sobie, że jest osią tej sprawy - osnową pajęczej sieci - i nigdy się stąd nie wydostanie, już nigdy nie zobaczy Śnieżynki i Karla. „Dajcie mi czas, żebym mógł zająć się dziećmi” - poprosił Satinow. Modliła się, żeby mu się udało.

Czy nadszedł czas, żeby wprowadzić plan Wani w czyn? „Przyznaj się dopiero, kiedy sobie uświadomisz, że nie masz wyboru” - powiedział. Czy wytrzymał tak długo?

- Dobra robota, chłopaki! - Kobułow klasnął w dłonie i wyszedł, zatraskując za sobą drzwi kopnięciem lśniącego buta.

Mogilczuk wyjął teczkę zatytułowaną „Protokół przesłuchania” i otworzył ją.

- Oto twoje zeznanie. Podpisałeś się u dołu każdej strony, tak? Sagan kiwnął głową, drapiąc się, kolana mu drżały. Czekista rzucił teczkę Saszeńce.

- Masz, oskarżona Zeitlin-Palicyn! Poczytaj sobie! Nie mogłaś sobie przypomnieć tego wszystkiego? Jak mogłaś zapomnieć?

44

- Towarzyszu Stiepanian, czy jest dla mnie telegram?

Karolina weszła chwiejnym krokiem do biura zawiadowcy stacji. Był kolejny poranek, nad głową warczał wentylator, a tego dnia duszne biuro było zatłoczone. Stary wieśniak w koszuli i chodakach, z długą białą brodą, siedział przy biurku; młody człowiek w partyjnej bluzie i z kalininowską bródką czekał z paszportem i biletami, a oficer NKWD czytał pismo sportowe, trzymając nogi na kaloryferze.

Towarzysz Stiepanian położył rękę na stosie telegramów i poklepał go.

- Nie, nie, nie ma telegramu...

Karolinę ogarnęła rozpacz. Satinow ich zawiódł, wszystko na nic.

- Dzisiaj wyjeżdżam - powiedziała, bliska płaczu. - Nie mogę dłużej czekać. Powlokła się z dziećmi do drzwi i właśnie je otwierała, gdy nagle Stiepanian otrząsnął się i strzelił językiem jak dzieciół.

- Chwileczkę! Nie ma telegramu - ale ktoś na was czeka przy samowarze w bufecie. Kobieta. Jest tu już od jakiegoś czasu.

- Dziękuję, towarzyszu Stiepanian. Dziękuję! Mogłabym was uściskać... - I wybiegła.

- Czy to mama? - spytał Karło, kiedy pędzili do bufetu.

- Mama odeszła - powiedziała Śnieżynka poważnie. - Karolina już ci mówiła. To jest przygoda.

- Chodźcie - ponaglała Karolina. - Szybciej. Och, Boże, żeby tylko sobie nie poszła.

* * *

W bufecie, z dala od kolejki po herbatę i gorącą wodę przy parującym samowarze, i z dala od tac z tłustymi kluskami, pierożkami i naleśnikami, siedziała sztywno pełna godności starsza kobieta o trójkątnej twarzy i siwych włosach, zaczesanych za uszy. Lala, w staroświeckim kapeluszu i garsonce, sączyła herbatę, bacznie obserwując tłum. Kiedy zobaczyła zaniedbaną nianię z dwojgiem dzieci, wstała i pomachała do nich.

- Witajcie, przyszedłam po was. - Uśmiechnęła się do nich wszystkich i podała rękę Karolinie, która była ponad takie uprzejmości. Obie kobiety przyglądały się sobie przez chwilę, a potem uściskały się jak stare przyjaciółki.

- Przepraszam, że to tak długo trwało. Pociąg się spóźnił, a ja nie przywykłam do tego wszystkiego. Chodźcie, usiądźmy przy stoliku - powiedziała, patrząc uważnie na dzieci, dzieci swojej ukochanej Saszeńki. - Wynajęłam pokój w hotelu Rewolucja w Rostowie, gdzie możemy pójść, umyć się i przespać. Możemy też coś zjeść. Mam papiery dla dzieci i dostałam trochę pieniędzy.

Karolina zachwiała się, a potem ukryła twarz w dłoniach - Lala wiedziała, ile ta chwila musiała kosztować guwernantkę. Karło podbiegł do Karoliny i pocałował jej włosy.

- Jesteś moim najlepszym przyjacielem na całym świecie! - powiedział, głaszcząc ją po policzku.

Lala położyła rękę na ramieniu Karoliny.

- Żyjemy w złych czasach, a ty dobrze zrobiłaś, że tu przyjechałaś. Proszę, Karolino, nie płacz! Nie prosiłam o to zadanie. Podobnie jak ty, wiele ryzykuję. Mnie to też przerasta.

- Ale masz plan? Wiesz, co robić?

- Tak, mam instrukcje. Karolino, zrobię wszystko, żeby je ocalić. - Znowu popatrzyła na dzieci, a dzieci popatrzyły na nią.

- Kto to jest? - spytała Śnieżynka.

- Bądź grzeczna, Śnieżynko! - Lala zobaczyła, że Karolina doszła do siebie.- Ta pani wam pomoże.

- Gdzie mama? - spytał Karlo, znowu bliski płaczu.

- Ty pewnie jesteś Karlo - powiedziała Lala. - Mam coś dla ciebie. Sięgnęła do płóciennej torby i wyjęła puszkę herbatników z obrazkiem Kremla.

Karlo nie mógł oderwać oczu od puszki. Lala otworzyła ją i Karlo zaniemówił na widok żółtych ciasteczek, ale się nie poruszył.

- Słyszałam, że je lubisz - powiedziała, czując, że Karolina uśmiecha się do niej.

- Spójrz, Karlo - powiedziała Śnieżynka - ona wie, że to twoje ulubione. Śnieżynka wzięła herbatnik i podała Karlowi, który go zjadł. Złapał Śnieżynkę za rękę.

- Witaj, Śnieżynko. Czy to twoja przyjaciółka Poduszka? - spytała Lala.

- Słyszałaś o Poduszce?

- Oczywiście, Poduszka jest sławna. Witaj, Panno Poduszko! Masz włosy jaśniejsze niż mama, Śnieżynko, i niebieskie oczy, ale jej usta - a ty, Karlo, wyglądasz jak twój ojciec.

- Znasz mamę? - spytała Śnieżynka.

- Znasz tatusia? - zawtórował Karlo.

- O, tak - powiedziała Lala, przypominając sobie tamten dzień, kiedy po raz pierwszy spotkała Saszeńkę i pokochała ją jak własną córkę. Przypomniała sobie noce spędzone z Saszeńką w jej łóżku w rezydencji przy ulicy Bolszaja Morskaja, przejażdżki saniami po bulwarach Sankt Petersburga, radość jazdy na łyżwach i na kucyku w rodzinnym majątku. Była prawdziwą matką Saszeńki i chociaż nie widziała jej od prawie dziesięciu lat, myślała o niej codziennie i rozmawiała z fotografią uczennicy w fartuszku, jakby wciąż były razem. Wiedziała też, że znalazła się tutaj, na tym dworcu, nie tylko dla siebie czy Saszeńki, lecz również dla Samuela Zeitlina.

Teraz Saszeńkę pochłoneła partia, której tak gorliwie służyła - a jedynym sposobem, w jaki Lala mogła wyrazić swoją miłość, było podjęcie się tej trudnej misji dla rodziny Zeitlinów.

- Znam waszą mamę lepiej niż ktokolwiek na świecie - powiedziała Karlowi i Śnieżynce. - Ale nie możemy teraz myśleć o mamie. Musimy zaplanować przyszłość, waszą następną przygodę. Och, i możecie nazywać mnie Lala.

- Ty jesteś Lala? - spytała Śnieżynka. - Mamusia mi opowiadała, że kąpałaś ją codziennie. Lubię cię. Jesteś bardzo poduszkowa.

Obie nianie uśmiechnęły się do siebie, dzielając swój podziw dla Śnieżynki - a potem szybko odwróciły wzrok. To było zbyt bolesne.

Kiedy wyszły z dworca na ulicę Rostowa nad Donem, każda z nich trzymała za rękę jedno z dzieci.

- Pokuśtajcie mnie! - zapiszczał Karło, wierzgając nogami, szczęśliwy po raz pierwszy od wielu dni.

Gdy Karolina chwyciła go za jedną rękę, a Lala za drugą, Lala pomyślała, że jeden etap w życiu Śnieżynki i Karła dobiegł końca - i zaczynał się następny.

45

Saszeńka waliła w drzwi celi.

- Zaprowadźcie mnie do Kobułowa!

Kłapka judasza otworzyła się, błysnęło znudzone oko, znowu się zamknęła. Saszeńka położyła się z powrotem na pryczy, złana potem, na przemian zapadała w sen i budziła się. Od ilu dni nie spała dłużej niż dziesięć minut? Straciła rachubę, straciła poczucie dnia i nocy. W jej celi nie było okna, tylko jaskrawe światło, które przenikało do najgłębszych i najbardziej mrocznych zakamarków jej duszy.

Konfrontacja z kapitanem Saganem zmieniła wszystko. Myślała o niej przez cały dzień, a także w nocy, oscylując na pograniczu delirium. Na jawie śniła o dzieciach, o Wani, o Beni Goldenie, i rozważała absurdalne kwestie: czy kobieta może kochać dwóch mężczyzn jednocześnie, jednego jako kochankę, drugiego jako męża? O, tak, to było możliwe. Ale za każdym razem zapadała w bezsenną nieświadomość, pod powierzchnią czarnej toni, gdzie nic nie widziała.

Potem obudzono ją gwałtownie.

- Nie spać!

Nie wiedziała nawet, czy Wania jeszcze żyje. Wiedziała tylko, że nie będą mieli dla niego litości. Był jednym z nich, wiedział, gdzie pogrzebano wszystkie ciała, a teraz okazał się zdrajcą. Pragnęła go zobaczyć.

Chciała poprosić o widzenie z nim, aby się upewnić, że powinna zrobić następny krok, ale obawiała się, iż najmniejsze podejrzenie, że skoordynowali swoje plany, może naprowadzić śledczych na ślad dzieci. Minał już ponad tydzień, odkąd ukochana Poduszka i Króliczek rozpoczęli swoją wielką przygodę.

Czy to ich zapach? Siano i wanilia. Jak mawiała Śnieżynka: „Zatańczmy poduszkowy taniec!”. Jak śpiewak jazzowy Saszeńka starała się uchwycić właściwy ton, bez przerwy szkicując w pamięci twarze dzieci, ale czasami kształt nosa lub krzywna czoła (te cudowne czoła, ulubione miejsca do całowania, tam gdzie włosy stykały się ze skronią, mogłaby je pieścić przez wieczność!) umykały jej i zapadały się w bezdenną czarną toń.

Jej umysł ledwo funkcjonował, prawie nie rejestrowała więziennego życia wokół siebie: po prostu istniała w konwejerze. Ale gdyby oszalała, Śnieżynka i Karlo nie mieliby z niej żadnego pożytku. Czowała, że nadszedł czas na następny krok.

Była głęboka noc, kiedy po nią przyszli. Cały rząd radziecki funkcjonował do późnej nocy, poczynając od Stalina. Jakaż była naiwna, pomyślała, przypominając sobie Wanię, który wracał do domu o świcie, pachnąc jak stary wilk, jakby stoczył bójkę w barze. Jego tajemniczość odpowiadała jej, ponieważ nie musiała pytać, co robił przez całą noc. Teraz wiedziała, jaki oboje zawarli kompromis.

Kiedy dotarli do pokoju przesłuchań, który jak jej się wydawało, istniał w otchłani, dokładnie w połowie drogi pomiędzy wykładanymi boazerią gabinetami w przedniej części kompleksu Łubianki a lochami więzienia wewnętrznego, poczuła ulgę, taką samą jak przy aresztowaniu.

Weszła do pokoju i ktoś uderzył ją gumową pałką w plecy z taką siłą, że upadła. Kopali ją zawzięcie, a ona kulila się na ziemi i jęczała. Pałki - było tam dwóch ludzi - spadały na jej plecy, piersi, brzuch, ilekroć się odwróciła, ale przede wszystkim na nogi i stopy. Krzyczała z bólu, krew zalewała jej oczy.

Próbowała udawać, że to po prostu bardzo nieprzyjemna procedura medyczna, konieczna, a nawet terapeutyczna, ale to nie pomogło na długo.

W odorze wódki, potu i kielbasy, który wionął od jej oprawców, w lawinie ciosów, które spadały jej na piersi, w ich ciężkich oddechach, kiedy brali zamach, Saszeńka odniosła wrażenie, że znajdują przyjemność w biciu jej. Może jej żądanie przerwało bankiet w klubie NKWD - albo nawet orgię w jakimś służbowym mieszkaniu.

Przerwali na chwilę, dysząc ciężko. Przecierając oczy, trzęsąc się i jęcząc z bólu, spojrzała w górę na Kobułowa i Rodosa, w butach z cholewami, białych koszulach i bryczesach z szelkami. Byli zupełnie różni, ale oczy mieli takie same: nabiegłe krwią, żółte i dzikie, jak wilki w świetle reflektorów.

- Chcę się przyznać - powiedziała tak głośno jak mogła. - Do wszystkiego. Błagam was. Przestańcie już!

- Hurra! Hurra! - zawołał Kobułow, podskakując jak uczeń podczas meczu.

- Chrystus zmartwychwstał!

Przypomniawszy sobie matkę, radosną gruzińską kobietę z wielkimi piersiami, która tak go kochała. Kiedy widział się z nią po raz ostatni w jej nowym mieszkaniu w Tbilisi, ostrzegła go: „Uważaj, Bogdan, zadajesz tyle cierpienia! Pamiętaj o Bogu i Jezusie Chrystusie!”.

Włożył bluzę, ocierając czoło żółtą jedwabną chustką.

- Wystarczy! Doprowadźcie ją do porządku, towarzyszu Rodos, pozwólcie jej się przespać, wyłączcie ogrzewanie w jej celi i dajcie jej kawy, kiedy się obudzi. Potem dajcie jej papier i ołówek i sprowadźcie Mogilczuka, żeby dotrzymywał jej towarzystwa. Ja wracam na przyjęcie, gdzie czeka na mnie tyle klaczy! Dzięki Bogu, że możemy przestać, zanim całkowicie ją oszpecimy. To ciężka praca, Saszeńko, dla człowieka, który kocha kobiety. To nie jest łatwe, istna tortura, to wcale nie jest łatwe. -I błyskając pierścieniami na palcach, zatrzasnąwszy kopnięciem drzwi, wyszedł.

Saszeńka przespalała cały następny dzień. Cella była rozkosznie chłodna i ciemna, ale czuła przejmujący ból w piersiach - może miała złamane żebro? W nocy przyszedł do niej lekarz, specjalista z siwą brodą i w białym kołnierzyku, wyrwany ze swojej intratnej miejskiej praktyki do tego świata żywych trupów. Była na wpół rozbudzona, ale śniła, że to aresztowany dawno temu profesor Izrael Paltrowicz, który odbierał Śnieżynkę w Klinice Kremłowskiej. Coś w jego zaskoczeniu, kiedy ją zobaczył, w jego arystokratycznym i uprzejmym sposobie bycia, w jego łagodnej trosce w środku nocy kazało jej myśleć, że to on. Chciała z nim porozmawiać o Śnieżynce.

- Profesorze, czy to pan... ? Położył rękę na jej dłoni i uściskał ją.

- Odpuść - powiedział, a potem, znacznie ciszej, dodał: - Śpij, moja droga.

Zrobił jej zastrzyk i wtarł jakąś kojącą maść w jej obolałe mięśnie.

Kiedy się obudziła, nie mogła się ruszać. Ciało miała czarno-sine, w moczu krew. Zjadła coś i znowu zasnęła, potem pozwolili jej się umyć i wyjść na dziedziniec, gdzie, kuśtykając samotnie, wpatrywała się w cudowne turkusowe niebo nad głową. Powietrze było rześkie, świeże i ciepłe. Czuła się jak nowo narodzona.

Do pewnego stopnia miała szczęście, powiedziała sobie. Co to za szczęście być kochaną i wychowywaną przez Lale; poślubić Wanię i urodzić dzieci; napawać się siedmioma tysiącami rubinowych pieszczot Beni Goldeny, jedynym dzikim, lekko-myślnym romanssem w jej życiu podporządkowanym zdrowemu rozsądkowi i ciężkiej pracy. Znała osobiście Lenina i Stalina, tytanów historii ludzkości. Zważywszy, że to wszystko ma się skończyć, dzięki Bogu, że poznała takie rzeczy.

Wiedziała, że zmuszą ją do mówienia, a ona powie im wszystko, czego chcą - i jeszcze więcej. Słowa, które wypowie, zeznania, które złoży, będą formą samobójstwa, ale niezbędną jej jedynemu czytelnikowi: towarzyszowi Stalinowi. On znajdzie w jej urywanych wspomnieniach wszystko, w co chciał wierzyć o świecie i ludziach, których nienawidził. Wania opowiedział jej o obsesyjnych podejrzeniach Stalina, a ona postara się, aby się potwierdziły. Wania, jeśli jeszcze żył, zrobi to samo, choć mniej kwieciste. Nie wiedziała, prawdopodobnie nigdy się nie dowie, dlaczego ona, Mendel, Benia i Wania zostali aresztowani. Teraz znaczenie miało tylko to, że znajdowała się w samym środku tego wszystkiego i zniszczyła ich wszystkich. Ona i Piotr Sagan.

Mogli trzymać ją w niepewności przez całe miesiące, ale kiedy ją skazą (ten niewysłowny, gwałtowny koniec owej tajemniczej, bezkresnej, wibrującej rzeczy nazywanej Życiem wciąż wydawał się jej niewyobrażalny), dzieci będą mieszkać gdzieś pod nowymi nazwiskami, bezpieczne i zdrowe w świecie żywych - a nie w jej świecie umarłych. Przesyłała im swoją miłość, wdzięczność dla Satinowa, miłość dla wszystkich, którzy byli jej najdrożsi. Musi pozwolić im odejść. Była komunistką od szesnastego roku życia. To była jej religia, upojenie absolutem, nauką historii. Ale rozumiała, że to samobójcze zeznanie jest jej ostatnią misją. Znowu stała się matką - w momencie, kiedy przestała nią być. Była brzemienna celem.

Na dziedzińcu Saszeńka patrzyła na chmury układające się w ulotny kształt pociągu, lwa i brodatej twarzy rabina. Czy to był jej dziadek, rabin Turbinu? A czy to może być królik i różowa poduszka, oświetlone promieniami słońca, prawie poza zasięgiem wzroku...

Kiedy przyjdzie czas na najwyższy wymiar, obiecała sobie, przyjmę siedem gramów ołowiu i pozostawię wyrazy miłości dla Śnieżynki i Karła tam, w bramach wieczności. Teraz nadszedł czas na ostatni akt.

- Oto twoja nagroda - powiedział Kobałow, witając ją w pokoju przesłuchań. Patrzył, jak jego piękny więzień chłonie silny aromat świeżo zmielonych ziaren kawy.

- Musisz się przyznać do swojej zbrodniczej i zdradzieckiej działalności - powiedział Mogilczuk, nalewając jej kawę z mosiężnego dzbanka.

Usiadła na krześle, cała w pręgach i sińcach, wychudzona, ale coś w jej wargach, które nigdy do końca się nie zamykały, w małych wysepkach piegów po obu stronach nosa, w wygięciu szyi rozpraszało uwagę Kobałowa, który siedział na parapecie, machając nogami w nowych butach z cielej skóry. Lubił ten etap śledztwa. Atmosfera zrobiła się przyjaźniejsza i już nie musiał jej bić, chociaż runda francuskich zapasów z prawdziwym draniem była emocjonującym sportem. Czuł na sobie jej szare oczy, znowu jasne, śmiałe i czujne.

Kobałow mrugnął do niej i zmarszczył nos. Wyjął paczkę papierosów z wizerunkiem krokodyla.

- Twoje ulubione egipskie - powiedział, biorąc jednego i rzucając jej paczkę.

- Kiedy zostałam bolszewikiem, nie wyobrażałam sobie, że skończę tutaj - powiedziała mu.

- Kiedy wybierasz życie rewolucjonisty, nawet w wieku szesnastu lat, rozpoczynasz grę z życiem i śmiercią i stawiasz dobro sprawy ponad wszystko inne - odparł Kobałow, przypalając papierosa najpierw jej, a potem sobie. - Powiedział mi to sam towarzysz Stalin.

- Ale ja się zmieniłam - odparła Saszeńka, wydmuchując delikatne błękitne kółka dymu.

Kobałow wznosił oczy do nieba.

- To nieodwracalne - powiedział.

- Jak przejażdżka saniami, z których nie można wysiąść...

- Czas brać się do pracy - powiedział Kobałow.

Mogilczuk wziął pióro i wygładził swoją drogocenną kartkę papieru.

- Zaczynaj zeznawać.

Saszeńka odgarnęła włosy z czoła. Na policzku miała szramę, a jedna strona jej twarzy wciąż była opuchnięta, otoczona tęczą w barwie głębokiego błękitu, musztardowej żółci i makowej czerwieni.

Kobałow czuł się jak myśliwy, który osaczył szlachetnego jelenia i nawet gdy mierzy doń z karabinu, nie może go nie podziwiać. Zachwycał się jej opanowaniem i odwagą.

Saszeńka przeciągnęła palcem po wargach i spojrzała mu w oczy.

- Chcę zacząć od dnia, kiedy zostałam aresztowana przez Ochronę przed Instytutem Smolnym w Piotrogradzie zimą 1916 roku. W taki właśnie sposób zostałam zwerbowana przez carską tajną policję, a później przez brytyjski, niemiecki i japoński wywiad i ich najmitę, Trockiego. Mogę zacząć od dnia, w którym to wszystko się zaczęło?

48

Karolina usłyszała, jak drzwi jej numeru hotelowego zamykają się cicho. W pokoju roilo się od insektów: sufit był pokryty warstwą połyskujących czarnych odwłoków, przypominających żywy kawior. Dzieci były nimi zafascynowane. W jednym podwójnym łóżku Karolina spała z Karlem, wtulonym w nią tak mocno, że wyglądali jak jeden posąg. Po dworcu nawet ten pokój wydawał się szczytem luksusu. Ale teraz, kiedy obudziła się z głębokiego snu, wiedziała, że ten szczęk zamka mógł oznaczać tylko jedno.

Zerwała się, podbiegła do okna i przykładając ręce do szyby, spojrzała na ulicę w dole. Wśród furmanek, ciężarówek i samochodów Pobjeda zobaczyła kobiety w kwiecistych sukienkach i czerwonych chustkach na głowie, typowy widok w większości prowincjonalnych radzieckich miast. Potem, po drugiej stronie placu, spostrzegła dzieci idące w stronę dworca. ... Trzymały Mrs Lewis za ręce, dwie maleńkie, odległe figurki. Ale znała każdy manieryzm ich ruchów, drepczący krok Karla, wdzięczne podskoki długonogiej Śnieżynki, tak podobnej do matki. Przez chwilę Karolina chciała wybiec za nimi, dogonić je i jeszcze raz przytulić... Ale już wiedziała, że odeszły na zawsze.

Pociąg ruszy ze stacji, nabierając rozpędu. Niebawem Śnieżynka i Karlo rozstaną się z kolejną ukochaną osobą i odjadą, aby rozpocząć nowe życie. Płakała głośno i długo.

Przeklinała tę uprzejmą nianię, tę Lale, która zabrała dzieci. Może Lala je zatrzyma i zaopiekuje się nimi z taką samą czułą troską jak ona (nikt na świecie nie mógłby tego zrobić!). Będzie im lepiej z nią niż u obcych. Ale Karolina wiedziała, że dzieci nie mogą pozostać u Lali na zawsze; ona też miała niebezpieczne powiązania, a powiązań należy unikać, jak wyjaśnił towarzysz Satinow. Lala zabierze je więc w ja-

kieś inne miejsce. Wspomniała o sierocińcu w Tbilisi, ale to tylko dla formalności, żeby zapewnić dzieciom nową tożsamość i umożliwić legalną adopcję.

Poprzedniego wieczoru dzieci nie chciały iść spać, chociaż były bardzo zmęczone. Płakały za mamusią i tatusiem. Nianie głaskały je, przytulały, częstowały ulubionymi herbatnikami i w końcu dzieci też je przytuliły i zgodziły się położyć.

Wtedy nianie usiadły w łazience i Karolina opowiedziała Lali wszystko o dzieciach: co kochają, czego nie znoszą, jakie lubią jedzenie, zabawy, książki. W końcu szepnęła z bólem:

- Powiedz nowym rodzicom o Poduszce, powiedz im o Króliku. To wszystko, co im zostało z dawnego życia!

Lala zrozumiała.

- Wiem, jakie wrażliwe są dzieci, Karolino. Przez tyle lat opiekowałam się Saszeńką...

- Jaka ona była? - spytała Karolina. - Czy była jak... ? - i spojrzała w stronę sypialni - a potem już nie mogła mówić. Żadnych dalszych szczegółów. Więcej już by nie zniosły.

Angielka i nadwołżańska Niemka uściskały się z płaczem. W końcu, leżąc w łóżkach z dziećmi, też zdołały zasnąć w ciepłym pokoju hotelowym z widokiem na Don, po którym żeglował niegdyś Piotr Wielki.

Pakując bagaże i wsiadając do autobusu, żeby wrócić do swojej wioski, Karolina rozpamiętywała, jak trzy postacie szły w stronę dworca. Dzieci ciągnęły

Lalę w różne strony, śmiejąc się, jak jej się zdawało, ponieważ Karło zadzierał głowę, a Śnieżynka podskakiwała. Uświadomiła sobie, że widziała Śnieżynkę i Karła Palicynów po raz ostatni. Niebawem będą innymi dziećmi z nowymi nazwiskami należącymi do innych rodzin.

- Żegnajcie, moje najmilsze! - powiedziała na głos. - Niech was Bóg błogosławi. Niech moja miłość towarzyszy wam, dokądkolwiek pójdziecie i kimkolwiek się staniecie.

Nie myślała o tym, co czeka ją.

W udręczonej Rosji, gdzie nawet najprzypoziwsi ludzie bywali okrutni lub odwracali oczy, zdarzały się takie kobiety jak Karolina. Niewiele ich było, ale tylko one podtrzymywały płomyk miłości.

Była pełnia lata, pora roku, kiedy Tbilisi stawało się upalnym, rozleniwionym miastem kawiarni na wolnym powietrzu i spacerowych bulwarów. W kawiarni Biblioteka Lala Lewis nalewała właśnie wino jednemu ze stałych gości, kiedy otworzyły się drzwi.

Do środka wszedł staruszek o woskowej cerze, w znoszonym, zakurczonym garniturze koloru sepia, z małą skórzaną walizką. Przyglądał siwy wąs i ruszył drobnymi kroczkami w stronę kontuaru. Tengiz, właściciel, nie był pewien, czy rozpoznaje to widmo ze świata cieni: czyżby zdarzył się cud? Jeden ze „szczęśliwych nieboszczyków” powrócił z martwych?

Angielka przyglądała mu się przez chwilę w milczeniu, z szeroko otwartymi ustami.

Potem wydała radosny dziewczęcy okrzyk, jakby znowu miała szesnaście lat, i niemal przefrunęła nad drewnianą podłogą, by przywitać męża. Rozpoznała Samuela Zeitlina, który w 1937 roku został aresztowany, skazany na śmierć, lecz ułaskawiony z kaprysu towarzysza Stalina i zesłany na Kołymę w północno-wschodniej Syberii. Potem, kilka miesięcy temu, na przekór wszystkim przeciwnościom Losu, Zeitlin, zaprzysięgły wróg klasowy, został ułaskawiony ponownie.

- Dobry Boże! - zawołała Lala po angielsku. - Samuelu! Ty żyjesz! ŻYJESZ!

Rzuciła się w jego objęcia, niemal go przewracając. W najśmielszych snach nie przypuszczała, że może jeszcze żyć. Szybko naląła mu naparstek koniaku, a on wypił i westchnął.

- Dzięki Bogu, żyjesz, najdroższa Lalo - powiedział, padając na kolana, całując jej dłonie i stopy.

- Wstań - powiedziała, podnosząc go, żeby nie robić sceny. - To prawdziwy cud. Odkąd skończył się terror, niewielu wróciło - szczęśliwi nieboszczycy, jak ich nazywają.

- Gdybyś tylko wiedziała, ale nigdy byś nie uwierzyła, co widziałem na Kołymie, co ludzie robią innym ludziom...

Lala posadziła go przy stoliku, przyniosła mu kieliszek koniaku, talerz fasoli i gorące *chaczapuri*. Opowiedział, że przytrafiła mu się bardzo dziwna rzecz. Strażnik z NKWD przyszedł do kantorku, gdzie pracował jako księgowy w jednym z obozów w piekle Kołymy, i wezwał go do gabinetu komendanta, gdzie kazano mu podpisać pokwitowanie na rzeczy osobiste. Otrzymał swój stary garnitur i buty, a później komendant zaprosił go na obiad i poczęstował cielecymi kotletami, prawie takimi samymi, jakie Delfina smażyła codziennie w rezydencji przy ulicy Bolszaja Morskaja. Zapro-

wadzano go do fryzjera (fryzjer był dawnym szlachcicem). Potem, z niewielką zapomogą, został zwolniony i wyruszył w długą, powolną podróż do Tbilisi.

Kiedy trochę odzyskał siły, Lala i Tengiz zaprowadzili go na górę do pokoju. Tengiz przyniósł gorącą wodę. Kiedy wyszedł, Lala rozebrała Zeitlina i umyła go ciepłą gąbką.

Samuel usiadł na krawędzi łóżka, patrząc na nią, zadając pytania oczami. Wiedziała, że chciał się czegoś dowiedzieć o Saszeńce - ale nie mógł się zdobyć, żeby spytać.

Położył się z westchnieniem, zamknął oczy i natychmiast zasnął.

Lala położyła się obok niego i oparła głowę na jego ramieniu. W tym momencie kochała go tak bardzo, że nie żałowała niczego. Wydawało się jej, że wymyśliła sobie swoje narodziny i dzieciństwo w Anglii. Miała wrażenie, jakby całe życie spędziła w Rosji z Zeitlinami. Jej rodzina w Hertfordshire od wielu lat nie otrzymała od niej listu. Prawdopodobnie uważali, że nie żyje. I angielska dziewczyna Audrey Lewis naprawdę nie żyła.

Kochała Samuela od ponad trzydziestu lat i byli razem od ponad dwudziestu: jego rodzina była jej rodziną. Oplakiwała go w stoickim milczeniu typowym dla tych czasów.

Nigdy nie winała Samuela, że zatrzymał ją w Rosji - byli razem szczęśliwi. I to naprawdę błogosławieństwo, że nie została aresztowana, ale wciąż pracowała w kawiarni i mogła czekać na jego powrót. I oto jej Samuel przeżył obóz i powrócił z martwych.

Całowała jego twarz i ręce, wdychała jego męski zapach. Był prawie taki, jakim go zapamiętała.

Otworzył oczy, jakby wciąż nie mógł uwierzyć, że tu jest, uśmiechnął się i znowu zapadł w sen.

Lala głaskała jego skórę, blizny łagrów, i zastanawiała się, jak i kiedy opowiedzieć mu o heroizmie jego córki, o tym, co wydarzyło się na dworcu kolejowym zaledwie kilka tygodni temu, i jak ona i Saszeńka uratowały Śnieżynkę i Karla.

Część trzecia

**Kaukaz, Londyn , Moskwa
1994**

TLR

- Pociąg do Londynu odjeżdża za trzy godziny, dwanaście minut i osiemnaście sekund - zawołała Katinka Wińska, biegnąc do okna w różowej nocnej koszuli i niemal potykając się o pomarszczony żółty dywan. Rozsunęła brązowe, poplamione zasłony. Przez chwilę mignęło jej w lustrze własne roześmiane odbicie, a w tle sypialnia z porzrzuconymi wszędzie ubraniami i spakowaną do połowy torbą podróżną. Był świt w małym domku przy głównej ulicy w Bez-nadziejnej, małej mieścinie na rosyjskim Północnym Kaukazie, nawet przez miejscowych nazywanej zapadłą dziurą.

-Mamoczka! Papoczka! Gdzie jesteście? - zawołała.

Potem zobaczyła doktora i jego żonę, już ubranych, w kuchni połączonej z salonem. Ojciec uspokajał matkę, że wszystko będzie dobrze, że zjawią się na dworcu odpowiednio wcześnie, że miejsce w pociągu jest zarezerwowane (zwrócone we właściwą stronę, ponieważ ich córka chorowała, jeśli siedziała tyłem do kierunku jazdy), że pociąg przyjedzie na czas, by zdążyła złapać autobus na lotnisko Szeremietiewo w Moskwie, skąd odlatywał samolot Aeroflotu do Londynu. Matka uspokajała ojca, że Katinka ma dosyć jedzenia na podróż i ciepłe rzeczy na pobyt w Londynie, gdzie podobno wiecznie pada i ciągle jest mgła. Byli chyba bardziej zdenerwowani od niej.

Katinka wiedziała, że rodzice mają wątpliwości co do jej tajemniczej pracy w Londynie. Byli bardzo dumni, że otrzymała najlepsze oceny z historii na Uniwersytecie Moskiewskim, lecz kiedy profesor, akademik Bielaków, pokazał jej ogłoszenie w „Gazecie Wydziału Nauk Humanistycznych”, ojciec błagał ją, żeby nie jechała. Co to za ludzie mieszkają w Londynie, którzy są tak bogaci, by wynająć historyka? - pytał. Ale Katinka nie mogła się oprzeć. Odtwarzanie historii rodzinnej, odkrywanie zapomnianej przeszłości... Wyobrażała sobie kulturalnego młodego hrabiego Woroncowa lub księcia Golicyyna który mieszka w odrapanym domu w Londynie, pełnym starych samowarów, ikon i portretów rodzinnych, i pragnie ustalić, co stało się z jego rodziną, z pałacami i dziełami sztuki pochodzącymi z osiemnastego wieku, okresu, w którym się specjalizowała. Żałowała, że nie urodziła się w tamtych czasach...

Nigdy dotąd nie była za granicą, chociaż spędziła trzy lata w domu studenckim w odległej Moskwie. Nie, nie mogła stracić takiej okazji: młodzi historycy specjalizujący się w historii osiemnastego wieku nieczęsto mają szansę zarobić parę dolarów i wyjechać do Londynu. , -

Ojciec Katinki, doktor Walentin Winski, palił papierosa i spacerował po pokoju, a jej matka, Tatiana, drobna, cicha kobieta z jasnymi, ufarbowanymi na rudo włosami

krzątała się w kuchni razem ze swoją teściową Babuszką - czyli w skrócie Babą. W kłębach pary Baba, niska, barczysta chłopka w kwiecistej sukience, szkarłatnej chustce i starych pończochach ściągniętych gumką, poruszała się wolno jak dinozaur we mgle.

Z kipiącego garnka z rosółem dobywała się tak gęsta para, że obu kobiet prawie nie było widać. Aromatyczny zapach wypełniał cały dom. Jak w milionach radzieckich domów dywany, zasłony i ubrania były pożółkłe od pary, poplamione i tłuste.

- Tu jesteś! - zawołała Katinka, wpadając do pokoju. - Dawno wstałeś?

- Nie zmrużyłem oka! - odparł jej ojciec. Był wysoki, smagły i miał brązowe oczy. Choć jego siwe włosy przerzedziły się i ciągle był zmęczony, Katinka uważała, że wygląda jak jeden z przystojnych czterdziestoletnich gwiazdorów filmowych. - Wszystko spakowane?

- Nie tak szybko, *papoczka!*

- Musisz się pospieszyć...

- Och, *papoczka!* - Ojciec i córka uściskali się ze łzami w oczach. Wszyscy w rodzinie byli skłonni do płaczu, a zwłaszcza Katinka, najmłodsza z trojga dzieci i najbardziej rozpieszczana. Jej ojciec był człowiekiem powściągliwym. Nie śmiał się często i bardzo niewiele mówił, ale cieszył się powszechnym szacunkiem w sąsiedztwie, gdzie odbierał większość porodów. „Nie wiem, jak to się stało, że wychowałem takie zarozumiałe, gadatliwe dziecko jak ty, Katinko -powiedziała jej kiedyś. - Ale jesteś światłem mojego życia. W przeciwieństwie do mnie, możesz wszystko!". Miała rację - wiedziała, że jest obdarzona pewnością siebie dziecka otaczanego miłością w najszczęśliwszej z rodzin.

- Jedzenie będzie gotowe, nie martw się, dziewczyno - powiedziała Baba, jej dźwięki były niemal pozbawione zębów. - Idź i obudź Pluskwę, bo przegapi twój wyjazd!

„Kłop”, czyli Pluskwa, to był Siergiej Winski, dziadek Katinki.

Katinka pobiegła korytarzem do łazienki, mijając swoją małą sypialnię z łóżkiem, lampką i nocnym stolikiem (standardowym zestawem radzieckim) i pozaginanym, poplamionym plakatem Michaela Jacksona.

Usłyszała, że w łazience leje się woda, i zawołała dziadka. Drzwi łazienki otworzyły się, i poczuła ciężki zaduch produktów przemiany materii Pluskwy i starych, wilgotnych ręczników, typowy zapach prowincjonalnego domu. Pluskwa, ogorzały, niski wieśniak w siatkowej podkoszulce i szarych kalesonach, wyszedł z łazienki, tak zacienionej wiszącym praniem, że przypominała cygański namiot. Opierając ręce na biodrach i zaciskając wargi, głośno i przeciągle pryknął.

- Słyszałaś to? Dzień dobry i wszystkiego najlepszego, dziewczyno! - powiedział i zaśmiał się ochryple. Tak samo było każdego ranka w domu. Katinka przyzwyczyła się do tego - ale odkąd wróciła z uniwersytetu, traktowała domowe zwyczaje z większym dystansem.

- Obrzydliwość! Gorzej niż w zagrodzie! - powiedziała wesoło. - A przynajmniej w zagrodzie zwierzęta nie są tak źle wychowane. Chodź, Pluskwo, pospiesz się! Śniadanie gotowe. Niedługo wyjeżdżam!

- I co? Czemu miałbym się spieszyć? Mam swoje rytuały! - Wskazał na radziecki sedes, tak zaprojektowany, by przechowywał swoją cuchnącą zawartość możliwie jak najdłużej, i uśmiechnął się.

- Tak, Pluskwo, i nikt nie lubi swoich rytuałów tak jak ty. Ale pójdziesz mnie odprowadzić?

- Po co? Szczęśliwej drogi! - Znowu zarechotał. - Poczekaj, Katinko! Słyszałem w radiu o nowym morderstwie! W Kijowie jest seryjny zabójca, który zjada swoje ofiary, mózgi, wątroby i wszystko, możesz w to uwierzyć?

Katinka wróciła do pokoju, potrząsając głową. Pluskwa, stary kołchoźnik, żył we własnym świecie. Teraz, kiedy dawny porządek przeminał, a Związek Radziecki przestał istnieć, opłakiwał partię komunistyczną i pomstował wraz z kolegami w klubie Vegas-Kalifornia na nową rosyjską oligarchię - „podłych Żydów, czarnych i biurokratów”. Nic nie może się równać z zapiekłym rozgoryczeniem starych ludzi w małych miasteczkach, pomyślała Katinka.

Dla Pluskwy jednak niedawny rozpad robotniczego rajy miał jedną zaletę. W tych dziwnych, niespokojnych czasach w Rosji zapanował urodzaj na seryjnych zabójców, trwał istny bankiet kanibali. Poza swoimi wypróżnieniami Pluskwa znalazł sobie na starość nowe hobby - żył morderstwami.

Katinka westchnęła i wróciła do kuchni, by zjeść swoje ostatnie śniadanie przed wyjazdem do Londynu.

2

Kiedy dziadkowie i rodzice wyszli z domu, by odprowadzić ją na dworzec, byli ubrani jak na święto rewolucji.

Rzeński, słoneczny dzień w miasteczku z mieszaną rosyjską i kaukaską ludnością świetnie się nadawał na nowy początek. Chropowata skorupa brudnego lodu wciąż pokrywała pola, pastwiska i rowy po obu stronach jedynej asfaltowej szosy, ulicy Suworowa (jeszcze do niedawna ulicy Lenina) z jej posępnymi, przysadzistymi domkami, które ożywiały jedynie niebieskie i czerwone okiennice. Nie ma bardziej ekscytującej pory roku w Rosji, ponieważ pod zbrukaną bielą Katinka słyszała już szum wody. Lód topniał i ukryte dla oka spienione strumienie wrzały, łączyły się i rozdzielały, a przebiśniegi wystrzelały spod brudnego śniegu. Drzewa nabrzmiwały sokami, a skowronki i zięby wywodziły radosne trele, świętując nadejście wiosny.

Katinka miała na sobie królicze futro, botki ze skaju, dzinsową minispódniczkę (turecką) i purpurowy sweterek, z którego była bardzo dumna, ozdobiony nosorożcami w romboidalnych wzorach. Ojciec, w pilśniowym płaszczu, który przykrywał lekarski fartuch, zaniósł do białej wołgi jej torbę podróżną. Samochód był stary i zarzewiały, ale jego szeroka, solidna karoseria przypominała o dawnej świetności ZSRR. W miasteczku samochód doktora oznaczał zmianę: kiedy parkował przed czyimś domem, rodzina, którą odwiedzał, oczekiwała albo bociana - albo kostuchy. Pluskwa, w wytłuszczonym brązowym garniturze i czerwonej koszuli zapiętej pod szyję bez krawata, z medalami za wojenne zasługi (Stalingrad, Kursk i Berlin), dołączył do Baby i Tatiany w samochodzie. Katinka, maskotka rodziny, miejscowa bohaterka, usiadła z przodu.

Mieszkańcy wyszli, żeby jej pomachać, kiedy jechali dawną ulicą Lenina, mijając betonowe bloki z pomarańczowymi i czarnymi płytami w stylu lat siedemdziesiątych. Katinka machała do ubranych w białe fartuchy kobiet o brzo-skwiniowych policzkach ze sklepu mięsnego i nabiałowego, do maszynistek w garsonkach i z trwałą ondulacją z biura burmistrza, do samego burmistrza, który z zaczesanymi do tyłu włosami i w białym garniturze wyglądał jak latynoamerykański śpiewak. Beso i Ingusze ze sklepu warzywnego wrzucili przez okno samochodu torbę gruzińskich pomidorów, a Kozak Stenka, wytatuowany wykidajło z nocnego klubu Vegas-Kalifornia, w skórzanej kurtce i wytartych dżinsach, ofiarował puszkę meksykańskiego piwa i małą buteleczkę greckich perfum *Dlaczego nie?* Gajdar, ojciec śniadych Azerów w baranicach, którzy prowadzili kiosk, wrzucił do samochodu baton Twix - i Katinka dała go ojcu, który często w ciągu dnia uskarżał się na niedobór cukru i pochłaniał czekoladowe batoniki... Ale gdzie był Andriej?

Jest, z tym swoim łagodnym, oddanym uśmiechem, z ujmującym spojrzeniem, które zdawało się przeznaczone specjalnie dla odjeżdżających pociągów

I długich pożegnań. Ubrany w niebieski drelich, czekał na nią na schodach małego dworca. Podobnie jak jej ojciec, Andriej nie chciał, żeby jechała do

Londynu, i poprzedniego wieczoru błagał ją, żeby zaczekała do późnej wiosny, kiedy mogliby pojechać na wakacje na Krym. Jego pocałunki i argumenty prawie ją przekonały - ale w końcu przerwała to żartobliwym: „Nie tak szybko, Andriuszka. Zobaczymy”. Nadał się, a ona go pocieszała, myśląc o tym, że podobają się jej jego zielone oczy - ale czy to się liczyło w porównaniu z Londynem, Moskwą, doktoratem, który zaczęła pisać, z jej powołaniem historyka? Chciała zostać pisarką, badaczką je-
katierinowskiej Rosji; wyobrażała sobie, że będzie mieszkać w Moskwie, publikować poważne książki, a pewnego dnia, kto wie, może zostanie członkiem Akademii...

Andriej chciał zanieść jej bagaż do pociągu, ojciec też. W końcu, po lekkiej przepychance, poszli na kompromis i każdy chwycił za jedno ucho torby podróźnej. Wszyscy wsiedli do wagonu i posadzili ją w przedziale. Doktor Winski uściskał Katinkę i pocałował ją w czoło, w oczach miał łzy. Andriej szepnął: „Kocham cię”.

Katinka stanęła w otwartym oknie, przesyłając pocałunki rodzinie i chłopakowi. Potem lokomotywa zadrżała, szarpnęła i z przesywającym gwizdem potoczyła się na północ, do samego serca Rosji.

* * *

Puste pociągi odjeżdżające z prowincjonalnych stacyjek mogą wydawać się smutne nawet w najszcześniejszych momentach - a rozstania z pewnością do nich nie należą. Przez chwilę rodzina nic nie mówiła, Tatiana otarła oczy chusteczką. Martwiła się o Katinkę: jakie poszukiwania będzie prowadzić? Czy sobie poradzi? Dlaczego musiała wyjechać? Objęła ramionami Andrieja.

Baba, żywy przykład współistnienia komunistycznych dogmatów i chłopskich przesądów, przeżegnała się. Pluskwa opuścił Beznadziejną tylko raz - w czerwcu 1941 roku, żeby wstąpić do Armii Czerwonej - i wrócił tylko raz - w maju 1945 roku - ale odjechał na lokomotywie z warkoczem białej pary, która zawiozła go z Moskwy aż do Berlina... To były najlepsze i najstraszniejsze lata jego życia, jak powiedział żonie: tracił przyjaciół, zyskiwał przyjaciół, „Za Stalina i Ojczyznę!”. Stalin: to był człowiek!

Doktor Winski pozostał sam na peronie, kiedy inni już odeszli. Była dopiero dziesiąta, ale w jego gabinecie w przychodni lekarskiej przy ulicy Su-worowa, pomiędzy biurem miejscowego sekretarza partii a spółdzielnią mleczarską, z pewnością tłoczyli się już emeryci z wiosennymi przeziębieniami i topniejącymi oszczędnościami.

Zapalił papierosa i popatrzył w ślad za pociągiem. Był bardzo dumny z odwagi Katinki: czy on zrobiłby to samo? Wychowywał się z rodzicami, Pluskwą i Babą, tutaj w Beznadziejnej - i w wieku osiemnastu lat też wsiał do pociągu, aby studiować me-

dycynę w dalekim Leningradzie. Baba kupiła mu nową marynarkę, nowe buty i czerwoną płócienną walizkę: byli biedni, ale rozpierała ich duma, że syn został przyjęty do leningradzkiej Akademii Medycznej. Był pierwszym Winskim, i z pewnością pierwszym mieszkańcem wioski, który wstąpił na uniwersytet.

Zadał sobie (nie po raz pierwszy) pytanie, dlaczego wrócił do tej zapadłej dziury na pograniczu imperium jako młody lekarz. Mógł dalej studiować; marzył o tym, żeby zostać ginekologiem, konsultantem, profesorem w Moskwie. Ale wrócił do domu - małego domku z niebieskimi okiennicami, gdzie się urodził i nadal mieszkał - aby być ze swoimi starzejącymi się rodzicami i pracować w miejscowej przychodni. Może nie powiodłoby mu się w Leningradzie albo może był tchórzem. Ale tu był jego dom i tęsknił za nim.

Doktor Winski nienawidził rozstań: nienawidził, kiedy ktoś odjeżdżał, a teraz odjechała jego jedyna córka,. Miał już prawie sześćdziesiąt lat, słabe serce i wiedział, że nigdy stąd nie wyjedzie.

Wyrzucił papierosa na tory. Cóż to za „poszukiwania rodzinne” ma prowadzić Katinka? - zadał sobie znowu pytanie. W Rosji zawsze lepiej było pozostawiać przeszłość w spokoju, bo mogła zatruć teraźniejszość. Bez zapewnienia akademika Bielakowa, że Katinka będzie bezpieczna, nigdy nie pozwoliłby jej pojechać do Londynu.

Katinka jest kolorowym rajskim ptakiem zamkniętym w brudnej klatce: musi pozwolić jej odlecieć. W odróżnieniu od swego starego ojca, doktor Winski nie był komunistą, ale w tych czasach zamętu - w których królował chaos, korupcja i demokracja - pragnął stabilizacji.

Może dlatego czuł się niepewnie z powodu podróży Katinki. Wyjeżdżała w świat, gdzie nie mógł jej już strzec.



Podróż - jazda pociągiem do Moskwy, lot z lotniska Szeremietiewo - była tak ekscytująca, że Katinka uwieczniła każdą chwilę w dzienniku, który specjalnie na tę okazję kupiła. Opisała ludzi napotkanych w pociągu, odprawę na lotnisku, pasażerów, którzy siedzieli obok niej w samolocie (nigdy dotąd nie leciała), londyńskie stacje metra, ponure, ciemne i obskurne w porównaniu z moskiewskimi stacjami kolei podziemnej, które przypominały katedry z marmurowymi sklepieniami, a później marsz z nieporęczną torbą ze stacji Sloane Square. I w końcu dotarła na miejsce, rozglądając

się z pełnym podziwu zdumieniem po luksusowym hotelu, który zarezerwowano dla niej w Cadogan Gardens, w Chelsea.

Recepcjonista, zasuszony pedant ze starannie ułożoną fryzurą, nie wydawał się nadmiernie uszczęśliwiony na jej widok. Kiedy uświadomił sobie, że jest Rosjanką, stał się podejrzliwy i przestudiował jej paszport, jakby spodziewał się znaleźć ślady broni biologicznej KGB. Gdy sprawdził jej rezerwację i przekonał się, że za pobyt zapłacono z góry gotówką, uznał, że nie jest agentką KGB, ale kochanką gangstera.

- Co pani robi w Londynie? Zwiedza czy... - spytał, nie podnosząc głowy znad kontuaru.

- Jestem historykiem - odparła z wahaniem po angielsku, starając się nie roześmiać z jego zmieszania. Wydawało się jej, że potrząsnął lekko głową, jakby nie mógł się zdecydować, kim naprawdę jest: prostytutką, szpiegiem czy... czy historykiem.

W pokoju znowu zaniemówiła ze zdumienia na widok podwójnego łóżka z baldachimem, marmurowej łazienki z dwiema, tak, dwiema umywalkami, dwoma puszystymi szlafrokami i całą baterią szamponów, mydeł i płynów do kąpieli (które natychmiast schowała do torby, żeby je zabrać do domu), i telewizji kablowej. Nie przypominało to w niczym jej domu na Północnym Kaukazie ani pokoju w moskiewskim akademiku, gdzie mieszkała przez trzy lata.

Na biurku leżały ozdobne koperty i papier listowy (one też trafiły prosto do torby!). Były również puchowe poduszki, narzuty na łóżko, zasłony, lambrekiny jak w pałacu, a na dole znajdował się salon ze starym tykającym zegarem, miękkimi kanapami i stosami błyszczących czasopism takich jak „Vogue”. Leżały także „Illustrated London News”. Och, to wszystko było takie angielskie! Co za szczęście, pomyślała, że w szkole przykładała się do angielskiego i dużo zapamiętała. Kiedy się już rozejrzała, recepcjonista wręczył jej list w zaadresowanej maszynowym piśmie kopercie:

Samochód będzie czekał jutro o 9.00 rano.

Kierowca nazywa się Artiom.

Była pod takim wrażeniem, że zapisała to w dzienniku dla potomności. Zanim wybrała się na spacer po Sloane Square i King's Road, zatelefonowała z pokoju do rodziców, żeby im powiedzieć, że dotarła szczęśliwie. Odebrał ojciec, który przez telefon był jeszcze bardziej małomówny niż zwykle.

- Katinko, nie ufaj nikomu - ostrzegł ją po długiej chwili milczenia.

- Oni się nas tu boją, tato. W hotelu myślą, że jestem gangsterem albo szpiegiem!

- Obiecuj mi, że będziesz na siebie uważać, kochanie - poprosił.

- Och, tato. Dobrze, obiecuję: będą uważała. Całuję cię, tato. Pozdrów mamę, Babę i Pluskwę!

Roześmiała się do siebie - jakże on mógł zrozumieć? Kochała ojca, ale wyobrażała go sobie przy telefonie obok półki na książki, palącego papierosa późną nocą w odległym domku w ich „zapadłej dziurze” - podczas gdy ona była w Londynie. Ale kiedy weszła do zachwycająco miękkiego łóżka z niewiarygodnym bogactwem poduszek, zamknęła oczy i zaczęła się zastanawiać, co ona tu robi. Ostry kolec niepokoju wbił się głęboko w jej rozdygotane serce.

4

Następnego ranka, po angielskim śniadaniu złożonym z tostów, marmolady, smażonego bekonu i pomidorów (zamówiła prawie wszystko z karty), Katinka zobaczyła w holu Rosjanina z ogoloną głową i o wojskowej postawie, który patrzył na nią ze źle skrywaną pogardą. A więc to jest Artiom, pomyślała, kiedy poprowadził ją do wielkiego czarnego mercedesa, który pachniał cudownie nową skórą.

Artiom usiadł sztywno na siedzeniu przed nią, a ona usłyszała szcęk blokady zabezpieczającej drzwi. Kiedy skręcił ostro, włączając się do ruchu, Katinka popatrzyła na jego szerokie ramiona i muskularny kark i opanowały ją złe przeczucia. Czuła się mała i bezradna i zastanawiała się, czyjej ojciec, z którego przesadnej ostrożności jeszcze niedawno kpiała, nie miał mimo wszystko racji.

A jeśli cała podróż była podłym podstępem zaaranżowanym przez jakiegoś rosyjskiego kryminalistę? Może zostanie sprzedana do domu publicznego? Ale czy któryś z szefów rosyjskiej mafii zadawałby sobie trud, by prosić akademika Bielakowa, autora klasycznej pracy *Prawodawstwo i budowa państwowości pod rządami Katarzyny II: komisja legislacyjna*, żeby zamieścił dla niego ogłoszenie w „Gazecie Wydziału Nauk Humanistycznych”? Bielakowa poproszono o wybranie najlepszego absolwenta historii. I po co gangsterowi historyk, skoro w prowincjonalnych miasteczkach i na moskiewskich ulicach roi się od dziewcząt w minispódniczkach, które aż się palą, aby sprzedano je do domu publicznego w Londynie lub Nowym Jorku?

- Dokąd jedziemy? - spytała lękliwie Artiona.
- Do domu - mruknął, jakby odpowiedź wymagała znacznego wysiłku.
- Z kim mam się spotkać?
- Z szefem. - Te dwa słowa zmęczyły go jeszcze bardziej.

- Z panem Getmanem? - spytała. Artiom nie odpowiedział.

- Czy on jest bardzo bogaty, Artiome?

Artiom prychnął z wyższością i na lśniące tablicy rozdzielczej włączył klimatyzację, jakby pilotował ponaddzwiękowy myśliwiec MiG.

- Jak to się stało, że pracujesz u pana Getmana?

- Służyłem w specnazie w Afganistanie - odparł.

Katinka pomyślała, że każdy zbior i wykidajło w nocnym klubie w Rosji chełpi się tym, iż walczył w siłach specjalnych w Afganistanie. Gdyby wszyscy oni mówili prawdę, Rosja wygrałaby wojnę.

- Czy pan Getman jest jednym z oligarchów?

Nastąpiła kolejna długa, szydercza pauza, kiedy mercedes skręcił z ronda przy Regent's Park w niewielki podjazd. Wysoka brama zadrżała, a potem otworzyła się powoli. Katinka usłyszała chrzęst opon mercedesa na grubym żwirze i zaniemówiła, urzeczona pięknem i rozmiarami domu, wspaniałej rezydencji z czasów królowej Anny, ukrytej w zieleni Regent's Park w samym środku Londynu, jednym z tych sekretnych miejsc, które należały, jak się później dowiedziała, do kilku legendarnych milionerów z przeszłości.

Artiom okrążył samochód i otworzył tylne drzwi.

- Tędy, panienko - powiedział, nie patrząc na nią. Odwrócił się i wbiegł po schodach.

Zdenerwowana Katinka weszła za nim do holu z czarno-białą podłogą, gdzie patrzyły na nią portrety rumianych angielskich hrabiów w obszernych pantalonach i aksamitnych surdutach. Jej wzrok przyciągnął kawalerzysta w czerwonej kurtce, z wyciągniętą szablą, szarżujący zuchwale z płótna w szerokiej złoczonej ramie, wiszącego przy krętych schodach ze lśniącą dębową poręczą. Ale gdzie się podział Artiom? Katinka rozejrzała się gorączkowo, lecz dom sprawiał wrażenie cichego i opuszczonego. Nagle drzwi ukryte w chińskiej tapecie obróciły się lekko na zawiasach. Pchnęła je i zobaczyła szerokie plecy Artioma. Odetchnęła z ulgą i pobiegła za nim mrocznym korytarzem obwieszonym angielskimi rycinami w ramach. Otworzył czarne drzwi. Jasne światło słoneczne wpadające przez rząd okien oślepiło ją na chwilę.

Znajdowała się w największej kuchni, jaką kiedykolwiek widziała. Wszystkie powierzchnie pokrywał czarny marmur. Chromowana lodówka wznosiła się aż do sufitu. Sprzęty - kuchenka, pralka, zmywarka do naczyń - wydawały się ogromne jak samochody z tablicami rozdzielczymi, które pasowały raczej do sputnika niż do kuchni.

Czy tu właśnie miała się znaleźć? Może powinna poczekać w holu? Katinka już miała się odwrócić i wycofać, kiedy od sosnowego stołu wstała szczupła, siwowłosa

kobieta z szerokim, ujmującym uśmiechem. Katinka zatrzymała się. Artiom przeszedł obok niej do krzesła z wysokim, szkarłatnym oparciem

- niemal tronu papieskiego, pomyślała - na którym siedział ogromny mężczyzna o ciemnych, kręconych włosach, w wymiętym ubraniu, wpatrzony w ścianę ekranów telewizyjnych ukazujących różne pokoje i podejścia do domu.

- Szefie - powiedział Artiom, zatrzymując się przed papieskim tronem.

- Jest dziewczyna. Dokąd ją zaprowadzić?

To wszystko było straszliwą pomyłką, uznała Katinka. Chciała wracać do domu i niepokoiła się, jak dotrze na lotnisko. Ale niechlujny mężczyzna, który miał na sobie płócienną, kraciastą marynarkę, poderwał się na nogi i powitał ją wylewnie.

- Z pewnością jesteś Jekatierina Wińska? Witam, proszę wejść! Nie mogliśmy się już doczekać twojego przyjazdu! - Mówił po rosyjsku z twardym żydowskim, odeskim akcentem, który słyszała tylko w starych filmach.

- Dziękuję, że zechciałaś do nas przyjechać.

Do nas? To znaczy do kogo? Mężczyzna spojrzał na kierowcę.

- To wszystko, Artiomie, zobaczymy się o jedenastej.

Artiom wyglądał na rozczerowanego. Wyszedł ciężkim krokiem z kuchni, zamykając za sobą drzwi, lecz jego odejście poprawiło Katinie nastrój.

- A teraz - powiedział mężczyzna - proszę wejść i usiąść. Jestem Pasza Getman.

A więc tak wygląda prawdziwy oligarcha, pomyślała Katinka, miliarder, który kroczył korytarzami samego Kremla - ale on już przysuwał jej krzesło.

- Chodź, mamó - zawołał do szczupłej kobiety. - Przynies pierniczki. Są już gotowe? - Potem zwrócił się do Katinki. - Jaką herbatę lubisz? Jakie mleko? Zaczynajmy!

Najwyraźniej Pasza nie mógł usiedzieć ani nawet ustać spokojnie. Tryskał energią. Ale zanim zdążył powiedzieć coś więcej, zadzwonił telefon, który wydawał się niepodłączony do żadnych przewodów, a on odebrał po rosyjsku i przeszedł następnie na angielski. Rozmowa dotyczyła chyba cen ropy naftowej.

W pewnym momencie, zakrywając mikrofon wielką, miękką dłonią, powiedział: „Katinko, poznaj moją matkę, Rozę Getman”, po czym znów zaczął wydawać polecenia przez telefon.

A zatem ci ludzie są moimi nowymi pracodawcami, pomyślała Katinka. Przyjrzała się uważnie kobiecie, która weszła ze srebrną tacą. Nad imbryczkiem z chińskiej porcelany unosiła się para, na talerzykach leżały pierniczki i strucla jabłkowa, filiżanki stały wdzięcznie na spodeczkach. Stawiając przed sobą tacę, Roza Getman zaczęła nalewać herbatę.

- Pasza wiecznie się spieszy - powiedziała Katinie, uśmiechając się do syna.

- Nie ma czasu do stracenia. Życie jest krótkie, a moi wrogowie chętnie skróciliby je jeszcze bardziej. Jeśli to rozumiesz, rozumiesz wszystko - wyjaśnił Pasza, który najwyraźniej potrafił prowadzić kilka rozmów jednocześnie. Katinka nie wiedziała, co myśleć o tych odeskich Żydach, którzy wydawali się tacy wyniośli, tacy wyrafinowani, tacy nierosyjscy (wiedziała z utyskiwań dziadka, iż większość oligarchów to Żydzi), że czuła się przy nich jak prowin-cjuszka. Roza podała jej talerzyk.

- Spróbuj moich pierniczków. Jesteś taka wątpia, musimy cię podkarmić. Powiedz mi, moja droga, jak minął lot i jak ci się podoba hotel?

- O mój Boże, jest piękny - odparła Katinka. - Nigdy dotąd nie leciałam samolotem, a hotel to istny pałac. Śniadanie było wspaniałe, i te puszyste ręczniki... - Urwała i zaczerwieniła się, znów czując się niezręcznie, lecz Roza pochyliła się i dotknęła jej ręki.

- Tak się cieszę - powiedziała z tym samym odeskim akcentem, co Pasza. Była ubrana ze skromną elegancją, pomyślała Katinka, podziwiając jedwabną chustkę na jej szyi. Włosy jej posiwiały, ale kiedyś musiały być jasne i kręcone jak u gwiazdy filmowej z lat pięćdziesiątych. Miała na sobie kremową jedwabną bluzkę, plisowaną tweedową spódnicę i nie nosiła żadnej biżuterii poza obrączką ślubną i broszką w kształcie motyla na kaszmirowej kamizelce. Ale największe wrażenie wywarła na Katinie jej niegdyś piękna - nie, wciąż piękna - twarz, blada cera i ciepłe oczy, w najbardziej niezwykłym odcieniu błękitu, jaki kiedykolwiek widziała.

Pasza skończył rozmowę, ale niemal natychmiast zadzwonił wielki telefon na stole. Nacisnął guzik na połyskującej tablicy i zaczął mówić po rosyjsku o aukcji dzieł sztuki - „Mamo, zacznaj, nie czekaj na mnie” - powiedział, znowu zakrywając mikrofon. Katinka mogła więc skoncentrować całą uwagę na tej nieznanym, lecz intrygującej starszej kobiecie, która, jak sobie nagle uświadomiła, zdawała się mieć wszystko z wyjątkiem szczęścia. Co ja tu robię?

- zadała sobie znowu pytanie, częstując się pierniczkiem tak słodkim, że aż przeszedł ją dreszcz.

- Cieszę się, że przyjechałaś - powiedziała Roza. - Potrzebowaliśmy historyka, zwróciłam się więc do akademika Bielakowa.

- Specjalizuje się pan w osiemnastym wieku? - spytała skwapliwie Katinka, wyciągając z plecaka notes.

- Oczywiście, że nie! - przerwał Pasza, odkładając z trzaskiem słuchawkę.

- Zacząłem od sprzedawania biletów na koncerty w Odessie i tak to poszło, najpierw metale, potem samochody, teraz ropa i nikiel, więc nie, nie wiem nic o osiemnastym wieku i mama też nie.

Katinka poczuła się zdruzgotana.

- Pasza, nie bądź taki napuszony - powiedziała Roza. - Potrzebujemy najlepszego historyka, a profesor polecił ciebie. Prowadziłaś poszukiwania, prawda? W archiwach?

- Tak, w Archiwum Państwowym na temat komisji legislacyjnej Katarzyny II, a ostatnio w związku z moim doktoratem, o wpływie *pńkazu* Katarzyny II z 1775 roku na...

- To świetnie - powiedziała Roza - ponieważ chcemy, żebyś przeprowadziła poszukiwania genealogiczne.

- Chcemy poznać historię naszej rodziny - dodał Pasza, wstając niecierpliwie.

- W osiemnastym wieku? Korzenie waszej rodziny?

- Nie, moja droga - powiedziała Roza - tylko w dwudziestym wieku. Dobrze zapłacimy. Czy tysiąc dolarów miesięcznie plus wydatki to wystarczające wynagrodzenie?

Katinka usiadła prosto.

- Nie, nie - powiedziała. - To nie jest konieczne. - Wzmianka o pieniądzech zaniepokoiła ją, to było o wiele za dużo i oznaczało, że coś jest nie w porządku. Co by powiedział ojciec? A Pluskwa uważał tych wszystkich oligarchów za antychrystów. - Chyba nie mogę się podjąć tej pracy. Znam się tylko na osiemnastym wieku.

Pasza spojrzał na matkę, podnosząc filiżankę.

- Czy to znaczy, że nie chcesz tej pracy?

- Pasza - powiedziała Roza - bądź dla niej miły. Ma prawo zadawać pytania. - Zwróciła się do Katinki. - To twoja pierwsza praca, prawda?

Pierwsza praca, pierwsza podróż zagraniczna, pierwszy oligarcha, pierwszy pałac, pierwsze wszystko, pomyślała Katinka, kiwając głową.

- Posłuchaj - powiedział Pasza - pracowałaś w jednym archiwum, to dlaczego nie w innym? Co za różnica? Archiwa Katarzyny, archiwa Stalina.

Katinka zeszywniała. Okres stalinowski! Kolejny dzwonek alarmowy! Nie należało się zajmować tym okresem. „Nigdy nie pytaj ludzi, co robili ich dziadkowie - powiedział jej kiedyś ojciec. - Dlaczego? Bo jeden dziadek denuncjował drugiego!“. Przebyła całą tę drogę, a teraz musiała uciec - ale jak? Wzięła głęboki oddech.

- Nie mogę. Nie znam się na tym okresie i nie chcę zajmować się sprawami, które dotyczą partii i organów bezpieczeństwa - powiedziała, policzki jej płonęły. - Nie znam dobrze Moskwy i nie mogę przyjąć tej zbyt wysokiej pensji. Trafiliście na niewłaściwą osobę. Czuję się winna, ponieważ zaprosiliście mnie tutaj, a ja nigdy nie zapomnę tego hotelu i obiecuję zwrócić wszystkie koszty...

- No pięknie! - Pasza odstawił gwałtownie filiżankę, rozlewając herbatę na stole i mrucząc coś o „prześiąkniętych sowieckim duchem dziewczynach z prowincji”.

Katinka, wstrząśnięta jego wybuchem, już miała wstać i pożegnać się, kiedy dwa telefony stacjonarne i jeden komórkowy zaczęły dzwonić jednocześnie w skrzeczącej kakofonii.

- Pasza, odbierz w swoim gabinecie - powiedziała Roza ostro - albo wyrzucę te wszystkie telefony przez okno.

Kiedy wyszedł, ujęła dłonie Katinki.

- Bardzo przepraszam. Teraz możemy porozmawiać spokojnie. - Urwała i popatrzyła badawczo na Katinkę. - Proszę, zrozum, tu nie chodzi o próżność ani o ciekawość. Nie chodzi o pieniądze Paszy. Chodzi o mnie.

- Ale pan Getman ma rację - powiedziała Katinka. - Ja się do tego nie nadaję. Nie wiem nic o dwudziestym wieku.

- Posłuchaj mnie przez chwilę, a jeśli nadal nie będziesz chciała nam pomóc, zrozumieć. Tak czy inaczej, chcę, żebyś przyjemnie spędziła czas i poznała Londyn, zanim wrócisz do domu. Ale jeśli możesz nam pomóc... - Cień zasnuł na chwilę jej błękitne oczy. - Katinko, dorastałam z lodowatą pustką w sercu, przez całe życie nie byłam w stanie o tym mówić i nie pozwalałam sobie nawet o tym myśleć. Ale wiem, że nie jestem sama. W całej Rosji są ludzie tacy jak ja, mężczyźni i kobiety w moim wieku, którzy nie wiedzą, kim byli ich rodzice. Wyglądamy jak wszyscy inni, ženimy się i wychodzimy za mąż, mamy dzieci, starzejemy się, ale ja nigdy nie potrafiłam być bez troska. Przez cały czas nosiłam w sobie, i nadal noszę, poczucie straty. Może dlatego właśnie wychowałam Paszę na pewnego siebie ekstrawertyka, ponieważ nie chciałam, żeby szedł przez życie tak jak ja. - Zmarszczyła brwi i roześmiała się cicho do siebie. - Nigdy nie rozmawiałam o tym z moim zmarłym mężem ani nawet z Paszą, ale ostatnio Pasza chciał mi kupić prezent. Powiedziałam mu, że chcę odnaleźć swoją rodzinę, a on powiedział: „Mamo, nie ma już komunistów, nie ma KGB, a ja zapłacę każdą sumę, żeby ci pomóc”. I właśnie dlatego tu jesteś.

- Jest pani... sierotą? - spytała. Katinka. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jakie to uczucie.

- Nawet tego nie wiem - odparła Roza. - Gdzie są moi rodzice? Kim byli? Nie wiem, kim jestem. Nigdy nie wiedziałam. Potraktuj to zadanie jak chcesz - jak wyzwanie, badania naukowe, wakacyjną pracę albo po prostu dobry uczynek. Ale to moja ostatnia szansa. Proszę, pomóż mi się dowiedzieć, co się stało z moją rodziną.

Była wiosna w schizofrenicznej Moskwie, mieście pogrążonym w najbardziej szaleńczym kryzysie tożsamości w swojej historii. Ponure i zalane światłem neonów, stało się azjatycką zamerykanizowaną metropolią bmw i ład, komunistów i oligarchów, aparaczyków i dziwek.

Kandelabry brudnego lodu wciąż zwisały z ozdobnych różowych okapów budynku przy ulicy Granowskiego, kiedy Katinka szukała dzwonka do mieszkania numer 4 w pierwszej klatce schodowej. Na tej małej, zacisznej uliczce lodowe soptele zwisały zdradziecko nad chodnikiem, toteż dozorczy musieli ustawiać barierki, żeby chronić przechodniów. Tymczasem wiśnie były obsypane kwiatami, a przed domem stały zaparkowane mercedesy i range rovery.

Katinka szła powoli wzdłuż ściany, czytając pomarańczowe tabliczki upamiętniające słynnych komunistów, którzy tu niegdyś mieszkali: marszałków i komisarzy, współpracowników Stalina, nazwiska z zaginionego mrocznego czasu. Znowu zapra gnęła uciec. Nie mogła tego zrobić; nie powinna tego robić - a jednak tu przyszła.

Przez trzy dni Katinka i Roza piły herbatę, spacerowały po różnych ogrodach Regent's Park i rozmawiały o dzieciństwie Rozy, o jej przybranych rodzicach i o mglistych wspomnieniach z poprzedniego życia. I w końcu Katinka się zgodziła. Wbrew swoim przeczuciom i radom ojca przyjechała do Moskwy - dla Rozy.

Podeszła do drewnianych drzwi ze szklanymi szybkami i mocno nacisnęła przycisk staromodnego mosiężnego dzwonka. Czekwała przez dłuższą chwilę i już miała dać za wygraną, kiedy usłyszała ochryply głos:

- Słucham!

Katinka uśmiechnęła się, rozbawiona władczyim sposobem, w jaki starzy partyjni biurokraci odpowiadają na dzwonek, jakby mówili: „Ukorz się, niewolniku!”.

- Jestem Katinka Wińska. Studentka historii. Telefonowałam i powiedział mi pan, żebym przyszła.

Długie milczenie. Chrapliwy oddech, potem cichy trzask. Katinka pchnęła poodbijane drewniane drzwi i wspięła się źle utrzymaną, brudną, lecz imponującą niegdyś klatką schodową do innych drzwi ze wzmocnionymi zamkami. Już miała zapukać, kiedy drzwi otworzyły się, ukazując jasny przedpokój zastawiony butami.

- Halo? - zawołała.

- Kim jesteś? - spytała ciemnowłosa kobieta w średnim wieku, z długim nosem, w znoszonej czarnej sukience.

- Jestem historykiem i przyszedłam zobaczyć się z marszałkiem.

- Czeka na ciebie - powiedziała kobieta, wskazując korytarz wyłożony lśniącym parkietem i wycofując się do kuchni.

- Zostaw buty! - odezwał się głos starszego mężczyzny. - Wejdz i rozgość się. Gdzie jesteś?

Katinka zdjęła buty, włożyła jakieś żółte, miękkie kapcie i podążyła za głosem. A więc tak żyli przywódcy? Nigdy dotąd nie widziała takiego mieszkania. Wysokie sufity, połyskujący żyrandol, boazeria z jasnej karelskiej sosny, podobnie jak meble w stylu art deco z lat trzydziestych. Korytarz w kształcie litery L prowadził do wielu pokojów, lecz ona skręciła w prawo, do salonu. Jaskrawe wiosenne słońce świecące przez cztery okna oślepiło ją na chwilę, lecz kiedy odzyskała zdolność widzenia, zobaczyła za fortepianem zastawionym rodzinnymi fotografiami trzymetrowej wysokości portret Lenina na Dworcu Finlandzkim na jednej ścianie, a na drugiej inny obraz Gierasimowa, przedstawiający przystojnego marszałka o pociągłej twarzy, w galowym mundurze ze złotymi naramiennikami i piersią pełną medali.

Po prawej stronie, na stole, piętrzyły się radzieckie i zagraniczne czasopisma, na parapecie leżał przenośny telefon, a przez stojące na półkach w czterech rogach pokoju czarne głośniki odtwarzacza CD marki Sony płynęła *Symfonia koncertująca* Mozarta. Katinka była zdumiona. A więc to prawda, co mówiono - radzieccy przywódcy rzeczywiście żyli jak książęta.

W głębokim skórzanym fotelu stojącym tyłem do światła siedział pełen dostojeństwa sędziwy *homo sovieticus*.

- Witaj, dziewczyno, wejdz!

Katinka spodziewała się wypomadowanej radzieckiej fryzury, woskowej cery („kremlowskiej opalenizny”) i wydatnego brzucha, ale ten relikwyt przeszłości, w granatowym radzieckim garniturze z gwiazdą Orderu Czerwonego Sztandaru za odwagę podczas Wielkiej Wojny Ojczyźnianej w klapie, był smukły i wyczelowany. Włosy miał przyprószone siwizną, sterczące i grube, i orli nos perskiego szacha. Rozpoznała skurczoną wersję marszałka na por. trzeciej.

Oryginał wstał, ukłonił się, wskazał jej krzesło naprzeciwko swojego fotela i znowu usiadł.

- Siadaj, proszę. O, właśnie. A teraz, dziewczyno...

- Jekatierina - powiedziała, zajmując wskazane miejsce.

- Katinko - jeśli wolno - czym mogę ci służyć? Katinka wyjęła zeszyt i ołówek, ręce trochę jej drżały.

- Herkulesie Aleksandrowiczu... - Przewróciła za dużo kartek na raz, upuściła ołówek, podniosła go, zgubiła zaznaczone miejsce w zeszycie, przez cały czas świadoma badawczego spojrzenia jego zdumiewająco błękitnych oczu.

Jeszcze nigdy nie spotkała tak ważnego człowieka. Marszałek znał wszystkich radzieckich przywódców od Lenina do Andropowa. Prowincjonalna skromność córki lekarza z Beznadziejnoj, właściwe każdemu obywatelowi radzieckiemu pragnienie, aby unikać urzędników, moskwian, a przede wszystkim funkcjonariuszy bezpieki, a także zagrożenia, jakie niesła sama władza - wszystko to kotłowało się w niej. Przypomniała sobie historię, którą Roza Getman opowiedziała jej w Londynie, i już miała zapytać o to marszałka, kiedy on zadał jej pytanie.

- Jak myślisz, ile mam lat?

- Wiem, ile ma pan lat - odparła, postanawiając pozować na bardziej pewną siebie, niż się czuła. - Tyle, ile nasze stulecie.

- *Prawilno!* - Marszałek roześmiał się. - Nieźle jak na dziewięćdziesiąt cztery lata, co? - Katinka zauważyła, że mimo kilkadziesiąt lat spędzonych w Moskwie nie wyzbył się silnego gruzińskiego akcentu. - Wiesz, że wciąż mogę tańczyć? Mariko! - W drzwiach pojawiła się kobieta w średnim wieku, niosąc tacę z herbatą. - To moja córka, Mariko, opiekuje się mną. - Katinka pomyślała, że stary marszałek ma w sobie więcej życia niż jego córka. - Nastaw lezginkę, moja droga!

Mariko postawiła tacę na stole przy oknie i zmieniła płytę w odtwarzaczu.

- Nie przemęczaj się, tato - powiedziała. - Nadal źle oddychasz. Nie pal! I nie oparz się, herbata jest gorąca. - Spojrzała na Katinkę i wyszła z pokoju.

Kiedy zabrzmiały dzikie dźwięki lezginki, marszałek Satinow wstał, skłonił się, przyjął dziarską pozę gruzińskiego tancerza, z rękami na biodrach, jedną nogą wysuniętą do przodu, drugą wspartą na czubkach palców. Katinka zobaczyła, na co prawdopodobnie liczył, że wciąż jest sprawny i elegancki. Odańczył kilka kroków, potem znowu usiadł i uśmiechnął się do niej.

- A teraz... Katinko... Wińska... dobrze zapamiętałem twoje nazwisko? Jesteś historykiem?

- Piszę doktorat u akademika Bielakowa o programie legislacyjnym Katarzyny II.

- Jesteś piękną badaczką, co? Kwiat z prowincji! - Katinka zaczerwieniła się, zadowolona, że włożyła lepszą sukienkę z cekinami i głębokim rozcięciem. - Ja sam jestem kawałkiem radzieckiej historii. Powinienem stać w muzeum. Pytaj, o co chcesz, a ja tymczasem złapię oddech.

- Pracuję nad pewnym projektem - zaczęła. - Czy nazwisko Getman coś panu mówi?

Niebieskie oczy nagle znowu skupiły się na niej, przybierając neutralny wyraz.

- Bogaty bankier... Jak to się dzisiaj mówi? Oligarcha.

- Tak, Pasza Getman. Zatrudnił mnie, abym odnalazła jego rodzinę.

- Genealogia rodzinna dla nowobogackich? Jestem pewien, że książęta Dołgoruki i Jusupow robili to samo w carskich czasach. Getman to nie jest niezwykle nazwisko, oczywiście żydowskie. Z Odessy, jak się domyślam, ale pierwotnie z austriackiej Galicji, prawdopodobnie ze Lwowa, inteligencja...

- Ma pan rację. Pochodzą z Odessy, ale czy zna pan rodzinę Getmana osobiście?
Zapadło lodowate milczenie.

- Moja pamięć nie jest już taka jak dawniej... ale nie, nie wydaje mi się - powiedział wreszcie Satinow.

Katinka zanotowała coś w swoim zeszycie.

- Matka Paszy Getmana zainspirowała ten projekt dotyczący historii rodziny.

- Korzystając z jego pieniędzy.

- Tak, oczywiście.

- Z pieniędzmi może się czegoś dowiesz. Ale to nazwisko nic mi nie mówi. Kogo ona próbuje odnaleźć?

- Siebie - powiedziała Katinka, przyglądając mu się uważnie. - Jej panięskie nazwisko brzmi Liberhart. Czy to nazwisko z czymś się panu kojarzy, panie marszałku?

Cień przemknął po twarzy Satinowa.

- Nie potrafię go umiejscowić... Spotkałem w życiu tylu ludzi, sama rozumiesz, ale nazwiska... - Westchnął i zmienił pozycję w fotelu. - Powiedz mi coś więcej.

Katinka wzięła głęboki oddech.

- Matka Paszy Getmana ma na imię Roza. O swoim pochodzeniu wie tylko tyle: profesor muzykologii z konserwatorium odeskiego i jego żona, też nauczycielka, adoptowali ją pod koniec lat trzydziestych. Ich nazwisko brzmiało Liberhart, Enoch i Perłą Liberhart. Sami nie mogli mieć dzieci, dlatego adoptowali pięcioletnią dziewczynkę. Miała jasne włosy, więc nazwali ją *Sil-berkind* - srebrnym dzieckiem.

- A wcześniej? - spytał Satinow.

- Roza pamięta tylko fragmenty życia przed adopcją - powiedziała Katinka, myśląc o niedawnej rozmowie w orzeźwiająjącym powietrzu londyńskiej wiosny. - Śmiech pięknej kobiety w kremowym kostiumie, przystojnych mężczyzn w stalinowskich bluzach, zabawy z innymi dziećmi, podróże i dworce kolejowe, a potem adopcję...

- Pospolita historia w tamtych czasach - przerwał Satinow. - Dzieci często się gubiły i trafiały do rodzin zastępczych. Przy budowie nowego świata doszło do wielu błędów i tragedii. Ale może wymyśliła sobie tę historię? To też się zdarza, zwłaszcza teraz, kiedy gazety odgrzebują te wszystkie nieszczęścia i drukują tego rodzaju kłamstwa. - Niebieskie oczy naigrawały się z niej, obłudnie, cynicznie.

- Nie podjęłabym się tej pracy, gdybym nie wierzyła Rozie, ale, tak... wierzę jej. Liberhartowie odwodzili ją od grzebania w przeszłości, ponieważ kochali ją jak własną córkę. Nie chcieli jej utracić - i bali się zwrócić na siebie uwagę. Adopcję zaaranżował bardzo wysoki dygnitarz, a w tamtych czasach wszystko było tajne.

- Ale po śmierci Stalina z pewnością...

- Tak, po śmierci Stalina Roza uparła się, żeby Liberhartowie przeprowadzili oficjalne dochodzenie. Powiedzieli, że jej rodzice zginęli podczas Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, co by się zgadzało, ponieważ adopcja odbyła się mniej więcej w tym czasie.

Satinow rozłożył ręce.

- A ona w to wierzy?

- Wierzyła w to przez lata. Kochała swoich przybranych rodziców. Enoch zmarł w 1979 roku, a Perlą całkiem niedawno. Jeszcze żyła, kiedy upadł komunizm. Dopiero wtedy Perlą przyznała się Rozie, że ją okłamała. Liberhartowie nie wszczęli oficjalnego dochodzenia, ponieważ nie znali nazwiska jej prawdziwych rodziców.

- Powiedz mi, Katinko, czy ci Liberhartowie... byli dobrymi ludźmi, troskliwymi rodzicami? - spytał nagle Satinow, nachylając się do niej.

Katinka poczuła, że znosi ją na głębsze, bardziej zdradzieckie wody. Pomyślała z tęsknotą o swoich studiach: o Katarzynie Wielkiej w Archiwum Państwowym, o szlachetniejszych, lepszych czasach. Ale była historykiem, a który historyk nie byłby zafascynowany takim reliktem jak Satinow, prawdziwym oddechem niedawnej przeszłości, przeszłości zasnutej tajemnicą?

- Roza mówi, że byli oderwanymi od świata intelektualistami, nieprzywykłymi do posiadania dzieci. Profesor Liberhart nie potrafił ugotować jajka ani prowadzić samochodu, a raz poszedł do pracy w butach założonych nie na tę nogę, co trzeba. Perlą bujała w obłokach, nie umiała gotować, cerować ani posłać łóżka, nie stosowała makiżażu i nie układała włosów (choć poradziłaby sobie z jednym i drugim!). Poświęciła życie tłumaczeniu sonetów Shakespeare'a na rosyjski. Roza wychowywała się więc jak mała dorosła, pod opieką ekscentrycznych rodziców. Pamięta straszne rzeczy, które działy się podczas wojny. Oblężenie Odessy, rzeź odeskich Żydów dokonaną przez nazistów i Rumunów, Holocaust. Ale przez cały czas Liberhartowie kochali ją miłością rodziców, których los nieoczekiwanie pobłogosławił dzieckiem.

Satinow rozmieszał w herbacie trochę dżemu śliwkowego i oblizal łyżeczkę. Potem, upewniwszy się, że nikogo nie ma przy drzwiach, wyciągnął paczkę papierosów Lux i zapalił jednego srebrną zapalniczką, trzymając go ostentacyjnie, jak młody człowiek.

- Nie wolno mi palić, ale diabeł kusi... - Zaciągnął się głęboko, przymykając oczy. - Dlaczego więc przyszedł do mnie?

- Kiedy Rozie potrzebna była operacja i rodzice niepokoił się o jej zdrowie, zadzwonili do kogoś w Moskwie, kto wszystko załatwił.

- Może to był jej wuj?

- Pewnego razu odbyła się w Odessie wielka konferencja partyjna. Roza uważa, że w latach pięćdziesiątych. Do miasta przyjechało wielu przywódców. Któregoś popołudnia zobaczyła przed swoją szkołą czarną limuzynę, a w środku człowieka w mundurze, wysokiego dygnitarza. Miała poczucie, nie, więcej niż poczucie, była pewna, że czekał na nią. Był tam przez cały tydzień, patrzył na nią każdego ranka. Nie wiem, kim był ten człowiek, marszałku Satinow.

- Katinka spojrzała na Satinowa, który poruszył się w fotelu. - Roza wybaczyła Liberhartom kłamstwo, ale błagała matkę o nazwisko. Przed śmiercią Perlą powiedziała Rozie, że człowiekiem w Moskwie, do którego dzwoniła, był pan. Pomógł pan załatwić jej leczenie. Może to pan był człowiekiem w limuzynie?

Satinow znowu zaciągnął się papierosem. Katinka widziała, że słucha bardzo uważnie.

- Gadanie - powiedział.

Katinka nagle straciła cierpliwość. Pochyliła się na swoim niewygodnym krześle.

- Roza i ja chcemy się dowiedzieć, dlaczego jej pan pomógł, panie marszałku. Ona jest przekonana, że pan wie, kim byli jej rodzice.

Satinow spojrzał na nią z irytacją i potrząsnął głową.

- Czy zdajesz sobie sprawę, dziewczyno, ilu tak zwanych historyków dzwoni do mnie, zadając impertynenckie pytania? Ponieważ jestem stary, oczekują ode mnie, że podważę największe osiągnięcia dwudziestego wieku - stworzenie socjalizmu, zwycięstwo w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej, dzieło mojego życia. - Wstał. - Dziękuję ci, że mnie odwiedziłaś, Katinko. Zanim pójdziesz, chcę ci ofiarować swoją autobiografię.

Wręczył jej książkę ze swoim zdjęciem na okładce, w pełnym mundurze. Była zatytułowana: *W służbie Przesławnej Rewolucji Październikowej, Wielkiej Wojny Ojczyźnianej i budowy socjalistycznej Ojczyzny: wspomnienia, zapiski i przemówienia* autorstwa Herkulesa Satinowa.

Seksowny tytuł, pomyślała Katinka. Uświadomiła sobie, że Satinow ją zbywa, i była pewna, że coś ukrywa.

- Podpisze ją pan? - spytała nieco zaskoczona, zdecydowana nie dawać za wygraną.

- Z przyjemnością.

Podeszła do jego fotela. Zorientowała się, że lubi na nią patrzeć, nachyliła się więc nad nim, odrzucając (do tyłu włosy).

Poklepując ją żartobliwie po rękę, napisał: *Pięknejposzukiwaczceprawdy. Herkules.*

- Została wydana w kilku językach - po polsku i po czesku - oświadczył z dumą, wręczając jej książkę. - Nawet po mongolsku.

- Dziękuję, panie marszałku. Jest pan pierwszym sławnym bohaterem wojennym, jakiego poznałam, i wiem, że pomógłby mi pan, gdyby mógł. Czy jest możliwe, że rodzice Rozy zginęli podczas wojny? Czy byli represjonowani w czasie wielkiego terroru? Jeśli tak, ich akta znajdują się w archiwum KGB.

Teraz rodziny mogą występować o swoje akta, ale bez nazwiska jak możemy wystąpić o cokolwiek? Pomoże nam pan?

Uśmiechnął się, patrząc na nią dosyć śmiało.

- Zawsze kochałem kobiety - powiedział cicho - nawet teraz, chociaż jestem starym wrakiem.

- Na pewno tańczył pan z wieloma - powiedziała Katinka. Zapadło milczenie.

- No cóż, nadal mam jakieś znajomości - powiedział wreszcie Satinow

- chociaż większość moich przyjaciół odeszła do Lenina.

- Dokąd?

- Do Politbiura w niebie. Nie jesteś komunistką, jak przypuszczam?

- Nie, ale moi dziadkowie są.

- Ja zostałem marksistą w wieku szesnastu lat i nigdy się nie zachwiałem. Katinka uświadomiła sobie, że nie zamierza jej nic powiedzieć, i nagle ogarnęło ją przygnębienie. Już przy pierwszym spotkaniu z jedynym człowiekiem mogącym coś wiedzieć o przeszłości Getmanów zawiodła Rozę. Musiała mieć żalostną minę, ponieważ Satinow ujął jej dłoń i uścisnął.

- Katinko, przeszłość naszego kraju jest mroczną celą. Być może nigdy nie odnajdziesz starych ludzi, ale skoncentruj się na młodych. Szukaj młodych! Zasługują na twoją uwagę. Rozumiesz dwór Katarzyny, ale nie wiesz nic o mnie ani o mojej pracy. Musisz zanurzyć się w epokę budowy socjalizmu, jeśli chcesz cokolwiek odnaleźć. Porozmawiaj z tymi badaczami, którzy grzebią w archiwach. Szukaj głębiej, znajdź ogniwa łańcucha. To był podwodny świat, ale nie wszystko znajdowało się pod wodą - a jeśli znajdziesz nazwisko, nic do przeszłości, wróć i porozmawiamy.

Katinka zrozumiała, że Satinow nie chce, aby się poddała, zebrała się więc na odwagę i powiedziała:

- Panie marszałku, czy mogę zadać panu jedno kłopotliwe pytanie, które może mi zaoszczędzić mnóstwo pracy - a wtedy będę mogła wrócić do Katarzyny II?

- Musisz ciężiej pracować, żeby zrobić postępy w swoim przedsięwzięciu - powiedział zdecydowanie Satinow, odprowadzając ją do drzwi. - Inaczej nic nie znajdziesz. Co to za pytanie?

Serce waliło jej tak głośno, że prawie krzyknęła.

- Czy jest pan prawdziwym ojcem Rozy?

6

Biblioteki zawsze wydawały się Katince ekscytujące. Niektórzy z jej przyjaciół uważali, że są nudne ze swoim zatechłym zapachem i rygorystyczną ciszą, zakłócaną jedynie przez stłumione kaszlnięcia, niedozwolone szepty i przewracanie kartek. Ale dla niej biblioteki były tak samo tajemnicze jak hotele: były sekretnymi miejscami zamieszkiwanymi przez obcych ludzi z tysięcy różnych światów, którzy spotkali się na kilka godzin.

Ponieważ nie wiedziała, od czego zacząć swoje poszukiwania, zaczęła tam, gdzie wszyscy - w czytelni Biblioteki Lenina na Wozdwiżence. Przychodziła do tej czytelni już wcześniej i miała kartę biblioteczną, ale tym razem zauważyła, że gotycką fasadę stalinowskiego budynku pokrywają brązowe podobizny radzieckich bohaterów - pisarzy i naukowców. A kiedy szła wzdłuż regałów, omijając zagracone stoły z przeciągającymi się, ziewającymi studentami i pochłoniętymi pracą staruszkami o szarej cerze, oczy podnosiły się znad książek, aby przyjrzeć się jej ukradkiem. Znowu poczuła podniecenie odkrywcy i przypomniała sobie niezwykle oczy Rozy błagającej ją o pomoc. Katinka wyruszyła na wyprawę, chociaż nie miała pojęcia, dokąd zmierza.

Usiadła przy pustym stoliku pod wysokim oknem i spróbowała zebrać myśli. Od czego zacząć? Zwykle dostrzegała w bibliotece tylko studentów, ale teraz patrzyła na starych ludzi w brązowych garniturach i krawatach, sporządzających notatki pajęczym charakterem pisma w pożółkłych zeszytach: dlaczego są tak żądni wiedzy, kiedy ich życie prawie dobiegło końca? Czy któryś z nich ma dla niej wskazówkę? Gdyby uzyskała dostęp do ich wspomnień, bolszewickich tajemnic, z pewnością mogłaby rozwiązać problem. Co wiedzą? Co widzieli? Kiedy przyglądała się starszemu mężczyźnie, który ślinił palce, mrużąc oczy i przewracając stronicę, przypomniały się jej słowa Satinowa: „To był podwodny świat, ale nie wszystko znajdowało się pod wodą”. W tamtych czasach wszystko było tajne - z wyjątkiem czego? Z wyjątkiem gazet, oczywiście.

Poszła, prawie podbiegła do biurka dyżurnego bibliotekarza, który skierował ją do wielkich, oprawionych roczników gazet z lat trzydziestych. Wiedziała, że Satinow rozpoczął swój wzlot w 1939 roku, kiedy wszedł do Komitetu Centralnego. Gdzieś w

tych starych gazetach, powiedziała sobie, może być wskazówka, która powiąże go z rodziną Rozy. Pożółkłe gazety stanowiły inny świat, opisany nienaturalnym bolszewickim językiem, który rozśmieszał ją swoimi absurdami, swoimi relacjami o planach pięcioletnich, osiągnięciach kołchozów i stacji maszynowo-tractorowych, hutnikach z Magnitogorska, bohaterskich pilotach, proletariackich towarzyszach i stachanowskich górnikach. Na zewnątrz jasny błękit nieba ustępował przed mętnym zmierzchem, a ona siedziała przy stoliku, czytając „Izwestija” i „Prawdę”. I już zaczynała rozumieć, że Satinow i Roza pochodzili z innego, niezbyt odległego w czasie, lecz równie obcego dla niej świata jak Mars czy Jowisz. Dwa razy natknęła się na wzmiankę o „towarzystwie Satinowie”, który wygłosił referat o produkcji herbaty w Abchazji, został sprowadzony do Moskwy przez towarzysza Stalina i awansowany w aparacie partyjnym - ale nie było tam nic o życiu osobistym, przyjaźniach czy znajomościach.

Kilka razy przespacerowała się po ogromnej bibliotece, aby się rozbudzić i poprawić krążenie krwi. Kilka razy omal nie uległa pokusie, aby przestać i zacząć czytać zachodnie czasopisma lub satyryczny „Ogoniok”, ale zawsze wracała do swoich gazet i historii z przeszłości.

Już miała dać za wygraną, kiedy otworzyła „Prawdę” z marca 1939 roku na stronie piątej i znalazła fotografię młodego Satinowa, w stalinowskiej bluzie i butach z cholewami, z włosami krótko obciętymi i zaczesanymi do tyłu, obok krępego, barczystego mężczyzny w mundurze NKWD. Pod fotografią zamieszczono artykuł o pierwszym plenum Komitetu Centralnego po XVIII Zjeździe.

Towarzysz Stalin pochwalił przedstawicieli młodego pokolenia, awansowanych na kandydatów na członków Komitetu Centralnego, mówiąc, iż „niektórzy towarzysze wyrosli w szkole samej partii, jak świeża stal zahartowana przez rewolucję...”. Później, w nieoficjalnej rozmowie z delegatami, towarzysz Stalin przypomniał, że po raz pierwszy spotkał towarzyszy LA. Satinowa i I.N. Palicyna jako młodych pracowników partyjnych w 1917 roku w Piotro-grodzie. „Byli młodzi, byli towarzyszami broni i oddanymi bolszewikami. Partia wyznaczała im wiele trudnych zadań - powiedział towarzysz Stalin - a obecnie ci towarzysze broni spotkali się ponownie na czele wielkiego robotniczego państwa...”

Przeczytała artykuł uważnie dwa razy, zanotowała kilka szczegółów i nowe nazwisko: I.N. Palicyn. Rozejrzała się po czytelnikach: zrobiło się prawie pusto. Połowa lamp przy stolikach była zgaszona. Wszyscy młodzi już sobie poszli, zostali tylko starzy, których czas się kończył, tacy jak Roza z jej straszliwym poczuciem straty. Czy to było nazwisko, którego szukała?

Katinka zatrasnęła rocznik z głuchym łoskotem, na co jeden ze starszych czytelników drgnął i uniósł głowę, jakby obudził się z długiego snu. Musiała już iść. Miała umówione spotkanie.

7

Motocyklista w skórzanych spodniach, jasnobrązowej lotniczej kurtce i rogatym hełmie w stylu Wikingów zatrzymał się przed nocnym klubem Czarny Pies. Klub znajdował się nad brzegiem rzeki Moskwy, kilkaset metrów od ambasady brytyjskiej, naprzeciwko Kremla. Rzeką wciąż płynęły kry, ciemny brzeg pokrywała delikatna koronka śniegu, ale w powietrzu unosił się wiosenny zapach wilgotnej ziemi. Zapadł już zmierzch, nocne powietrze było ciepłe i kojące.

Katinka słyszała zespół heavymetalowy grający w klubie piosenkę *Winds of Change* zespołu Scorpions. Zastanawiała się, czy nie pomyliła miejsca: nie była moskwianką i słabo знаła centrum miasta. Było to dziwne miejsce na spotkanie historyków.

Motocyklista zsiadł i podszedł do niej, zdejmując rogaty hełm i wyciągając rękę w skórzanej rękawiczce.

- Katinka? To ty? Jestem Maks Szubin.

- Och, cześć... - Katinka poczuła, że rumieniec oblewa jej twarz - ku jej wielkiemu zakłopotaniu - ponieważ był znacznie młodszy, niż się spodziewała. Maks miał ciemne, długie, potargane włosy, duże brązowe oczy i lekki zarost, jakby nie golił się od kilku dni. Kiedy zobaczyła obcisłe skórzane spodnie ze srebrnymi suwakami, próbowała się nie uśmiechnąć.

- Nie wyglądasz na badacza - powiedziała. Maks uśmiechnął się.

- A ty nie wyglądasz na akademika. Napijemy się czegoś? Bramkarz, punkrockowiec z kolczykami na wargach i w nosie, wpuścił ich

do klubu. Na górze była przestrzeń do siedzenia, z unoszącym się w powietrzu dymem, pustymi kieliszkami, plastikowymi kubkami i walającymi się wszędzie kanapkami. Zespół na dole grał tak głośno, że podłoga drżała, ale przynajmniej mogli rozmawiać.

Maks znalazł wolną sofę, zawołał kelnerkę w wysokich butach, pończochach i skórzanych szortach i zamówił dwa zimne piwa.

- Jesteś nowa w Moskwie, prawda?

- Studiowałam tutaj i prowadzę tu poszukiwania, ale...

- Niech zgadnę: sądząc po twoim akcencie, jesteś z Północnego Kaukazu? Mineralne Wody czy Władykaukaz?

- Blisko - powiedziała Katinka. Sącząc zimne piwo, poczuła się pewniej, nieświadoma, że na nosie została jej piana i że jej strój wskazuje wyraźnie, iż przyjechała z daleka. - A ty jesteś z Moskwy?

- Właściwie z Pitra.

- Okno na Europę. Jakie to romantyczne!

- Naprawdę tak myślisz? - spytał Maks. - Ja nadal w to wierzę. W rzeczywistości to skansen, elegancki, poetyczny skansen, miasto pustych pałaców. Ale ma tradycje wolnościowe, więc zapewne odegrał jakąś rolę w mojej pracy w Fundacji Odkupienia.. - Zdjął swoją skórzaną kurtkę. - Jak mnie znalazłaś? I co to za przedsięwzięcie, którym się zajmujesz?

- Przeczytałam twój artykuł o NKWD w czasach terroru w „Woprosach Istorii” i oczywiście słyszałam o badaniach Fundacji, dotyczących ofiar terroru, więc zadzwoniłam do ciebie. To miło, że mogłeś się ze mną spotkać tak szybko.

Maks sprawiał wrażenie trochę nieśmiałego - a Katince przyszło do głowy, że zgodził się z nią spotkać tylko dlatego, że jest dziewczyną - ale odrzucała takie przyziemne motywy w swoich poszukiwaniach prawdy.

- Piszę doktorat o Katarzynie Wielkiej...

Maks pochylił się ku niej, patrząc na nią swoimi brązowymi oczami.

- Dlaczego więc zostawiłaś wdzięczny, szlachetny, romantyczny dwór carycy dla podłych, psychopatycznych stalinowskich zabójców? - spytał.

- Nie wiem - przyznała. - Nie chciałam tej pracy. I początkowo odmówiłam.

- Ale w końcu ją przyjęłaś?

- Czy zdarzyło ci się spotkać kogoś tak pięknego i intrygującego, że nie mogłeś mu się oprzeć?

Maks przechylił głowę na bok i popatrzył na nią znacząco.

- Bardzo rzadko - powiedział.

- Mam na myśli pracę - odparła chłodno, odsuwając się od niego. Maks posmutniał.

- Tak, w pracy często spotykam ludzi do tego stopnia złamanymi zbrodniami przeszłości, że chciałbym zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby im pomóc, to moje powołanie. - Odniosła wrażenie, że Maks mówi teraz szczerze, i poczuła do niego większą sympatię.

- Ja spotkałam kogoś takiego. Nazywa się Roza Getman, a przeszłość tak ją zraniła, że musiałam jej pomóc... - Maks słuchał uważnie, gdy Katinka opowiadała mu o swojej podróży do Londynu, oligarsze i jego pałacu, spacerach w Regent's Park - i o tym, jak zadzwoniła do jedyne go człowieka mogącego coś wiedzieć o przeszłości Rozy, wpływowego starego komunisty, a następnie złożyła mu wizytę.

- To brzmi jak tysiące innych spraw, nad którymi właśnie pracuję - powiedział w końcu Maks. - Nie mogę ci pomóc, jestem zbyt zajęty, ale mogę udzielić kilku wskazówek ogólnych. Zadzwoń do mnie w przyszłym tygodniu, to skontaktuję cię z człowiekiem, który może być bardziej użyteczny. - Upił łyk piwa i Katinka uświadomiła sobie, że to koniec rozmowy. Odrzuciła jego zaloty, a ponieważ jej sprawa przypominała wiele innych, przestał się nią interesować. Im szybciej wróci do osiemnastego wieku, tym lepiej.

- Tak przy okazji, kim był ten stary komunista? - spytał, wstając.

- Nazywa się Satinow - odparła. Katinka, zastanawiając się, jak powie Rozie, że nikt im nie pomoże.

Maks natychmiast znowu usiadł.

- Herkules Satinow?

-Tak.

- Spotkał się z tobą? Skinęła głową.

Maks zapalił papierosa, poczęstował ją i podał jej ogień.

- On nigdy się z nikim nie spotyka, Katinko - mówił szybko, na jego twarzy malowało się ożywienie. - Próbuję spotkać się z Satinowem od piętnastu lat i żaden z moich kolegów w fundacji, żaden liberalny historyk nigdy z nim nie rozmawiał. Wszystkie inne stare dinozaury nie żyją, a Satinow jest ostatnim spośród nich, powiernikiem tajemnic, wielkim reliktem dwudziestego wieku. Wie mnóstwo rzeczy. Jeśli się z tobą spotkał, to dlatego, że się tobą interesuje. To znaczy, że może ci pomóc.

Katinka spojrzała na niego, ledwo rozumiejąc, co mówi. Maks rozłożył ręce.

- Jeśli podzielisz się ze mną rezultatami swoich poszukiwań, zrobię dla ciebie wszystko, co będę mógł. Nie patrz tak na mnie, Katinko - wierz mi, będziesz mnie potrzebowała, żeby odnaleźć drogę w tym zaginionym świecie. Łatwiej odcyfrować hieroglify starożytnego Egiptu niż labirynt stalinowskiego Kremla. Co ty na to? Dobiliśmy targu?

Katinka znowu pomyślała o Rozie i westchnęła.

- Tak - powiedziała - ale pamiętaj, jestem poważnym historykiem, nie jakąś panną, z którą można sobie poflirtować.

Roześmiał się i zamówił jeszcze dwa piwa. Wzniesli toast.

- Za nasze niezwykle partnerstwo. - Wypili i stuknęli się butelkami. - A teraz - powiedział Maks - opowiedz mi o swoim spotkaniu z towarzyszem Satinowem. Chcę usłyszeć wszystko. Każdy szczegół jest ważny. Wszystko się liczy, nawet to, jakie nosi skarpetki.

Maks wypytywał ją drobiazgowo, uważnie słuchał i zadawał następne pytania. Choć znajdowali się w zadymionym, nieco obskurnym barze, ich rozmowa miała takie napięcie, jakby siedzieli w cichym sanktuarium archiwów.

- Nie ma wątpliwości, on coś wie o rodzinie, której szukasz. I to coś ważnego - orzekł Maks.

- Nie rozumiem, dlaczego mi po prostu tego nie powie - odparła. - Mogłabym wtedy wrócić do swoich studiów.

- Nie, to nie jest w stylu tych ludzi - wyjaśnił Maks. - Nie powinnaś traktować tych bolszewików jak współczesnych polityków. To byli fanatycy religijni. Ich marksizm był fanatyczny, swoją żarliwością przypominali muzułmanów, uważali się za członków tajnego zakonu w rodzaju średniowiecznych krzyżowców albo templariuszy. Byli bezwzględni, amoralni i paranoiczni. Wierzyli, że miliony muszą umrzeć, aby mógł powstać ich doskonały świat. Rodzina, miłość i przyjaźń były niczym w porównaniu z ich celem. Na dworze Stalina ludzie umierali z powodu plotek. Dla ludzi takich jak Satinow tajemnica była wszystkim.

- Ale Stalin umarł czterdzieści lat temu, a komunizmu nie ma od trzech lat - sprzeciwiła się Katinka. - Co powstrzymuje Satinowa przed ujawnieniem nam swoich tajemnic?

- Musisz zrozumieć, że nakaz milczenia i dochowania tajemnicy jest głęboko zakorzeniony u ludzi takich jak Satinow. Kiedy Stalin żył, jego aparatczycy milczeli po części dlatego, że wierzyli w to, co robili, po części dlatego, że byli urodzonymi konspiratorami - konspiracja była ich naturalnym środowiskiem - a po części ze strachu. A taki rodzaj strachu nie przemija: pozostaje w człowieku na zawsze. Po śmierci Stalina milczeli, ponieważ chcieli ocalić Ideę, Związek Radziecki, świętego Graala. Dla kogoś takiego jak Satinow tajemnica nie była tylko nawykiem, była istotą kodeksu rewolucyjnego.

Przez chwilę oboje milczeli, zastanawiając się nad tym.

- Znalazłaś coś, z czym możesz do niego wrócić? - spytał w końcu Maks. Katinka wzruszyła ramionami i wypuściła dym z papierosa.

- Miałam nadzieję, że ty wpadniesz na jakiś pomysł. Przejrzałam całe roczniki gazet i nie znalazłam żadnego ogniwa osobistego - z wyjątkiem tego. - Wręczyła mu fotokopię artykułu i zdjęcia, które znalazła w Bibliotece Lenina. - Nie wiem, czy to nam wiele pomoże...

Maks przestudiował je uważnie i gwizdnął.

- Wania Palicyn. Wiem doskonale, kto to był. Zasłużony czekista ze starej gwardii, który zniknął wkrótce po zrobieniu tego zdjęcia. Był ważnym człowiekiem w latach trzydziestych, ale nie pojawia się w żadnych wspomnieniach, w żadnych relacjach. Informacji o jego aresztowaniu nigdy nie ogłoszono i nie wiemy, co się z nim stało.

- Ale jak to może nam pomóc?

- Nie wiedziałem, że Satinow i Palicyn byli przyjaciółmi - a musieli być bardzo bliskimi przyjaciółmi, i ten fakt był znany, skoro Stalin wspomniał o tym w swoich „nieoficjalnych komentarzach”. To może być ślepa uliczka, ale prawdopodobnie wpadłaś na trop prowadzący do przeszłości Satinowa. Czy nie to właśnie kazał ci zrobić?

Katinka poczuła nagle podniecenie. Ogłuszająca muzyka, rozmowy bywalców klubu, wszystko to wydawało się odległe i nieważne. Mogła myśleć tylko o Rozie i o jej nieuchwytej rodzinie.

- Ale czy to wystarczy, żeby zechciał ze mną porozmawiać? - spytała.

- Myślę, że najpierw powinnaś jeszcze trochę poszperać, żeby się upewnić - powiedział Maks powoli. - Masz nazwisko Palicyna. Odszukaj jego akta w archiwach KGB - napiszę ci podanie - i dowiedz się, co się z nim stało, czy miał rodzinę, dzieci. To nie powinno być trudne. Potem możesz wrócić do Satinowa. Pracowałaś już w archiwach?

- Kocham archiwa - powiedziała z rozmarzeniem.

- Dlaczego?

- W tych papierach można poczuć dawne życie. Siedziałam w Archiwum Państwowym i czytałam listy miłosne Katarzyny i Potiomkina, najbardziej namiętne fragmenty, przesycone zapachem jej perfum i przesiąknięte jego łzami, kiedy leżał umierający na stepie.

Maks skinął głową.

- To są inne archiwa. Jest w nich wiele cierpienia i coś w rodzaju świętości. Naziści wiedzieli, że postępują źle, więc wszystko ukrywali; bolszewicy byli przekonani, że postępują dobrze, więc wszystko przechowali. Czy ci się to podoba, czy nie, jesteś rosyjskim historykiem, poszukiwaczem zaginionych dusz, a w Rosji prawda nie jest zapisana atramentem, tak jak w innych miejscach, ale zawsze krwią. Te archiwa są tak samo święte jak Golgota. W suchym szeleście stronic można usłyszeć płacz dzieci, odgłos pociągów, echo kroków zstępujących do piwnicy, pojedynczy wystrzał z naganą. Tutaj, w Rosji, sam papier pachnie krwią.

Dwa dni później Katinka wyszła z ponurej stalinowskiej bryły hotelu Moskwa i mijając Kreml, Teatr Wielki i hotel Metropol, dotarła na plac Łubianki. Tłumy urzędników wylewały się z metra, zatrzymując się przy kioskach z kolorowymi czasopi-smami, samochody okręzały plac, na którym pusty cokół pomnika Dzierżyńskiego symbolizował upadek komunizmu. Znalazła się przed masywnym kolosem siedziby KGB, niezdoitym zamkiem z czerwonego i szarego granitu, kryjącym w swoim wnętrzu biura, archiwa, tunele i lochy. Ten dawny gmach Towarzystwa Ubezpieczeniowego Rosja stał się w 1917 roku domem nieustraszonych, bezlitosnych i nieprze-kupnych rycerzy partii komunistycznej. Działali pod różnymi nazwami - WCzK, OGPU, NKWD, KGB - a obecnie nazywali się jeszcze inaczej, ale ich władza przemi-nęła: Katinka była pewna, że KGB nigdy więcej nie zawładnie Rosją.

Nie chciała tu przychodzić. Żaden Rosjanin nie chciał odwiedzać Łubianki - była to narodowa kostnica. Ale wystarczyło, że przypomniała sobie rozmowę telefoniczną z Rozą, i ruszyła szybciej w stronę przytłaczającej budowli, która wciąż emanowała potęgą. Gdyby ojciec Katinki wiedział, że poszukiwania zaprowadzają na Łubiankę, nigdy nie pozwoliliby jej przyjąć tej pracy.

- Nie zagłądaj do studni! Nie myszkujej po cmentarzach. To zbyt niebezpieczne - mawiał. - Wiesz, jak bardzo cię kocham? Bardziej niż ktokolwiek w całej historii ludzkości od początku czasu! Tak bardzo!

Cudownie było mieć ojca - i matkę - którzy tak kochają. Katinka znowu pomy-słała o Rozie i o tym, jak to jest, kiedy się nie zna własnych rodziców.

Pchnęła podwójne drewniane drzwi Łubianki i weszła do ogromnego mar-murowego holu. Dwaj kaprale w niebieskich mundurach obejrzelili jej paszport, dokądś zatelefonowali i skierowali ją na marmurowe schody, tak szerokie, że mógłby po nich wjechać czołg. Na półpiętrze stało popiersie Andropowa, szefa KGB i radzieckiego przywódcy.

Znalazła się w długim korytarzu z czerwonym dywanem i portretami dawnych czekistów. Maks powiedział jej, że w tej fortecy znajduje się więzienie wewnętrzne, gdzie mogli zginąć rodzice jej pracodawczyni, chociaż mogli też dostać siedem gra-mów ołowiu w więzieniu na Butyrkach albo w Lefortowie, albo w specjalnej katowni Berii, Suchanowce, pięknym dawnym monasterze za miastem. Maks wyjaśnił, że teraz jest dobry moment, aby zwrócić się o udostępnienie akt. Zatelefonował do niej po-przedniego wieczoru.

- Dzwonili do mnie z Łubianki. Akta dla ciebie są przygotowane.

- Ale czy jesteś pewien, że powinnam szukać Palicyna? Marszałek Satinow raził, żebym zapomniała o dorosłych i zaczęła od dzieci.

Maks roześmiał się.

- Pamiętasz, co ci mówiłem o Satinowie i starych bolszewikach? Kłamstwa były ich obowiązkiem wobec rewolucji. To tylko potwierdza, że musisz zacząć od dorosłych, a później pomyślimy o dzieciach.

- Zaczynam nabierać wprawę - powiedziała.

- Poczekaj, aż zobaczysz archiwa. Pamiętaj, Katinko, klejnoty nigdy nie leżą na widoku.

Kierując się otrzymanymi wcześniej instrukcjami, skręciła w prawo, potem w lewo i zobaczyła drzwi opatrzone tabliczką: „Pułkownik Lentin, dyrektor Wydziału Rejestracji i Zbiorów Archiwalnych”. Zapukała, męski głos odpowiedział i weszła do niewielkiego gabinetu z zaciągniętymi białymi zasłonami. Powietrze było duszne, szyby zaparowane i zorientowała się, że pułkownik spał w swoim gabinecie. Ale gdzie on jest?

- Dzień dobry - rozległ się głos. Zażywny mężczyzna z jedwabistymi włosami, w cywilnym ubraniu, dopinał właśnie koszulę i zawiązywał krawat przed lustrem za drzwiami. - Przepraszam! Właśnie się upiększam na przyjęcie gości. Proszę usiąść!

Usiadła przy biurku w kształcie litery T i położyła przed sobą zeszyt. Instynkt podpowiadał jej, że w tym miejscu należy wykonywać wszystkie polecenia, ale w tej chwili jej ciekawość była silniejsza niż strach. Co się stało z przyjacielem Satinowa, Palicynem, przed wielu laty, może właśnie w tym budynku? Uświadomiła sobie, że zaczyna się jej udzielać entuzjazm Maksa, gorączka pościgu.

- Już. - Pułkownik Lentin usiadł za biurkiem i pośliniwszy palec, otworzył teczkę. Mówił pięknym, literackim językiem. - Jesteś historykiem specjalizującym się w osiemnastowiecznym prawie pod kierunkiem akademika Bie-lakowa i nagle, fa-la-la, zwracasz się o udostępnienie akt z czasów kultu jednostki. - Fa-la-la? Pułkownik Lentin musi być wielbicielem głupawych meksykańskich oper mydlanych, które zatrują rosyjską telewizję, pomyślała Katinka. Jego skóra wyglądała tak, jakby nie znała brzytwy, miał wodniste, zaspane oczy. Ale drobna twarz, wydatna szczeka i płaski nos przypominały jej zwierzę. Tak, Lentin był małpką - marmozetem bezpieczeństwa. - Nie wiedziałem, że Katarzyna Wielka reformowała prawo w latach trzydziestych dwudziestego wieku - a może coś mi umknęło?

- Nigdy się nie interesowałam kultem jednostki. Robię to w ramach małego projektu poszukiwań rodziny - odparła ostrożnie Katinka. - Żeby zarobić trochę pieniędzy i opłacić swoje studia nad Katarzyną.

- Rozumiem - powiedział Marmozet. - Twój przyjaciel Maks Szubin i jemu podobni też prowadzą poszukiwania, ale wydaje mi się, że powinnaś zajmować się swoim małym projektem niezależnie od nich. Nic do ciebie nie mamy, ale ci liberałowie są amerykańskimi pachołkami, którzy cieszą się z dzisiejszego upokorzenia Rosji. Rozbijają fundamenty państwa w nadziei, fa-la-la, że my po prostu znikniemy. Ale bez nas, panno Katinko, Rosja padłaby ofiarą podłych spekulantów i amerykańskiej hegemonii - tak, ofiarą. A my, czekać, traktujemy swoje obowiązki poważnie. Eiędziemy tu zawsze.

Katinka westchnęła. Ten przeżytek KGB nie pasował do nowej Rosji, w której żyła ona i Maks.

- Rozumiem, co pan chce powiedzieć, panie pułkowniku - powiedziała. W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł stary człowiek

w białym fartuchu, pchając przed sobą metalowy wózek, na którym piętrzyły się niebieskie kartonowe teczki, ponumerowane i opatrzone nalepkami.

- Proszę, towarzyszu pułkowniku. - Stary człowiek splunął do mosiężnej spluwaczki, stojącej na wózku. Pod spluwaczką spał tłusty, rudy kot. - Więcej złota w kurzu!

- Dzień dobry, towarzyszu... panie archiwisto - powiedziała Katinka, wstając i kłaniając się lekko. Rozpoznała prawdziwego archiwalnego szczura, quasimoda regałów i segregatorów. W każdym archiwum był ktoś taki, potomek dziwnego gatunku troglodytów, którzy spędzali życie w mrocznych tunelach i magazynach pod chodnikami Moskwy. Ale oni też mieli władzę i Katinka wiedziała, że historycy muszą okazywać im szacunek i zabiegać o ich względy.

- Dwie teczki z archiwum, towarzyszu pułkowniku! Dzień dobry! - Wręczył teczki Marmozetowi, a następnie potoczył swój wózek w stronę drzwi. Spod kota wyłonił się bardzo chudy kociak.

- Mogę zapytać, jak panu na imię, towarzyszu archiwisto? - spytała szybko Katinka.

- Kuźma - odparł quasimodo. Znowu splunął, a Katinka zauważyła, że spluwaczka jest ozdobiona godłem KGB. Czy to był prezent za długoletnią służbę?

- Doceniam pańską pomoc, towarzyszu Kuźma - powiedziała Katinka. - Na pewno wie pan tyle, że sam mógłby pisać książki historyczne. Jak on się nazywa? - wskazała na kota.

- Utiesow - odparł Kuźma.

- Jest pan wielbicielem odeskiego jazzu? Kuźma skinął głową.

- A jak się nazywa kociak? Ceferman?

Kuźma nie spojrział na nią ani się nie uśmiechnął, ale po prostu stał przez chwilę, głaszcząc koty i mrucząc z zadowoleniem, jak ojciec dumny ze swoich dzieci. Katinka dobrze odgadła.

- Mały Ceferman, co? Mój ojciec kocha tę muzykę, wychowywałam się przy niej. Może następnym razem przyniosę Utiesowowi i Cefermanowi trochę mleka?

W odpowiedzi Kuźma splunął gęstą plwociną, która wykonała w powietrzu podwójne salto, zanim wpadła do spluwaczki. Katinka starała się przybrać taki wyraz twarzy, jakby doceniała tę wdzięczną demonstrację.

- Dziękuję, towarzyszu Kuźma - i do widzenia, Utiesowie i Cefermanie. Archiwista zamknął drzwi.

- Oto twoje akta. Nawdychasz się kurzu - powiedział Marmozet. - Zobaczmy. I przeczytał:

Akta śledcze maj-czerwiec 1939

Sprawa 16373 Główny Zarząd Bezpieczeństwa Państwowego Iwan Nikolajewicz Palicyn

Podniósł teczkę i rzucił ją na stół przed Katinką, aż podskoczyła: wzbil się kurz, maleńkie drobinki wibrowały i połyskiwały w świetle.

Katinka zawahała się, wodząc oczami po brunatnej, poplamionej okładce, opatrzonej pieczętą z godłem KGB i sygnaturą archiwalną.

- Czy mogę robić notatki?

- Tak, ale zastrzegamy sobie prawo do ich sprawdzenia. W 1991 roku pozwoliliśmy skopiować zbyt wiele akt. Procedura trochę się rozluźniła. Co masz nadzieję znaleźć?

- Czy ten Palicyn jest powiązany z moimi klientami...

- Może uda ci się znaleźć odpowiedź, ale nie masz prawa wiedzieć wszystkiego, nawet teraz.

- Nie wie pan, czy miał żonę i dzieci?

Marmozet skinął głową i położył na stole drugą teczkę.

- Żona Palicyna ma własną teczkę, oto ona. Chcesz ją zobaczyć? Katinka podniosła teczkę i przeczytała:

Akta śledcze maj-czerwiec 1939

Sprawa 16374

Aleksandra Samojłowna Zeitlin-Palicyn, więzień 778

- Samojłowna Zeitlin. To nie jest rosyjskie nazwisko. Wtedy było ich wielu w partii i wielu okazało się zdrajcami - powiedział Marmozet, zaglądając jej przez ramię. Otworzył teczkę. Była tam przypięta do papierów fotografia.

- Proszę, fotografia zrobiona w dniu aresztowania.

Katinka z bijącym sercem spojrzała na zdjęcie. Przedstawiało kobietę o pełnych, lekko rozchylonych ustach i gorejących oczach wpatrzonych w obiektyw.

- Jest piękna. - Katinka była zafascynowana i trochę poruszona.

- Tak, kiedyś była dobrze znana, ta Dalila. A potem, fa-la-la, zniknęła!

- Mogę teraz przejrzeć teczkę? - Katinka nie mogła się doczekać, kiedy uwolni się od wzroku Marmozeta.

- Masz pół godziny. - Pchnął teczkę w tej kierunku, a potem wrócił na swoje miejsce i usiadł.

- Na tę jedną teczkę?

- Na obie. Takie są przepisy.

- Proszę się nie krępować i zająć się inną pracą, pułkowniku - powiedziała z zakłopotaniem Katinka.

- Moja praca polega na pilnowaniu ciebie - odparł.

9

Katinka położyła fotografię nad teczką, którą przysunęła bliżej. Twarz kobiety, oczy odbijające światło lampy błyskowej starego aparatu wciąż na nią patrzyły.

- Witaj - szepnęła Katinka, wyobrażając sobie, że fotografia może odpowiedzieć, że te błagalne oczy mogą mrugnąć. - Kim jesteś?

Do okładki po wewnętrznej stronie była przypięta wygnieciona, poplamiona kartka papieru, na której musiał podpisać się każdy, kto zaglądał do teczki - ale była czysta. Nikt spoza KGB nigdy nie oglądał tych akt. Katinka wzięła w rękę pierwszy arkusz papieru, krótki życiorys:

Urodzona w 1900 r. w Sankt Petersburgu, Aleksandra Samojłowna Zeitlin-Palicyn, znana jako Saszeńka, towarzysz Lis Polarny. Narodowość: żydowska.

Członek partii od 1916 r. Ostatnie miejsce pracy: redaktor magazynu „Radziecka Żona i Proletariackie Gospodarstwo Domowe”, Wydawnictwo Państwowe. Wykształcona w Instytucie Smolnym...

- Sa-szeń-ka... - powiedziała do siebie Katinka. - Czy pomożesz Rozie i mnie?

Rodzina: ojciec, baron Samuel Zeitlin, kapitalistyczny bankier, później bezpartyjny specjalista w Ludowym Komisariacie Finansów, potem Handlu Zagranicznego, potem w Banku Państwowym, zdymisjonowany w 1928 r., zesłany w 1929 r., aresztowany w 1937 r., skazany na dziesięć lat na Kółymie. Matka: Ariadna Zeitlin, z domu Barmakid, zmarła w 1917 r. Brat matki: Mendel Barmakid, Żyd, członek partii od 1904 r., członek Komitetu Centralnego w latach 1911-1939, aresztowany w 1939 r. Brat ojca: Gideon Zeitlin, pisarz. Bezpartyjny. Żyd.

Mąż: Iwan Palicyn, urodzony w Sankt Petersburgu w 1895 r. Rosjanin, członek partii od 1908 r., ożenił się w 1922 r., aresztowany w 1939 r., ostatnie stanowisko: zastępca szefa Głównego Zarządu Bezpieczeństwa Państwowego. Dzieci: Wola i Karlmarks.

- Miło mi poznać was wszystkich - powiedziała pod nosem Katinka. Sa-szeńka i jej mąż byliby teraz bardzo starzy, ale mogli jeszcze żyć - w aktach nie było nic, co wskazywałoby, że nie żyją. A ich dzieci wcale nie byłyby takie stare. Nie wiedziała, czy ta kobieta ma znaczenie dla jej poszukiwań, ale serce zabiło jej mocniej. - Ciekawe, co się z wami stało.

- Mówisz do siebie - powiedział Marmozet. - Ciszej, proszę.

- Przepraszam. - Katinka przewróciła stronę i znalazła formularz wypełniony 16 maja 1939 roku i zawierający rysopis Saszeńki: *Kolor oczu: szare. Włosy: ciemnobrązowe z kasztanowymi pasemkami.* Były tam również jej zamazane odciski palców. Następna kartka była wymięta i poplamiona, nosiła nagłówek: *Główny Zarząd Bezpieczeństwa Państwowego, Wydział Spraw Szczególnie Ważnych.* Pośrodku wielką, owalną czcionką zapisano następujące polecenie: *Zeitlin-Palicyn, wraz z mężem Palicynem, została zdemaskowana jako długoletni prowokator Ochrony i białogwardyjski szpieg, trockistowski sabotażysta i agent na żołdzie Japonii. Należy ją niezwłocznie aresztować i przeprowadzić rewizję. 16 maja.*

Dalej znajdowały się pieczęcie, parafy i podpisy. Pierwszy podpisał się kapitan Mielski, naczelnik 9 sekcji 4 wydziału Głównego Zarządu Bezpieczeństwa

Państwowego. Ale jego nazwisko zostało przekreślone grubym mazakiem, a pod spodem, jakby dziecięcym charakterem pisma, ktoś napisał: *Pszeprowa-dzę tę oberację osobiście. B. Kobułow, komisarz bezpieczeństwa państwowego drugiej rangi.* A dalej: *Oberacja zakończona. Więzień Aleksandra Zeitlin-Palicyn dostarczona do Wię-*

zienia Wewnętrznego. B. Kobułow, komisarz bezpieczeństwa państwowego drugiej rangi.

Marmozet wciąż tam siedział i patrzył na nią, ale Katinka już o to nie dbała. Była podekscytowana. A więc Saszeńka i jej mąż w 1939 roku zostali aresztowani. Dlaczego? Kiedy odwróciła stronę, znalazła zeznanie niejakiego Piotra Sagana, byłego kapitana Korpusu Żandarmów, oficera Ochrony, a później (pod fałszywym nazwiskiem) nauczyciela w Irkucku. Sagan ujawnił, że Saszeńka i Wania byli w Piotrogradzie w 1917 roku - podobnie jak Satinow. Dalej następował potok niedorzecznych zarzutów przeciwko Palicynom. Wydawało się, że upiór wyłonił się z mgieł czasu, przynosząc zarazę kłamstw i oskarżeń. Ale później spojrziała na datę zeznania Sagana: było to 5 lipca - po aresztowaniu Saszeńki. Sagan zjawił się na Łubiance dopiero 1 lipca. Zatem Saszeńka została aresztowana za coś innego. Ale za co?

Katinka wertowała niecierpliwie piętnastostronicowe zeznanie, podpisane w każdym rogu kruchymi, anemicznymi znaczkami Sagana - jakie to dziwne, pomyślała, że życie tamtych ludzi zostało zredukowane do tych pociągnięć pióra. Spróbowała wyobrazić sobie człowieka za tymi wyblakłymi, atramentowymi kreskami i przeszedł ją dreszcz.

Dalej znalazła pojedynczą kartkę z nagłówkiem: *Wyciąg z zeznania Beniamina Łazarowicza „Beni” Golden: dołączyć do akt Aleksandry Zeitlin-Palicyn*. Pisarz Benia Golden. Słyszała o nim i o jego jedynym arcydziele, opowiadaniach o hiszpańskiej wojnie domowej. Przeczytała:

B. Golden: *Posługując się wyrafinowanymi technikami uwodzicielskimi w stylu Maty Hań, Saszeńka - oskarżona Aleksandra Zeitlin-Palicyn - najpierw uwiodła mnie pod pozorem zaproszenia, abym pisał do jej magazynu, a następnie przekonała mnie, abym oddawał się wraz z nią wynaturzonym praktykom seksualnym w pokoju 403 hotelu Metropol, wynajętym przez Związek Pisarzy/Litfond do użytku mieszkających poza Moskwą współpracowników pisma „Radziecka Żona i Proletariackie Gospodarstwo Domowe”, które redagowała. Zeitlin-Palicyn wyznała mi, że pod maską nowej radzieckiej kobiety jest agentem Ochrony i trockistką, i poprosiła mnie, abym wprowadził ją do francuskiego wywiadu, który zwerbował mnie w Paryżu w 1935 roku, kiedy pojechałem z delegacją radziecką na Międzynarodowy*

Kongres Pisarzy. Zwerbowała już swojego wuja, Mendla Barmakida, członka Komitetu Centralnego, a ja zwerbowałem innego jej krewnego, mojego przyjaciela i znanego pisarza Gideona Zeitlina, aby pomógł mi zaplanować zabójstwo towarzysza Stalina, Mołotowa, Kaganowicza i marszałka Woroszyłowa na przyjęciu w domu Saszeńki, spryskując trucizną gramofon, który nastawiał towarzysz Stalin. Pierwsza pró-

ba u niej w domu - kiedy towarzysz Stalin przyszedł z wizytą 1 maja 1939 roku - nie powiodła się, ponieważ nie zdołałem spryskać gramofonu...

Poświadczył: Śledczy Rodos, Wydział Spraw Szczególnie Ważnych, Główny Zarząd Bezpieczeństwa Państwowego

Katinkę zemdliło z obrzydzenia. A więc Benia Golden, ten utalentowany, poważny pisarz, załamał się i obciążył Saszeńkę. To zeznanie Goldena musiało doprowadzić do jej aresztowania. Jak mógł to zrobić? Oskarżenia przeciwko Saszeńce wydawały się absurdalne.

Ale to nastąpiło 6 sierpnia, jeszcze później niż zeznanie Piotra Sagana. Katinka w pośpiechu przewracała kolejne kartki. Czytała już ponad piętnaście minut. Pod malowniczym zestawem pieczęci, trójkątnych, prostokątnych i okrągłych, czerwonych i niebieskich, przeczytała notatkę datowaną sześć miesięcy później:

Urząd Prokuratora Wojskowego, 19 stycznia 1940 r.

Sprawa przeciwko grupie szpiegowsko-terrorystycznej Zeitlin-Palicyn-Barma-kid została zakończona i powinna być przekazana sądowi... Przesłać sprawę do Trybunału Wojskowego 21 stycznia 1940 r.

Katinka poczuła nerwowy skurcz, jakby to ona albo ktoś jej bliski miał stanąć przed sądem 21 stycznia 1940 roku. Oczy Saszeńki patrzyły na nią lękliwie z fotografii. Maks miał rację: w tych tajemniczych starych papierach kryła się straszliwa tragedia. Co się stało z tymi ludźmi po procesie? Czy Sa-szeńka żyje, czy umarła? Katinka niecierpliwie odwróciła stronę. Nie było tam nic więcej.

- Pięć minut! - powiedział Marmozet, bębniąc palcami po biurku. Katinka zauważyła, że czyta magazyn sportowy „Manchester United Fanzine”. Zapisała w zeszycie najważniejsze fakty i nowe nazwiska: Benia Golden - sławny pisarz. Mendel Barmakid - zapomniany aparatczyk. Gideon Zeitlin - literat.

Katinka szybko sięgnęła po teczkę Palicyna. Najpierw fotografia: Iwan Palicyn, mąż Saszeńki i przyjaciel Satinowa, z profilu i *en face*, atletycznie zbudowany mężczyzna, gęste siwiejące włosy, skośne tatarskie kości policzkowe. Całkiem przystojny okaz radzieckiego proletariusza, robotnik w Zakładach Putiłowskich. Ale na fotografii miał podbite oko i rozciętą wargę. Musiał stawiać opór, pomyślała Katinka. Był w mundurze NKWD. Popatrzyła na jego oczy i zobaczyła... zmęczenie, pogardę, gniew, ale nie strach i niepokój, takie jak w oczach jego żony.

- Cztery minuty - powiedział Marmozet.

Przeczytała jego życiorys. Był wysoko postawionym czekiścią, który strzegł samego Lenina w Piotrogradzie i w Moskwie w latach 1917-1919. Pnąc się w górę po trupach swoich przełożonych podczas terroru, musiał mieć udział w zbrodniach, za nim... Znalazła nakaz aresztowania, wystawiony na krótko przed aresztowaniem jego żony. To pewnie dlatego wyglądał raczej na zmęczonego i wściekłego niż wystraszonego: owszem, rozumiał, co się stanie, ale był znużony procedurami, które tak dobrze znał. Co się z nim stało? Przeglądała zawartość teczki, notując daty, próbując ustalić kolejność zdarzeń. Było tam wszystko, ale zapisane radzieckimi hieroglifami, ezopowym językiem, bolszewickim szyfrem. Przewróciła następne stronicę: Palicyn zaczął zeznawać 7 czerwca i składał zeznania w lipcu, sierpniu i wrześniu. Jego też postawiono przed sądem.

- Czas minął - powiedział Marmozet.

- Proszę - jedną sekundę! - Opuściła kilka stron i przeskoczyła na koniec teczki. Musiała wiedzieć, co się stało z Palicynem. Znalazła podpisane zeznanie.

Oskarżony Palicyn: *Przyznaję się do szpiegostwa na rzecz japońskiego i niemieckiego wywiadu, do wysługiwania się Trockiemu i do planowania zamachów terrorystycznych przeciwko kierownictwu Związku Radzieckiego. Ale nie było zakończenia jego historii - ani żadnej wzmianki o Satinowie, żadnego nawiązania do wspólnej przeszłości.*

Zapisała w zeszycie daty i westchnęła, bliska płaczu. Dlaczego? Przecież tych dwojga ludzi nigdy nie znała.

- Nie ma ani słowa o wyroku - powiedziała na głos. - Czy mogli przeżyć? Czy mogą jeszcze żyć?

- Czy w aktach jest powiedziane, że nie żyją? - spytał pułkownik. Potrząsnęła głową.

- No cóż... - powiedział i przeciągnął się.

- Ale w tych aktach brakuje mnóstwa rzeczy, pułkowniku. Żadnej wzmianki o wyroku. Może Palicynowie zostali zesłani do łagrów i amnestionowani po śmierci Stalina. Chciałabym wystąpić o udostępnienie następnych akt. Chcę się dowiedzieć, co się stało z tymi ludźmi.

- Czy to jakaś gra, panienko? Fa-la-la! Może ci się poszczęści. A może nie. Przekażę twoją prośbę swojemu przełożonemu, generałowi Fursence. Jestem tylko trybikiem w maszynie.

Katinkę ogarnęło przygnębienie. Nadal nie wiedziała, za co aresztowano Saszeńkę i jej męża. Kapitan Sagan złożył swoje zeznanie po ich aresztowaniu. Nie wierzyła w historyjkę Beni Goldeny o romansie z Saszeńką, nie mówiąc już o spisku na życie

przywódców partii, więc może to też zostało zmyślane? I wciąż nie wiedziała, czy to wszystko wiąże się w jakiś sposób z Satinowem.

Kiedy przesuwała teczkę Saszeńki w stronę pułkownika, przypadkowo zagieła czystą listę osób, które przeglądały akta. Po drugiej stronie znajdowało się kilka nazwisk z 1956 roku: serce podskoczyło jej w piersi. A jednak tam był: Herkules Satinow.

Marmozet zaczął sprawdzać, czy nie brakuje jakichś dokumentów, śliniąc palec, kiedy odwracał strony.

Katinka zorientowała się, że ma jeszcze kilka minut. Szybko otworzyła ponownie teczkę Palicyna - i coś przyciągnęło jej wzrok.

Napisany odręcznie rozkaz, na papierze z nagłówkiem Głównego Zarządu Bezpieczeństwa Państwowego, datowany 4 maja 1939 roku:

Sowierszenno siekrietno. Ścisłe tajne.

Kapitan Zubienko, specjalna grupa techniczna, Główny Zarząd Bezpieczeństwa Państwowego.

Ustanowić natychmiastowy nadzór tylko w granicach miasta Moskwy nad towarzyszką Saszeńką Zeitlin-Palicyn, redaktorką pisma „Radziecka Kobieta i Proletariackie Gospodarstwo Domowe”, Pietrowka 23, i zainstalować podsłuch w pokoju 403 hotelu Metropol, ze skutkiem natychmiastowym.

Meldować tylko mnie, żadnych kopii.

Katinka spojrzała na podpis: *Iwan Palicyn, komisarz bezpieczeństwa państwowego trzeciej rangi. Mąż Saszeńki.*

* * *

Katinka szła ulicami Moskwy, mijając: Teatr Wielki, w kierunku Kremla. Ścisłała w rękę zeszyt i spoglądała na budki ulicznych sprzedawców oferujących pirackie płyty kompaktowe, sensacyjne broszury historyczne, amerykańską pornografię, włoskie czasopisma, a nawet *Młodości zacne zwierciadło* Piotra Wielkiego. Ale właściwie ich nie widziała. Wpadła na jakiegoś człowieka, który na nią nakrzyczał, i weszła prosto na zaparkowaną na chodniku ładę. Próbowała doszukać się sensu w tym, co znalazła w teczkach. W końcu minęła hotel Moskwa i zaczęła spacerować po placu Czerwonym.

Może zeznanie Beni Goldeny było mimo wszystko prawdziwe. Czy Saszeńka naprawdę mogła się spotykać ze znanym pisarzem w pokoju 403 hotelu Me-tropol?

Ale uwiedzenie żony czekisty, który miał do dyspozycji cały arsenał środków tajnej policji - inwigilację, podsłuch, aresztowanie - byłoby rzeczą bardzo niebezpieczną. Najwidoczniej Wania dowiedział się o tym romansie i sam rzucił kamyk, który zapoczątkował lawinę: wszczął osobiste dochodzenie bez oficjalnej sankcji. *Meldować tylko mnie, żadnych kopii. Palicyn.*

Zazdrość, pomyślała Katinka. Czy zgubił ich wszystkich strach jednego mężczyzny, że zostanie rogiaczem? Czy wszyscy oni zginęli przez jego zazdrość?

10

- A więc Palicyn nagrywał swoją żonę w łóżku ze sławnym pisarzem? - spytał tego wieczoru Maks, siedząc na swoim motocyklu przed nocnym klubem w pobliżu ambasady brytyjskiej. - Wyobraź sobie ten raport: te wszystkie namiętne westchnienia i jęki...

- ...Palicyn był wściekły - weszła mu w słowo Katinka - i kazał aresztować Benie Goldena.

- Nie, nie - powiedział Maks. - Benia Golden był sławnym pisarzem, a Saszeńka była dobrze znana, była siostrzenicą Mendla Barmakida, „sumienia partii”. Ale jeśli chodziło tylko o cudzołóstwo, to dlaczego sam Palicyn został aresztowany?

- Benia został aresztowany, a potem zadenuncjował swoją kochankę, Sa-szeńkę, która zadenuncjowała męża?

- Nie, Katinko, zapominasz o najważniejszym. Oni nie mogli zostać aresztowani bez zgody Stalina. - Maks zapalił papierosa. - Poza tym daty się nie zgadzają. Musisz zrozumieć, że archiwa są pełne kłamstw i przeinaczeń. Musimy je odcyfrowywać jak hieroglify.

Katinka westchnęła. Zrobiło się zimno, a jej minispódniczka nie chroniła przed wiatrem.

- Co mam teraz robić?

- Nie przejmuj się tym wszystkim. Naprawdę dobrze się spisałaś - lepiej, niż się spodziewałem. - Maks spojrział za zegarek. - Zaczekaj, jest dopiero dziewiąta: może zadzwonisz do jego eminencji marszałka? Potrzebujesz jego pomocy, żeby uzyskać dostęp do reszty akt KGB, do spraw, których ci nie pokażą. A teraz, kiedy wiesz więcej, możesz pytać o więcej. Potrzebujemy jego potwierdzenia, że rodzina Palicynów jest tą, której szukasz.

Poczęstował ją papierosem i zapalił zapalną. Oboje osłonili płomyk dłońmi. Kiedy ich ręce się zetknęły, Maks zmrużył oczy, a ona uświadomiła sobie, że uważnie się jej przygląda.

- Powiedz mi - wydajesz wszystkie pieniądze tego oligarchy? Na ciuchy? Czy na kosmetyki? Wcale ich nie wydajesz, prawda? - Roześmiał się. - Jesteś za sprytna, Katinko, jak na historyka. - Pochylił się i odgarnął jej włosy z twarzy.

- Nie tak szybko - powiedziała chłodno, pozwalając, by pocałował ją w policzek. Jego zarost podrapał jej skórę.

Wyrzucił papierosa, który spadł na nabrzeże Moskwy, włożył hełm, kopnął starter i popędził w stronę mostu Kamiennego.

Katinka popatrzyła w ślad za nim, a potem dotknęła policzka tam, gdzie ją pocałował, i powtórzyła jego słowa: „Jesteś za sprytna jak na historyka”. Co za głupi tekst, pomyślała. Może i jesteś moim nauczycielem, ale jesteś również pozerem. To ja decyduję, kto mnie całuje, a kto nie.

Potem powoli, z namysłem, w migotliwym blasku ośmiu czerwonych gwiazd Kremla, podeszła do budki telefonicznej i wykreciła numer.

- Słucham - odezwał się męski głos z gruzińskim akcentem.

* * *

- Tym razem nie będę tańczył - powiedział Herkules Satinow z lodowatym uśmiechem. Siedział w swoim fotelu w mieszkaniu na Granowskiego, w otoczeniu rodzinnych fotografii, pod własnym portretem przedstawiającym obwieszoną medalami marszałka. - Czuję się coraz gorzej.

- Nie pal, tato! Popisywał się przed ładną dziewczyną - powiedziała Mariko, przynosząc herbatę. - Później musiał od razu położyć się do łóżka. - Sprawiała wrażenie zagniewanej, jakby to była wina Katinki. - Nie powinnaś przychodzić o tej porze. Jest o wiele za późno. - Mariko z trzaskiem postawiła tacę na stole i wyszła z pokoju, obrzucając gościa surowym spojrzeniem.

- Nic się nie stało, Mariko... - Mariko zamknęła drzwi, chociaż skrzypienie podłogi świadczyło, że nie odeszła daleko. - No cóż - powiedział Satinow

- jestem już dość stary. - Kiedy Katinka usiadła na tym samym krześle, co poprzednio, i skrzyżowała nogi, stary człowiek popatrzył na nią z aprobatą.

- Wyglądasz, jakbyś była na tańcach w nocnym klubie. W końcu, dlaczego nie? Dlaczego młody i świeży kwiatusek, taki jak ty, miałby tracić młodość w zakurzonych archiwach? - Wyciągnął papierosy, zapalił jednego i zamknął oczy.

- To właśnie robię najlepiej, panie marszałku.

- Nie masz zbyt dużo czasu na swoje poszukiwania, czy po prostu mnie polubiłaś? - Spojrzał jej prosto w oczy. - No dobrze, dziewczyno, co znalazłaś?

Katinka wzięła głęboki oddech.

- W 1956 roku odwiedził pan Łubiankę i przejrzał akta Saszeńki i Wani Palicyków. To byli pańscy starzy przyjaciele sprzed rewolucji. Stanowili ogniwo wiążące z przeszłością, które kazał mi pan odnaleźć.

- Wydajesz się bardziej pochłonięta tym tematem niż przedtem - zauważył.

- Jestem. Ci ludzie... wydają się tacy prawdziwi.

- Ach. Specjalistka od Katarzyny Wielkiej zaczyna się pasjonować naszymi czasami. Czujesz zapach szczęśliwych kwiatów i gorzkich popiołów? To znaczy, że jesteś prawdziwym historykiem.

- Dziękuję, panie marszałku.

- Przypomnij mi jeszcze raz - powiedział, pochylając się nagle w fotelu.

- Nazywasz się Wińska. Jak dostałaś tę pracę?

- Polecił mnie akademik Bielałów. Byłam jego najlepszą studentką.

- Oczywiście - powiedział Satinow, zaciągając się papierosem, oczy miał zamknięte. - Widzę, że jesteś bystrą dziewczyną, kimś szczególnym. Akademik Bielałów miał rację, że wybrał ciebie spośród setek studentów, których uczył przez kilkadziesiąt lat... Zastanów się nad tym.

- Myślę, że chciał mi pomóc. - Katinka poczuła się zirytowana. Widziała, że się nią bawi, tak jak wieloma słabszymi istotami w swoim życiu. Na jej oczach Satinow stawał się przebiegłym gadem i niemal czuła chłód krwi w jego żyłach.

- Panie marszałku, proszę, żeby pan odpowiedział na moje pytanie. Sa-szeńka i Iwan Palicynowie są ludźmi, których miałam odnaleźć, prawda? Co się z nimi stało?

Satinow potrząsnął głową, a Katinka zauważyła skurcz w jego policzku.

- Nie ma wzmianki o ich procesie ani o wyroku. Czy mogli przeżyć?

- Mało prawdopodobne, ale możliwe. W zeszłym roku pewna kobieta odnalazła męża, który został skazany w 1938. Mieszkał w Norylsku. - Uśmiechnął się gorzko. - Poszukujesz kamienia filozoficznego, którego szukało wielu, lecz nikt go nie znalazł.

Katinka westchnęła i zaczęła jeszcze raz.

- Naprawdę potrzebuję pańskiej pomocy. Muszę zobaczyć ich akta, te, które wciąż przechowuje KGB.

Zaciągnął się, grając na czas, jak zawsze.

- Dobrze - powiedział. - Zadzwoń do kilku starych przyjaciół w organach

- to sami starcy tacy jak ja, czekają na śmierć w swoich daczach, łowią ryby, grają w szachy, przeklinają nowobogackich. Ale zrobię, co będę mógł.

- Dziękuję. - Pochyliła się na krzesło. - W aktach przeczytałam, że Palicy-nowie mieli dwoje dzieci, Wołę i Karlmarksa. Co się z nimi stało?

- Nie mam pojęcia. Jak wiele dzieci w tamtych czasach, też pewnie zniknęły. - Ale jak?

- To ty masz się tego dowiedzieć - powiedział chłodno, wiercąc się w fotelu.

- Powiedziałaś, że skąd pochodzisz? Z Północnego Kaukazu?

Katinka poczuła dreszcz podniecenia. Zmienił temat - wiedziała, że jest na właściwym tropie.

- Czy mogę spytać - znał pan Palicynow. Jacy oni byli? Westchnął.

- Byli prawdziwymi bolszewikami.

- Widziałam jej fotografię w aktach. Była taka piękna i niezwykła...

- Kto raz ją zobaczył, nigdy jej nie zapomniał - powiedział cicho.

- Ale takie smutne oczy...

Twarz Satinowa stężała, kontury perskiego nosa i kości policzkowych wyostrzyły się, stały się bardziej trójkątne. Przymknął oczy.

- Nie była sama. Są miliony takich fotografii. Miliony represjonowanych ludzi takich jak ona.

Katinka czuła, że Satinow traci siły, więc przycisnęła go jeszcze raz.

- Panie marszałku, wiem, że jest pan zmęczony, i zaraz sobie pójdę... ale czy Roza Getman jest jednym z ich dzieci?

- Dostyc tego, dziewczyno! - Do pokoju weszła Mariko, owinięta czarnym szalem jak hiszpańską mantylą. Stała pomiędzy Katinka a Satinowem.

- W ogóle nie powinnaś przychodzić. Co to za pytania? Mój ojciec jest zmęczony. Proszę już iść.

Satinow wyprostował się w fotelu, oddychał ciężko.

- Jeszcze porozmawiamy - powiedział z wysiłkiem. - Jeśli Bóg pozwoli.

- Przepraszam, prosiłam o zbyt wiele. Za długo tu siedziałam...

Nie uśmiechnął się do niej, ale wyciągnął rękę, patrząc w inną stronę.

- Jestem już zmęczony. - W rękę trzymał kawałek papieru. - Ktoś, z kim musisz się spotkać. Nie zwlekaj. Już może być za późno. Przekaż pozdrowienia ode mnie.

Dwa dni później Katinę obudził dzwonek zielonego plastikowego telefonu w jej małym, zatechłym pokoiku w hotelu Moskwa. Łóżko, nocny stolik z lampką i biurko były jedynymi drewnianymi sprzętami. Narzuta, dywan i zasłony miały kolor siarki. Śniła o Saszeńce: kobieta z fotografii mówiła do niej.

- Nie poddawaj się! Naciskaj na Satinowa... - Ale dlaczego Satinow był taki uparty? A jeśli nie zechce się z nią więcej spotkać? Wciąż na wpół spała, kiedy podnosiła słuchawkę.

- Cześć - powiedziała. Spodziewała się, że to rodzice - lub może Roza Get-man, która dzwoniła regularnie, pytając o postępy. Zawsze zaczynała rozmowę w ten sam sposób: „Witaj, Katinko, znalazłaś jakieś klejnoty w kurzu?”.

- Tu pułkownik Lentin. - Katinka zdumiała się: to był Marmozet z archiwów KGB. - Chcesz zobaczyć więcej dokumentów?

- Tak - odparła z przejęciem. - To byłoby cudownie.

- Cudownie? Rzeczywiście cudownie. Masz tyle entuzjazmu. Proszę się z nami spotkać w kawiarni Fortepian na Patriarszych Prudach o drugiej.

Katinka włożyła buty i dzinsową minispódniczkę. Po raz pierwszy w życiu zarabiała pieniądze, ale nadal nie miała poczucia, że należą do niej. Korzystała z nich, żeby płacić za pokój, jedzenie i środki komunikacji, ale nic więcej. Robiła to tylko dla Rozy, aby ona też, tak jak Katinka, miała rodzinę.

Zjechała windą do marmurowego holu, przeszła do następnego holu, gdzie wspięła się na podest, ruszyła korytarzem w lewo, potem w prawo i wreszcie odchyliła czerwoną zasłonę, by znaleźć się w małej klitce z trzema stolikami i starą kobietą w miniaturowej kuchni. Przywitał ją zapach gorącego tłuszczu i skwierczący odgłos smażonych jajek. Młody angielski dziennikarz i sędziwy Ormianin siedzieli przy swoich stolikach, sącząc kawę.

- Dzień dobry, seniorita - powiedziała stara kobieta w niebieskim fartuchu, mówiąca źle po rosyjsku. Miała śniadą, bardzo pomarszczoną twarz z wydatną szczęką. - Hiszpański omlet?

- Jak zwykle - odparła Katinka. Kucharka była Hiszpanką, która utrzymywała, że gotuje w tej klitce od hiszpańskiej wojny domowej.

- Najlepsza kucharka w Moskwie! - mruknął Ormianin, przesyłając jej w powietrzu całusa.

Godzinę później Katinka ruszyła wolno Twerską - tak nazywała się obecnie ulica Gorkiego - a potem skręciła w lewo, w bramę, która prowadziła na Patriarsze Prudy, plac z parkiem i dwoma stawami w otoczeniu drzew. Wiedziała, że w tej okolicy mieszkał Bułhakow, kiedy pisał *Mistrza i Małgorzatę*. Kupiła lody w kawiarni na wolnym powietrzu i usiadła, patrząc na spacerujące pary, dzieci i starych ludzi, którzy

przyglądali się jej. Dlaczego Marmozet chciał się z nią spotkać tutaj, a nie na Łubiance? Czy przyniesie dokumenty ze sobą? Nie, to niemożliwe. A więc dlaczego? Nie ufała tym ludziom.

O drugiej opuściła plac i ruszyła na drugi koniec ulicy. Jest - czarno-biały szyld *CAFE-BAR FORTEPIAN*. Weszła do środka. Rod Stewart śpiewał z kasety *Do Ya Think Fm Sexy*. W małym barze nie było nikogo poza przeraźliwie chudym, siwowłosym barmanem, który palił papierosa i nalewał wódkę dwóm ludziom przy chromowanym stoliku. Jednym z nich był Marmozet, pułkownik Lentin, w zielonym sportowym swetrze i krawacie. Wstał i podał jej rękę.

- Siadaj, dziewczyno. - Podsunął jej krzesło. - Pozwól, że ci przedstawię swojego towarzysza, Oleg Siergiejewicz Trofimski.

- Bardzo mi przyjemnie, Katinko, bardzo. Tak, usiądź! - Szeroka i niekształtna głowa Trofimskiego wyglądała tak, jakby wystrzelono ją ze starej armaty, a rozwidłona broda upodabniała go do starego czarodzieja. Barman przyniósł kieliszki i postawił je na stole.

- Nie, nie - zaprotestował ochryple Czarodziej. - Dima, przynieś nam najstarszą szkocką whisky. Ta młoda dama jest zbyt kulturalna, żeby pić zwykłą rosyjską wódkę.

Barman wzruszył ramionami i wrócił za kontuar.

- Dima to emerytowany towarzysz - wyjaśnił Czarodziej Katince - a my, że się tak wyrażę, dbamy o jego firmę. Zna moje gusta, prawda, Dima?

Barman przewrócił oczami i przyniósł bursztynowy płyn. Czarodziej zwrócił się do Katinki.

- Pij ostrożnie. To pięćdziesięcioletnia whisky, dojrzewała w dębowych beczkach na szkockich wyspach. Jak się nazywa? Laphroaig. Spróbuj: widzisz? Czujesz smak torfu; to tamtejsza ziemia. Kiedy byłem w ambasadzie w Londynie - moja praca była, że się tak wyrażę, tajna - odwiedziłem kaledońskie wyspy. Brytyjska rodzina królewska pija tylko to, kiedy poluje w Szkocji. No, wypij!

Katinka wypila, ale tylko łyczek.

- Jesteś historykiem, prawda? - spytał Czarodziej, głaszcząc swoją rozwidloną brodę.

- Tak, specjalizuję się w osiemnastym wieku.

- Sam studiowałem historię i dobrze znam Aksamitną Księgę, Romanowów, dynastię sasko-koburską, nawet linie boczne - powiedział. - To moje hobby, że się tak wyrażę. A teraz, skoro nauczyłem cię czegoś o cywilizowanym życiu, pozwolę sobie przejść od razu do rzeczy. Zajmujesz się czymś zupełnie innym? Okresem kultu jednostki?

- Tak, pewną rodziną - odparła Katinka ostrożnie.

- Wiem, wiem, pułkownik Lentin mówił mi o tym. I nie jesteś usatysfakcjonowana dokumentami, które ci pokazano?

- Chciałabym zobaczyć pozostałe - powiedziała.

- Czemu nie, to jest możliwe. Zobaczysz je.

- Dziękuję - powiedziała zaskoczona Katinka. - Kiedy? Czarodziej pogroził jej palcem.

- Przystosowujemy się do nowych czasów, prawda, pułkowniku Lentin? Przyjmujemy je! Ale wciąż jesteśmy patriotami. Nie chcemy być tacy jak Amerykanie. Niech to będzie dla ciebie jasne, dziewczyno, my w kompetentnych organach jesteśmy sumieniem tego kraju. Sprawimy, że znów stanie się silny!

- Ale co z dokumentami? Kiedy mogę je zobaczyć?

- Jesteś młoda, niecierpliwa. Jutro?

- Tak, proszę - powiedziała, podekscytowana i zaniepokojona jednocześnie.

- Czy możemy to zrobić jutro, pułkowniku? - spytał Czarodziej.

- Raczej za trzy dni - odparł Marmozet, który najwyraźniej był tutaj podwładnym. - Może za tydzień.

- A więc załatwione - powiedział Czarodziej. - I to nie będzie bardzo kosztowne.

- Kosztowne? - spytała Katinka. - Ale...

- Ach, spójrz na nią! - zawołał Czarodziej teatralnie. - Spójrz na tę zmartwioną śliczną buzię! Cha, cha. Jesteś nowa w Moskwie, mały kociak w wielkim mieście. Tak, wszystko ma swoją cenę. Pułkownik i ja przystosowujemy się do nowych czasów! Jeszcze whisky, Dima. Wypijmy za to!

12

Następnego dnia po południu Katinka szła przez wysokie hale nowych sklepów w domu towarowym na placu Czerwonym. Umówiła się na spotkanie w restauracji Bosko, gdzie smukłe, opalone, długonogie dziewczyny w sukienkach i biżuterii od

Versacego siedziały przy stolikach z krępyimi mężczyznami we włoskich garniturach. Powietrze wypełniał aromat mielonej kawy i perfum.

Miejsce było tak eleganckie, że zdaniem Katinki mogłaby to być Wenecja albo Nowy Jork, chociaż nie była nigdzie poza Londynem.

Co za miejsce! - pomyślała, nie zdając sobie sprawy, że kelner, ubrany w stylu włoskim Tatar o gołębim profilu, spojrział szyderczo na jej spódniczkę i białe botki.

- Och - wyrwało jej się. - Co za widok!

Westchnęła ze zmysłową przyjemnością prowincjonalnej dziewczyny, ujrawszy panoramę placu Czerwonego pokrytego lśniącą kostką brukową. Stąd imponujące kopyty soboru Wasyla Błogosławionego wyglądały bardziej na tatarskie niż rosyjskie. Tam, pod ścianą Kremla, znajdowało się to dziwnie niesłowiańskie, egipskie mauzoleum z nakrapianego czerwonego granitu, gdzie spoczywał zmumifikowany Lenin. Nieco dalej, ukryte w cieniu krem-łowskiego muru, stało małe marmurowe popiersie Stalina, brutalnie usunięte ze swego dawnego miejsca w Mauzoleum. Rosyjskość Kremla z jego prawosławnymi cerkwiemi i carskimi pałacami, a nawet tymi czerwonymi gwiazdami, napawała Katinkę słowiańską dumą.

Widziała zielony dach budynku Rady Ministrów, gdzie pracowali Lenin i Stalin. Obecnie urzędował tam prezydent Jelcyn. Saszeńka знаła Lenina i Stalina w pierwszych latach władzy radzieckiej, przypomniała sobie Katinka i przeszedł ją dreszcz niepokoju: czuła się osobliwie związana z kobietą, którą znała tylko z fotografii i teczki.

- Mogę w czymś pomóc, *mademoiselle* - spytał tatarski kelner. - Stolik z widokiem?

- Ona jest ze mną - usłyszała za plecami głos. Pasza Getman, w kraciastej marynarce, niebieskiej koszuli w paski, czarnych spodniach i mokasynach, szedł w jej kierunku. Ruchy miał niezdarne, a ubranie, choć drogie, wydawało się źle dopasowane. Spodnie były zbyt obszerne, koszula źle zapięta, a mimo to emanował kosmopolityczną pewnością siebie i odeską wyniosłością.

Katinka rozmawiała z Rozą po swoim spotkaniu z Czarodziejem i Mar-mozetem, a Roza poprosiła ją, żeby porozmawiała z Paszą, który zgodził się spotkać z nią natychmiast. Nie była pewna, czy powinna go uściskać. Pochylili się ku sobie, lecz w ostatniej chwili on się wycofał i podał jej rękę. Katinka zaczerwieniła się, ale z pomocą pospieszył jej kelner.

- Witamy, *gospodin* Getman! Ten sam stół w alkowie, co zawsze? Państwo pozwolą za mną!

Przy sąsiednim stoliku siedzieli trzej barczyści ochroniarze Getmana z ogolonymi głowami i tatuażami wyzierającymi spod rozpiętych koszul. Katinka ruszyła za Paszą, który szedł jak cyrkowy niedźwiedź, z rękoma gotowymi do chwytania piłek.

- Nie mam dużo czasu - powiedział Pasza, kiedy usiedli.

- Nie wiedziałam, że pan tu jest. Myślałam, że jest pan w Londynie.

- Wody? - Pasza sięgnął po wodę i rozlał ją. Kelnerzy podbiegli, aby posprzątać, ale nie zwracał na nich uwagi. - Znowu przyjechałem do domu. Niedługo będą wybory. Prezydent potrzebuje naszej pomocy - musimy powstrzymać komunistów. Mama przyjeżdża z Londynu. Rozumiesz, że to jej ostatnia szansa, aby się dowiedzieć, kim naprawdę jest. Wyobraź sobie, co to znaczy nie wiedzieć, Katinko! Ja znałem swoich rodziców tak dobrze, tak blisko, a ona zawsze nosiła w sobie to palące poczucie straty. Czy ty znasz swoich rodziców?

- Oczywiście.

- Miałaś szczęśliwe dzieciństwo?

Skinęła głową, nie mogąc ukryć zadowolenia.

- Mój ojciec jest lekarzem. Naprawdę mnie kochają i mieszkamy razem z moimi dziadkami w ich starym domu.

- Mamy szczęście. Wiem, że rozmawiałaś z mamą - Katinka była zdumiona, że ten niedźwiedziowaty miliarder po trzydziestce wciąż nazywa swoją matkę „mamą” - ale sam chciałbym się dowiedzieć, co do tej pory znalazłaś.

Kiedy Katinka zaczęła wyjaśniać, zadzwonił komórkowy telefon Paszy. Jeden z ochroniarzy odebrał i przekazał mu wiadomość; rudowłosa dziewczyna w skórzanej minispódniczce przywitała się z nim, a kilku biznesmenów przyszło uścisnąć mu dłoń - ale mimo tych przerw, zdołała opowiedzieć swoją historię. Pasza pochylił się i słuchał, wpatrując się w nią przenikliwymi, ciemnymi oczami.

- A więc Satinow coś wie, ale jest bardzo stary i tajemniczy. Typowe dla tego pokolenia, dla którego tajemnica jest fetyszem. Dobrze sobie radzisz.

Pochwała sprawiła Katince dużą przyjemność.

- Ale dokumenty były niekompletne, a ja spotkałam się z ludźmi z KGB, żeby porozmawiać o tych brakujących i, tak mi głupio - oczywiście powiedziałam im, że to niemożliwe - ale oni zażądali...

- Zażądali czego?

- Pieniądzy! To wstrętne!

- Ile? - spytał Pasza.

- Powiedziałam im, że to śmieszne.

- Posłuchaj - powiedział Pasza - nie chcę, żeby to zabrzmiało... Jestem starszy od ciebie, więc... Przykro mi, że w Londynie straciłem cierpliwość. Mama mnie zbeszta-

ła. Ale jesteś taka niedzisiejsza. Znam wiele chciwych dziewcząt. Rozumiem, że ty nie jesteś taka. Mama też mówi, że nie robisz tego dla pieniędzy - że naprawdę chcesz nam pomóc. Mam więc nadzieję, że będziesz pracować nad tym dzień i noc. Ile oni chcą?

- Ale nie powinniśmy im płacić - sprzeciwiła się Katinka. - Nie organom! To nie są przyzwoici ludzie.

- Powiedz mi tylko, ile oni zażądali.

- Wspomnieli... to taka duża suma, to jest przestępstwo, a oni są mafiosami.. . - westchnęła. - Piętnaście tysięcy dolarów. Zgroza! Co się stało z Rosjanami?

Pasza wzruszył ramionami, zaciskając i rozwierając dłonie.

- No cóż, to będzie mój prezent dla mamy. Prawda kosztuje, ale myślę, że rodzina jest bezcenna. Jeśli to zrozumiesz, zrozumiesz wszystko. Zapłacę.

-Nie.

- Przestań mi mówić, co mam robić! - warknął i zmiął obrus, niemal zrzucając filiżanki na podłogę. - To moje pieniądze, a my potrzebujemy tych informacji.

- Dobrze... - powiedziała w końcu Katinka. - I jeszcze jedna rzecz. Sati-now dał mi to i powiedział, że muszę się spotkać z tą osobą i żebym nie zwlekała zbyt długo. - Wręczyła mu skrawek papieru.

- Ale to jest numer w Tbilisi. W Gruzji. -Tak.

- No to na co czekasz? Musisz jechać natychmiast, Katinko.

- Teraz?

- Pewnie, zabierz swój paszport i walizkę z hotelu. Kiedy wrócisz, dam ci pieniądze i będziesz mogła się spotkać ze swoimi kanciarzami z KGB. - Wybrał numer w telefonie komórkowym. - To ja. Zarezerwuj bilet na lot do Tbilisi dzisiaj po południu. O czwartej? Świetnie. Jekatierina Wińska. Umieść ją w hotelu Meteczi Pałace. Cześć. - Odwrócił się do sąsiedniego stolika. - Hej, Tygrysie! - Jeden z ochroniarzy podszedł do nich. - Zabierz Katinkę do hotelu, a potem na Szeremietiewo. Natychmiast.

W Tbilisi - znanym niegdyś jako Tyflis - było już ciemno, kiedy Katinka zjawiała się na lotnisku, pełnym wrzeszczących taksówkarzy, sprzedawców, żołnierzy i rozbójników. Ale kierowca czekał na nią z tabliczką z napisem „Wińska” i wołgą, którą najwyraźniej można było uruchomić tylko za pomocą dwóch drutów. Kiedy wjechali do miasta, słabo oświetlone ulice rozbrzmiewały echem wystrzałów wojny domowej. Hotel Meteczi Pałace, brzydki nowoczesny budynek ze szklanymi windami i holem, z rzędami zielonych balkonów sięgających do gigantycznego świetlika, był obstawiony przez Gruzinów z kałasznikowami.

Zostawiwszy bagaż w hotelu, Katinka pojechała taksówką do miasta, mijając posterunki kontrolne obsadzone przez uzbrojonych ludzi w pstrokatych mundurach, należących do kilku prywatnych armii. Milicja wydawała się zagubiona we własnym mieście. Wiele budynków było zniszczonych.

Katinka nigdy nie była w Gruzji: jej rodzina spędzała wakacje w Soczi nad Morzem Czarnym. Oczywiście wiele o niej słyszała: kosz owoców, beczka wina, klejnot w koronie, stolica rozpusty imperium radzieckiego z jej winnicami i ogrodami warzywnymi, wodą mineralną Borżomi w słynnych zielonych butelkach, ze skorumpowanymi komunistycznymi dygnitarzami żyjącymi jak sułtanowie, z błyskotliwymi intelektualistami i namiętnymi kochankami. Ale Gruzja miała też ciemną stronę. Wydała Stalina i Berię - a także innych sławnych komunistów z trudnymi do wymówienia, trochę dziwnymi gruzińskimi nazwiskami: Sergo Ordżonikidzego, Awła Jenukidzego i marszałka Herkulesa Satinowa.

Taksówka zawiozła ją do centrum przez plac Wolności (plac Erewański w czasach carskich, później plac Berii, potem plac Lenina) i szeroki Prospekt Rustawelego (Prospekt Gołowiński w czasach carskich) z jego teatrami i pałacami. Kierowca nie wiedział, jak dojechać we wskazane miejsce: pytał ludzi o drogę. Zawrócił samochód, nie bacząc na wycie klaksonów, i minął wypalony szkielet hotelu Tbilisi, niegdyś najelegantszego na południe od Moskwy. Wreszcie zatrzymali się u stóp wzgórza, pod cerkwią z okrągłą wieżą w stylu gruzińskim, i kierowca wyciągnął rękę w ciemność.

- To tam!

Katinka zapłaciła mu w dolarach, a później ruszyła ostrożnie w głąb ciemnej uliczki. Wysokie mury rezydencji były obrośnięte dzikim winem, nad dziedzińcami zwieszały się ozdobione kwiatami balkony, gdzie rozbrzmiewał śmiech i migotały latarnie. Brodaty mężczyzna z gęstymi siwymi włosami, których Gruzini najwyraźniej nigdy nie tracili, uniósł latarnię.

- Dokąd idziesz? Zgubiłaś się?

Zobaczyła, że ma dubeltówkę, ale nie czuła strachu.

- Kawiarnia Biblioteka? - spytała.

- Chodź! - Jego rosyjski był okropny, ale ujął ją za rękę i poprowadził brukowaną ulicą, aż dotarli do domu niemal całkowicie porośniętego winem. Otworzył podwójne drewniane drzwi do zdewastowanej marmurowej sieni, oświetlonej świecami i przesyconej zapachem gruzińskich potraw. Na prawo znajdowały się wielkie odrapane drzwi. Pchnął je, mówiąc coś po gruzińsku, a dubeltówka na jego ramieniu przechyliła się niepokojąco.

- Chodź! To jest kawiarnia Biblioteka!

Oniemiała ze zdumienia Katinka weszła do kawiarni w migotliwym blasku świec kapiących woskiem. Pachniało tu wspaniale: *tkemali*, imbirem, jabłkami i migdałami. Niegdyś mieściła się tutaj biblioteka, półki na książki wciąż stały pomiędzy stolikami i za barem. Ściany zdobiły mapy, sztandary carskich pułków gwardii, gruzińskich brygad i bolszewickich robotników, rysunki, godne i obsceniczne, obrazy, ikony, stare gruzińskie mundury, miecze i sztylety, popiersia Mozarta, królowej Tamary, Stalina i jakiegoś rzymskiego senatora. Niektóre półki zbutwiały i zawaliły się, a bezcenne stare woluminy spadły na podłogę, gdzie teraz leżały z żółtymi pergaminowymi stronkami otwartymi jak wachlarze.

Przy małych stolikach samotny starszy mężczyzna w berecie czytał w półmroku, grupa amerykańskich turystów w żółtych swetrach i wielkich szortach, z zatkniętymi za pas na biodrach portfelami (nęącymi gruzińskich bandytów), wznosiła toasty gruzińskim winem, a dwaj Gruzini dyskutowali głośno o polityce.

- Szewardnadze to zdrajca, szpieg, KGB! - krzyknął jeden.

- Zwiad to idiota, szpieg, KGB! - odciął się drugi.

- Chcesz stolik? Wino? Kolację? - spytał wysoki szczupły Gruzin w niebieskim berecie, kaftanie z kieszeniami na naboje i z ozdobnym sztyletem u pasa. Skłonił się. - Wyglądasz, jakbyś zabłądziła.

- Czy znasz Audrey Zeitlin? Chcę się z nią zobaczyć.

- Starą angielską damę? To nasz talizman! Karmimy ją codziennie. Pracowała tu przez długi czas, uczyła angielskiego nas i nasze dzieci! Chodź na górę!

Katinka poszła za nim na pierwsze piętro, a później długim korytarzem, gdzie dzikie wino przebiło się przez ścianę i splotło z innymi pędami wchodzącymi przez okno, którego nie dawało się już zamknąć. Zapukał do drzwi na końcu korytarza.

-Anuko! -zawołał.

Ci Gruzini, pomyślała Katinka, ze swoimi śmiesznymi zdrobnieniami!

- Masz gościa, Anuko! Nie było odpowiedzi.

Odczekał chwilę i otworzył drzwi.

- Zawsze miałam nadzieję, że przyjdiesz - powiedziała Lala zduszonym głosem.

Była w szlafroku narzuconym na nocną koszulę i miała długie siwe włosy. Nie wiele z niej zostało, właściwie same kości okryte skórą tak delikatną, że niemal przezroczystą. Ale to jej oczy, wydające się ogromne w swojej przenikliwości, zafascynowały Katinę, ponieważ miały w sobie śmiałą, niezłomną siłę woli, która przyciągała uwagę. - Czekałam przez pięćdziesiąt lat. Co cię zatrzymywało tak długo?

- Dobry wieczór - powiedziała Katinka z wahaniem, obawiając się, że trafiła w niewłaściwe miejsce, a mimo to zaskoczona, że ta stara kobieta zdawała się ją znać. - Przysłał mnie do pani marszałek Satinow.

- Ach, Satinow. Był naszym bohaterem, naszym aniołem stróżem. Jest już stary, oczywiście. Chociaż nie tak stary jak ja. Usiądź, usiądź.

Katinka usiadła na fotelu w rogu małego pokoiku. Była tam jedna świeca przy łóżku, fotografie eleganckich panów w sztywnych kołnierzykach i melonikach oraz wyniosłej uczennicy w białym fartuszkach, srebrny model szybu naftowego i mnóstwo starych książek.

- Tutaj, dziewczyno, popraw mi poduszkę i przynieś kieliszek wina. Poproś Tengiza na dole. Potem będziemy rozmawiać. Przez całą noc. W moim wieku nie śpi się wiele. Kto chciałby żyć, mając tyle lat, co ja? To żałosne. Wszyscy moi przyjaciele nie żyją i to nie jest zabawne! Mój mąż nie żyje od czterdziestu lat. Ale ja czekałam. Czekałam na ciebie, drogie dziecko. A teraz tu jesteś, przysłał cię marszałek Satinow. Chce, żebyś odnalazła moje utracone dzieci, prawda? Będziesz notować, moja droga?

Czując się tak, jakby wkraczała do snu, Katinka sięgnęła do torby po zeszyt i ołówki.

- Opowiem ci o Saszeńce, Śnieżynce i Karlu.

- Zaraz, znam Saszeńkę, ale kim jest Śnieżynka i...

- Nic nie wiesz, dziewczyno? Śnieżynka i Karlo byli dziećmi Saszeńki. Naprawdę nazywali się Wola i Karlmarks. Opowiem ci o nich, ale najpierw otwórz okno, dobrze?

Katinka z radością wpuściła do pokoju trochę świeżego powietrza. Na zewnątrz kipiał senny ogród. Zapach fiołków, róż i tych migdałowych, jabłkowych kwiatów *tkemali* przenikał do dusznego pokoju falami przez staromodne okiennice. Z pokoiów na dole dolatywały silne aromaty imbiru i gałki muszkatołowej.

I tak, popijając wino i jedząc *chaczapuri*. przyniesione przez, gruzińskiego wojownika z kawiarni, Katinka przeniosła się w czasie do niewyobrażalnej epoki w domu przy ulicy Bolszaja Morskaja w Piotrogradzie, gdzie bogaty żydowski bankier i jego niewierna żona wychowywali córkę imieniem Saszeńka z pomocą młodej angielskiej niani, której rodzice prowadzili pub Żyj i Pozwól Żyć Innym w wiosce pod nazwą Pegsdon niedaleko targowego miasta i Lilchins w Hertfordshire. „Lala” Lewis, jak nazywała ją kiedyś Saszeńka - „I ty też musisz mnie tak nazywać, Katinko” - zdawała się wiedzieć wszystko o rodzinie Zeitlinów. Opisała poważne, niezdarne dziecko, tyranizowane i lekceważone przez matkę, kochane z oddali przez ojca, rozpieszczane przez oddaną nianię.

Cóż za obraz tamtych czasów nakreśliła Lala Lewis: samochody ze szklanymi przegrodami, chromowanymi światłami, skórzaną i lekową lapicerka, powozy i sanie z pocztulionami w cylindrach i baranicach; milionerzy, książęta i rewolucjoniści, wujowie i kierowcy, załamania i samobójstwa.

- Zakochałam się w baronie Zeitlinie tutaj, w tym domu w Tbilisi, który należał do niego, dawno, dawno temu - powiedziała Lala Kalince i wyznała, że później, w gabinecie eleganckiej restauracji Le Donan w Piotrogradzie. poprosił ją, aby za niego wyszła.

- Samuel stracił wszystko w 1917 roku, ale zrobił karierę w służbie radzieckiej, potem znowu stracił wszystko w 1929 roku i wróciliśmy tutaj. Uważaliśmy, że tak będzie bezpieczniej. Czuliśmy, że nie mamy dużo czasu, więc nie traciliśmy ani chwili - powiedziała. - Tak bardzo się kochaliśmy. Każdy dzień był miodowym miesiącem, każdy pocałunek prezentem, darem losu. W Moskwie Saszeńka i Wania - jak wszyscy nazywali jej męża - byli ważnymi figurami. Znali wszystkich, nawet Stalina - Saszeńka była redaktorem naczelnym magazynu, a Wania czekistą, prawdopodobnie strasznym rzeźnikiem, chociaż wydawał się miłym człowiekiem. Tęskniliśmy za nimi - kochałam Sa-szeńkę tak samo jak Samuel. To przede wszystkim miłość do Saszeńki związała nas ze sobą. Kiedy NKWD zabrało Samuela, wiedziałam, że jest zgubiony, i czekałam, kiedy mnie też zabiorą. Pracowałam tutaj, w kawiarni, uczyłam angielskiego, zajmowałam się dziećmi, stałam się najlepszą nauczycielką angielskiego w mieście. Uczyłam dzieci dygnitarzy i nadal trochę uczyć! Ale uprzedzam wydarzenia. Kiedy zabrali Samuela, opłakałam go. Listy i pieniądze, które posyłałam, wracały: to oznaczało, że nie żyje. Potem zabrali również Saszeńkę i Wanię. Wtedy wpadłam w rozpacz. Wyobraź więc sobie moje zdumienie, kiedy Samuel wrócił. Och, przypadkowość śmierci w tamtych czasach!

- Jak Samuel przyjął zniknięcie Saszeńki?

- Kiedy Samuel leżał na łożu śmierci, powiedział: „Saszeńko kochana, mój mały

lisku, czy pocałujesz mnie, Saszeńko, zanim umrę?". Był pewien, że Sa-szeńka wróci. Obiecałam więc, że na nią zaczekam.

- Jesteś zmęczona, Lalo? - spytała Katinka, zaniepokojona o Lalę, choć bardzo ciekawa dalszego ciągu jej historii. - Chcesz się trochę przespać? - Zauważyła łyzy płynące po policzkach staruszki.

- Jestem zmęczona, ale tak długo czekałam, żeby o tym opowiedzieć. Widzisz, kiedy Samuel był w obozie, towarzysz Satinow wezwał mnie do Pałacu Namiestnikowskiego z prośbą, której nie mogłam odmówić. Słuchaj mnie, Katinko. Nie będę miała siły opowiedzieć tego drugi raz.

- Słucham, przysięgam!

- Herkules Satinow był bohaterem. Miał młodą żonę i małe dziecko i wszystkie przywileje swojej rangi. Mógł zostać rozstrzelany za pomoc dzieciom Saszeńki, ale załatwił wszystko. Kiedy wszyscy dookoła byli lizusami, tchórzami i mordercami, on jeden miał odwagę zachować się przyzwoicie. Jeśli opisziesz tę historię, napisz to

- Dobrze - powiedziała Katinka, przypominając sobie starego marszałka i wyraz bólu na jego twarzy, kiedy zapytała o Saszeńkę i jej dzieci.

- W Pałacu Namiestnikowskim - tam mieścił się wtedy komitet partii komunistycznej - Satinow powiedział mi, że coś strasznego przydarzyło się Saszeń-ce i Wani, a ja muszę zająć się ich dziećmi. Kazał mi pojechać na dworzec w Rostowie, gdzie znalazłam dzieci i ich nianię, Karolinę, w bufecie. Były zmęczone, głodne i brudne, ale od razu je pokochałam. Zupełnie jakbym sama je wychowywała, ponieważ Saszeńka troszczyła się o nie tak jak ja o nią. Śnieżynka była tak podobna do Saszeńki, że pocałowałam ją, gdy tylko ją zobaczyłam, a ona rzuciła mi się w ramiona! Karło był cudowny, niesforny i wesoły, jak jego ojciec, ale miał oczy i uśmiech Samuela, nawet jego dołeczki. Dzieci od razu mi zaufały, nie wiem dlaczego, może wyczuły więź ze swoją mamą. Och, to było straszne! Najpierw straciły ojca, potem matkę, a potem Karolinę: ona też była dla nich jak matka. Wyszłam z hotelu w Rostowie, kiedy jeszcze spała - wciąż czuję się winna z tego powodu - ale miałam nadzieję, że to zrozumie, bo ona też ryzykowała życie dla tych dzieci.

- Co się z nią stało? - spytała Katinka, ale stara kobieta nie przerwała swojej opowieści, jakby nie chciała tracić sił na rzeczy mniej istotne. Katinka nagle zrozumiała, że Lala Lewis opowiada jej historię, na której opowiedzenie nie potrafił się zdobyć Satinow.

Lala upiła łyk czerwonego wina, rozlewając trochę na swoją nocną koszulę. Próbowwała ją wytrzeć, ale ręka za bardzo jej drżała, więc dała temu spokój.

- Błagałam go, żeby pozwolił mi zatrzymać dzieci, ale powiedział, że mnie też mogą aresztować, i co wtedy? Wiedziałam więc, że będę się nimi opiekowała tylko przez krótki czas, i musiałam go wykorzystać. Nasze pięć dni i nocy spędzonych razem to było o wiele za krótko. Straciłam Samuela, ale zyskałam dzieci. Satinow dał mi dosyć pieniędzy najedzenie dla dzieci i mieliśmy papiery, mogliśmy więc poruszać się swobodnie. Miałam rodzinę. „Gdzie mama? Kiedy mama wróci?” - pytały dzieci, ale Satinow kazał mi powiedzieć, że ich rodzice zginęli w wypadku. To była straszna chwila. Tuliły się do mnie i do tej poduszki, tej śmiesznej poduszki, która stała się matką i ojcem dla kochanej Śnieżynki, i do różowego królika, którego Karlo całował każdej nocy. Chciałam je całować i przytulać, rozpieszczać, pocieszać. Chciałam je otoczyć miłością. Ale nie mogłam pozwolić, żeby się do mnie za bardzo zbliżyły, bo wiedziałam, że niebawem ja też mogę zniknąć. Spały w moim łóżku, tak, właśnie w tym łóżku, a ja cieszyłam się tymi nocami, każdą sekundą. Kiedy tak leżałam pomiędzy nimi, czując na sobie ich miękkie rączki i słodki oddech, płakałam nad nimi i nad Saszeńką, ale nie mogłam się poruszyć ani wydać żadnego dźwięku, więc łzy płynęły w milczeniu. Jak podziemny strumień. Rano poduszka była przemoczona.

- Pewnego ranka Śnieżynka mnie pocałowała. „Czy możemy jechać do domu, Lulu? Gdzie jest teraz mama?” - spytała. „Myślę, że patrzy na ciebie”. „Jak gwiazdy na niebie?”. „Właśnie tak. Zawsze będzie czuwać nad tobą, kochanie”. „Dlaczego odeszła i zostawiła nas?” „Nie chciała odchodzić, kochanie. Wiem, że kochała ciebie i Karla bardziej niż cokolwiek na świecie. W nocy, gdziekolwiek będziesz, pocałuje cię w czoło, o tak, a ty się nie obudzisz. Ale rano poczujesz nad sobą lekki wiaterek i będziesz wiedziała, że ona tam była”. „A co z tatą?”. „Tata też cię pocałuje w czoło z drugiej strony”. „Czy będziesz dla nas jak nasza mama?”.

- Och, Katinko, drogie dziecko, czy możesz sobie wyobrazić taką rozmowę? Musiałam je zabrać do Sierocińca Ławrientija Berii za miastem. Piekielne miejsce. Nawet wizyta tam była ciężkim przeżyciem. Ale dostały pieczątki w papierach dla rodzin, które je adoptowały. Satinow dobrze to załatwił, nie zostały więc zarejestrowane jako dzieci wrogów ludu, ale jako zwyczajne sieroty. Nie wiem, jak to zrobił. Przerazało mnie rozstanie z nimi. Kochałam oboje, Śnieżynkę i Karla. Drogie dziecko, wciąż czuję zapach ich skóry, wciąż patrzę im w oczy, słyszę ich głosy - musiałam je zostawić, a co najgorsze, musiałam rozdzielić brata i siostrę. Nigdy więcej się nie zobaczyły! Jeden cios po drugim!

Łzy płynęły po jej pomarszczonych policzkach. Katinka była tak poruszona, że też się rozpląkała i bez słowa usiadła na łóżku i przytuliła Lale. Potem Lala wypila jeszcze łyk wina, zjadła trochę *chaczapuri* i odchrząknęła.

- Masz siłę mówić dalej? - spytała Katinka.

- Mam. A ty masz siłę słuchać? - odparła, przecierając oczy. - Dobrze się trzymam jak na swój wiek, co?

- Kim byli ludzie, którzy je wzięli? Pamiętasz?

- Nie znałam ich nazwisk. Satinow o to zadbał. Tylko on wiedział. Ale pamiętam dzień, kiedy ich spotkałam, jakby to było wczoraj. Och, co to była za męka! Karlo bawił się pociągami w sierocińcu. Śnieżynka urządzała przyjęcie dla poduszek. I wtedy przyjechali ich nowi rodzice. Myślę, że to byli dobrzy ludzie, ale nie byli tacy jak Saszeńka czy ja - nie byli serdeczni. Żydowskie małżeństwo - nie powiedzieli tego, ale przyjechali z Odessy albo z Nikołajewa, gdzieś znad Morza Czarnego - byli dosyć mili, ale nie przywykli do zajmowania się dziećmi. W średnim wieku, z kręconymi włosami, intelektualiści. Chciałam im powiedzieć, że matka Saszetki też była Żydówką, więc miała z nimi coś wspólnego. Opowiedziałam im o ulubionych zabawach Śnieżynki, a oni, na swój sztywny sposób, zaczęli się z nią bawić. Później się tym pocieszałam. Zostawiłam z nimi Śnieżynkę, mając nadzieję, że zaczną się wzajemnie poznawać. Ale tak się nie stało. Śnieżynka pobiegła za mną. „Gdzie Lala?” - krzychała. „Lalu, nie zostawisz nas, prawda, Lalu? Gdzie Karlo, chcę zostać z Karlem! Karlo!”.

- Kiedy ją zabierali, Śnieżynka ryczała. „Lalu, obiecałaś, Lalu, na pomoc, Lalu!”. Chciała być ze mną, chciała być z bratem. W końcu opiekunki i strażnicy siłą wsadzili ją do samochodu. Kopała i krzychała: „Lalu, obiecałaś!”. W końcu jej nowi rodzice wsiedli do samochodu i odjechali. A ja usiadłam na podłodze i też ryczałam, jak zwierzę, na oczach wszystkich w tym sierocińcu...

Katinka poczuła się wyczerpana, a jednocześnie podekscytowana.

- To małżeństwo z Odessy to musieli być Liberhartowie - powiedziała. - Roza to Śnieżynka.

Ale Lala wciąż mówiła, jakby nie słyszała.

- To samo było z Karlem i z tamtymi chłopami.

- Chłopami? - spytała Katinka.

- Małżeństwem, które zabrało Karla. Kiedy Śnieżynka odjechała, zaczął płakać: „Gdzie jest Śnieżynka? Chcę przytulić Śnieżynkę! Lalu, nie zostawisz mnie, prawda, Lalu?”. Nie wiem, jak przeżyłam ten dzień. On też się bronił, kiedy go zabierali. Wciąż słyszę jego głos... Pod pewnymi względami dla niego to było łatwiejsze, bo miał tylko trzy lata. Modliłam się, żeby nie pamiętał Saszeńki i Wani, i może nie pa-

miętał. Zmienił mu imię. Podobno trzy lata to granica pomiędzy tym, co się pamięta i co się zapomina. Katinka ujęła dłonie Lali w swoje.

- Lalu, mam dla ciebie cudowne wiadomości.

- Co? Czy to Saszeńka? - Spojrzała na cienie przy drzwiach. - Czy jest tu Saszeńka? Wiedziałam, że przyjdzie.

- Nie, Lalu. Nie wiemy, gdzie jest Saszeńka.

- Wiesz, często o niej śnię. Jestem pewna, że żyje, bo wszyscy myśleliśmy, że Samuel umarł, a on powrócił z martwych. Znajdź ją, Katinko. Przywieź ją do mnie.

- Zrobię, co będę mogła, ale mam ci coś jeszcze do powiedzenia. Chyba odnalazłam twoją Śnieżynkę. Ludzie, którzy ją adoptowali, nazywali się Li-berhartowie i dali jej na imię Roza. Zadzwoń do niej dziś wieczorem i przywieź ją do ciebie. Wtedy sama jej wszystko opowiesz.

Lala spojrzała na Katinkę i odwróciła głowę, zasłaniając ręką oczy.

- Wiedziałam, że nie czekam na próżno. Ten Satinow to anioł, anioł - szepnęła. Potem wyprostowała się, patrząc na Katinkę. - Chcę się spotkać ze Śnieżynką. Ale nie zwlekaj z tym zbyt długo. Nie jestem nieśmiertelna.

Kiedy Katinka wstała, zakręciło jej się w głowie. Miała wrażenie, jakby sama przeżywała te dramatyczne rozstania.

- Muszę wrócić do hotelu i zadzwonić do Rozy. Ale Lala zatrzymała ją.

- Nie, nie... zostań ze mną. Tak długo czekałam, boję się, że nie wrócisz i że to tylko sen. Sen, który często mi się śni. Samuel, z kieliszkiem gruzińskiego wina w ręku, prowadzi mnie do biblioteki pełnej starych książek i różnych osobliwości w zrzuconej rezydencji obrośniętej dzikim winem i bzem. A Saszeńka, na saniach z dzwonekami, pędzi ulicami Petersburga, śmieje się i mówi: „Szybciej, Lalu, szybciej...”. A potem budzę się, w tym małym pokoiku, sama.

- Oczywiście, że zostanę - powiedziała Katinka, siadając ponownie na fotelu w rogu. Była zadowolona, że nie musi wracać do swojego nieprzyjaznego hotelu na przedmieściach.

W nocy obudził ją głos Lali, która siedziała na łóżku i mówiła do siebie. - Aresztowali ją przed bramą szkoły, baronie. Tak, żandarmi ją aresztowali... Co będziemy dzisiaj robiły, Saszeńko? Pojeździmy na łyżwach, kochanie?

Nie, jeśli będziesz grzeczna, kupimy puszkę herbatników Huntley & Palmer w Angielskim Sklepie na Newskim. Pantalejmonie, sprowadź sanie...

Katinka podeszła do łóżka. Lala miała otwarte oczy i przyciskała do piersi fotografię: to była Saszeńka w białym fartuszkowi Instytutu Smolnego.

- Spij, Lalu, śpij - szepnęła Katinka, głaszcząc ją po głowie.

- Czy to ty, Saszeńko? Och, moje kochanie, wiedziałam, że wrócisz. Tak się cieszę, że cię widzę... - Głowa Lali opadła na poduszkę. Katinka pomyślała, że we śnie jej twarz odmłodziła, stając się znowu twarzą tamtej dziewczyny, która wiele lat temu przyjechała z Anglii.

Potem wróciła na swój fotel i zaczęła płakać - nie bardzo wiedziała, dlaczego - póki znowu nie zasnęła.

15

Był rześki poranek gruzińskiej wiosny. Kiedy Katinka się obudziła, zasłony były rozsunięte. Lala, w wystrzępionym różowym szlafroku, trzymała małą filiżankę tureckiej kawy i płaski bochenek chleba, przyniesiony z dołu.

Za oknem Gruzini śpiewali *Suliko* w drodze do pracy. W Tbilisi było mnóstwo muzyki. Z ogrodu dolatywał zapach *tkemali*, z kuchni na dole aromat świeżej kawy oraz brzęk sztućców i naczyń.

- Dzień dobry, drogie dziecko - powiedziała Lala. - Biegnij na dół i przynieś sobie kawy.

Katinka usiadła i przetarła oczy. Musiała wracać do hotelu i zadzwonić do Rozy. Prawie wykonała swoje zadanie, ale wciąż zostało sporo do zrobienia. Czy Karlo jeszcze żył? I musiała się dowiedzieć, co się stało z Saszeńką i Wanią. Jakby czytając w jej myślach, Lala powiedziała:

- Serce mi mówi, że Saszeńka żyje - i znam kogoś, kto może nam pomóc ją odnaleźć.

* * *

Następnego dnia o dziesiątej rano Katinka była już z powrotem w Moskwie i szła ulicą Twerską. Jako studentka często zaglądała do sklepu Świat Książek przy Twerskiej. Teraz nacisnęła dzwonek przy trzecich drzwiach budynku. Kiedy drzwi się otworzyły, weszła do kamiennej sieni, przesyconej nieodłącznym zapachem kapusty, i wjechała na najwyższe piętro zgrzytającą windą, która przypominała jej puszkę sardynek zawieszoną na linie. Ale po wyjściu z windy zaniemówiła ze zdumienia. Zamiast

na podest z trojgiem lub czworgiem drzwi winda otworzyła się w mieszkaniu z wysokim sufitem, wyłożonym sosnową boazerią, pełnym ciemnych, pięknych mebli, jakie zwykle widywała w muzeach. Ściany były zastawione książkami i grubymi czasopi-smami z okresu radzieckiego, i obwieszone obrazami w złożonych ramach. Nie był to przytłaczająco okazały apartament, taki jak marszałka Satinowa, lecz przytulne i arystokratyczne mieszkanie zamożnego estety z czasów carskich.

- Witaj, Katinko - powiedziała starsza kobieta stojąca pośrodku pokoju. Dobrze ubrana, ze zgrabną figurą, umiejętnie podkreśloną przez tweedowy kostium w stylu Marleny Dietrich i odpowiednią fryzurę, pasowała do tego wnętrza tak doskonale, że mogłaby tu pozować fotografowi z żurnala mody. Katinka domyśliła się, że kobieta ma ponad osiemdziesiąt lat, ale z ostrymi brwiami i gęstymi włosami ufarbowanymi na czarno trzymała się jak aktorka na swoim ostatnim tournee.

- Jestem Muszka Zeitlin - przedstawiła się, wyciągając rękę. - Wejdz, to cię oprowadzę. To był gabinet mojego ojca... - Poprowadziła Katinkę do małego pokoju, zawalonego papierami i książkami, wskazując na całą ścianę woluminów. - To wszystko jego dzieła. Zapewne pamiętasz niektóre z nich

- czy może jesteś za młoda...

- Nie, znam jego nazwisko - odparła Katinka. - W biblioteczce ojca mieliśmy wszystkie książki Gideona Zeitlina, obok Gorkiego, Erenburga i Szołochowa...

- Gigant epoki radzieckiej - powiedziała Muszka, która mówiła po rosyjsku jak szlachcianka albo absolwentka Radzieckiej Szkoły Języków Obcych.

- Proszę! - Wskazała na wielkie, czarno-białe fotografie na ścianie, przedstawiające czarnookiego mężczyznę z siwiejącą brodą, z takimi samymi oczami i uśmiechem jak jego córka. - To mój ojciec z Picassem i Erenburgiem w Paryżu, a to on z marszałkiem Żukowem w Kancelarii Hitlera w 1945 roku. Och, a to on z jedną ze swoich licznych przyjaciółek. Nazywałam go *Papa Momzer*- w jidysz to znaczy „tata nicpoń”. Moja siostra i matka zmarły podczas blokady Leningradu, ale mój ojciec i ja, z naszym poczuciem humoru, przetrwaliśmy wojny, rewolucje i terror. A nawet rozkwitaliśmy, co przyznaję ze wstydem. Napijmy się herbaty. - Przeszły przez imponującą przedpokój i usiadły przy wielkim kuchennym stole. - Pisziesz o moim ojcu?

- Nie, tak naprawdę nie dlatego przyszedłam do pani... - Katinka zaczerwieniła się, ale Muszka Zeitlin machnęła ręką.

- Oczywiście, że nie, bo i dlaczego by, moja droga. Jesteście nowym pokoleniem. Ale powiedziałaś, że jesteś historykiem. - Zapaliła gauloise'a w srebrnej cygarniczce i zaproponowała papierosa Katince.

- Nie, dziękuję - powiedziała Katinka. Potem opowiedziała Muszce o spotkaniu z Rozą i Paszą i całą historię aż do poprzedniego dnia z Lalą. - Lala przysłała mnie do

pani. Miała pani adres, chyba musiała go przechować po śmierci Samuela. A teraz wiemy, że moja klientka, Roza Getman, jest Śnieżynką, córką Saszeńki.

- Boże! Śnieżynka! - Muszka straciła całą swoją zuchwałość i nagle rozplakała się. - Nie mogę w to uwierzyć! Tak pragnęliśmy odnaleźć to dziecko. A co z Karlem?

- Mam nadzieję, że też zdołamy go jakoś odszukać.

- Ale Śnieżynka żyje i ma się dobrze? Nie mogę w to uwierzyć! - Muszka wyciągnęła ręce do Katinki, jakby to ona była dawno zaginioną krewną. - Jesteś aniołem przynoszącym nam błogosławieństwo! Mogę do niej zadzwonić? Kiedy mogłabym się z nią spotkać?

- Mam nadzieję, że niedługo - odparła Katinka. - Ale zostało jeszcze sporo niewiadomych. Przyszłam do pani z tą dobrą wiadomością, ale także po to, żeby panią spytać - czy kiedykolwiek szukała pani Saszeńki i Wani?

- Aż do swojej śmierci mój ojciec próbował się dowiedzieć, co się stało z nimi i z dziećmi. Wiele razy za rządów Stalina mój ojciec sam był bliski zguby, chociaż należał do ulubionych pisarzy (dyktatora). Pod koniec wojny pojechał do Tbilisi, żeby jeszcze raz spotkać się ze swoim starszym bratem Samuelem - i Lalą Lewis, oczywiście. Ci dwoje byli razem bardzo szczęśliwi. To było takie radosne spotkanie, bracia nie widzieli się od wielu lat. W każdym razie, Samuel wymógł na moim ojcu obietnicę, że postara się czegoś dowiedzieć o Saszeńce i jej rodzinie.

- Dowiedział się czegoś? - spytała Katinka, sięgając po notatnik.

- O, tak. Jeszcze za życia Stalina ojciec zwrócił się do NKWD i powiedziano mu, że w 1939 roku Saszeńka i Wania zostali skazani na dziesięć lat obozu. Spróbowaliśmy znowu w 1949, kiedy Saszeńka miała wyjść na wolność, ale dowiedzieliśmy się, że dostała następne dziesięć lat bez prawa korespondencji. Podczas odwilży po śmierci Stalina powiedziano nam, że oboje zmarli na atak serca w obozach podczas wojny.

- A więc nie ma już żadnej nadziei.

- Tak uważaliśmy - powiedziała Muszka. - Ale w 1956 roku pewna była więźniarka, dopiero co zwolniona, zatelefonowała do nas i powiedziała, że przebywała razem z Saszeńką w obozach na Kołymie, że widziała ją całkiem niedawno i że Saszeńka jeszcze żyła, kiedy w marcu 1953 roku umarł Stalin. Serce podskoczyło Katince w piersiach.

* * *

Nieco później tego samego dnia opancerzony mercedes zabrał Katinkę spod hotelu Moskwa i zawiózł ją do siedziby Paszy Getmana, dawnej rezydencji księżęcej przy

Ostażence. Katinka bardzo chciała zobaczyć „Pałac”, jak nazywała go prasa. Mówiono, iż jest to wylęgarnia politycznych i finansowych intryg, poczuła się więc rozczarowana, kiedy samochód przejechał przez strzeżoną bramę i zatrzymał się przed małym, jednopiętrowym budynkiem z białego marmuru z kolumnami w stylu orientальnym. Hol, z wieloma otomanami i fontannami, był zdaniem Katinki urządony jak harem tureckiego sułtana. Przywitała ją piękna czarnowłosa sekretarka, rosyjska dziewczyna niewiele starsza od niej, w czarnym kostiumie z krótką spódnicą ze złotym paskiem i w pantoflach na bardzo wysokim obcasie. Katinka zorientowała się od razu, że nie zajmuje się ona wyłącznie pisaniem na maszynie.

Postukując obcasami na marmurowej posadzce, sekretarka poprowadziła Katinę, nieco skrępowaną w swojej dżinsowej spódniczce, przez pokój zastawiony sprzętem elektronicznym i ekranami telewizyjnymi, strzeżony przez ochroniarzy w niebieskich mundurach, później przez jadalnię, gdzie jakiś młody człowiek sprawdzał układ miejsc, kwiaty i zastawę, do przestronnego nowoczesnego gabinetu, całego ze szkła i chromu, gdzie czekał na nią Pasza Getman.

Rozmawiał przez telefon, ale Roza siedziała na kanapie obok drogich (i okropnych, zdaniem Katinki) dzieł sztuki współczesnej.

- Moja droga, świetnie sobie radzisz - powiedziała Roza, całując Katinę trzy razy i mocno ją ściskając. - Po prostu nie mogę uwierzyć, że dowiedziałaś się tego wszystkiego. Zaraz zadzwonię do Muszki... Gdy tylko wymieniłaś nazwisko Palicyn, Saszeńka i Wania, poczułam się tak, jakbym ich znała.

- Nie wspomniała pani, że miała również brata.

- Chciałam zacząć od rodziców, a nawet teraz trudno mi jest wymawiać jego imię, mówić o nim... - Roza urwała i na chwilę zamknęła oczy. - W każdym razie, nie byłam pewna, co uda ci się znaleźć. Katinko, nie wiem, jak ci dziękować. Zwróciłaś mi kawałek mnie samej, mojej tożsamości. - Kiedy znowu otworzyła fiołkowe oczy, Katinka zobaczyła, że Roza stara się nie rozpłakać.

- Chce pani, żebym dalej szukała? - Katinka uświadomiła sobie, że bardzo chce się dowiedzieć, co się stało z resztą rodziny Rozy, zwłaszcza z Karlem, ale miała też poczucie winy. Czy nie była to niezdrowa fascynacja cudzą tragedią?

- Tak - a tu są pieniądze dla KGB - powiedział Pasza Getman, wychodząc zza biurka, żeby ją uściskać. Podał jej kopertę. - Wiem, że zatrudniłem właściwą osobę. - Katinka pochwyciła spojrzenie Rozy, kiedy to mówił, i wymieniły porozumiewawczy uśmiech. - A teraz idź i znajdź pozostałych Palicynów. Jeśli jeszcze żyją...

* * *

Katinka czuła się bardzo nieswojo, niosąc pieniądze w torebce. Nigdy nie miała przy sobie takiej sumy i była pewna, że je zgubi albo zostanie okradzona. Odetchnęła z ulgą, kiedy weszła do kawiarni Fortepian na Patriarszych Prudach, by spotkać się z dwoma kagiebstami, Marmozetem i Czarodziejem.

Bawiła się przez chwilę grubą kopertą, potem otworzyła ją i pokazała im zielone amerykańskie banknoty.

- Za taką sumę chcemy dostać akta szybko. Powiedział pan jutro, prawda?

- Jest tam wszystko? - spytał Marmozet, zerkając na kopertę.

- Tak, wbrew mojej radzie - powiedziała Katinka. - Pan Getman uparł się, żeby zapłacić.

- Wszystko w Abrahamach Lincolnach? - spytał Czarodziej.

- Nie mam pojęcia - odparła, zażenowana jego gangsterskim żargonem.

- Anioł z Północnego Kaukazu! Jeszcze się nauczysz, jak się robi interesy! - Czarodziej roześmiał się i przygładził rudawe włosy. Kiedy popchnęła kopertę przez stół, poklepał ją po ręku. - Pięknie, dziewczyno. Ty też jesteś piękna.

Katinka szybko cofnęła dłoń i wzdrygnęła się.

- Jutro w moim gabinecie dostaniesz akta Saszeńki i Wani, a także Mendla i Goldeny - obiecał jej Marmozet. - Wszystko, co mamy.

Katinka wstała, ale Czarodziej znowu złapał ją za rękę.

- Hej, dziewczyno, poczekaj, po co ten pośpiech? Powiedz, proszę, panu Getmanowi, iż mamy nadzieję, że to początek znajomości. A co do ciebie, jako historyka: mamy trochę materiałów szpiegowskich z okresu zimnej wojny, które zainteresują zachodnie media i wydawców. Znasz już Londongrad, poleciałaś tam. Zawrzemy z tobą spółkę, jeśli uda ci się zainteresować gazety albo wydawców w Londynie...

- Powiem panu Getmanowi.

- Może odrobinę słodowej whisky, bardzo cenionej przez rodziny królewskie Europy? To Glenfiddich, sławna marka - zaproponował Czarodziej. - Toast za naszą angielską historyczną spółkę?

- Spieszę się - odparła Katinka, pragnąc znaleźć się jak najdalej od tych odrażających typów, następców czekistów, którzy aresztowali Saszeńkę i Wanę.

Wybiegła z kawiarni. W wiosennym powietrzu czuła powiew nowego życia, wokół stawów zakwitały wiśnie i zieleniła się świeża trawa. Kupiła lody i usiadła, podziwiając żonkile rosnące pod drzewami i majestatyczne łabędzie z szaro upierzonym potomstwem pływające po stawie.

Z budki telefonicznej zadzwoniła do Satinowa.

Odebrała Mariko.

- Ojciec jest chory. Upadł. Ma trudności z oddychaniem.

-Ale ja mam mu tyle do powiedzenia. Odnalazłam Śnieżynkę i Lalę Lewis, która opowiedziała mi, jakim był bohaterem, pomagając tamtym dzieciom...

- Już dostatecznie długo z nim rozmawiałaś. Żadnych więcej telefonów. I Mariko z trzaskiem rzuciła słuchawkę.

16

Posiedzenie Kolegium Wojskowego, gabinet narkoma Ł.P. Berii w Obiekcie Specjalnym 110 [więzienie Suchanowka w dawnym monasterze Świętej Katarzyny w Widnoje na przedmieściu Moskwy] 3.00, 21 stycznia 1940 r. Przewodniczący Kolegium Wojskowego W.S. Ulrich: Oskarżony Palicyn, przeczytaliście akt oskarżenia? Rozumiecie zarzuty? Palicyn: Tak, ja, Wania Palicyn, rozumiem zarzuty. Ulrich: Czy macie jakieś zastrzeżenia do któregoś z sędziów? Palicyn: Nie.

Ulrich: Czy przyznajecie się do winy? Palicyn: Tak.

Ulrich: Czy nie spotykaliście się z Mendlem Barmakidem i swoją żoną Saszeńką Zeitlin, aby zaplanować zabójstwo towarzysza Stalina i członków Politbiura? Palicyn: Moja żona nigdy nie była zamieszana w ten spisek. Ulrich: Dajcie spokój, oskarżony Palicyn, mamy przed sobą podpisane przez was zeznanie, z którego wynika, że wy i wyżej wspomniana oskarżona Saszeńka Zeitlin...

Palicyn: Jeśli partia chce...

Ulrich: Partia żąda prawdy. Przestańcie się z nami bawić. Mówcie. Palicyn: Niech żyje partia. Od szesnastego roku życia byłem oddanym i uczciwym bolszewikiem. Nigdy nie zdradziłem partii. Z bezgranicznym zapalem służyłem towarzyszowi Stalinowi i partii przez całe swoje dorosłe życie. Tak samo moja żona Saszeńka. Jeśli jednak partia żąda... Ulrich: Partia pyta: czy przyznajecie się do wszystkich zarzutów? Palicyn: Tak.

Ulrich: Chcecie jeszcze coś dodać, oskarżony Palicyn?

Palicyn: Jestem oddany całym sercem partii komunistycznej i towarzyszowi Stalinowi osobiście. Popelniłem ciężkie grzechy i zbrodnie. Jeśli czeka mnie najwyższy wymiar kary, umrę z radością jako bolszewik z imieniem Stalina na ustach. Niech żyje partia! Niech żyje Stalin!

Ulrich: Sędziowie udadzą się na naradę.

3.22. Sędziowie wracają.

Ulrich: W imieniu Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich Kolegium Wojskowe Sądu Najwyższego rozpatrzyło sprawę i ustaliło, że Iwan Palicyn był członkiem antyradzieckiej grupy trockistowskiej, powiązany z podwójnymi agentami Ochrony i białogwardzistami na usługach japońskiego i francuskiego wywiadu, powiązany ze swoją żoną Aleksandrą „ Saszeńką ” Zeitlin--Palicyn (znaną w kręgach partyjnych jako towarzysz Lis Polarny), Mendlem Barmakidem (znanym w kręgach partyjnych jako towarzysz Piec) i pisarzem Beniaminem Goldenem. Uznawszy oskarżonego Palicyna za winnego wszystkich wymienionych zarzutów z artykułu 58, Kolegium skazuje go na najwyższy wymiar kary, rozstrzelanie. Wyrok jest ostateczny i zostanie wykonany niezwłocznie. ..

Katinka siedziała przy stole w kształcie litery T w gabinecie Marmozeta na Łubiance, czytając stenogram z procesu Wani i oryginały jego zeznań. Marmozet polewował paznokcie i czytał pismo dla kibiców Manchester United - ale Katinka, czując, jak skóra jej Cierpnie, słyszała tylko okrutny werdykt sędziego. Wania Palicyn nie był już dla niej postacią historyczną - był ojcem Rozy, której będzie musiała powiedzieć, że umarł straszną śmiercią. Szukała właśnie w papierach protokołu z egzekucji, kiedy drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł szczur archiwalny, Kuźma, pchając przed sobą wózek z kotami bawiącymi się na dolnej tacce.

- Zbieramy teczki, towarzyszu pułkowniku - mruknął Kuźma w swoim białym fartuchu, kładąc jakieś teczki na wózku i zawracając w stronę drzwi.

Katinka wróciła do przesłuchania Palicyna: przyznał się do zbrodni wymienionych przez kapitana Sagana, którego oba zeznania również znajdowały się w aktach. Ale jej uwagę przykuło coś dziwnego: oryginalne zeznania, podpisane przez Wanię Palicyna w prawym górnym rogu każdej strony, były brudne, jakby wpadły do błotnistej kałuży. Czyżby śledczy rozlał swoją kawę? Dopiero przewracając stronicę, uświadomiła sobie, że te ciemne ślady to plamy krwi. Podniosła papier do twarzy, powąchała go i wydawało jej się, że naprawdę pachnie krwią... Poczula odrazę do Marmozeta i do tego okropnego miejsca.

- Przepraszam, pułkowniku - powiedziała, nie mogąc przestać myśleć o rodzinie Rozy i jej cierpieniach. - W aktach Palicyna nie ma aktu zgonu. Co się z nim stało?

- Jest tam wszystko - odparł pułkownik.

- Czy Wania Palicyn został stracony?

- Jeśli to jest w aktach, tak, jeśli nie, to nie.

- Widziałam się wczoraj z Muszką Zeitlin. Powiedziała, że KGB skazało Saszeńkę na „dziesięć lat bez prawa korespondencji”. Co to znaczy?

- To znaczy, że nie mogła otrzymywać i wysyłać listów ani paczek.

- Więc mogła jeszcze żyć?

- Pewnie.

- Ale te teczki są puste! Bardzo dużo brakuje!

Marmozet wzruszył ramionami i jego nonszalancja ją rozwścieczyła.

- Myślałam, że zawarliśmy układ. - Uświadomiła sobie, że prawie krzyczy. Oboje spojrzeli na Kuźmę, który szedł wolno do drzwi swoim sztywnym krokiem.

- Nie jestem alchemikiem - powiedział Marmozet gniewnie.

Jakież znaczenie mają słowa, nawet stary papier! Teraz zrozumiała, co powiedział jej Maks: na początku archiwa są arkuszami zmielonej masy drzewnej, ale potem ożywają, śpiewają o życiu i śmierci. Czasem są wszystkim, co pozostało po całych rodzinach, i wtedy ulegają metamorfozie. Pieczętki, podpisy i zalecenia na wymiętych, poplamionych skrawkach pożółkłego papieru mogą zawierać w sobie coś zbliżonego do życia, czasem nawet miłości.

Marmozet okrążył stół i wyjął z teczki małą karteczkę: „Przesłać akta sprawy Palicyna do Komitetu Centralnego”.

- Co to znaczy? - spytała go.

- To znaczy, że tego nie ma w tej teczce. Jest w innej, której tu nie ma. A to już nie mój problem.

Właśnie w tym momencie Kuźma splunął grudką zawieszistej flegmy do swojej sopluchaczki z godłem KGB

- Towarzyszu Kuźma, miło pana widzieć - powiedziała, podrywając się. Tłusty kot siedział na wózk, liżąc chudego kociaka. - Jak się mają Utiesow i Ceferman, nasze jazzowe koty?

Tym razem Kuźma otworzył bezzębne usta i wydał piskliwy okrzyk zadowolenia. -Ha!

- Coś im przyniosłam. Mam nadzieję, że będzie im smakowało - powiedziała Katinka, wyjmując z torebki butelkę mleka i puszkę kociego jedzenia.

Kuźma porwał jedno i drugie, jakby się spieszył, charcząc głośno i mruczając do siebie. Wyjął spod wózka brązowy spodek i nalał mleka kotom, które natychmiast zaczęły je chleptać różowymi języczkami. Kiedy splunął entuzjastycznie wysokim zielonym łukiem, Katinka uświadomiła sobie, że sposób plucia jest wskaźnikiem jego nastrojów.

Marmozet prychnął i potrząsnął głową, ale Katinka zignorowała go, uśmiechnęła się do Kuźmy i sięgnęła po następną teczkę.

*Akta śledcze czerwiec 1939r.
Sprawa 161375
Mendel Barmakid (towarzysz Piec)*

Wuj Saszeński, wujeczny dziadek Rozy, towarzysz Lenina i Stalina, nazywany „sumieniem partii” - ale teczka zawierała tylko jedną kartkę papieru:

Do ludowego komisarza Ł.P. Berii, komisaiza bezpieczeństwa państwowego pierwszej rangi

Od zastępcy szefa Głównego Zarządu Bezpieczeństwa Państwowego B. Kobułowa, komisarza bezpieczeństwa państwowego drugiej rangi

12 października 1939 r.

Oskarżony Mendel Barmakid zmarł dzisiaj o 3.00. Lekarz NKWD Miedwie-diew zbadał więźnia i stwierdził zgon na skutek zatrzymania akcji serca. Orzeczenie lekarskie w załączeniu.

A więc Mendel umarł z przyczyn naturalnych. Przynajmniej poznała los jednego z członków rodziny.

- Odłóż papiery - polecił Marmozet.
- Ale jeszcze nie przejrzałam akt Saszeński!
- Masz dwie minuty.
- Zapłaciliśmy za te akta - szepnęła do niego ze złością.
- Nie wiem, o czym mówisz - odparł. - Dwie minuty.
- Marnowaliście mój czas. Złamaliście słowo!
- Minuta pięćdziesiąt sekund.

Katinka nie mogła znieść tego ohydneho miejsca, gdzie cierpieli najbliżsi Rozy. Miała ochotę się rozplakać, ale nie na oczach Marmozeta. Otworzyła teczkę Saszeński. W środku była tylko jedna kartka papieru zawierająca informację, że jej zeznanie liczyło sto sześćdziesiąt siedem stron. Ale zeznania nie było. Tylko adnotacja: „Przesłać akta sprawy Zeitlin-Palicyn do Komitetu Centralnego”.

Pożałowała, że była taka grubiańska wobec Marmozeta.

- Nie ma zeznań Saszeński: czy mogłabym je otrzymać?

- Znieважаłaś mnie, a tym samym Związek Radziecki i kompetentne organy! - Wskazał na białe popiersie Feliksa Dzierżyńskiego. - Znieважаłaś Żelaznego Feliksa!

-Proszę! Przepraszam!

- Zamelduję o tym swojemu przełożonemu, generałowi Fursence, ale jest bardzo wątpliwe, czy się zgodzi.

- W takim razie - powiedziała Katinka, ośmielona odwagą tych, którzy znaleźli się w znacznie większym niebezpieczeństwie - bardzo wątpię, czy pan Ge tman-zechce wam pomóc w sprzedawaniu waszych szpiegowskich tajemnic zagranicznym gazetom.

Marmozet popatrzył na nią, wciągnął policzki, potem wstał i otworzył drzwi.

- Spierdalaj, ty mała dziwko! Skończył się czas takich jak ty! O wszystko obwinacie nas, ale Ameryka wyrządziła Rosji więcej szkody w ciągu kilku lat niż Stalin przez dziesięciolecia! A twój oligarcha może się jebać ze swoją matką. Jesteś tu skończona - a teraz wynoś się!

Katinka wstała, zabrała swoje notatki i torebkę i próbując zachować nieco godności, przeszła powoli obok Kuźmy, który stał w korytarzu, układając teczki na swoim wózku. Rozplakała się: zepsuła wszystko swoim głupim wybuchem złości.

Teraz już nigdy się nie dowie, co się stało z Saszeńką, nie odnajdzie Karła. Zrobiło jej się słabo. To było beznadziejne.

* * *

- To znowu ty? - spytała Mariko cieipko. - Co ci powiedziałam? Nie dzwoń.

- Ale, Mariko, proszę! Proszę mnie posłuchać przez chwilę - błagała Katinka z rozpaczą w głosie. - Dzwonię z budki telefonicznej przed Łubianką! Widziałam się z Lalą w Tbilisi. Chcę podziękować marszałkowi Satinowowi. Dowiedziałam się, jak twój ojciec ocalił tamte dzieci, Śnieżynkę i Karła, jak ryzykował życie. Oni chcą mu podziękować.

Cisza. Słyszała oddech Mariko.

- Ojciec jest bardzo chory. Powiem mu. Nie dzwoń więcej! Połączenie zostało przerwane. Z uczuciem wielkiego zawodu zadzwoniła do Maksa w biurze Fundacji Odkupienia.

- To ty! - przywitał ją radośnie. - Nasze badania nie są łatwe - mnie to się zdarza bez przerwy. Nie trać wiary. Mam pomysł. Spotkajmy się na placu Puszkina.

Katinka zatrzymała ładę, wręczając kierowcy dwa dolary. Dotarła pod pomnik Puszkina pierwsza. Był rześki wiosenny dzień, niebo błękitne, wiał ostry wiatr i świe-

ciło blade słońce. W oparach benzyny i zapachu bżów dziewczęta czekały na swoich ukochanych pod pomnikiem, studenci w okularach czytali na ławkach notatki, przewodniczki w kostiumach z poliestru oprowadzały amerykańskich turystów, limuzyny niemieckich bankierów i rosyjskich kombinatorów zatrzymywały się przed restauracją Puszkina. *Słuch o mnie pójdzie w dal przez całą Ruś* - przeczytała Katinka na pomniku poety. - *Znikomy przetrwa proch, nie będzie w ziemi gnił*⁴. Puszkina pocieszał ją, uspokajał.

Motocykl wtoczył się na chodnik. Maks zdjął swój hełm, trzymając go za rogi, i pocałował ją w zbyt poufały sposób.

- Wyglądasz na wzburzoną - powiedział, biorąc ją za rękę. - Usiądźmy na słońcu i opowiedz mi wszystko.

Kiedy usiedli, Katinka opowiedziała mu o swojej wizycie w Tbilisi, o nocy spędzonej z Lalą, o swoim odkryciu, że Roza Getman jest córką Saszeńki - i o ostatnim spotkaniu z KGB.

- Świetnie sobie radzisz - powiedział jej Maks. - Jestem pod wrażeniem! Pozwól jednak, że ci coś wyjaśnię. Muszka Zeitlin mówi, że według KGB Sa-szeńka została skazana na „dziesięć lat bez prawa korespondencji”. Zwykle to był eufemizm oznaczający egzekucję.

Katince zaparło dech.

- A co z tą była więźniarką, która widziała Saszeńkę w obozie w latach pięćdziesiątych?

- KGB lubiło zwodzić ludzi w ten sposób. Akta KGB mówią, że Mendel zmarł z powodu „zatrzymania akcji serca”. To kolejny eufemizm. Oznacza, że zmarł podczas przesłuchania: zatłukli go na śmierć.

- A więc te akta mają własny język? - spytała.

- Niestety tak. W terrorze była straszliwa przypadkowość, ale jednocześnie w tym świecie nie istniały zbiegi okoliczności: wszystko było powiązane niewidzialnymi nićmi. Musimy je po prostu odnaleźć. „Przesłać akta sprawy Palicy-na do Komitetu Centralnego”. Wiem, co to znaczy. Chodź ze mną. Wsiadaj.

Katinka usiadła za nim na motocyklu, wygładzając spódniczkę na udach. Silnik zaskoczył chrapliwie i Maks włączył się do ruchu. Z Twerskiej skręcił ostro w lewo przy pomniku księcia Dołgorukiego, założyciela Moskwy, i pomknął w dół stromym wzgórzem. Wiatr rozwiewał Katince włosy. Zamknęła oczy, wystawiając twarz na orzeźwiające wiosenne powietrze.

⁴ Przeł. Julian Tuwim

Zatrzymali się przy breżniewowskim betonowym pudełku ze szklanym frontem i ciemną płaskorzeźbą Marksa, Engelsa i Lenina nad obrotowymi drzwiami.

Maks zgasił motocykl i zdjął hełm, odgarniając włosy do tyłu, przez co stał się podobny raczej do heavymetalowego wokalisty niż do historyka. Wszedł do marmurowego holu, a Katinka podążyła za nim, prawie biegnąc. W szarej sali kobiety za stolikami sprzedawały płyty kompaktowe Bon Jovi, kapelusze i rękawiczki, jak na pchlim targu, ale w głębi, gdzie wejścia do wind strzegło dwóch ospowatych nastoletnich żołnierzy, stało białe popiersie Lenina. Maks pokazał im swoją kartę, a oni sprawdzili paszport Katinki, zatrzymali go i dali jej przepustkę.

Maks poprowadził ją po schodach obok bufetu, skąd dolatywał odór kapuśniaku, i do windy, która wjechała na szczyt budynku. Zanim Katinka zdążyła zorientować się, gdzie jest, pociągnął ją do przeszklonej czytelnicy z okrągłą panoramą dachów Moskwy.

- Nie ma czasu na podziwianie widoków - szepnął, a starzy komuniści spojrzeli z dezaprobatą znad swoich pulpity. Skórzane spodnie Maksa szeleściły w cichym pomieszczeniu.

- Mam tu dla nas miejsce. - Usiedli w małej niszy otoczonej wysokimi regałami. - Zaczekaj tu - powiedział. Po chwili wrócił ze stertą brązowych teczek i usiadł bardzo blisko niej. Pachniał skórą, kawą, benzyną i cytrynową wodą kolońską.

- Jesteśmy w archiwum partii - szepnął. - Widzisz te teczki z numerem 558? To archiwum samego Stalina. Nadal jest oficjalnie zamknięte i nie przypuszczam, żeby kiedykolwiek je otworzyli. - Przysunął do siebie pierwszą teczkę. - Przeglądałem je wcześniej i zauważyłem nazwisko Satinowa. Kiedy mówiono, że twoje teczki zostały przesłane do Komitetu Centralnego, to znaczy, że do samego Stalina. To jest różnorodna korespondencja Stalina. Dalej, Katinko, szukaj pod „S” jak Satinow.

Otworzyła teczkę i znalazła notatkę opatrzoną pieczęcią wpływu przez Poskriebyzowa 6 maja 1939 roku o 21.00:

Do I. W. Stalina

Ścisłe tajne. Dowiedziałem się, że Iwan „Wania” Palicyn ustanowił nadzór nad swoją żoną, członkiem partii Aleksandrą „Saszeńką” Zeitlin-Palicyn, bez wiedzy narkoma NKWD i Politbiura.

Podpisano: Ł.P. Beria, komisarz bezpieczeństwa państwowego pierwszej rangi, narkom NKWD

- Widzisz - wyjaśnił Maks - Beria odkrył, że Palicyn podsłuchuje swoją żonę.
- Jak się o tym dowiedział?

- Prawdopodobnie przez zwykłą biurokratyczną pomyłkę. Stenogramy z podsłuchu były zawsze kopiowane dla Berii, a on decydował, które z nich przesłać Stalinowi. Palicyn, oszalały z zazdrości, rozkazał, aby stenogramy przekazywano tylko jemu. Pamiętasz, że napisał „żadnych kopii”? Prawdopodobnie jego sekretarka zapomniała o tym, jak to sekretarki, i przez pomyłkę przesłała je Berii, który zgodnie z przepisami musiał zameldować o tym wykorzystaniu środków rządowych do celów prywatnych samemu Stalinowi. Beria nie chciał zaszkodzić Palicynom i wiedział, że po przyjęciu pierwszomajowym Stalin zaczął traktować Saszeńkę po ojcowsku. Dlatego jego notatka - Maks postukał w kartkę - zawiera suchą informację. Stalin często bywał tolerancyjny, a nawet bawiły go pikantne plotki - chyba że uznał, iż w jakiś sposób został oszukany.

- Ale potem przeczytał stenogramy?

Do towarzysza Iwana Palicyna, komisarza bezpieczeństwa państwowego trzeciej rangi

Zgodnie z poleceniem raport z nadzoru i stenogramy z podsłuchu Aleksandry „Saszeńki” Zeitlin-Palicyn, pokój 403, hotel Metropol, 3 maja 1939 r. Południe: Zeitlin-Palicyn opuściła biuro przy Pietrowce i poszła do Metro-polu, wjechała windą do pokoju 403. Pisarz Benia Golden wszedł do pokoju

piętnaście minut po południu, wyszedł sam o 15.03. Do pokoju dostarczono przekąski i wino.

Katinka przewróciła stronę i znalazła fragment zaznaczony czerwonym ołówkiem:

Golden: Boże, kocham cię. Jesteś taka cudowna, Saszeńko. Zeitlin-Palicyn: Nie mogę uwierzyć, że tu jestem.

Golden: Co, najdroższa? Może nie zadowolilem cię poprzednim razem? Aż krzyczałaś moje imię?

Zeitlin-Palicyn: Jak mogłabym zapomnieć? Wydaje mi się, że sobie to wszystko wyobraziłam. Że miałam halucynacje.

Golden: Chodź tutaj. Rozepnij mnie. To jest raj. Uklęknij przy łóżku i pozwól mi odpakować prezent. O mój Boże, co za widok! Masz taką słodką [słowo zamazane]. Jesteś taka [słowo zamazane]. Gdyby tylko te sztywne komunistyczne babsztyle mogły cię teraz zobaczyć...

Katinka miała wrażenie, że zagląda w intymny zakątek czasu, zaginione sanktuarium prywatnej namiętności w okrutnym świecie, dawno temu. Jej wzrok przyciągnęły słowa podkreślone trzykrotnie grubym ołówkiem.

Zeitlin-Palicyn: O mój Boże, Beniu, uwielbiam twój [słowo nieczytelne], nie mogę uwierzyć, że mnie do tego skłoniłeś, myślałam, że umrę z rozkoszy...

- Ten czerwony ołówek tutaj, te podkreślenia, to Stalin - powiedział Maks, wyciągając ze sterty teczek gruby, oprawiony w skórę notes formatu A4. - To notatnik Poskriebyszowa, który zapisywał wszystkich gości wchodzących do gabinetu Stalina przy placu Świętej Trójcy na Kremlu - znanego wtajemniczonym jako Kącik. - Otworzył go. Poskriebyszow drobnym, starannym charakterem pisma zapisywał nazwiska, daty, godziny. - Spójrz na 7 maja wieczorem.

Katinka przeczytała:

22.00 Ł.P. Bena. Wychodzi 22.30

22.30 LA. Satinow.

Wychodzi 22.45 22.40 Ł.P. Beria. Wychodzi 22.52

- Satinow zjawił się tam niedługo po tym, jak Beria pokazał Stalinowi stenogramy. Dlaczego?

- Beria przychodzi zobaczyć się z Gospodarzem i daje mu stenogramy. Stalin czyta ten gorący materiał z czerwonym ołówkiem w ręku. Rozkazuje Poskriebyszowowi wezwać Satinowa, który jest na placu Starym, w komitecie partii. Na biurku Satinowa dzwoni *wiertuszka*. Poskriebyszow mówi: „Towarzyszu Satinow, towarzysz Stalin was oczekuje. Przyjedzie po was buick”. Stalin jest oburzony tym, co zrobili Saszeńka i Benia. - Maks przeczytał notatkę Stalina dla Berii:

Źle ocenilem tę zdeprawowaną moralnie kobietę. Uważałem ją za przyzwoitą kobietę radziecką. Uczy radzieckie kobiety, jak być gospodyniami domowymi. Jest żoną wysoko postawionego czekisty. Kto wie, jakie tajemnice rozpowiada? Zachowuje się jak ulicznica. Towarzyszu Beria, może powinniśmy ją sprawdzić. I. St.

- Wiesz, co znaczy „sprawdzić”? - spytał Maks. - To znaczy „aresztować”. Rozumiesz już, w jaki sposób, za sprawą kilku przypadków, to wszystko dotarło do Stalina?

Katinka potrząsnęła głową, ogarnięta współczuciem. Gdyby nie wizyta Stalina, gdyby nie romans Saszeńki, gdyby nie zazdrość Wani...

- Jest coś jeszcze w tej teczce? - spytała. Maks westchnął.

- Nie, nie w tym archiwum. Ale w Rosyjskim Państwowym Archiwum Tajnych Dokumentów Polityczno-Administracyjnych przy placu Majakowskiego jest mnóstwo papierów Stalina i gdzieś tam pewnego dnia przyszłe pokolenia może odkryją, co się stało, jeśli będzie je to obchodziło. Ale jest zamknięte. To wszystko, czym dysponujemy. Och, z wyjątkiem jednego drobiazgu. - Podniósł znowu notatkę Stalina i wskazał prawy górny róg, gdzie, małymi literami, znajdowały się słowa napisane czerwonym ołówkiem: *Biczo to załatwi.*

- Co to znaczy? - spytała Katinka.

- Myślałem, że wiem wszystko o epoce stalinowskiej - powiedział Maks - ale tego nie potrafię rozgryźć.

Katinka zwiesiła głowę.

- Nie sądzę, żebym kiedykolwiek odnalazła Saszeńkę i małego Karla - szepnęła. - Biedna Roza, jak ja jej to powiem?

18

Kiedy wyszli z archiwum, na ulicach było już ciemno. Wciąż wstrząśnięci tym, co znaleźli, pożegnali się niezręcznie, jak dwoje nastolatków po nieudanej randce. Gdy Maks odjechał, Katinka ruszyła wolno pod górę w stronę połyskujących neonów Twerskiej za pomnikiem księcia Dołgorukiego. Zwalniając, żeby poprawić torbę na ramieniu, uświadomiła sobie, że ktoś za nią idzie.

Przyspieszyła kroku, ale to samo zrobił jej cień. Zwolniła, aby go przepuścić, ale on też zwolnił. Nagle się przestraszyła: może to KGB? Albo czeczeński bandyta? Nagle podejrzany osobnik zebrał flegmę w ustach i posłał ją fosforyzującym łukiem w stronę ścieku.

- Kuźma! - zdziwiła się. - Co ty tu...

Bez słowa pociągnął ją na bok, za pomnik, gdzie nikogo nie było. Niósł wielką płócienną torbę, którą otworzył, by pokazać jasnorange kota i kocięta.

- Słodkie! - parsknął swoim dziwnym, wysokim głosem.

- Bardzo słodkie - powiedziała Katinka, wciąż zaniepokojona. Czego od niej chciał?

Kuźma sięgnął do kociej torby i wyciągnął żółtą kopertę, przewiazaną czerwonym sznurkiem, którą wetknął jej w ręce, rozglądając się z komiczną czujnością - ale ona wiedziała, że to nie żarty. Ryzykował życie.

- Dla ciebie - mruknął.

- Ale co to jest?

- Przeczytasz, zobaczysz! - Znowu się rozglądając, ruszył w stronę Twerskiej.

- Kuźma! Zaczekaj! Chcę ci podziękować! - Kuźma cofnął się przed nią jak wampir przed wodą święconą, ale złapała go za nadgarstek. - Jedno pytanie. Kiedy jest powiedziane „Komitet Centralny poprosił o akta”, co to znaczy? Gdzie one są?

Kuźma zawrócił i stanął tak blisko, że jego nieogolony podbródek dotykał jej ucha.

Pokazał na ziemię, piwnice, lochy, groby, a z jego ust wydobył się tylko przeciągły syk.

- No to jak się dowiem, co się stało?

Kuźma wzruszył ramionami, a potem wskazał na wzgórze.

- Lepiej śpiewać dobrze jako mały szczygieł niż źle jako słowik.

A potem odszedł sztywnym krokiem, wtapiając się w tłum na Twerskiej.

Koperta parzyła ją w ręce. Katinka ledwo zdołała się powstrzymać przed jej otwarciem, ale spróbowała się uspokoić. Rozejrzała się, aby sprawdzić, czy nie jest śledzona, ale uznała, że gdyby KGB chciało ją śledzić, nigdy by się o tym nie dowiedziało.

Nie mogła czekać, aż dotrze do swojego pokoju hotelowego, więc przeszła przez ulicę do obskurnego holu hotelu Intourist, szkaradnej konstrukcji z lat siedemdziesiątych ze szkła i betonu. Niski sufit był wyłożony białymi polistyrenowymi płytami, na podłodze leżał wytarty, wystrzępiony chodnik, a ochroniarze przy brązowym kontuarze zachowywali się agresywnie.

Ale kipiało tam jak na perskim bazarze. Warczeli i podzwaniali jednoręcy bandyci, a krzykliwie ubrane prostytutki siedziały na pomarańczowych sofach. Kiedy podszedł do niej jeden z ochroniarzy, Katinka pokazała na prostytutki, a on wzruszył ramionami: pobierze swoją dolę później. Usiadła na kanapie obok dwóch dziewczyn w wysokich butach i pończochach, z gołymi, posiniaczonymi udami, i zaproponowała im papierosa. Jedna schowała swojego do torebki, a druga za pończochę.

Katinka zapaliła, zaciągnęła się i rozerwała kopertę. Wewnątrz było kilka drobiazgów i plik fotokopii dokumentów. Pierwszy był datowany w maju 1953 roku, dwa miesiące po śmierci Stalina:

Do wszystkich funkcjonariuszy operacyjnych: Sprawa Palicyn/Zeitlin Ze względów bezpieczeństwa należy informować krewnych i dopytujących się o wyroki wyżej wspomnianych zbrodniarzy stanu, że po odbyciu dziesięcioletniej kary w łagrach więźniowie zostali skazani ponownie. Podpisano: I. W. Sierow, przewodniczący Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego (KGB)

Gniew i konsternacja Katinki ustąpiły-miejsca głębokiemu smutkowi. Czy to oznaczało, że wszystko, czego dowiedziała się do tej pory od Muszki i z archiwów KGB, było zwykłym kłamstwem? Musiała poblednąć, ponieważ jedna z prostytutek pochyliła się nad nią i spytała z troską:

- Wyniki testów, skarbie? Złe wiadomości?
- Coś w tym rodzaju - odparła Katinka, na czoło wystąpił jej pot.
- Jest ciężko, ale jakoś żyjemy - powiedziała prostytutka, ożywiając się i odwracając do przyjaciółki.

Katinka znowu spojrzała na fotokopie.

Posiedzenie Kolegium Wojskowego, gabinet narkoma Ł.P. Berii w Obiekcie Specjalnym 110, 22 stycznia 1940 r. Proces oskarżonej Aleksandry „Saszeńki”

Zeitlin-Palicyn (znanej w kręgach partyjnych jako towarzysz Lis Polarny). Rozprawę prowadzi osobiście przewodniczący Kolegium Wojskowego Sądu Najwyższego Wasilij Ulrich.

Katinka spojrzała na koniec, szukając sentencji wyroku, ale znowu była tam tylko ta przeklęta notatka: „Przesłać akta sprawy Palicyn do Komitetu Centralnego”.

Potem zaczęła czytać stenogram z procesu Saszeńki - a to, co przeczytała, wstrząsnęło nią do tego stopnia, że wepchnęła papiery z powrotem do koperty i wybiegła z hotelu na ulicę, skręcając w prawo i kierując się w stronę Kremla, którego osiem czerwonych gwiazd płonęło wysoko nad nią w mgielce wiosennej nocy.

* * *

- Tym razem posunęłaś się za daleko! - powiedziała Mariko, prawie nie podnosząc głosu, przez co groźba stała się jeszcze silniejsza.

Marszałek Satinow siedział w swoim fotelu w salonie z maską tlenową na twarzy i wielką butlą z tlenem obok. W ciągu ostatnich kilku dni wyraźnie się skurczył, a jego zmrużone oczy śledziły każdy ruch Katinki.

- Proszę, pozwól mi porozmawiać przez chwilę ze swoim ojcem - powiedziała Katinka, zdyszana i zaczerwieniona po biegu. - Mam mu tyle do powiedzenia, a on sam prosił mnie, żebym mu opowiedziała, co znalazłam...

Spojrzała błagalnie w na wpół przymknięte oczy Satinowa. Z początku nie wyrażały niczego. Ale potem zamrużyły, a stary człowiek zdjął maskę tlenową.

- Mariko, przestań zrzedzić. - Mówił z trudnością. - Przynieś nam herbaty. Mariko westchnęła głośno i wyszła.

- Jak się tu dostałaś, dziewczyno?

- Ktoś otworzył mi drzwi od ulicy, a potem zastałam pańskie drzwi uchylone...

Satinow rozważał to przez chwilę.

- Los, nic innego. Nie zapominaj, że właśnie dlatego tu jesteś. - Obdarzył ją cierpkim uśmiechem.

Katinka usiadła na kanapie obok niego, a on rozłożył ręce, jakby mówił

- dalej, dziewczyno, nie oszczędzaj mnie.

- Znalazłam Śnieżynkę. - Skinął aprobująco głową. - Lala Lewis opowiedziała mi wszystko. Był pan bohaterem. Ocalił pan dzieci. Śnieżynka chce się z panem spotkać, żeby panu podziękować.

Potrząsnął głową i machnął ręką.

- Za późno - wychrypiał. - Czy znalazłaś też jej brata?

- Jeszcze nie. Wciąż próbuję się dowiedzieć, co się stało z Saszeńką.

- Zostaw ich. Skup się na Karlu! Na dzieciach, na przyszłości...

- Saszeńka i Wania byli pańskimi najlepszymi przyjaciółmi, czyż nie?

- Saszeńka była... nie było drugiej takiej jak ona... a dzieci... - Jego niebieskie oczy złagodniały i przez chwilę Katince wydawało się, że widzi w nich łzy. Zaczęła mówić dalej.

- Dlatego właśnie Stalin wezwał pana do Kącika, kiedy przeczytał stenogramy z podsłuchu Beni i Saszeńki. Zdawał sobie sprawę, że zna ich pan jeszcze z Piotrogradu i że jest pan ojcem chrzestnym Rozy. Widział was wszystkich razem na przyjęciu pierwszomajowym. Czy chciał się dowiedzieć, co pan o nich wie?

Satinow mrugnął i nie odpowiedział.

- Beria wyszedł, a pan zjawił się o dziesiątej trzydzięci - widziałam listę spotkań Stalina. Ale co się stało potem? Saszeńka miała romans. Wania był zazdrosny i założył podsłuch w ich pokoju hotelowym. Jak to się przerodziło w spisek kapitana Sagana i zniszczenie całej rodziny?

- Nie wiem - szepnął Satinow.

- Dlaczego Stalin zażądał wszystkich akt tej sprawy? - Spojrzała na niego. Zimne, przekrwione oczy popatrzyły na nią. - Na to też pan nie odpowie? Jak pan może udawać, że nie wie, co się stało?

- Po prostu znajdź Karła - zacharczał Satinow. - Jesteś już bardzo blisko.

- A co Stalin miał na myśli, kiedy napisał: *Biczo to załatwi!* Nastąpiło długie milczenie, Satinow sapał boleśnie.

- Przeczytaj uważnie moje wspomnienia - powiedział wreszcie.

- Może mi pan wierzyć albo nie, ale przeczytałam każde słowo pańskich niekończących się przemówień na temat pokojowego współistnienia i pańskiej bohaterskiej roli w wykuwaniu socjalistycznej ojczyzny i nie ma w tym ani śladu człowieczeństwa.

- Wbił w nią wzrok, ale nie przestała mówić. - Bez przerwy mnie pan okłamywał. KGB ukryło swoje zbrodnie, ale dzisiaj zdobyłam stenogram z procesu Saszeńki. Był pan na procesie swoich najlepszych przyjaciół!

Oddychał chrapliwie.

- Proszę spojrzeć - powiedziała, wyciągając pierwszą stronę stenogramu.

- Nie mam okularów.

- Pomogę panu. Proszę, niech pan spojrzy na to. To pan, marszałku Satinow! Uczestniczył pan w procesie - prawie na niego krzyczała - jako sędzia!

- Przeczytaj moje orzeczenie - wyszeptał.

- Był pan sędzią na procesie swojej najlepszej przyjaciółki, matki pańskiej chrześniaczki. Saszeńka zastała pana, swojego najlepszego przyjaciela, na rozprawie. Co pomyślała, kiedy pana zobaczyła? Co się działo w jej głowie? Uważałam pana za bohatera. Ocalił pan Śnieżynkę i Karła, a mimo to wziął pan udział w zniszczeniu Saszeńki! Czy została skazana na śmierć? Czy umarła w łagrze? Niech mi pan powie! Jest pan to winien jej dzieciom!

Twarz Satinowa stężała i nagle zaczął się dusić. Katinka z trudem tłumiała łzy.

- Jak pan mógł zrobić coś takiego? Jak pan mógł?

- Co się tu dzieje? - w drzwiach ukazała się Mariko z tacą. - O co chodzi, tato?

Kiedy Katinka wychodziła z pokoju, spojrzała jeszcze raz na starego człowieka. Znowu miał na twarzy maskę tlenową, wargi sine, jego żylaste ramię było podniesione - a zakrzywiony palec wskazywał na drzwi.

Sędzia Ulrich: Saszeńka Zeitlin-Palicyn, przyznaliście się do spisku na życie naszych bohaterskich przywódców, towarzysza Stalina i członków Politbiura, których planowaliście zabić we własnym domu. Przeczytaliśmy wasze zeznania. Czy chcecie powiedzieć coś jeszcze?

Oskarżona Zeitlin-Palicyn: Chciałam zabić wielkiego Stalina we własnym domu. Wtarłam sproszkowany arszenik i cyjanek w zasłony w pokoju, gdzie przebywał towarzysz Stalin. Sędzia Ulrich: A gramofon?

Oskarżona Zeitlin-Palicyn: Tak, gramofon też. Słyszałam od różnych towarzyszy, w tym od swojego męża Wani, że towarzysz Stalin lubi słuchać muzyki po kolacji, więc posypałam gramofon cyjankiem.

Sędzia Satinow: Oskarżona Zeitlin-Palicyn, chcemy poznać więcej szczegółów. ..

Satinow odezwał się po raz pierwszy od rozpoczęcia procesu. Katinka niemal słyszała głosy tych strasznych ludzi w wyłożonym sosnową boazerią gabinecie w więzieniu Suchanowka, w blasku elektrycznej żarówki w środku nocy. W drzwiach stali wartownicy w niebieskich mundurach NKWD. Ulrich ze swoją łysą, okrągłą jak piłka głową, siedział za biurkiem wraz z Satinowem i pozostałymi sędziami w stalinowskich bluzach i lśniących butach z cholewami.

Gdy tylko Katinka wyszła od Satinowa, zadzwoniła do Maksa i opowiedziała mu całą rozmowę, słowo w słowo, próbując ukryć łzy. Ale Maks dodał jej otuchy. Satinow kazał jej przeczytać swoje orzeczenie, więc musi je przeczytać natychmiast. Satinow kazał jej przeczytać swoje wspomnienia - i to też musiało coś znaczyć. Maks poprosił ją, żeby spotkała się z nim następnego dnia w południe pod zamkniętym Archiwum Tajnych Dokumentów Polityczno-Administracyjnych przy placu Majakowskiego.

Teraz był środek nocy, a Katinka czytała stenogram z procesu w swoim nędznym pokoju w hotelu Moskwa. Nalała sobie kieliszek wódki - na odwagę i żeby przezwyciężyć zmęczenie. Przez małe okno świeciło osiem gwiazd Kremla.

Sędzia Satinow: Jak zdobyliście cyjanek! Opowiedzcie!

Katinka wyobraziła sobie Saszeńkę stojącą przy końcu stołu w kształcie litery T, bladą, wychudzoną, sponiewieraną, ale wciąż piękną. Ale co pomyślała, kiedy wprowadzono ją na salę rozpraw i zobaczyła za stołem Herkulesa Satinowa? Musiała panować nad sobą, żeby nie okazać żadnej emocji, nie dać po sobie poznać, że go zna - wszyscy obserwowali ją i jego. Ale można sobie wyobrazić jej zaskoczenie, jej

wstrząs - i straszliwy niepokój: czy dzieci są bezpieczne? Czy też obecność Satinowa oznacza, że dzieci...

Oskarżona Zeitlin-Palicyn: Dobrze, towarzyszu sędzio. Wania zdobył go z laboratorium NKWD.

Sędzia Satinow: Skąd wiedzieliście, które płyty zatruć? Oskarżona Zeitlin-Palicyn: Wiedziała, że towarzysz Stalin lubi gruzińską muzykę ludową, piosenki z filmów „ Wołga, Wołga” i „Świat się śmieje”, arie Glinki i Czajkowskiego. Zatrulałam więc właśnie te.

Sędzia Satinow: Wysługiwaliście się japońskiemu cesarzowi, polskim obszar-nikom i brytyjskim lordom w porozumieniu z Trockim?

Skóra cierpła Katince na myśl o tym, co musiało się dziać w głowie Saszeńki: Śnieżynko i Karlo - gdzie jesteście?

Oskarżona Zeitlin-Palicyn: Tak, Trocki zlecił zabójstwo w diabelskiej zмовie z japońskim cesarzem i brytyjskimi lordami.

Sędzia Satinow: A białogwardyjski szpieg, kapitan Sagan, który wydawał wam polecenia w imieniu Trockiego, zmusił was, żebyście posłużyli się metodami, których nauczyliście się od niego jako młoda dziewczyna? Oskarżona Zeitlin-Palicyn: Macie na myśli rozwiązłość seksualną? Tak, posługiwałam się nią, żeby werbować innych agentów, takich jak pisarz Benia Golden.

Sędzia Satinow: Czy pisarz Golden został agentem?

Oskarżona Zeitlin-Palicyn: Próbowałam go zwerbować, posługując się me-todami, których nauczył mnie kapitan Sagan, ale - muszę powiedzieć prawdę przed partią - Golden był dyletanckim bezpartyjnym filistrem, któremu brakowało czujności i nigdy nie przystąpił do spisku. Uważał go za „dziecinadę”. Sędzia Ulrich: Zmieniacie swoje zeznania?

Oskarżona Zeitlin-Palicyn: Muszę mówić prawdę przed towarzyszem Stalinem i partią. Ja sama jestem winna, mój mąż i kapitan Sagan są winni, ale Golden był dzieckiem niezdolnym do spiskowania.

Katinka nie mogła powstrzymać uśmiechu. Teraz wiedziała, że Saszeńka na-prawdę kochała Benię Goldena. Czy ta zniewaga pod adresem Goldena nie była bar-dziej romantyczna niż wszystkie pieśni miłosne?

Sędzia Satinow: Towarzysze sędziowie, przepelnia mnie obrzydzenie dla tej występnej i zdeprawowanej żmii, tej czarnej wdowy. Czy jesteśmy gotowi zamknąć sprawę?

Katinka z trudem tłumila łzy, czytając tę tragicomiczną wymianę zdań. Czy Satinow naprawdę tak myślał? Czy Saszeńka wierzyła, że tak myśli? Saszeńka musiała patrzeć na swojego przyjaciela, przesyłać mu jedno milczące pytanie za drugim: czy dzieci znalazły nowy dom? Czy są bezpieczne? Czy też nas zdradziłeś? Katinka zapaliła papierosa i czytała dalej.

Oskarżona Zeitlin-Palicyn: Muszę oświadczyć przed sądem, że moją największą winą i hańbą są zbrodnie, które popełniłam wobec partii i wobec przyszłości. .. potomność zapamięta mnie jako kanalię.

Potomność? Czy to było przesłanie dla Satinowa?

Sędzia Ulrich (przewodniczący): Dobrze, czy towarzysze sędziowie są gotowi? Jakież komentarze?

Sędzia Lanski (drugi sędzia): Co za podłość. Nie mam innych komentarzy. Sędzia Ulrich: Towarzyszu Satinow?

Sędzia Satinow (trzeci sędzia): Oskarżona Zeitlin-Palicyn przyznała się do potwornych zbrodni, które popełniła w życiu nacechowanym oszustwem i dwulicowością. Muszę poprosić sąd, aby mi wybaczył, jeśli powiem, że dzięki czujności NKWD my, ludzie radzieccy czujemy wdzięczność, że nasz przesławny przywódca narodów, towarzysz Stalin, jest bezpieczny, że nasi oddani towarzysze Mołotow, Woroszyłow, Mikojan, Andriejew i inni członkowie Politbiura są wreszcie bezpieczni od szpiegów, zdrajców i trockistów, są bezpieczni w swoich biurach i domach od jadowitej żmii w naszych szeregach. Teraz są bezpieczni, zupełnie bezpieczni. Jest tylko jedna możliwa kara, jaką ludowa sprawiedliwość może wymierzyć wściekłemu, oszalałemu psom... Dziękuję, towarzyszu Ulrich.

Katinka z trudem łapała oddech. Przeczytała jeszcze raz, a potem jeszcze raz, ale nie mogło być wątpliwości: to znak. Satinow powiedział „bezpieczni”, a następnie powtórzył to cztery razy. Dwa razy dla Śnieżynki, dwa razy dla Karła. A więc Satinow nie zdradził Saszeńki. W rzeczywistości mówił: „Drodzy przyjaciele, umrzyjcie spokojnie, jeśli potraficie, dzieci są bezpieczne, powtarzam, dzieci są bezpieczne!”.

Jakaż musiała to być ulga dla Saszeńki. Ale brakowało sentencji wyroku: czyżby mimo wszystko przeżyła? Tak, była tam, ta sama nienawistna notatka - papiery przesłano do Komitetu Centralnego.

Nad Moskwą wstawał świt, kiedy głowa opadła Katince na stenogramy, które trzymała na kolanach.

Sędzia Ulrich: Dziękuję, towarzyszu Satinow, teraz udamy się na naradę, żeby ustalić werdykt. Sędziowie wychodzą.

20

Słońce stojące wysoko na błękitnym niebie rzucało złociste promienie na pomnik Majakowskiego, kiedy Katinka szła Twerską, mijając najpierw pomnik księcia Dołgorukiego po jednej stronie, a później Puszkina po drugiej, w stronę nowego archiwum. Obudziła się za wcześnie i z zeszywniałym karkiem, kiedy zadzwonił Maks, a później znowu poszła spać. Ale wciąż była obolała, jakby okładano ją pięściami, i dopiero podwójne espresso w kawiarni na Twerskiej - dobra kawa, pomyślała, to jedna z zalet demokracji - poprawiło jej trochę nastrój.

Niosąc pod pachą nieporęczną paczkę, minęła stację metra i skręciła w lewo, w jedną z tych bram z czerwonego granitu, które nadawały Moskwie jej mroczną i nieprzyjazną świetność. Znalazła się w maleńkiej uliczce, która wydawała się ślepa, ale potem skręcała ostro raz i jeszcze raz, zwążając się jeszcze. Katinka zachwycała się tą niewiarygodnie krętą uliczką w samym środku nowoczesnej metropolii. Miała poczucie, jakby odkrywała nieznaną wioskę za granitowymi ścianami i obwarowaniami hałaśliwych bulwarów. Za drugim zakrętem dotarła do żółtej ściany, a później do czarnej stalowej bramy, która była otwarta i prowadziła na jakieś schody. Motocykl Maksy stał obok tablicy z wyrytym profilem Lenina.

- Wyglądasz na zmęczoną - czy chociaż trochę spałeś? Zdobyłeś to, o co prosiłem? - spytał.

Katinka wskazała na paczkę.

- To najdroższa rzecz, jaką w życiu kupiłam, i musiałam zadzwonić do Paszy Getmana, żeby poprosić o zgodę.

- Trzysta dolarów to dla niego nic. Powiedziałaś mu, co to jest?

- Uznałam, że lepiej nie.

- Cóż, to nasza jedyna nadzieja. Ta kobieta zrobi dla tego wszystko. - Maks ujął ją za rękę. - Boję się, że tajemnice sprzed pięćdziesięciu lat zaczynają cię wciągać jeszcze bardziej niż mnie. Jesteś gotowa?

- Tak, ale jak nas wprowadzisz? Mówiłeś...

- Nie martw się, zorganizowałem wszystko. Pamiętaj - powiedział z powagą - umówiłem cię na spotkanie, żebyś mogła się zwrócić o udostępnienie listy dokumentów przechowywanych w tym archiwum, a teraz mogę cię poinformować, że nasze podanie zostanie oczywiście odrzucone. Ruszaj, Katin-ko. Powodzenia.

- Czuję się trochę nieswojo. Uda się czy zostanę aresztowana?

- Jedno albo drugie. - Roześmiał się. - Tylko pomyśl, dwa tygodnie temu nie spróbowałabyś czegoś takiego. Ale bądź pewna siebie. Zachowuj się tak, jakbyś wiedziała, dokąd idziesz, i miała prawo dostać to, co chcesz. Zobaczymy się później.

Patrzyła, jak odjeżdża, a kiedy rogaty hełm zniknął jej z oczu, odwróciła się, żeby wejść do wysokiego szarego budynku z kolumnami, balkonami i flagami wyrzeźbionymi w kamieniu.

Przy drewnianym biurku dwaj nastoletni żołnierze Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przysypiali na swoich poobijanych krzesłach, ale usiedli prosto na widok Katinki. Bardziej przyszczytany z dwóch poborowych przesunął po biurku książkę wejść, obejrzał jej paszport z drwiną mającą świadczyć o władzy, jaką nadało mu państwo rosyjskie, sprawdził plik żółtych blankietów na biurku, znalazł jeden z jej nazwiskiem, wypisał przepustkę na innym, źle wydrukowanym blankiecie, z uśmiechem ją wręczył, zatrzymując paszport, i gestem skierował do wind w białym marmurowym holu.

- Podania do archiwów, czwarte piętro.

Nie ośmieliła się obejrzeć, ale wyczuła czyjaś obecność. Chudy młody mężczyzna z łysą głową, w plastikowych butach i szarym swetrze, wieszal w szatni swój płaszcz, patrząc na nią uważnie. Dziwni ludzie, ci archiwiści, pomyślała Katinka, wsiadając do windy. Drzwi już miały się zamknąć, kiedy przytrzymała je czyjaś ręką i wszedł szczur archiwalny, kłaniając się jej nerwowo, ale nic nie mówiąc. Wkładał swój poplamiony żółty fartuch, jak laborant.

Winda była ciasna i stali tak niezręcznie blisko siebie, że szczur wciąż próbował przeproszać, ale za każdym razem mu się to nie udawało, ponieważ przy próbie nawiązania rozmowy zaczynał się jąkać. Katinka przycisnęła się do ściany, strasznie blisko jego głowy z rzadkimi rudymi włosami, czerwonymi plamami i kroplami potu. Nacisnęła guzik piątego piętra, ale on nacisnął czwarte i kiedy zgrzytająca, trzęsąca się winda tam dotarła, wysiadł i przytrzymał drzwi.

- Pani piętro. - Nie pytał, informował ją. - Podania.

Ale Katinka dwukrotnie potrząsnęła głową. Szczur wyglądał na zaskoczonego i stał tam dalej, kiedy drzwi się zamykały. Katinka czuła się zakłopotana, wiedząc, że została przyłapana, ponieważ, jak wyjaśnił jej Maks, „petentom z zewnątrz nie wolno odwiedzać piątego piętra”.

Winda otworzyła się na podeście z zamglonymi szklanymi drzwiami, plastikowymi palmami i wielką ramą, ale bez obrazu. „Dyrekcja Instytutu Materializmu Dialektycznego i Zagadnień Ekonomiczno-Politycznych Związku Radzieckiego” głosił napis na tabliczce., na której ktoś przylepił taśmą odręczną notatkę: „Rosyjskie Państwowe Archiwum Tajnych Dokumentów Politycz-no-Administracyjnych”.

- Najlepiej by było, gdybyś nikogo tam nie spotkała - powiedział jej Maks, oczekiwała więc, że lada chwila wyskoczy na nią szczur wraz z krostowatymi młodymi wartownikami.

W długim, wyłożonym parkietem korytarzu z rzędami zamkniętych sosnowych drzwi panowała cisza i było nieznośnie gorąco - nie wyłączono jeszcze zimowego ogrzewania. Katinka sprawdzała grawerowane tabliczki z nazwiskiem i tytułem na wszystkich drzwiach. Skręciła w prawo, potem jeszcze raz w prawo, aż usłyszała dźwięki opery - słynną arię z opery *Życie za cara* Glinki. Kiedy znowu skręciła, muzyka stawała się coraz głośniejsza, dopóki nie stanęła przed ostatnimi drzwiami.

Agrippina Konstantinowna Biegbutałow, Dyrektor Działu Rękopisów, głosił napis na tabliczce. Co za nazwisko. Katinka nasłuchiwała pod drzwiami: muzyka osiągnęła kulminację. Czy powinna umówić się na spotkanie? Nie, Maks powiedział, że to zbyt niebezpieczne.

Zapukała. Żadnej odpowiedzi. Zapukała znowu. Nic. Przeklęła uparte dinozaury w rodzaju Satinowa, irytująco sztywnych biurokratów, przeszkody piętrzące się na jej drodze i otworzyła drzwi.

Postawna kobieta o białej skórze spała na kanapie w samej bieliźnie. Oczy miała zasłonięte opaską z napisem American Airways.

W pokoju było gorąco, z nowoczesnego odtwarzacza CD dochodziła muzyka, zapach perfum odurzał. Katinka miała tylko chwilę, by zauważyć dwa wirujące wentylatory, stopy poślizgniętych rękopisów i dwa ogromne uda w pończochach, nim kobieta zdjęła opaskę i wstała.

- Jak śmiesz się tu pakować! Kim jesteś? Co za brak wychowania! - Kobieta spoglądała z góry na Katinkę, jakby nigdy dotąd nie widziała w szacownym archiwum młodej dziewczyny w dżinsowej spódnicy. - Kto dał ci pozwolenie, żeby mnie nachodzić?

- Hmm, nikt. - Katinka się zmieszała.

- No więc proszę wyjść i więcej nie wracać! - krzyknęła kobieta, której obfity biust wylewał się ze stanika.

- Nie, nie. - Katinka czerwieniła się i jąkała. - Poproszono mnie, żebym pani coś dostarczyła. Proszę... to dla pani. - Podniosła paczkę.

Kobieta gniewnie zdjęła fioletową siatkę na włosy.

- Niczego nie oczekuję - powiedziała, patrząc chytrze na paczkę. Katinka miała niewiele do stracenia. Próbowwała nie patrzeć na pas z podwiązkami i wielkie cieliste majtki. - To prezent od... - rozejrzała się po korytarzu, aby dać do zrozumienia kobiecie, iż żaden z jej kolegów nie powinien być świadkiem doręczenia paczki - wołałabym to pani powiedzieć prywatnie.

Kobieta zmarszczyła brwi, najwyraźniej przypominając sobie, gdzie jest i jak jest ubrana.

- Jedną chwilę! - Wypchnęła Katinkę za drzwi i zamknęła je. Muzyka ucichła. Drzwi otworzyły się ponownie.

- Jestem Agrippina Biegbułatow -- oznajmiła kobieta, wyciągając wielką spoconą rękę. - Lubię uciąć sobie drzemkę w ciągu dnia. Proszę, usiądź!

Katinka usiadła na czerwonej kanapie, na której natychmiast poczuła ciepło w miejscu, gdzie spoczywało niedawno obfite ciało dyrektorki działu rękopisów. Agrippina umalowała usta szkarłatną szminką i założyła niebieską suknię z koronką nad dekoltem. Katinka rozpoznała kunsztowną fryzurę radzieckiej wielkiej damy z epoki Breżniewa.

- Wiesz, że zajmuję się zbieraniem wspomnień członków partii, żeby mogły zostać skatalogowane i umieszczone w tym specjalnym archiwum? - spytała Agrippina, siadając na miękkim krześle.

- Agrippino Konstantinowno, dziękuję, że mnie pani przyjęła - powiedziała Katinka.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła chłodno Agrippina, uprzejma, wyniośle cierpliwa.

Katinka uświadomiła sobie, że ma tylko sekundę, aby się wytłumaczyć - albo trafi nieodwołalnie w ręce organów. Nie zdecydowała jeszcze, co powiedzieć (tak naprawdę nigdy nie skłamała w poważnej sprawie), ale wiedziała, że każde kłamstwo pociąga za sobą ogromne ryzyko zdemaskowania, ponieważ wszyscy ci wysoko postawieni komuniści znali się nawzajem, chodzili razem do szkoły, później do Instytutu Języków Obcych, potem pobierali się ze sobą, żyli blisko siebie w swoich daczach i wychowywali nowe pokolenie złotej młodzieży. Ale Katinka już słyszała, że jej głos brzmi inaczej, kłamliwie.

- Towarzyszko Agrippino Konstantinowno - zaczęła - przyniosłam pani prezent od... Mariko Satinowej. Zna ją pani, oczywiście.

- Mariko? - zapytała Agrippina, przechylając głowę na bok.

-Tak.

- Znam towarzysza Herkulesa Satinowa - powiedziała Agrippina z szacunkiem. - Niezbyt dobrze oczywiście, ale spotkałam go raz na koncercie w Konserwatorium i podczas swojej pracy tutaj, naturalnie.

- Naturalnie - zgodziła się Katinka. - Ale nie zna pani Mariko? Agrippina potrząsnęła głową.

- A ona przysłała mi prezent?

- Tak, tak, żeby mnie pani zarekomendować. Zna panią, towarzyszeko, z nazwiska, dzięki pani ofiarnej i ważnej pracy z jej ojcem, towarzyszem marszałkiem Satinowem.

Agrippina wypięła pierś i zdawała się puchnąć z dumy.

- Towarzysz Satinow wspominał o mnie?

- O, tak. Jestem przyjaciółką rodziny, a on wspominał o pani, kiedy opowiadał mi o tym, jak pomagała mu pani pisać jego wspomnienia. Powiedział, że nie dałby sobie rady bez pani.

- No cóż, legendarni towarzysze Gromyko i Mikojan, z którymi miałam szczęście pracować nad ich książkami, powiedzieli, że nie zostałyby one ukończone bez moich umiejętności redaktorskich.

- To mnie wcale nie dziwi - powiedziała Katinka, uświadamiając sobie, że kłamstwo, które odnosi skutek, podnosi na duchu i prowadzi do następnych kłamstw. - Towarzysz Satinow powiedział mi: „Młoda towarzyszeko, odwiedź Agrippinę Konstantinownę, a ta niezrównana redaktorka, strażniczka płomienia, pokaże ci, jak pracowaliśmy nad wspomnieniami, pokaże ci rękopisy...

- Jesteś komunistką, towarzyszeko...?

- Katinka Wińska. Tak, byłam w pionierach, potem w Komsomole, a teraz jestem historykiem i piszę dla towarzysza Satinowa pracę o jego roli w szturmie Berlina.

-Ach. Zostało tak niewielu młodych towarzyszy, miło jest spotkać jednego z nich - powiedziała Agrippina. Urwała i przestała się uśmiechać. - Ale dlaczego towarzysz Satinow nie zadzwonił do mnie? Wie, jak się ze mną skontaktować...

- Jest bardzo chory - powiedziała Katinka. - Rak płuc.

- Słyszałam. Ale powinnam zadzwonić do jego córki i sprawdzić... - Ruszyła w stronę telefonu na biurku w kształcie litery T.

- Proszę zaczekać, Agrippino Konstantinowno - powiedziała Katinka pospiesznie.

- Mariko siedzi przy nim dzisiaj... w klinice kremlowskiej. Właśnie dlatego przysłałam

bez zapowiedzi. Towarzysz Satinow w chwili przytomności powiedział Mariko, że ma dla pani prezent - i że będzie pani wiedziała, że to od niego. - Poklepała paczkę.

- To dla mnie?

- -Tak.

- Od Mariko Satinowej i marszałka?

Agrippina nachyliła się w stronę paczki. Katinka zapobiegawczo położyła na niej rękę.

- Ma pani tutaj pełny tekst wspomnień marszałka Satinowa, rękopis? - Katinka trzymała się instrukcji Maksa.

- Tak, dziewczyno, w tej stercie. - Pokazała stosy pożółkłych rękopisów, zajmujących każdy skrawek pokoju. - Rozumiesz, że nasi sławni towarzysze dyktowali swoje wspomnienia sekretarzom albo mnie osobiście, a moim zadaniem było je redagować zgodnie z wytycznymi Komitetu Centralnego, opuszczając wszystko, co mogłoby wywołać zaniepokojenie czytelników. Nie wszystkie epizody z pamiętników marszałka Satinowa, a także z pamiętników naszych przywódców, znalazły się w ostatecznej wersji.

- Marszałek Satinow bardzo chciał, żebym zerknęła na te fragmenty... tak abym mogła docenić pani pracę redakcyjną. Zanim jego stan się pogorszył, kazał Mariko wręczyć pani ten prezent jako kolejny dowód swojej wdzięczności. - Katinka trzymała paczkę w rękach. - Czy ma pani rękopis?

- Naprawdę muszę zadzwonić do domu marszałka albo porozmawiać o tym z dyrektorem archiwum...

- Jak pani sobie życzy - powiedziała Katinka - ale wtedy będę musiała dać prezent komuś innemu.

To rozstrzygnęło sprawę. Agrippina uklękła na dywanie i pochylając się nad stertami papierów, tak że Katinka widziała jej pas do pończoch, zaczęła mówić do siebie cicho i nazywać każdy rękopis. Wreszcie z triumfem wyciągnęła wspomnienia Satinowa. Dysząc ciężko, z wypiekami na twarzy, usiadła na swoim krześle i wbiła wzrok w paczkę.

Katinka czekała, spodziewając się, że Agrippina wręczy rękopis, spoczywający wygodnie na jej kolanach, ale nic się nie stało. Przez chwilę patrzyły na siebie w milczeniu.

- Och, tak, Agrippino Konstantinowno, prawie zapomniałam - powiedziała wreszcie Katinka. - Prezent od Satinowów - i wręczyła ciężką paczkę.

Agrippina, rozpromieniona, chwyciła paczkę i wyciągnęła ogromną butelkę perfum Chanel No. 5 za trzysta dolarów.

- Moje ulubione! - zawołała Agrippina, tuląc do siebie butelkę. - Ale że marszałek pamiętał!

- Mogę przejrzeć rękopis? - spytała Katinka.

- Tylko w tym pokoju - odparła Agrippina. - Jedynie kilka fragmentów nie zostało opublikowanych. Nikt ich nigdy nie czytał z wyjątkiem mnie.

Katinka miała dziwne uczucie, kiedy brała plik papierów.

- Połóż nogi na kanapie - powiedziała Agrippina. - Rozkoszuj się chłodnym powietrzem z wentylatorów i muzyką Glinki. Możesz robić notatki.

Katinka szybko przeczuciła strony. Większość wspomnień знаła z opasłej książki Satinowa - „Jak zagospodarowaliśmy nowe ziemie”, „Budowa domów dla radzieckich robotników”, „Zakładanie: stacji maszynowo-traktorowych”, „Interesującą rozmowa z towarzyszem Gagarinem o podboju kosmosu” i tak dalej... Kolejna strata czasu, pomyślała Katinka, nagle jednak, kiedy Agrippina nacierała nadgarstki i szyję bezcennym nektarem *madame* Chanel, znalazła coś, przy czym serce zabiło jej mocniej.

21

Rozmowa z I.W. Stalinem w styczniu 1940 roku Herkules Satinow

Pewnej nocy około drugiej siedziałem w swoim gabinecie przy placu Starym, kiedy zadzwonił telefon.

- Tu Poskriebyszow. Towarzysz Stalin chce się z wami zobaczyć na daczce. Samochód czeka na was na dole.

Stalin mnie lubił.

Zawarliśmy sojusz z hitlerowskimi Niemcami, ale wiedzieliśmy, że wkrótce wybuchnie wojna. Partia zleciła mi nadzór nad produkcją nowych czołgów i dział dla Armii Czerwonej. Już dwa razy zostałem zaproszony na daczę, żeby porozmawiać o swojej pracy. Nie bałem się więc, chociaż kiedy szło się do Stalina, nigdy nie było wiadomo, jak to się skończy.

Samochód miał na kołach łańcuchy zapobiegające ślizganiu się na lodzie - było minus dwadzieścia stopni lub coś koło tego. Pędziliśmy Szosą Możajską i skręciliśmy w drogę wśród dębów, sosen, świerków, klonów i brzoź. Od czasu do czasu mijaliśmy wartowników.

Przejechaliśmy przez dwie strzeżone bramy. Wreszcie otworzyła się zielona stalowa brama i ukazała się dacha Stalina, prosty piętrowy dom, pomalowany farbą maskującą na wypadek wojny.

Wartownik w niebieskim mundurze NKWD przywitał nas w drzwiach i wprowadził mnie do środka. Zostawiłem płaszcz na wieszaku. Na lewo znajdował się gabinet Stalina, zawalony książkami i czasopismami. Z biblioteki po prawej stronie, zastawionej półkami na książki, wyszedł Stalin w szarej bluzie i butach z cholewami.

- Dobry wieczór, *biczo* - powiedział cicho, uśmiechając się. Zawsze nazywał mnie *biczo* - to znaczy „chłopiec” po gruzińsku. - Wejdz, napij się i zjedz coś. Jadłeś już?

Oczywiście jadłem, ale w tamtych dniach wszyscy pracowaliśmy zgodnie z nocnymi nawykami Stalina.

- Towarzysz Beria już jest, a inni przyjdą. - Zaprowadził mnie do dużego pokoju z ogromnym stołem, ciężkimi krzesłami, otomanami, z sufitem i ścianami wyłożonymi karelską sosną, z plakatami radzieckich artystów. Na końcu stołu był bufet, gruzińska uczta, i talerze, żebyśmy się mogli częstować.

Ławrientij Beria siedział przy stole z kieliszkiem wina w ręku. Pozdrowił mnie po gruzińsku. Razem ze Stalinem było nas trzech Gruzinów w lodowatej Rosji!

Stalin, nalewając wina mnie i sobie, usiadł przy stole. Usiadłem pomiędzy nimi.

- A więc - powiedział Stalin, zapalając papierosa Hercegowina Flor - co się dzieje w sprawie Saszeńki?

Dźwięk tego imienia wywołał u mnie żywą reakcję emocjonalną, która, mam nadzieję, nie uzewnętrzniła się.

- Wydawała się taką przyzwoitą radziecką kobietą - powiedział Stalin. - Pamiętam, że widziałem ją w gabinecie Lenina w Piotrogradzie... - Potrząsnął ze smutkiem głową. - W naszym świecie ludzie mogą nosić maski przez całe dziesięciolecia.

Popatrzyłem na Berię.

- Przyznała się do wszystkiego - powiedział Beria.

- Proces przebiegł gładko - dodałem.

- Znałeś ją dobrze, prawda, chłopcze? - zwrócił się do mnie Stalin. Przytaknąłem.

- Czy wszyscy się rozbroili i okazali skrucę? - spytał Stalin, wkładając papierosa do cybucha fajki i wypuszczając kłęb dymu.

- Wania Palicyn się rozbroił - odparł Beria, śmiejąc się ochryple. - Przyjął to dobrze, krzycząc w ostatniej chwili „Niech żyje towarzysz Stalin!”.

Stalin ssął swoją fajkę, złote oczy miał na wpół przymknięte.

- Ale Mendel, ten stary głupiec! - ciągnął Beria. - Nie chciał się rozbroić.

- Zawsze był takim formalistą, jeśli chodzi o zasady - zauważył Stalin z sympatią.

- Zrobiłem z Mendlem to, o co prosiliście - powiedział Beria.

Stalin i Beria wymienili szybki porozumiewawczy uśmiech - wiedziałem, że cieszyli się swoimi małymi intrygami. Raz słyszałem, jak Beria mówił o upozorowaniu śmiertelnego wypadku samochodowego dla towarzysza, który był zbyt dobrze znany, żeby go aresztować i rozstrzelać.

- Chłopcze, chcesz posłuchać o Mendlu? - spytał mnie Stalin.

- Tak - odparłem, choć prawdę mówiąc, bałem się tego.

- Powiedz mu, Ławrientij - rozkazał Stalin.

- Powiedziałem Mendlowi: „Wyznaj swoje zbrodnie, a towarzysz Stalin zagwarantuje ci życie” - wyjaśnił Beria - a wiesz, co na to Mendel? Krzyknął: „Nigdy! Jestem niewinny i aż do śmierci pozostanę uczciwym bolszewikiem!”. Splunął na mnie, a potem w twarz Kobałowa...

- To był błąd - zadumał się Stalin.

- Kobałow wpadł w szal i naprawdę zdrowo mu przyłożył, no i taki był koniec.

- Co za duma! Co za głupia duma! - Stalin popatrzył na mnie. - Ale ty załatwiłeś sprawę, chłopcze?

- Tak, towarzyszu Stalin, załatwiłem tak jak prosiliście. - Nie mogłem się powstrzymać i spojrzałem twardo na Berię. Stalin był bardzo spostrzegawczy, zauważył to natychmiast.

- Co tam? - spytał.

- Nic specjalnego - powiedział Beria, kopiąc mnie w gołeń pod stołem. Ale choć Beria mógł być niebezpieczny, nierozsądnie było zatajać cokolwiek przed Stalinem.

- Doszło do nieprawidłowości, towarzyszu Stalin, podczas jednej z egzekucji - powiedziałem w końcu, czując, że robi mi się słabo.

- Nieprawidłowości? - powtórzył Stalin zimno.

Beria znowu kopnął mnie w nogę, ale było już za późno.

- NKWD ma doświadczone i oddane kadry, ale to był rzadki przypadek filisterskiego infantylizmu - powiedziałem, oblewając się potem.

- Wiedzieliście o tym, towarzyszu Beria?

- Słyszałem o tym, towarzyszu Stalin, i prowadzę dochodzenie.

- Myślałem, że oczyściliście organy z tego gówna. Winni muszą zostać ukarani. - Odwrócił się do nas i przyjrzał się nam uważnie. - Dobrze. Towarzysze Beria i Sati-now, powołajcie komisję z towarzyszami Szkiriatowem, Malenkowem, Mierkułowem. Chcę szybko dostać raport.

W tym momencie usłyszeliśmy warkot samochodów podjeżdżających pod dom, trzaskanie drzwi. Stalin wstał i poszedł przywitać członków Politbiura, którzy przyjechali na kolację.

Beria i ja zostaliśmy sami.

- Ty skurwysynu - powiedział Beria - musiałeś mu o tym wspomnieć? Ale wtedy Mołotow, Woroszyłow i inni przywódcy dołączyli do nas w jadalni.

Kiedy siadaliśmy do kolacji, Stalin podszedł do mnie, stając bardzo blisko.

- Taka ładna dziewczyna, ta Saszeńka - mruknął. - Cóż za straszną decyzję musieliśmy podjąć.

TLR

- Skończyłaś, moja droga? - spytała Agrippina. Kiedy zapach francuskich perfum wypełnił powietrze, Katinka poczuła mdłości. Maks miał rację: była zafascynowana życiem tych obcych ludzi, którzy nie mieli z nią nic wspólnego, a mimo to ich dzieje ją pochłaniały. Pragnęła się dowiedzieć, co się z nimi stało, ale brakujące strony z pamiętników Satinowa nasunęły jeszcze więcej pytań. Co najsmutniejsze ze wszystkiego, teraz była już pewna, że Saszeńka nie żyje. Będzie musiała zatelefonować do Rozy i powiedzieć, że jej oboje rodzice zginęli z rąk stalinowskich zbirów. Mąż Saszeńki został rozstrzelany, krzycząc przed śmiercią „Niech żyje Stalin!”, a jej wuj Mendel nie umarł na atak serca, lecz został zakatowany na śmierć.

Ale jak zginęła Saszeńka? Co to była za „nieprawidłowość”? Czy została zgwałcona przez strażników, zamęczona na śmierć, zagłodzona? Tylko jeden człowiek mógł jej to powiedzieć: Satinow. Chociaż poprzedniego wieczoru był na nią wściekły, musi się z nim zobaczyć, zanim on umrze.

- Dziękuję - udało jej się powiedzieć Agrippinie.

- Przekaż, proszę, moje pozdrowienia towarzyszowi marszałkowi i jego córce, i podziękuj im za pamięć i za prezent.

- Tak, oczywiście. - Katinka była już w drodze do windy. Powstrzymując łzy, czekała przez kilka minut, lecz winda nie przyjechała,

i nagle uświadomiła sobie, że nie jest sama. Archiwalny szczur, który wcześniej wjechał z nią na czwarte piętro, stał obok, opierając się o swój wózek z aktami i nucąc. Wreszcie odchrząknął.

- Ta winda jest zepsuta. Musi pani skorzystać z naszej windy. Katinka zauważyła, że powiedział „musi” - ale była tak zdenerwowana, że

nie dbała o to. Nucił, kiedy szli korytarzami czworokątnego budynku, póki nie dotarli do brudnej, zardzewiałej windy z trocinami i tekturą na podłodze. Niebawem stęknęła i ruszyła.

Co powie Rozie? Katinkę zalała fala rozpacz. Satinow nie zechce się z nią zobaczyć; Mariko ją wyrzuci. I już nigdy nie odnajdzie Karla.

Wreszcie winda zatrzymała się, ale nie w holu, tylko gdzieś pod ziemią. Szczur archiwalny otworzył drzwi.

- Proszę - powiedział.

- Ale to niewłaściwe piętro - sprzeciwiła się. Szczur rozejrzał się na boki.

- Mam trochę dokumentów, które chciałbym pani pokazać.

- Przepraszam - powiedziała Katinka, nagle przestraszona i czujna. - Nie znam pana. Muszę iść... - Nacisnęła guzik parteru, ale on trzymał drzwi.

- Jestem Apostołem Szczegłow - powiedział, jakby się spodziewał, że zna jego nazwisko, pochodzące od „szczygła”.

- Jestem już spóźniona. Muszę iść - upierała się, naciskając raz po raz guzik.

- Lepiej śpiewać dobrze jako mały szczygieł niż źle jako słowik - powiedział, cytując bajkę Kryłowa.

Katinka przestała mocować się z windą i spojrzała na niego. Uśmiech Szczegłowa upiększały dwa złote zęby.

- Pamiętasz, kto to powiedział? - spytał. - Dam ci wskazówkę: Utiesow i Ceferman.

Oczywiście, tak pożegnał ją Kuźma.

- My, archiwiści, znamy się nawzajem. Jesteśmy tajnym zakonem. Proszę - powiedział, wskazując na dobrze oświetlony korytarz z masywnego betonu. To jedno z najbezpieczniejszych miejsc na świecie, Katinko, jeśli mogę panią tak nazywać. Tutaj przechowuje się historię naszego kraju.

Katinka, wciąż trochę zdenerwowana, pozwoliła się prowadzić. Dotarli do białych stalowych drzwi, przypominających właz na okręcie podwodnym lub wejście do schronu atomowego. Szczegłow obrócił wielkie chromowane koło, otworzył trzy różne rygle i wprowadził kod do elektronicznego zamka. Drzwi przesunęły się na bok, a potem otworzyły: miały ponad pół metra grubości.

- To może wytrzymać atak nuklearny. Gdyby Amerykanie zaatakowali nas bombami wodorowymi, ty i ja, prezydent na Kremlu i generałowie w kwaterze głównej bylibyśmy jedynymi żywymi ludźmi w Moskwie.

Kolejne opancerzone drzwi otworzyły się podobnie jak pierwsze. Katinka spojrzała za siebie. Czuła się straszliwie bezbronna - a jeśli Kuźma został przyłapany na przekazywaniu jej dokumentów i KGB kazało mu ją tu zwabić?

Wciąż nucąc, Szczegłow wszedł do małego gabinetu. Na jego biurku panował porządek, leżały tam starannie poukładane teczki, ale ogromny stół przed nim pokrywała kolorowa mapa plastyczna z dolinami, rzekami, domami, zaludniona przez maleńkich żołnierzy, działa, sztandary i konie.

- Sam wszystko zrobiłem i pomalowałem. Chcesz się przyjrzeć? Spieszysz się? Katinka jeszcze nigdy tak się nie spieszyła. Satinow umierał, zabierając ze

sobą tajemnicę Saszeńki, a ona musiała szybko się z nim zobaczyć. Ale jeśli ten szcur archiwalny ma dokumenty, których szukała? Wiedziała, że ściśle tajne i zamknięte akta są przechowywane tutaj, na dole, a on z jakiegoś powodu poprosił, żeby poszła za nim. Postanowiła więc sprawić mu przyjemność.

- Chętnie obejrzę twoje zabawki! - powiedziała.

- Nie zabawki. To historyczna rekonstrukcja - wyjaśnił - dokładna w każdym szczególe, aż do kul armatnich i czak dragonów. Jesteś historykiem, domyślasz się, co to za bitwa?

Katinka okrążyła stół, a Szczegłow podskakiwał na palcach z radości. Zauważyła Wielką Armię Napoleona po jednej stronie i pułki rosyjskiej gwardii po drugiej.

- Tysiąc osiemset dwunasty oczywiście - powiedziała powoli. - To musi być Reduta Rajewska, tutaj wojska Barclaya de Tolly'ego, tutaj księżę Bagration naprzeciwko Murata i Ney'a. Sam Napoleon ze swoją starą gwardią tutaj. To bitwa pod Borodino!

- Hurra! - zawołał. - A teraz pokażę ci, gdzie trzymamy dokumenty. - Otworzył następne stalowe drzwi do ogromnego pomieszczenia zastawionego metalowymi szafami zawierającymi niezliczone tysiące ponumerowanych teczek. - Wiele z nich pozostanie tajnych jeszcze długo po naszej śmierci. To praca mojego życia i nie pokazałbym ci niczego, co mogłoby zagrozić bezpieczeństwu naszej ojczyzny. Ale ty szukasz jedynie notatki, chociaż bardzo interesującej notatki. Usiądź przy moim biurku, a pokażę ci twoje materiały.

- Dlaczego mi pomagasz? - spytała.

- Wyświadczam tylko przysługę zasłużonemu koledze archiwście - i stryjowi. Tak, Kuźma to mój stryj. My, archiwiści, wszyscy jesteśmy spokrewnieni: mój ojciec pracuje w Archiwum Państwowym, a przed nim pracował tam mój dziadek.

- Cesarska dynastia archiwistów - powiedziała Katinka.

- Między nami mówiąc, tak właśnie to widzę! - rozpromienił się Szczegłow, jego złote zęby błysnęły w elektrycznym świetle. - Nie wolno ci niczego kopiować, nawet do notesu. Pamiętaj, dziewczyno, nic z tego nigdy nie zostało opublikowane. Zgoda?

Katinka skinęła głową i usiadła przy jego biurku. Zdjął z półki mały plik beżowych teczek, otworzył jedną, poślinił palce i przewrócił kilka stron.

- Scena pierwsza. Lista stu dwudziestu trzech nazwisk - każde opatrzone numerem - podpisana przez Stalina i większość członków Politbiura 9 stycznia 1940 roku.

Serce załomotało Katinie w piersiach. Lista śmierci. Szczegłow nucił, wodząc palcem wzdłuż listy.

82.PalicynI.N.

83.Zeitlin-Palicyn A. S. (towarzysz Lis Polarny) .

84.Barmakid Mendel

Zauważyła, że lista jest zaadresowana do Stalina i Politbiura i podpisana zielonym atramentem przez Ł.P. Berię, narkoma NKWD.

Palec Szczegłowa zatrzymał się na dopiskach pod nazwiskami:

Zgoda. Mołotow. Głosuję za wyszką! Kaganowicz. Rozstrzelać te kurwy i kanalie jak psy. Woroszyłow

I rozstrzygający:

Rozstrzelać wszystkich. I. St.

- A więc zostali skazani - powiedziała. - Ale czy wszyscy... ?

- Scena druga. - Szczegłow zamaszystym gestem przesunął dokument na biurku, potem wrócił do półki, szukał czegoś przez kilka chwil, a następnie podał jej pognieciony papier, który musiał przejść przez wiele poplamionych biurek i brudnych palców.

Towarzysz Komendant Obiektu Specjalnego 110, Goleczow 21 stycznia 1940 r.

Przekazać majorowi W.S. Błochinowi, naczelnikowi Wydziału Administracyjno-Gospodarczego, niżej wymienionych więźniów skazanych na rozstrzelanie...

Pod spodem wypisano na maszynie sto dwadzieścia trzy nazwiska z listy. Saszeńka i Wania znajdowali się prawie na szczycie. Do listy dołączono plik ponad stu poplamionych, zmiętych karteczek - z wpisanymi nazwiskami i datami - związanych czerwonym sznurkiem przeciągniętym przez otwór w papierze.

Drżącymi rękami Katinka odszukała kartę Wani Palicyna.

Na rozkaz towarzysza Kobałowa, zastępcy szefa Głównego Zarządu Bezpieczeństwa Państwowego, 21 stycznia 1940 r. o godz. 4.41 niżej podpisany wykonał wyrok śmierci na... - i tutaj pijany kat wpisał nieporadnym pismem półanalfabety nazwisko: Palicyn Iwan. Człowiekiem, który wykonał wyrok, był W.S. Błochin. Katinka słyszała o nim od Maksa: główny stalinowski kat, który zakładał zwykle skórzany rzeźnicki fartuch, żeby nie poplamieć krwią munduru NKWD.

Katinka poczuła, że znalazła się twarzą w twarz ze złem i nicością. Nie płakała, była zbyt wstrząśnięta. Czowała słabość i zawroty głowy.

Inne kartki były takie same. Mogła myśleć tylko o tym, że każda z nich, tak nie-
dbale wypełniona, oznaczała koniec czyjegoś życia. Ledwo zdołała się zmusić, żeby
poszukać Saszeńki - a potem zaczęła przewracać kartki zbyt szybko, prawie je drąc.

- Nie mogę jej znaleźć - powiedziała drżącym głosem. Szczegółow popatrzył na
zegarek.

- Nie mamy dużo czasu, wkrótce wrócą moi koledzy. Musimy się cofnąć o ponad
sześć miesięcy, do początku sprawy. Spójrz na to. Scena trzecia.

Położył przed nią żółty arkusz papieru z czarnym nagłówkiem wypisanym na
maszynie: GABINET I.W. STALINA. Cała powierzchnia była pokryta zakreślasami i
gryzmołami grubym zielonym i czerwonym ołówkiem, rysunkami wilków i przypad-
kowymi słowami. Ale sekretarz Stalina odnotował dokładną datę i godzinę: *7 maja
1939. Przekazano do archiwum o 23.42.* Tego wieczoru, kiedy Beria pokazał Stalino-
wi stenogramy z podsłuchu Saszeńki i Beni w łóżku w hotelu Metropol.

Katinka spojrzała na grube, zatłuszczone soczewki okularów Szczegółowa, w któ-
rych odbijały się jej niespokojne oczy, a potem znowu na papier przed sobą. Powoli
zaczynała składać w jedną całość dramat tamtej nocy, która przesądziła o losie Sa-
szeńki i całej jej rodziny. Wiedziała, że Stalin przeczytał stenogram i wpadł w gniew,
nazywając Saszeńkę kobietą „zdeprawowaną moralnie”, która zachowuje się „jak
ulicznica”. Wyjęła z torebki notatnik i spojrzała na listę gości Stalina tamtej nocy:

*22.00 Ł.P. Beria. Wychodzi 22.30 22.30 Ł.A. Satinow. Wychodzi 22.45 22.40 Ł.P.
Beria. Wychodzi 22.52*

Do czasu, gdy Beria opuścił gabinet Stalina o 22.30, Satinow czekał w przed-
pokoju. Stalin wezwał Satinowa i zapytał go o sprawę Saszeńki.

Katinka przyjrzała się następnej kartce z gryzmołami Stalina i z rosnącym prze-
rażeniem zaczęła uświadamiać sobie prawdę.

Pośrodku strony widniały słowa: *Pytania do towarzysza Satinowa: Saszeńka w
Piotr ogrodzie*, otoczone kółkami, kwadratami i pięknie narysowanym pyskiem lisa,
zacięniowanym na czerwono i podpisanym: *Towarzysz Lis Polarny*.

Satinow musiał odpowiadać na te pytania spokojnie, ponieważ Stalin zanotował
jego odpowiedź: *Starzy przyjaciele, oddani bolszewicy*.

Potem Stalin znowu wezwał Berię i razem zaczęli wypytywać Satinowa. Nastę-
pne słowa były prawie nieczytelne.

- Nie mogę tego odczytać - powiedziała. Archiwista, wodząc palcem wzdłuż lini-
jek, przeczytał:

Lis Polarny w Piotrogradzie: godna zaufania? niegodna zaufania? Ł.P. Bena: Mołotow i Mendel w Piotrogradzie?

Katinka domyśliła się, że to były pytania do Satinowa. Zaczęła sobie wyobrażać, jaką walkę o przetrwanie musiał on stoczyć w ciągu tych pięciu minut. Co powiedział? Musiał być blady, pocił się, jego umysł pracował gorączkowo. Miał młodą żonę i małe dziecko, był żarliwym komunistą i ambitnym człowiekiem. Swoimi odpowiedziami w ciągu tych pięciu minut mógł albo ocalić życie i karierę, albo zgubić siebie, żonę i dziecko.

Kiedy Stalin spytał, czy Saszeńce można było ufać w Piotrogradzie, Satinowowi musiało się przypomnieć jedno nazwisko: kapitana Sagana, którego znał tylko z jego kontaktów z Mendlem pod koniec 1916 roku.

Czy Stalin już wiedział o zadaniu Saszeńki, która miała zwerbować Sagana na polecenie Komitetu Piotrogradzkiego? Gdyby Satinow powiedział o tym teraz, a nikt by o tym nie wiedział, mógłby zaszkodzić Saszeńce, chociaż to było mało prawdopodobne, ponieważ Sagan nie żył od dwudziestu dwóch lat.

Ale jeśli Mołotow lub Mendel, jedyni ludzie poza Saszeńką, którzy wiedzieli o akcji zwerbowania Sagana, już rozmawiali o tym ze Stalinem? Satinow zostałby oskarżony o ukrywanie tego przed partią, przed samym Stalinem. To oznaczało śmierć.

Katinka popatrzyła na ołówkowe hieroglify opisujące tę szaleńczą grę w rosyjską ruletkę, która mogła zdecydować o losach ludzi jeszcze pięćdziesiąt lat później.

Co zrobił Satinow? Wpadł w panikę i powiedział więcej, niż chciał? Czy rozważył wszystko i działał z zimną krwią?

- Pewnie nigdy się nie dowiemy. - Zorientowała się, że mówi do siebie.

- Ale wiemy, że powiedział to... - odparł Szczegłow, pokazując palcem następne słowa napisane przez Stalina na tym pokreślonym kawałku papieru: *Herkules S: kpt. Sagan. Piotrogród. SAGAN*

Katinkę przeszedł zimny dreszcz. A więc Satinow powiedział Stalinowi i Berii o Saszeńce i kapitanie Saganie z Ochrany. Zrobiło się jej żal Satinowa, potem poczuła gniew, potem znowu żal. Mógłby odpowiedzieć inaczej, gdyby wiedział, że kapitan Sagan żyje - i w jednym z obozów Berii jego nazwisko figuruje w drobiazgowo prowadzonym rejestrze więźniów. W ciągu kilku godzin Sagan był już w drodze do Moskwy i Kobułow biciem wymusił na nim zeznania przeciwko Saszeńce.

- Gdyby Satinow zachował się inaczej - szepnęła - oni wszyscy mogliby przeżyć.

- Albo on też dostałby siedem gramów - powiedział Szczegłow. - Zobaczyłaś dosyć? - Zaczął zbierać papiery i układać je w teczkach, gdzie miały spocząć, być może na zawsze.

- A więc Satinow zgubił swoich najlepszych przyjaciół - zadumała się Katinka - ale potem zaryzykował wszystko, żeby ocalić ich dzieci. Czy to wystarczające odkupienie?

Szczegłow wskazał na windy, ponagłając ją, żeby wyszła z gabinetu, lecz ona chwyciła go za ramiona.

- Poczekaj, brakuje jednej rzeczy. Stalin powołał komisję do zbadania nieprawidłowości przy egzekucji Saszeńki. Gdzie jest jej raport?

- Był numerteczki - odparł Szczegłow, prowadząc ją w kierunku wind.

- Ale teczek tu nie ma. Przepraszam, ale tylko Bóg wie wszystko. - Przycisnął guzik, żeby sprowadzić windę.

- Dziękuję, że mi to pokazałeś - powiedziała, całując go na pożegnanie.

- Byłeś bardzo miły. Nie potrafię ci powiedzieć, co to dla mnie znaczy.

- A ty za bardzo się przejmujesz - powiedział, ściskając jej dłoń. Wchodząc do windy, przypomniała sobie wyjątek z pamiętnika Satinowa

i enigmatyczną notatkę Stalina, *Biczo to załatwi*, na dokumencie, który Maks pokazał jej w archiwum.

Biczo - po gruzińsku chłopiec - to było przezwisko, które Stalin nadał Satinowowi. Satinow miał „załatwić” to, o co prosił go Stalin: wziąć udział w zniszczeniu rodziny, którą kochał.

- O, Boże - jęknęła, wreszcie zrozumiałwszy wszystko. - Satinow widział, jak umierała. Co oni jej zrobili?

23

Po wyjściu z archiwum, biegnąc przez plac Majakowskiego, Katinka zatrzymała jakąś ładę, która zawiozła ją na ulicę Granowskiego. Drżąc z niecierpliwości, nacisnęła pięć dzwonekówn jednocześnie, drzwi się otworzyły i popędziła po schodach do mieszkania Satinowa. Drzwi znowu były uchylone, ale kiedy weszła, Mariko stała w przedpokoju pod kryształowym żyrandolem.

- Mariko, wiem, co myślisz, ale muszę mu powiedzieć, czego się dowiedziałam. Pomagał mi na każdym kroku, a ja nie zdawałam sobie z tego sprawy. Wiem, że teraz będzie chciał ze mną rozmawiać.

Katinka umilkła i wstrzymała oddech. Mariko jej nie wyrzuciła. W ogóle się nie odezwała, a Katinka, która nigdy wcześniej jej się nie przyjrzała, zauważyła, że Mariko nie wydaje się rozgniewana. Jej ciemna, pociągła twarz była potwornie zmęczona.

- Chodź - powiedziała cicho. - Możesz się z nim zobaczyć. - Poszła korytarzem, mijając salon. Katinka ruszyła za nią. - Wejdz.

Satinow leżał w łóżku, wsparty na poduszkach, z zamkniętymi oczami. Jego twarz, włosy i wargi miały barwę popiołu. Przy łóżku krzątała się pielęgniarka, poprawiając butlę i maskę tlenową, ale kiedy je zobaczyła, skinęła głową i szybko wyszła z pokoju.

Katinka, która o tyle rzeczy chciała zapytać, zawahała się nagle, niepewna, co robić. Oddech Satinowa był urywany; czasem jego pierś unosiła się raptownie, a czasami nie oddychał przez kilka sekund. Pocił się z wysiłku i ze strachu. Katinka wiedziała, że powinna mu współczuć, ale czuła tylko gniew i przygnębienie. Jak mógł jej uciec w ten sposób? Jak mógł być tak okrutny, żeby pozostawić Rozę w niepewności, nie mówiąc nikomu, co się stało z jej matką?

Katinka spojrzała na Mariko, która wskazała jej niskie krzesło przy łóżku.

- Możesz z nim porozmawiać - powiedziała. - Przez kilka minut. Pytał o ciebie. Myślał o tobie i twoich poszukiwaniach. Dlatego cię wpuściłam.

- Czy on mnie słyszy?

- Chyba tak. Czasami coś mówi, porusza ustami. Mówił trochę o mojej matce, ale trudno było zrozumieć. Lekarze mówią... Nie jesteśmy pewni. - Mariko oparła się o framugę i otarła twarz.

Katinka podeszła, pochyliła się nad łóżkiem i znowu spojrzała na Mariko.

- Śmiało - powiedziała Mariko. Katinka ujęła Satinowa za rękę.

- To ja, Katinka. Pańska poszukiwaczka. Mówię „pańska”, ponieważ przez cały czas trzymał pan wszystkie karty, wysyłał mnie tu i tam... Jeśli pan mnie słyszy, proszę dać mi jakoś znać: ścisnąć moją rękę albo mrugnąć. - Czekala, ale on wziął następny rozpaczliwy oddech, całe jego ciało zadrżało i znowu opadł na łóżko. - Wiem, że kochał pan Saszeńkę i Wanię, wiem, że zrobił pan straszną rzecz, i wiem, że uratował pan ich dzieci. Ale co się stało z Saszeńką? Co pan widział? Proszę mi powiedzieć, jak umarła.

Nie było żadnej reakcji. Katinka uświadomiła sobie, że stary człowiek jest uosobieniem sprzeczności. Pomagał jej i zachęcał do poszukiwań, ale także zwodził i prze-

szkadzał, tak samo jak zgubił Saszeńkę i uratował jej dzieci. Żałowała go, ale jednocześnie nigdy nie czuła większego gniewu.

Przez kilka minut leżał nieruchomo, ale potem znowu zaczął gwałtownie łapać powietrze, a jego ręce ścisnęły koldrę. Wróciła pielęgniarka, podała mu tlen i zrobiła zastrzyk. Uspokajał się stopniowo.

- Za chwilę przyprowadzę swoich braci - powiedziała Mariko. - Śpij w głębi korytarza. Czuwali przez całą noc.

Katinka wstała i podeszła do drzwi.

- Przykro mi - powiedziała. - Dziękuję, że mnie wpuściłaś. Szkoda, że nie mogę przyprowadzić Rozy, żeby go zobaczyła... Chciałam o tyle rzeczy zapytać. - Obejrzała się na łóżko w nadziei, że ją zawoła. - Nie odprowadzaj mnie, sama wyjdę.

W tym momencie usłyszały jego głos. Katinka odwróciła się i obie podeszły do łóżka. Wargi Satinowa poruszały się nieznacznie.

- Co on mówi? - spytała Katinka.

Mariko chwyciła go za rękę i pocałowała w czoło.

- Tato, to ja, Mariko, jestem tu z tobą, kochany tato.

Znowu poruszył ustami, ale nic nie usłyszały. Po chwili jego usta przestały się poruszać, a kiedy rodzina weszła do pokroju, Katinka wymknęła się po cichu.

* * *

Na ulicy czekał Maks, palił, opierając się o swój motocykl. Katinka wtuliła się w jego ramiona, wdychając zapach jego skórzanej kurtki i dym z papierosa. Bardzo się ucieszyła, że tu jest.

- Umiera? To straszny widok. Ale zrobiłaś, co mogłaś...

- To koniec - powiedziała - a ja jestem wykończona. Zatelefonuję do Rozy, uporządkuję swoje notatki i skontaktuję ją z ludźmi, z którymi chce się spotkać.

-

Co teraz zrobisz?

- Wracam do domu. Zobaczą się z przyjaciółmi i jest też chłopak, który chce mnie zabrać na wakacje. Może to i lepiej, że nigdy się nie dowiemy, jak umarła Saszeńka. Mój tata miał rację. Nie powinnam przyjmować tej pracy. Wracam do Katarzyny Wielkiej.

- Ale jesteś w tym dobra - powiedział Maks. - Katinko, proszę, przyjedź i pracuj ze mną w fundacji. Tyle moglibyśmy razem osiągnąć.

Katinka potrząsnęła głową.

- Nie, dziękuję. W tego rodzaju historii nie ma owoców, nie ma żniw, wszystkie te pola są zasiane solą. To może i stara historia, ale trucizna jest świeża, a cierpienia wciąż żyją. Nie, rozkopywanie starych grobów to nie dla mnie. To zbyt bolesne. Żegnaj, Maks, i dzięki za wszystko.

Otarła oczy i ruszyła przed siebie.

- Katinko! - zawołał za nią Maks. Odwróciła się.

- Katinko, mogę do ciebie kiedyś zadzwonić?

24

Ale Katinka nie wzięła pod uwagę siły przekonywania Paszy Getmana.

- Nie możesz po prostu zrezygnować i odejść od nas - ryknął na nią, kiedy zadzwoniła, żeby mu powiedzieć, że zrobiła, co mogła. Potem powiedział spokojniejszym głosem. - Co z moją matką? Ona bardzo cię lubi. Musisz dla nas zrobić jeszcze ostatnią rzecz. Potraktuj to jak osobistą przysługę wyświadczoną Rozie.

Trzy dni później Katinka i Roza prywatnym samolotem Paszy poleciały do Tbilisi (które, jak przypomniał Katince Pasza, leżało prawie po drodze do domu). Jeden z ochroniarzy Paszy zawiózł je prosto do malowniczej kawiarni w starej rezydencji.

- Lalu - powiedziała Katinka do staruszki w małym pokoiku na piętrze - przyprowadziłam kogoś, kto chce się z tobą spotkać.

Lala Lewis, trzymając w ręku kieliszek gruzińskiego wina, usiadła na łóżku i spojrzała na drzwi.

- Czy to ona? Czy to Saszeńka? - spytała.

- Nie, Lalu, ale to prawie Saszeńka. To Roza Getman, córka Saszeńki, którą znałaś jako Śnieżynkę.

- Och - westchnęła Lala i wyciągnęła ręce. - Podejdź bliżej. Jestem bardzo stara. Usiądź przy mnie na łóżku. Chcę ci się przyjrzeć. Chcę spojrzeć w twoje oczy.

- Witaj, Lalu - powiedziała Roza drżącym głosem. - Minęło ponad pięćdziesiąt lat od czasu, kiedy się nami opiekowałaś.

Katinka patrzyła, jak Roza, schludnie ubrana w białą bluzkę, błękitną kamizelkę i kremową spódnicę, z siwymi włosami ułożonymi jak w młodości, podchodzi wolno, patrząc na przedmioty z utraconego życia. Zawahała się na moment na widok wyciągniętych do niej rąk starej niani, a potem z uśmiechem, ponieważ Lala wydała się jej znana, usiadła na łóżku.

Lala ujęła dłonie Rozy, ściskając je z całej siły i mocno potrząsając. Żadna z nich nie wypowiedziała słowa, ale Katinka zobaczyła, że Rozie drżą ramiona, a po policzkach Lali płyną łzy. Poczuli się nagle jak intruz, podeszła więc do okna i wyjrzała. Otoczyły ją dźwięki i zapachy Tbilisi - śpiew na ulicy, aromaty *tkemali*, chleba *lawaszi*, mielonej kawy i kwiatów jabłoni.

To ostatnia scena dramatu, pomyślała Katinka. Zrobiła to, o co prosił Pasza. Doprowadziła do spotkania tych dwóch kobiet. Teraz wróci do domu, do taty i mamy - i do Andrieja.

Lala pogłaskała Rozę po twarzy.

- Drogie dziecko, marzyłam, żeby znowu zobaczyć twoją matkę. Muszę ci o niej wszystko opowiedzieć, bo nie było nikogo takiego jak ona. Spójrz, to jej zdjęcie jako uczennicy w Smolnym. Widzisz? Przyjeżdżałam po nią codziennie samochodem barona, samochodem, jak mówią dzisiaj. Samuel, baron, był twoim dziadkiem, a chociaż nigdy go nie poznałaś, wiedział o tobie wszystko.

I nie było dnia, żeby nie myślała o tobie i o Karlu. Jako mała dziewczynka byłaś taka podobna do matki - ona miała jasne włosy jak anioł - i masz fiołkowe oczy swojej babci, Ariadny. Och, kochane dziecko, że pomyślałaś o mnie, dziewczynie z Anglii. Żyłam dostatecznie długo, żeby zobaczyć upadek cara, dojście do władzy i upadek barbarzyńców, a teraz widzę ciebie - nie mogę w to uwierzyć.

- Nie jestem dzieckiem - roześmiała się Roza. - Mam sześćdziesiąt lat.

- Przy mnie nawet Matuzalem jest młody! - odparła Lala. - Pamiętasz tamte dni, które spędziłyśmy razem, zanim...

Roza skinęła głową.

- Chyba tak... Tak, pamiętam, jak zobaczyłam cię w bufecie na dworcu. Przywiozłaś ulubione herbatniki Karla. Pamiętam, jak szłam, trzymając cię za rękę, a potem...

- W tamtych czasach nie było mi łatwo - ciągnęła Lala. - Straciłam swoją ukochaną Saszeńkę i twojego dziadka. I nagle zyskałam kilka dni szczęścia z tobą i z Karlem. Kiedy was oddałam waszym nowym rodzicom, myślałam, że się zabiję. Tylko myśl, że pewnego dnia może wrócić ktoś bardzo mi drogi, utrzymywała mnie przy życiu. I wiesz, choć to wydawało się zupełnie niemożliwe, on wrócił.

- Lalu - przerwała Katinka, która nie zamierzała się wtrącać, ale wciąż płonęła z ciekawości - tylko Stalin mógł ocalić życie Samuelowi. Czy dowiedziałaś się, dlaczego?

Lala skinęła głową.

- Po śmierci potwora wszyscy płakali i ogłoszono żałobę. Były nawet demonstracje na jego cześć. Aleja się cieszyłam. Samuel był wtedy bardzo chory, więc

powiedziałam: „Teraz możesz mi powiedzieć, dlaczego cię zwolnili”. Powiedział, że nie wie dokładnie, ale w 1907 roku udzielił schronienia - i dał sto rubli - pewnemu ospowatemu gruzińskiemu rewolucjonście. Pozwolił mu zostać w domku odzwierne-go w swojej rezydencji przez kilka dni, kiedy szukała go policja. Później uświadomił sobie, że to był Stalin, a Stalin nigdy nie zapominał nawet najmniejszej przysługi. - Lala znowu spojrzała na Rozę, którą wciąż trzymała za rękę. Czasem podnosiła dłonie Rozy do ust i całowała. - Teraz umrę szczęśliwa - powiedziała.

- Jesteś jedynym ogniwem, które łączy mnie z matką - odparła Roza. - Wiesz, przez całe dzieciństwo prawie nienawidziłam swoich rodziców. Porzucili mnie, a ja nigdy się nie dowiedziałam dlaczego. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, co im zrobiłam złego, że się mnie wyrzekli. A mimo to bez przerwy o nich myślałam. Czasem śniło mi się, że nie żyją; często patrzyłam na Wielką Niedźwiedzicę na niebie, ponieważ tatuś powiedział mi, że zawsze tam będzie. Dopiero kiedy podrosłam, uświadomiłam sobie, że pewnie stało się z nimi coś złego i nie mieli innego wyboru, jak mnie zostawić. Ale przez całe życie nie mogłam po nich płakać.

Roza zwróciła się do Katinki.

- Udało ci się, moja droga. Dziękuję ci z całego serca - dziękuję. Odmieniłaś moje życie. Ale wiem, że spieszysz się do domu, a samolot Paszy czeka na lotnisku, żeby cię odwieźć do Władykaukazu. Idź, jeśli chcesz.

Katinka ucałowała Rozę i Lalę i ruszyła w kierunku drzwi - nagle zatrzymała się.

- Nie mogę jeszcze odejść - powiedziała, odwracając się. - Mogę zostać i posłuchać? Obawiam się, że zaangażowałam się bardziej, niż powinnam.

Roza poderwała się i uściskała ją.

- Oczywiście, ogromnie się cieszę. Bardzo cię polubiłam. - Znowu usiadła na łóżku. - Lalu, dzięki Katince dowiedziałam się o tobie i o swoich rodzicach. Ale proszę, opowiedz mi o Karlu.

Lala upiła łyk wina i zamknęła oczy.

- Był słodkim dzieckiem, zbudowanym jak mały niedźwiadek z cudownymi, brązowymi oczami, i był taki uczuciowy. Głaskał mnie po twarzy i całował w nos. Dzień, w którym go zostawiłam, był jednym z najpotworniejszych w moim życiu. Byliśmy w sierocińcu Berii - możesz sobie wyobrazić dom dziecka nazwany imieniem tej kreatury? Poprzedniego dnia, Śnieżynko, patrzyłam, jak odjeżdżasz z Liberhartami, i widziałam, że to kulturalni ludzie, żydowscy inteligenci, ale ty się wyrywałaś, kopałaś i krzyczałaś, a ja płakałam przez kilka godzin. Zatrzymałabym cię, gdybym mogła. Ale Satinow powiedział: „Twój mąż nie wróci; lada dzień przyjdą po ciebie - i co wtedy będzie z dziećmi? Musimy je oddać, żeby miały ustabilizowane, kochające rodziny”. Następnego dnia przyjechało chłopskie małżeństwo z Północnego Kaukazu. Byli koł-

choźnikami, Rosjanami z domieszką krwi kozackiej, ale tak prymitywnymi, że przyjechali do Tbilisi traktorem z przyczepą, po dostarczeniu warzyw z kołchozu na targ. Widziałam, że są niewykształceni i prości - mieli słomę we włosach. Ale nie mogłam niczego kwestionować. Mieliśmy szczęście, że Satinow to wszystko załatwił. Ale Karlo był taki wrażliwy. Musiał mieć swoje herbatniki, ponieważ miał niedobory cukru i mógł zasłabnąć. Trzeba go było głaskać przed snem co najmniej jedenaście razy - tak jak pokazała mi niania Karolina. Kiedy go zabrali, osunęłam się na podłogę, byłam tak roztrzęsiona, że chyba zemdlałam. Nie pamiętam, co się działo potem, ale przyszedł lekarz. Byłam niepokieszona...

Katinka poczuła nagły dreszcz podniecenia. *Satinow to wszystko zaaranżował.* Oczywiście, teraz wszystko sobie przypominała. Co powiedział przy ich drugim spotkaniu? *Nazywasz się Wińska? Jak dostałaś tę pracę? Tak, akademik Bielaków miał rację, że wybrał cię spośród setek swoich studentów.* Była zirytowana, miała poczucie, że się z nią bawi. Ale tak nie było. On jej coś mówił. Jakaż byłam naiwna, pomyślała z rosnącym podnieceniem. Ogłoszenie Get-manów ukazało się w wydzielonej gazecie, ale ona dostała tę pracę, chociaż się o nią nie ubiegała. Akademik Bielaków podszedł do niej w bibliotece i powiedział: „To praca dla ciebie. Żadne inne podania nie są konieczne”.

- Jak to się stało, że wybraliście mnie do tej pracy? - spytała Katinka Rozę. - Czy rozmawialiście z innymi kandydatami?

- Nie - odparła Roza. - Najpierw wysłaliśmy list do marszałka Satinowa. To było jedyne nazwisko, jakie znałam. Jedyne ogniwo. Odmówił pomocy i powiedział, że to nie ma z nim nic wspólnego. Upierał się, że potrzebujemy historyka i skontaktował nas z akademikiem Bielakowem, który zamieścił ogłoszenie.

- Co wam powiedział Bielaków?

- Że jest wielu kandydatów, ale ty jesteś najlepsza - nie musieliśmy rozmawiać z nikim innym.

Katinka wstała, świadoma, że Roza i Lala dziwnie na nią patrzą. Serce jej waliło. Tylko Satinow znał nazwiska zastępczych rodziców, pomyślała. Czy to oznaczało, że wiedział coś również o niej? Jeśli tak, to po otrzymaniu listu od Rozy musiał tylko zadzwonić do swojego przyjaciela, akademika

Bielakowa: „Jeśli jacyś miliarderzy będą chcieli wynająć studenta do poszukiwań rodziny, poleć im Winską”. Szukała Karła w archiwach, a przez cały ten czas on był bliżej, znacznie bliżej.

- Muszę iść - powiedziała Rozie, już pędząc do drzwi i zbiegając po schodach. - Muszę porozmawiać z ojcem.

- Pragnęliśmy własnego dziecka - powiedziała Baba, kiedy cała rodzina zasiadła w skromnym salonie w domku z niebieskimi okiennicami.

Katinka rozejrzała się po znajomym pokoju w domu, gdzie dorastała. Na wszystkich twarzach malowała się obawa i ona była tego przyczyną. Jej krzepka babcia, Baba, w swojej kwiecistej sukience i czerwonej chustce na głowie, siedziała pośrodku na wystrzępionym, zapadniętym fotelu z wyrazem niepokoju na szerokim obliczu. Jej porywczy, rozdrażniony dziadek, Pluskwa, przechadzał się po pokoju, plując przekleństwami. Ale to jej ukochany ojciec przysporzył jej najwięcej bólu.

Doktor Winski przyjechał prosto z przychodni, wciąż w białym fartuchu, żeby odebrać ją z lotniska. Kiedy zobaczył swoją ukochaną córkę, uściskał ją i ucałował.

- Tak się cieszę, że jesteś w domu - powiedział. - Światło mojego życia. Wszystko w porządku? Dobrze się czujesz, kochanie?

Popatrzyła na jego myślącą, poważną twarz, tak filmowo przystojną z dołeczką na podbródku, i poczuła się jak bomba zegarowa, która za chwilę ma eksplodować.

- O co chodzi? - spytał.

Od razu opowiedziała mu całą historię.

Przez chwilę nic nie mówił, potem zapalił papierosa. Zdenerwowana Katinka czekała, ale nie spierał się z nią. Po prostu palił i zastanawiał się.

-*Papoczka*, powiedz mi, czy mam milczeć? Czy powinniśmy o tym zapomnieć?

- Nie - odparł. - Jeśli to prawda, chcę odnaleźć swoją siostrę, jeśli ją mam. Chcę wiedzieć, kim byli moi prawdziwi rodzice. Ale poza tym, myślę, że to niewiele zmieni. Wiem, kim jestem. Moi rodzice kochali mnie przez całe życie, zawsze będą moimi rodzicami, a ja zawsze będę ich synem. Ale to może złamać im serce - a to z kolei mnie złamie serce. Pozwól mi z nimi porozmawiać...

Do domu jechali w milczeniu. Kiedy dotarli do wioski, Katinkę powinna przepełniać radość z powrotu do domu. Ale teraz wioska wydawała się inna, domek się zmienił, jakby wszystko zostało poruszone i ułożone inaczej na tysiące sposobów.

Gdyby nie matka Katinki, wszystko skończyłoby się na bolesnym milczeniu ojca i upartej tajemniczości dziadków. Ale kiedy Katinka wyjaśniła wszystko matce, Tatia-

na - często tak niezdecydowana i roztrzępana - natychmiast zabrała się za uspokajanie ojca i pocieszanie Pluskwy i Baby.

Z początku dziadkowie utrzymywali, że o niczym nie wiedzą. Powiedzieli, że to pomyłka, a Katinka zaczęła się zastanawiać, czy nie ubzdurała sobie wszystkiego. Może za bardzo się zaangażowała w historię Saszeńki? Może popadła w taką obsesję, że traci zmysły?

- Jakby mi ktoś wbił nóż w serce - powiedziała Baba swojemu synowi. -

Kłamstwo, potwarz! - Usiadła w wyzywającej pozie. - Jak można wygadywać takie rzeczy!

Pluskwa był wściekły.

- Czy nie kochaliśmy cię przez całe życie? Czy nie byliśmy dobrymi rodzicami? I oto jak nam dziękujesz - mówisz, że jesteśmy dla ciebie niczym! - Zwrócił się do Katinki. - Dlaczego rzucasz nam w twarz te kłamstwa? Wstydz się, Katinko! To jakaś sztuczka, jakiś żart tych bogatych Żydów w Moskwie?

Katinkę rozdzierał ból i wątpliwości. Spojrzała na ojca. Jeszcze nigdy nie miał tak zbolącej twarzy.

Wtedy wtrąciła się matka Katinki.

- Drodzy rodzice - powiedziała - byliście dla mnie jak rodzice i wiecie, że Walentin kocha was bardziej, niż sobie wyobrażacie. - Zwróciła się do męża.

- Kochanie, powiedz im, co czujesz. Powiedz im.

- Tato, mamó - powiedział doktor Winski, klękając u stóp starej wieśniaczki i ujmując jej dłonie. - Jesteście moimi rodzicami. Zawsze będziecie dla mnie ukochaną *mamoczką* i *papoczką*. Jeśli zostałem adoptowany, to nic nie zmieni. Kochaliście mnie przez całe życie. Nie zaznałem od was niczego poza czułą troską. Wiem, kim jestem, i zawsze będę tamtym małym chłopcem, którego kochaliście, odkąd pamiętam. Jeśli nie chcieliście mi powiedzieć wcześniej, rozumiem. W tamtych czasach ludzie nie rozmawiali o takich rzeczach. Ale jeśli jest coś, co chcielibyście mi powiedzieć teraz, wszyscy wysłuchamy i później będziemy was kochać tak samo.

Jego słowa głęboko wzruszyły Katinkę, a kiedy spojrzała na Babę, zauważyła, że jej twarz nieco złagodniała. Starzy wieśniacy wymienili spojrzenia, potem babcia wzruszyła ramionami.

- Chcę im opowiedzieć - oznajmiła mężowi.

- Same kłamstwa - powiedział Pluskwa, ale znacznie ciszej.

Niektóre tajemnice są ukrywane tak długo, pomyślała Katinka, że już nie wydają się prawdziwe.

Potem Pluskwa machnął ręką.

- Powiedz im, jeśli musisz. - Usiadł na kanapie i zapalił papierosa.

- Mów, mamu - powiedział doktor Winski, też sięgając po papierosa. Wstał, nalał trochę wódki do małego kieliszka i podał jej. - Chcę usłyszeć twoją historię - cokolwiek to będzie.

Baba wzięła głęboki oddech, opróżniła kieliszek, rozejrzała się po pokoju i rozłożyła ręce.

- Byliśmy z Pluskwą małżeństwem od ośmiu lat - i nie mieliśmy dzieci. Wciąż próbowaliśmy i nic. To przekleństwo być bezdzietnym. Chociaż byłam prawdziwą komunistką, chodziłam do popów po błogosławieństwo; byłam u znachora w sąsiedniej wiosce. Ciągłe nic. Pluskwa nie chciał o tym rozmawiać... Potem, pewnego dnia, usłyszałam w kołchozowym biurze, że jakiś wysoki dygnitarz z Moskwy przyjeżdża na inspekcję naszej nowej stacji traktorowej. Rozmawiał ze wszystkimi na osobności i chciał rozmawiać z nami. To był towarzysz Satinow.

- Czy już go znaleźcie? - spytała Katinka.

- Tak - odparła Baba. - W 1931, podczas kolektywizacji wsi i likwidacji kułaków, przyjechał do naszego obwodu. Wszystkich kułaków wywieziono, wielu rozstrzelano, były rekwizycje? zboża i głód. To były straszne czasy. Ktoś zadenuncjował Pluskwę jako kułaka. Byliśmy na liście do aresztowania. Wszystkich innych z tej listy rozstrzelano. Kierował tym towarzysz Satinow i nie wiem dlaczego, ale z jakiegoś powodu wstawił się za nami i nasze nazwiska wykreślono z listy. Zawdzięczaliśmy mu życie. Osiem lat później, w 1939, znowu nas pobłogosławił. Poprosił, żebyśmy wzięli trzyletniego chłopca. „Kochajcie go jak drogocenny skarb - powiedział. - Zabierzcie jego tajemnicę do grobu. Wychowajcie go jak własnego syna". Pewnego dnia dostaliśmy wezwanie z sierocińca Berii, pojechaliśmy do Tbilisi i zabraliśmy... małego chłopca z brązowymi oczami i dołeczkiem na podbródku. To był najpiękniejszy chłopiec na świecie.

- Byłeś naszym synem, naszym własnym - powiedział Pluskwa.

- Pokochaliśmy cię od pierwszej chwili - dodała Baba.

- Czy kiedykolwiek kontaktowaliście się z Satinowem? - spytała Katinka.

- Tylko raz. - Pluskwa zwrócił się do syna. - Chciałeś być lekarzem. Trudno było się dostać do najlepszych szkół medycznych, a nikt z mojej rodziny nigdy się nie kształcił. Zadzwoń więc do towarzysza Satinowa - a on umieścił cię na Uniwersytecie Leningradzkim.

- Kiedy byłeś bardzo mały - ciągnęła Baba - coś jeszcze pamiętałeś. Płakałeś za swoją matką, za ojcem, za swoją nianią i daczą. Miałeś pluszowego królika, którego bardzo kochałeś, więc hodowaliśmy króliki w szopie w ogrodzie, a ty je karmiłeś, dawałeś im imiona, kochałeś je tak jak my ciebie. Przytulałam cię w nocy i w końcu za-

pomniałeś o tym, co było, i pokochałeś nas. A my tak cię uwielbialiśmy, że nie mogliśmy ci powiedzieć... I to cała prawda. Jeśli zrobiliśmy coś złego, powiedz nam.

Kiedy ojciec całował swoich rodziców, Katinka nie mogła na to patrzeć. Wyszła na werandę, z której roztaczał się widok na rozkwitający wiciokrzew, pikujące jaskółki, wartkie spienione strumienie i ośnieżone szczyty dalekich gór. Ale nic nie widziała ani nie słyszała - tylko ukochaną twarz ojca i zawodzenie babci, która płakała w ten niepoahamowany sposób, w jaki zawsze płaczą chłopci.

26

Ciało marszałka Satinowa spoczywało w dębowej trumnie wyłożonej szkarłatnym aksamitem w salonie mieszkania przy ulicy Granowskiego. Na sztaludze za trumną stał portret Satinowa, którego Katinka wcześniej nie widziała: był na nim przedstawiony śmiały komisarz z czasów wojny domowej, na koniu, w skórzanej kurtce, z mauzerem w ręku i karabinem przewieszonym przez ramię, prowadzący czerwonych Kozaków do szarży przez ośnieżone stopy. Katinka pomyślała, że dowódca czerwonej kawalerii był zapewne młodszy niż ona teraz.

Dwa dni wcześniej Mariko zatelefonowała do Katinki, żeby jej powiedzieć, że jej ojciec zmarł poprzedniej nocy, i zaprosić dzieci Saszeńki, aby mogły się z nim pożegnać.

Roza była już w Moskwie, więc Pasza wysłał samolot po Katinkę i jej ojca. Roza ledwo panowała nad sobą z podniecenia: „Znowu zobaczę Karla - powiedziała Katince przez telefon. - Nie mogę w to uwierzyć. Nie wiem, co mam mu powiedzieć, nie wiem, co mam na siebie włożyć. Czy twój ojciec jest tak samo przejęty jak ja?”

Leżąc w łóżku tej nocy, Katinka wyobrażała sobie spotkanie brata i siostry, myślała o tym, jak szczęśliwi byłiby Saszeńka i Wania, i jak to się odbędzie: kto rzuci się w czyje ramiona? Kto wybuchnie płaczem, a kto się roześmieje? Jej nieśmiały ojciec będzie się ociągał, a Roza uściska go mocno... Ona to sprawiła, umożliwiła to spotkanie i chciała, żeby wszystko dobrze poszło.

Kiedy ciemność nocy ustąpiła przed błękitem świtu, Katinka usiadła na łóżku, włożyła szlafrok i pobiegła do salonu. Wiedziała, że zastanie ojca na kanapie, palącego w półmroku papierosa. Wyciągnął do niej rękę.

- Nie spakowałeś się - powiedziała.

- Nie pojedę - odparł. - Tu jest mój dom. Mam przy sobie całą swoją rodzinę...

Usiadła obok niego.

- Nie chcesz spotkać się z siostrą? Satinow chciał, żebyście się spotkali. Niczego nie odwrócimy, ale jeśli nie pojedziesz, pozwolisz, żeby ludzie, którzy zabili twoją matkę i ojca, wygrali. - Ojciec przez chwilę nic nie mówił. - Proszę, *papoczka!*

Potrząsnął powoli głową.

- Myślę, że już dostatecznie długo się nami bawili, prawda?

Lot do Moskwy wydawał się Katince przygnębiający; siedziała posepna i rozczarowana wśród ostentacyjnego luksusu boeinga Paszy. Nic nie mogła na to poradzić, że była wściekła na ojca, który ją zawiódł, ale szanowała też jego spokojną determinację. Wciąż myślała o tragedii swoich dziadków i za każdym razem widziała ją inaczej: była to czarna robota ludzi, którzy wierzyli, że mają prawo bawić się życiem innych, a teraz bawili się również jej życiem.

Roza czekała na płycie prywatnego lotniska we Wnukowie. Pasza stał za nią z dwoma ochroniarzami, a nieco dalej, zaparkowana w wachlarz połyskującej stali, stała kawalkada oligarchy: czarny bentley i dwa land cruisery pełne ochroniarzy, z zapuszczonymi silnikami, gotowe zawieźć ich do Moskwy.

Kiedy Roza zobaczyła smętną minę Katinki, wyciągnęła do niej ramiona.

- Nie martw się, Katinko. Też jestem rozczarowana, ale chyba rozumiem. - Uściśnęła mocno dłoń Katinki. - Najważniejsze, że dowiedziałam się, kim jestem - i odnalazłam bratanicę, o której nawet nie wiedziałam. Mam ciebie, najdroższa Katinko.

Stały przez chwilę, jakby były same na świecie - dopóki Pasza nie pocałował delikatnie matki w czubek głowy.

- Jedźmy do domu - powiedział, prowadząc ją do samochodu. - To trochę potrwa, mamo.

Kiedy zamykał drzwi, szepnął do Katinki:

- To zrozumiałe. To nie twoja wina. Nie rozumiesz? Są sobie obcy. Twój ojciec nie chciał odnaleźć swojej przeszłości. To ona go odnalazła.

Katinka i Roza, jej nowo odnaleziona ciotka, którą zaczęła już kochać, stały razem w kolejce żałobników w salonie domu Satinowa. Nawet bez brata Roza uparła się, żeby zobaczyć człowieka, który w tak istotny sposób wpłynął na jej życie, raz fatalnie, raz bezinteresownie, a teraz, poniewczasie, próbował odkupić swoją winę.

Pozostali żałobnicy zdawali się należeć do dziwacznej epoki lat siedemdziesiątych. Katinka patrzyła na otyłe kobiety w obcisłych kostiumach i gigantycznych, orzechowo-rudych fryzurach, i na towarzyszących im mężczyzn, spasionych, łysiejących aparatczyków w brązowych garniturach z medalami. Ale byli też

młodszy oficerowie, a nawet kilkoro dzieci, zapewne wnuków Satinowa. Rodzice próbowali uciszać ich chichoty i zabawy, niestosownie przy tej smutnej okazji.

Kiedy dotarły na czoło kolejki, Katinka ujęła dłoń Rozy, weszły razem na małe podwyższenie i zajrzały do trumny. Nie mogła nie patrzeć na twarz Satinowa z sympatią, mimo gry, którą z nią prowadził. Śmierć - a także staranne zabiegi balsamisty i fryzjera - przywróciły mu spokojne dostojeństwo radzieckiego bohatera starszego pokolenia. Cztery rzędy medali zdawały się wyrastać z jego piersi, połyskiwały złote pagony marszałka Związku Radzieckiego, siwe włosy stały sztywno zaczesaną do tyłu falą.

- Pamiętam, jak dawno temu bawiłam się z nim - powiedziała Roza, patrząc na zmarłego. - I to on był człowiekiem w limuzynie, który obserwował mnie przed szkołą w Odessie. - Pochyliła się nad trumną i ucałowała czoło Satinowa, ale schodząc z podwyższenia, zachwiała się i Katinka musiała ją podtrzymać. - Nic mi nie jest - powiedziała Roza. - Po prostu za dużo przeżyć naraz.

Katinka pomogła jej usiąść na krześle. Roza patrzyła na dzieci, biegające w długim korytarzu i ślizgające się na kolanach po lśniącym parkiecie, a Katinka poszła do kuchni, żeby przynieść jej szklanek wody. Mariko i kilku jej krewnych, niewątpliwie Gruzinów, zapewne jej braci, piło herbatę i częstowało się gruzińskimi przekąskami.

- Och, Katinka - powiedziała Mariko. - Cieszę się, że przyszłaś. Chcesz herbaty albo kieliszek wina? - Mariko wyglądała na zmęczoną w swojej czarnej sukni, lecz Katinka zauważyła, że w ciągu ostatnich kilku dni odmłodziła i wyładniała.

- Jutro złożą go na katafalku w Sali Armii Czerwonej - powiedziała Mariko z dumą.

- Dzięki twojemu ojcu odnalazłam dzieci Saszeńki - wyjaśniła Katinka - i - nigdy byś nie zgadła - dzięki niemu dowiedziałam się, że Saszeńka była moją babcią. Pomyśleć tylko!

Mariko przyprowadziła do kuchni Rozę. Krewni Mariko zostawili je same, a ona naląła herbatę.

- Wiesz - powiedziała Roza, popijając herbatę - pamiętam, jak ślizgałam się po podłodze w tym mieszkaniu.

- Mieszkałaś w tym budynku, prawda? - spytała Katinka.

- Nie tylko w tym budynku - odparła Roza stanowczo. - To był nasz dom, właśnie to mieszkanie, a ja pamiętam, jak przyszli tu ludzie w lśniących butach: stosy fotografii, papiery walające się na podłodze i piękna kobieta we łzach, która nas przytulała.

Katinka spojrzała na Mariko, która przez chwilę nic nie mówiła: ona i Roza były mniej więcej w tym samym wieku, ale prowadziły zupełnie inne życie.

- Urodziłam się w 1939 - powiedziała Mariko, upijając łyk czerwonego wina. - Chyba w tym czasie przydzielono nam to mieszkanie. Nie można było odrzucić podarunku partii, to był sprawdzian lojalności... - Przełknęła głośno ślinę i rozejrzała się. - Ale nie miałam pojęcia, że stało się to w takich okolicznościach. Nie wiem, co powiedzieć.

Roza dotknęła ręki Mariko.

- To cudownie, że mogliśmy się spotkać. Gdyby wszystko potoczyło się inaczej, pewnie byśmy razem dorastały.

- Szkoda, że tak się nie stało. Musiało być ci ciężko przyjść tutaj... ciężko dowiedzieć się o różnych rzeczach. Mojemu ojcu też było ciężko.

- Pomógł mi - powiedziała Katinka - nie chciał jednak, żebym odkryła pewne rzeczy.

- Bardzo pragnął, żebyś odnalazła dzieci Saszeńki - odparła Mariko - ale poświęcił życie Związkowi Radzieckiemu i partii. Pomagał ci w taki sposób, żeby nie podważać swoich przekonań. I nie chciał, żeby ktokolwiek wiedział o tej strasznej rzeczy, którą zrobił. Mój ojciec widział w życiu wiele tragedii, ale wiesz, Saszeńka chyba na zawsze pozostała w jego pamięci, w jego snach. Ona i cała jej rodzina. Musiał widzieć ich codziennie w tym mieszkaniu.

- Lecz my wciąż nie wiemy, co się z nią stało - powiedziała Katinka z nutą goryczy. - Akta były niekompletne. Tylko twój ojciec wiedział, ale zabrał tajemnicę do grobu.

Nie było nic więcej do powiedzenia. Mariko wstała, zebrała talerze i filiżanki i wstawiła je do zlewu.

- Przykro mi z powodu śmierci twojego ojca - powiedziała Roza.

Mariko wytarła ręce szmatą.

- A mnie jest p... - ale urwała raptownie. - Dziękuję, że przyszedł - powiedziała w końcu.

* * *

Kilka minut później Katinka i Roza zeszły po kamiennych schodach na ulicę, gdzie czekał bentley Paszy. Kierowca otworzył drzwi. Historia jest taka zagmatwana, taka niewdzięczna, pomyślała Katinka, przypominając sobie pełne smutku słowa ojca z tego ranka. Ona też nienawidziła historii za to, w jaki sposób bawi się ludźmi.

- Katinko! - Obejrzała się. - Katinko! - Mariko wołała ją z okna na półpiętrze.

Drzwi frontowe wciąż były otwarte, więc Katinka zawróciła i szybko wbiegła po schodach.

- Weź to. - Mariko wsunęła jej do rąk żółtą kopertę. - Ojciec kazał mi obiecać, że to zniszczę. Aleja chcę ci to dać. Bierz, Katinko, to tak samo twoja historia, jak i nasza. Twoja i Rozy. Strzeż jej dobrze.

27

- Potrzebuję twojej pomocy, Maks, po raz ostatni - powiedziała Katinka przez telefon, kiedy wróciła z Rozą do rezydencji Getmanów.

- Miło usłyszeć twój głos - odparł Maks. - Brakowało mi ciebie. I mam ci coś do pokazania, za miastem. Wspaniałe miejsce, żeby porozmawiać i pomyśleć. Mogę po ciebie przyjechać?

Pół godziny później Katinka usłyszała znajomy warkot motocykla. Pod-ekscytowana i zadowolona, że go widzi, wybiegła na ulicę i niebawem pędzili szosami świeżo pokrytymi gładkim asfaltem za pieniądze oligarchów i ministrów, którzy mieli za miastem daczę, już nie drewniane wille, lecz okazałe domy i pałace z wieżami strażniczymi i wysokimi murami. Po chwili Maks skręcił z szosy w wyboistą leśną drogę.

Słońce świeciło przez liście brzoź i lip. Katinka cieszyła się jazdą i czystym powietrzem po długich godzinach, które spędziła ostatnio w samolotach i zakurzonych archiwach. Wreszcie zatrzymali się na polanie w pobliżu staromodnej drewnianej wili. Katinka zdjęła hełm i znalazła się wśród krzaków malin i jeżyn.

- Co za piękne miejsce - powiedziała, odgarniając włosy z czoła.

- Przywiozłem chleb i ser, żebyśmy mogli coś przekąsić, kiedy będziemy rozmawiać, i trochę soku.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że jesteś taki zorganizowany - powiedziała. - Moje uznanie.

Maks wyglądał na zakłopotanego, ale zadowolonego. Położył jedzenie na trawie i usiadł.

- No? Kto pierwszy?

- Ty! - powiedzieli oboje jednocześnie i roześmieli się.

- Nie - powiedział Maks. - Najpierw chcę usłyszeć twoje nowiny i jak mogę ci pomóc. Ale zastanawiałem się właśnie... jak było w domu?

- W porządku - odparła. Usiadła na trawie, patrząc na plamy słońca na twarzy Maksa. Słodki zapach rozgrzanej żywicy wypełniał powietrze.

Maks połamał czarny chleb, ukroił plaster sera i podał jej.

- Jak twój chłopak?

- Och, rozumiem teraz, co miałeś na myśli, pytając o dom.

- Nie, nie, nie to miałem na myśli. Byłem po prostu...

- Ciekawy? Jest taki sam jak przedtem, ale nie jestem pewna, jak długo tam zostanie. Spotkanie z Rozą i Paszą, poszukiwania Saszeńki... - była zaskoczona, że z takim napięciem słucha jej słów - trochę wszystko zmieniły, zmieniły mnie, w każdym razie. Zastanawiam się, czy nie zostać w Moskwie tego lata. Zajmę się swoimi badaniami albo, jeśli będziesz dla mnie miły, pomogę ci trochę w fundacji...

- To wspaniale! - Maks uśmiechnął się tak promiennie, że Katinka miała ochotę się roześmiać. Ale odkryła, że jego radość sprawia jej przyjemność, choć postanowiła tego nie okazywać. Był za bardzo zadowolony z siebie.

- No dobrze - powiedział, zmieniając ton. - Co ci dała córka Satinowa? Katinka wyciągnęła spod kurtki kopertę, rozwiązała sznurek i wyjęła starą teczkę z archiwum.

- Tylko do niej zerknęłam. To brakujące akta.

Ścisłe tajne.

Dla: I. W. Stalin; Ł.P. Bena

Raport Komisji Śledczej Komitetu Centralnego - towarzyszy Mierkulowa, Malenkowa, Szkiriatowa - w sprawie wykroczenia służbowego przy wykonywaniu najwyższego wymiaru kary na więźniu 83 w Obiekcie Specjalnym 110 dnia 21 stycznia 1940r. Raport sporządzono 12 marca 1940r.

Katinka zauważyła rysunki - koła, romby i półksiężyce zrobione zielonym ołówkiem wokół nagłówka - i wykrztusiła:

- To kopia Stalina.

- Zgadza się - powiedział Maks.

- Jak Satinow ją zdobył?

- To proste. Po śmierci Stalina w pięćdziesiątym trzecim wszyscy przywódcy chcieli ratować własną skórę, więc przetrzasali archiwa, żeby usunąć szczególnie kompromitujące dokumenty. Zwykle je palili. Ale Satinow to zatrzymał. - Maks obejrzał uważnie dokument, wkładając z roztargnieniem papierosa do ust i zapalając zapalkę, lecz zapominając go przypalić.

- A teraz to zinterpretujmy. Najwyższy wymiar kary to egzekucja pojedynczą kulą w tył głowy. Obiekt Specjalny 110 to specjalne więzienie Berii, Suchanowka, dawny monaster Świętej Katarzyny w Widnoje, gdzie sądzono i stracono Saszeńkę i Wa-

nię. Wszystko było do tego stopnia tajne, że więźniów nazywano numerami, a nie nazwiskami, a więc więzień 83 to...

- Saszeńka - powiedziała Katinka. - To był jej numer na liście. - Pochyliła się i zaczęła czytać. - Najpierw przesłuchali Goleczowa, komendanta więzienia...

Komisja: Towarzyszu komendancie Goleczow, byliście odpowiedzialni za wykonanie najwyższego wymiaru kary na skazanych więźniach w dniu 21 stycznia 1940 roku. Wykonanie kary miał obserwować z ramienia Komitetu Centralnego towarzysz Herkules Satinow. Dlaczego zaczęliście wcześniej, a do tego w taki nieprzepisowy i niebolszewicki sposób?

Goleczow: Najwyższy wymiar kary został wykonany zgodnie z przepisami obowiązującymi funkcjonariuszy NKWD.

Komisja: Ostrzegamy was, towarzyszu Goleczow, to poważny zarzut. Swoim postępowaniem pomogliście naszym wrogom. Pracowaliście dla wrogów? Was też może czekać najwyższy wymiar kary.

Goleczow: Przyznaję się przed Komitetem Centralnym do poważnych i głupich błędów. Były moje urodziny. Zaczęliśmy pić wcześniej, przy obiedzie, a picie pomaga, kiedy wykonuje się wyszkę. Koniak, szampana, wino, wódkę. O północy nadszedł czas, żeby wyprowadzić więźniów, ale towarzysz Satinow się spóźnił, a nie mogliśmy zacząć bez niego.

Komisja: Towarzyszu Satinow, dlaczego wy, świadek, spóźniliście się? Satinow: Zachorowałem, poważnie zachorowałem, ale zameldowałem o swojej chorobie komendantowi i zjawilem się w Suchanowce najszybciej jak mogłem.

Komisja: Towarzyszu Satinow, znaliście niektórych skazanych więźniów, zwłaszcza Saszeńkę Zeitlin-Palicyn. Czy przechodziliście kryzys nerwowy spowodowany burżuazyjnym sentymentalizmem?

Satinow: Nie, słowo komunisty. To było zwykłe zatrucie pokarmowe. W naszych czasach walki należy likwidować wrogów ludu.

- Masz obraz sytuacji? - spytał Maks. - Strażnicy są w trupa pijani, Saszeńka, Wania i setka innych więźniów czeka na egzekucję, a Satinow jest taki roztrzęsiony, że nie może przyjść. I co się dzieje dalej?

Goleczow: Kiedy piliśmy, nasza rozmowa zeszła na podłość naszych wrogów, zwłaszcza kobiet, zwłaszcza więźniarki Zeitlin-Palicyn, słynnej Saszeńki. Słyszeliśmy o wstrętnej, odrażającej deprawacji tej zdrajczyni, o tym, jak wykorzystywała swoje ko-

biece wdzięki, żeby uwodzić i usidlać innych zdrajców, a ponieważ towarzysza Satinowa jeszcze nie było, pod wpływem alkoholu i obrzydzenia dla jej zdrady, postanowiliśmy zacząć od niej. Sprowadziliśmy ją do jadalni i...

Pod tym oświadczeniem Stalin napisał zielonym ołówkiem jedno słowo: *Chuligani.*

- A teraz posłuchajmy Błochina - powiedział Maks.

Komisja: Towarzyszu majorze Błochin, zostaliście wyznaczeni do wykonania najwyższego wymiaru kary na 123 więźniach z tej listy, ale poskarżyliście się na postępowanie komendanta.

- Błochin był głównym stalinowskim katem - wyjaśnił Maks. - W przypadku polskich jeńców w Katyniu, osobiście zabił parę tysięcy ludzi w ciągu kilku nocy, ubrany w rzeźnicki skórzany fartuch.

Błochin: O północy stawilem się, gotów rozpocząć swoje obowiązki jako naczelnik Wydziału Administracyjno-Gospodarczego i wykonać najwyższy wymiar kary na 123 więźniach z listy, ale chcę zameldować Komitetowi Centralnemu, że zastałem komendanta i jego oficerów pijanych w obecności więźniarki Zeitlin-Palicyn, która była traktowana w sposób sprzeczny ze wzniosłą moralnością czekisty. Była już częściowo rozebrana. Stanowczo zaprotestowałem. Zaofiarowałem się natychmiast wykonać wyrok osobiście, ale odesłano mnie. Próbowałem dzwonić do towarzysza Satinowa. Kiedy przyjechał, zameldowałem mu o wszystkim. Ci pijacy i nieudolni amatorzy szydzili z mojej fachowości i wprawy w tej szczególnej i odpowiedzialnej pracy. Robili zakłady i wrzeszczeli. Mniej więcej trzydzieści trzy minuty po północy wyprowadzili więźniarkę Zeitlin-Palicyn na dziedziniec w pobliżu garaży oficerskich, który jest oświetlony bardzo jasnymi reflektorami. Temperatura wynosiła prawie minus czterdzieści stopni. ,

Goleczow: Kiedy znalazła się na dziedzińcu, wykonaliśmy najwyższy wymiar kary, wyrok Kolegium Wojskowego na więźniarce Zeitlin-Palicyn, ale pod wpływem alkoholu i z powodu nieregularnego spóźnienia towarzysza Satinowa... zrobiliśmy to w niedopuszczalny, lekkomyślny i naganny sposób. Tak, przyznaję, byliśmy nią zaciekawieni jako uwodzicielską agentką japońskiego cesarza i brytyjskich lordów, oraz jako kobietą.

Katinka poczuła zimny dreszcz.

- O mój Boże - szepnęła. - Zgwałcili ją?

- Nie. Gdyby to zrobili, byłoby to tutaj powiedziane - odparł Maks. - Ale z pewnością byli podekscytowani jej urodą, jej reputacją uwodzicielki. Słyszeli o stenogramach z podsłuchu Saszeńki i Beni.

Satinow: Przyjechałem o 3.06 i zauważyłem coś dziwnego na dziedzińcu, w pobliżu miejsca, gdzie mój kierowca zaparkował samochód. Przyznaję przed Komitetem Centralnym, że przyczyną tego wykroczenia było po części moje spóźnienie. Komendant Goleczow był pijany i próbował ukryć to, co zrobił. Wezwałem majora Błochina i przejrzałem listę więźniów skazanych na najwyższy wymiar kary. Zauważyłem brak więźniarki Zeitlin-Palicyn. Polecilem komendantowi Goleczowowi, żeby mnie do niej zaprowadził. Później rozkazałem komendantowi Goleczowowi i majorowi Błochinowi natychmiast zaczynać. Więźniów wprowadzono do przeznaczonej do tego celi, a ja obserwowałem wykonanie kary na 122 więźniach jako świadek z ramienia Komitetu Centralnego. Major Błochin włożył rzeźnicki fartuch i wykonywał swoją pracę bardzo fachowo. Jako żarliwy komunista, cieszyłem się z likwidacji tych wrogów, zdrajców, łajdaków i kanalii.

Goleczow: Popelniliśmy wykroczenie przeciwko najwyższym normom moralnym partii komunistycznej, ale ja sercem i duszą jestem oddany partii i towarzyszowi Stalinowi. Oczekuję bezlitosnej kary, ale zdaję się na łaskę Komitetu Centralnego. Około 3.00 przyjechał wreszcie towarzysz Satinow i postąpił nieregularnie, ujawniając swój burżuazyjny sentymentalizm...

Czerwony ołówek Stalina zakreślił to oskarżenie i dopisał słowa: *Satinow współczuje???*

- Ale co się stało? Co zobaczył Satinow? - spytała Katinka. Nigdy dotąd żadne pytanie nie wydawało się jej tak ważne.

Satinow: Była całkowicie... obnażona. Komendant Goleczow okazał wynaturzony infantylizm i zdegenerowane filisterstwo, jak zameldowałem osobiście i na piśmie najwyższej instancji. Przyznaję, że przesłuchując Goleczowa, uderzyłem go dwa razy, a on upadł na ziemię. Był to wyraz mojego oburzenia jako komunisty, a nie burżuazyjnego sentymentalizmu.

Maks gwizdnął.

- Cokolwiek stało się z Saszeńką, Satinow, żelazny człowiek z bezlitosnego pokolenia, stracił panowanie nad sobą. To naprawdę niezwykle - postępując w ten sposób na oczach tych wszystkich czekistów, mógł podpisać na siebie wyrok śmierci.

- Ale co on zobaczył? - Katinka uświadomiła sobie, że krzyczy.

- Poczekaj... - Maks czytał dalej. - Jest. - Wskazał dolną część dokumentu. W plątaniu zielonych gryzmołów Stalin napisał jedno słowo.

Waż.

- Waż? Dobrze odczytałam? Maks potrząsnął głową.

- Chyba tak... - Zawahał się.

- Ale co to znaczy?

- Słyszałem o podobnym przypadku w więzieniu wladimirowskim w 1937 roku. Myślę, że przywiązali ją do słupa i polewali wodą z węża. Była bardzo zimna noc. Robili zakłady, ile czasu minie zanim... woda zamarźnie. Stopniowo pokrywał ją lód. Jak szklany posąg.

28

Oboje milczeli przez dłuższy czas. Skowronki i zięby śpiewały wśród okolicznych drzew, pszczoły tańczyły wokół kwiatów wiśni, a bzy wysuwały swoje białe i liliowe główki zza srebrnych brzoź.

Kiedy Katinka płakała nad babcią, której nie знаła, myślała o tym, przez co musiała przejść Saszeńka tamtej długiej, strasznej, mroźnej nocy zimą 1940 roku. Po chwili Maks otoczył ją ramionami.

- Co my tu robimy? - spytała wreszcie, wyslizgując się z jego objęć.

- Przeprowadziłem własne małe poszukiwania i znalazłem protokół z pogrzebu Saszeńki, Wani, nawet wuja Mendla. Po egzekucji ciała poddano kremacji, a popioły zakopano na terenie daczki NKWD w brzozowym lesie pod Moskwą. Później, na rozkaz NKWD, na masowych grobach posadzono krzaki malin i jeżyn. Spójrz, tam na drzewie jest tabliczka.

Tu spoczywają szczątki torturowanych i straconych niewinnych ofiar represji politycznych.

Oby nigdy nie zostały zapomniane!

- Ona tu jest, prawda? - spytała Katinka, stając obok niego. Znowu ją objął, ale tym razem nie protestowała.

- Nie tylko ona, oni wszyscy - powiedział. - Są tutaj wszyscy, razem.

Zapadał wieczór - ten różowy, ziarnisty zmierzch, kiedy wydaje się, jakby Moskwa była oświetlona od dołu, nie z góry. Maks odwiózł Katinkę do rezydencji Getmana. Stała na stopniach i pomachała mu na pożegnanie.

Kiedy ochroniarze ją wpuścili, w domu było cicho, ale znalazła Rozę w kuchni.

- Dobrze ci zrobi herbata i pierniczki - powiedziała Roza, patrząc na nią. Katinka uświadomiła sobie, że musi mieć podrażnioną skórę i czerwone oczy. - Usiądź.

Katinka patrzyła, jak Roza robi herbatę, dodając do każdej filiżanki trochę miodu i dwie łyżeczki brandy. Przed ciocią nic się nie ukryje, pomyślała.

- Proszę - powiedziała Roza - wypij to. Obie tego potrzebujemy. Nie przejmuj się ojcem. Za bardzo go ponaglałam. Wiesz, wciąż widzę tego małego chłopca ze swoim ukochanym królikiem na naszej daczce. Myślałam o nim przez całe życie i bardzo pragnęłam go odnaleźć - ale już go nie znam, oczywiście. Powiesz mi, co mam robić?

- Tak, oczywiście - odparła Katinka, wciąż myśląc o tym, co usłyszała od Maksa, jej umysł nawiedzały obrazy śmierci Saszeńki. Nagle zapragnęła podzielić się tym, co wie, powiedzieć Rozie wszystko, opisać dokładnie, jak umarła Saszeńka, co się stało i jak wyglądała. - Mam ci coś jeszcze do pokazania - powiedziała, wyjmując z plecaka plik fotokopii.

- Poczekaj. Zanim na to spojrzę, chcę cię o coś spytać - wiem, że mój ojciec został rozstrzelany, ale mówiłaś, że było coś niezwykłego... Jak umarła moja matka?

- Właśnie miałam do tego dojść - odparła Katinka, ale nagle coś kazało jej zatrzymać papiery przy sobie.

Wzięła głęboki oddech i już miała zacząć mówić, gdy nagle zobaczyła Saszeńkę na śniegu, jej białą skórę w elektrycznym świetle reflektorów; i Sati-nowa, przerażonego, stojącego przed Saszeńką kilka minut później. Gdyby naprawdę się załamał, gdyby zaraz potem ze stalinowską bezwzględnością nie nadzorował pozostałych stu dwudziestu dwóch egzekucji, on też zostałby poddany torturom i ujawnił, że uratował dzieci Saszeńki...

Katinka poczuła na sobie łagodne, lecz przenikliwe spojrzenie Rozy i otrząsnęła się - niektóre tajemnice lepiej zachować dla siebie.

- Jak inni. Umarła tak jak inni.

Roza patrzyła na nią jeszcze przez chwilę, a potem się uśmiechnęła.

- Tak myślałam. Dobrze wiedzieć. Ale co chcesz mi pokazać? Katinka zreżnie schowała raport ze śledztwa w sprawie śmierci Saszeńki pod inne papiery, tak że na wierzchu znalazł się inny dokument.

- Mam kilka rzeczy, które dostałam od Kuźmy, w tym również to, zeznanie twojej matki. Nie czytałam ich w całości, ponieważ to dwieście stron nedorzecznych zeznań o spotkaniach z wrogimi agentami i o tym, jak zamierzała zamordować Stalina, spryskując cyjankiem gramofon na dachy - wymyślała to wszystko, żeby dać Satinowowi czas na umieszczenie ciebie i Karła w zastępczych rodzinach. Ale jest tu jeden dziwny fragment. Mogę ci go przeczytać?

Oskarżona Zeitlin-Palicyń: W 1933 roku, w nagrodę za naszą pracę dla partii, Wani i mnie pozwolono wyjechać do Londynu, gdzie miałam leczyć swoją neurastenię. Odwiedzaliśmy znaną klinikę przy Harley Street zwaną Domem Poduszek, gdzie pod pozorem leczenia spotykaliśmy się z agentami brytyjskiego wywiadu i z samym Trockim, który poprosił nas, abyśmy zaplanowali zabójstwo towarzysza Stalina. Śledczy Mogileczuk: W Domu Poduszek? Oskarżona Zeitlin-Palicyń: Tak.

- Ten „Dom Poduszek” to dziwna nazwa, nawet po angielsku - wyjaśniła Katinka. - Sprawdziłam to. W Londynie nigdy nie było żadnego „Domu Poduszek”. Czy to ci coś mówi?

Roza zaczęła się śmiać.

- Chodź ze mną.

Wzięła Katinkę za rękę i zaprowadziła ją na górę do swojej małej sypialni.

- Widzisz? - spytała.

- Co? - spytała Katinka.

- Spójrz! - Pokazała na łóżko. - Tutaj! - Podniosła starą, wystrzępioną poduszkę, materiał był tak wytarty i zżarty przez mole, że niemal przezroczysty, tak wyblakły, że niemal biały. - To moja Poduszka, towarzyszka dzieciństwa i jedyna rzecz, którą mogłam zabrać ze sobą do nowego życia.

Przytuliła ją jak dziecko.

- Widzisz, jak o mnie pamiętała? - powiedziała Roza. - Matka mówiła mi, że mnie kocha. Przesyłała mi wiadomości i gdybym się kiedyś dowiedziała, kim naprawdę jestem, wiedziałabym, że zawsze mnie kochała.

Atmosfera w pokoju zrobiła się nagle napięta, a Roza odwróciła się od Katinki i wyjrzała przez okno.

- Czy jest tam coś jeszcze, co wydaje się dziwne? - spytała z nadzieją, a Katinka zrozumiała, że potrzebuje czegoś, co mogłaby przekazać bratu.

- Tak, teraz, kiedy rozumiem, co starała się zrobić, jest tam coś. Powiedziałaś, że mój ojciec kochał króliki. W swoich zeznaniach Saszeńka mówi, że ona i Wania ukryli cyjanek w klatce dla królików - jakby nie było lepszego miejsca - na dacz. Więc chyba dla niego też coś zostawiła...

- Chciałabym mu to sama powiedzieć - powiedziała Roza - ale nie chcę robić niczego, co mogłoby go zdenerwować. Pomyślałam, że mogłabym trochę odczekać, a potem do niego zadzwonić i może przyjechać go odwiedzić. Co ty na to?

- Oczywiście, ale nie zwlekaj zbyt długo - uśmiechnęła się Katinka. - Dobrze?

29

To był niezwykle dzień, pomyślała Katinka, schodząc po schodach. Ale jeszcze się nie skończył.

Kiedy szła przez wielką sień w stronę kuchni, usłyszała zatrzymujące się na podjeździe samochody. Pasza wrócił. Rozległo się trzaskanie zamykanych drzwi, a potem donośny głos Paszy, jego niezdarne kroki i jakieś nieznanym, ochryple mamrotanie, które nagle ucichło.

- O mój Boże, to ona! - powiedział głos.

Katinka odwróciła się i stanęła twarzą w twarz ze szczupłym, starszym mężczyzną o długiej, wrażliwej twarzy, w niebieskim kaszkiecie. Musiał mieć co najmniej osiemdziesiąt lat, ale była w nim jakaś nerwowa energia i wciąż prezentował się elegancko w wymiętym, brązowym garniturze, zbyt obszernym na jego drobną figurę. Od razu go polubiła.

- To ty, Saszeńko? - spytał staruszek, wpatrując się w nią intensywnie. - To ty? Boże, czy ja śnię? Wyglądasz zupełnie jak ona - masz jej oczy, jej usta, nawet sposób, w jaki stoisz. Czy to jakaś sztuczka?

- Nie - powiedział Pasza, stając obok niego. - Katinko, nie tylko ty prowadziłaś poszukiwania. Ja też kogoś znalazłem.

Katinka upuściła plecak na podłogę i cofnęła się.

- Kim pan jest? - spytała drżącym głosem. - Kim pan, do diabła, jest? Staruszek otarł twarz wielką płócienną chustką.

- Kto tu zadaje pytania? Ja czy to dziewczę? - Katinka zauważyła, że ma niezwykle, błękitne oczy. - Nazywam się Benia Golden. A kim ty jesteś? - Ujął jej dłoń i ucałował. - Powiedz mi, na miłość boską.

- Benia Golden? - zawołała Katinka. - Ale ja myślałam, że pan...

- No cóż... - Benia wzruszył ramionami. - Wszyscy tak myśleli. Czy możemy usiąść? Czy mogę prosić o kieliszek koniaku? - Rozejrzał się uważnie po rezydencji, patrząc na płótna starych mistrzów, wygodne kanapy. - To miejsce wygląda tak, jakbyście mieli w barku wszystko. Dajcie mi courvoisier, zanim upadnę. To była długa podróż. Spójrzcie - ręce mi się trzęsą.

Przenieśli się do salonu, gdzie Pasza nalał im koniaku.

- Słyszałaś o mnie? - spytał Benia po chwili.

- Oczywiście, nawet czytałam pana *Opowiadania hiszpańskie* - odparła Katinka.

- Nie wiedziałem, że mam takich młodych wielbicieli. Nie wiedziałem, że w ogóle mam wielbicieli. - Umilkł. - Wiesz, naprawdę bardzo przypominasz kobietę nazywaną Saszeńką, którą kochałem całym sercem dawno temu. Czy nikt ci tego nie powiedział?

Katinka potrząsnęła głową, ale przypomniała sobie twarz Saszeńki na tamtej fotografii więziennej.

- Była moją babcią - powiedziała. - Próbowałam się dowiedzieć, co się z nią stało.

- Byłaś w tych strasznych archiwach?

-O, tak.

- I dowiedziałaś się, jak nas torturowali i złamali? Katinka przytaknęła.

- Wszystkiego.

- I możesz mi powiedzieć, dlaczego to wszystko się stało, to znaczy z nami, ze mną i Saszeńką?

- Nie było żadnego „dlaczego” - odparła Katinka po chwili. - Po prostu ciąg zdarzeń. Tyle się dowiedziałam... Ale proszę mi powiedzieć, jak pan przeżył?

- Och, nie ma wiele do opowiadania. Zbiry Stalina mnie biły, a ja powiedziałem im wszystko, czego chcieli. Ale na procesie oświadczyłem, że kłamałem, ponieważ byłem torturowany. Wiedziałem, że mnie rozstrzelają, i nie mogłem pójść na śmierć ze świadomością, że zdradziłem Saszeńkę. A tymczasem dostałem dziesięć lat na Kolymie. Podczas wojny zostałem zwolniony - i walczyłem - ale potem znowu mnie aresztowali i zwolnili dopiero w latach pięćdziesiątych. Byłem strzępem człowieka, ale w obozie spotkałem kobietę, pielęgniarkę, anioła, i ona przywróciła mnie do życia. Znalazła mi posadę redaktora gazety w Birobidżaniu, obwodzie żydowskim pod chińską granicą, i od tamtej pory mieszkaliśmy w tym zapomnianym przez Boga miejscu.

- Nadal pan pisze?

- Wybili to ze mnie. - Machnął lekceważąco ręką. - Jestem szczęśliwy, że żyję. Macie w tym pałacu coś do jedzenia? Wiecznie jestem głodny.

- Oczywiście - odparł Pasza. - Możemy podać wszystko, co pan lubi. Proszę tylko powiedzieć!

- Chciałbym stek, drogi książę, ze wszystkimi dodatkami, i butelkę czerwonego wina - powiedział Benia. - Macie jakieś francuskie wino? Czy posuwam swoje marzenie za daleko? Kiedyś uwielbiałem francuskie bordo... Piłem je w Paryżu, wicie - macie je? - Znowu zamilkł, a Katinka zobaczyła, że jego oczy wypełniły się łzami.

W końcu ujął jej dłoń i ucałował ją po raz drugi.

- Spotkanie z tobą jest dla mnie jak ostatnie lato. Nie ma dnia, żebym nie myślał o twojej babci. Byliśmy największymi kochankami na świecie, a przecież byliśmy razem zaledwie przez jedenaście dni. - Westchnął głęboko. - Codziennie dawałem jej kwiaty....

Katinka coś sobie przypomniała. Sięgnęła do plecaka i wyjęła małą kopertę z materiałami z akt Saszeńki, które dał jej Kuźma.

- Czy to coś dla pana znaczy? - Wręczyła mu wymiętą starą kopertę, zaadresowaną kobiecym charakterem pisma do „B. Goldena” w Związku Pisarzy Radzieckich.

Wziął ją od niej, otworzył i wyciągnął ususzoną mimozę, tak kruchą, że prawie rozpadła mu się w rękach.

- Wysłała ją panu - powiedziała Katinka - ale doręczono ją już po pana aresztowaniu. Związek Pisarzy przekazał ją NKWD, a oni dołączyli ją do akt.

Benia mruknął coś, potrząsając z niedowierzaniem głową. Potem podniósł kwiat do twarzy, wachał stare płatki, całował je, a kiedy wreszcie odzyskał mowę, usiadł prosto i dumnie, patrząc promiennie na Katinkę zapłakanymi oczami.

Nagle zerwał z głowy kaszkiet i z wyzywającym i triumfalnym uśmiechem rzucił go przez pokój.

- Nawet po pięćdziesięciu latach - powiedział - wiem, co to znaczy.

30

Ponad tydzień później w Moskwie zapadał zmierzch. Senne, pomarańczowe słońce straciło swoją buńczuczność i mozoliło się, żeby pozostać na niebie. Światło rozpostarło delikatny różowy welon nad chłodną wodą, a cienie pod drzewami zabarwiły się na ciemny błękit. W ciepłym powietrzu unosiło się tyle płatków, że wyglądały niemal jak śnieg, kiedy Katinka przechadzała się z Maksem po Patriarszych Prudach. Czowała się oszołomiona i szczęśliwa, że znalazła się daleko od rodziny i przeszłości. Liczyła się tylko terażniejszość, kiedy spacerowała po tym sanktuarium w środku hałaśliwego miasta.

Nie widziała się z Maksem od tamtego dnia w lesie i miała mu do powiedzenia rzeczy, które tylko on mógł zrozumieć. Chociaż się nie dotykali, poruszali się tak zgodnie, jakby byli połączeni niewidzialnymi nićmi.

- Cieszę się, że żyję teraz - powiedziała mu - ponieważ nie sądzę, żebym była taka odważna jak Saszeńka i Wania, gdybym żyła wtedy.

- Myślę, że mogłabyś być odważniejsza - odparł Maks, kiedy, równocześnie, skierowali się w stronę kawiarni pod gołym niebem nad wodą.

- Dzięki Bogu, że w naszych czasach nie musimy być tacy odważni - powiedziała. - Mamy w Rosji wolność. Po raz pierwszy w historii. Możemy robić to, co chcemy, mówić to, co chcemy. Nikt nas już nie śledzi - to już skończone.

- Ale na jak długo? - spytał Maks tak poważnie, iż Katinka pomyślała, że jest niedorzecznie ponury. Cudownie było móc cieszyć się życiem i młodością - i nagle ogarnęła ją taka radość, że odwróciła się i pocałowała go, zupełnie bez zastanowienia.



Podziękowania

Jest to opowieść o kobietach i dzieciach z kilku pokoleń fikcyjnej rodziny i mam nadzieję, że tak będzie czytana: jako powieść o rodzinie. Ale zainspirowało ją wiele relacji, listów i przypadków, które znalazłem w archiwach i usłyszałem w wywiadach w ciągu ponad dziesięciu lat badań nad rosyjską historią.

W książce występuje kilka postaci historycznych - do najbardziej znanych należą Rasputin i Stalin - a ich portrety są tak dokładne, jak tylko mogłem je odmalować. Ale kiedy pisałem tę książkę, Saszeńka i jej bliscy zaczęli się stawać bardziej realni niż współczesne im postacie historyczne.

Historycy na ogół piszą o niezwykłych ludziach, którzy kształtują losy świata. Ale w tej powieści chciałem pokazać, jak zwykli ludzie zmagali się z triumfami i tra-

gediami dwudziestowiecznej rosyjskiej historii. Byłem zafascynowany odwagą i determinacją wielu tysięcy kobiet, które straciły mężów i dzieci, i zastanawiałem się: jak udało im się przetrwać? I jak my zachowywalibyśmy się w tamtych strasznych czasach?

Przede wszystkim jest to książka o miłości i rodzinie - ale chciałem również przedstawić te dziwne i tragiczne czasy w dziejach Rosji w sposób interesujący dla czytelników, którzy być może nie czytują książek historycznych. Opisy śmietanki towarzyskiej Piotrogradu, jego sklepów, restauracji i klubów, więzień i spelunek, magnatów przemysłowych i policjantów oraz wielu niezwykłych postaci, takich jak książkę Andronnikow, są oparte na faktach. Postacie Stalina, Berii, Rodosa i Kobałowa są autentyczne, podobnie jak opisy więzień, strażników i meandrów zawilej radzieckiej biurokracji. Język i szczegóły zawarte w dokumentach w Części III również są prawdziwe, chociaż niektóre archiwa zostały wymyślone. Wioska Beznadziejna jest fikcyjna, chociaż przypomina wiele znanych mi miejscowości na Północnym Kaukazie.

Historia Saszeńki i jej rodziny została zainspirowana wieloma prawdziwymi historiami, w tym żydowskich żon stalinowskich dygnitarzy, aresztowaniami

pisarzy takich jak Isaak Babel, oraz przypadkiem Żeni, żony Nikołaja Jeżowa, szefa NKWD, która zniszczyła wszystkich swoich najbliższych. (Zostało to opisane również w mojej książce *Stalin: The Court of the Red Tsar [Stalin: dwór czerwonego cara]*).

Bardzo wiele zawdzięczam źródłom, z których bez skrepowania korzystałem: do Części I (Piotrogród, 1916) wykorzystałem słynne i znakomite wspomnienia Władimira Nabokowa, *Speak, Memory [Pamięci, przemów]*; *The Silver Samovar* błyskotliwy pamiętnik pochodzącego z bogatej żydowskiej rodziny Aleksandra Polakowa, którego znałem jako chłopiec; *The Five* Władimira Żabotyńskiego; wielotomowe wspomnienia Ilji Erenburga, a także powieści takie jak *The Moskat Family [Rodzina Muszkatorów]* i *The Manor [Dwór]* Isa-aka Bashevisa Singera.

Jeśli chodzi o historię, politykę, sztukę i społeczeństwo, korzystałem ze znakomitej pracy *Passage Through Armageddon* W. Bruce'a Lincolna. Szczegóły dotyczące carskiej policji zaczerpnąłem z książki *Russian Hide-and-Seek: The Tsarist Secret Police in St Petersburg, 1904-14* Iaina Lauchlana i *The Foe Within* Williama C. Fullera juniora. Ale większość materiałów znalazłem w trakcie pracy nad swoją ostatnią książką historyczną, *Young Stalin [Stalin: młode lata despoty]*.

Co się tyczy okresu stalinowskiego w Części III, większość materiałów pochodzi z moich badań nad radziecką elitą podczas pracy nad książką *Stalin: The Court of the Red Tsar [Stalin: dwór czerwonego cara]*, ale mnóstwo cennego materiału znalazłem też w pracy *The KGB's Literary Archive* Witalija Szentalskiego. Korzystałem rów-

niez z powieści *House on the Embankment* [Dom nad rzeką Moskwą] Jurija Trifonowa i trylogii *Children of the Arbat* [Dzieci Arbatu] Anatolija Rybakowa.

Cennymi źródłami były ostatnie książki historyczne, takie jak *Stalinism as a Way of Life* Lewisa Siegelbauma i Andrieja Sokołowa, *Thank You, Comrade Stalin* Jeffreya Brooksa i *Rulers and Victims* Geoffrey'a Hoskinga. Znakomita i niezapomniana książka *The Whisperers* [Szepty] Orlando Figesa ukazała się w momencie, kiedy swoją powieść już ukończyłem, ale była zarówno inspirująca, jak i użyteczna, ponieważ zawarte w niej tragiczne relacje pokazują, że historia Saszeńki nie była niczym wyjątkowym. Polecam ją wszystkim, którzy są zaintrygowani moją historią i chcą się dowiedzieć, co naprawdę działo się ze zwykłymi ludźmi i rodzinami w Rosji. Rosyjskie rodziny do tej pory odkrywają swoją niezwykłą przeszłość i odnajdują zaginionych krewnych.

Specjaliści zorientują się, że list Mendla skarżącego się na traktowanie w więzieniu jest wzorowany na tragicznym liście reżysera teatralnego Wsiewołoda Meyerholda. Oryginał był tak piękny i przejmujący, że nie mogłem go przewyższyć.

Co się tyczy moich źródeł do Części III, epoki oligarchów, i oczywiście tajemnic i radości poszukiwań archiwalnych w Rosji, mogę tylko powiedzieć, że w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku spędziłem dużo czasu jako dziennikarz, a później historyk zarówno w Moskwie, jak i na Kaukazie. Większość materiałów do tej części została zaczerpnięta z moich osobistych doświadczeń.

Dziękuję Galinie Babkowej, która zbadła, jak to było studiować w Instytucie Smolnym; Galinie Oleksiuk, która uczyła mnie rosyjskiego i przejrzała tekst; Nestanowi Czarkwianiemu za gruziński koloryt; Markowi i Rachel Polonsky, którzy gościli mnie w swoim mieszkaniu przy ulicy Granowskiego; i Dominikowi Levienowi za wsparcie.

Dziękuję wszystkim osobom z wydawnictwa Transworld, a w szczególności Bilowi Scott-Kerrowi, Deborah Adams za sprawną korektę oraz Clare Ward i Anne Kragelund za projekt okładki. Dziękuję też mojej redaktorce, Selinie Walker, za błyskotliwą, inspirującą, precyzyjną i drobiazgową pracę.

Moi rodzice, Stephen i April Sebag-Montefiore, wzbogacili i poprawili książkę swoimi uwagami. Moja żona Santa, znana powieściopisarka, a także oddana najlepsza przyjaciółka, udzieliła mi bezcennych rad dotyczących fabuły i postaci. A niewyczerpany wdzięk moich ukochanych dzieci - córki Lily i syna Sashy - był dla mnie nieustanną zachętą i inspiracją.

Simon Montefiore Grudzień 2007

Nota o nazwiskach i językach

Nazwy miejscowości w Rosji mają skłonność się zmieniać wraz z zawirowaniami historii. Sankt Petersburg został założony przez Piotra Wielkiego w 1703 roku. Po wybuchu wojny w roku 1914 car Mikołaj II zmienił jego niemiecko brzmiącą nazwę na Piotrogród, „miasto Piotra”. W 1924 roku bolszewicy przemianowali go na Leningrad. W 1991 roku znowu stał się Sankt Petersburgiem. Tyflis jest obecnie znany jako Tbilisi, stolica niepodległej Gruzji.

Władców Rosji zwano carami, chociaż w 1721 roku Piotr Wielki ogłosił się imperatorem i dlatego Romanowów nazywano tak i tak.

W kontekście formalnym Rosjanie posługują się imieniem, patronimikum (od imienia ojca) i nazwiskiem. Dlatego Saszeńka jest nazywana Aleksandrą Samojłówną Zeitlin, a Wania - Iwanem Nikołajewiczem Palicynem. Ale Rosjanie (i Gruzini) posługują się również zdrobnieniami: Saszeńka to zdrobnienie od Aleksandry, a Wania to zdrobnienie od Iwana.

W strefie osiedlenia Żydzi mówili na co dzień w jidysz, modlili się po hebrajsku, a podania pisali po rosyjsku. Język gruziński jest całkowicie odmienny od rosyjskiego i ma własny alfabet i literaturę.

Nazwiska postaci historycznych są zaznaczone gwiazdką

Rodzina: Zeitlinowie

Saszeńska (Aleksandra Samojłowna) Zeitlin, uczennica w Instytucie Smolnym
Baron Samuel Mojsiejewicz Zeitlin, piotrogrodzki bankier i ojciec Saszeński
Baronowa Ariadna (Finkel Abramowna) Zeitlin, z domu Barmakid, matka Saszeński

Gideon Mojsiejewicz Zeitlin, brat Samuela, dziennikarz i powieściopisarz

Wiera Zeitlin, jego żona i jego dwie córki, Wika (Wiktorja) Zeitlin i Muszka (Sofia) Zeitlin

Rodzina: Barmakidowie

Abram Barmakid, rabin Turbinu, ojciec Ariadny i Mendla

Miriam Barmakid, matka Ariadny i Mendla

Awigdor Abramowicz (Artur) Barmakid, brat Ariadny i Mendla,
mieszkający w Anglii Mendel Abramowicz Barmakid, brat Ariadny i Awigdora,
bolszewicki przywódca

Natasza, Jakutka, żona i bolszewicka towarzyszką Mendla

Lena (Władlena), jedyna córka Mendla i Nataszy

Służba Zeitlinów

Lala, Audrey Lewis, angielska guwernantka Saszeński Pantalejmon, kierowca Leonid, lokaj Delfina, francuska kucharka Luda i Naina, pokojówki Szyfra, stara guwernantka Samuela

Piotrogród, 1916

Piotr de Sagan, kapitan Korpusu Żandarmów, oficer Ochrony, ubogi bałtycki szlachcic

Grigorij Rasputin*, „świętobliwy starzec”, chłopski uzdrowiciel i „przyjaciel” carycy

Anna Wyrubowa*, bliska przyjaciółka carycy i wielbicielka Rasputina
Julia „Liii” von Dehn*, bliska przyjaciółka carycy i wielbicielka Rasputina
Książę Michaił Andronnikow*, wpływowy arystokrata
Hrabina Missy Loris, amerykańska przyjaciółka Ariadny, żona hrabiego Loris,
pietrogradzkiego arystokraty
Boris Stürmer*, rosyjski premier, 1916
Aleksandr Trepów*, przedostatni carski premier, 1916
Książę Nikołaj Golicym*, ostatni carski premier, 1916-1917
Aleksandr Protopopow*, polityk i ostatni carski minister spraw wewnętrznych
Iwan Manasiewicz-Manujłow*, szpieg, szalbierz, dziennikarz, zaufany premiera
Stürmera
Maks Flek, prawnik barona Zeitlina Doktor Mathias Gemp, modny lekarz

Bolszewicy i inni

Władimir Ujicz Lenin*, bolszewicki przywódca
Grigorij Jewsiejewicz Zinowjew*, bolszewicki przywódca
Iosif Wissarionowicz Stalin*, ur. Dżugaszwili, przydomek „Koba”, gruziński
bolszewik, później sekretarz generalny WKP(b), radziecki premier i dyktator
Wiaczesław Michajłowicz Mołotow*, ur. Skriabin, przydomek „Wicza”, bol-
szewik, później radziecki premier i minister spraw zagranicznych
Aleksandr Szlapnikow*, robotnik i bolszewik, stojący na czele partii podczas re-
wolucji lutowej 1917 roku
Herkules (Iraklij Aleksandrowicz) Satinow, młody gruziński bolszewik
Tamara, żona Satinowa
Mariko, córka Satinowa
Iwan „Wania” Palicyn, pietrogradzki robotnik, bolszewicki aktywista
Nikołaj i Marfa Palicynowie, rodzice Wani
Razum, kierowca Wani
Nikołaj Iwanowicz Jeżów*, „Krwawy Karzeł”, szef aparatu bezpieczeństwa, lu-
dowy komisarz spraw wewnętrznych 1936-1938
Ławrientij Pawłowicz Beria*, Gruzin, ludowy komisarz spraw wewnętrznych od
1938 roku
Bogdan Kobułow*, „Byk”, gruziński czekista, główny oprawca Berii

Pawieł Mogilczuk, śledczy NKWD, Wydział Spraw Szczególnie Ważnych, autor opowiadań detektywistycznych

Boris Rodos*, śledczy NKWD, Wydział Spraw Szczególnie Ważnych

Wasilij Michajłowicz Błochin*, major, kat NKWD

Hrabia Aleksiej Tołstoj*, pisarz

Ilja Erenburg*, pisarz Isaak Babel*, pisarz Kławdia Klimowa, zastępca redaktora naczelnego „Radzieckiej Żony i Proletariackiego Gospodarstwa Domowego”

Misza Kalman, redaktor „Radzieckiej Żony i Proletariackiego Gospodarstwa Domowego” Leonid Goleczow, komendant Obiektu Specjalnego 110, więzienie Suchanowka Beniamin „Benia” Golden, pisarz

Rodzina Wińskich z Północnego Kaukazu

Doktor Walentin Winski, lekarz w wiosce Beznadieżnaja Tatiana Wińska, jego żona Katinka (Jekatierina Walentinowna), ich córka Siergiej Winski, „Pluskwa”, ojciec Walentina, chłop Irina Wińska, „Baba”, matka Walentina, chłopka

Rodzina Getmanów z Odessy

Roza Getman, z domu Liberhart, wdowa z Odessy

Pasza (Pawieł) Getman, syn Rozy, miliarder Profesor Enoch Liberhart, ojciec Rozy Getman, profesor muzykologii w konserwatorium odeskim

Doktor Perla Liberhart, matka Rozy Getman, wykładowca literatury na Uniwersytecie Odeskim

Moskwa, lata dziewięćdziesiąte

Maks Szubin, historyk stalinowskiego terroru Pułkownik Lentin, funkcjonari usz KGB/FSB, „Marmozet” Pułkownik Trofimski, funkcjonariusz KGB/FSB, „Czarodziej” Kuźma, archiwista w archiwum KGB/FSB Agrippina Biegbułatow, urzędniczka w archiwum partii komunistycznej Apostołon Szczegłow, archiwista w archiwum partii komunistycznej